

# Album morderstw

Jonathan Kellerman



calibre 0.9.27

**JONATHAN KELLERMAN**

***ALBUM MORDERSTW***

**(Przełożył: Przemysław Bieliński)**

**AMBER**

**2003**

Kiedy dostałem album morderstw, myślami ciągle jeszcze byłem w Paryżu -  
mieście czerwonego wina, nagich drzew, szarej rzeki, miłości. Pamiętałem wszystko, co  
się tam zdarzyło. A teraz to.

Robin i ja wylądowaliśmy na lotnisku Charles'a de Gaulle'a w ponury

styczniowy

poniedziałek.

Nasza

wycieczka

była

moim

pomysłem

-

prezenterem-niespodzianką. Załatwiłem wszystko w jeden wariacki wieczór -

zarezerwowałem bilety w Air France i pokój w małym hotelu na obrzeżach Ósmej

*arrondissement*, spakowałem nasze rzeczy w walizkę i pognąłem dwieście kilometrów

autostradą do San Diego. Pojawiłem się w pokoju Robin w Del Coronado tuż przed

północą, z tuzinem szkarłatnych róż i szerokim uśmiechem, *voilà!*

Otworzyła mi drzwi ubrana w białą koszulkę i czerwony sarong, z

rozpuszczonymi kasztanowymi włosami; zmyła makijaż, a w jej czekoladowych oczach

czaiło się zmęczenie. Uścisnęliśmy się, a potem ona spojrzała na walizkę. Kiedy

pokazałem jej bilety, odwróciła się, żeby ukryć łzy. Za oknem huczał czarny, nocny

ocean, ale Robin nie przyjechała tu opalać się na plaży. Wyjechała z Los Angeles,

**ponieważ ją okłamałem i zaryzykowałem życie. Słuchałem, jak płacze i zastanawiałem się, czy da się to kiedykolwiek naprawić.**

**Spytałem, co się stało. Jakbym nie miał z tym nic wspólnego.**

**- Jestem tylko... zaskoczona - odparła.**

**Zamówiliśmy kanapki, Robin zasłoniła okna, a potem się kochaliśmy.**

**- Paryż - powiedziała, zakładając hotelowy szlafrok. - Nie mogę uwierzyć, że to wszystko zrobiliś. - Usiadła, przeczesala włosy i znów wstała. Podeszła do łóżka, pochyliła się nade mną, dotknęła mnie. Pozwoliła szlafrokowi opaść na podłogę, objęła mnie nogami. Zamknęła oczy, gdy jej pierś dotknęła moich ust. A kiedy po raz drugi w milczeniu ocknęła się z rozkoszy, opadła na łóżko obok mnie.**

**Bawiłem się jej włosami. Zasnęła, kąciki jej ust uniosły się do góry w uśmiechu**

**Mony Lisy. Za kilka dni mieliśmy tłoczyć się w kolejkach, wśród przypominających roboty tłumów innych turystów, wyciągając szyje, żeby zobaczyć choćby skrawek czegoś prawdziwego.**

**Uciekła do San Diego, bo tam mieszkała jej koleżanka z liceum - trzykrotnie zamężna dentystka, Debra Dyer, aktualnie zakochana w bankierze z Mexico City ("Ma tyle białych zębów, Alex!"). Francisco zaproponował im wyprawę na zakupy do Tijuany i nieokreślonej długości wakacje w domu przy plaży na Cabo San Lucas. Robin wiedziała, że będzie się czuła jak piąte koło u wozu, wykręciła się więc od wyjazdu i zadzwoniła do mnie, żebym do niej przyjechał.**

**Nie przyszło jej to łatwo, czuła się winna, że mnie zostawiła. W moich oczach wyglądało to jednak zupełnie inaczej. To ja powinienem ją przeprosić.**

**Wpakowałem się w tę niewesołą sytuację przez złe planowanie. Polala się krew i ktoś umarł. Usprawiedliwienie tego wszystkiego nie było wcale takie trudne: zagrożone**

było życie niewinnych ludzi, dobrzy wygrali, ja wyszedłem z tego cały. Ale kiedy Robin odjechała w swojej ciężarówce, musiałem spojrzeć prawdzie w oczy.

Moje przygody nie miały wiele wspólnego ze szlachetnymi intencjami, wynikały po prostu ze skazy osobowości.

Dawno temu zdecydowałem się na psychologię kliniczną, najbardziej siedzące zajęcie jakie znałem, wmawiając sobie, że chcę spędzić resztę życia, lecząc emocjonalne rany. Ale od ostatniej długoterminowej terapii, jaką przeprowadziłem, minęły całe lata.

Nie dlatego że, jak sam starałem się przekonać, stałem się nieczuły na ludzkie nieszczęście. Nie miałem żadnego problemu z nieszczęściem. Moje drugie życie dostarczało mi go w nadmiarze.

Prawda była nieubłagana: kiedyś pociągala mnie ludzkość i wyzwanie, jakim jest psychoterapia. W końcu jednak siedzenie w gabinecie, odliczanie, godzina po godzinie, trzech kwadransów rozmowy i przetrwanie cudzych problemów zaczęło mnie nudzić.

W pewnym sensie to, że zostałem psychoterapeutą, bardzo mnie dziwiło. Byłem dzikim chłopakiem - kiepsko sypiałem, byłem nadpobudliwy, miałem wysoki próg bólu i skłonności do ryzyka. Uspokoilem się trochę, kiedy odkryłem książki, ale szkolne mury były dla mnie więzieniem, postarałem się więc skończyć edukację jak najszybciej, żeby od tego uciec.

Skończywszy liceum w wieku szesnastu lat, kupiłem za uciulane w czasie wakacji pieniądze stary samochód, zignorowałem lzy matki i grymas dezaprobaty ojca oznaczający wotum nieufności i opuściłem równiny Missouri. Teoretycznie udawałem się na studia, ale tak naprawdę ciągnęły mnie niebezpieczeństwa i pokusy Kalifornii.

Zmieniałem skórę jak wąż. Wciąż pragnąłem czegoś nowego.

Nowość zawsze była dla mnie jak narkotyk. Łaknąłem bezsenności i szaleństwa,

wypunktowanych długimi okresami samotności, zagadkami, nad którymi mógłbym łamać sobie głowę, złego towarzystwa i rozkosznego obrzydzenia, towarzyszącego odkrywaniu rzeczy, które czyhały w pokładach ludzkiego umysłu. Przyspieszone bicie serca było dla mnie oznaką szczęścia. Rozsadzająca pierś adrenalina sprawiała, że czułem się żywy.

Kiedy życie zwalniało tempo na zbyt długo, stawałem się pusty.

Mogłem przed tym uciekać, skacząc ze spadochronem albo wspinając się na skały. Albo jeszcze gorzej.

Wiele lat temu poznałem detektywa z wydziału zabójstw i od tamtej pory wszystko się zmieniło.

Robin długo to wytrzymywała. Teraz jednak miała już dość i wiedziałem, że prędzej czy później będę musiał podjąć jakąś decyzję.

Kochała mnie. Wiedziałem, że mnie kocha.

Może dlatego mi to ułatwiała.

W Paryżu banał nikogo nie razi. Wychodzi się z hotelu na zimową mżawkę, spaceruje bez celu, póki nie trafi się do kawiarenki niedaleko Jardin des Tuileries, gdzie należy zamówić złodziejsko drogie bagietki i mocną prawdziwą francuską kawę. Potem trzeba pójść do Luwru, gdzie nawet poza sezonem kolejki wymagają wielkiej cierpliwości. Droga prowadzi przez Ponte Royal nad Sekwaną. Ignorując hałas silników, można przyrzeć się ciemnej wodzie w dole, odwiedzić Musee d'Orsay i mordować przez kilka godzin nogi, by obejrzeć owoce geniuszu. Potem, głębiej w brzydkich bocznych uliczkach Lewego Brzegu, wystarczy zmieszać się z tłumem czarnych twarzy i śmiać w duchu na myśl o akordeonie, nakładającym się na burczenie skuterów i skamlenie wszechobecnych renault.

To było wczesnym popołudniem, niedaleko jakiegoś sklepu na St. Germain.

Robin i ja zatrzymaliśmy się w wąskim, ciemnym sklepie z męską galanterią, z witryną pełną agresywnych krawatów i oklapłych manekinów z oczami kieszonkowców. Deszcz padał falami od samego rana. Wypożyczona w recepcji hotelu parasolka była za mała, żeby osłonić nas oboje, byliśmy więc przynajmniej w połowie mokrzy. Robin zdawało się to nie przeszkadzać. Na włosach miała kropelki wody, a na twarzy rumieńce. Nie mówiła wiele, odkąd wsiedliśmy w Los Angeles do samolotu; większość lotu przespalała, odmówiła posiłku. Rano późno wstaliśmy z łóżka i zamieniliśmy ze sobą tylko kilka słów. Podczas spaceru nad rzeką Robin wyglądała na nieobecną - patrzyła gdzieś w przestrzeń, na przemian ścisnęła i puszczała moją dłoń, jakby próbując coś ukryć. Składałem to wszystko na karb zmiany strefy czasowej.

Spacerując bulwarem St. Germain minęliśmy prywatną szkołę, z której akurat

wysypywała się gromada ślicznych, rozchichotanych nastolatek, a potem księgarnię.

Zamierzałem ją odwiedzić, ale Robin pociągnęła mnie do sklepu z odzieżą.

- Mają tu dobre rzeczy z jedwabiu, Alex. Przydałoby ci się kilka nowych.

To był sklep męski, ale pachniało w nim jak u kosmetyczki. Sprzedawczyni,

chuda istota o nastroszonych włosach koloru oberżyny i niepewnym spojrzeniu,

wyglądała na kogoś, kto pracuje tu od niedawna. Robin przez chwilę przebierała w

ubraniach, w końcu znalazła dla mnie jadowicie niebieską koszulę i ekstrawagancki

czerwono-złoty krawat. Kiedy kiwnąłem głową, kazała dziewczynie to zapakować.

Oberżynowa Fryzura zniknęła na zapleczu i wróciła z przysadzistą kobietą w swetrze,

około sześćdziesiątki, która zmierzyła mnie wzrokiem, zabrała koszulę i chwilę później

wróciła, w jednej ręce trzymając parujące żelazko, w drugiej koszulę - wyprasowaną,

zapiętą na wieszaku i zapakowaną w folię.

- To się nazywa obsługa - powiedziałem, kiedy wyszliśmy na ulicę. - Głodna?

- Nie, jeszcze nie.

- Nawet nie tknęłaś śniadania.

Wzruszyła ramionami.

Przysadzista kobieta stanęła w drzwiach i popatrzyła sceptycznie na niebo. Potem

spojrzała na zegarek. Kilka sekund później zahuczał piorun. Kobieta uśmiechnęła się do

nas z satysfakcją i wróciła do sklepu.

Deszcz był teraz gwałtowniejszy i zimniejszy. Próbowałem wciągnąć Robin pod

parasolkę, ale nie pozwoliła mi na to. Stała na ulewie, unosząc do góry twarz. Biegący

gdzieś pod daszek mężczyzna obejrzał się na nią przez ramię.

Znów wyciągnąłem rękę. Robin wciąż się opierała, oblizując krople z warg.

Uśmiechnęła się lekko, jakby coś ją rozbawiło. Przez chwilę myślałem, że powie mi, co.



**Zamiast tego jednak wskazała pobliską restaurację i pobięła do niej, nie czekając na mnie.**

**- Bonnie Raitt - powtórzyłem.**

**Siedzieliśmy przy małym stoliku, wciśniętym w kąt zatłoczonej restauracji.**

**Podłogę pokrywały grube białe płytki, na wielokrotnie malowanych, drewnianych ścianach wisiały przydymione lustra. Pograżony w klinicznej depresji kelner przyniósł sałatki i wino, zachowując się tak, jakby obsługa nas było dla niego ciężką karą.**

**Deszcz sypał po oknach, zamieniając całe miasto w galaretę.**

**- Bonnie - powiedziała. - Jackson Brown, Bruce Hornsby, Shawn Colvin, może inni.**

**- To trzymiesięczna trasa.**

**- Co najmniej trzymiesięczna - powiedziała, wciąż unikając mojego spojrzenia. -**

**Jeśli uda nam się wyjechać za granicę, wszystko potrwa dłużej.**

**- Walka z głodem na świecie - stwierdziłem. - Szlachetna sprawa.**

**- Walka z głodem i pomoc dla dzieci - powiedziała.**

**- Nic nie może być szlachetniejsze.**

**Odwróciła się do mnie. Patrzyła pewnie i zadziornie.**

**- A więc - powiedziałem - jesteś menedżerem sprzętu. Już nie robisz gitar?**

**- Lutnictwo też w to wchodzi. Będę nadzorować i naprawiać cały sprzęt.**

**“Będę”, a nie “miałabym”. Żadnego wahania.**

**- Kiedy dokładnie dostałaś tę propozycję? - spytałem.**

**- Dwa tygodnie temu.**

**- Rozumiem.**

**- Wiem, że powinnam coś powiedzieć. To nie... ta oferta spadła mi z nieba.**

**Pamiętasz, kiedy pracowałam w Gold Tone Studios i potrzebowali tych vintage'ów do teledysku w stylu Elvisa? Kiedy robili miksy, pogadałam z menedżerem trasy.**

**- Towarzyski facet.**

**- Towarzyska kobieta - powiedziała. - Miała ze sobą psa, sukę, angielskiego buldoga. Spike zaczął się z nią bawić, a my zaczęłyśmy rozmawiać.**

**- Zwierzęcy magnetyzm - powiedziałem. - Trasa jest przyjazna dla zwierząt, czy Spike może zostać ze mną?**

**- Chciałabym zabrać go ze sobą.**

**- Na pewno będzie skakał z radości. Kiedy wyjeżdżasz?**

**- Za tydzień.**

**- Za tydzień. - Zapiekły mnie oczy. - Masz sporo pakowania.**

**Uniosła widelec i poszturchała nim martwą sałatę na talerzu.**

**- Mogę to odwołać...**

**- Nie - powiedziałem.**

**- Nawet bym się nie zastanawiała, Alex, tu nie chodzi o pieniądze...**

**- A to dobre pieniądze?**

**Wymieniła sumę.**

**- Bardzo dobre - stwierdziłem.**

**- Słuchaj, co mówię, Alex: to nie ma znaczenia. Jeśli miałbyś mnie przez to znienawidzić, wszystko odkręcę.**

**- Nie znienawidzę cię, a ty nie chcesz nic odkręcać. Może przyjęłaś tę ofertę, bo byłaś przeze mnie nieszczęśliwa, ale teraz, kiedy się zdecydowałaś, widzisz w niej same pozytywne strony.**

**Chciałem awantury, ale Robin nie odpowiedziała. W restauracji robiło się coraz**

**ciaśniej. Przemoczeni paryżanie chowali się przed ulewą.**

**- Dwa tygodnie temu - powiedziałem - biegałem z Milem w sprawie morderstwa Lauren Teague. Ukrywałem przed tobą to, co robiłem. Byłem głupi myśląc, że ta wycieczka cokolwiek zmieni.**

**Robin nadal dźgała widelcem sałatę. Sala zrobiła się duszna i ciasna; przy stolikach tłoczyli się skrzywieni ludzie, inni kulili się w drzwiach. Kelner ruszył w naszą stronę, ale Robin przegnała go spojrzeniem.**

**- Czulałam się taka samotna - powiedziała. - Przez jakiś czas. Ciągle cię nie było. Angażowałeś się w różne sprawy. Nie wspominałam o trasie, bo wiedziałam, że nie możesz - nie powinieneś się martwić.**

**Potarła małą pięścią krawędź stołu.**

**- Chyba zawsze czulałam, że to, co robisz, to coś ważnego, a to, co ja... to tylko zawód. - Zacząłem coś mówić, ale przerwała mi ruchem głowy. - Ale ostatnio, Alex... Spotkałeś się z tą kobietą, uwiodłeś ją, zaplanowałeś randkę, żeby... miałeś dobre intencje, ale to i tak było uwodzenie. Potraktowałeś siebie jak...**

**- Dziwkę? - dokończyłem. Nagle pomyślałem o Lauren Teague. Dziewczynie, którą znałem od dawna, z czasów, kiedy zajmowałem się jeszcze siedzącą pracą. Sprzedawała swoje ciało, skończyła z kulą w głowie, porzucona w zaułku...**

**- Chciałam powiedzieć: przynętę. Mimo tego wszystkiego, co nas łączyło, tego niby partnerskiego związku, zajmujesz się swoimi sprawami... Alex, stworzyłeś sobie drugie życie, w którym dla mnie nie było miejsca. I nie chcę, żeby się znalazło.**

**Sięgnęła po kieliszek wina, upiła łyk i skrzywiła się.**

**- Słaby rocznik?**

**- Dobry. Przepraszam, kochanie, to wszystko chyba sprowadza się do zgrania w**

czasie. Dostałam ofertę dokładnie wtedy, kiedy czułam się podle. - Złapała mnie za rękę i mocno ścisnęła. - Kochasz mnie, ale mnie zostawiłeś, Alex. Zdałam sobie wtedy sprawę, że od dawna byłam samotna. Oboje byliśmy. Różnica polega na tym, że ty lubisz być sam - podnieca cię samotność i niebezpieczeństwo. Więc kiedy zaczęłam rozmawiać z Trish, a ona powiedziała, że słyszała o mnie, o tym, co robię, nagle zrozumiałam, że mam reputację, że ktoś oferuje mi duże pieniądze i szansę dokonania czegoś samej, zgodziłam się. Od razu. A potem jechałam do domu i wpadłam w panikę, pomyślałam "Coś ty zrobiła, dziewczyno?" Wiedziałam, że będę musiała jednak odmówić i zastanawiałam się, jak to zrobić, żeby nie wyjść na idiotkę. Ale dojechałam do domu i nikogo w nim nie było, i nagle już nie chciałam odmawiać. Poszłam do studia i płakałam. Wtedy mogłam jeszcze zmienić zdanie. Pewnie bym to zrobiła. Ale ty umówiłeś się na randkę z tą dziwką i... i wszystko nagle wydało mi się w porządku. I dalej tak jest.

Spojrzała w zalane deszczem okno.

- Jakie to piękne miasto. Nie chcę go już nigdy więcej oglądać.

Pogoda nie poprawiła się i nie wychodziliśmy z pokoju. Przebywanie ze sobą było męczarnią: tłumione łzy, znaczące milczenie, gładkie rozmówki i tłukący o szyby deszcz.

Kiedy Robin zaproponowała wcześniejszy powrót do Los Angeles powiedziałem, że przebukuję jej bilet, ale sam jeszcze zostanę. To ją dotknęło, ale też przyniosło ulgę.

Następnego dnia, kiedy przyjechała taksówka, którą miała pojechać na lotnisko, zniosłem jej torby, pomogłem wsiąść do samochodu i zapłaciłem taksówkarzowi z góry.

- Jak długo zostaniesz? - spytała.

- Nie wiem. - Bolały mnie zęby.

- Wrócisz, zanim wyjadę?

- Pewnie.

**- Proszę, wróć.**

**- Wróćę.**

**Potem pocałunek, uśmiech i skrywane drżenie rąk.**

**Kiedy taksówka ruszyła, spróbowałem dojrzeć Robin - czy drży, czy opuściła głowę, jakkolwiek znak żalu, niepewności.**

**Nic nie zauważyłem.**

**Wszystko działo się za szybko.**

Przełom nastąpił w niedzielę, kiedy pod dom przyjechała duża furgonetka, a w niej dwóch gości w koszulkach "Zabić głód" i młody, uśmiechnięty facet z kucykiem, któremu miałem ochotę dać po mordzie. Kucyk miał mleczne chrupki dla Spike'a, piąteczkę dla mnie. Spike jadł mu z ręki. Skąd ten drań wiedział, co ze sobą przywieźć?

- Cześć, jestem Sheridan - powiedział. - Koordynator trasy.

Miał na sobie białą koszulę, niebieskie dżinsy i brązowe, wysokie buty. Był szczupły, z jasną gładką twarzą, tryskającą optymizmem.

- Myślałem, że to Trish jest koordynatorem.

- Trish jest głównym menedżerem trasy. To moja szefowa. - Zerknął na dom. -

Pewnie fajnie się tu mieszka.

- Aha.

- Jesteś psychologiem.

- Aha.

- Studiowałem psychologię. Dokładnie psychoakustykę na UC Davis. Byłem inżynierem dźwięku.

Jak miło.

- Hmm.

- Robin bierze udział w czymś ważnym.

- Hej - powiedziałem.

Robin zeszła frontowymi schodami, prowadząc Spike'a na smyczy. Miała na sobie różową bawełnianą koszulkę, sprane dżinsy i tenisówki. W uszy wpięła kolczyki z dużymi obręczami. Zaczęła kierować facetami, którzy ładowali na furgonetkę jej walizki

**i skrzyńki. Spike wyglądał, jakby się naćpał. Jak większość psów ma dobrze ustawiony emocjonalny barometr i przez kilka ostatnich dni był podejrzanie posłuszny.**

**Podszedłem i poklepałem go po łbie. Pocałowałem Robin.**

**- Baw się dobrze - wyrecytowałem, odwróciłem się i wbiegłem po schodach do domu.**

**Stała obok Sheridana i machała mi.**

**Zatrzymałem się w drzwiach. Najpierw udawałem, że tego nie widzę, potem postanowiłem też zamachać.**

**Sheridan usiadł za kierownicą, pozostali upchali się za nim.**

**Odjechali.**

**Wreszcie.**

**A teraz będzie trudniejsza część.**

**Na początku mocno postanowiłem zachować godność. Wytrzymałem około godziny. Potem wyłączyłem na trzy dni telefon, nie sprawdzałem poczty głosowej, nie odsłaniałem okien, nie golilem się ani nie odbierałem poczty. Czytałem gazety, ponieważ wiadomości z kraju i ze świata emanują beznadzieją. Nie udało mi się jednak rozweselić nieszczęściami innych ludzi - słowa skakały mi przed oczami, nieczytelne niczym starożytne hieroglify. Mało jadłem, zresztą i tak nie czulem smaku. Nie mam problemów z piciem, ale chivaska została moją przyjaciółką. Swoje żniwo zebrało odwodnienie: wyschły mi włosy, oczy zaropiały, a stawy rąk i nóg zrobiły się sztywne. Dom, zawsze za duży, nabral monstrualnych rozmiarów. Powietrze stęchło.**

**W środę zszedłem nad oczko wodne i nakarmiłem koi, bo niby dlaczego miały cierpieć razem ze mną? Potem wpadłem w szal sprzątanania - odkurzałem, wycierałem i ustawiałem. W czwartek odsłuchałem wreszcie wiadomości. Robin dzwoniła codziennie,**

**zostawiając numery telefonów w Santa Barbara i Oakland. Do wtorku zrobiła się niespokojna, w środę była zmieszana, zirytowana i mówiła szybko: autobus jechał do Portland. Wszystko było w porządku, Spike czuje się dobrze, ciężko pracuje, ludzie są wspaniali. Kocham cię mam nadzieję że wszystko dobrze.**

**W czwartek zadzwoniła dwa razy, zastanawiając się głośno, czy gdzieś nie wyjechałem. Zostawiła numer komórki.**

**Wystukałem go. Usłyszałem “połączenie nie może być zrealizowane”.**

**Po pierwszej założyłem krótkie spodnie, koszulkę i adidasy i zacząłem dreptać wzdłuż Beverly Glen. Kiedy się rozluźniłem, wpadłem w równy rytm, w końcu biegłem szybciej i gwałtowniej, tak jak nie robiłem od lat.**

**Kiedy wróciłem do domu, paliło mnie całe ciało i nie mogłem złapać tchu.**

**Skrzynka pocztowa, stojąca przy prowadzącej do furtki ścieżce, była zapchana papierami; kilka paczek listonosz zostawił na ziemi. Pozbierałem to wszystko, wysypałem na stół w jadalni, pomyślałem o szkockiej, ale zamiast tego wypilem dwa litry wody i zacząłem sortować pocztę.**

**Rachunki, reklamy, nagabywania agentów sprzedaży nieruchomości, kilka ciekawych spraw, dużo wątpliwych. W paczkach był podręcznik psychologii, który zamówiłem jakiś czas temu, darmowa próbka pasty do zębów, która miała uzdrowić moje dziąsła i nakarmić mój uśmiech, oraz prostokątny pakiet dwadzieścia na trzydzieści centymetrów, owinięty w niebieski papier, z moim nazwiskiem i adresem, wypisanymi na białej naklejce.**

**Bez adresu zwrotnego. Stempel poczty w centrum. Niebieski papier, tak gruby, że w dotyku przypominał materiał, został równo pozaginany i posklejany na brzegach taśmą klejącą. Przeciąwszy go, zobaczyłem kolejną warstwę opakowania - różowy,**



**rzeźnicki papier, który zerwałem.**

**W środku znajdował się kolonotatnik. Niebieski, oprawny w ziarnistą skórę, gdzieś wytarty, wyświechtany od dotyku palców.**

**Na okładce widniały przyklejone złote litery.**

**ALBUM MORDERSTW**

**Otworzyłem go i zobaczyłem puste, czarne wnętrze okładki. Następna strona była również czarna i wsunięta w sztywną, foliową koszulkę.**

**Ale nie pusta. Czarnymi, samoprzylepnymi narożnikami przyklejono do niej fotografię: utrzymaną w kolorach sepii, wyblakłą, o marginesach barwy kawy, do której ktoś nalał za dużo śmietanki.**

**Zdjęcie przedstawiało leżące na metalowym stole zwłoki mężczyzny. W tle widać było przeszklone szafki.**

**Obie stopy mężczyzny zostały odcięte w kostkach. Leżały tuż pod poszarpanymi kikutami piszczeli, jak fragmenty niedokończonej układanki. Trup nie miał lewej ręki, prawa była bezkształtną miazgą. Tak samo tors powyżej piersi. Głowę owinięto w kawałek materiału.**

**Na dolnym marginesie widniał wystukany na maszynie podpis:**

***Wschodnie Los Angeles, Alameda Boulevard. Wepchnięty pod pociąg przez konkubinę.***

**Na następnej stronie umieszczono podobne zdjęcie: dwa trupy - mężczyźni z szeroko otwartymi ustami, leżący na drewnianej podłodze pod kątem czterdziestu stopni względem siebie. Spod ciał wypływały ciemne kałuże ciemnobrązowej krwi. Obaj mieli luźne spodnie z obszernymi nogawkami, kraciaste koszule i sznurowane robocze buty.**

**W podeszwach tego po lewej widniały ekstrawaganckie otwory. Niedaleko łokcia**

drugiego w kałuży przezroczystego płynu leżała przewrócona szklanka.

*Hollywood, Vermont Avenue. Obaj zastrzeleni przez "przyjaciela" podczas kłótni o pieniądze.*

Następne zdjęcie wyglądało nie tak staro - czarno-biała fotka na błyszczącym papierze, zbliżenie pary w samochodzie. Kobieta leżała rozciągnięta na piersi mężczyzny, jej twarz skrywała burza platynowych włosów. Sukienka w grochy, krótkie rękawki, miękkie ramiona. Głowa jej towarzysza opierała się na zagłówku, martwe oczy wpatrzone były w lampkę na suficie. Z ust ciekł mu strumyk czarnej krwi, rozdzielający się na kilka strużek na klapach marynarki i krawacie. Wąski krawat, ciemny, w kostki do gry. To i szerokość klap marynarki wskazywały na lata pięćdziesiąte.

*Silverlake, w pobliżu zapory, kochankowie, on zastrzelił ją, potem włożył sobie pistolet do ust.*

Strona czwarta: blade, nagie ciało na wymiętej pościeli. Cienki materac zajmował większą część podłogi ciemnego zdemolowanego pokoiku. Przy stopach ciała leżała podarta bielizna. Młoda twarz, stężała po śmierci, sińce na goleniach, ciemna plama krocza między szeroko rozrzuconymi nogami. Rajstopy ściągnięte do pół łydki. Od razu poznałem pozycję seksualną, więc podpis nie był dla mnie zaskoczeniem.

*Wilshire, Kenmore Street, gwałt i morderstwo. Siedemnastoletnia Meksykanka, uduszona przez swojego chłopaka.*

Strona piąta:

*Central,*

*Pico niedaleko*

*Grand,*

*osiemdziesięciodziewięcioletnia*

*kobieta*

*przechodząca przez ulicę. Próba wyrwania torebki skończyła się zabójstwem, uraz głowy.*

Strona szósta:

*Southwest, Slauson Avenue. Czarny hazardzista pobity na śmierć przy grze na drobniaki.*

Pierwsze kolorowe zdjęcie znajdowało się na stronie dziesiątej: czerwona krew na piaskowym linoleum, szarozielona twarz trupa. Gruby mężczyzna w średnim wieku, siedzący bezwładnie w stosach paczek papierosów i batoników, błękitna koszula wysmarowana purpurą. Obok lewej dłoni krótki kij baseballowy z rzemienną pętlą przy rękojeści.

*Wilshire, Washington Boulevard, niedaleko La Brea, właściciel sklepu monopolowego zastrzelony podczas napadu. Próbował się bronić.*

Zacząłem szybciej przerzucać strony.

*Venice, Ozone Avenue, artystka zaatakowana przez psa sąsiada. Trzy lata kłótni.*

*...Napad na bank, Jefferson i Figueroa. Kasjerka stawiała opór, sześć ran postrzałowych.*

*...Rozbój na ulicy, róg Broadwayu i Piątej. Kula w głowę. Podejrzany nie uciekł, zatrzymany podczas przeszukiwania kieszeni ofiary.*

*Echo Park, kobieta zadżgana przez męża w kuchni. Niesmaczna zupa.*

Strona po stronie, artyzm okrucieństwa i proza życia.

Dlaczego ktoś mi to przysłał?

Przejrzałem resztę albumu, nie przyglądając się zdjęciom, szukając jakiejś osobistej wiadomości.

Znalazłem tylko bezwładne zwłoki obcych ludzi.

**Razem czterdzieści trzy śmierci.**

**Na samym końcu czarna strona z naklejonymi, złotymi literami:**

**KONIEC**

Ze swoim najlepszym przyjacielem nie rozmawiałem od jakiegoś czasu i było mi z tym zupełnie dobrze.

Po złożeniu przed prokuratorem okręgowym oświadczenia w sprawie zabójstwa Lauren Teague miałem dość wymiaru sprawiedliwości i uznałem, że nie będę się do niczego mieszał aż do procesu. Bogaty oskarżony i szwadron opłaconych świadków oznaczał, że potrwa to raczej kilka lat niż miesięcy. Milo wciąż zmagał się ze szczegółami, więc miałem dobry powód, żeby trzymać się od niego z daleka: facet tonie w robocie, nie będę zawracał mu głowy.

Prawdziwym powodem było jednak to, że nie miałem ochoty z nim rozmawiać; z nim ani z nikim innym. Całe lata wychwalałem zalety uzewnętrzniania swoich uczuć, ale moim własnym sposobem na życie już od dzieciństwa była izolacja. Przekonałem się do niej wcześniej, siedząc ze skrzyżowanymi w supel wnętrznościami w piwnicy, zakrywając rękami uszy i nucąc *Yankee Doodle*, żeby nie słyszeć dochodzących z góry loskotów ojcowskiego gniewu.

Kiedy robiło się niewesoło, chowałem się jak ślimak w szarej muszli odosobnienia.

Teraz miałem przed sobą leżące na stole w jadalni czterdzieści trzy zdjęcia trupów. A Milo żył śmiercią.

Zadzwoń do pokoju detektywów zachodniego Los Angeles.

- Sturgis.

- Delaware.

- Cześć, Alex. Co tam?

- Mam coś, co powinieneś obejrzeć. Album ze zdjęciami, które wyglądają jak fotki z miejsc zbrodni.
  - Zdjęcia czy kopie?
  - Zdjęcia.
  - Ile?
  - Czterdzieści trzy.
  - No proszę, policzyłeś - powiedział. - Czterdzieści trzy z tej samej sprawy?
  - Czterdzieści trzy różne sprawy. Wyglądają, jakby ułożono je chronologicznie.
  - Skąd je masz?
  - Dzięki uprzejmości poczty Stanów Zjednoczonych. Polecony, z centrum.
  - Nie wiesz, kto mógł ci je przysłać?
  - Pewnie mam cichego wielbiciela.
  - Zdjęcia z miejsc przestępstwa - powiedział.
  - Albo ktoś miał paskudne wakacje i postanowił założyć pamiątkowy album. - W słuchawce pstryknął sygnał czekającego połączenia. Zazwyczaj ignoruję je, ale to mogła być Robin z Portland. - Poczekaj chwilę.
- Klik.**
- Dzieeeń dobry, panu - powiedział radosny, damski głos. - Czy jest pan osobą, która płaci w domu rachunki za telefon?
  - Nie, jestem erotyczną zabawką - odparłem i przełączyłem się z powrotem.
- Usłyszałem sygnał. Może Milo miał ważny telefon. Wystukałem numer jego biura, dodzwoniłem się do recepcjonistki, ale nie chciałem zostawiać wiadomości.
- Dzwonek u drzwi zabrzmiał dwadzieścia minut później. Nie przebrałem się, nie zrobiłem kawy ani nie sprawdziłem lodówki - pierwszego miejsca, do którego kieruje się

**zawsze Milo. Oglądanie ofiar brutalnych morderstw z reguły odbiera ludziom apetyt, ale on zajmuje się tym od dawna i ma zupełnie inne podejście do jedzenia.**

**Otworzyłem drzwi.**

**- Szybki jesteś - powiedziałem.**

**- I tak była pora na obiad. - Minał mnie i podszedł do rozłożonego na stole**

**niebieskiego albumu, nie wziął go jednak do ręki. Stał tylko, z kciukami założonymi za szlufki spodni, a jego wielki brzuch podnosił się i opadał ciężko po wysiłku, jakim było wbiegnięcie na taras.**

**Zielone oczy oderwały się od albumu i spoczęły na mnie.**

**- Jesteś chory, czy co?**

**Pokręciłem głową.**

**- Więc co to jest? Nowy image? - Gruby jak parówka palec wskazał moją zarośniętą brodę.**

**- Zastosowałem luźny system golenia - odparłem.**

**Milo pociągnął nosem, rozejrzał się po pokoju.**

**- Nikt nie żuje mi mankietów. El Pieso wyszedł z Robin?**

**- Nie.**

**- Ale ona jest, prawda? - spytał. - Przed domem stoi jej furgonetka.**

**- Zawsze musisz być detektywem. - Westchnąłem. - Niestety, to fałszywy trop. Nie**

**ma jej. - Wskazałem album. - Przejrzyj to, a ja zobaczę, co mam w spiżarni. Jeśli znajde coś, co jeszcze nie skamieniało, zrobię ci kanapkę...**

**- Nie, dzięki.**

**- Coś do picia?**

**- Nie. - Nawet nie drgnął.**

**- O co chodzi? - spytałem.**

**- Jak by to delikatnie ująć... Spróbuję: wyglądasz jak gówno, śmierdzi tu jak w domu starców, samochód Robin stoi przed domem, ale jej nie ma, a kiedy o niej wspominał, spuszczaś wzrok jak podejrzany. Co się, do cholery, dzieje?**

**- Wyglądam jak gówno?**

**- To eufemizm.**

**- No, dobrze - stwierdziłem. - Lepiej odwołałem sesję zdjęciową do Stylowych Ludzi. A skoro mowa o zdjęciach... - Podąłem mu album.**

**- Zmieniaś temat - powiedział, patrząc na mnie czujnie z wysokości swojego metra dziewięćdziesięciu. - Jak to nazywają psychologowie?**

**- Zmianianiem tematu.**

**Pokręcił łagodnie głową i skrzyżował ręce na piersi. Mimo napięcia, widocznego wokół oczu i w kącikach ust, wyglądał na wypoczętego. Błada, dziobata twarz odrobinę szczuplejsza niż zazwyczaj, piwne brzuszysko, całe lata świetlne od płaskiego brzucha, ale zdecydowanie mniej wiszące.**

**Dieta?**

**Dziwnie dobrał kolory ubrania: tani, ale czysty granatowy blezer, bawełniane spodnie khaki, biała koszula z troszkę tylko wytartym kołnierzykiem, do tego granatowy krawat i nowiutkie beżowe buty na lososiowych gumowych podszwach, które skrzypiały za każdym razem, kiedy przenosił ciężar ciała z nogi na nogę. Świeżo ostrzyżony. Typowy styl - włosy postrzępione z boków i z tyłu, na górze po lewej dłuższe i potargane, na czubku sterczące. Na dziobate czoło zwisał zakręcony loczek. Skronie - aż do końca za długich baków - były całkowicie siwe, co z całą czarną resztą dawało ciekawy efekt. Milo mówił o sobie Pan Skunks.**



**- Odstawiony i prosto od fryzjera - powiedziałem. - Jakiś nowy Milo? Mam cię nie karmić? Tak czy inaczej, bierz ten cholerny album.**

**- Robin...**

**- Później. - Szturchnąłem go albumem.**

**Nie wziął go.**

**- Połóż to na stole - powiedział. Wyjął parę chirurgicznych rękawiczek i osłonił dłonie lateksem. Przyjrzał się okładce z niebieskiej skóry, otworzył album, spojrzął na stronę tytułową i przeszedł do pierwszego zdjęcia.**

**- Stare - mruknął. - Sepia i te ubrania. Przypuszczalnie czyjeś makabryczne pamiątki ze strychu.**

**- Czy to policyjne fotki?**

**- Prawdopodobnie.**

**- Jakaś domowa kolekcja wyniesiona z archiwum?**

**- Akta sprawy trafiają na półkę. Jeśli kogoś zaświerzbią palce, nikt nie zauważy, że jedno zdjęcie zniknęło z teczki.**

**- Glina?**

**- Glina albo cywil trupojad. Sporo ludzi ma dostęp do archiwum. Niektórzy lubią tę pracę, bo ciągnie ich do krwi.**

**- Album morderstw - powiedziałem. - Nazywa się tak samo, jak oficjalne akta sprawy.**

**- Kolor też ma ten sam. Ten, kto ci to wysłał, zna procedurę.**

**- Skoro już mowa o procedurze... Dlaczego wysłał to mnie?**

**Milo nie odpowiedział.**

**- Nie wszystkie są stare - powiedziałem. - Jedź dalej.**

Obejrzał kilka następnych zdjęć, wrócił do pierwszego, a potem do miejsca, w którym przerwał oglądanie. Przyspieszył, przeskakując obrazy grozy, tak samo jak ja. Potem zatrzymał się i przyjrzał uważnie zdjęciu na końcu albumu. Masywne dłonie zacisnęły się mocno na jego okładce.

- Kiedy dokładnie to dostałeś?

- Z dzisiejszą pocztą.

Sięgnął po opakowanie, spojrzął na adres i sprawdził stempel.

- Co jest grane? - spytałem.

Położył album na stole, otwarty na stronie, która przykuła jego uwagę. Usiadł, opierając dłonie po obu stronach kolonotatnika. Zacisnął szczęki, potem się zaśmiał. Takim dźwiękiem drapieżnik mógłby paraliżować swoje ofiary.

Zdjęcie numer 40.

Ciało w przydrożnym rowie. Kałuże brudnej wody. Rdzawa krew na beżowym piachu. Po prawej stronie pęk suchych chwastów. Białe strzałki wskazywały na ofiarę, ale ofiara była oczywista.

Młoda kobieta, może nastolatka. Bardzo chuda - zapadnięty brzuch, wystające żebra, kruche barki, patykowate ramiona i nogi. Brzuch i szyja poznaczone ranami kłutymi i ciętymi, a także dziwnymi, czarnymi kropkami. Obu piersi nie było - zamiast nich widniały purpurowawe kręgi o nieregularnych krawędziach. Twarz o ostrych rysach ukazana z profilu, zwrócona w prawo. Nad czołem, tam gdzie powinny być włosy, unosiła się rubinowa chmura.

Na obu kostkach i nadgarstkach widać było purpurowe ślady otarć. Na obu nogach czerniało jeszcze więcej czarnych kropek, otoczonych różowymi aureolkami - ślady przypalania papierosem.

**Długie, białe nogi podciągnięte w parodii seksualnego zaproszenia.**

**Za pierwszym razem nie przyjrzałem się uważnie tej fotografii.**

***Central, Beaudry Avenue, ciało porzucone przy wjeździe na autostradę 101.***

***Morderstwo na tle seksualnym, ofiara oskalpowana, uduszona, pocięta i poparzona. NR.***

**- “NR” - powiedziałem. - nierozwiązana?**

**- Oprócz tego albumu i opakowania - spytał Milo - nie było nic więcej? Żadnego listu?**

**- Nie. Tylko to.**

**Jeszcze raz obejrzał najpierw niebieski, potem różowy papier. Wrócił do pokaleczonej dziewczyny. Siedział długą chwilę bez ruchu, aż w końcu zdjął rękawiczkę z jednej dłoni i otarł twarz, jakby mył ją na sucho. Stary nawyk, nerwy. Czasami pozwala mi wczuć się w swój nastrój, czasami zupełnie go nie rozumiem.**

**Powtórzył ten gest. Ścisnął nasadę nosa. Znów potarł twarz. Skrzywił usta i jeszcze przez chwilę patrzył na zdjęcie.**

**- Proszę, proszę - powiedział.**

**A kilka chwil później:**

**- Tak, tak mi się wydaje. nierozwiązana.**

**- Przy żadnym innym zdjęciu nie było liter “NR” - zauważyłem.**

**Milczał.**

**- Czy to znaczy, że mamy zająć się właśnie tym?**

**Bez odpowiedzi.**

**- Kim była? - spytałem.**

**Wargi Mila rozluźniły się. Spojrzał na mnie i wyszczerzył zęby. Nie w uśmiechu, o nie. Przypominał niedźwiedzia, który zwęszył darmowe żarcie.**

**Podniósł album. Książka drżała. Nigdy nie zauważyłem, żeby trzęsły mu się ręce.**

**Znów zaśmiał się jakoś przerażająco i położył notatnik na stole. Równoległe do krawędzi. Wstał i przeszedł do salonu. Stał przed kominkiem, wziął pogrzebacz i lekko postukał w granitowe palenisko.**

**Przyjrzałem się dokładnie zmasakrowanej dziewczynie.**

**Milo potrząsnął gwałtownie głową.**

**- Po co chcesz się tym zajmować?**

**- A ty?**

**- Ja już jestem skażony.**

**Ja też.**

**- Kim ona była, Milo?**

**Odłożył pogrzebacz. Zaczął chodzić po pokoju.**

**- Kim była? - powiedział. - Kimś, kto zamienił się w nic.**

Pierwsze siedem zabójstw nie było tak straszne, jak myślał.

Właściwie zupełnie niestraszne, w porównaniu z tym, co widział w Wietnamie.

Został przydzielony do wydziału centralnego, niedaleko - geograficznie i

kulturowo - od Rampart, gdzie przez rok służył w mundurowym patrolu, a potem przez osiem miesięcy w Newton Bunco.

Udało mu się wykręcić od pierwszego przydziału w Newton - obyczajówki. To dopiero byłoby obrzydliwe. Cha, cha, cha. Ciekawe, dlaczego nikt się nie śmieje.

Miał dwadzieścia siedem lat, toczył już swoją beznadziejną walkę, był nowy w wydziale zabójstw i nie wiedział, czy się do niego nadaje. Ani czy w ogóle nadaje się do policji. Ale wtedy, po południowo-wschodniej Azji, co innego mu pozostawało?

Świeżo mianowany detektyw pierwszego stopnia, usiłujący strzec swojego sekretu, chociaż wiedział, że wkrótce zaczną krążyć plotki.

Nikt nie mówił tego wprost, ale przecież miał uszy.

Jest w nim coś dziwnego - jakby uważał, że jest lepszy od innych.

Pije, ale nie rozmawia.

Nie pieprzy głupot.

Przyszedł na wieczór kawalerski Hanka Swagle'a, ale jak przyprowadzili panienkę i zaczęło się pieprzenie, gdzie, kurwa, był?

Darmowe ssanko, a on znika.

Nie ugania się za cipkami, proste.

Dziwne.

Wyniki testów, liczba rozwiązanych spraw i upór pozwoliły mu się dostać do

centralnego wydziału zabójstw, gdzie przydzielono go chudemu jak szczapa, czterdziestośmioletniemu detektywowi drugiego stopnia Pierce'owi Schwinnowi, który wyglądał na sześćdziesiątkę i uważał się za filozofa. Pracowali głównie w nocy, ponieważ Schwinn odżywał w ciemnościach - od jasnego światła bolała go głowa i narzekał na chroniczną bezsenność. Nie kryła się za tym żadna tajemnica - facet łykał środki na nadciśnienie jak cukierki na gardło i w ciągu jednej zmiany wypijał tuzin kaw. Schwinn uwielbiał jeździć po mieście. Spędzał bardzo mało czasu za biurkiem, co było przyjemną odmianą po nieustannym siedzeniu, którego Milo doświadczył w Bunco. Złą stroną sytuacji był fakt, że Schwinn nie miał cierpliwości do papierkowej roboty i nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł ją zwalić na głowę młodszemu partnerowi. Milo całymi dniami robił za sekretarkę, doszedł jednak do wniosku, że najlepiej trzymać gębę na kłódkę i słuchać - Schwinn znał się na robocie i na pewno można się było od niego sporo nauczyć. W samochodzie starszy detektyw był na przemian małomówny i rozgadany. Kiedy mówił, wpadał w kaznodziejski ton - zawsze coś podkreślał, zawsze dochodził do jakiegoś wniosku. Przypominał Milowi jednego z profesorów z uniwersytetu w Indianie, Herberta Milrada, specjalisty od Byrona, żyjącego z odziedziczonej fortuny. To samo mówienie przez zaciśnięte zęby, sylwetka gruszki, gwałtowne zmiany nastroju. Milrad rozgryzł Mila w połowie pierwszego semestru i próbował to wykorzystać. Milo, wciąż daleki od pewności co do własnej seksualności, grzecznie odmówił. Poza tym uważał, że Milrad jest obrzydliwy fizycznie. Wielkie Odrzucenie to paskudna rzecz. Milo wiedział, że Milrad będzie go dręczył. Był skończony na uczelni, mógł zapomnieć o doktoracie. Obronił dyplom, wyciskając jak cytrynę biednego Walta Whitmana, ale dostał zaledwie dostateczny. I tak zresztą miał już wyżej uszu gówna, które uchodziło za analizę literatury. Opuścił

uniwersytet, odpowiedział na ogłoszenie w uczelnianym pośredniku i został strażnikiem w rezerwacie przyrody Muscatatuck, czekając na wezwanie do wojska. Pięć tygodni później dostał list.

Pod koniec roku był już sanitariuszem, brodził po polach ryżowych i przytulał głowy młodych chłopaków, patrząc, jak opuszczają ich dopiero co ukształtowane dusze. Zbierał rękami parujące wnętrzności - z tym było najgorzej, prześlizgiwały się między palcami jak surowa kielbasa. Kiedy wpadały do błotnistej wody, wokół rozlewały się plamy brązowiejącej krwi.

Udało mu się wrócić cało do domu. Odkrył, że nie jest w stanie znieść życia w cywilu, swoich rodziców i braci. Ruszył w drogę, spędził trochę czasu w San Francisco, dowiedział się kilku rzeczy o własnej seksualności. Potem doszedł do wniosku, że S.F. powoduje klaustrofobię i jest pełne hipokryzji. Kupił starego fiata i pojechał wzdłuż wybrzeża do L.A., gdzie został, ponieważ smog i brzydota działały na niego uspokajająco. Przez jakiś czas miał się różnych zajęć, potem uznał, że praca w policji może być interesująca i właściwie, dlaczego nie?

Trzy lata później siedział ze Schwinnem w nieoznakowanym samochodzie na parkingu Taco Tio przy Tempie Street. Jedli właśnie burritos z zielonym chili, kiedy dostali wezwanie. Schwinn tego dnia był w milczącym nastroju. Oczy skakały mu na boki, kiedy tak się obzerał bez widocznej przyjemności.

Milo porozmawiał przez chwilę z dyspozytorem i wywiedział się szczegółów.

- Lepiej się ruszmy - powiedział.

- Najpierw zjedzmy - odparł Schwinn. - Nikt tam nagle nie ożyje.

Zabójstwo numer 8.

Pierwszych siedem nie zrobiło na Milu wrażenia. Nie było też wątpliwości co do

**sprawców. Jak prawie we wszystkich sprawach w dzielnicy, ofiarami byli czarni albo Meksykanie, to samo dotyczyło przestępców. Kiedy na miejscu pojawiali się Milo i Schwinn, jedyne białe twarze w okolicy należały do mundurowych gliniarzy i policyjnych techników.**

**Czarno-brązowe sprawy oznaczały tragedie, które nigdy nie trafiały do gazet, oskarżenia kończące się ugodą, a jeśli oskarżonemu trafił się naprawdę głupi obrońca z urzędu, długi pobyt w areszcie hrabstwa, a potem szybki proces i maksymalna z przewidzianych kar.**

**Pierwsze dwa wezwania dotyczyły strzelaniny w barze. Sprawcy byli na tyle pijani, żeby dać się złapać mundurowym z dymiącą bronią w rękach i nie stawiając oporu.**

**Milo patrzył, jak Schwinn radzi sobie z tymi idiotami. Zaciekawilo go jego postępowanie; później zrozumiał, że to zwykła rutyna. Schwinn mamrotał niewyraźnie zatrzymanym prawa, jakie im przysługują, i tak go nie rozumieli - a potem na miejscu wyduszał z nich zeznania. Milo zapisywał wszystko w notatniku.**

**- Dobry chłopak - mówił na końcu Schwinn do podejrzanego, jakby dupek zdał jakiś test. A przez ramię do Mila: - Jak tam u ciebie z pisaniem na maszynie?**

**Potem wracali na komisariat. Milo siadał do maszyny, a Schwinn znikał.**

**Sprawy numer 3, 4 i 5 dotyczyły przemocy w rodzinie. Były niebezpieczne dla wezwanych gliniarzy z patrolu, ale ładnie przygotowane dla detektywów. Trzech zbyt impulsywnych mężów, dwa postrzały, jedno zadżganie. Rozmowa z rodziną i sąsiadami, odkrycie, gdzie chowają się sprawcy - najczęściej w okolicy - wezwanie wsparcia, wyluskanie chłopaków. Schwinn mamrocze prawa...**

**Numer 6 - dwuosobowy napad z bronią w ręku na jeden ze sklepów jubilerskich**



na Broadwayu - tanie srebrne łańcuszki i nieczyste diamenty w wymyślnych, dziesięciokaratowych pierścionkach. Napad był przygotowany, ale zabójstwo wynikało z przypadku - pistolet jednego z kretynów wypalił, kula trafiła prosto w czoło osiemnastoletniego syna sprzedawcy. Wielki, przystojny chłopak, Kyle Rodriguez, gwiazda drużyny futbolowej liceum El Monte odwiedził tatusia, żeby pochwalić się, że dostał stypendium sportowe na uniwersytecie stanowym w Arizonie.

Ta sprawa też wydawała się nudzić Schwinna, ale pokazał, co potrafi. W pewnym sensie. Kazał Milowi sprawdzić byłych pracowników, dziesięć do jednego, że w ten sposób dojdą do prawdy. Wysadził go pod komisariatem i pojechał do lekarza. Potem zadzwonił i wziął zwolnienie chorobowe do końca tygodnia. Milo biegał przez trzy dni, zebrał listę podejrzanych i drogą eliminacji doszedł do sprzątacza podejrzanego o kradzież i wyrzuconego ze sklepu miesiąc wcześniej. Faceta znalazł w hoteliku, w którym mieszkał ze swoim przyrodnim bratem, drugim z bandytów. Obaj zostali aresztowani. Wtedy pojawił się Pierce Schwinn, różowy i kwitnący.

- No tak, nie było innej możliwości. Skończyłeś raport?

Przez jakiś czas Milo wciąż miał przed oczami umięśnione, opalone ciało Kyle'a Rodrigueza, przewieszane bezwładnie przez gablotkę z biżuterią. Nie mógł spać przez kilka nocy. Nic filozoficznego ani teologicznego, po prostu ogólne spięcie. Widział już wielu młodych zdrowych chłopaków umierających w o wiele bardziej bolesny sposób niż Kyle i dawno przestał zastanawiać się nad sensem ich śmierci.

Bezsenne noce spędzał jeżdżąc fiatem tam i z powrotem po Sunset, od Zachodniej do La Cienega. W końcu skręcał na południe, w Santa Monica Bouleyard.

Jakby wcale nie o to mu chodziło od samego początku.

Bawił się ze sobą, jak człowiek na diecie krążący wokół kawałka ciasta.

**Nigdy nie miał specjalnej siły woli.**

**Przez trzy kolejne noce jeździł do Boystown. Kąpał się, golił i nacierał wodą kolońską, zakładał czystą białą koszulkę, zaprasowane po wojskowemu dżinsy i białe tenisówki. Żałował, że nie jest przystojniejszy i szczuplejszy, ale uznał, że wygląda nie najgorzej, jeśli zmruży oczy, wciągnie brzuch i trzyma nerwy na wodzy, pocierając twarz. Pierwszej nocy na Fairfax zobaczył tuż za sobą wóz szeryfa i wpadł w panikę.**

**Przestrzegając pilnie przepisów drogowych, wrócił do swojego gównianego mieszkanca na Alexandria, żeby pić piwo, oglądać marne filmy i bawić się własną wyobraźnią.**

**Drugiej nocy nie spotkał szeryfa, ale nie czuł się na siłach. Jeździł tylko do plaży i z powrotem, prawie zasnął za kierownicą.**

**Trzeciej znalazł sobie stół przy barze niedaleko Larabee. Pocił się jak cholera i wiedział, że jest jeszcze bardziej spięty, niż mu się zdaje, bo bolał go kark, a zęby zgrzytały, jakby miały się zaraz połamać. Tuż przed czwartą rano, zanim wzeszło okrutne dla jego cery słońce, poderwał faceta, młodego czarnego chłopaka w swoim wieku. Ładnie ubranego, wygadanego, studiującego w uniwersytecie w Los Angeles.**

**Obaj zachowywali się niezgrabnie w małej kawalerce chłopaka na Selma, na południe od Hollywood. Facet studiował, ale mieszkał wśród ćpunów i hipisów na wschód od Vine, bo nie stać go było na Westside. Uprzejma rozmówka, a potem...**

**Wszystko skończyło się w kilka sekund. Obaj wiedzieli, że nie będzie powtórki. Facet powiedział Milowi, że nazywa się Steve Jackson, ale kiedy poszedł do łazienki, Milo zauważył notes z inicjałami W.E.S. Na wewnętrznej stronie okładki znalazł naklejkę z adresem. Wesley E. Smith, adres na Selma.**

**Prywatność.**

**Smutna sprawa ten Kyle Rodriguez, ale kiedy przytrafiła się siódemka, Milo**

zdążył już dojsć do siebie.

Uliczna walka na noże, jeszcze raz dobra, stara Central Avenue. Cały chodnik we krwi, ale tylko jeden trup, krótko ostrzyżony Meksykanin koło trzydziestki, w roboczym ubraniu i tanich butach świeżego nielegalnego imigranta. Dwudziestu czterech świadków w pobliskiej *cantina* nie mówiło po angielsku i upierało przy całkowitej ślepcie. Detektywi jednak tym razem nawet nie musieli się starać. Sprawę rozwiązał mundurowy patrol, który zauważył sprawcę dziesięć przecznic dalej, krwawiącego obficie. Policjanci skuli go, wyjącego z bólu, zawiadomili Mila i Schwinna, a potem dopiero wezwali karetkę, która odtransportowała ludzki wrak do oddziału więziennego szpitala hrabstwa.

Kiedy detektywi tam dojechali, idiotę ładowano właśnie na stół; stracił tyle krwi, że jedną nogą był już na tamtym świecie. Przeżył, ale usunięto mu większą część okrężnicy; przyznał się do winy już na wózku i trafił z powrotem na oddział, gdzie miał zostać, aż ktoś wymyśli, co z nim zrobić.

A teraz jest ósemka. Schwinn dalej wsuwał *burrrito*.

W końcu otarł usta.

- Beaudry, przy samej autostradzie, co? Chcesz prowadzić? - Wysiadł i ruszył do drzwi pasażera, zanim Milo zdołał odpowiedzieć.

- Wszystko jedno - powiedział Milo, tylko po to, żeby usłyszeć własny głos.

Nawet nie siedząc za kółkiem, Schwinn musiał dopełnić rytuału przed ruszeniem.

Hałaśliwie odsunął fotel w tył i w przód. Sprawdził węzeł krawata w lusterku. Podrapał się w kąciaki bezwargich ust, żeby się upewnić, że nie został w nich czerwony osad po sosie.

Miał czterdzieści osiem lat, ale jego włosy były białe i cienkie, na czubku głowy

**mocno przerzedzone. Metr siedemdziesiąt pięć; Milo nie dawał mu więcej niż siedemdziesiąt kilo wagi, głównie ścięgien. Kanciasta szczęka, usta cienkie jak skaleczenie kartką papieru, głębokie zmarszczki na kościstej twarzy i wory pod inteligentnymi, podejrzliwymi oczami. Całość z daleka cuchnęła pustynnym zadupiem.**

**Schwinn urodził się w Tulsa i powiedział o tym od razu, kiedy się spotkali.**

**Przerwał i spojrzał młodemu detektywowi w oczy. Spodziewał się, że teraz Milo powie coś o własnym pochodzeniu.**

**Może czarny irlandzki pedał z Indiany?**

**- Jak w tej książce Steinbecka - powiedział na głos Milo.**

**- Aha - stwierdził Schwinn z rozczarowaniem. - *Grona gniewu*. Czytałeś?**

**- Jasne.**

**- A ja nie. - Zaczepny ton. - Po kiego chuja? Wszystko, co w niej jest, znam z opowieści taty. - Usta Schwinna wygięły się w marną imitację uśmiechu. - Nienawidzę książek. Nienawidzę telewizji i durnego radia.**

**Przerwał, jakby rzuciwszy rękawicę.**

**Milo nie odpowiedział.**

**Schwinn zmarszczył czoło.**

**- Sportu też nie znoszę, nie ma sensu!**

**- Pewnie, można z tym przesadzić.**

**- Duży jesteś. Grałeś w coś w college'u?**

**- W futbol w liceum - powiedział Milo.**

**- Za słaby na college?**

**- O wiele.**

**- Dużo czytasz?**

- Trochę - powiedział Milo. Dlaczego zabrzmiało to jak wyznanie?

- Ja też. - Schwinn złączył dłonie. Spojrzał oskarżycielsko na Mila. Nie zostawił mu wyboru.

- Nienawidzisz książek, ale czytasz.

- Pisma - powiedział tryumfalnie Schwinn. - Magazyny to jest to. Na przykład taki "Reader's Digest", masz tam wszystkie te pierdoły w pigułce, i nie musisz się golić, jak skończysz czytać. Albo na przykład "Smithsonian".

A to niespodzianka.

- "Smithsonian"?

- Nie znasz? - Schwinn wydawał się upajać swoją tajemnicą. - To muzeum w Waszyngtonie, wydają własne pismo. Moja żona prenumerowała to, a ja po prostu miałem ochotę skopać jej dupę - mało mamy papierzysk w domu. Ale to nie jest takie złe. Sporo tam różnych rzeczy. Jak dochodzę do ostatniej strony, czuję, że się czegoś nauczyłem, kapujesz?

- Jasne.

- A ty? - spytał Schwinn. - Podobno sporo się uczyłeś. - Zabrzmiało to jak oskarżenie. - Zrobiłeś dyplom, prawda?

Milo kiwnął głową.

- Gdzie?

- Na uniwerku w Indianie. Ale szkoła to nie to samo, co wykształcenie.

- Jasne, ale czasami akurat tak. Co studiowałeś?

- Anglistykę.

Schwinn zaśmiał się.

- Bóg mnie kocha, zesłał mi partnera, który umie pisać. Jeśli o mnie chodzi,

lykam wszystkie magazyny, a książki do spalenia. Lubię naukę. Czasami, jak jestem w kostnicy, przeglądam książki medyczne - o medycynie sądowej, psychologii, nawet antropologii, bo piszą w nich, co robić z kośćmi. - Pokiwał własnym kościstym palcem. - Powiem ci coś, chłopcze, któregoś dnia nauka będzie w naszej robocie najważniejsza. Któregoś dnia, żeby się tym zajmować, trzeba będzie być naukowcem. Przyjedzie taki na miejsce przestępstwa, poskrobie denata, wyjmie mały mikroskop i wypisze cały biochemiczny skład każdej zdziury, z którą zdechlak się zadawał przez ostatnie dziesięć lat.

- Dowody z badań? - powiedział Milo. - Sądzisz, że będzie aż tak dobrze?

- Jasne - stwierdził niecierpliwie Schwinn. - Na razie to bezużyteczna kupa gówna. Ale poczekamy, zobaczymy.

Jeździli po Central Avenue, pierwszy dzień jako partnerzy. Bez celu, myślał Milo.

Czekał, aż Schwinn pokaże mu znanych bandziorów, niebezpieczne miejsca, cokolwiek, ale tamten nie zwracał uwagi na otoczenie, cały czas tylko gadał. Później Milo odkrył, że Schwinn miał dużo do zaoferowania - solidną, detektywistyczną logikę i podstawowe rady ("noś ze sobą własny aparat fotograficzny, rękawiczki i proszek do zdejmowania odcisków palców. Myśl o sobie, nie polegaj na nikim!"). Ale wtedy, pierwszego dnia, jeżdżenie w kółko - właściwie wszystko - wydawało się bezsensowne.

- Badania - powiedział Schwinn. - Wszystko, co na razie możemy sprawdzić, to

grupy krwi: A, B, 0. Wielkie mi coś. Milion fiutów ma grupę O, prawie cała reszta A, i co z tego wynika? To i włosy, czasami zbierają włosy do małych foliowych torebek, ale nic z tym nie można zrobić, zawsze jakiś pierdolony prawniczyna udowodni, że włosy gównu znaczą. Nie, ja mówię o poważnej nauce, coś z atomami i tego typu rzeczy, tak jak datuje się skamieliny. Metoda datowania węgla. Któregoś dnia wszyscy będziemy

antropologami. Szkoda, że nie jesteś antropologiem... dobrze piszesz na maszynie?

Kilka kilometrów dalej Milo sam przyglądał się okolicy, badał twarze i miejsca.

- Angielski nic ci nie da, chłopcze - oznajmił Schwinn - bo nasi klienci nie mówić *mucho* angielski. Ani meksy, ani czarnuchy. Chyba, że ten ich bełkot nazywasz angielskim.

Milo nie odpowiadał.

- Pieprzę angielski - powiedział Schwinn. - Pierdolić angielski w dupę wibratorem na kwas solny. Przyszłość to nauka.

Dyspozytor mało im powiedział o wezwaniu na Beaudry. Martwa biała kobieta, znaleziona przez włóczęgę buszującego w krzakach przy wjeździe na autostradę.

Poprzedniej nocy padał deszcz. Podłoże, na którym leżały zwłoki, zamieniło się w paćkowatą glinę. W zagłębieniach wciąż stały kilkucentymetrowej głębokości kałuże.

Pomimo błota nie było żadnych śladów, ani opon, ani stóp. Śmieciarz okazał się czarnym starszym mężczyzną nazwiskiem Elmer Jacquette. Był wysoki, wychudzony i zgarbiony. Wykręcone Parkinsonem ręce trzęsły się, podkreślając podniecenie, z jakim opowiadał o znalezisku każdemu, kto chciał go słuchać.

- I patrzę, a tam ona, Panie Jezu...

Nikt już go nie słuchał. Mundurowi i ludzie koronera zajmowali się własnymi sprawami. Dookoła stało sporo gapiów, wymieniających stosowne uwagi. Beaudry była zakorkowana aż do Temple. Znużony policjant z drogówki kierował niedoszłych klientów autostrady na objazd.

Samochodów nie było dużo o dziewiątej wieczorem. Godziny szczytu dawno minęły. *Rigor mortis* też minął, podobnie jak początki rozkładu. Koroner ustalił czas, który upłynął od chwili śmierci, na pół do całego dnia, ale nie dało się stwierdzić, jak

długo ciało leżało w rowie ani w jakiej temperaturze je przechowywano. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że morderca podjechał tu wczoraj wieczorem po zmroku, ułożył ciało, wskoczył z powrotem na 101 i zadowolony z siebie wrócił do domu.

Żaden z przejeżdżających kierowców nie zauważył ciała, ponieważ kiedy człowiek się spieszy, nie ma powodu, by przyglądać się nasypom. Nie da się poznać miasta, nie chodząc po nim na piechotę. I dlatego tak mało ludzi zna L.A., pomyślał Milo. Mieszkał tu już dwa lata i wciąż czuł się obcy.

Elmer Jacquette bez przerwy chodził na piechotę, ponieważ nie miał samochodu.

Przemierzał miasto od swojej nory we wschodnim Hollywood do zachodnich krańców centrum, szukając puszek, butelek i odpadków, które zamieniał potem w punktach skupu na kupony żywnościowe. Raz udało mu się znaleźć dobry zegarek - złoto okazało się tylko pozłotą, ale i tak dostał za niego dziesięć dolarów w lombardzie przy South Vermont.

Ciało zauważył od razu - jak można było je przeoczyć, białe w świetle księżyca, i ten kwaśny zapach, i to, jak nogi biednej dziewczyny zostały wygięte i rozłożone - od razu mu się cofnęło, a po chwili zjedzona na kolację fasolka po bretońsku wróciła na wolność drogą, którą trafiła do żołądka.

Jacquette był na tyle przytomny, że odbiegł dobre pięć metrów od ciała, zanim wymiotował. Kiedy pojawili się mundurowi, pokazał im kupkę wymiocin, przepaszając. Nie chciał nikogo zdenerwować. Miał sześćdziesiąt osiem lat, nie siedział w więzieniu stanowym od piętnastu, nie chciał irytować policji, o nie.

Tak, pszešana, nie pszešana.

Przytrzymali go na miejscu, czekając na detektywów. Faceci w garniturach w końcu się pojawili. Ktoś wskazał na Jacquette'a przy jednym z radiowozów. Podeszli do



**niego, wchodząc w krąg jaskrawych światel, które gliniarze porozstawiali wszędzie.**

**Dwaj detektywi, chudy, siwy typ w starym szarym garniturze i ciemnowłosy, niezdrowo blady chłopak. Na widok jego zielonej marynarki, brązowych spodni i paskudnego, czerwono-brązowego krawata Elmer pomyślał, że gliniarze chyba zaczęli ubierać się w sklepach z tanią odzieżą.**

**Najpierw zatrzymali się przy ciele. Stary spojrzał tylko raz, zmarszczył nos i skrzywił się z rozdrażnieniem, jakby przerwano mu coś ważnego.**

**Gruby chłopak zachował się zupełnie inaczej. Ledwie zerknął na trupa i gwałtownie odwrócił głowę. Miał brzydką cerę, a teraz zbladł jak prześcieradło i zaczął pocierać twarz dłonią, tam i z powrotem.**

**Wyglądał, jakby sam miał zaraz puścić pawia.**

**Elmer zastanawiał się, jak długo chłopak służy w policji, czy widział już trupa.**

**Jeśli rzygnie, czy będzie na tyle sprytny, żeby odbiec?**

**Bo nie wyglądał na weterana.**

To było gorsze niż Azja.

Nawet okrutna wojna była bezosobowa - ludzkie pionki przesuwano po szachownicy, strzelali do cieni, wysadzali chaty, udając, że nikogo w nich nie ma i każdy dzień zaczynał się z nadzieją, że to nie ty będziesz zbitym pionkiem. Kiedy zredukują się kogoś do pojęcia wroga, można odstrzelić mu nogi, rozplatać brzuch i spalić dzieci napalmem. Wojna była straszna, ale zawsze istniała nadzieja, że w przyszłości będzie dobrze - wystarczy popatrzeć na Niemcy i resztę Europy. Dla ojca Mila, weterana z plaży Omaha, bratanie się ze Szwabami było bluźnierstwem. Tata zawsze zaciskał usta, kiedy widział któregoś z tych "spedalonych hipisów w hitlerowskich garbusach". Milo znał jednak historię wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że pokój jest tak samo nieunikniony, jak wojna i że choć mogło się to wydawać nieprawdopodobne, któregoś dnia Amerykanie zaczną jeździć na wakacje do Hanoi.

Rany wojenne mogły się zagoić, ponieważ nie były osobiste. Wspomnienie prześlizgujących się między palcami flaków nie zniknie, ale może, gdzieś, kiedyś w przyszłości...

To było tylko i wyłącznie osobiste. Człowiek zredukowany do mięsa, soków i odpadów. Stworzenie antyosoby.

Milo odetchnął głęboko, poprawił krawat i zmusił się do ponownego spojrzenia na ciało. Ile mogła mieć lat, siedemnaście, osiemnaście? Ręce, chyba jedyne części jej ciała niepokryte krwią, były gładkie, blade, bez zadrapań. Długie wąskie palce, różowy lakier na paznokciach. To, co mógł dostrzec - a nie było tego wiele z powodu ran - świadczyło o delikatnych rysach twarzy, mogła być ładna.

**Nie ma krwi na rękach. Nie ma ran, odniesionych podczas prób obrony...**

**Dziewczyna była jak zamrożony w czasie wrak, kupka szczątków. Przypominała wyrzucony mały zegarek, na który ktoś nadepnął, rozgniatając szybkę.**

**Po śmierci też nią manipulowano. Morderca rozsunał jej nogi, zgięte w kolanach, oparte na wykrzywionych w bok stopach.**

**Zostawił ją na widoku, jak jakąś potworną rzeźbę.**

**- Zmasakrowana - oznajmił asystent koronera, jakby do stwierdzenia tego faktu potrzebny był dyplom akademii medycznej.**

**Schwinn kazał Milowi policzyć rany, ale zadanie okazało się wcale nie takie proste. Cięcia i nakłucia były oczywiste, ale czy liczyły się też otarcia wokół kostek i nadgarstków? A co z głęboką, wściekle czerwoną bruzdą wokół szyi? Schwinn poszedł po aparat - zawsze robił fotki - a Milo nie chciał go o nic pytać, nienawidząc się za swój brak doświadczenia.**

**Postanowił wpisać otarcia do osobnej kolumny, stawiając kolejne kreski.**

**Sprawdził jeszcze raz liczbę ran zadanych nożem. Według koronera zadano je zarówno przed, jak i po śmierci ofiary. Jedna, dwie, trzy, cztery... wyszło mu pięćdziesiąt sześć.**

**Zaczął liczyć ślady po papierosach.**

**Zaczerwieniona skóra wokół czarnych kólek oznaczała, że dziewczynę poparzano, zanim umarła.**

**Na miejscu znalezienia zwłok było bardzo mało krwi. Zabito ją gdzieś indziej, tutaj tylko porzucono.**

**Za to mnóstwo zaschniętej krwi znajdowało się na głowie. Czerniejąca czapa przyciągała muchy.**

**To dopełnienie dzieła: skalp. Ma to liczyć jak jedną, wielką ranę, czy powinien**

**przyjrzeć się uważnie i zobaczyć, iloma ciosami morderca zerwał skórę?**

**Nad ciałem kłębił się rój komarów. Milo rozgonił je machnięciem ręki i wpisał “usunięta skóra z wierzchu czaszki” jako osobną pozycję. Narysował ciało i zwięźcił je czepkiem; w jego nieudolnym wykonaniu zaschnięta krew wyglądała jak fasolka. Milo skrzywił się, zamknął notes i wycofał. Przyjrzał się zwłokom z nowej perspektywy.**

**Zwalczył kolejną falę nudności.**

**Stary Murzyn, który znalazł ciało, wyrzygał kolację. Milo starał się nie zrobić tego samego od chwili, kiedy tylko zobaczył dziewczynę. Napinał mięśnie brzucha i próbował wymyśleć mantrę, która pomogłaby mu zapanować nad sobą.**

**Nie jesteś dziewczyną, widywałeś gorsze rzeczy.**

**Pomyślał o najgorszej z nich: dziury w piersiach wielkości arbuza, serca wywalone na wierzch - ten chłopak, Indianin z Nowego Meksyku. Bradley Dwa Wilki - który wszedł na minę i stracił wszystko od pępka w dół, ale ciągle mówił, kiedy Milo udawał, że coś dla niego robi. Patrzył na Milo łagodnymi, piwnymi oczami - żywymi, na miłość boską - i mówił spokojnie, prowadził pieprzoną konwersację, nie mając już nic i wylewając się na ziemię. To było gorsze, prawda? Trzeba było rozmawiać z górną połówką Bradleya Dwa Wilki, gawędzić beztrósco o jego ślicznej dziewczynie w Galisteo, o jego marzeniach - kiedy wróci do Stanów, ożeni się z Tiną, będzie pracować z jej ojcem, będzie miał gromadkę dzieci. Dzieci. Nie mając nic poniżej... Milo uśmiechnął się do Bradleya, Bradley odpowiedział mu uśmiechem i umarł.**

**To było gorsze. A Milowi udało się wtedy zachować zimną krew i spokojnie rozmawiać. Posprzątał po wszystkim, zapakował górną połówkę Bradleya do o wiele za dużego worka na zwłoki. Wypisał akt zgonu do podpisania przez chirurga. W ciągu następnych kilku tygodni wypalił sporo trawy, wciągnął trochę heroiny, pojechał na**

urlop do Bangkoku, gdzie spróbował opium. Powążył się nawet na skorzystanie z usług chudej, bangkockiej dziwki. Nie poszło mu najlepiej, ale ostatecznie wytrzymał.

Dasz sobie radę, idioto.

Oddychaj powoli, nie daj Schwinnowi następnego tematu do kazań...

Schwinn już wrócił, cykał zdjęcia. Policyjny fotograf zauważył małe, czarne plastikowe pudełko, pogładził swojego nikona i uśmiechnął się z wyższością. Schwinn nie zwrócił na to uwagi - był w swoim własnym świecie, skakał, przykucając dookoła ciała. Przysuwał się blisko, bliżej, niż odważył się Milo, nie opędzał się nawet od komarów, otaczających rojem jego siwą głowę.

- I co o tym myślisz, chłopcze?

- O czym? - spytał Milo.

Pstryk, pstryk, pstryk.

- Nasz przestępca - co ci o nim mówi twój nos?

- To maniak.

- Tak myślisz? - powiedział nieobecny tonem Schwinn. - Wyjący, oszalały, zaśliniony szaleniec? - Odsunął się od Mila, przyklęknął, nachylił się nad zmasakrowaną czaszką. Tak blisko, że mógł pocałować pokrwawione strzępy. Uśmiechnął się. - Spójrz - tylko kość i trochę naczyń krwionośnych, przecięte z tyłu... kilka rozdarć, trochę rys... bardzo ostre narzędzie. - Pstryk, pstryk. - Wariat... wojownik Apaczów z pieśnią wojenną na ustach? Ty niedobra squaw, moja skalpu skalpu?

Milo zwalczył kolejną falę mdłości.

Schwinn wstał, rozhuśtał aparat na pasku, skubiąc krawat. Na kanciastej twarzy pojawił się wyraz zadowolenia. Zimny jak lód. Jak często widywał takie rzeczy? Jak często takie rzeczy spotykało się w wydziale zabójstw? Pierwsze siedem morderstw,

nawet Kyle Rodriguez, było zupełnie znośne w porównaniu z tym...

Schwinn wskazał na rozsunięte nogi dziewczyny.

- Widzisz, jak ją ułożył? Mówi do nas, chłopcze. Mówi przez nią, wkłada słowa w jej usta. Wiesz, co chce, żeby nam powiedziała, chłopcze?

Milo pokręcił głową. Schwinn westchnął.

- Chce, żeby powiedziała: "pieprzcie mnie". Całemu światu - "chodź, cały pieprzony świecie, chodź i ruchaj mnie do oporu, rób ze mną, co chcesz, bo jestem bezbronna". Używa jej jak... lalki. Wiesz, jak dzieciaki bawią się lalkami, każą im mówić rzeczy, których same boją się powiedzieć? Ten facet jest taki sam, tylko woli większe lalki.

- Boi się? - powiedział Milo z powątpiewaniem.

- A jak ci się, kurwa, zdaje? - odparł Schwinn. - Mówimy tu o tchórze, co nie umie rozmawiać z kobietami, nie może normalnie poruchać. To nie znaczy, że jest jakimś pierdołą. Może nawet być macho. Na pewno ma mocne nerwy, skoro spokojnie zrobił coś takiego. - Zerknął przez ramię na nogi dziewczyny. - Ułożył ją na widoku, ryzykując, że ktoś go zobaczy. Pomyśl tylko: pobawiłeś się z ciałem i musisz się go pozbyć. Wozisz je w samochodzie, chcesz gdzieś wyrzucić. Gdzie jedziesz?

- W jakieś odludne miejsce.

- No właśnie, bo nie jesteś mordercą o stalowych nerwach, tylko chciałbyś je wyrzucić. Ale nie nasz chłoptaş. Z jednej strony jest cwany. Zatrzymał się przy autostradzie. Kiedy skończył, mógł na nią wrócić, na sto jedyńce nikt nie jest specjalnie podejrzliwy. Zrobił to po zmroku, sprawdził, czy nikt mu się nie przygląda. Zatrzymał się, ułożył ją, a potem brum brum. To dobry plan. Mógł się powieść, zwłaszcza późno, po godzinach szczytu. Ale zatrzymywać się tylko po to, żeby się pobawić laleczką, to

**cholerne ryzyko. Nie chodziło o wyrzucenie ciała. To była pycha - proszę, dostał ciastko i zjadł je dwa razy. Nie jest ani głupi, ani szalony.**

**- Chyba w coś gra - powiedział Milo, ponieważ wersja Schwinna brzmiała prawdopodobnie. Pomyślał o szachach, ale tak naprawdę nie potrafił powiązać tego, co widział, z żadną grą.**

**- “Spójrzcie na mnie” - ciągnął Schwinn. - To nam właśnie mówi. “Patrzcie, co potrafię”. Nie wystarczyło, że ją obezwładnił i zerznął do utraty przytomności - sto do jednego, że znajdziemy nasienie w jej szparce i w dupie. Nie, on chce się nią podzielić ze światem. Mam ją w garści, komu komu, bo idę do domu?**

**- Grupowe rżnięcie - powiedział Milo ochryple, przypominając sobie wieczór kawalerski Hanka Swagle’a w Newton. Dziwka była przysadzistą blondynką, kasjerką z banku. W dzień dumna i wyprostowana, stała się kimś innym, kiedy w grę wchodzili gliniarze. Kiedy koledzy wepchnęli Mila do pokoju, była pijana, na wpół przytomna. Wyciągnęła do niego ręce, szminka rozmazała się, wymamrotała “następny”. Jak w kolejce na pocztę. Milo rzucił jakąś wymówkę i szybko wyszedł... dlaczego, do cholery, myślał o tym właśnie teraz? Mdłości wróciły. Milo poczuł ból w zaciśniętych kurczowo dłoniach.**

**Schwinn patrzył na niego w milczeniu.**

**Milo zmusił się do wyprostowania palców i postarał się panować nad głosem.**

**- Jest zatem raczej kimś racjonalnie myślącym, nie wariatem. Ale mówimy o kimś nienormalnym, prawda? Ktoś normalny by czegoś takiego nie zrobił - powiedział, słysząc wyraźnie idiotyzm każdego wymówionego słowa.**

**Schwinn znów się uśmiechnął.**

**- Normalny. A cóż to do cholery znaczy? - Odwrócił się plecami do Mila i odszedł**

bez słowa, machając aparatem. Stał samotnie obok furgonetki koronera, zostawiając

Mila z jego kiepskimi szkicami.

Ten pełen wyższości uśmiech Schwinna. Czy to aluzja do preferencji seksualnych

Mila, o których plotki przywlokły się z Rampart do komisariatów Newton i Central?

Czy to dlatego Schwinn zachowywał się tak wrogo?

Milo znów zacisnął dłonie. Już zaczynało mu się wydawać, że jakoś sobie radzi -

dobrze się spisał przy pierwszych siedmiu przypadkach, wczuwał się w rytm pracy i

myślał, że może zostanie w wydziale zabójstw, że morderstwo okaże się czymś, z czym

będzie mógł żyć.

A teraz, przeklinając cały świat, przysunął się do dziewczyny. Nawet bliżej niż

Schwinn. Przyglądał się, wchłaniał zapach, studiował każdą ranę - spijał grozę i

powtarzał sobie: "Idioto, nie wolno ci narzekać, patrz na nią".

Ale czuł tylko wzbierającą wściekłość, wypełniła go i nagle poczuł się twardy,

okrutny, mściwy i chytry.

Ogarnął go apetyt.

Chęć, nie, konieczność zrozumienia.

Mając w nozdrzach smród rozkładającego się ciała dziewczyny, nagle zapragnął

wejść do jej piekła.

Kiedy wrócili do samochodu, dochodziła jedenasta.

- Znów ty prowadzisz - powiedział Schwinn. W jego zachowaniu nie było śladu

wrogości, żadnych dwuznacznych odzywek. Milo pomyślał, że ta uwaga o normalności

za bardzo go wzburzyła. Schwinn kłapał dziobem, bo taki już był.

Uruchomił silnik.

- Dokąd jedziemy?



**- Wszystko jedno. Wiesz co, pojedź prosto autostradą i za jakiś czas zawróć do centrum. Muszę pomyśleć.**

**Milo usłuchał. Zjechał podjazdem, tak samo, jak musiał to zrobić morderca.**

**Schwinn przeciągnął się i ziewnął, potem pociągnął nosem, wyjął swoją buteleczkę ze środkiem na nadciśnienie i napił się. Wyłączył radio i zamknął oczy, potarł kąciki ust.**

**Zapowiadała się jedna z długich sesji milczenia.**

**Skończyła się, kiedy Milo wrócił do miasta. Jechał Temple, mijając Music Center i otaczające je puste działki. Mnóstwo wolnego miejsca, na którym bogaci ludzie zamierzali wznieść następne kaplice kultury. Mówili o odnowie miasta, udawali, że zależy im na wiejskiej imitacji filharmonii, udawali, że to nie tylko betonowa układanka państwowych molochów, w których biurokraci pracują do szesnastej, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy będą mogli stamtąd uciec, gdzie w nocy wszystko było zimne i czarne.**

**- I co teraz? - powiedział Schwinn. - Co z tą dziewczyną. Jak myślisz? Dowiemy się, kim była?**

**- To nie powinno być trudne, miała takie gładkie paznokcie i ładne proste zęby.**

**Jeśli była uliczną dziwką, stoczyła się niedawno. Ktoś będzie za nią tęsknił.**

**- Zaczniemy od wydziału osób zaginionych? - spytał Milo.**

**- Ty zaczniesz. Zadzwoń rano, bo w nocy mają problemy kadrowe. Jeśli chcesz o tej porze zmusić ich do ruszenia dupy, to życzę szczęścia.**

**- Ale gdyby zgłoszono jej zaginięcie, gdybyśmy dostali jej dane jeszcze dzisiaj, moglibyśmy szybko...**

**- To nie wyścig, chłopcze. Jeśli nasz klient nie jest stąd, i tak dawno go tu już nie ma. A jeśli jest tutejszy, kilka godzin nie robi żadnej różnicy.**

- Jej rodzice na pewno się martwią...

- Jak chcesz, *amigo* - powiedział Schwinn. - Proszę, baw się w opiekę społeczną.

Ja jadę do domu.

Nie złościł się. Po prostu wydawało się, że wie wszystko.

- Mam wrócić na komisariat? - spytał Milo.

- Jasne. Nie, czekaj. Zatrzymaj się - tutaj, chłopcze. Tam, tak, tak, tak, koło tego przystanku.

Przystanek znajdował się kilka metrów dalej, po północnej stronie Temple. Milo jechał lewym pasem i musiał ostro skręcić, żeby go nie minąć. Stanął przy krawężniku, rozglądając się w poszukiwaniu tego, co skłoniło Schwinna do zmiany zdania.

Ciemny pusty kwartał, nikogo w zasięgu wzroku - nie, ktoś był. Sylwetka wyłoniła się z ciemności. Ktoś szedł na zachód. Szybko.

- Informator? - spytał Milo, kiedy sylwetka nabrała wyraźniejszych kształtów. Kobiecych.

Schwinn poprawił krawat.

- Siedź cicho i nie gaś silnika.

Wysiadł z samochodu, szybko wskoczył na chodnik, w samą porę, by zatrzymać kobietę. Jej nadejście zwiastował stukot szpilek o beton.

Wysoka czarna kobieta, Milo dostrzegł to, kiedy weszła w krąg światła latarni.

Wysoka i piersiasta. Około czterdziestki. Miała na sobie niebieską skórzaną mini i błękitny top. Na głowie burzę farbowanych henną włosów, na oko z pięć kilo.

Schwinn wyglądał przy niej na jeszcze chudsze niż zwykle. Lekko rozstawił nogi. Uśmiechał się.

Kobieta odpowiedziała uśmiechem. Nadstawiła do cmoknięcia oba policzki,

witając się jak na włoskim filmie.

Krótką rozmowa, za cicha, żeby Milo coś usłyszał, potem oboje wsiedli na tylny fotel samochodu.

- To Tonya - powiedział Schwinn. - Dobra przyjaciółka wydziału. Tonya, poznaj mojego nowego partnera, Mila. Ma dyplom uniwersytecki.

- Och - westchnęła Tonya. - Jesteś zdolny, kochanie?

- Miło mi panią poznać.

Tonya roześmiała się.

- Jedź - powiedział Schwinn.

- Dyplom... - powtórzyła Tonya, kiedy ruszyli.

Na Piątej Schwinn powiedział:

- Skręć w lewo. Wjedź w zaułek za tymi budynkami.

- Dyplomata? - spytała Tonya.

- Skoro już o tym mowa - powiedział Schwinn. - Moja najdroższa...

- Oooch, uwielbiam, kiedy pan tak mówi, panie S.

Milo zwolnił.

- Nie rób tego, jedź normalnie - powiedział Schwinn. - Skręć jeszcze raz i w prawo, na wschód. Do Alameda, tam, gdzie są fabryki.

- Rewolucja przemysłowa - powiedziała Tonya, a Milo usłyszał coś jeszcze - szelest ubrania i odgłos rozpinanego rozporka. Zaryzykował szybkie spojrzenie w lusterko, zobaczył głowę Schwinna, odchyloną do tyłu, na oparcie fotela. Zamknięte oczy. Zrelaksowany uśmiech. Pięć kilo henny, w górę i w dół.

Chwilę później:

- O, tak, panno T. Tęskniłem za panią, wie pani o tym?

**- Naprawdę, kochanie? Czy tylko tak mówisz?**

**- O nie, to prawda.**

**- Naprawdę, kochanie?**

**- Oczywiście. A ty tęskniłaś za mną?**

**- Wie pan, że tak, panie S.**

**- Codziennie, panno T.?**

**- Codziennie, panie S. No, kochanie, poruszaj się trochę, pomóż mi.**

**- Z przyjemnością - powiedział Schwinn. - By służyć i chronić.**

**Milo zmusił się do patrzenia wprost przed siebie.**

**W samochodzie słychać było tylko ciężkie sapanie.**

**- Tak, taaak - jęczał Schwinn słabo. Tego właśnie trzeba, żeby przestał być taki pewny siebie, pomyślał Milo.**

**- O taaak, właśnie tak, najdroższe... kochanie. O taaak, jesteś... specjalistką.**

**Prawdziwym... naukowcem, taak, taaak.**

Schwinn kazał Milowi wysadzić Tonyę na Ósmej przy Witmer, jedną przecznicę od Ranch Depot Steak House.

- Kup sobie porządny befsztyk, kochanie. - Podał jej kilka banknotów. - Kup sobie śliczny kotlecik z wielkim pieczonym ziemniakiem.

- Panie S. - zaprotestowała. - Nie mogę tam wejść tak ubrana, nie obsłużą mnie.

- Z tym obsłużą. - Kolejnych kilka papierków wciśniętych w jej dłoń. - Pokaż to

Calwinowi przy wejściu, powiedz, że przychodzisz ode mnie. W razie problemów daj mi znać.

- Na pewno?

- Przecież wiesz.

Tylne drzwi się otworzyły i Tonya wysiadła. W samochodzie unosił się zapach seksu. Teraz do środka wtargnęło chłodne, nocne powietrze, o gorzkim posmaku paliwa.

- Dziękuję, panie S. - Wyciągnęła rękę. Schwinn uściskał jej dłoń.

- Jeszcze jedno, kochanie. Słyszałaś o jakichś twardzielach w okolicy

Temple-Beaudry?

- Jak twardych?

- Sznury, noże, przypalanie papierosem.

- Och - jęknęła dziwka zbolalym głosem. - Nie, panie S., tu wszędzie pełno szumowin, ale nie słyszałam o niczym takim.

Cmoknięcie w policzek. Tonya postukała obcasami w stronę restauracji, a

Schwinn przesiadł się do przodu.

- Wracamy na posterunek, chłopcze.

**Zamknął oczy, zadowolony z siebie. Na Olive Street powiedział:**

**- To bardzo inteligentny czarnuch, chłopcze. Gdyby miała taki start, jak wolna biała kobieta, coś by z niej było. Dlaczego tak jest?**

**- O co ci chodzi?**

**- O to, jak traktujemy czarnuchów. Kapujesz coś z tego?**

**- Nie - powiedział Milo. O czym on bredzi? - pomyślał.**

**A potem: dlaczego Schwinn nie zaoferował mu usług dziwki?**

**Bo między Schwinnem i Tonyą było coś wyjątkowego? Czy dlatego, że wiedział?**

**- Z tego - podpowiedział Schwinn - jak traktujemy czarnuchów wynika, że czasami inteligencja się nie liczy.**

**Milo wysadził Schwinna na parkingu wydziału. Patrzył, jak wsiada do swojego forda fairlane i odjeżdża w stronę Simi Valley, do żony, która lubi książki.**

**Wreszcie został sam.**

**Po raz pierwszy od chwili otrzymania wezwania do Beaudry odetchnął swobodnie.**

**Wszedł do budynku, wbiegł po schodach i ruszył do podrapanego, metalowego biurka, ustawionego dla niego w kącie sali detektywów wydziału zabójstw. Następne trzy godziny spędził, wydzwanając do wydziałów osób zaginionych na wszystkich posterunkach, a kiedy nic z tego nie wynikło, zainteresował się biurami szeryfów i wydziałami sąsiednich miast. Każde z nich trzymało własne akta, panował zupełny brak koordynacji, każdą teczkę trzeba było zdjąć z półki, a nieliczny nocny personel nie wykazywał skłonności do współpracy, nawet w sprawie morderstwa. Milo naciskał, podkreślał okropność zbrodni, a mimo to napotykał opór. W końcu odkrył coś, co wymusiło na drugiej stronie działanie, a przy okazji wiązki przekleństw - możliwość**

przecieku do mediów. Gliniarze bali się złej prasy. O trzeciej rano Milo skompletował listę siedmiu białych dziewczyn w odpowiednim wieku.

I co miał teraz zrobić? Zacząć wydzwaniać i budzić zatroskanych rodziców?

Przepraszam, pani Jones, czy państwa córka Amy wróciła do domu? Bo u nas ciągle jest na liście zaginionych i zastanawiamy się, czy worek mięsa i wnętrzności, który mamy w chłodni koronera, to przypadkiem nie ona.

Jedynym sposobem, by to zrobić, był wstępny kontakt telefoniczny, a potem spotkania. Zrobi to jutro, o przyzwoitej godzinie. Chyba, że Schwinn będzie miał jakiś inny pomysł. Kolejne sprawy, w których będzie mógł pouczać Mila.

Przepisał wszystkie informacje z notesu do druków raportowych, wypełnił właściwe formularze, przerysował zarys ciała dziewczyny i podsumował wyniki rozmów telefonicznych, tworząc równy stosik efektów swoich wysiłków. Podeszedł do szeregu szafek stojących po drugiej stronie pomieszczenia, wysunął górną szufladę i wyjął z niej jeden z kilku leżących tam niebieskich segregatorów. Były wielokrotnego użytku - po zamknięciu sprawy kartki wyjmowano, zszywano, zamykano w dużych kopertach i wysyłano do archiwum w Parker Center.

Ten niebieski segregator najlepsze czasy miał już za sobą - postrzępiony na krawędziach, na okładce miał brązową plamę, przypominającą trochę więdnącą różę; ślad po obiedzie któregoś z detektywów. Milo przykleił na niej naklejkę z miejscem na nazwę sprawy.

Nic nie napisał. Nie miał co napisać.

Siadł, myśląc o zmasakrowanej dziewczynie. Zastanawiał się, jak miała na imię i nie mógł się zmusić, żeby nazwać ją Jane Doe\* [Niezidentyfikowanym osobom w aktach amerykańskiej policji i służby zdrowia nadaje się pseudonim "John Doe" (mężczyźni) i

**“Jane Doe” (kobiety) (przyp. tłum.).]**

**Postanowił z samego rana sprawdzić zdobyte siedem nazwisk. Może będzie miał szczęście i trafi na właściwe.**

**Na tytuł do nowych akt morderstwa.**

**Niewiele spał - co chwilę budziły go koszmary. Za piętnaście siódma siedział już za biurkiem, jako jedyny detektyw w biurze. Odpowiadało mu to, skusił się nawet na kawę po drodze.**

**O siódmej dwadzieścia zaczął telefonować. Numerem jeden była Sarah Jane Causlett, biała kobieta, lat osiemnaście, metr sześćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt kilo, ostatnio widziana w Hollywood, kiedy kupowała obiad w Oki-burgerze, i na Selma. Dryń dryń.**

**- Pani Causlett? Dzień dobry, mam nadzieję, że nie dzwonię zbyt wcześnie...**

**Skończył do dziewiątej. Trzy z siedmiu dziewczyn wróciły do domu, dwie inne wcale nie zaginęły, były tylko pionkami w rozgrywkach rozwodowych i uciekły do drugiego z rodziców. Zostawały tylko dwie pary zdenerwowanych rodziców, państwo Estes w Mar Vista i państwo Jacobs w Mid-City. Milo zatajał fakty, przygotowywał ich do konfrontacji.**

**O dziewiątej trzydzieści pojawiło się kilku detektywów, ale nie Schwinn, Milo zostawił mu więc wiadomość na biurku i wyszedł z posterunku.**

**O trzynastej był z powrotem w punkcie wyjścia. Niedawno zrobione zdjęcie Misty Estes ukazywało mocno otyłą dziewczynę o krótkich, kręconych włosach. Wydział osób zaginionych posterunku w zachodnim L.A. pomylił się w danych osobowych - wpisali pięćdziesiąt trzy kilo zamiast dziewięćdziesięciu trzech. Przepraszamy. Milo pożegnał zalaną łzami matkę i sztywnego z nerwów ojca w drzwiach ich domu.**



Jessica Jacobs miała z grubsza właściwe wymiary, ale zdecydowanie nie była dziewczyną z Beaudry - była niebieskooka, a ofiara miała oczy ciemnopiwne. Kolejna urzędnicza wpadka - w aktach wydziału osób zaginionych z Wilshire ktoś zapomniał wpisać kolor oczu.

Milo wyszedł od Jacobsów spocony i zmęczony. Znalazł automat telefoniczny przed sklepem z alkoholem na rogu Trzeciej i Wilton, złapał Schwinna i zdał mu raport ze swoich bezskutecznych działań.

- Ranny ptaszek - powiedział Schwinn. - Kopsnij się tutaj, mogę coś mieć.

- Co?

- Wracaj.

Kiedy Milo wrócił do pokoju detektywów, połowa biurek była zajęta. Schwinn bujał się na krześle, ubrany w ładny granatowy garnitur, lśniąca czystością białą koszulę i złoty krawat, którego węzeł wyglądał jak maleńka zaciśnięta pięść. Odchyłał się niebezpiecznie do tyłu, wgrzyzając się w burrito rozmiarów noworodka.

- Witaj w domu, synu marnotrawny.

- Jasne.

- Wyglądasz paskudnie.

- Dzięki.

- Nie ma za co. - Schwinn uśmiechnął się po swojemu, krzywo. - Poznałeś więc ład i porządek, jakim charakteryzują się nasze akta. Gliniarze są najgorsi, chłopcze.

Nienawidzą pisać i zawsze robią to na odwal. To już graniczy z analfabetyzmem.

Milowi przyszło do głowy zapytać o wykształcenie samego Schwinna. Ten temat

jakoś nigdy nie pojawił się w ich rozmowach. Przez cały czas, który razem

przepracowali, Schwinn zdradził o sobie zaledwie kilka szczegółów.

- Urzędnicze wpadki to zasada, chłopcze. Akta osób zaginionych są najgorsze, bo oni wiedzą, że to robota głupiego, w większości przypadków dzieciaki wracają do domów, a nikomu nie chce się zadzwonić i o tym powiedzieć.

- Zapisz i zapomnij - powiedział Milo, mając nadzieję, że przytakując skończy temat.

- Zapisz i pierdol resztę. Dlatego nie spieszyło mi się specjalnie do tego telefonu.

- Ty wiesz lepiej - powiedział Milo.

Wzrok Schwinna stwardniał.

- Więc co masz ciekawego? - spytał Milo.

- Może ciekawego - poprawił Schwinn. - Do mojego informatora doszły jakieś plotki. O przyjęciu na Westside, dwa dni przed morderstwem. Sobota wieczór, na Stone Canyon w Bel Air.

- Bogate dzieciaki.

- Obrzydliwie bogate, pewnie korzystali z tatusiowego domu. Mój informator mówi, że były tam dzieciaki z całej okolicy, ćpały i hałasowały. Zna też jednego gościa, co ma córkę. Wyszła z kolegami, bawiła się na imprezie, nie wróciła do domu.

Może ciekawego.

Schwinn wyszczerzył zęby w uśmiechu i wgrzył się w *burrito*. Milo traktował go jak leniwego, wyglądającego emerytury urzędasza, a okazało się, że sukinsyn wyrabia samotnie nadgodziny i ma efekty. Byli partnerami tylko na papierze.

- Ojciec nie zgłosił zaginięcia? - spytał.

Schwinn wzruszył ramionami.

- Ojciec to margines.

- Żul?

- Margines - powtórzył z irytacją Schwinn, jakby Milo był słabym uczniem, popełniającym ciągle ten sam błąd. - Poza tym dziewczyna robiła to już wcześniej - wychodziła na imprezy i nie wracała przez kilka dni.

- Skoro robiła to wcześniej, dlaczego tym razem miałyby być inaczej?

- Może nie jest. Ale wiesz, pasuje do opisu: około metra siedemdziesiąt, chuda, ciemne włosy, piwne oczy, ładne, małe ciało.

W głosie Schwinna pojawiła się aprobata. Milo wyobraził go sobie z informatorem, jakąś uliczną szmatą. Dziwki, alfonsi, zboczeńcy - Schwinn dysponował prawdopodobnie całą gamą szumowin, dostarczających mu informacje. A Milo miał dyplom...

- Podobno milutka - ciągnął Schwinn. - I żadne tam niewiniątka, przeciwnie. Do tego wcześniej, przynajmniej raz, wpakowała się w kłopoty. Łapała stop na Sunset, trafiła na jakiegoś drania. Zgwałcił ją, związał i zostawił w zaułku. Dziewczynę znalazł jakiś żul, miała szczęście, że zwykły menel, a nie jakiś zbok, szukający rozrywki. Nie zgłosiła tego, powiedziała tylko przyjaciółce, ale wieści rozeszły się po ulicach.

- Szesnaście lat, związana, zgwałcona i nie zgłosiła tego?

- Już powiedziałem, że to nie żadna dziewica. - Mięśnie szczęki Schwinna zadrgały, zmrużone oczy wbił w sufit. Milo wiedział, że coś ukrywa.

- Czy informator jest wiarygodny?

- Zwykle tak.

- Kto to?

Schwinn pokręcił z rozdrażnieniem głową.

- Skoncentrujmy się na najważniejszym. Mamy dziewczynę, która pasuje do opisu ofiary.

**- Ma szesnaście lat - powiedział Milo z powątpiewaniem.**

**Schwinn wzruszył ramionami.**

**- Z tego, co czytałem w artykułach o psychologii, węzłki na ludzkim sznurku zawiązują się dość wcześnie. - Odchylił się do tyłu i ugryzł duży kęs *burrito*, potem otarł sos z warg wierzchem dłoni i oblizal rękę. - Myślisz, że to prawda, chłopcze? Myślisz, że nie zgłosiła tego, bo jej się podobało?**

**Milo zamaskował złość wzruszeniem ramion.**

**- Co dalej? Pogadamy z ojcem?**

**Schwinn przestał się bujać, otarł podbródek, tym razem papierową serwetką, po czym nagle wstał i wyszedł z pomieszczenia, nie czekając na Mila.**

**Partnerzy.**

**Na zewnątrz, koło samochodu, Schwinn odwrócił się z uśmiechem.**

**- I jak ci się spało?**

**Schwinn wymienił adres na Edgemont, a Milo włączył silnik.**

**- Hollywood, chłopcze. Prawdziwa dziewczyna z Hollywood.**

**Podczas dwudziestominutowej jazdy podał Milowi więcej szczegółów.**

**Dziewczyna nazywała się Janie Ingalls. Druga klasa liceum Hollywood, mieszkała z ojcem w dwupiętrowym budynku bez windy w podupadłej okolicy na północ od Santa Monica Boulevard. Bowie Ingalls był pijaczną, z rzadka przebywającym w domu.**

**Spółceństwo schodzi na psy, nawet biali żyją jak świnie.**

**Budynek był niezgrabną, różową bryłą, o za małych oknach i nierównych tynkach. Milo stawał na dwanaście mieszkań - cztery na jednym piętrze, prawdopodobnie połączone korytarzem.**

**Zaparkował, ale Schwinn nie kwapił się wysiadać, więc siedzieli przez chwilę**

**przy włączonym silniku.**

**- Wyłącz go - powiedział Schwinn.**

**Milo przekręcił kluczyk i usłyszał odgłosy ulicy. Odległy warkot samochodów na Santa Monica, śpiew kilku ptaków, wycie niewidocznej kosiarki do trawy. Ulica była zaniedbana, w rynsztoku wały się śmieci.**

**- Oprócz tego, że pije, dlaczego nazywasz ojca marginesem?**

**- To jeden z tych, co się kręcą - powiedział Schwinn. - Nazywa się Bowie Ingalls, zajmuje się trochę tym, trochę tamtym. Chodzą plotki, że ściągał długie u bukmachera-czarnucha. Co to za praca dla białego? Kilka lat temu pracował jako goniec w Paramount Studios, rozpowiadał wszystkim, że siedzi w biznesie filmowym. Gra na wyścigach, ma przesrane papiery, głównie zakłócanie porządku i pijaństwo, nieopłacone mandaty. Dwa lata temu dał się wciągnąć w paserstwo, ale nie został oskarżony. Drobnego gnojka, jak by nie patrzeć.**

**Ile szczegółów. Schwinn znalazł czas, żeby zajrzeć do akt Bowiego Ingallsa.**

**- I taki ktoś wychowuje dziecko - powiedział Milo.**

**- Jaki ten świat okrutny, prawda? Matka Janie była striptizerką i ćpunką, uciekła z jakimś hipisem z gitarą, kiedy dziewczyna była niemowlakiem. Przedawkowała we Frisco.**

**- Wygląda na to, że sporo się dowiedziałeś.**

**- Tak ci się zdaje? - Głos Schwinna nabrał ostrości, a spojrzenie znów zrobiło się twarde. Uznał, że Milo jest sarkastyczny? Milo nie do końca wiedział, czy nie chce być sarkastyczny.**

**- Muszę się dużo nauczyć - powiedział. - Wygląda na to, że marnowałem czas z pajacami od osób zaginionych, a ty w tym czasie...**

- Nie liź mi dupy, synu - uciął Schwinn. Nagle jego twarz znalazła się blisko twarzy Mila, który poczuł zapach wody kolońskiej i sosu salsa verde. - Gówno zrobiłem i gówno wiem. A ty zrobiłeś jeszcze mniej.

- Przepraszam, jeśli...

- Pieprzę twoje przeprosiny, stary. Wydaje ci się, że to jakaś gra? Jak twój dyplom? Odrabiasz pracę domową, liżesz dupę nauczycielowi i dostajesz swój w dupę lizany tytuł? Wydaje ci się, że to tak samo?

Mówił o wiele za szybko jak na kogoś normalnego. Co, do cholery, tak go zdenerwowało?

Milo milczał. Schwinn zaśmiał się gorzko i tak ciężko opadł na oparcie, że Milo aż podskoczył.

- Powiem ci, chłopcze, cały ten gnój, który przerzucaliśmy, odkąd pozwoliłem ci ze sobą jeździć - czarnuchy i *pachucos*, co się nawzajem zabijają i czekają, aż ich zgarniemy, a jak nie zgarniemy, to i tak wszyscy mają to w dupie - wydaje ci się, że to sens świata wydziału zabójstw?

Milo czuł, że czerwieni się od brody po same włosy. Nie odzywał się.

- To... - powiedział Schwinn, wyciągając z wewnętrznej kieszeni marynarki błękitną kopertę i wyciągając z niej plik zdjęć. Na kopercie było logo całodobowego laboratorium fotograficznego, zawierała zdjęcia, które Schwinn zrobił w Beaudry. Rozłożył je w wachlarz na chudych kolanach, jak wróżka karty. Zbliżenia oskalpowanej, zakrwawionej głowy dziewczyny. Intymne portrety martwej twarzy, rozrzucone nogi...

- Za to - powiedział - za to nam płacą. Z tamtymi sprawami poradziłby sobie byle palant.

Pierwsze siedem morderstw sprawiło, że Milo poczuł się jak palant z odznaką, ale nie ośmielił się przytaknąć. Przytakiwanie wydawało się tylko rozjuszać tego sukinkota.

- Myślałeś, że się będziesz dobrze bawił, kiedy się zgłaszałeś na Wielkiego

Bohatera Wydziału Zabójstw - powiedział Schwinn. - Prawda? - Mówił jeszcze szybciej,

ale udawało mu się ucinać każde słowo. - A może słyszałeś te pierdoły, że zabójstwa

sadła intelektualistów, a ty masz dyplom i pomyślałeś: hej, to dla mnie! No to mi

powiedz, czy tak wygląda intelekt?

- Postukał w zdjęcie. - Zdaje ci się, że można to załatwić myśleniem?

Kręcąc głową z miną, jakby zjadł coś obrzydliwego, Schwinn zaczepił róg zdjęcia

paznokciem i pstryknął. Pstryk, pstryk.

- Słuchaj - zaczął Milo - ja tylko...

- Masz w ogóle pojęcie, jak często coś takiego daje się zakończyć? Ci pajace z

akademii powiedzieli ci pewnie, że wydział zabójstw ma siedemdziesiąt, osiemdziesiąt

procent skuteczności, prawda? No więc to są pierdoły. Same pierdoły, tak głupie, że

mogą mówić i sto procent, więc wielkie mi kurwa rzeczy, osiemdziesiąt procent. -

Odwrócił się i splunął za okno.

- Z tym... - pstryk pstryk - .. .masz szczęście, jak uda ci się rozwiązać cztery na

dziesiąt. Co oznacza, że najczęściej przegrywasz, a facet może to zrobić jeszcze raz i

mówi ci "pierdołę cię" tak samo, jak powiedział jej.

Schwinn zaczął stukać w zdjęcie. Kwadratowy paznokieć uderzał o krocze zabitej

dziewczyny.

Milo zdał sobie sprawę, że nie oddycha, odkąd Schwinn zaczął swoją tyradę.

Wciąż było mu gorąco. Otarł twarz dłonią.

Schwinn się uśmiechnął.

- Wkurwiam cię. A może straszę. Robisz tak, ręką, jak jesteś wkurwiony albo przestraszony.

- O co ci chodzi, Pierce?

- O to, że powiedziałaś, że sporo się dowiedziałem, a ja się gównem dowiedziałem.

- Ja tylko...

- Nie tykuj mi tu - przerwał Schwinn. - Nie ma tu miejsca na tykowanie, nie ma miejsca na pierdoły. Nie potrzebny mi przydzielony z dnia na dzień mędrak...

- Kurwa - nie wytrzymał Milo, wypuścił powietrze z płuc i dał ujście złości. - Ja przecież...

- Ty przecież obserwowałeś mnie, sprawdzałeś od pierwszej chwili, kiedy zacząłeś...

- Miałem nadzieję, że się czegoś nauczę.

- Po co? - szczechnął Schwinn. - Żebyś mógł zbierać sobie punkciki, a potem posadzić dupę na ciepłej posadce na górze. Chłopcze, wiem, o co ci...

Milo poczuł, że przysuwa się do niego, góruje nad nim, wymierzając palec wskazujący jak broń.

- Gównem wiesz...

Schwinn się nie cofnął.

- Wiem, że dupki z dyplomami nie pasują do czegoś takiego. - Stuk stuk. - Wiem, że nie chcę marnować czasu, pracując nad sprawą z nadętym inteligencikiem, który chce tylko zająć jak najwyżej. Masz ambicje, to znajdź sobie robotę jak Daryl Gates, co wozi szefa Parkera. Któregoś dnia ten pajac sam zostanie szefem. - Stukstukstuk. - To nie drabina do sławy, *muchacho*. To śledztwo. Rozumiesz? Takie sprawy zżerają cię od środka, a potem wysrywasz je w kulkach.



**- Mylisz się - powiedział Milo. - Co do mnie.**

**- Naprawdę? - Wszechwiedzący uśmiezek.**

**Oho, pomyślał Milo. Uwaga. Pułapka.**

**Ale Schwinn tylko siedział, szczyrzył zęby i stukał w zdjęcie.**

**Zapadła długa cisza. Potem nagle jakby ktoś spuścił z niego powietrze, Schwinn zapadł się w sobie, wyglądał na pokonanego.**

**- Nie masz pojęcia, z czym się mierzysz. - Wsunął zdjęcia z powrotem do koperty.**

**Jak ci się nie podoba ta praca, to odejdz, dupku, pomyślał Milo. Przejdź na wcześniejszą emeryturę i zmarnuj resztę życia, hodując pomidory na jakimś zapadłym kempingu.**

**Minęło jeszcze kilka długich chwil.**

**- Wielkie śledztwo, a my tak siedzimy? - spytał w końcu Milo.**

**- A jaki mamy wybór, Sherlocku? - odparł Schwinn, wskazując kciukiem różowy budynek. - Wejdziemy tam, pogadamy z tym dupkiem, może się okaże, że to jego córka wpadła w to gówno, a może nie. Jeśli tak, to będziemy mieli za sobą pierwszy centymetr stukilometrowej podróży, jeśli nie, to nawet nie zaczęliśmy. Tak czy inaczej, nie mamy się z czego cieszyć.**

Równie szybko, jak zmieniał nastroje, Schwinn wyskoczył z samochodu.

Facet jest niezrównoważony, bez dwóch zdań, pomyślał Milo, idąc za siwym partnerem w kierunku wejścia do różowej kamienicy.

Frontowe drzwi były otwarte. Po prawej dwanaście skrzynek pocztowych.

Rozkład wnętrza był dokładnie taki, jak Milo przypuszczał.

Wal się, ekspercie.

Na jedenastej skrzynce czerwonym mazakiem wypisane było nazwisko Ingalls.

Weszli po schodach. Na drugim piętrze Schwinn miał już zadyszkę. Poprawił węzeł krawata i zapukał do drzwi, które otworzyły się kilka sekund później.

Stojący w nich mężczyzna miał przekrwione oczy i był jednocześnie chudy i gruby.

Miał obwisłą, żółtawą skórę i wystające kości, ale do tego wystające brzuszysko.

Był ubrany w brudną, żółtą podkoszulkę i niebieskie kąpielówki, wiszące na chudych biodrach pod wydętym brzuchem. Ani grama tłuszczu wszędzie, oprócz brzucha, tak groteskowego, że Milo pomyślał: "jak w ciąży".

- Bowie Ingalls? - spytał Schwinn.

Dwie sekundy opóźnienia, potem szybkie, wiewiórcze potaknięcie. Facet ociekał piwnym potem. Z drzwi zionęło kwaśnym smrodem.

Schwinn nie podał Milowi żadnego opisu Ingallsa - nic, co mogłoby go jakoś przygotować. Wyglądał na czterdzieści parę lat. Miał gęste faliste czarne włosy, opadające za ramiona - za długie i za bujne na kogoś w tym wieku - a na twarzy pięciodniowy szary zarost, w żaden sposób nieskrywający bijącej z rysów słabości.

**Przekrwione oczy były żółtawe i tępe. Ciemnopiwe tęczówki, takie same, jak zabitej dziewczyny.**

**Ingalls przyjrzał się odznakom. Reagował z opóźnieniem, jak uszkodzony zegarek. Wzdrygnął się, potem wycharczał.**

**- Oso chozi?**

**Słowom towarzyszył odór chmielu i siodu, mieszający się z zapachami, którymi przesiąknięte były ściany kamienicy - pleśni, nafty i absurdalnie niepasującym do tego aromatem domowego jedzenia.**

**- Możemy wejść? - spytał Schwinn.**

**Ingalls otworzył drzwi do połowy, ukazując bure meble, stosy pogniecionych ubrań, pudełka od chińszczyzny na wynos i puszki po piwie.**

**Większość pusta, niektóre pogniecione, niektóre całe. Ich ilość wskazywała na więcej niż dzień poważnego chłania.**

**Wielodniowy cug. Chyba, że facet miał towarzystwo, ale nawet w takim wypadku to solidny maraton.**

**Jego córka nie wraca od czterech dni, on tego nie zgłasza, za to zamyka się w domu i chleje. Milo zaczął podświadomie rozważać najgorszy scenariusz - tatuś ją zabił.**

**Spojrzał w twarz Ingallsa, szukając niepokoju, winy, zadrapań, może to wyjaśniało opóźnione reakcje...**

**Ale zobaczył tylko zmieszanie. Ingalls stał, przyłapany na mokrym uczynku.**

**- Proszę pana - powiedział Schwinn, intonując to jak wyzwisko w sposób, w jaki potrafią to robić tylko gliniarze - czy możemy wejść?**

**- Eee... no, jasne... bo co?**

**- Bo pana córka.**

**Ingalls spuścił wzrok. Nieprzestraszony. Zrezygnowany. Jakby mówił sobie:**

**“oho, znowu się zaczyna”. Szykował się na wykład o wychowywaniu dzieci.**

**- Co, znowu wagaruje? Teraz dzwonią za to po gliny?**

**Schwinn uśmiechnął się i ruszył przed siebie, a Ingalls odsunął się w bok, potknął i prawie przewrócił. Kiedy wszyscy trzej przeszli przez próg, Schwinn zamknął drzwi.**

**Obaj z Milem zaczęli instynktownie rozglądać się po mieszkaniu.**

**Poszarzałe, białe ściany, w pęknięciach tynku i narożnikach brązowe i czarne plamy. Całe pomieszczenie miało może pięć metrów kwadratowych - połączenie salonu, jadalni i kuchni - kuchenne blaty zastawione następnymi pudełkami, zużytymi, tekturowymi talerzami, pustymi puszkami po zupie. Dwa mizerne okna na przeciwległej ścianie, zasłonięte żółtymi żaluzjami. Bura, poplamiona kanapa i czerwone plastikowe krzesło, zarzucone brudnymi ubraniami i pogniecionymi papierami. Obok krzesła przekrzywiony stosik płyt. Na wierzchu “Freak Out” Mothers of Invention sprzed piętnastu lat. Obok tani adapter, na pół przykryty szlafrokiem w kolorze smarków. Otwarte drzwi, za nimi goła ściana.**

**W całym pomieszczeniu wałało się jeszcze więcej puszek po piwie.**

**- Do jakiej szkoły chodzi Janie, proszę pana? - spytał Schwinn.**

**- Do Hollywood High. W co się znowu wpakowała? - Bowie Ingalls podrapał się pod pachą i wyprostował, próbując wykrzesać z siebie trochę ojcowskiego oburzenia.**

**- Kiedy widział ją pan po raz ostatni?**

**- Eee... ona... nocowała u koleżanki.**

**- Kiedy, proszę pana? - spytał Schwinn, wciąż się rozglądając. Spokojnie, urzędowo. Widząc go teraz, trudno byłoby uwierzyć w maniacką tyradę sprzed pięciu minut.**

Milo stał z boku, starając się ochłonąć. Jego umysł chciał działać, ale ciało nie mogło wyzbyć się gniewu, spowodowanego wybuchem Schwinna; serce ciągle mu waliło, wciąż czuł gorąco na twarzy. Mimo wagi wykonywanego zadania wyobrażał sobie partnera przewracającego się na tyłek, przyłapanego na gorącym uczynku z Tonyą albo jakimś innym "informatorem". Rozbawiło go to. Skoro Schwinn mu nie ufał, dlaczego zaryzykował świństwa z Tonyą w jego obecności? Może jest po prostu pieprznięty... Milo porzucił rozmyślenia i skupił się na twarzy Bowiego Ingallsa. Wciąż nie widział na niej strachu, tylko irytującą tępotę.

- Eee... w piątek wieczorem - powiedział Ingalls, jakby zgadując. - Możecie usiąść, jak chcecie.

W całym tym burdelu było tylko jedno wolne miejsce - rozgarnięte na boki śmieci na kanapie. Miejsce drzemki Ingallsa. Apetyczne.

- Nie, dziękujemy - powiedział Schwinn. W ręku miał notes. Milo odczekał chwilę, zanim wyjął swój. Nie chciał sprawiać wrażenia, że naśladuje Schwinna.

- A więc Janie nocowała w piątek u koleżanki.

- No. W piątek.

- Cztery dni temu. - Schwinn notował wszystko swoim złotym parkerem.

- No. Cały czas to robi.

- Sypia u koleżanki?

- Ma szesnaście lat - zaskomlał Ingalls.

- Jak się nazywa koleżanka? Ta z piątku?

Ingalls wypchnął językiem lewy policzek.

- Linda... Nie, Melinda.

- Nazwisko?

**Puste spojrzenie.**

**- Nie wie pan, jak Melinda ma na nazwisko?**

**- Nie lubię tej małej dziwki - powiedział Ingalls. - Ma zły wpływ. Nie lubię, jak tu przychodzi.**

**- Melinda ma zły wpływ na Janie?**

**- Tak. No wie pan.**

**- Pakuje Janie w kłopoty - podpowiedział Schwinn.**

**- No wie pan. Młodzi. Robią różne rzeczy.**

**Milo zdziwił się, co może poruszyć taką gnidę jak Ingalls.**

**- Różne rzeczy - powtórzył Schwinn.**

**- No.**

**- Na przykład?**

**- No wie pan - uparł się Ingalls. - Wagary, łażenie.**

**- Prochy?**

**Ingalls zbladł.**

**- Ja nic nie wiem.**

**- Hmmm - mruknął Schwinn, coś zapisując. - Więc Melinda ma zły wpływ na Janie, ale pozwala pan Janie nocować u Melindy.**

**- Pozwalam? - zakrztusił się Ingalls. - Ma pan dzieci?**

**- Niestety, nie.**

**- No, to dlatego pan pyta. Teraz dzieciakom się już nie pozwala. Robią, co chcą.**

**Nawet nie mogę się dowiedzieć, gdzie wychodzi. Nie mogę jej zmusić, żeby siedziała w szkole. Próbowalem doprowadzać ją osobiście, ale tylko wchodziła, czekała, aż sobie pójdę, i wychodziła. Dlatego pomyślałem, że chodzi o szkołę. A w ogóle o co chodzi? Ma**

**kłopoty?**

**- Miał pan już kłopoty z Janie?**

**- Nie - odparł Ingalls. - Właściwie nie. Jak powiedziałem, tylko wagary i łażenie.**

**Znikanie na kilka dni. Ale zawsze wraca. Powiem coś panu, nad nimi się nie zapanuje.**

**Odkąd miasto przejęli hipisi, szkoda gadać. Jej matka była hipiską, za hipisowskich czasów. Hipisowska zaćpana dziwka, uciekła od nas, zostawiła mnie z Janie.**

**- Janie bierze narkotyki?**

**- Nie tutaj - powiedział Ingalls. - Nie jest taka głupia. - Zamrugał kilka razy i skrzywił się, bezskutecznie próbując zebrać myśli. - O co chodzi? Co zrobiła?**

**Schwinn dalej pisał, ignorując pytanie.**

**- Hollywood High... - powiedział w końcu. - Która klasa?**

**- Druga.**

**- Druga klasa.**

**Kolejne spóźnione przytaknięcie Ingallsa. Ile puszek piwa wypił od rana?**

**- Druga klasa - zapisał Schwinn. - Kiedy ma urodziny?**

**- Eee... w marcu - powiedział Ingalls. - W marcu... dziesiątego.**

**- W tym roku, dziesiątego marca, skończyła szesnaście lat.**

**- No.**

**Szesnaście i pół roku, druga klasa, pomyślał Milo. Rok do tyłu. Niski iloraz?**

**Jakieś problemy z nauką? Kolejny czynnik, który popchnął ją do bycia ofiarą? Jeśli to ona...**

**Zerknął na Schwinna, ale ten wciąż pisał, więc Milo zaryzykował własne pytanie.**

**- Janie nie radzi sobie ze szkołą?**

**Schwinn uniósł brwi, ale nie przerwał robienia notatek.**

- Nienawidzi jej - powiedział Ingalls. - Ledwie czyta. Dlatego nie znosi... -

Przekrwione oczy wypełnił strach. - Co się dzieje? Co ona zrobiła?

Teraz skupił się na Milu. Czekał na odpowiedź, ale tego już Milo nie miał zamiaru ryzykować, więc Ingalls spojrział na Schwinna.

- No, co ona zrobiła, człowieku?! Co zrobiła?

- Może nic - odparł Schwinn, wyjmując niebieską kopertę. - Może ktoś zrobił coś jej.

Rozłożył zdjęcia w wachlarz i wyprostował rękę, podsuwając je Ingallsowi pod nos.

- Co? - bąknął Ingalls. A potem: - Nie.

Spokojnie, bez paniki. Milo pomyślał: w porządku, to nie ona, fałszywy trop, dobrze dla niego, źle dla nas, nic nie wskóraliśmy. Schwinn miał rację. Jak zwykle.

Nadęty drań, będzie się puszył, do końca zmiany trudno będzie z nim wytrzymać...

Ale Schwinn wciąż trzymał zdjęcia w wyciągniętej ręce, a Bowie Ingalls wciąż się w nie wpatrywał.

- Nie - powtórzył. Sięgnął po fotografie - nie naprawdę - tylko żałośnie machnął ręką. Schwinn nie drgnął, a Ingalls cofnął się przed grozą, ściskając dłońmi głowę.

Tupnął tak mocno, że zadygotała podłoga.

Nagle złapał się za wystający brzuch i zgiął wpół, jakby złapał go skurcz. Znow tupnął.

- Nie! - zawył.

I nie przestawał wyć.

Schwinn pozwolił mu na to przez chwilę, potem łagodnie odprowadził na kanapę.

- Przynieś mu coś na wzmocnienie - powiedział do Mila.



**Milo znalazł pełną puszkę budweisera, otworzył ją i przysunął do ust Ingallsa.**

**Pijak potrząsnął głową.**

**- Nie, nie, nie. Zabierzcie to, kurwa, ode mnie.**

**Facet żyje w alkoholowym ciągu, ale nie napije się, kiedy spada na dno. Milo uznał, że miało to uchodzić za oznakę godności.**

**Stali tak przez chwilę, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Schwinn spokojny - dla niego to nie pierwszozna. Może mu się podobało?**

**W końcu Ingalls podniósł wzrok.**

**- Gdzie? - spytał. - Kto?**

**Schwinn podał mu podstawowe szczegóły cichym głosem. Ingalls bez przerwy pojękiwał.**

**- Janie, Janie...**

**- Jak może nam pan pomóc? - spytał Schwinn.**

**- Co mam powiedzieć...? - Ingalls zadygotał. Zadrzał. Skrzyżował chude ręce na piersi. - Coś takiego... kto mógłby... o, Boże... Janie...**

**- Niech pan nam coś powie - naciskał Schwinn. - Cokolwiek. Proszę nam pomóc.**

**- Co... Nie wiem... Ona nie... Odkąd skończyła czternaście lat, właściwie jej nie było, wpadała tu czasami na noc, ale nigdy jej nie było, mówiła, że bym się odpiardolił i zajął własnymi sprawami. Prawie tu nie bywała, rozumiecie?**

**- Nocowała u koleżanek - powiedział Schwinn. - U Melindy i innych.**

**- Wszystko jedno... o, Boże, nie mogę w to uwierzyć... - W oczach Ingallsa zabłyśły łzy, a Schwinn podał mu śnieżnobiałą chusteczkę. W rogu wyszyto złotą nitką monogram PS. Facet ociekał rozpaczal pesymizmem, ale ofiarował własną, wykrochmaloną chusteczkę pijakowi, dla dobra sprawy.**

- Niech mi pan pomoże - szepnął do Ingallsa. - Dla Janie.

- Ja bym... nie wiem, nie rozmawialiśmy... Nie gadaliśmy ze sobą, odkąd... była moim dzieciaczkiem, ale potem już nie chciała być moim dzieciaczkiem, cały czas mówiła, żebym się odpiardolił. Nie mówię, że byłem dobrym tatusiem, ale i tak beze mnie Janie by... skończyła trzynaście lat i nagle przestała się wszystkim przejmować. Zaczęła wychodzić na całe dnie, w szkole wszyscy mieli ją w dupie. Janie tam nie chodziła, nikt ze szkoły nigdy do mnie nie zadzwonił, ani razu.

- A pan dzwonił?

Ingalls potrząsnął głową.

- A po co? Po co miałem rozmawiać z ludźmi, którzy mają mnie w dupie?

Gdybym zadzwonił, pewnie przysłaliby gliny i za coś mnie przytknęli, za zaniedbanie dziecka, cokolwiek. Byłem zajęty, człowieku. Pracowałem... pracowałem kiedyś dla Paramount Studios,

- Naprawdę? - zdziwił się Schwinn.

- No. W dziale reklamy. Transfer informacji.

- Janie lubiła filmy?

- Nee - powiedział Ingalls. - Nie lubiła niczego, czym się zajmowałem.

- A co lubiła?

- Nic. Włóczyć się.

- A ta koleżanka, Melinda. Skoro Janie nigdy panu nie mówiła, dokąd idzie, skąd pan wiedział, że w piątek wieczór była z Melindą?

- Bo widziałem ją w piątek z Melindą.

- O której?

- Około szóstej. Spałem, Janie wpadła po jakieś ciuchy, obudziłem się, a jak

usiadłem, już biegła do drzwi. Wyjrzałem. - Wskazał kciukiem zasłonięte żaluzjami okno. - Zobaczyłem, jak idą gdzieś z Melindą.

- W którą stronę?

- Tam. - Pokazał palcem na północ. W stronę Sunset, może Hollywood Boulevard, jeśli dziewczyny poszły dalej w tamtym kierunku.

- Był z nimi ktoś jeszcze?

- Nie, tylko one dwie.

- Szły, nie jechały samochodem - powiedział Schwinn.

- Janie nie miała prawa jazdy. Mam samochód, ale ledwie jeździ. Nie dałbym...

zresztą ona i tak miała to gdzieś. Łapała okazje. Opowiadałem jej o tym - sam jeździłem stopem, kiedy jeszcze można było to robić, ale teraz, tyle jest tych... myślicie, że to się właśnie stało? Złapała stop i jakiś... o, Boże...

Nie wiedział o zgwałceniu Janie? Jeśli tak, co do jednego można było mu wierzyć

- stracił córkę już dawno temu.

- Jakiś kto? - spytał Schwinn.

- Jakiś... no wiecie - jęknął Ingalls. - Zabrał ją jakiś obcy.

Fotki znalazły się z powrotem w kopercie, ale Schwinn trzymał ją cały czas na widoku. Teraz zamachał nią tuż przed nosem Ingallsa.

- Słusznie, proszę pana, tylko ktoś obcy mógł zrobić coś takiego. Chyba, że myśli pan o czymś innym?

- Ja? Nie - powiedział Ingalls. - Janie była jak jej matka. Nie mówiła... Dajcie mi to piwo.

Kiedy puszka była pusta, Schwinn znów pomachał kopertą.

- Wróćmy do piątku. Janie przyszła do domu po ubrania. Co miała na sobie?

**Ingalls pomyślał chwilę.**

**- Dzinsy i koszulkę - czerwoną, i te wariackie czarne buty na obcasach - na koturnie. Niosła ze sobą swoje imprezowe ciuchy.**

**- Imprezowe ciuchy.**

**- Kiedy się obudziłem i zobaczyłem, że wychodzi, zobaczyłem trochę rzeczy, które miała w torbie.**

**- W jakiej torbie?**

**- Na zakupy. Białej - chyba od Zody'ego, bo tam robi zakupy. Zawsze wsadzała imprezowe ciuchy do toreb na zakupy.**

**- Co pan zobaczył w torbie?**

**- Czerwony top bez ramiączek wielkości plastra. Zawsze jej mówiłem, że to głównie noszą dziwki, żeby to wyrzuciła, kiedyś straszylem, że sam wyrzucę.**

**- Ale pan tego nie zrobił.**

**- Nie - powiedział Ingalls. - Co by to dało?**

**- Czerwony top - powtórzył Schwinn. - Co jeszcze?**

**- Tylko to widziałem. Pewnie jakaś spódniczka, takie mikromini, tylko to kupuje.**

**Buty miała już na sobie.**

**- Czarne na koturnach.**

**- Błyszczące - powiedział Ingalls. - Lakierowane. Zawsze jej powtarzałem, że przez te obcasy kiedyś się przewróci i skręci kark.**

**- Imprezowe ubranie - zapisał Schwinn.**

**Czerwono-czarne imprezowe ciuchy, pomyślał Milo. Przypomniał sobie coś ze szkoły średniej - chłopcy mówili między sobą z radością, że czerwony i czarny w piątek oznaczają dziewczynę chętną i do wzięcia. A on śmiał się razem z nimi, udawał, że go to**

bawi...

- Oprócz dżinsów i koszulek tylko to kupuje - powiedział Bowie Ingalls. -

Imprezowe rzeczy.

- Skoro już o tym mowa - wtrącił Schwinn - zajrzyjmy do jej szary.

Resztę mieszkania stanowiły dwie sypialenki, przedzielone pozbawioną okna łazienką. W łazience unosił się zastarzały smród odchodów.

Schwinn i Milo, przechodząc obok drzwi pokoju Bowiego Ingallsa, zajrzeli do środka. Większość podłogi zajmował podwójny materac. Dawno nieprana pościel była ściągnięta na bok, stłamszona na taniej wykładzinie. Na krawędzi komody z płyty paździerzowej balansował maleńki telewizorek. Do tego jeszcze więcej puszek.

Pokój Janie był jeszcze mniejszy - z trudem mieściło się w nim łóżko z pojedynczym materacem i szafka nocna, też z płyty paździerzowej. Na ścianach wisiały wycinki z młodzieżowych pism, wszystkie pod dziwacznymi kątami. Na szafce siedział oklapnięty, wyglądający na zabloconego wypchany miś koala, obok niego leżała paczka kentów i pół paczki cukierków na kaszel. Pomieszczenie było tak ciasne, że materac blokował drzwi do garderoby, które nie otwierały się na całą szerokość. Schwinn musiał się wygiąć, żeby zajrzeć do środka.

Skrzywił się, wyszedł i spojrzał na Mila.

- Ty to zrób.

Gabaryty Mila nie ułatwiały mu zadania, ale posłuchał.

Zody było tanim sklepem, ale nawet mimo ich cen Janie Ingalls nie uzbierała dużo rzeczy. Na zakurzonej podłodze stała jedna para tenisówek, rozmiar osiem, obok czerwone sandały na koturnie i białe plastikowe trzewiki z przezroczystymi podeszwami. Na wieszakach wisiały dwie pary dżinsów, rozmiaru S, jedno spłowiałe i z dziurami, nie

wiadomo - przetartymi czy zrobionymi celowo, drugie polatane, obie pary tajwańskie.

Cztery prążkowane koszulki bez rękawów, bawełniana bluzka w kwiaty z dziurami po molach na kieszeni na piersi, trzy maleńkie, poliestrowe topy, niewiele większe od chusteczki, którą Schwinn zaferował Ingallsowi - błękitny, czarny, perłowobiały.

Czerwona bluza ze złotym nadrukiem "Hollywood", czarna kurtka z tworzywa imitującego skórę, spękana jak twarz starej kobiety.

Na górnej półce leżały malutkie majtki, staniki, pończochy i kłęby kurzu.

Wszystko śmierdziało papierosami. Tylko kilka kieszeni do przeszukania. Nie licząc ziarenek piasku i opakowania po miętowej gumie do żucia, Milo nic w nich nie znalazł.

Co za pusta egzystencja - prawie jak w jego własnym mieszkaniu. Nie urządził go, odkąd przyjechał do Los Angeles, nie miał jeszcze pewności, czy tu zostanie.

Przeszukał resztę sypialni. Plakaty na ścianach były najbliższym odpowiednikiem rzeczy osobistych. Żadnego pamiątnika, złotych myśli czy zdjęć przyjaciół. Jeśli Janie kiedykolwiek nazywała tą norę domem, zmieniła zdanie już dawno temu. Milo zastanawiał się, czy miała jakieś inne miejsce - swoje miejsce, sanktuarium, w którym trzymała swoje rzeczy.

Zajrzał pod łóżko, znalazł tylko kurz. Kiedy się wyprostował, bolał go kark i barki.

Schwinn i Ingalls wrócili do salonu. Milo sprawdził łazienkę, zaciskając nozdrza, żeby nie czuć smrodu, zbadał apteczkę. Zwyczajne rzeczy - środki przeciwbólowe, na przeczyszczenie, leki na biegunkę, leki na zmniejszenie kwasowości żołądka- całe mnóstwo tych ostatnich. Czyżby coś zżerało Bowiego Ingallsa od środka? Poczucie winy, czy tylko alkohol?

Milo odkrył, że ma ochotę się napić.

**Ingalls siedział skulony na kanapie i patrzył nierozumiejącym wzrokiem.**

**- Co mam teraz zrobić?**

**Schwinn odsunął się od niego, zachowując dystans. Już go nie potrzebował.**

**- Trzeba będzie przeprowadzić pewne procedury - identyfikację zwłok, kilka formularzy. Z identyfikacją można poczekać, aż skończą autopsję. Możliwe, że będziemy mieli do pana jeszcze kilka pytań.**

**Ingalls podniósł wzrok.**

**- O co?**

**Schwinn podał mu swoją wizytówkę.**

**- Jeśli cokolwiek przyjdzie panu do głowy, proszę zadzwonić.**

**- Już wam wszystko powiedziałem.**

**- Zna pan jeszcze jakieś miejsce, gdzie Janie mogła nocować?**

**- Że niby co?**

**- Jakąś metę. Gdzieś, gdzie zbierają się dzieciaki.**

**- Nie wiem, gdzie się zbierają dzieciaki. Nie wiem, gdzie chodzi mój własny dzieciak, to skąd mam wiedzieć?**

**- W porządku, dziękujemy. Przykro nam, panie Ingalls.**

**Schwinn wskazał Milowi drzwi, ale zanim do nich dotarli, odwrócił się do**

**Ingallsa.**

**- Jeszcze jedno: jak wygląda Melinda?**

**Podstawowe pytanie, pomyślał Milo, ale jemu nie przyszło do głowy. Schwinnowi**

**tak, ale zaplanował wszystko, wymierzył. Szurnięty facet, ale i tak pięć długości przed**

**Milem.**

**- Niska, duże cycki, w ogóle duża, znaczy gruba. Blondynka, długie włosy, proste.**

**- Zmysłowa - powiedział Schwinn, smakując to słowo.**

**- Jak zwał, tak zwał.**

**- Jest w wieku Janie?**

**- Może trochę starsza.**

**- Też w drugiej klasie?**

**- Nie wiem.**

**- Zły wpływ - stwierdził Schwinn.**

**- No.**

**- Ma pan jakieś zdjęcie Janie? Coś, co moglibyśmy pokazywać?**

**- Muszę jakieś mieć, prawda? - odparł Bowie, jakby odpowiadał na pytanie**

**egzaminacyjne. Wstał z trudem, powlókł się do sypialni i wrócił chwilę później z fotką, dziesięć na piętnaście.**

**Ciemnowłosa dziewczynka, na oko dziesięcioletnia, w sukience bez rękawów, wpatrzona w półtorametrową Myszkę Miki. Miki uśmiecha się po kretyńsku, jak zwykle, dziewczynka jest wyraźnie przestraszona. Dziecko niczym nie przypominało ofiary masakry na Beaudry.**

**- To Disneyland - powiedział Ingalls.**

**- Zabrał pan tam Janie? - spytał Milo, próbując to sobie wyobrazić.**

**- Nie, to była szkolna wycieczka. Dostali grupową zniżkę.**

**Schwinn oddał zdjęcie Ingallsowi.**

**- Miałem na myśli coś bardziej aktualnego.**

**- Powiniennem coś mieć - powiedział Ingalls - ale za cholere teraz nie znajdę. Jak znajdę, zadzwonię do was.**

**- Zauważyłem - wtrącił Milo - że w pokoju Janie nie ma żadnego pamiętnika.**



**- Skoro pan tak mówi...**

**- Nie widział pan u niej nigdy pamiętnika, jakiegoś notatnika, albumu ze zdjęciami?**

**Ingalls pokręcił głową.**

**- Nie grzebałem w rzeczach Janie, ale ona by czegoś takiego nie miała. Nie lubiła pisać. Ciężko jej szło. Jej matka była taka sama - nigdy nie nauczyła się porządnie pisać. Próbowałem uczyć Janie. Szkoła nic nie zrobiła.**

**Tatko Ochlapus nachylony nad zeszytami córki. Trudno to sobie wyobrazić.**

**Schwinn skrzywił się, stracił cierpliwość do pytań Mila i zdecydowanie przekręcił klamkę.**

**- Do widzenia, panie Ingalls.**

**- To było moje dziecko! - wrzasnął Ingalls, kiedy drzwi się zamknęły.**

**- Co za głupi dupek - stwierdził Schwinn, kiedy jechali do Hollywood High. -**

**Głupi rodzice, głupie dzieci. Kwestia genów. O to ci chodziło z tymi pytaniami o szkołę?**

**- Pomyślałem, że może problemy z nauką zrobiły z niej łatwiejszą ofiarę.**

**- Każdy może być ofiarą - mruknął Schwinn.**

**Szkoła była paskudnym skupiskiem burego betonu, zajmującym cały kwartał po północnej stronie Sunset, na zachód od Highland. Bezosobowa jak lotnisko. Milo poczuł klątwę daremności, kiedy tylko postawił stopę za bramą. Minęli chyba tysiące dzieciaków - wszystkie znudzone, odizolowane, opryskliwe. Uśmiechy i śmiech były wyjątkiem, a każdy kontakt wzrokowy z detektywami jawnie wrogi.**

**Zapytali o drogę jakiegoś nauczyciela, ale spotkali się z takim samym lodowatym przyjęciem. Niewiele lepiej poszło im w sekretariacie dyrekcji. Kiedy Schwinn rozmawiał z sekretarką, Milo przyglądał się przechodzącym dusznym korytarzem**

dziewczynom. Obowiązującą modą wydawały się obcisłe i skąpe ubrania oraz kurewski makijaż; wszystkie te dopiero co rozwinięte ciała obiecywały coś, czego nie były w stanie dać, a Milowi przyszło do głowy pytanie, ile wśród nich może być potencjalnych Janie.

Dyrektor był na spotkaniu w centrali, sekretarka skierowała ich więc do wicedyrektorki, ta zaś zepchnęła na głowę szkolnemu pedagogowi. Pedagogiem okazała się ładna młoda kobieta nazwiskiem Ellen Sato, drobna, o azjatyckich rysach i długich, spadających na ramiona, rozjaśnionych na końcach włosach. Na wieść o śmierci Janie jej twarzy wykrzywiła się boleśnie, a Schwinn wykorzystał to, zarzucając ją lawiną pytań.

Bezskutecznie. Nigdy nie słyszała o Janie, w końcu przyznała się, że pracuje tu dopiero niecały miesiąc. Schwinn dalej naciskał; zniknęła na chwilę i wróciła ze złymi wiadomościami - nie ma żadnych akt na nazwisko Ingalls, ani żadnego zapisu udzielonych porad czy wymierzonych kar dyscyplinarnych.

Dziewczyna była nałogową wagarowniczką, ale system o niej nie wiedział. Bowie Ingalls co do jednej rzeczy miał rację - wszyscy mieli ją gdzieś.

Biedny dzieciak nie miał nikogo, kto by nim pokierował, pomyślał Milo, przypominając sobie własną przygodę z wagarami, kiedy jeszcze jego rodzina mieszkała w Gary, a ojciec pracował w hucie, dobrze zarabiał i uważał się za szczęściarza. Milo miał dziewięć lat i od wakacji dręczyły go koszmary, w których śnili mu się mężczyźni. Pewnego ponurego poniedziałku wysiadł ze szkolnego autobusu i zamiast wejść do szkoły ruszył przed siebie, bezmyślnie stawiając nogi. Zatrzymał się w parku i siadł na ławce jak zmęczony życiem starzec. Siedział tam cały dzień. Zauważyła go przyjaciółka matki, zawiadomiła ją. Matka nie wiedziała, co powiedzieć. Tata, który zawsze był człowiekiem czynu, od razu wiedział, co trzeba zrobić. W ruch poszedł pas. Pięciokilowy,

**hutniczy pas. Milo nie mógł potem bardzo długo siedzieć.**

**To jeszcze jeden powód, dla którego nienawidził starego, jednak nigdy więcej nie poszedł na wagary, skończył rok z dobrymi ocenami. Mimo snów i wszystkiego, co się działo potem. Miał pewność, że ojciec by go zabił, gdyby wiedział, o co naprawdę chodziło.**

**Więc już mając dziewięć lat zaplanował swoją przyszłość i powiedział sobie: musisz uciec od tych ludzi.**

**Teraz się zastanawiał: może w gruncie rzeczy miałem szczęście.**

**- W porządku - powiedział Schwinn do Ellen Sato - widzę, że niewiele o niej wiecie...**

**Młoda kobieta była na skraju łez.**

**- Bardzo mi przykro, proszę pana, ale jak powiedziałam, ja dopiero... co się z nią stało?**

**- Ktoś ją zabił- wyjaśnił Schwinn. - Szukamy jej koleżanki, prawdopodobnie też uczennicy tej szkoły. Melinda, szesnaście lub siedemnaście lat. Długie blond włosy.**

**Zmysłowa. - Przyłożył skulone dłonie do zapadniętej piersi.**

**Biała jak kość słoniowa twarz panny Sato poróżowiała.**

**- Melinda to popularne imię.**

**- Może moglibyśmy spojrzeć na listę uczniów?**

**- Lista... - Panna Sato zamachała rękami. - Mogę dla panów znaleźć książkę rocznika.**

**- Nie macie listy uczniów?**

**- My... wiem, że mamy listy klas, ale są w gabinecie wicedyrektor Sullivan i**

**trzeba wypełnić wniosek. Dobrze, oczywiście, zajrzę tam. Ale wiem, gdzie są książki**

**roczników. O, tutaj - wskazała szafkę.**

**- Świetnie - odparł Schwinn bez entuzjazmu.**

**- Biedna Janie - westchnęła Sato. - Kto mógł zrobić coś takiego?**

**- Ktoś bardzo zły, proszę pani. Zna pani kogoś takiego?**

**- Dobry Boże, nie... - ja się nie... pójdę po tę listę.**

**Obaj detektywi siedzieli na ławce w gabinecie pedagoga, ignorując pełne pogardy spojrzenia wchodzących i wychodzących uczniów. Spisywali nazwiska każdej białej**

**Melindy, włącznie z pierwszorocznikami, ponieważ nie wiadomo było, czy Bowie**

**Ingalls nie pomylił się co do jej wieku. Nie ograniczali się też do blondynek, bo nastolatki często farbują włosy.**

**- A co z jasnymi Meksykankami? - spytał Milo.**

**- Niee - prychnął Schwinn. - Gdyby była meksem, Ingalls by o tym wspomniał.**

**- Dlaczego?**

**- Bo jej nie lubi, dodałby jeszcze jeden argument.**

**Milo wrócił do sprawdzania młodych białych twarzy.**

**Ostateczny rezultat - osiemnaście kandydatek.**

**Schwinn popatrzył na listę i skrzywił się.**

**- Nazwiska, ale bez numerów telefonów. Dalej potrzebna nam ta cholerna lista, żeby ją znaleźć.**

**Mówił cicho, ale siedząca obok recepcjonistka rozpoznała ton jego głosu i spojrzała na niego karcąco.**

**- Jak leci? - rzucił głośniejszym głosem Schwinn, uśmiechając się mściwie do kobiety.**

**Dziewczyna drgnęła i z powrotem pochyliła się nad maszyną do pisania.**

**Milo spojrział na zdjęcie Janie Ingalls z pierwszej klasy. Obok nie było listy zajęć**

nadobowiązkowych. Burza ciemnych włosów, zaczesana nad ładną twarzą, choć robiła upiorne wrażenie z powodu nałożonego makijażu i trupiego cienia do powiek. Milo miał przed sobą kogoś, kto nie był ani dziesięciolatką z Myszką Miki, ani zwłokami znalezionymi przy wjeździe na autostradę. Mocna osobowość, jak na szesnastolatkę. Poprosił recepcjonistkę o zrobienie ksero. Zgodziła się niechętnie, najpierw przyjrząwszy się zdjęciu.

- Zna ją pani? - spytał Milo najuprzejmiej, jak umiał.

- Nie. Proszę. Nie wyszło za dobrze. Trzeba ustawić kopiarkę.

Wróciła Ellen Sato. Miała świeży makijaż, zaczerwienione oczy i wymuszony uśmiech.

- Jak nam poszło?

Schwinn poderwał się szybko, stanął z nią twarzą w twarz, zastraszając mową ciała i wykrzywając usta w tym samym, nieprzyjaznym uśmiechu,

- O, świetnie, proszę pani. - Pokazał jej listę osiemnastu nazwisk. - A teraz może przedstawi nas pani tym młodym damom?

Zebrań wszystkich Melind zabrakło następne czterdzieści minut. Dwanaście z osiemnastu dziewczyn było akurat w szkole. Wkroczyły do gabinetu, wyglądając na niezwykle znudzone. Tylko kilka z nich niejasno zdawało sobie sprawę z istnienia Janie Ingalls, żadna nie przyznała się do bycia jej przyjaciółką ani znajomości z kimś takim, żadna chyba niczego nie ukrywała.

Nie wykazywały też specjalnej ciekawości co do tego, dlaczego chce z nimi rozmawiać policja, jakby obecność policjantów w Hollywood High była czymś normalnym. A może po prostu miały to gdzieś.

Jedno było jasne - Janie w szkole była nikim. Najchętniej współpracująca

**dziewczyna trafiła do grupy przepytanych przez Milo. Nazywała się Melinda Kantor i**

**z trudem można było ją uznać za blondynkę, a już na pewno nie za zmysłową.**

**- A, ona. To jaracz, no nie?**

**- Tak? - spytał Milo.**

**Dziewczyna wzruszyła ramionami. Miała podłużną ładną twarz, odrobinę**

**końską. Pięciocentymetrowe tipsy, stanika nie stwierdzono.**

**- Trzyma się z innymi jaraczami? - spytał Milo.**

**- E-e, to nie jest towarzyski jaracz, tylko jaracz-samotnik.**

**- Jaracz-samotnik.**

**- No.**

**- To znaczy...?**

**Dziewczyna obdarzyła go spojrzeniem, mówiącym “ale z ciebie lamer”.**

**- Uciekła z domu, czy coś takiego?**

**- Coś takiego.**

**- Może jest na Boulevard - stwierdziła Melinda Kantor.**

**- Hollywood Boulevard?**

**Uśmiezek mówiący: “jeszcze jedno głupie pytanie”. Milo wiedział, że traci kontakt z dziewczyną.**

**- Tam chodzą jaracze-samotnicy?**

**Melinda Kantor patrzyła na niego jak na idiotę.**

**- Tak tylko powiedziałam. Co zrobiła**

**- Może nic.**

**- Jasne. Ale to dziwne.**

**- Co takiego?**

- Normalnie do ćpunów przysyłają młodych i przystojnych gliniarzy.

Ellen Sato zapisała adresy i numery telefonów sześciu nieobecnych Melind, a Schwinn i Milo spędzili resztę dnia na domowych wizytach.

Pierwsze cztery dziewczyny mieszkały w niedużych, ale schludnych domkach jednorodzinnych na granicy Hollywood i okręgu Los Feliz i leżały chore w łóżkach.

Melindy Adams, Greenberg i Jordan miały gripę, Melinda Hohlmeister została powalona przez atak astmy. Wszystkie cztery matki czuwały przy córkach, wszystkie były mocno zaskoczone najściem policji, ale wpuściły detektywów do domu. Ich pokolenie ciągle szanowało - albo bało się - władzy.

Melinda Adams była drobną, platynową blondyneczką. Miała czternaście lat, wyglądała na jedenaście i stosownie do tego się zachowywała. Melinda Jordan, chuda piętnastoletnia brunetka, zmagala się z przerażającym katarem i potężnym trądzikiem. Greenberg była długo włosą blondynką, nawet dość piersiastą. Ona i jej matka mówiły prawie niezrozumiałym językiem - niedawno wyemigrowały z Izraela. Na łóżku Melindy leżały pootwierane podręczniki do fizyki i matematyki. Kiedy detektywi weszli do jej sypialni, podkreślała właśnie coś żółtym markerem. Nie miała pojęcia, kim była Janie Ingalls. Melinda Hohlmeister była nieśmiałym, jękającym się, pucolowatym dzieciakiem o krótkich lokach koloru świeżej kukurydzy. Miała średnią pięć zero i oddychała z wyraźnym trudem.

Żadna z nich nie zareagowała na nazwisko Janie.

Nikt nie otworzył drzwi dużego, nowoczesnego domu Melindy Van Epps na wzgórzach. Sąsiadka zbierająca właśnie kwiaty wyjaśniła, że cała rodzina od dwóch tygodni jest w Europie. Ojciec Melindy był jednym z członków rady nadzorczej Standard Oil, więc Van Eppowie bez przerwy wyjeżdżali gdzieś razem z całą piątką

**dzieci. Zapewniali im nauczycieli, to bardzo porządni ludzie.**

**Nikt nie odpowiedział również na pukanie do drzwi odrapanego domu Melindy Waters na North Gower. Schwinn dobijał się dość głośno, ponieważ dzwonek był zaklejony taśmą klejącą i opatrzony napisem "zepsuty".**

**- Dobra, zostaw im wiadomość - powiedział do Mila. - Pewnie i tak gówno z tego będzie.**

**Właśnie kiedy Milo wpychał kartkę w szparę na listy, drzwi niespodziewanie szeroko się otworzyły.**

**Stojąca w nich kobieta mogła być duchową siostrą Bowiego Ingallsa. Około czterdziestki, chuda, ale z obwisłym brzuchem, ubrana w spłowiałą, brązową podomkę.**

**Miała cerę koloru musztardy, a utlenione włosy spięte bezładnie z tyłu głowy.**

**Zaniepokojone niebieskie oczy patrzyły z twarzy bez makijażu, o spękanych wargach.**

**Patrzyły ze strachem.**

**- Pani Waters? - spytał Milo.**

**- Jestem Eileen. - Głos ochryply od papierosów. - O co chodzi?**

**Schwinn pokazał jej odznakę.**

**- Chcielibyśmy porozmawiać z Melindą.**

**Głowa Eileen Waters odskoczyła w tył, jakby ktoś ją uderzył.**

**- O czym?**

**- O jej koleżance, Janie Ingalls.**

**- Och. O niej - powiedziała Waters. - Co zrobiła?**

**- Ktoś ją zabił - odparł Schwinn. - I to w dość paskudny sposób. Gdzie jest**

**Melinda?**

**Eileen Waters otworzyła spękane usta, ukazując nierówne zęby pokryte żółtym**



nalotem. Podejrzliwością zastępowała godność, a teraz, straciwszy jedno i drugie, oparła się ciężko o futrynę drzwi.

- O, mój Boże.

- Gdzie jest Melinda? - powtórzył Schwinn.

Waters potrząsnęła opuszczoną głową.

- O, Boże, o, Boże.

Schwinn przytrzymał ją za rękę.

- Gdzie jest Melinda? - spytał po raz trzeci stanowczo.

Eileen Waters pokręciła kilka razy głową, a kiedy się odezwała, jej głos należał jakby do kogoś innego - zastraszonej, skarczonej kobiety. Zaczęła płakać. W końcu przestała.

- Melinda nie wróciła do domu, nie widziałam jej od piątku.

Dom Watersów był o klasę lepszy od nory Bowiego Ingallsa. Urządzono go starymi, nieładnymi meblami, które mogły pochodzić z jakiegoś porządnego, środkowozachodniego domostwa. Zbrązowiałe pokrowce na oparciach foteli świadczyły, że kiedyś ktoś o nie dbał. Wszędzie stały wypełnione szarym popiołem i petami popielniczki, a powietrze śmierdziało sadzą. Nie było widać pustych puszek po piwie, ale Milo zauważył opróżnioną w trzech czwartych butelkę dewarsa na kuchennym blacie, obok słoika z czymś czerwonym. Wszystkie zasłony zaciągnięto, pogrążając dom w nieustannym zmroku. Działanie słońca bywa bolesne dla kogoś, kogo przy życiu utrzymuje etanol.

Schwinnowi z miejsca nie spodobała się Eileen Waters, chyba, że naszedł go zły humor albo miał naprawdę jakiś powód, żeby tak na nią wsiadać. Posadził ją na kanapie i zaczął zasypywać pytaniami.

Nie próbowała się bronić, paliła tylko jednego za drugim parlamenty, więc nietrudno było wyciągnąć z niej zeznanie.

Melinda była krnąbrna, od dawna opierała się wszelkim próbom narzucenia jej jakiegó dyscypliny. Tak, brała narkotyki - na pewno paliła marihuanę. Eileen znajdowała w jej kieszeniach resztki, nie była pewna co do cięższych rzeczy, ale nie odrzucała takiej możliwości.

- A Janie Ingalls? - spytał Schwinn.

- Żartuje pan? To ona wciągnęła Melindę w prochy.

- Jak to?

- Ta dziewczyna chodziła bez przerwy naćpana.

**- Ile lat ma Melinda?**

**- Siedemnaście.**

**- W której jest klasie?**

**- W trzeciej - wiem, że Janie była w drugiej, ale to, że Melinda jest starsza wcale nie musi znaczyć, że namówiła tamtą do czegokolwiek. Janie była dzieckiem ulicy.**

**Jestem pewna, że to ona wciągnęła Melindę w trawę... Boże, gdzie ona może być?**

**Milo przypomniał sobie przeszukanie pokoju Janie - nie było tam śladu prochów, nawet bibulek do skrętów ani fifki.**

**- Melinda i Janie bardzo się przyjaźniły - mówiła pani Waters. - Obie miały gdzieś szkołę, cały czas gdzieś się włóczyły.**

**- Co pani w tej sprawie zrobiła?**

**Kobieta roześmiała się.**

**- O co panu chodzi? - Potem wrócił strach. - Melinda wróci, zawsze wraca.**

**- Co pani miała na myśli mówiąc, że Janie była dzieckiem ulicy? - spytał Schwinn.**

**- Wie pan - odparła Waters. - Takie rzeczy widać. Miała doświadczenia.**

**- Seksualne?**

**- Tak myślę. Melinda była w zasadzie dobrym dzieckiem.**

**- Janie spędzała tu dużo czasu?**

**- Nie. Najczęściej zabierała Melindę i wychodziły.**

**- Tak było w piątek?**

**- Nie wiem.**

**- To znaczy?**

**- Byłam na zakupach. Wróciłam do domu, a Melindy nie było. Wiem, że była**

wcześniej w domu, bo zostawiła majtki na podłodze i jedzenie na stole w kuchni.

- Jedzenie dla jednej osoby?

Pani Waters zastanowiła się.

- Jedną porcję do mikrofalówki i puszkę pepsi. Chyba.

- Więc po raz ostatni widziała pani Melinę w piątek rano, ale nie wie pani, czy

Janie po nią przyszła?

Kobieta kiwnęła głową.

- Mówiła, że idzie do szkoły, ale nie sędzę, żeby tak było. Miała pełną torbę

ubrań, a kiedy spytałam, po co jej to, powiedziała, że wieczorem idzie na jakąś imprezę i

może nie wrócić na noc do domu. Pokłóciliśmy się o to, ale co mogłam zrobić? Chciałam

się dowiedzieć, gdzie będzie ta impreza, ale powiedziała mi tylko, że to jakiś luksusowy

ubaw, na Westside.

- A dokładnie gdzie?

- Powiedziałam panu, nie chciała mi zdradzić. - Po twarzy kobiety przebiegł

skurcz. - Duża impreza. Bogate dzieciaki. Powtórzyła to kilka razy. Powiedziała, że nie

mam się o co martwić.

Spojrzała na Schwinna i Mila, szukając otuchy, ale zobaczyła dwie kamienne

twarze.

- Duża impreza na Westside - powtórzył Schwinn. - Może w Beverly Hills albo w

Bel Air.

- Pewnie tak... spytałam, jak chce się tam dostać, powiedziała, że coś wymyśli.

Zabroniłam jej jechać stopem, a ona obiecała, że nie pojedzie.

- Nie podoba się pani, kiedy Melinda jeździ stopem?

- A panu by się podobało? Dziewczyny stoją tak na Sunset, zatrzymują

**samochody, każdy zboczeniec... - Przerwała, zeszywniała. - Gdzie była... gdzie**

**znaleźliście Janie?**

**- Niedaleko centrum.**

**Pani Waters odprężyła się.**

**- No proszę bardzo, to przeciwny kierunek. Melindy z nią nie było. Melinda była na Westside.**

**Schwinn spojrział przelotnie zmrużonymi oczami na Mila. Bowie Ingalls widział, jak Melinda zabiera Janie w piątek i jak obie dziewczyny idą do Alei Stopu. Ale nie było powodu, by teraz o tym wspominać.**

**- Melinda wróci - zapewniła pani Waters. - Czasami tak robi. Znika. Ale zawsze wraca.**

**- Czasami - powtórzył Schwinn. - Na przykład raz w tygodniu?**

**- Nie, nie aż tak. Po prostu raz na jakiś czas.**

**- A na jak długo znika?**

**- Na noc - powiedziała pani Waters. Oklapła i spróbowała się uspokoić**

**dwudziestosekundowym zaciągnięciem papierosem. Ręka jej drżała. Toczyła bój z faktem, że jak dotąd Melinda nigdy nie zniknęła na tak długo.**

**Potem poderwała głowę.**

**- Raz nie było jej przez dwa dni. Pojechała zobaczyć się z ojcem. Służy w marynarce, mieszkał kiedyś w Oxnard.**

**- Gdzie jest teraz?**

**- W Turcji. W bazie marynarki wojennej. Wypłynął dwa miesiące temu.**

**- Jak Melinda dostała się do Oxnard?**

**Eileen Waters przygryzła wargę.**

**- Stopem. Nie powiem mu o tym. Nawet gdyby udało mi się z nim skontaktować, zacząłby mnie tylko oskarżać... do tego ta jego dziwka.**

**- Druga żona? - spytał Schwinn.**

**- Jego kurwa - warknęła pani Waters. - Melinda jej nienawdziła. Melinda wróci do domu.**

**Dalsze wypytywanie było bezcelowe. Kobieta nie wiedziała nic więcej o “dużej imprezie na Westside”, cały czas traktowała miejsce znalezienia Janie jako bezsprzeczny dowód, że Melindy z nią nie było. Udało im się wydostać od niej zdjęcie córki. W przeciwieństwie do Bowiego Ingallsa pani Waters miała album, a chociaż nastoletnia Melinda nie zajmowała w nim dużo miejsca, detektywi mieli do wyboru całą stronę fotografii.**

**Bowie Ingalls był niesprawiedliwy wobec Melindy. Dziewczyna nie była ani trochę otyła, miała wspaniale zaokrąglone kształty, wysokie, pełne piersi i wąską talię. Proste blond włosy zakrywały peleryną całe plecy. Stworzone do całowania usta uśmiechały się uroczo.**

**- Wygląda jak Marylin, prawda? - powiedziała jej matka. - Może kiedyś zostanie gwiazdą.**

**- Kiedy znajdziemy jej ciało? - spytał Milo, gdy wracali na posterunek.**

**- A kto to, kurwa, może wiedzieć? - odparł Schwinn, przyglądając się zdjęciu Melindy. - Wszystko wskazuje na to, że Janie mogła być przystawką, a ta głównym daniem. Spójrz tylko na te cycki. Miałby się czym bawić. Taak, z nią by szybko nie skończył.**

**Schowal zdjęcie do kieszeni.**

**Milo wyobraził sobie komnatę tortur. Jasnowłosa dziewczyna naga, przykuta...**

**- Jak się zabierzemy do szukania?**

**- Wcale - powiedział Schwinn. - Jeśli już nie żyje, musimy czekać, aż ktoś znajdzie trupa. Jeśli on wciąż ją ma, nie powie nam o tym.**

**- A przyjęcie na Westside?**

**- Co z nim?**

**- Moglibyśmy dać znać do wydziału zabójstw w zachodnim Los Angeles, szeryfów, komisariatu w Beverly Hills. Czasami imprezy za bardzo się rozkręcają, patroli przyjeżdżają na wezwanie sąsiadów.**

**- I co z tego? - powiedział Schwinn. - Zapukamy do drzwi jakiegoś bogatego dupka i powiemy: "przepraszamy pana bardzo, czy przypadkiem nie morduje pan właśnie tej dziewczyny"? - Pociągnął nosem, zakaszlał, wyjął buteleczkę syropu i napił się. - Cholera, ależ tam było kurzu, u tej Waters. Amerykańska mamuśka, kolejna kiepska wymówka dla dorosłego. Kto wie, może wcale nie było żadnej imprezy.**

**- Dlaczego?**

**- Bo dzieci okłamują swoich rodziców. - Schwinn obrócił się do Mila. - O co ci, kurwa, chodzi z tymi pytaniami? Wybierasz się na prawo?**

**Milo powstrzymał się od odpowiedzi i reszta drogi upłynęła tak, jak zazwyczaj.**

**- Jak chcesz powęszyć przy wezwaniach na Westside, proszę bardzo - powiedział Schwinn przecznicę od posterunku - ale według mnie blondi nałgała mamusi jak zwykle, bo porządna impreza na Westside to właśnie coś, co by ją uspokoiło. Sto do jednego, że blondi i Janie szły na Strip zdobyć trochę towaru, może w zamian za kilka obciągnięć czy coś takiego. Trafiły na zły samochód i skończyły w centrum. Janie była za głupia, żeby nauczyć się czegoś po swoich poprzednich doświadczeniach - albo tak jak mówiłem, może lubiła, żeby ktoś ją wiązał. Była ćpunką. Pewnie obie były.**

- Twój informator też mówił coś o imprezie na Westside.

- Uliczna gadka jest jak arbuz, trzeba wybierać pestki. Najważniejsze jest to, że

Janie została znaleziona w centrum. A Melinda pewnie też gdzieś tam jest, jeśli ten kutas ją dostał i załatwił. Najpewniej miał ją w bagażniku, kiedy układał Janie na Beaudry.

Wrócił na autostradę, teraz może być w Nevadzie.

Pokręcił głową.

- Durne dziewczuchy. Obie myślały, że mają w garści cały świat, a świat nagle się odwrócił i ugryzł.

Na posterunku Schwinn zebrał z biurka swoje rzeczy i wyszedł, nie mówiąc nic

Milowi. Nawet się nie wypisał. Nikt nie zauważył - żaden z detektywów nie zwracał uwagi na Schwinna i tyle.

To wyrzutek, pomyślał Milo. Dali mu mnie do pary przypadkiem?

Zostawił te rozmyślania i do zmroku siedział przy telefonie. Dzwonił do

wszystkich placówek policji na zachód od rejonu Hollywood, wypytując o wezwania do

zbyt głośnych imprez. Nie pominął też prywatnych agencji - Patrolu Bel Air i innych

firm, pracujących w Beverlywood, Cheviot Hills, Pacific Palisades. Prywaciarze okazali

się najgorsi - żaden z nich nie chciał nic powiedzieć bez konsultacji z górą, Milo musiał

więc podawać im nazwisko oraz numer odznaki i czekać, aż oddzwonią, co pewnie nigdy nie miało nastąpić.

Pracował dalej, zarzucając sieci do Santa Monica i dalej, zahaczając nawet o

południowe rubieże hrabstwa Ventura, ponieważ Melinda Waters pojechała kiedyś

stopem do Oxnard zobaczyć się z ojcem. A dzieciaki lubiły imprezować na plaży. Milo

często jeździł w bezsenne noce wzdłuż wybrzeża, wypatrując ognisk i niewyraźnych

sylwetek par, i zastanawiając się, jakby to było kogoś mieć.



**Cztery godziny pracy zaowocowały dwoma kiepskimi śladami - albo Los Angeles zrobiło się śpiące, albo nikomu już nie przeszkadzają hałasy.**

**Dwa wielkie pudła: pięćdziesiąte urodziny chirurga na Roxbury Drive w Beverly Hills spowodowały w piątkową noc skargi marudnego sąsiada.**

**- Młodzież? Nie, raczej nie - zaśmiał się dyżurny z Beverly Hills. - Krawaty, smokingi i tak dalej. Orkiestra Lestera Lanina grała swinga, a ktoś i tak narzekał.**

**Niektórym nie da się dogodzić, co?**

**Drugie pudło w Santa Monica: bar micwa na Piątej ulicy, na północ od Montana została zakończona parę minut po drugiej w nocy, kiedy rozochoczone trzynastolatki zaczęły odpalać petardy.**

**Milo odłożył słuchawkę i przeciągnął się. Piekły go uszy, a kark szczypał jak suchy lód. Kiedy o pierwszej wychodził z posterunku, w głowie niczym wstrętne mantra rozbrzmiewał mu głos Schwinna.**

**“A nie mówilem, dupku? A nie mówilem, dupku?”**

**Pojechał do baru na Ósmej ulicy, niedaleko hotelu Ambassador. Mijał go kilka razy - obskurną dziurę na parterze starej, ceglanej kamienicy, która najlepsze dni miała już za sobą. Siedzący w środku klienci też nie byli w szczytowej formie - wejście Mila obniżyło średni wiek pijących o kilkadziesiąt lat. Z głośników leciał Mel Torme, na zadymionym barze stały podejrzenie wyglądające krewetki na wykalaczkach i miseczki z chrupkami. Milo strzelił kilka kieliszków i piw, wyszedł, nie patrząc nikomu w oczy i pojechał na Santa Monica Boulevard. Pojeździł po Boystown, ale nawet nie walczył z pokusą: tego wieczoru męskie dziwki wyglądały drapieżnie, a Milo zdał sobie sprawę, że nie ma ochoty na niczyje towarzystwo, nawet swoje. Kiedy wrócił do mieszkania, znów zaczęły go męczyć wizje męki Melindy Waters, więc wyciągnął z szafki w kuchni butelkę**

whisky. Był zmęczony, ale nie mógł zasnąć. Rozebranie się było prawdziwą torturą. Milo zamknął oczy, żeby nie widzieć swojego żalostnego bladego ciała.

Położył się do łóżka, żalując, że ciemność nie jest bardziej nieprzenikniona.

Żalując, że nie ma zaworu w mózgu, którym mógłby odciąć napływ koszmarnych obrazów. W końcu uspiła go alkoholowa kołysanka.

Następnego ranka podjechał do kiosku i kupił "Timesa" i "Heraldexaminera".

Żaden reporter nie dzwonił do niego ani do Schwinna w sprawie morderstwa Janie Ingalls, ale coś tak paskudnego musiało znaleźć się w gazetach.

Nie było. Nawet krótkiej wzmianki.

Milo nic nie rozumiał. Reporterzy wiedzieli o wszystkim, co się dzieje w policji, pilnowali też kostnicy.

Popędził na posterunek, sprawdził skrzynki swoją i Schwinna, szukając pytań od prasy. Znalazł tylko zawiadomienie o telefonie, opatrzone swoim nazwiskiem. Niejaki Del Monte z Patrolu Bel Air, nie zostawił wiadomości. Milo wykręcił podany numer, przebił się przez kilka znudzonych głosów, w końcu połączyli go z ochroniarzem.

- A, tak. To pan dzwonił w sprawie imprez. - Facet mówił ostrym, urywanym tonem. Milo do razu wiedział, że rozmawia z byłym wojskowym. W średnim wieku - Korea, nie Wietnam.

- Zgadza się. Dzięki, że pan oddzwonił. Co pan ma?

- Dwa z piątku, oba przez durne dzieciaki. Pierwsze to słodka szesnasteczka na Stradella, same grzeczne dziewczynki. Kilku gówniarzy próbowało się wkręcić. To nie byli miejscowi, jacyś czarni i Meksykanie. Rodzice dziewczynek zadzwonili po nas, a my ich wyrzuciliśmy.

- Skąd byli ci gówniarze?

- Mówili, że z Beverly Hills. - Del Monte się zaśmiał. - Akurat.

- Mieliście z nimi jakieś kłopoty?

- Nie od razu. Udali, że wyjeżdżają z Bel Air. - Jechaliśmy za nimi do Sunset, potem się zaczęliśmy. Ci idioci przejechali przez rzekę przy uniwersytecie, a potem próbowali wrócić, kilka minut później, i pojechać na następną imprezę. - Del Monte znów zachichotał. - Błada dupa, Pachuco. Nasi ludzie już tam byli, wezwani przez sąsiadów. Pogoniliśmy gówniarzy, zanim jeszcze wysiedli z samochodów.

- Gdzie była ta druga impreza?

- Ta była spora, dużo hałasu. W górze Stone Canyon Drive, daleko za hotelem.

O tym miejscu wspominał informator Schwinna.

- Czyj to dom?

- Pustostan - powiedział Del Monte. - Rodzina kupiła większy, ale nie sprzedała tego. Rodzice pojechali na wakacje, zostawili dzieciaki, no i dzieciaki oczywiście postanowiły zabawić się w pustej chałupie. Zaprosili chyba całe miasto. Musiało tam być ze dwieście, trzysta osób, samochody - porsche i inne fajne zabawki, sporo rejestracji spoza miasta. Kiedy się tam pojawiliśmy, już wszystko kipiało. To duża działka, najbliżsi sąsiedzi mieszkają kawalek dalej, ale nawet oni tym razem mieli dosyć.

- Tym razem? - spytał Milo. - To nie był pierwszy raz?

Chwila milczenia.

- Mieliśmy tam kilka innych wezwań. Próbowaliśmy skontaktować się z rodzicami, nie udało się, nigdy nie ma ich w mieście.

- Rozwydrzone szczeniaki.

Del Monte roześmiał się.

- Ja tego nie powiedziałem. A właściwie o co chodzi?

**- Ustalamy, gdzie mogła przebywać ofiara morderstwa.**

**Milczenie.**

**- Morderstwa? Nie, to niemożliwe. To były tylko dzieciaki, bawiły się i rozkręciły za głośno muzykę.**

**- Na pewno ma pan rację - powiedział Milo. - Ale mam informacje, że ofiara mogła być na imprezie na Westside, więc muszę zapytać, jak nazywają się właściciele tego domu?**

**Dłuższe milczenie.**

**- Niech pan posłucha - odezwał się w końcu Del Monte. - Ci ludzie... Jak pan mnie w to wrobi, skończę jako parkingowy. I niech mi pan wierzy, nikt nie widział tam nic gorszego niż pieprzenie się w krzakach, kilka skrętów - wielkie rzeczy. Zresztą rozgoniliśmy towarzystwo.**

**- To rutynowe dochodzenie, proszę pana - powiedział Milo. - Pana nazwisko nigdzie się nie pojawi. Ale jeśli tego nie sprawdzę, to ja będę parkował samochody. Czyj to dom i jaki to adres?**

**- Informacje? - spytał Del Monte. - W piątek wieczorem musiało być mnóstwo imprez.**

**- Sprawdzamy wszystkie, o których nam wiadomo. Dlatego wasza nie będzie się wyróżniać.**

**- W porządku... to rodzina Cossacków. - Del Monte powiedział to tak, jakby samo nazwisko miało coś znaczyć.**

**- Cossacków - powtórzył Milo obojętnie.**

**- Wie pan, biura, centra handlowe - Garvey Cossack. Gruba ryba, jeden z tych, co chcieli sprowadzić z powrotem do Los Angeles drużynę futbolową.**

- Tak, pamiętam - skłamał gładko Milo. Jego zainteresowanie sportem nie wykraczało poza trawnikowego baseballa. - Cossackowie na Stone Canyon. Jaki numer?  
Del Monte westchnął i podyktował mu adres.

- Ile mają dzieci? - spytał Milo.

- Troje: dwóch chłopaków i dziewczynę. Nie widziałem tam córki, ale mogła być.

- Zna pan te dzieci osobiście?

- Nie, tylko z widzenia.

- Więc chłopcy urządzili imprezę - powiedział Milo. - Jak się nazywają?

- Starszy Garvey Junior, a młodszy Bob, ale mówią na niego Bobo.

- Ile mają lat?

- Junior pewnie dwadzieścia jeden, dwa. Bobo może być rok młodszy.

To już nie dzieci, pomyślał Milo.

- Nie sprawiają nam kłopotów - powiedział Del Monte. - To tylko dwóch chłopaków, którzy lubią się zabawić.

- A dziewczyna?

- Dziewczyny nie widziałem.

Milo pomyślał, że wychwycił w głosie ochroniarza jakiś nowy ton.

- Imię?

- Caroline.

- Wiek?

- Młodsza, może z siedemnaście lat. Ale naprawdę to nie było nic takiego, wszyscy rozeszli się do domów. Powiedzieli mi, że jest pan z Central. Gdzie znaleziono zwłoki?

Milo wyjaśnił.

- No i proszę - ucieszył się Del Monte. - Dwadzieścia kilometrów od Bel Air.

**Marnuje pan czas.**

**- Pewnie tak. Trzysta rozbawionych dzieciaków pojechało tak po prostu do domu, kiedy się pojawiliście?**

**- Mamy doświadczenie w takich sprawach.**

**- No więc jak należy to robić? - spytał Milo.**

**- Być delikatnym - odparł prywatny glina. - Nie traktować ich jak gówniarzy z Watts czy wschodniego Los Angeles, bo oni przywykli do pewnego stylu.**

**- Jakiego stylu?**

**- Trzeba ich traktować, jakby byli ważni. Jeśli to nie podziała, trzeba pogrozić, że zadzwoni się do rodziców.**

**- A jeśli to też nie podziała?**

**- Zazwyczaj działa. Muszę iść, miło mi się z panem rozmawiało.**

**- Dziękuję, że mi pan poświęcił czas. Proszę posłuchać, gdybym do was wpadł i pokazał waszym ludziom zdjęcie, jest szansa, że ktoś by rozpoznał twarz?**

**- Czyją twarz?**

**- Ofiary.**

**- Nie ma mowy. Mówilem panu, to był tłum. Po jakimś czasie wszyscy zaczynają wyglądać tak samo.**

**- To bogate dzieciaki?**

**- Różne.**

**Dochodziła dziesiąta rano, a Schwinna jeszcze nie było. Milo doszedł do wniosku, że im wcześniej pokaże zdjęcie Janie ochroniarzowi i jego kolegom z patrolu, tym lepiej. Założył kurtkę i wyszedł z posterunku.**

**Del Monte był na tyle przyzwoity, żeby zadzwonić i prosić, w co się wpakował.**

**Żaden dobry uczynek nie uchodzi na sucho.**

**Dojazd do Bel Air zajął Milowi prawie czterdzieści minut. Biuro patrolu mieściło się w białym domku przykrytym dachówką, wciśniętym tuż za zachodnią rogatką. Z zewnątrz i od środka sporo architektonicznych szczegółów - Milo z przyjemnością zamieszkałby w czymś takim. Słyszał, że rogatki i prywatne agencje policyjne powstały z inicjatywy Howarda Hughesa, kiedy mieszkał w Bel Air - miliarder nie ufał państwowej policji.**

**Del Monte siedział za biurkiem dyżurnego, a kiedy Milo wszedł, jego ciemna okrągła twarz wykrzywiła się w kwaśnym grymasie. Milo przeprosił i wyjął fotkę, jedną z tych, które Schwinn zostawił mu na biurku. Najmniej przerażającą - profil twarzy Janie, z samym skrawkiem otarcia na szyi. Del Monte pokręcił krótko głową. Dwaj inni strażnicy pili kawę. Przyjrzeni się zdjęciu uważniej, ale też zaprzeczyli. Milo żałował, że nie może pokazać zdjęcia Melindy Waters, ale Schwinn zabrał je ze sobą.**

**Wyszedł z biura patrolu i pojechał do domu na Stone Canyon Drive, wielkiego dwupiętrowego budynku w stylu kolonialnym, z czerwonej cegły, z kolumnami przed wejściem. Czarne dwuskrzydłowe drzwi, czarne okiennice, wielodzielne okna, wieloszczytowy dach. Milo oceniał wewnątrz na dwadzieścia, dwadzieścia pięć pokoi. Cossackowie przeprowadzili się do większego.**

**Wielki wyschnięty trawnik i obłaząca z okiennic farba sugerowały, że odkąd dom opustoszał, przestano się o niego troszczyć. Połamany żywoplot i śmieci na ceglany podjeździe były jedynymi śladami po hulance. Milo zaparkował i wysiadł z samochodu. Podniósł jeden z walających się na ziemi papierów, mając nadzieję, że będzie na nim coś napisane, strzęp jednak okazał się miękki i wilgotny - papierowy ręcznik. Furtka na podwórze była zamknięta. Milo wspiał się na palce, zajrzał górą, zobaczył wielki**

**błękitny owal basenu, dużo zieleni, ceglane patio i skaczące wszędzie sójki. Za jednym z żywoplotów zauważył błysk - puszki i butelki.**

**Najbliżsi sąsiedzi mieszkali od południa, oddzieleni od wielkiego domu rozległymi trawnikami, w dużo mniejszym, schludnie utrzymanym parterowym bungalowie, ozdobionym klombami i karłowatymi jałowcami, przyciętymi jak w japońskim ogrodzie. Północną granicę posiadłości Cossacków wyznaczał trzymetrowej wysokości kamienny mur, ciągnący się dobre trzysta metrów wzdłuż Stone Canyon. Stojący tam gigantyczny pałac był niewidoczny z ulicy.**

**Milo przeszedł po suchym trawniku i pustym podjeździe do frontowych drzwi bungalowu, tekowych, z lśniącą, mosiężną kołatką w kształcie łabędzia. Z prawej strony, nad maleńkim, bulgoczącym strumykiem stała nieduża betonowa kapliczka shinto.**

**Na dzwonek odpowiedziała bardzo wysoka kobieta pod siedemdziesiątkę.**

**Dostojna, dumna, miała pulchne zaróżowione policzki i siwe włosy, związane w kok tak ciasny, że chyba sprawiał jej ból. Ubrana była w kremowe kimono, ręcznie malowane w motyle i czaple. W poznaczonej wątrobowymi plamami dłoni trzymała pędzelek z kości słoniowej, umaczany w czarnej farbie. Nawet w satynowych płaskich kapciach niemal dorównywała Milowi wzrostem. W butach na obcasie wyglądałaby jak olbrzymka.**

**- Ta-ak? - Czujne spojrzenie, wypracowany starannie kontralt.**

**Podsunął odznakę.**

**- Detektyw Sturgis, pani...**

**- Schwartzman. Co sprowadza detektywa do Bel Air?**

**- Cóż, proszę pani, w zeszły piątek państwa sąsiedzi urządzili przyjęcie...**

**- Przyjęcie - powtórzyła kobieta, jakby to określenie było absurdalnie nietrafione.**

**Wycelowała pędzelkiem w opustoszały dom. - Chyba raczej rykowisko. Cossackowie,**



**trafnie dobrane nazwisko\* [Cossack (ang.) - Kozak (przyp. tłum.)].**

**- Trafnie dobrane?**

**- To barbarzyńcy - wyjaśniła pani Schwartzman. - Plaga.**

**- Mielście państwo z nimi wcześniej jakieś problemy?**

**- Mieszkali tu niecałe dwa lata i wszystko zniszczyli. Najwyraźniej wszędzie tak postępują. Wprowadzić się, zniszczyć, wyprowadzić się.**

**- Do czegoś większego.**

**- Oczywiście. Przecież większe znaczy lepsze, prawda? To prostacy. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę to, czym zajmuje się ojciec.**

**- Czym się zajmuje?**

**- Niszczy stylową architekturę, na jej miejsce stawiając groteskę. Kartonowe pudła, udające biurowce, galerie handlowe z podziemnymi parkingami - coś potwornego. A ona... rozpaczliwie farbowana blondynka, wiecznie spocona ze strachu karierowiczka. Obojga nigdy nie ma. Nikt nie pilnuje tych bachorów.**

**- Pani Schwart...**

**- Jeśli byłby pan łaskaw, doktor Schwartzman.**

**- Proszę mi wybaczyć, doktor...**

**- Jestem endokrynologiem, na emeryturze. Mój mąż to profesor Arnold Schwartzman, chirurg ortopeda. Mieszkamy tu od dwudziestu ośmiu lat, przez dwadzieścia sześć lat mieliśmy wspaniałych sąsiadów - Cantwellów, on pracował w metalurgii, ona była wprost przesympatyczna. Oboje zmarli w odstępie kilku miesięcy. Dom został wystawiony na sprzedaż i tamci go kupili.**

**- Kto mieszka po drugiej stronie? - spytał Milo, wskazując kamienny mur.**

**- Oficjalnie Gerhard Loetz.**

Milo spojrział na nią z niezrozumieniem.

- Niemiecki przemysłowiec. - Jakby wszyscy powinni to wiedzieć. - Baron Loetz ma domy na całym świecie. Słyszałam, że pałace. Rzadko tu bywa. Mnie to odpowiada, w okolicy jest spokojnie. Posiadłość barona Loetza ciągnie się aż do podnóża gór, są tam nawet jelenie. Mamy tu mnóstwo zwierząt. Uwielbiamy przyrodę. Wszystko było wprost doskonale, dopóki oni się nie sprowadzili. Dlaczego zadaje mi pan te pytania?

- Zaginęła pewna dziewczyna - powiedział Milo. - Doszły nas słuchy, że była na przyjęciu na Westside w piątek wieczorem.

Doktor Schwartzman pokręciła głową.

- Cóż, nic mi na ten temat nie wiadomo. Nie przyglądałam się tym opryszkom, nie chciałam. Nie wychodziłam z domu. Bałam się, jeśli mam być szczerą. Byłam sama, profesor Schwartzman pojechał do Chicago na wykłady. Zazwyczaj mi to nie przeszkadza, mamy alarm, mieliśmy też akiteę. - Dłoń zacisnęła się mocniej na pędzelku, wielkie jak u mężczyzny kłykcie pobieleły. - Ale piątkowa noc była straszna. Było ich tak dużo, biegali i wrzeszczeli. Jak zwykle zadzwoniłam po patrol, kazałam im zostać, aż nie znikną wszyscy barbarzyńcy. Mimo to byłam zdenerwowana. A gdyby wrócili?

- Ale nie wrócili.

- Nie.

- A więc nie podeszła pani dość blisko, żeby zobaczyć któreś z nich.

- Nie.

Milo zastanawiał się, czy mimo to nie pokazać jej zdjęcia. Uznał, że lepiej nie.

Może sprawa nie trafiła do gazet, bo tak zdecydował ktoś na górze. Wrogość doktor Schwartzman wobec Cossacków mogła równie dobrze wywołać kolejną plotkę. Pracując w pojedynkę, Milo nie chciał czegoś spieprzyć.

**- Patrol - powtórzył - nie policję...**

**- Tak się robi u nas w Bel Air, detektywie. Płacimy patrolowi, więc oni reagują.**

**Wasz wydział z kolei... Wśród policjantów zdaje się pokutować przekonanie, że problemy ludzi... mających więcej szczęścia są banalne. Przekonałam się o tym na własnej skórze, kiedy Sumi - mój piesek - został zamordowany.**

**- Kiedy to było?**

**- Zeszłego lata. Ktoś go otrul. Znalazłam go o, tam. - Wskazała trawnik przed domem. - Otworzyli furtkę i nakarmili go mięsem z trutką na szczury. Zadzwoiłam wtedy po policję i w końcu kogoś przysłali. Podobno detektywa.**

**- Pamięta pani jego nazwisko?**

**Doktor Schwartzman pokręciła gwałtownie głową.**

**- Po co? Przyjechał tylko na chwilę, najwyraźniej nie potraktował mnie poważnie. Nawet tam nie poszedł, przekazał tylko sprawę opiece nad zwierzętami. Oni zaproponowali, że mogą pozbyć się ciała Sumiego. Wielkie dzięki.**

**- Oni? - spytał Milo.**

**Pani Schwartzman wskazała pędzelkiem na opustoszały dom.**

**- Podejrzewa pani, że ktoś z Cossacków otrul Sumiego?**

**- Nie podejrzewam, wiem - powiedziała pani Schwartzman. - Ale nie mogę tego udowodnić. Ta ich córka. To wariatka, bez dwóch zdań. Chodzi i gada do siebie, patrzy jakoś tak dziwnie, ciągle przygarbiona. Nosi to samo ubranie przez kilka dni. I przyprawia do domu czarnych chłopców - widać wyraźnie, że coś z nią nie jest w porządku. Sumi jej nie znosił. Psy wyczuwają szaleństwo. Za każdym razem, kiedy ta wariatka tędy przechodziła, biedny Sumi dostawał szału, rzucał się na furtkę, nie mogłam go uspokoić. A musi pan wiedzieć, detektywie, że reagował tak tylko wtedy,**

kiedy ktoś próbował wejść na podwórko. Akity są bardzo opiekuńcze, ale słodkie i mądre. Sumi uwielbiał Cantwellów, przyzwyczaił się nawet do ogrodnika i listonosza. Ale nie do tej dziewczyny. Wiedział, kiedy ktoś coś knuje. Po prostu jej nie znosił. Jestem pewna, że to ona go otruła. Tego dnia, kiedy znalazłam jego biedne ciało, widziałam ją. Patrzyła z okna na piętrze tymi swoimi szalonymi oczami. Gapiała się. Pogroziłam jej pięścią i od razu schowała się za zasłonę. Wiedziała, że ja wiem. A niedługo potem wyszła i minęła mnie - przeszła tuż obok, gapiąc się na mnie. Boję się tej dziewczyny. Mam nadzieję, że po tym przyjęciu już ich tu nie będziemy oglądać.

- Była na przyjęciu? - spytał Milo.

Doktor Schwartzman skrzyżowała ręce na piersi.

- Nie słuchał mnie pan, młody człowieku? Powiedziałam, że nie podeszłam na tyle blisko, żeby to wiedzieć.

- Przepraszam - powiedział Milo. - Ile ma lat?

- Siedemnaście albo osiemnaście.

- Jest młodsza od braci.

- Ci dwaj - prychnęła doktor Schwartzman. - Są tacy arogancy.

- Mielście państwo z nimi jakieś problemy, nie licząc przyjęć?

- Cały czas. To przez ich nastawienie.

- Nastawienie?

- Czują się uprzywilejowani - wyjaśniła pani Schwartzman. - Napuszeni. Na samą myśl o nich robię się zła, a złość mi szkodzi, więc wracam do mojej kaligrafii. Do widzenia.

Zanim Milo zdołał wykrztusić słowo, drzwi zatrzęsnęły mu się przed nosem. Nie było sensu się dobijać: Frau doktor Schwartzman mogła prawdopodobnie położyć go na

**obie łopatki. Wrócił do samochodu i zaczął się zastanawiać, czy dowiedział się czegoś istotnego.**

**Bracia Cossack mieli paskudny charakter. Tak jak wszystkie bogate dzieciaki w Los Angeles.**

**Ich siostra z kolei była dziwna, jeśli wierzyć doktor Schwartzman. A jeśli jej podejrzenia co do psa były słuszne, dziwactwo panny Cossack zaczynało być niepokojące.**

**Miała siedemnaście lat, tyle, co Janie Ingalls i Melinda Waters. Bogata, dziwaczna dziewczyna, mająca dostęp do drogich zabawek, mogła przyciągnąć dwie małe ulicznice.**

**Sprowadzała do domu czarnych chłopców. Odrzucanie rasizmu może oznaczać bunt. Ktoś próbuje zwrócić na siebie uwagę.**

**Prochy, dwie wesole dziewczyny z Hollywood na nieznanym terenie... ale przecież to tylko niesprawdzona plotka, Milo wciąż nie miał punktu zaczepienia.**

**Popatrzył na pusty dom, wsłuchał się w ciszę Bel Air, jego tandetny przepych, styl życia, którego nigdy nie dostąpi. Czuł się obco, jak głupek i żółtodziób.**

**A do tego musiał zameldować się u Schwinna.**

**“Takie coś zżera cię od środka, a potem wysrywasz to w kuleczkach...”**

**W głowie Mila znów zabrzmiał mentorski głos drania. Utkwił tam, odrażający, ale zmuszający do posłuchu.**

**Milo miotał się na prawo i lewo, a Schwinn zdobył jedyną konkretną informację w sprawie Janie Ingalls - wskazówkę, która zaprowadziła ich do ojca Janie.**

**Nie chciał zdradzić, kim był jego informator. Nie próbował nawet się wykręcać, wprost oskarżył Mila o szpiegowanie dla szefostwa.**

**Bo wiedział, że jest pod lupą? Może dlatego inni detektywi go unikali. Cokolwiek**

**się działo, Milo trafił w dziesiątkę... Musi o tym wszystkim zapomnieć i skupić się na pracy. Ale praca - czyli kręcenie się w miejscu - sprawiała, że czuł się źle.**

**Biedna Janie. I biedna Melinda Waters - jakie są szanse, że żyje? Jak będzie wyglądać, kiedy wreszcie ją znajdą?**

**Było prawie południe, Milo nie pamiętał, kiedy ostatni raz jadł. Ale jakoś nie mógł znaleźć powodu, żeby się zatrzymać i coś przegryźć. Na nic nie miał ochoty.**

Przyjechał na posterunek, zastanawiając się, czy Schwinn już wrócił. Miał nadzieję, że nie. Zanim doszedł do schodów, zatrzymał go dyżurny sierżant.

- Ktoś na pana czeka - powiedział, nie podnosząc wzroku.

- Kto?

- Niech pan sam zobaczy. Przesłuchaniówka numer pięć.

Coś w głosie sierżanta sprawiło, że Milo poczuł ukłucie niepokoju.

- Przesłuchaniówka numer pięć?

- Aha. - Mundurowy nie podnosił głowy, zajęty papierami.

Pokój przesłuchań. Kogoś przesłuchiowano - podejrzanego w sprawie Ingalls, tak szybko? Czy Schwinn znowu zakończył sukcesem swój samotny rajd?

- Na pana miejscu nie kazałbym im czekać - powiedział sierżant, pisząc coś zawzięcie i wciąż unikając spojrzenia Milowi w oczy.

Milo zajrzał za biurko, zobaczył krzyżówkę.

- Im?

Ale nie usłyszał odpowiedzi.

Przeszedł szybko oświetlonym jaskrawo korytarzem, prowadzącym do pokojów przesłuchań i zapukał do piątki.

- Proszę - odezwał się czyjś głos. Nie Schwinna.

Milo otworzył drzwi i stanął twarzą w twarz z dwoma mężczyznami koło trzydziestki. Obaj byli barczyści i przystojni, mieli dobrze skrojone, grafitowe garnitury, wykrochmalone białe koszule i niebieskie jedwabne krawaty.

Wyglądali jak bliźniacy, tyle że jeden był biały - a właściwie po szwedzku różowy,

**z krótko ostrzyżonymi włosami koloru kukurydzy - a drugi czarny jak noc.**

**Razem zajmowali prawie całą szerokość niewielkiego pomieszczenia, jak dwuosobowa linia obrony. Czarny otworzył drzwi. Miał gładką okrągłą głowę, zwieńczoną krótko przyciętą, hebanową szczecina, spod której przebłyskiwała błękitnawa skóra. Czyste twarde oczy instruktora musztry. Pozbawione uśmiechu usta były jak szczelina w jamie ze smołą.**

**Różowy trzymał się z tyłu, ale to on odezwał się pierwszy.**

**- Detektywie Sturgis, proszę usiąść. - Piskliwy głos, północny akcent - Wisconsin albo Minnesota. Wskazał jedyne krzesło w pomieszczeniu, metalowy składak po bliższej stronie stołu przesłuchań, na wprost weneckiego lustra. Lustro nie było nawet namiastką podstępu, każdy podejrzany wiedział, że jest obserwowany, pytanie tylko przez kogo? I Milo właśnie je sobie zadawał.**

**- Detektywie - powtórzył Czarny, wskazując mu krzesło podejrzanego.**

**Na stole leżał duży brzydki magnetofon, szary jak garnitury bliźniaków.**

**Wszystko współgrało kolorystycznie - jakby to było jakieś psychologiczne doświadczenie, zgadnijcie, kto robi za królika doświadczalnego...**

**- O co chodzi? - spytał Milo, nadal stojąc w drzwiach.**

**- Proszę wejść, to panu powiemy - odparł Różowy.**

**- Może najpierw się sobie przedstawimy? - zaproponował Milo. - Na przykład powiecie mi panowie, kim jesteście i o co tu chodzi?**

**Zaskoczyła go własna stanowczość.**

**Tamtych nie zaskoczyła. Obaj wyglądali na zadowolonych, jakby Milo potwierdził ich przypuszczenia.**

**- Proszę, niech pan wejdzie - powiedział Czarny, mówiąc to tak, że zupełnie nie**



brzmiało jak prośba. Podszedł bliżej, stanął tuż obok Mila, który poczuł drogą wodę po goleniu, coś z cytrusami. Facet był wyższy od niego - około metra dziewięćdziesięciu - Różowy wyglądał na równie dużego. Milo uważał, że wzrost jest jedną z niewielu zalet, które dał mu Bóg - często pozwalał mu uniknąć konfrontacji. Ale tych dwóch i wagnerowska doktor Schwartzman poważnie nadwerężyli jego wiarę w siebie.

- Detektywie - powiedział Czarny. Jego twarz była dziwnie nieruchoma, jak maska afrykańskiego wojownika. I te oczy. Miał charyzmę, był przyzwyczajony do wydawania poleceń. To interesujące. Od czasu zamieszek w Watts w policji miał miejsce pewien postęp w kwestii rasizmu, ale w większości chodziło o brudną robotę. Czarni i Meksykanie, pogardzani przez szefostwo, byli wysyłani do patrolowania rejonów najwyższej przestępczości w Newton, Southwest i Central. Nie mieli szans na pójście w górę. Ale ten facet - garnitur wyglądał na najlepszą wełnę, szyty na miarę - komu się zasłużył i kim, do cholery, był?

Odsunął się na bok, a kiedy Milo wszedł do pokoju, z aprobatą kiwnął głową.

- Jeśli chodzi o to, kim jesteście: ja jestem detektyw Broussard, a to detektyw Poulseenn.

- Wydział wewnętrzny - odpowiedział Poulseenn.

Broussard uśmiechnął się.

- Jeśli chodzi o to, czego od pana chcemy, lepiej niech pan usiądzie.

Milo usiadł na składanym krześle.

Poulseenn nie ruszył się z kąta, ale w pomieszczeniu było tak ciasno, że Milo mógł policzyć mu pory na nosie. Gdyby Poulseenn miał takowe. Podobnie jak u Broussarda, jego skóra lśniła blaskiem jak u modela na plakacie zachwalającym zdrowy tryb życia.

Broussard stanął na prawo od Mila, tak że ten musiał wykręcać się w bok, żeby na niego

**spojrzeć.**

**- Jak się panu podoba w wydziale centralnym, detektywie?**

**- Może być. - Milo postanowił nie obracać się do Broussarda. Patrzył cały czas na Poulseña, ale wewnątrz pozostawał czujny i spięty.**

**- Podoba się panu praca w wydziale zabójstw? - spytał Broussard.**

**- Tak, proszę pana.**

**- Co najbardziej pan w niej lubi?**

**- Rozwiązywanie problemów - odparł Milo. - Naprawianie krzywd.**

**- Naprawianie krzywd - powtórzył Broussard, jakby zadziwiony oryginalnością odpowiedzi. - Więc zabójstwo można naprawić.**

**- Niekoniecznie. - Milo zaczynał się czuć jak na seminarium. Profesor Milrad wyładowywał w ten sposób swoje frustracje na bezbronnych studentach.**

**Poulseñ obejrzał swoje paznokcie.**

**- Czy chce pan powiedzieć, że lubi pan wymierzać sprawiedliwość? - spytał Broussard.**

**- Właśnie...**

**- Sprawiedliwość - wtrącił Poulseñ - to sedno pracy policjanta.**

**- Tak, to prawda - zgodził się Broussard. - Czasami jednak się o niej zapomina.**

**Udało mu się postawić znak zapytania na końcu tego stwierdzenia. Milo nie chwycił przynęty, więc Broussard ciągnął:**

**- To niedobrze, kiedy tak się dzieje, nie uważa pan, detektywie Sturgis?**

**Poulseñ przysunął się bliżej. Obaj patrzyli na Mila z góry.**

**- Nie rozumiem, do czego...**

**- Był pan w Wietnamie - powiedział Broussard.**

- Tak...
- Był pan sanitariuszem, sporo pan widział.
- Tak.
- A przedtem zdobył pan dyplom wyższej uczelni.
- Tak.
- Na Uniwersytecie Indiana. Z literatury angielskiej.
- Zgadza się. Czy coś...
- Pana partner, detektyw Schwinn nie studiował - powiedział Broussard. - Nie skończył nawet szkoły średniej, został przyjęty do policji, kiedy jeszcze było to dozwolone. Wiedział pan o tym?
- Nie...
- Detektyw Schwinn nie służył też w wojsku. Był za młody na Koreę, za stary na Wietnam. Czy to dla pana problem?
- Jaki problem?
- W nawiązywaniu kontaktu i we współpracy z detektywem Schwinem.
- Nie, ja... - Milo ugryzł się w język.
- Tak...? - podpowiedział Broussard.
- Nic.
- Chciał pan coś powiedzieć, detektywie.
- Nie, wcale nie.
- Ależ chciał pan - powiedział Broussard, nagle wesolutki. Milo wbrew woli wykręcił się w jego stronę. Zobaczył, że purpurowe wargi Czarnego uniosły się leciutko w kącikach. Ale wciąż były zaciśnięte. - Zdecydowanie chciał pan coś powiedzieć, detektywie.

**- Ja...**

**- Cofnijmy się, detektywie, żeby odświeżyć panu pamięć. Spytałem, czy brak wyższego wykształcenia detektywa Schwinna i to, że nie odbywał służby wojskowej stanowiły dla pana problem w nawiązaniu porozumienia, a pan powiedział: “Nie, ja...” Jest oczywiste, że zmienił pan w ostatniej chwili zdanie i postanowił nie mówić tego, co pierwotnie miał pan zamiar nam powiedzieć.**

**- Między mną a detektywem Schwinnem nie ma żadnego problemu. Tylko tyle chciałem powiedzieć. Dogadujemy się ze sobą.**

**- Naprawdę? - spytał Poulsemm.**

**- Tak.**

**- A więc detektyw Schwinn zgadza się z pana punktem widzenia? - spytał Broussard.**

**- W jakiej sprawie?**

**- W sprawie sprawiedliwości.**

**- Ja... Musiałby go pan o to zapytać.**

**- Nie poruszał pan nigdy poważniejszych tematów w rozmowie z detektywem Schwinnem?**

**- Nie. Koncentrujemy się na pracy...**

**- Chce pan powiedzieć, że detektyw Schwinn nigdy nie zwierzył się panu ze swoich uczuć wobec swojej pracy? Co myśli o naprawianiu krzywd? Wymierzaniu sprawiedliwości? Nie ujawnił swojego podejścia do zadań policji?**

**- Cóż - powiedział Milo - nie mogę sobie dokładnie przypomnieć...**

**Poulsemm podszedł bliżej i nacisnął przycisk nagrywania na magnetofonie. Potem obszedł stół i stanął po lewej stronie Mila. Obaj policjanci stali teraz za jego plecami.**

**Broussard:**

**- Czy wiadomo panu o jakimkolwiek niewłaściwym zachowaniu detektywa**

**Schwinna?**

**- Nie...**

**- Proszę się dobrze zastanowić, detektywie Sturgis. To oficjalne dochodzenie.**

**- W sprawie detektywa Schwinna czy mnie?**

**- Czy jest jakiś powód, żeby wszczynać dochodzenie w pana sprawie, detektywie**

**Sturgis?**

**- Nie, ale nie wiedziałem, że jest powód, by wszczynać je w sprawie detektywa**

**Schwinna.**

**- Nie wiedział pan? - powtórzył Poulsenn. Do Broussarda: - Chyba nic nie wie.**

**Broussard mlasnął. Wyłączył magnetofon, wyciągnął coś z kieszeni marynarki.**

**Plik papierów, którymi zamachał. Wykręcony w jego stronę Milo zobaczył znajomy**

**wzór zdjęcia z kartoteki.**

**Aresztowana kobieta, ciemnoskóra, o pustych oczach. Meksykanka albo jasna**

**Murzynka. Na piersi tabliczka z numerem.**

**Broussard przytrzymał kartkę przed oczami Mila.**

***Darla Washington, ur. 14.05.54, wzrost 159, waga 67.***

**Milo instynktownie spojrział na kod przestępstwa: 653.2.**

**Włóczęstwo z zamiarem uprawiania nierządu...**

**- Spotkał pan kiedyś tę kobietę? - spytał Broussard.**

**- Nigdy.**

**- W towarzystwie detektywa Schwinna czy kogoś innego?**

**- Nigdy.**

**- Nie zobaczyłby jej w żadnym innym towarzystwie - zażartował Poulsemm.**

**Przez całą minutę nic się nie działo. Obaj policjanci pozwalali, żeby Milo dobrze pojął znaczenie ostatnich słów. Czy dawali mu do zrozumienia, że z nich trzech on ostatni byłby podejrzany o kontakty z prostytutką - kobietą?**

**A może zaczynał wpadać w paranoję? Chodziło przecież o Schwinna, nie o niego.**

**Prawda?**

**- Nigdy jej nigdzie nie widziałem - powiedział.**

**Broussard przelożył Darłę Washington na spód pliku, machnął następnym zdjęciem.**

**LaTawna Hodgkins.**

**Kod 653.2.**

**- A tę kobietę?**

**- Nigdy jej nie widziałem.**

**Tym razem Broussard nie naciskał, tylko przeszedł do następnej kartki. Gra w**

**pytania**

**trwała**

**jeszcze**

**przez**

**jakiś**

**czas,**

**Milo**

**oglądał**

**kolekcję**

**znudzonych/naćpanych/smutnookich ulicznic, wyłącznie czarnych. Donna Lee Bumpers,**

**Royanne Chambers, Quitha Martha Masterson, DeShawna Devine Smith.**

**Broussard tasował talię kart 653.2 jak zawodowiec z Vegas. Poulseenn uśmiechał się i patrzył. Milo zachowywał pozory spokoju, ale w środku wszystko mu się przewracało. Wiedział dobrze, do czego zmierzają.**

**Była na ósmej wyłożonej karcie.**

**Miała inną fryzurę niż wtedy, kiedy ją widział - tlenioną chmurę w kształcie grzyba, z którą wyglądała idiotycznie. Ale twarz była ta sama.**

**Partnerka Schwinna z tylnego siedzenia.**

**Tonya Marie Stumpf. Teutońskie nazwisko wydawało się absurdalnie do niej nie pasować, skąd ona je...**

**Zdjęcie tańczyło mu przez dłuższą chwilę przed oczami. Milo zdał sobie sprawę, że nie odpowiedział na zadane przez Broussarda pytanie:**

**- A tę kobietę?**

**- Detektywie Sturgis?**

**Poczuł, że ściska mu się gardło, a twarz zaczyna palić. Nie mógł złapać tchu.**

**Jakby miał szok alergiczny - widział takie rzeczy jako sanitariusz. Idealnie zdrowi faceci wychodzili cało spod ostrzału, tylko po to, żeby paść od zjedzenia orzeszka.**

**Czuł się, jakby wmuszono w niego coś trującego...**

**- Detektywie Sturgis - powtórzył Broussard. W jego tonie nie było nic przyjaznego.**

**- Tak, proszę pana?**

**- Ta kobieta. Czy pan ją widział?**

**Obserwowali samochód, Schwinna i jego - jak długo? Szpiegowali na miejscu zbrodni przy Beaudry? Węszyli cały czas, kiedy on i Schwinn jeździli razem?**

**A więc podejrliwość Schwinna miała konkretne podstawy. A mimo to zabrał Tonyę Stumpf i dał się jej obsłużyć na tylnym fotelu, głupi, niepanujący nad sobą sukin...**

**- Detektywie Sturgis - nalegał Broussard. - Musimy usłyszeć odpowiedź.**

**Mila rozproszył szum, dobiegający ze stołu. Szpule magnetofonu znów się obracały. Kiedy go włączyli?**

**Zaczął się pocić na całym ciele. Przypomnił sobie tyradę Schwinna przed kamienicą, w której mieszkał Bowie Ingalls, jego zawziętą nieufność, przekonanie, że Milo jest szpiegiem, a teraz...**

**A nie mówilem?**

**- Detektywie - powiedział Broussard. - Proszę natychmiast odpowiedzieć na pytanie.**

**- Tak - powiedział Milo.**

**- Co tak?**

**- Widziałem ją.**

**- Tak, synu, widziałeś - powiedział Broussard i kucnął, emanując zapachem cytrusów i sukcesem.**

**Synu. Dupek był tylko kilka lat starszy od Mila, ale od razu było jasne, kto tu rządzi.**

**- Na pewno ją widziałeś.**

**Trzymali go jeszcze przez półtorej godziny, nagrali wszystko, co powiedział, a potem to odtworzyli. Tłumaczyli, że muszą mieć pewność co do jakości nagrania, ale Milo wiedział, że tak naprawdę chcą, żeby usłyszał strach we własnym głosie, żeby zaczął sobą pogardzać i zmiękł.**



**Trzymał się podstawowych szczegółów zabrania Tonyi - tego, co i tak już wiedzieli - i odmawiał szerszych wyjaśnień. W pokoju zrobiło się duszno - pomieszczenie cuchnęło kwaśnym zapachem strachu, kiedy zmienili temat i przeszli z Tonyi do Schwinna w ogóle. Atakowali jak insekty, chcieli usłyszeć o jego poglądach politycznych, rasowych, o jego opinii na temat wymiaru sprawiedliwości. Naciskali, popychali, kusili i grozili, subtelnie i stanowczo, aż Milo zaczął się czuć jak tłuczony kotlet.**

**Wrócili do wypytywania o szczegóły seksualne. Milo upierał się, że nie wie nic o stosunkach seksualnych między Schwinem a Tonyą i kimkolwiek innym. Właściwie mówił prawdę - patrzył wtedy na drogę, nie czuł pokusy podglądania ich w lusterku. Kiedy zapytali o rozmowę Schwinna z Tonyą, wcisnął im kit, że nic nie słyszał, bo mówili szeptem.**

**- Szeptem - powtórzył Broussard. - Nie przyszło panu do głowy, że to dość niezwykle? Detektyw Schwinn szepczący do znanej prostytutki na tylnym siedzeniu policyjnego samochodu?**

**- Uznałem, że to rozmowa służbowa. Była informatorem, a Schwinn chciał się czegoś od niej dowiedzieć.**

**Czekał na oczywiste pytanie "czego?", ale nie padło. Nie pytali w ogóle o morderstwo Janie Ingalls ani o żadną inną sprawę, nad którą Milo i Schwinn pracowali.**

**- Myślał pan, że to informatorka - powiedział Poulsen.**

**- Tak powiedział detektyw Schwinn.**

**- Więc czemu szepotali? - spytał Broussard. - Jest pan przecież partnerem detektywa Schwinna. Dlaczego miałby coś przed panem ukrywać?**

**Bo wiedział, że do tego dojdzie, dupku. Milo wzruszył ramionami.**

**- Może nie było o czym opowiadać.**

**- Nie było o czym?**

**- Nie każdy szpicel ma coś do powiedzenia.**

**Broussard zbył to machnięciem ręki.**

**- Jak długo Schwinn i Tonya Stumpf siedzieli z tyłu, kiedy pan jechał?**

**- Niedługo. Może kilka minut.**

**- Proszę dokładniej.**

**Wiedząc, że samochód był prawdopodobnie obserwowany, Milo powiedział prawdę.**

**- Dziesięć, może piętnaście minut.**

**- A potem Tonya Stumpf wysiadła.**

**- Zgadza się.**

**- Gdzie?**

**- Na Ósmej przy Witmer.**

**- Kiedy już wysiadła z samochodu, dokąd poszła?**

**Milo wymienił nazwę restauracji, ale nie wspomniał o tym, że Schwinn zafundował Tonyi kolację.**

**- Czy z rąk do rąk przeszły jakieś pieniądze? - spytał Poulsemm. Nie wiedząc, jak dużo widzieli, Milo zaryzykował kłamstwo.**

**- Nie.**

**Długa cisza.**

**- Przez cały czas pan prowadził - powiedział w końcu Broussard.**

**- Zgadza się.**

**- Kiedy detektyw Schwinn kazał się panu zatrzymać, żeby zabrać Tonyę Stumpf, w ogóle nie pomyślał pan, że może współuczestniczyć w akcie prostytucji?**

**- Nie widziałem nic, co by świadczyło o prosty...**

**Ręka Broussarda przecięła powietrze.**

**- Czy usta Tonyi Stumpf zetknęły się z penisem detektywa Schwinna?**

**- Nic takiego nie...**

**- Skoro pan prowadził i, jak pan twierdzi, nie oglądał się, skąd ta pewność?**

**- Spytał mnie pan, czy coś widziałem. Nie widziałem.**

**- Spytałem, czy doszło do kontaktu oralno-genitalnego.**

**- Nic takiego nie widziałem.**

**- Więc usta Tonyi Stumpf mogły wejść w kontakt z penisem detektywa Schwinna tak, że pan tego nie widział?**

**- Mogę opowiadać tylko o tym, co widziałem.**

**- Czy penis detektywa Schwinna wszedł w kontakt z waginą lub odbytnicą Tonyi Stumpf?**

**- Nic takiego nie widziałem. - Dlaczego drań podkreślał “odbytnicę”...?**

**- Czy Tonya Stumpf miała jakikolwiek kontakt intymny z detektywem Schwinnem?**

**- Nic takiego nie widziałem - powtórzył Milo, zastanawiając się, czy nie nagraли wszystkiego przez jakiś noktowizor, a on jest spalony...**

**- Usta na penisie - powiedział Poulsen.**

**- Tak czy nie?**

**- Nie.**

**- Penis na albo w waginie.**

**- Nie.**

**- Penis na albo w odbytnicy.**

**Znów podkreślenie. Zdecydowanie nieprzypadkowe.**

**- Nie - powiedział Milo - i myślę, że powinienem porozmawiać z adwokatem z Ligi Obrony.**

**- Naprawdę? - zdziwił się Broussard.**

**- Tak, to oczywiste...**

**- Mógłby pan to zrobić, detektywie Sturgis. Jeśli naprawdę uważa pan, że potrzebuje adwokata. Ale dlaczego miałby pan tak myśleć?**

**Milo nie odpowiedział.**

**- Coś pana trapi, detektywie? - spytał Broussard.**

**- Tak, odkąd mnie tu wciągnęliście...**

**- Nie wciągnęliśmy pana, tylko zaprosiliśmy do środka.**

**- Ach, tak - powiedział Milo. - Przepraszam, nie zauważyłem.**

**Broussard dotknął magnetofonu, jakby grożąc, że znów go włączy. Nachylił się tak blisko, że Milo mógł policzyć szwy na klapach jego marynarki. Ale nie pory na skórze. Ani jednego pieprzonego pora, ten drań był wyrzeźbiony z hebanu.**

**- Detektywie Sturgis, nie zarzuca nam pan wymuszania zeznań, prawda?**

**- Nie...**

**- Proszę nam opowiedzieć o swoich stosunkach z detektywem Schwinnem.**

**- Jesteśmy partnerami, ale nie kolegami - powiedział Milo. - Razem spędzamy czas tylko w pracy. Rozwiązaliśmy siedem zabójstw w trzy miesiące - sto procent wezwań. Niedawno zajęliśmy się ósmym, poważnym śledztwem, które będzie wymagało...**

**- Detektywie - przerwał głośno Broussard. Blokując drogę, w którą zmierzała rozmowa. - Czy był pan świadkiem, jak detektyw Schwinn otrzymywał pieniądze od**

**kogokolwiek podczas służby?**

**Nie chcieli rozmawiać o Janie Ingalls.**

**Zamotani w rytuale polowania, którego nie można było zatrzymać, dopóki sam się nie wypalił. A może chodziło o coś innego - o aktywny brak zainteresowania sprawą Janie Ingalls?**

**- Nie - powiedział Milo.**

**- Od Tonyi Stumpf?**

**- Nie.**

**- Ani od kogokolwiek innego? - szczechnął Broussard.**

**- Nie - powiedział Milo. - Nigdy, ani razu.**

**Broussard nachylił się i spojrzał mu w oczy. Milo poczuł jego oddech, ciepły, spokojny i miętowy, nagle skwaśniały, jakby detektywowi do gardła podeszła żółć. A więc facet miał jednak jakieś wewnętrzne reakcje.**

**- Ani razu - powtórzył Milo.**

**Puścili go równie niespodziewanie, jak zgarnęli, bez słowa - obaj po prostu odwrócili się do niego plecami. Milo opuścił posterunek, nie poszedł na górę do swojego biurka ani nie sprawdził wiadomości.**

**Następnego ranka w jego domowej skrzynce pocztowej pojawił się list z wydziału.**

**Zwykła biała koperta, bez znaczka, dostarczona przez posłańca.**

**Natychmiastowe przeniesienie na posterunek w zachodnim Los Angeles, jakiś bełkot o rozmieszczaniu zasobów ludzkich. Wypisany na maszynie aneks zawiadamiał, że Milowi wyznaczono już tam własną szafkę, i podawał jej numer. Zawartość biurka i rzeczy osobiste zostały już przeniesione.**

**Jego sprawy przekazano innym detektywom.**

Milo zadzwonił do wydziału centralnego, próbował się dowiedzieć, kto dostał sprawę zabójstwa Janie Ingalls. Przeprowadził kilka bezcelowych rozmów, w końcu powiedziano mu, że sprawa przeszła do wydziału miasta Metro - do supermenów z Parker Center.

W górę.

Miasto uwielbiało rozgłos, więc Milo spodziewał się, że Janie Ingalls trafi w końcu do gazet.

Nie trafiła.

Zadzwonił tam, zostawił z pół tuzina wiadomości, chciał przekazać im informacje, których nie zdążył wpisać do akt dochodzenia. Impreza u Cossacków, zniknięcie Melindy Waters, podejrzenia doktor Schwartzman co do Caroline Cossack. Nikt nie oddzwonił.

Nowy porucznik w zachodnim Los Angeles był świński i wrogi. Przydział partnera też się opóźnił - znowu biurokratyczny bełkot. Na biurku Mila wylądowała, niby przypadkiem, sterta zastarzałych spraw i kilka nowych, idiotycznych. Milo jeździł sam, pracował jak robot, zdeorientowany nowym otoczeniem. Zachodnie Los Angeles miało najniższy wskaźnik przestępczości w mieście, a Milo odkrył, że brakuje mu pulsu krwawych ulic.

Nie starał się zjednywać sobie przyjaciół, unikał spoufalania po pracy. Zresztą i tak nikt nie wykazywał do tego ochoty. Detektywi z Westside byli jeszcze bardziej oziębli niż jego koledzy z Central. Milo zastanawiał się, na ile wynikało to z jego współpracy ze Schwinnem. Może dostał etykietkę szpicla? A może plotki tutaj też go dogoniły?

Glina pedał. Glina pedał szpicel? Kilka tygodni później gliniarz o nazwisku Wes

Baker próbował przełamać lody - zagaił, że słyszał o dyplomie Mila i że najwyższy czas,

żeby w policji zaczęli pracować ludzie myślący. Baker uważał się za intelektualistę, grał w szachy, mieszkanie miał zawałone książkami i używał wielkich słów, choć małe zupełnie by wystarczyły. Milo uważał go za pretensjonalnego palanta, ale pozwolił mu się ciągać na podwójne randki z jego dziewczyną i jej koleżankami, stewardesami. A potem któregoś wieczoru Baker jechał przez zachodnie Hollywood i zobaczył Mila stojącego na chodniku i czekającego na zmianę świateł. Jedynymi mężczyznami na ulicy byli ci, co szukali towarzystwa innych mężczyzn i spojrzenie Bakera wiele Milowi powiedziało.

Niedługo potem ktoś włamał się do jego szafki i zostawił tam plik sadomasochistycznych, gejowskich zdjęć porno.

Tydzień później przydzielono mu jako partnera Delano Hardy'ego, jedyne czarnego detektywa na posterunku. Pierwsze kilka tygodni wspólnej jazdy upłynęło w napięciu gorszym niż ze Schwinnem, niemal nie do zniesienia. Del był religijnym baptystą, który podpadł gorze, krytykując politykę rasową policji, ale nie tolerował swobody seksualnej. Wieści o pliku pornosów rozeszły się szybko, Milo cały czas czuł się pod ostrzałem lodowatych spojrzeń.

Potem wszystko się unormowało. Del okazał się psychologicznie elastyczny - był dokładnym, prostoliniowym człowiekiem, ogarniętego obsesją dobrego wykonywania swojej roboty. Obaj zaczęli pracować jak zespół, rozwiązywali sprawę za sprawą i wykuli porozumienie, oparte na sukcesach i unikaniu pewnych tematów. Po sześciu miesiącach wpadli w rytm, przyskrzyniali bandytów bez wysiłku. Żadnego z nich nie zapraszano na grille i wypadki do barów. Ani na grupowe, policyjne pieprzenie.

Po służbie Del wracał do domu przy Leimer Tract, do swojej wyniosłej, porządnej żony, która wciąż nie wiedziała o Milu, Milo zaś chyłkiem umykał do swojej

**kawalerki. Nie licząc sprawy Ingalls, miał prawie doskonale wyniki.**

**Nie licząc sprawy Ingalls...**

**Nigdy więcej nie spotkał Pierce'a Schwinna. Doszły go plotki, że jego były partner przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Kilka miesięcy później Milo zadzwonił do kadr Parker Center, coś tam nakłamał i dowiedział się, że w aktach Schwinna nie było ani słowa o karze dyscyplinarnej.**

**Więc może nie chodziło wcale o Schwinna, lecz o Janie Ingalls. Ośmielony, Milo jeszcze raz zadzwonił do Centrali próbując się dowiedzieć czegoś o postępach sprawy. Znow nikt do niego nie oddzwonił. Spróbował w archiwum, na wypadek, gdyby ktoś zamknął dochodzenie, dowiedział się, że sprawa nie figurowała na liście rozwiązanych i że po Melindzie Waters wciąż nie było śladu.**

**Któregoś upalnego, lipcowego poranka obudził się ze snu o zwłokach Janie, pojechał do Hollywood i przejechał obok mieszkania Bowiego Ingallsa na Edgemont. Różowej kamienicy już nie było, została zburzona. Na jej miejscu ziała dziura, wykopana pod podziemny garaż. Z dziury wystawały zaczątki konstrukcji, szkielet dużo większego apartamentowca.**

**Skręcił w Gower i przejechał półtora kilometra na północ. Odrapany domek Eileen Waters wciąż stał, ale mieszkali w nim teraz dwaj szczupli, zniewieściali młodzi mężczyźni - sprzedawcy antyków. Po kilku minutach obaj bezczelnie flirtowali z Milem. Przeraziło go to. Przyjął pozę bardzo męskiego gliniarza, a oni i tak wiedzieli...**

**Chłopcy wynajmowali dom. Był pusty, kiedy się wprowadzili, żaden nie miał pojęcia, gdzie się podział poprzedni właściciel.**

**- Coś panu powiem - powiedział jeden z nich. - To była palaczka. Cały dom śmierdział.**



**- Obrzydlistwo - zgodził się drugi. - Dokładnie wszystko wysprzątaaliśmy, urządziliśmy w stylu neobiedermeieru. Nie poznałby pan wnętrza. - Wyszczерzył się w konspiracyjnym uśmiechu. - Więc niech pan nam powie, co ona takiego zrobiła?**

Milo skończył opowieść i przeszedł do kuchni.

W końcu skierował się do lodówki.

Patrzyłem, jak otwiera zamrażarkę, gdzie trzymałem butelkę stolicznej. Milo dał ją w prezencie Robin i mnie, chociaż ja rzadko próbowałem czegoś innego niż szkocka, a

Robin pijała wino.

Robin...

Patrzyłem, jak napełnia szklankę i zabarwia wódkę odrobiną soku grejfrutowego. Wypił, nalał jeszcze raz i wrócił do stołu w jadalni.

- I tyle - powiedział.

- Czarny detektyw nazywał się Broussard - zauważyłem. - Tak samo, jak...

- Aha.

- Aha.

Wypił drugą wódkę, wrócił do kuchni, nalał sobie po raz trzeci, więcej gorzały, bez soku. Pomyślałem, że powinienem coś powiedzieć - czasami Milo chce, żebym to zrobił. Przypomniałem sobie, ile chivas wypilem od wyjazdu Robin i ugryzłem się w język.

Tym razem, kiedy wrócił, usiadł ciężko, zamknął szklankę w grubych dłoniach i zakręcił nią, tworząc maleńki, wódczany wir.

- John G. Broussard - powiedziałem.

- We własnej osobie.

- To, jak on i ten drugi facet na ciebie wsiedli, jest jak z Kafki.

Uśmiechnął się.

- Dziś rano obudziłem się jako karaluch? Tak, dobry stary John G. miał dryg do takich rzeczy od dawna. Dobrze na tym wyszedł, co?

John Gerald Broussard był szefem policji Los Angeles od nieco ponad dwóch lat.

Został wybrany przez przedsiębiorczego burmistrza; wiele osób twierdziło, że był to manewr, aby uniknąć krytyki rasowych problemów w policji. Broussard zachowywał się jak wojskowy i był niesamowicie władczy. Rada miasta mu nie ufała, a większość jego ludzi - łącznie z czarnymi - nienawidziła z powodu jego przeszłości łowcy głów. Otwarta pogarda Broussarda wobec każdego, kto kwestionował jego decyzje, wyraźny brak zainteresowania pracą policji na ulicach i obsesja na punkcie dyscypliny wewnątrz wydziału dopełniały obrazu. Broussard zdawał się rozkoszować brakiem popularności. Na ceremonii zaprzysiężenia, odstawiony jak zwykle w kompletny mundur, z pełną piersią odznaczeń, nowy szef policji przedstawił wszystkim swój priorytet numer jeden - zero tolerancji dla nieposłuszeństwa i braku dyscypliny. Następnego dnia Broussard rozwiązał ukochany przez wszystkich system punktów współpracy policji ze społecznością w dzielnicach o najwyższym wskaźniku przestępczości, twierdząc, że w niczym to nie pomaga, a nadmierne bratanie się z cywilami "deprofesjonalizuje" wydział.

- Nieskazitelnym John Broussard - powiedziałem. - A możliwe, że pomógł pogrzebać sprawę Ingalls. Dlaczego?

Milo nie odpowiedział. Upił wódki, znów zerknął na skoroszyt.

- Wygląda na to, że tak naprawdę ktoś przysłał ją tobie - powiedziałem.

Znów nie odpowiedział. Odczekałem kilka chwil.

- Czy coś się kiedyś ruszyło w sprawie Ingalls?

Pokręcił głową.

**- Melinda Waters nigdy się nie odnalazła?**

**- Nie wiedziałbym o tym - powiedział. - Kiedy trafilem do zachodniego Los**

**Angeles, przestałem śledzić sprawę. Możliwe, że wyszła za męża, ma dzieci, mieszka w małym, uroczym domku z wielkim telewizorem.**

**Mówił za szybko, za głośno. Zrozumiałem, że się spowiada.**

**Przeciągnął palcem pod kołnierzykiem. Czoło mu lśniło, a zmarszczki wokół ust i oczu pogłębiły się.**

**Skończył trzecią wódkę, wstał i ruszył z powrotem do kuchni.**

**- Nieźle się wysuszyłeś - powiedziałem.**

**Zamarł, obrócił się na pięcie. Spojrzał wilkiem.**

**- I kto to mówi! Popatrz na swoje oczy. Może powiesz, że sam nic nie piłeś?**

**- Od rana nie - odparłem.**

**- Moje gratulacje. Gdzie jest Robin? - spytał stanowczo. - Co się między wami dzieje, do cholery?**

**- No cóż, miałem interesującą pocztę - powiedziałem.**

**- Dobra, dobra. Gdzie ona jest, Alex?**

**Słowa wypełniły mi głowę, ale utknęły gdzieś w gardle. Straciłem oddech.**

**Patrzyliśmy na siebie. On roześmiał się pierwszy.**

**- Pokażę ci swojego, jak ty pokażesz swojego?**

**Powiedziałem mu, jak ogólnie przedstawia się sytuacja.**

**- A więc to była dla niej szansa - powiedział. - Otrząśnie się i wróci.**

**- Może.**

**- To się już raz zdarzyło, Alex.**

**Dzięki za przypomnienie, stary.**

- Tym razem nie mogę się oprzeć myśli, że to coś więcej. Ukrywała przede mną tę propozycję przez dwa ty godnie.

- Byleś zajęty - powiedział.

- Mam wrażenie, że nie o to chodzi, ale o to, jak patrzyła na mnie w Paryżu, jak wyjechała. Możliwe, że przegiałem.

- Daj spokój - powiedział. - Trochę więcej optymizmu! Zawsze mi wciskasz ten kit.

- Nic nie wciskam. Sugeruję.

- W takim razie ja sugeruję, żebyś się ogolił, wydrapał ropę z oczu, przebrał w czyste ubranie i zaczął odbierać jej telefony, spróbował wszystko wyprostować, na litość boską. Przecież jesteście jak...

- Jak co?

- Jak stare małżeństwo, chciałem powiedzieć.

- Ale nie jesteśmy - powiedziałem. - Nie jesteśmy małżeństwem. Tyle lat razem i żadne z nas nie zrobiło nic, żeby to zalegalizować. O czym to świadczy?

- Niepotrzebne wam papierki. Wierz mija to wiem najlepiej.

On i Rick byli ze sobą dłużej niż Robin i ja.

- Wy byście to zrobili, gdybyście mogli?

- Pewnie tak - powiedział. - Nie wiem. Co się właściwie stało między wami?

- To skomplikowane - odparłem. - A ja jej nie unikałem. Po prostu na siebie nie trafiamy.

- Postaraj się.

- Ona jest w trasie, Milo.

- Postaraj się mimo to, cholera jasna.

**- Co ci jest? - spytałem.**

**- Dostałem ostrego rozczarowania. Oprócz tego chronicznego, które zapewnia mi praca. - Poklepał mnie po ramieniu. - Muszę mieć w życiu coś pewnego, stary. Na przykład was. Chcę, żeby wam się układało dla mojego dobra, rozumiesz? Czy proszę o zbyt wiele? Dobra, dobra, wiem, jaki ze mnie egoista, ale nie ma lekko.**

**Co można powiedzieć na coś takiego?**

**Siedziałem, Milo otarł czoło. Coraz bardziej się pocił. Wyglądał żałośnie. Nie wiadomo dlaczego poczułem się winny.**

**- Damy sobie radę - usłyszałem własny głos. - A teraz powiedz mi, dlaczego wyglądałeś jak trup, kiedy zobaczyłeś zdjęcie Janie Ingalls?**

**- Niski poziom cukru we krwi - odparł. - Nie miałem czasu zjeść śniadania.**

**- Aha - powiedziałem. - Dlatego pijesz wódkę.**

**Wzruszył ramionami.**

**- Myślałem, że o tym zapomniałem, albo może doszedłem do wniosku, że należało podrażnić tę sprawę.**

**- Może to "NR" oznacza, że ktoś uważa, że powinieneś zrobić to teraz. Inne zdjęcia z albumu coś dla ciebie znaczą?**

**- Nie.**

**Spojrzałem na rękawiczki, które zdjął z dłoni.**

**- Sprawdzisz odciski palców?**

**- Nie wiem - powiedział. Potem skrzywił się.**

**- O co chodzi?**

**- Czuję ducha dawnych porażek.**

**Nalał sobie czwartą szklankę, prawie czysty sok, z odrobiną wódki.**

**- Domyślasz się, kto mógł to wysłać? - spytałem.**

**- Mówisz, jakbyś sam się domyślał.**

**- Myślę, że to twój dawny partner, Schwinn. Lubił fotografować. I miał dostęp do starych akt.**

**- Dlaczego, cholera jasna, miałby się ze mną teraz kontaktować? Nie znosił mnie. Miał gdzieś sprawę Ingalls i wszystkie inne.**

**- Może z czasem się zmienił. Pracował w wydziale zabójstw dwadzieścia lat, zanim ty tam trafiłeś. To oznacza, że robił to przez większość czasu, z którego pochodzą te zdjęcia. Te starsze zwinął. Naginał zasady, więc wyniesienie kilku fotek nie byłoby dla niego problemem. Teczka może być częścią kolekcji, którą zgromadził przez lata. Nazwał ją aktami zabójstwa i oprawił sprytnie na niebiesko.**

**- Ale dlaczego przesłał mi ją przez ciebie? Dlaczego właśnie teraz? O co w tym chodzi?**

**- Czy zdjęcie Janie Schwinn mógł zrobić sam?**

**Milo naciągnął nowe rękawiczki i otworzył album.**

**- Nie, to jest profesjonalnie wywołane, o wiele lepszej jakości, niż mogło wyjść z jego polaroidu.**

**- Może dał film do obróbki. A jeśli ciągle interesuje się fotografią, może sprawił sobie ciemnię.**

**- Schwinn - powiedział Milo. - Pieprzę takie gdybanie, Alex. Facet nie ufał mi, kiedy razem pracowaliśmy. Dlaczego miałby się ze mną kontaktować?**

**- A jeśli dwadzieścia lat temu dowiedział się czegoś i teraz gotów jest się tym podzielić? Tak jak z tym informatorem, który nakierował go na Bowiego Ingallsa i imprezę. Może czuje się winny, że to zataił, chce się oczyścić. Teraz ma koło**

siedemdziesiątki, może jest chory albo umiera. A może to tylko kwestia wieku. Wie, że nie może nic już zrobić, ale uważa, że ty możesz.

Milo zamyślił się. Znowu zdjął rękawiczki, wstał, spojrzal na lodówkę, ale się nie poruszył.

- Możemy tak filozofować cały dzień, ale tę teczkę mógł przysłać każdy.

- Czyżby? - powiedziałem. - Wiadomość o morderstwie Janie nigdy nie trafiła do prasy, więc musi to być ktoś, kto miał informacje z policji. A wiara Schwinna w to, że nauka będzie głównym narzędziem śledczym też może mieć w tym swój udział. Już tak jest, prawda? Testy DNA, inne fajne rzeczy. Jeśli zachowano próbki krwi i nasienia...

- Nie wiem nawet, czy w niej w ogóle było jakieś nasienie, Alex. Schwinn uważał, że to gwałt, ale żaden z nas nie widział wyników autopsji. Kiedy nas odsunęli od sprawy, nie widziałem nawet strzępka dokumentu. - Wielka pięść uderzyła w stół, aż teczka zabójstwa podskoczyła. - To absolutna bzdura.

Nie odpowiedziałem.

Milo zaczął chodzić tam i z powrotem po sypialni.

- Drań, mam ochotę pogadać z nim oko w oko. Jeśli to on, dlaczego wysłał to do ciebie?

- Zacierają ślady - powiedziałem. - Schwinn wiedział, że pracowaliśmy razem - to kolejny znak, że interesował się sprawami policji.

- Albo ktoś po prostu czyta gazety, Alex. Nasze nazwiska pojawiły się razem w sprawie Teague.

- A ty wyszedłeś z niej opromieniony chwałą. Schwinn mógł cię nie lubić, nie szanować i nie ufać ci, ale może śledził twoją karierę i zmienił zdanie.

- Daj spokój. - Milo podniósł szklankę. Na dnie została cienka warstwa alkoholu.



**- Od tego gdybania zaraz pęknie mi dynia. Czasami się zastanawiam, dlaczego właściwie się przyjaźnimy.**

**- To proste - powiedziałem. - Wspólna patologia.**

**- Jaka patologia?**

**- Obustronna niezdolność do odpuszczenia sobie czegokolwiek. Schwinn - albo ktoś inny, kto wysłał teczkę - wie o tym.**

**- Dobrze, i jazda z nim. Ja się na to nie łapię.**

**- Twoja wola.**

**- Właśnie.**

**- Aha - powiedziałem.**

**- Nie znoszę, jak tak robisz.**

**- Co robię?**

**- Mówisz „aha”. Jak jakiś pieprzony dentysta.**

**- Aha.**

**Cofnął ramię, a wielka pięść wystrzeliła w kierunku mojej szczęki. Stuknął mnie lekko, bezgłośnie powiedział “pach”.**

**Wskazałem kciukiem niebieską teczkę.**

**- I co mam z tym zrobić, wyrzucić?**

**- Nie rób nic. - Wstał. - Czuję się trochę... idę się przespać. Pokój dla gości gotowy?**

**- Jak zawsze. Miłych snów.**

**- Dzięki, Normanie Bates. - Poczłapał na tył domu, wrócił może dziesięć minut później bez krawata i z wyciągniętą ze spodni koszulą. Wyglądał, jakby udało mu się opędzić całą noc koszmarów w sześćset sekund.**

- Co zrobię - powiedział - wszystko, co zrobię, to spróbuję znaleźć Schwinna. Na przykład zadzwonię. Jeśli go znajdę i okaże się, że to on wysłał teczkę, porozmawiamy sobie, wierz mi. A jeśli to nie on, zapominamy o całej sprawie.

- Dobry plan.

- Nie podoba ci się?

- Podoba - powiedziałem.

- To dobrze. Bo nic więcej nie zrobię.

- Świetnie.

Załóżyl rękawiczki, wziął książkę i ruszył do drzwi.

- *Sayonara*. Było mi prawie miło. - Kiedy wychodził, dodał: - Siedź i czekaj na telefon od Robin. Załatw to, Alex.

- Jasne.

- Nie lubię, kiedy się tak na wszystko zgadzasz.

- Więc odpieprz się.

Wyszczерzył zęby.

- Aha.

Długo siedziałem i czułem się podle. Zastanawiałem się, czy Robin zadzwoni z Eugene. Doszedłem do wniosku, że jeśli nie zrobi tego w ciągu następnych dwóch godzin, gdzieś pójdę.

Zasnąłem przy stole w jadalni. Telefon obudził mnie dwie godziny później.

- Alex.

- Cześć.

- Wreszcie cię zastałam - powiedziała. - Tyle razy próbowałam.

- Nie było mnie. Przepraszam.

- Wyjechałeś?
- Załatwialem kilka spraw. Jak leci?
- Dobrze. Trasa jest świetna. Mamy doskonałą reklamę. Wyprzedajemy bilety na pniu.
- Jak ci się podoba Oregon?
- Zielony, ładny. Najczęściej oglądam stanowiska akustyków.
- Jak Spike?
- Dobrze... przyzwyczajają się... stęskniłam się za tobą.
- Ja za tobą też.
- Alex?
- Aha?
- Co... wszystko w porządku?
- Jasne... no to powiedz, seks, prochy i rock and roll naprawdę są takie świetne?
- To nie tak.
- Co nie tak? Seks czy prochy?

Milczała.

- Naprawdę ciężko pracuję - powiedziała wreszcie. - Wszyscy pracują. Logistyka, załatwianie wszystkiego to strasznie trudna sprawa.
- Ekscytująca.
- Daje satysfakcję.
- Miałem taką nadzieję.

Dłuższe milczenie.

- Mam wrażenie, że jesteś bardzo daleko ode mnie. I proszę, nie bądź dosłowny.
- Chodzi ci o przeciwieństwo metafory?

- Jesteś zły.
- Wcale nie, kocham cię.
- Naprawdę mi cię brakuje, Alex.
- Możesz w każdej chwili wrócić do domu - powiedziałem.
- To nie takie proste.
- Dlaczego? Nagle zrobiła się z tego trasa heavymetalowa? Łańcuchy i kajdany?
- Proszę, nie bądź taki, Alex.
- Jaki?
- Sarkastyczny. Wiem, że jesteś na mnie wściekły i pewnie dlatego nie oddzwoniłeś od razu, ale...
- Ty wyjeżdżasz, ale to ja jestem ten zły? - powiedziałem. - Masz rację, nie mogliśmy się zdzwonić, bo nie miałem ochoty z nikim rozmawiać. Nie byłem zły, tylko... pusty. Potem próbowałem do ciebie zadzwonić, ale byłaś zajęta, tak jak powiedziałaś. Nie jestem zły, ja tylko... rób, co musisz.
- Chcesz, żebym zrezygnowała?
- Nie, nigdy byś mi tego nie wybaczyła.
- Chcę zostać.
- Więc zostań.
- Alex...
- Spróbuję być wesolutki - powiedziałem.
- Wcale nie chcę.
- Pewnie i tak by mi nie wyszło. Nie potrafiłem nigdy grać, pewnie nie przypasaowałbym twoim nowym koleśiom.
- Alex, proszę... O, cholera... zaczekaj! Wołają mnie, coś się stało... Cholera jasna,

**nie chcę tak kończyć...**

**- Rób, co musisz - powiedziałem.**

**- Zadzwoń później... Kocham cię, Alex.**

**- Ja-też-cię-kocham.**

**Dobra robota, Delaware. Po to wysłaliśmy cię na studia?**

**Zamknąłem oczy, z wysiłkiem oczyściłem umysł, po czym napelniłem go obrazami.**

**W końcu znalazłem ten, o który mi chodziło. Wepchnąłem go sobie pod powieki.**

**Zmasakrowane ciało Janie Ingalls.**

**Martwa dziewczyna zlitowała się nade mną, a ja zanurzyłem się w jej wyobrażonym cierpieniu.**

**Jedna rzecz o deprywacji sensorycznej: pomaga odświeżyć percepcję. A plan -jakikolwiek plan - otwiera drzwi poczuciu własnej ważności.**

**Kiedy wyszedłem z domu, słońce ucałowało mnie jak kochanka, a zieleń drzew przypomniała mi, dlaczego ludzie przeprowadzają się do Kalifornii. Zebrałem pocztę - śmieci, śmieci, śmieci - przeszedłem do ogrodu i zatrzymałem się nad stawem. Koi wily się jak brokatowe wstążki przy kamiennym brzegu, zwabione moimi krokami.**

**Dziesięć bardzo głodnych rybek. Uszczęśliwiłem je. A potem pojechałem do szkoły.**

**Za pomocą mojej karty szkoły medycznej wjechałem na parking północnego kampusu uniwersytetu, poszedłem do biblioteki i siadłem przy komputerze. Zacząłem od miejscowych baz danych, potem zalogowałem się do Internetu i uruchomiłem tuzin wyszukiwarek.**

**Hasło “Janie” i “Janie Ingalls” wywołało drzewo genealogiczne rodziny**

**Ingallsów-Dudenhofców z Hannibal w Missouri. Pra-pra-prababcia Jane Martha Ingalls w przyszłym tygodniu skończyłaby dwieście siedemdziesiąt trzy lata.**

**“Bowie Ingalls” zaprowadził mnie do fanklubu Davida Bowiego w Manchesterze w Anglii i do strony profesora historii z Uniwersytetu Oklahomy, Jima Bowiego.**

**Pojawiło się kilka stron z hasłem “Melinda Waters”, ale żadna nie wydawała się powiązana ze sprawą Janie: fizyczka o tym nazwisku pracowała w laboratorium**

**Lawrence’a Livermore’a, dziewiętnastoletnia Melinda Sue Waters z małego miasteczka w Arkansas zamieściła w sieci swoje rozbierane zdjęcia, a mecenas Melinda Waters**

**(“Specjalność: bankructwa i eksmisje!”) reklamowała swoje usługi na stronie biuletynu**

**prawniczego z Santa Fe w Nowym Meksyku.**

**Żadnych kryminalnych historii ani wiadomości o śmierci którejś z dziewczyn.**

**Może przyjaciółka Janie faktycznie gdzieś wypłynęła, jak sugerował Milo, i niezauważenie wróciła do normalnego życia.**

**Wpisałem imię jej matki - Elaine. Bezskutecznie.**

**Dalej: Tanya Marie Stumpf. Nie znalazłem nic na temat partnerki Schwinna z tylnego siedzenia. Nic dziwnego, nie spodziewałem się, że podstarzała dziwka będzie miała swoją stronę w Internecie.**

**Nic o samym Piersie Schwinnie. Jego nazwisko wywołało kilka stron z akcesoriami do rowerów marki Schwinn i jeden artykuł, który zwrócił moją uwagę, ponieważ dotyczył stosunkowo niedalekiej okolicy - zeszłoroczne cotygodniowe sprawozdanie z wystawy koni w Ventura. Jednym ze zwycięzców była kobieta o nazwisku Marge Schwinn, hodująca araby w Oak View. Sprawdziłem tą miejscowość. Sto kilometrów na północ od Los Angeles, niedaleko Ojai. Wiejska okolica, idealne miejsce dla eks-gliny. Zapisałem to sobie.**

**Sprawdzenie działalności rodziny Cossacków zajęło mi sporo czasu, ponieważ wyszukiwarka wyrzuciła dziesiątki artykułów z "Los Angeles Timesa" i "Daily News", aż od lat sześćdziesiątych.**

**Ojciec chłopaków, Garvey Cossack senior, co jakiś czas pojawiał się w prasie w związku z wyburzaniem kamienic i stawianiem centrów handlowych, sporami z komisją planowania i jego kontaktami z politykami podczas akcji charytatywnych. Cossack Development wspierało United Way i badania nad wszystkimi chorobami, ale nie znalazłem nic o wpłatach na konto Policyjnego Towarzystwa Dobroczynności ani żadnych powiązań z Johnem G. Broussardem czy wydziałem policji Los Angeles.**

Pochodzące sprzed dwudziestu pięciu lat zdjęcie z kolumny towarzyskiej ukazywało Cossacka seniora jako niskiego, tysego, otyłego mężczyznę, z wielkimi okularami w czarnych oprawkach. Miał małe, wykrzywione jak od niestrawności usta i najwyraźniej lubił za duże kieszenie. Jego żona, Ilse, przewyższała go o pół głowy. Miała spłowiałe włosy, za długie i niepasujące do twarzy, zapadnięte policzki, sztywne z napięcia ręce i barbituranowe oczy. Nie licząc prezesury balu debutantek, urządzanego przez Wilshire Country Club, trzymała się z dala od blasku jupiterów. Sprawdziłem listę młodych kobiet, uczestniczek balu. Ani słowa o Caroline Cossack, dziewczynie, która nigdy nie zmieniała ubrań i była posądzana o otrucie psa.

Garvey junior i Bob Cossack zaczęli pojawiać się w gazetach w wieku dwudziestu kilku lat - parę lat po śmierci Janie Ingalls. Senior kopnął w kalendarz na siódmym dołku toru golfowego Wilshire Country Club, a ster Cossack Development przeszedł w ręce jego synów. Prawie natychmiast rozszerzyli sferę działalności firmy, kontynuując rozpoczęte projekty, ale też wykładając pieniądze na kilka zagranicznych, niezależnych filmów, z których każdy okazał się klapą.

Zdjęcia z "Calendar" ukazywały braci Cossacków na premierach, opalających się w Cannes, jadących do Park City na Sundance Festival, jedzących modne w tym miesiącu rzeczy, bawiących się z gwiazdkami i fotografami mody, uzależnionymi spadkobiercami fortun i ludźmi słynącymi z tego, że są słynni - zwyczajową zbieraniną hollywoodzkich pijawek.

Garvey Cossack junior zdawał się kochać błysk fleszów - zawsze pojawiał się na pierwszym planie. Ale jeśli uważał, że jest fotogeniczny, ulegał poważnemu złudzeniu. Miał płaską, świńską twarz, zwieńczoną rzędnącymi, kędzierzawymi ciemnoblond włosami i tłustą szyję, podpierającą głowę niczym kołnierz ortopedyczny. Jego młodszy



brat Bob ("Bobo", ponieważ jako dziecko uwielbiał zapaśnika Bobo Brazila) cechował się tymi samymi, grubo ciosanymi rysami, ale był szczuplejszy od brata, miał proste, ciemne włosy, zaczesane gładko do tyłu znad niskiego, kwadratowego czoła i wąsy w stylu Franka Zappy, które optycznie pomniejszały mu podbródek. Obaj upodobali sobie zestaw czarny garnitur plus podkoszulka, ale wyglądali w tym jak przebierańcy. Na Garveyu nic dobrze nie leżało, a Bobo robił wrażenie, jakby swoje ubrania kradł ze sklepu. To nie był strój przeznaczony do występowania na galach.

Przygoda braci Cossacków ze srebrnym ekranem trwała około trzech lat, potem zmienili bieg i zaczęli robić szum wokół sprawy sprowadzenia drużyny futbolowej do Coliseum. Wskrzeszali jedno z niespełnionych marzeń ojca. Stworzyli "konsorcjum" finansowe i wystosowali do rady miejskiej propozycję, która została odrzucona przez jej co bardziej populistycznie nastawionych członków jako plan sfinansowania z pieniędzy podatników czegoś, na czym Cossackowie chcieliby zarobić.

To przedsięwzięcie spaliło na panewce tak samo, jak zabawa w filmy i na kilka lat Cossackowie zniknęli z afisza. Potem Garvey Cossack znów wypłynął z planami finansowanego przez rząd projektu przebudowy San Fernando Valley, a Bobo przyciągnął uwagę próbą wyburzenia hollywoodzkiej kręgielni, którą tamtejsi mieszkańcy chcieli zachować jako charakterystyczny punkt okolicy, i postawienia na jej miejscu gigantycznej galerii handlowej.

Nekrolog ich matki pochodził sprzed trzech lat. Ilse Cossack zmarła "...po długiej walce z chorobą Alzheimera... prywatna uroczystość, zamiast kwiatów prosimy o wpłaty na..."

I ani słowa o Caroline.

Zacząłem przeglądać sieć i internetowe biuletyny w poszukiwaniu doniesień o

morderstwach na tle seksualnym w okresie na pięć lat przed i po zabójstwie Janie Ingalls, ale nie znalazłem nic dramatycznie podobnego. Zaciekawilo mnie to, bo seksualni sadyści zazwyczaj nie rezygnują, więc może morderca Janie nie żył albo siedział w więzieniu. Jeśli tak, to czy Milo uzyska kiedykolwiek odpowiedzi, których szuka?

Zszedłem na dół, zebrałem wszystkie egzemplarze "FBI Law Enforcement Journal", jakie znalazłem, do tego stos czasopism sądowych i periodyków kryminalnych - okrucieństwo tego, co zrobiono z Janie, było wyjątkowe, a schemat zadanych ran - zwłaszcza oskalpowanie - mógł się powtórzyć.

Ale nie znalazłem na to żadnych dowodów. Magazyn FBI odszedł od zawiadomień o niebezpiecznych przestępcach i szczegółowych studiów nad zbrodnią. Większość jego łamów zaczęły zajmować nudne artykuły dotyczące public relations, a jedyny przypadek oskalpowania kogoś pojawił się w serwisie o przestępczości w Brazylii: jakiś lekarz, Niemiec z pochodzenia, syn imigranta-nazisty zamordował kilka prostytutek i zachował ich skalpy jako trofea. Miał dwadzieścia kilka lat - kiedy zginęła Janie Ingalls, jeszcze raczkował.

Każdy jest kiedyś słodkim małym dzidziusiem.

Może morderca Janie oddawał się swojemu makabrycznemu hobby, nie zostawiając za sobą trupów.

Ale to nie miało sensu. Dwadzieścia lat temu zrobił przedstawienie z jej zwłok, z wiekiem powinien się zrobić bardziej, a nie mniej, bezczelny.

Kiedy wróciłem do domu, automatyczna sekretarka wyświetlała zero odebranych wiadomości. Zadzwoiłem do Mila. Odebrał Rick Silverman, sądząc po głosie - zaspany. Jest chirurgiem w pogotowiu. Nieważne, o której dzwonię, zawsze zachowuje się,

**jakbym go właśnie obudził.**

**- Alex, co słyhać? - Mówił swobodnym tonem, a więc Milo nie powiedział mu o Robin.**

**- W porządku, a u ciebie?**

**- Pracuję, płacą mi, nie narzekam.**

**- Jesteś jedynym lekarzem, który nie narzeka.**

**Roześmiał się.**

**- Tak naprawdę narzekam, ale co za dużo, to niezdrowo. Powtarzam sobie ciągle, jak to dobrze, że mam pensję i nie muszę się użerać bezpośrednio z dyrekcją szpitala.**

**Może kiedyś Milo będzie płacił wszystkie rachunki.**

**- Jasne, jak tylko zaczniesz jeździć do Paryża na pokazy mody.**

**Rick znów się roześmiał, ale ja pomyślałem “Paryż? Skąd mi się to wzięło, profesorze Freud?”**

**- A więc jesteś zajęty - powiedziałem.**

**- Właśnie wróciłem z osiemnastogodzinnego dyżuru. Karambol. Tata i mama posprzeczali się z przodu, z tyłu dwoje dzieci, trzy i pięć lat, bez fotelików, bez pasów.**

**Tata i mama przeżyli. Ona może nawet będzie chodzić... Wystarczy, bo wystawisz mi rachunek. Miśka nie ma. Wpadł na obiad i wybiegł.**

**- Powiedział, gdzie idzie?**

**- Nie. Zamówiliśmy chińszczyznę na wynos, a ja prawie zasnąłem w moim *moo goo*. Kiedy się obudziłem, okazało się, że mnie przykrył i zostawił wiadomość, że może być przez jakiś czas zajęty. Wyglądał na trochę podminowanego. Może powinienem o czymś wiedzieć? Znaleźliście sobie we dwóch coś nowego?**

**- Nie - powiedziałem. - Tylko stare rzeczy.**

**Próbowałem czytać, oglądać telewizję, słuchać muzyki, medytować - co za bzdura, cały czas miałem w głowie same paskudne rzeczy. Około dziesiątej wieczorem chciałem już zdrapywać tynk ze ścian, i zastanawiałem się, kiedy zadzwoni Robin.**

**Zadzwonił telefon.**

**O tej porze koncert w Eugene powinien już być w apogeum, a ona stać za sceną, cudownie zaganiana. Potrzebna. Szarpidruty, ratujmy-świat sukin...**

**- Halo - rzuciłem bez tchu.**

**- Co, złapałem cię w środku ćwiczeń? - spytał Milo.**

**- Nie, w środku niczego. O co chodzi?**

**- Nie mogę znaleźć Schwinna, ale możliwe, że znalazłem jego starą.**

**- Na imię ma Marge? Mecca Ranch w Oak View? - spytałem.**

**Wypuścił powietrze, co zabrzmiało jak przeciągły syk.**

**- No, no, no, ktoś tu jest pracowitą małą pszczołką.**

**- Raczej trutniem. Jak ją znalazłeś?**

**- Dając przykład, jak powinien pracować detektyw - powiedział. - Dorwałem się do akt emerytalnych Schwinna. To nieładnie, więc sprawa zostaje między nami.**

**- Jego emerytura szła na adres rancza?**

**- Przez pierwsze piętnaście lat szła na adres w Simi Valley. Potem przez dwa lata do skrzynki pocztowej w Oxnard, potem do rancza. Nie ma go w aktach wydziału komunikacji, ale przy adresie był odnośnik do Marge Schwinn. Zadzwoniłem do niej, zostawiłem wiadomość na sekretarce.**

**- Nie ma go w papierach wydziału komunikacji - powtórzyłem. - Myślisz, że nie żyje?**

**- Albo już nie jeździ.**

- Eks-glina, który nie jeździ?

- Faktycznie.

- Życie na przedmieściach, w Simi, potem dwa lata bez adresu i ranczo. To może oznaczać rozwód, samotne kawalerstwo i ponowne małżeństwo.

- Albo wdowieństwo. Jego pierwsza żona miała na imię Dorothy. Przestała być

beneficjentką, kiedy przeniósł się do Oxnard. Dwa lata później pojawiła się Marge. -

Przerwał. - Dorothy... Wydaje mi się, że o niej wspominał. Ciężko jest rozróżnić to, co

pamiętam, od tego, co bym chciał pamiętać. Tak czy inaczej to na razie wszystko.

Opowiedziałem mu o swojej wizycie w bibliotece i o tym, czego się dowiedziałem

o Cossackach.

- Bogate dzieciaki zostają bogate - stwierdził. - To nic nowego. Szukałem też

Melindy Waters. Nie ma o niej słowa w archiwach stanowych, o jej matce Eileen też nie.

Ale to nic nie znaczy - mogła wyjść za mąż, jej matka też, i obie zmieniły nazwisko.

Żałuję, że nie wiem, jak się nazywa ojciec Melindy, ale tego się nie dowiedziałem. Facet

popłynął do Turcji, można go tam szukać do oporu. Zlokalizowałem za to Bowiego

Ingallsa - on zdecydowanie nie żyje. Od dziewiętnastu lat.

- Rok po Janie - powiedziałem. - Co się stało?

- Wypadek samochodowy na wzgórzach. Ingalls wpadł na drzewo i przeleciał

przez przednią szybę. Alkohol we krwi cztery razy ponad dopuszczalny limit, w

samochodzie tuzin pustych puszek po piwie.

- Gdzie na wzgórzach?

- W Bel Air. Blisko zbiornika. Czemu pytasz?

- Niedaleko od domu, gdzie była impreza.

- Więc może wspominał - powiedział Milo. - Faktem jest jednak, że jechał po

**pijaku. Ci Cossackowie to jedna wielka hipoteza. Janie i Melinda mogły równie dobrze pójść na zupełnie inną imprezę. A może Schwinn miał rację i w ogóle nie było żadnej imprezy, zabrały się z jakimś psychopatą i zostały zarżnięte bliżej miejsca, gdzie znaleźliśmy Janie. Jestem zmęczony, Alex. Jadę do domu.**

**- Co robimy z Marge Schwinn?**

**- Dostała moją wiadomość.**

**- A jeśli nie oddzwoni?**

**- Spróbuję jeszcze raz.**

**- Jeśli Schwinn nie żyje, może to Marge przysłała teczkę - powiedziałem. - Mogła ją znaleźć w jego rzeczach, razem ze wzmiankami o tobie i o mnie...**

**- Wszystko jest możliwe, przyjacielu.**

**- Jeśli się odezwie, będę mógł pojechać z tobą?**

**- A kto mówi, że do niej pojedę?**

**Nie odpowiedziałem.**

**- Co, nie masz nic lepszego do roboty? - spytał Milo.**

**- Nic.**

**Prychnął.**

**- Robin dzwoniła - powiedziałem. - Rozmawiałem z nią.**

**- To dobrze - stwierdził, stawiając na końcu stwierdzenia mały znak zapytania.**

**Wróciłem czym prędzej "na bezpieczny teren.**

**- A przy okazji, znalazłeś chwilę, żeby sprawdzić odciski palców na teczce?**

**- Tylko jedne.**

**- Moje.**

**- Nie jestem asem daktyloskopii - powiedział Milo - ale twoje mam, a te**

**wyglądają znajomo.**

**- Więc ten, kto ją przysłał, wytarł ją do czysta. W każdym razie to znaczące.**

**Wiedział dobrze, co mam na myśli: ostrożny gliniarz albo dokładny, bezczelny morderca.**

**- Wszystko jedno - powiedział. - Dobranoc.**

**- Tobie też słodkich snów.**

**- O, pewnie. Już widzę, jak leci do mnie lukrowa wróżka.**

Nie spodziewałem się, że szybko się do mnie odezwie, ale następnego dnia o jedenastej stanął w drzwiach mojego domu, ubrany w granatową wiatrówkę, kraciastą koszulę i workowate dżinsy. Kurtkę wypychał mu przytroczony do paska pistolet, ale poza tym wyglądał jak ktoś, kto ma dzień wolny. Ja byłem jeszcze w piżamie. Jak dotąd Robin się nie odezwała.

- Lubisz świeże powietrze? - spytał Milo. - A koński nawóz? A jedno i drugie?

- Druga pani Schwinn oddzwoniła.

- Druga pani Schwinn nie oddzwoniła, ale pomyślałem sobie: "co tam, o tej porze roku w Ojai jest ładnie".

W gardle utknęło mi odruchowe "aha".

- Pójdę się ubrać.

- Tak będzie najlepiej.

- Seville jest niezły do długich wypraw - powiedział, a ja się zgodziłem. Kiedy włączyłem silnik, Milo oparł się o zagłówek, zakrył oczy chusteczką i rozdziawił usta.

Przez następną godzinę drzemał na fotelu pasażera, otwierając co jakiś czas oczy, żeby popatrzeć przez okno i przyjrzeć się światu z niedowierzaniem i podziwem, tak jak to robią dzieci i policjanci.

Ja też nie miałem ochoty na rozmowy. Towarzystwa dotrzymywała mi muzyka - stare kawalki Oscara Alemana z czasów Buenos Aires. Aleman lkał na swoim lśniącym jak diament, srebrnym nationalu. Do Oak View jechało się na północ autostradą numer 405, potem 101 w stronę Ventura i 33. Po kolejnych piętnastu kilometrach przejechanych dwupasmówką, przecinającą szaroróżowe góry, ale biegnącą tuż nad



poziomem morza, wyjechaliśmy na Ojai. W powietrzu czuć było wilgoć oceanu, niebo nad horyzontem miało kolor białej bawełny, a zasłaniające słońce chmury barwą przypominały lupek. Stłumione światło podkreślało zieleń; cały świat tonął w szmaragdzie.

Minęło kilka lat, odkąd byłem tu po raz ostatni. Ścigałem wtedy ogarniętego żądzą zemsty psychopatę i spotkałem niezwykłego człowieka, Wilberta Harrisona. Nie miałem pojęcia, czy nadal mieszka w Ojai. Psychiatra i filozof, miał refleksyjne nastawienie do życia, a biorąc pod uwagę okrucieństwo, jakie przeze mnie poznał, mógł się stąd wyprowadzić.

Pierwsze kilka kilometrów autostrady numer 33 szpeciły hałdy, szyby wiertnicze i rzędy metalowych spirali, wieńczących okablowane wsporniki elektrowni niczym przerośnięte *fusilli*. Niedługo potem okolica zrobiła się lesista i charakterystyczna dla Ojai - słodkie małe domki, otoczone kamiennymi murkami i ocienione dębami i sosnami, słodkie małe sklepiki, sprzedające własnej roboty świeczki i pachnidła. Kliniki masażu, instytuty jogi, szkoły uczące rysunku, malowania, rzeźby, odnajdywania wewnętrznego spokoju, jeśli tylko pozwoliło im się zagościć w swojej świadomości. Spomiędzy tego wszystkiego wzywała druga strona małomiasteczkowego życia - porzewiałe przyczepy za płotami z drutu kolczastego, budy z przynętami wędkarskimi, ciężarówka na ceglach, zakurzone domy, przed którymi wychudzone konie szturchały nosami wysuszoną ziemię, toporne szyldy, zachwalające befsztyki i domowe chili, stajnie i skromne świątynie konwencjonalnego Boga. A nad tym wszystkim jastrzębie, wielkie, spokojne, pewne siebie, zataczające leniwe, drapieżne kręgi.

Ranczo Mecca znajdowało się po zachodniej stronie numer 33, oznaczone tablicą z sosnowych desek, na której przybito metalowe litery i namalowano kaktus oraz kępę

trawy. Skręciliśmy w lewo, na prawie polną drogę i po przejechaniu pięciuset metrów wjechaliśmy między niskie łagodne wzgórza, otaczające niedużą żwirową kotlinę. Po prawej stała zagroda z metalowych słupków i skrzyżowanych belek, wystarczająco duża dla pięciu pasących się w niej koni, smukłych, dobrze odżywionych wierzchowców. Nie zwróciły na nas uwagi. Za zagrodą stało kilka przyczep do transportu koni, dalej znajdowały się padoki. Wzdłuż drogi rosły krzewy, posadzone blisko siebie i ładnie utrzymane; pomarańczowe i niebieskie kwiaty prowadziły spojrzenie patrzącego do niedużego lososiowego domu z płaskim dachem. Przed domem stał dziesięcioletni brązowy jeep wagoneer i półciężarówka dodge w tym samym wieku i kolorze. Przez zagrodę przepływał cień - jeden z jastrzębi kołował tak nisko, że mogłem dostrzec jego ostry jak skalpel, hakowaty dziób.

Wyłączyłem silnik, wysiadłem i zaciągnąłem się zapachem sosen i końskiego nawozu. Martwa cisza. Dla Pierce'a Schwinna to byłby raj. Ale jeśli tak jak Milo i wielu innych żył hałasem i złem, jak długo by tu wytrzymał?

Milo zatrzasnął głośno drzwi wozu, jakby chciał kogoś ostrzec. Ale nikt nie wyszedł nas przywitać, a w odsłoniętych frontowych oknach domu nie pojawiła się żadna twarz.

Podeszliśmy do drzwi. Milo nacisnął dzwonek, wywołując piętnastosekundową sekwencję dźwięków - nie rozpoznawałem melodii, ale kojarzyła mi się z windami w domach towarowych w Missouri.

Z zagrody dobiegł jakiś dźwięk - rzenie konia. Wciąż żadnej ludzkiej reakcji.

Jastrząb odleciał.

Przyjrzałem się zwierzętom. Muskularne, mahoniowe stworzenia, dwa ogiery, trzy klacze, grzywy lśniące i wyczesane. Nad bramą zagrody zamocowano na

metalowym łuku napis, wykonany pismem przypominającym arabskie: *Mecca*. Zza bawelnianych chmur wyjrzał trójkąt niebieskiego nieba. Otaczające ranczo wzgórze były zieloną, łagodną, naturalną granicą. Trudno sobie wyobrazić, żeby teczka ze zdjęciami morderstw powstała w tak sielankowym miejscu.

Milo zadzwonił jeszcze raz.

- Chwileczkę! - odezwał się kobiecy głos. Kilka minut później drzwi się otworzyły.

Stojąca w nich kobieta była drobna, ale silna. Mogła mieć od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu lat. Nosila niebiesko-żółtą koszulę w kratę, wpuszczoną w obcisłe, podkreślające płaski brzuch, wąską talię i chłopięce biodra dżinsy. Z dżinsów wystawały spękane, ale czyste robocze buty. Siwe włosy, zachowujące wciąż ślad koloru zboża, związała z tyłu głowy w krótki kucyk. Mocne rysy twarzy kobiety czyniły ją bardziej atrakcyjną z wiekiem, ale jako młoda dziewczyna musiała wyglądać dość pospolicie. Jej oczy były mieszaniną zieleni i brązu; tego drugiego było za mało, by można je było nazwać orzechowymi. Brwi wyskubała w pajęczce przecinki, ale nie miała makijażu. Skóra kobiety była świadectwem tego, co słońce może zrobić ze skórą: pomarszczona, spękana i pofałdowana do tego stopnia, że przypominała korę. Pod oczami i na brodzie miała kilka podejrzanych, ciemnych plamek. W uśmiechu ukazywała mlecznobiałe zęby zdrowej młodej dziewczyny.

- Pani Schwinn? - spytał Milo, sięgając po odznakę.

- Jestem Marge i wiem, kim pan jest, detektywie - powiedziała kobieta, zanim zdążył wyjąć z kieszeni blachę. - Odebrałam pana wiadomości.

Nie przeprosiła za to, że nie oddzwoniła. Kiedy jej uśmiech zgasł, z twarzy nie dało się wyczytać żadnych emocji, a ja zastanawiałem się, czy nie udzieliło się to przypadkiem jej koniom.

**- Wiem, jak wygląda policyjny wzrok - wyjaśniła.**

**- Słucham, proszę pani?**

**- Strach pomieszany z gniewem. Spodziewanie się zawsze najgorszego. Czasami, kiedy jeździliśmy z Pierce'em i coś zaszeleściło w krzakach, on tak właśnie patrzył. A więc... był pan jego ostatnim partnerem. Mówił o panu.**

**Spojrzała na mnie. Czas przeszły zawisł złowieszczo w powietrzu.**

**Przygryzła wargę.**

**- Pierce nie żyje. Zmarł w zeszłym roku.**

**- Przykro mi.**

**- Mnie też. Strasznie mi go brakuje.**

**- Kiedy...**

**- Spadł z konia siedem miesięcy temu. Z jednego z najłagodniejszych, Akhbara.**

**Pierce nie był kowbojem, nie jeździł konno, dopóki mnie nie poznał. Dlatego dawałam mu zawsze Akhbara. Przywiązali się do siebie. Ale coś musiało Akhbara wystraszyć.**

**Znalazłam go niedaleko jeziora Casitas, leżał na boku, miał dwie złamane nogi. Pierce leżał kilka metrów dalej, z głową roztrzaskaną o kamień, nie miał pulsu. Akhbara trzeba było dobić.**

**- Przykro mi, proszę pani.**

**- Jakoś sobie z tym radzę. Najbardziej boli ta nieobecność. Jednego dnia ktoś jest, a potem...** - Marge Schwinn pstryknęła palcami i zmierzyła Mila wzrokiem od stóp do

**głów. - Zasadniczo wygląda pan tak, jak się spodziewałam, biorąc pod uwagę upływ czasu. Nie przyjechał pan powiedzieć mi czegoś złego o Piersie, prawda?**

**- Nie, proszę pani, dlaczego miałbym...**

**- Proszę mi mówić Marge. Pierce uwielbiał pracę detektywa, ale miał żal do**

wydziału. Mówił, że dręczyli go latami, bo był indywidualistą. Dostaję po nim emeryturę, nie chcę się w nic mieszać ani wynajmować adwokata. Dlatego nie oddzwoniłam. Nie wiedziałam, co pan zamierza.

Wyraz jej twarzy mówił, że nadal nie wie.

- Nie chodzi o emeryturę Pierce'a, a ja nie jestem tu jako przedstawiciel wydziału. Pracuję tylko nad pewną sprawą - powiedział Milo.

- Nad sprawą, którą zaczął pan z Pierce'em?

- Nad sprawą, nad którą miałem zacząć pracować z Pierce'em, zanim przeszedł na emeryturę.

- Przeszedł na emeryturę - powtórzyła Marge. - Można to i tak nazwać... Cóż, to mile. Pierce'owi by się spodobało, że interesuje pana jego zdanie po tylu latach. Mówił, że jest pan bystry. Proszę, wejdźcie panowie, kawa jest jeszcze ciepła. Niech mi pan opowie o czasach, kiedy pracował pan z Pierce'em. Niech mi pan opowie coś dobrego.

Dom był skromny i niski, ściany pokryte na przemian sosnową boazerią i plecionymi z trawy matami w kolorze piasku. Ciasne, ciemne pomieszczenia urządzone były zużytymi, prostymi meblami z lat pięćdziesiątych, za które dwudziestoletnie gwiazdki z przyjemnością przepłaciłyby w sklepie ze starzyzną.

Salon otwierał się na położoną w głębi kuchnię. Usiedliśmy naprzeciw siebie przy stoliku w kształcie nerki. Marge Schwinn nalala nam kawy o słabym aromacie hikory.

Na ściennych matach wisiały obrazy koni. Stojący w rogu regalik ugiął się od złota i jedwabiu trofeów. Naprzeciw stał stary telewizor, z bakelitowymi przyciskami i wybaluszonym, zielonkawym kineskopem. Na nim oprawione w ramki zdjęcie - mężczyzna i kobieta, ale z tej odległości nie było widać szczegółów. Za kuchennym oknem rozpościerał się panoramiczny widok na góry, ale pozostałe wychodziły na

zagrodę. Konie stały dalej w tym samym miejscu, w którym widzieliśmy je ostatnio.

Marge skończyła nalewać kawę i usiadła na krześle o prostym oparciu, pasującym do jej sylwetki. Młode ciało, stara twarz. Wierzchy jej dłoni były jednym wielkim piegiem, upstrzonym łatami normalnej skóry, odciskami i robakami żył.

- Pierce dużo o panu myślał - powiedziała do Milo.

Milo szybko pozbył się wyrazu zdziwienia, ale Marge zauważyła go i uśmiechnęła się.

- Tak, wiem. Opowiadał, że panu dokuczał. Ostatnie lata w policji były ciężkim okresem w życiu Pierce'a, detektywie Sturgis. - Spuściła na chwilę wzrok. Już się nie uśmiechała. - Wiedział pan, że kiedy jeździł pan z Pierce'em, był uzależniony od narkotyków?

Milo zamrugał. Założył nogę na nogę.

- Pamiętam, że brał leki.

- No tak - powiedziała Marge. - Ale nie miał nadciśnienia. Lekarstwo dawało mu haj. To robił otwarcie, a po cichu faszerował się amfetaminą - spidem. Zaczął to robić, żeby nie zasypiać na służbie, żeby móc wracać do domu w Simi Valley, nie zasypiając za kółkiem. Tam mieszkał ze swoją pierwszą żoną. Mocno w to wpadł. Znał pan Dorothy?

Milo pokręcił głową.

- Miła kobieta, według Pierce'a. Ona też nie żyje. Miała atak serca niedługo po tym, jak Pierce przeszedł na emeryturę. Była nałogową palaczką, z dużą nadwagą. To dlatego Pierce zaczął brać. Dorothy miała dużo recept na środki odchudzające, Pierce zaczął je podbierać. Nie zapanował nad tym, jak to się zwykle dzieje. Opowiadał, że zrobił się naprawdę paskudny - był podejrzliwy, miał wahania nastroju, nie mógł spać.

Mówił, że wyżywał się na partnerach, zwłaszcza na panu. Źle się z tym czuł, mówił, że

był z pana bystry chłopak. Uważał, że daleko pan zajdzie...

Umilkła.

Milo zaczął skubać suwak kurtki.

- Czy Pierce mówił o swojej pracy, proszę pani?

- Nie o konkretnych sprawach, jeśli o to panu chodzi. Tylko o tym, jaka zgnilizna panuje w wydziale. Myślę, że praca zatruwała go tak samo, jak narkotyki. Kiedy go poznałam, był na samym dnie. To było tuż po śmierci Dorothy. Pierce przestał płacić za wynajem domu w Simi - nie kupili go, tylko wynajmowali. Mieszkał w obskurnym motelu w Oxnard i zarabiał minimum socjalne, zamiatając podłogę w Randall's Western Wear. Tam go spotkałam. Brałam udział w wystawie w Ventura, przyszedłam do Randall'sa obejrzeć buty, zderzyłam się Pierce'em, kiedy wynosił śmieci. Upadłam na tyłek, oboje zaczęliśmy się śmiać. Spodobał mi się jego śmiech. I zaciekał mnie. Ktoś w tym wieku, kto robi coś takiego... Zazwyczaj zajmują się tym młodzi Meksykanie.

Następnym razem, kiedy tam przyszedłam, zaczęliśmy rozmawiać. Miał coś w sobie; był silny, nie marnował słów. Ja jestem gadatliwa, jak słyszycie. To dlatego, że przez większość życia mieszkałam sama, rozmawiałam z końmi. Albo ze sobą, żeby mi nie odbiło. Ta ziemia należała do mojego dziadka. Dostałam ją w spadku po rodzicach. Byłam najmłodsza, zostałam w domu i opiekowałam się nimi. Konie udają, że mnie słuchają. To właśnie podobało mi się w Piersie, był dobrym słuchaczem. Niedługo potem wymyślałam sobie powody, żeby pojechać do Oxnard. - Uśmiechnęła się. - Kupiłam dużo butów i dżinsów. A on nigdy więcej mnie już nie przewrócił.

Sięgnęła po kawę.

- Znaliśmy się rok, zanim w końcu zdecydowaliśmy się na małżeństwo.

Zrobiliśmy to, bo byliśmy staromodni, nie moglibyśmy zamieszkać ze sobą bez papierka.

**Ale przede wszystkim łączyła nas przyjaźń. Był moim najlepszym przyjacielem.**

**Milo kiwnął głową.**

**- Kiedy Pierce przestał brać?**

**- Wychodził z nałogu, kiedy go poznałam. Dlatego właśnie przeprowadził się do tej nory. Karał samego siebie. Miał trochę oszczędności i emeryturę, ale żył jak ostatni menel. Bo za takiego się uważał. Kiedy zaczęliśmy się umawiać, zupełnie już rzucił prochy. Ale wiedział, że nie będzie już taki sam. Nazywał to “szwajcarskim mózgiem”. Mówił, że gdyby ktoś prześwietlił jego mózg, znalazłby w nim dziury tak duże, że można by w nie włożyć palec. Głównie chodziło o równowagę i pamięć - musiał sobie zapisywać różne rzeczy, nie pamiętał ich. Mówiłam mu, że to kwestia wieku, ale nie był przekonany. Kiedy powiedział mi, że chce się nauczyć jeździć konno, zmartwiłam się. Nie był najmłodszy, nie miał doświadczenia, za to problemy z równowagą. Ale Pierce trzymał się w siodle, dopóki... Konie go uwielbiały, miał na nie kojący wpływ. Może dzięki temu, przez co przeszedł, zanim wyszedł z narkomanii. Może osiągnął wyższy poziom, niżby mu się to udało, gdyby nie cierpiał. Pewnie ciężko panu w to uwierzyć, detektywie Sturgis, ale kiedy był ze mną, Pierce stał się niebiańsko spokojnym człowiekiem.**

**Wstała i podała nam stojące na telewizorze zdjęcie. Przedstawiało ją i Schwinna, opartych o słupki zagrody przed domem. Moje wyobrażenie na temat byłego detektywa opierało się na opisie Mila i spodziewałam się ujrzeć zgorzkniałego, starego glinę o umęczonych oczach. Mężczyzna na zdjęciu miał długie, siwe, spadające za ramiona włosy i śnieżnobiałą brodę, sięgającą prawie do pępka. Ubrany był w jasnobrązową, skórzaną kurtkę oraz dżinsową koszulę i spodnie. Na ręku miał turkusową bransoletkę, w uchu taki sam kolczyk.**



**Stary traper albo geriatryczny hipis, trzymający za rękę sięgającą mu ledwie do ramienia, spaloną słońcem kobietę. Zobaczyłem, że Milo wytrzeszcza oczy.**

**- Oto mój Dziadzio Dziecko Kwiat - powiedziała Marge. - Inny, niż kiedy pan go znał, co?**

**- Odrobinę - zgodził się Milo.**

**Położyła zdjęcie na podolku.**

**- I co pan miał nadzieję od niego usłyszeć w swojej sprawie?**

**- Zastanawiałem się, czy Pierce coś pamiętał.**

**- Coś tak starego, a pan znów się tym zajmuje? Kto został zabity?**

**- Dziewczyna nazwiskiem Janie Ingalls. Pierce może o niej wspominał?**

**- Nie - powiedziała Marge. - Jak mówiłam, nie opowiadał o swojej pracy, przykro mi.**

**- Zostawił jakieś papiery?**

**- Jakie papiery?**

**- Coś związanego z pracą: wycinki z gazet, zdjęcia, policyjne dokumenty?**

**- Nie. Kiedy wyprowadził się z domu w Simi, wszystkiego się pozbył. Nie miał nawet samochodu. Kiedy się umawialiśmy, ja musiałam po niego przyjeżdżać.**

**- Kiedy go znalazłem - powiedział Milo - miał fioła na punkcie fotografii. Wrócił do tego?**

**- Tak. Lubił chodzić po wzgórzach i fotografować naturę, kupił sobie tani, mały aparat. Kiedy zobaczyłam, jaką mu to sprawia przyjemność, na sześćdziesiąte ósme urodziny kupiłam mu nikona. Robił ładne zdjęcia. Chcecie panowie obejrzeć?**

**Zaprowadziła nas do jedynej sypialni w domu, czystego, wyłożonego sosnową boazerią pokoju, zajętego przez przykryte narzutą podwójne łóżko i dwie bliźniacze**

nocne szafki. Na ścianach wisiały oprawione w ramki zdjęcia. Wzgórza, doliny, drzewa, suche i pełne koryta strumieni, wschody słońca, zachody słońca, pocałunek zimowego śniegu. Ostre kolory, dobre kompozycje. Ale nic, co stałoby na drabinie ewolucji wyżej od rośliny nie było nawet ptaka na niebie.

- Ładne - powiedział Milo. - Czy Pierce miał własną ciemnię?

- Przerobiliśmy na to pół łazienki. Prawda, że miał talent?

- Miał, proszę pani. Kiedy znałem Pierce'a, lubił czytać naukowe pisma.

- Naprawdę? Ja nic takiego nie zauważyłam. Najczęściej rozmyślał. Potrafił siedzieć w salonie i godzinami patrzeć w okno. Nie licząc chwil, kiedy miał to policyjne spojrzenie albo kiedy męczyły go koszmary, był spokojny. Przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu.

- Czy podczas tego jednego procenta - spytałem - powiedział, co go trapi?

- Nie, proszę pana.

- Przez mniej więcej ostatni miesiąc przed wypadkiem, w jakim był nastroju?

- Dobrym - powiedziała i spochmurniała. - O nie, niech pan tak nawet nie myśli.

To był wypadek. Pierce nie był najlepszym jeźdźcem i miał sześćdziesiąt osiem lat. Nie powinnam pozwolić mu wyjeżdżać samemu na tak długo, nawet na Akhbarze.

- Na tak długo? - powtórzył Milo.

- Nie było go pół dnia. Zazwyczaj jeździł nie dłużej niż godzinę. Miał ze sobą swojego nikon, powiedział, że chce złapać popołudniowe słońce.

- Robił zdjęcia.

- Nie zdążył. Film w aparacie był pusty. Musiał spaść z konia na samym początku i jakiś czas leżeć. Powinnam wcześniej go szukać. Ale doktor zapewnił mnie, że taka rana głowy zabiła go na miejscu. Przynajmniej nie cierpiał.

**- Uderzył głową o kamień - powiedział Milo.**

**Marge potrząsnęła głową.**

**- Nie chcę o tym rozmawiać.**

**- Przepraszam panią. - Milo podszedł bliżej wiszących na ścianie zdjęć. - Są naprawdę dobre, proszę pani. Czy Pierce miał jakieś albumy?**

**Marge wyminęła łóżko i podeszła do lewej szafki. Obok pustej szklanki leżał na niej damski zegarek. Marge otworzyła szufladę, wyjęła ze środka dwa albumy i położyła je na biurku.**

**Dwa oprawne w niebieską skórę segregatory. Rozpoznałem ich wielkość i kształt.**

**Nieopisane. Marge otworzyła jeden, zaczęła przewracać strony. Zdjęcia w**

**sztywnych,**

**foliowych**

**koszulkach,**

**przyklejone**

**czarnymi,**

**samoprzylepnymi**

**narożnikami.**

**Zielona trawa, szare skały, brunatna ziemia, błękitne niebo. Fantastyczny**

**nieożywiony świat Pierce'a Schwinna.**

**Milo i ja pomrukiwaliśmy z uznaniem. W drugim albumie było mniej więcej to**

**samo. Milo przeciągnął palcem po jego grzbiecie.**

**- Ładna skóra.**

**- Ja mu je kupiłam.**

**- Gdzie? - spytał Milo. - Sam bym chciał mieć coś takiego.**

- W O'Neill & Chapin, tuż przy drodze, obok Celestial Cafe. Zaopatrują artystów, mają dobre rzeczy. Te albumy są angielskie, ale już ich nie produkują.

Kupiłam ostatnie trzy.

- Gdzie jest trzeci?

- Pierce do niego nie doszedł... Wie pan co, właściwie mogę go panu dać. Mnie nie jest potrzebny, a sama myśl o niedokończonych sprawach Pierce'a sprawia, że chce mi się płakać. A jemu by się to podobało. Chciałby, żeby pan go miał. Dużo o panu myślał.

- Naprawdę, proszę pani...

- Nie, nalegam - powiedziała Marge. Przeszła przez pokój i weszła do zabudowanej wnęki. Wyszła z niej chwilę później z pustymi rękami.

- Mogłabym przysiąc, że go tam widziałam, ale to było jakiś czas temu. Może jest gdzieś indziej... Może Pierce zaniósł go do ciemni, chodźmy zobaczyć.

Przebudowana łazienka znajdowała się na końcu korytarza. Dwa na dwa metry, bez okna, wąska, drewniana szafka obok zlewu, powietrze przesiąknięte ostrym odorem chemikaliów. Marge wysuwała po kolei szuflady, ukazując pudełka z fotograficznym papierem i różne buteleczki, ale nigdzie nie było niebieskiego albumu, filmów ani slajdów zresztą też.

- Wygląda na to, że Pierce włożył do albumów wszystko, co miał - powiedziałem.

- Chyba tak - odparła Marge. - Ale ten trzeci... był taki drogi, szkoda, żeby się zmarnował... musi tu gdzieś być. Wie pan co, jak go znajdę, wyślę do pana. Może mi pan zostawić adres?

Milo podał jej wizytówkę.

- Zabójstwa - powiedziała. - To słowo aż skacze człowiekowi do oczu. Nie

chciałam myśleć o życiu, jakie Pierce prowadził, zanim mnie poznał. Nie chciałam go

sobie wyobrażać, jak spędza tyle czasu z trupami - bez urazy.

- To nie jest praca dla każdego, proszę pani.

- Pierce był na zewnątrz silny, ale w środku wrażliwy. Czuł potrzebę piękna.

- Wygląda na to, że je znalazł - powiedział Milo. - Znalazł prawdziwe szczęście.

Oczy Marge zwilgotniały.

- To miło z pana strony. Cóż, cieszę się, że panów poznałam. Dobrzy z was

sluchacze. - Uśmiechnęła się. - To pewnie przez to, że jesteście z policji.

Odprowadziła nas do frontowych drzwi.

- Czy Pierce miał kiedykolwiek jakichś gości? - spytał Milo.

- Ani jednego, detektywie. Rzadko kiedy opuszczaliśmy ranczo, właściwie tylko

po zakupy, raz na miesiąc jeździliśmy zaopatrywać się w Oxnard albo Ventura. Raz na

jakiś czas wypadaliśmy do Santa Barbara do kina albo na przedstawienie w teatrze w

Ojai, ale prawdę mówiąc, oboje byliśmy strasznymi odludkami. Wieczorami siadaliśmy

przed domem i oglądaliśmy gwiazdy. Nam to wystarczyło.

W trójkę podeszliśmy do seville'a. Marge spojrzała na konie.

- Spokojnie, kochani, zaraz będzie czesanko! - zawołała do nich.

- Dziękujemy za to, że poświęciła nam pani czas, pani Schwinn - powiedział Milo.

- Pani Schwinn - powtórzyła Marge. - Nigdy nie sądziłam, że będę "panią", ale

podoba mi się, jak to brzmi. Chyba mogę zostać na zawsze panią Schwinn, prawda?

Kiedy wsiedliśmy do wozu, nachyliła się do okna drzwi pasażera.

- Polubiłby pan Pierce'a, którego znalazłam, detektywie. Nikogo nie osądzał.

Dotknęła lekko dłoni Mila, odwróciła się na pięcie i poszła w stronę zagrody.

- A więc wiemy już, skąd przyszła teczka - powiedziałem, kiedy wróciliśmy na autostradę numer 33.
  - Facet przekłubał ucho i zamieniał się w pana Spokojnego.
  - To Kalifornia.
  - "Nie osądzał". Wiesz, co miała na myśli, prawda? Schwinn uznał, że może się pogodzić z tym, że jestem gejem. Rany, ależ mi ulżyło.
  - Kiedy jeździliście razem, był homofobem?
  - Nie mówił nic wprost, ale był ogólnie złośliwy. Ale kto z tamtego pokolenia lubił cioty? Między nami zawsze wisiało jakieś napięcie. Jak ze wszystkimi.
  - Wesole czasy - powiedziałem.
  - O tak, hopsa-hej. Zawsze czułem, że mi nie ufa. W końcu powiedział mi to w twarz, ale nie wyjaśnił, dlaczego. Teraz wiemy, że to mógł być efekt zażywania spidu, ale wcale tak nie sędzę.
  - Myślisz, że wydział wiedział o jego uzależnieniu?
  - Nie poruszyli tego tematu, kiedy mnie przesłuchiwali, skupili się na jego ekscesach seksualnych.
  - Ale mnie ciekawi to, że zwolnili go z pełną emeryturą, zamiast postawić mu zarzuty - powiedziałem. - Może to dlatego, że upublicznienie sprawy ćpającego gliny dziwkarza mogło ujawnić innych ćpających dziwkarzy w policji. A może miało to coś wspólnego ze sprawą Ingalls.
- Milo odezwał się dopiero kilka kilometrów dalej.
- Spidowiec. Dupek był nadpobudliwy, cierpiał na bezsenność, był chudy jak

szczapa, pił kawę i syrop jak wampir krew. Dodajmy do tego nadmierną podejrzliwość i mamy ćpuna pierwszej wody. Powiniennem to zauważyć.

- Skupiłeś się na pracy, nie na jego złych nawykach. Zresztą wyszło na to, że chociaż cię nie uwielbiał, szanował twoje umiejętności. Dlatego kazał komuś przesłać ci ten album.

- Komuś - prychnął Milo. - Umarł siedem miesięcy temu, a album przyszedł teraz. Myślisz, że tym kimś może być poczciwa Marge?

- Wydawała się być z nami szczerą, ale kto wie? Przez większość życia mieszkała sama, mogła wyrobić sobie jakiś instynkt przetrwania.

- Jeśli to ona, to o co tu chodzi? Spełniła ostatnie życzenie Schwinna? Poza tym to wcale nie wyjaśnia, dlaczego album przyszedł do ciebie.

- Z tego samego powodu - powiedziałem. - Schwinn zacierał ślady. Przeklął sobie ucho, ale nie pozbył się gliniarskich instynktów.

- Podejrzliwy do samego końca.

- Ostrożność może być przydatna - powiedziałem. - Schwinn zbudował sobie nowe życie, w końcu miał coś do stracenia.

Milo zamyślił się nad tym.

- Dobra, zostawmy kwestię, kto to przysłał i zajmijmy się najważniejszym pytaniem: po co? Schwinn przez dwadzieścia lat zatajał coś w sprawie Janie i nagle poczuł się winny?

- Przez większą część tych dwudziestu lat miał inne rzeczy na głowie. Żał do wydziału, wdowieństwo, poważne uzależnienie. Staczał się na dno, jak powiedziała Marge. Zestarzał się, porzucił nałóg i zajął sobie głowę nowymi sprawami: drugim małżeństwem, przystosowywaniem się do nowego życia. Uczył się siedzieć i patrzeć w

**gwiazdy. W końcu miał już czas, żeby zastanowić się nad sobą. Miałem kiedyś pacjentkę, posłuszną córkę opiekującą się śmiertelnie chorą matką. Na tydzień przed śmiercią ta matka wezwała ją do siebie i przyznała się, że zadźgała jej ojca we śnie rzeźnickim nożem. Moja pacjentka miała wtedy dziewięć lat. Przez te wszystkie lata ona i reszta rodziny żyła mitem nocnego nożownika. Całe życie się bała, a potem dowiedziała się prawdy od osiemdziesięcioletniej morderczyni.**

**- Ale Schwinn nie wiedział, że umrze! Przecież spadł z konia!**

**- Chodzi mi o to, że podeszły wiek i zastanawianie się nad sobą to ciekawa kombinacja. Może Schwinn zaczął dręczyć niezakończone sprawy. Postanowił porozumieć się z tobą w sprawie Janie, ale nie chciał wchodzić w to na całego. Więc użył mnie jako posłańca. Gdybym nie przekazał ci teczek, wywiązałby się z moralnej powinności. Gdybym ją przekazał, a ty byś go znalazł, też dałby sobie radę. Ale gdybyś w jakikolwiek sposób mu zagrażał, mógłby się wszystkiego wyprzeć.**

**- Wysłał cały album, żeby przypomnieć mi o Janie?**

**- Zaczął go pewnie kompletować w ramach jakiegoś zбочzonego hobby - egzorcyzmował swoje demony. To nie zbieg okoliczności, że na jego późniejszych zdjęciach nie ma ludzi. Schwinn napatrzył się na to, co w ludziach najgorsze.**

**Jechaliśmy w milczeniu.**

**- Wygląda na to, że to był skomplikowany człowiek - powiedziałem.**

**- To był świr, Alex. Wynosił zdjęcia trupów z archiwum dowodów i zbierał je dla własnej rozrywki. Pewnie go to podniecało, a potem się zestarzał, przestał mu stawać i postanowił, że się tym z kimś podzieli.**

**Zmarszczył czoło.**

**- Nie sądzę, żeby Marge wiedziała o teczce. Nie chciał, żeby go uważała za**



wariata. A to znaczy, że przysłał ci ją ktoś inny. Z tego, co mówiła, wynikało, że zbudowali sobie we dwoje mały domowy kokonik, ale myślę, że bardzo się myliła.

- Inna kobieta? - powiedziałem.

- Czemu nie? Ktoś, kogo odwiedzał, kiedy chciał się wyrwać ze swojej wiejskiej nirwany. Ten facet na służbie przewalał się z dziwkami na tylnym siedzeniu samochodu.

Nie wierzę w aż taką zmianę.

- Jeśli była inna kobieta - powiedziałem - musiała mieszkać daleko od Ojai. To małe miasteczko, trudno tu o dyskrecję. I to by wyjaśniało stempel poczty w Los Angeles.

- Bydlak. - Milo zaklął pod nosem. - Nigdy go nie lubilem, a teraz wkurza mnie zza grobu. Powiedzmy, że miał wyrzuty sumienia w związku z Janie. Co ta teczka ma nam przekazać? Co mam z nią zrobić? Pieprzę to, nie muszę grać w jego gry.

Milczeliśmy aż do wjazdu na autostradę. W Camarillo zmieniłem pas i rozpędziłem seville'ado stu dwudziestu.

- Gaz do dechy... - mruknął Milo. - Drania nagle zakłulo sumienie, a ja muszę skakać jak szkolona pchła.

- Nie musisz nic robić - powiedziałem.

- Jasne. Jestem Amerykaninem. Mam prawo do życia, wolności i dążenia do osobistego nieszczęścia.

Przejechaliśmy granicę hrabstwa Los Angeles późnym popołudniem.

Zatrzymaliśmy się w barze w Tarzana na hamburgera, wróciliśmy na Ventura

Boulevard i skręciliśmy w prawo przy pawilonie na Van Nuys. Potem Valley Vista i

Beverly Glen. Poprosiłem Mila, żeby z komórki sprawdził moją pocztę głosową. Robin nie zadzwoniła.

**Kiedy zajechaliśmy pod mój dom, Milo wciąż nie był w nastroju do rozmowy.**

**- Nie mogę się pozbyć myśli o Caroline Cossack - powiedziałem.**

**- Dlaczego?**

**- Otrucie psa to coś więcej niż szczenięcy dowcip. Gazety rozpisują się o jej braciach, ale o niej ani słowa. Jej matka przewodniczyła na balu debutantek, ale Caroline tam nie było. Nie było jej nawet na pogrzebie matki. Gdybyś nie opowiedział mi tej historii z psem, nie wiedziałbym nawet, że dziewczyna istnieje. To tak, jakby rodzina się jej wyrzekła. Może mieli jakiś powód.**

**- Sąsiadka, ta stara lekarka, Schwartzman, mogła mieć zbyt bujną wyobraźnię.**

**Nie przepadała za Cossackami w ogóle.**

**- Ale podejrzewała Caroline.**

**Milo nie wysiadał.**

**- Dziewczyna i trucizna, to ma sens - powiedziałem. - Otrucie nie wymaga konfrontacji, więc trucicielami są głównie kobiety. Nie muszę ci mówić, że psychopatyczni mordercy często zaczynają od zwierząt, ale to zwykle mężczyźni, którzy lubią widok krwi. Takie okrucieństwo u młodej dziewczyny zwróciłoby uwagę.**

**Zastanawiam się, czy przez te wszystkie lata nie była gdzieś zamknięta. Może za coś o wiele gorszego niż zabicie psa.**

**- Albo nie żyje.**

**- To znajdź akt zgonu.**

**Milo potarł oczy i spojrzał na mój dom.**

**- Otrucie to podstęp. To, co zrobiono z Janie było bezczelne - zostawili ją na widoku. Nie ma mowy, żeby dziewczyna była do tego zdolna.**

**- Nie twierdzę, że Caroline osobiście zamordowała Janie, ale mogła brać w tym**

**udział - mogła być przynętą tego, kto ciało. Mnóstwo morderców używało młodych kobiet jako przynęty: Paul Bernardo, Charlie Manson, Gerald Gallegos, Christopher Wilding. Caroline byłaby idealną przynętą na Janie i Melinę - była w tym samym wieku, na pierwszy rzut oka niegroźna. I bogata. Caroline mogła stać z boku i patrzeć, jak ktoś to robi, albo brać w tym udział tak, jak dziewczyny Mansona. Może to była grupowa zabawa, tak jak u Mansona, impreza, która źle się skończyła. Kobiety są towarzyskie, nawet morderczynie. W grupie obniżają im się progi reagowania.**

**- A rodzina się dowiedziała, przycisnęła wydział, żeby wyciszyć sprawę i zamknęła gdzieś Szaloną Caroline... trup w szafie.**

**- Za takie pieniądze mogli jej urządzić całkiem niezłą szafę.**

**Wszedł ze mną do środka. Przejrzałem pocztę i zadzwoniłem do archiwum hrabstwa oraz do urzędu ubezpieczeń społecznych. Nie istniał akt zgonu wystawiony na nazwisko Caroline Cossack, dziewczyna nie dostała też numeru ubezpieczenia ani prawa jazdy.**

**Melinda Waters dostała numer w wieku piętnastu lat, ale w Kalifornii nigdy nie prowadziła samochodu ani nie płaciła podatków. To by się zgadzało, jeśli zginęła w młodym wieku. Ale jej aktu zgonu też nie było.**

**- Zniknęła - powiedziałem. - Melinda prawdopodobnie zginęła tej samej nocy, co Janie, a Caroline jest albo bardzo dobrze ukryta, albo też zniknęła, a rodzina to zatuszowała.**

**- Ukryta, to znaczy w zakładzie?**

**- Albo po prostu dobrze pilnowana. Taka bogata dziewczyna ma na pewno swój fundusz, mogłaby żyć z odsetek, w willi nad Morzem Śródziemnym, obserwowana dwadzieścia cztery godziny na dobę.**

**Milo zaczął krążyć po pokoju.**

**- Panna Nigdzie... ale kiedy była dzieckiem, musiała mieć jakąś tożsamość.**

**Ciekawe byłoby ustalić moment, w którym ją straciła.**

**- Akta szkoły - powiedziałem. - Mieszkała w Bel Air, co oznaczałoby Palisades albo University High, jeśli Cossackowie wybrali szkołę publiczną. Beverly, jeżeli zakręcili coś z miejscem zamieszkania. Z prywatnych mamy: Harvard-Westlake - wtedy to była Szkoła dla Dziewcząt Westlake - Marlborough, Buckley, John Thomas Dye i Crossroads.**

**Milo otworzył notatnik i zaczął coś zapisywać.**

**- Albo - dodałem - szkoła dla dzieci z problemami.**

**- Masz na myśli coś konkretnego?**

**- Wtedy byłem jeszcze na stażu, przypominam sobie trzy wysoko cenione placówki. Jedna w zachodnim Los Angeles, pozostałe w Santa Monica i Valley w północnym Hollywood.**

**- Znasz nazwy?**

**Podąłem mu je, a on zaczął dzwonić. Szkoła w Santa Monica została zamknięta, ale placówki w Cheviot Hills i w północnym Hollywood ciągle działały. Milo zadzwonił w oba te miejsca, ale odłożył słuchawkę ze zmarszczonym czołem.**

**- Nie chcą ze mną rozmawiać. Tajne przez poufne i tak dalej.**

**- Szkoły nie mają takich przywilejów - powiedziałem.**

**- Byłeś kiedyś w którejś z nich zawodowo?**

**- Byłem raz w szkole w Cheviot Hills, Achievement House - powiedziałem. -**

**Rodzice chłopca, którym się zajmowałem, używali tej nazwy jako pogróżki. "Jak nie będziesz grzeczny, wyślemy cię do Achievement House". Strasznie się tego bał, więc**

**pojechałem zobaczyć, co go tak wystraszyło. Pogadałem z pracownikiem socjalnym, oprowadzili mnie. To przebudowany apartamentowiec niedaleko Motor i Palms.**

**Pamiętam, że uderzyła mnie niewielka liczba uczniów - było tam dwadzieścioro pięcioro, może trzydzieścioro dzieci, co oznaczało, że czesne musiało być kosmicznie wysokie. Nie zauważyłem niczego strasznego. Potem porozmawiałem ze swoim pacjentem i okazało się, że bał się naznaczenia. Że będą go uważać za czubka.**

**- Achievement House miał złą reputację?**

**- Dla niego każdy zakład specjalny miał złą reputację.**

**- Wysłali go tam?**

**- Nie, uciekł z domu, nie widzieli go przez kilka lat.**

**- O - powiedział Milo.**

**Uśmiechnąłem się.**

**- Chciałeś chyba powiedzieć “aha”.**

**Roześmiał się. Nalał sobie soku grejpfrutowego i otworzył lodówkę. Popatrzył na wódkę, ale zmienił zdanie.**

**- Uciekł. Nie poszło ci za dobrze.**

**- Wtedy wiele rzeczy mi nie szło - powiedziałem. - To cena za ciekawą pracę.**

**Okazało się, że jednak sobie poradził.**

**- Kontaktował się z tobą?**

**- Zadzwoił, kiedy urodziło mu się drugie dziecko. Oficjalnie po to, żeby spytać, jak poradzić sobie z zazdrością między rodzeństwem. W końcu przeprosił za to, że był rozwyrzonym gówniarzem. Powiedziałem, że nie ma za co przepraszać, bo w końcu dowiedziałem się prawdy od jego matki. Jego starszy brat molestował go, odkąd skończył pięć lat.**

**Rysy twarzy Mila stwardniały.**

**- Wartości rodzinne.**

**Pochodził jeszcze trochę, dopił sok, umył szklanę i wrócił do telefonu. Zadzwoił do szkół w Palisades, University i Beverly Hills, potem do prywatnych. Rozpływał się w komplementach, twierdził, że kompletuje biografie do nowego wydania "Who's Who".**

**Nikt nie słyszał o Caroline Cossack. "Mała Panna Nigdzie". Milo mruknął coś o tym, że umywa ręce od sprawy Janie Ingalls, ale był zaczerwieniony, a ramiona zeszywniały mu od napięcia.**

**- Nie mówiłem ci - powiedział - ale wczoraj pojechałem do Parker Center i próbowałem znaleźć akta sprawy Janie Ingalls. Zniknęły. Nie było też nic w archiwum miejskim ani u koronera, nawet zawiadomienia, że sprawa jest umorzona albo że papiery gdzieś przeniesiono. Absolutnie nigdzie nie ma śladu, że sprawa w ogóle kiedyś została otwarta. A ja to wiem, że była, bo to ja ją otworzyłem. Schwinn zrzucił na mnie całą papierkową robotę. Wypełniłem odpowiednie formularze, przepisałem notatki, założyłem teczkę morderstwa.**

**- Nie ma nic w archiwum koronera, więc kończymy z tematem naukowych metod w śledztwie - powiedziałem. - Kiedy ostatni raz widziałeś te akta?**

**- Rano, przed przesłuchaniem przez Broussarda i tego Szweda. Kiedy ze mną skończyli, byłem tak roztrzęsiony, że nie wróciłem do biurka, tylko wyszedłem z posterunku. Następnego dnia znalazłem w domowej skrzynce rozkaz przeniesienia, a moje biurko uprzątnięto.**

**Odchylił krzesło do tyłu, wyprostował nogi, nagle odprężył się.**

**- Wiesz co, przyjacielu, za ciężko pracowałem. Może tego powinienem się nauczyć od pana Spokojnego. Trzeba przystopować i wachać koński nawóz.**

**Uśmiech, nagły i szeroki, zrobił coś dziwnego z jego ustami. Miło pokręcił głową, jakby rozciągając mięśnie karku. Odgarnął z twarzy niesforne czarne loki. Zerwał się na nogi.**

**- Na razie. Dzięki za cierpliwość.**

**- Dokąd idziesz? - spytałem.**

**- Pograć się w medytacji. Mam sporo zaległego urlopu. Akurat dobra pora, żeby go wykorzystać.**

Wolny czas był tym, czego akurat potrzeba mi było najmniej. Kiedy tylko drzwi się zamknęły, sięgnąłem po telefon.

Znaliśmy się z Larrym Daschoffem od czasów szkoły. Po stażu ja zacząłem pracę naukową i objąłem posadę na onkologii Western Pediatric Medical Center, a on od razu rozpoczął prywatną praktykę. Ja pozostałem kawalerem, on ożenił się ze swoją miłością z liceum i spłodził szóstkę dzieci, dobrze się urządził i z kanciastego, napakowanego obrońcy futbolowego zamienił w tatuśka z brzuszkiem. Zaczął grać w golfa. Teraz był młodym dziadkiem, żył z inwestycji, na zimę jeździł do Palm Desert.

Zastąpiłem go w jego tamtejszym mieszkaniu. Minęło trochę czasu, odkąd ostatnio rozmawialiśmy, więc zapytałem o żonę i dzieci.

- U wszystkich wszystko świetnie.

- Zwłaszcza u Ostatniego Wnuka.

- Skoro pytasz, to tak: Samuel Jason Daschoff jest najwyraźniej zwiastunem

Drugiego Nadejścia - kolejnym żydowskim zbawicielem. Właśnie skończył dwa latka i przeszedł z bobaskowatej słodyczy do właściwego swojemu wiekowi okropieństwa.

Wiesz co, Alex, nie ma słodszej zemsty, niż patrzeć, jak twoje własne dzieci muszą radzić sobie z takimi samymi kłopotami, jakie sprawiały tobie.

- Na pewno - powiedziałem, zastanawiając się, czy sam kiedykolwiek tego doświadczę.

- A więc co u ciebie?

- Cały czas coś robię. Właściwie dzwonię do ciebie w pewnej sprawie.

- Domyśliłem się.



**- O?**

**- Zawsze byłeś konkretny, Alex.**

**- Twierdzisz, że nie potrafię być po prostu towarzyski?**

**- Mniej więcej tak samo, jak ja potrafię być chudy. Co to za sprawa, terapia czy te paskudztwa, którymi zajmujesz się z wymiarem sprawiedliwości?**

**- Paskudztwa.**

**- Cały czas w tym siedzisz.**

**- Cały czas.**

**- Chyba rozumiem, dlaczego - powiedział. - To o wiele ciekawsze, niż cały dzień wchłaniać czyjeś problemy, a ty nigdy nie potrafiłeś usiedzieć w miejscu. Co mogę dla ciebie zrobić?**

**Opisałem mu Caroline Cossack, nie podając nazwisk. Spytałem, gdzie według niego ktoś taki mógłby chodzić do szkoły dwadzieścia lat temu.**

**- Otruła Azorka cyjankiem? - zdziwił się. - A to nieladnie. Jak to się stało, że nie miała żadnych kłopotów?**

**- Może przez rodzinne powiązania - powiedziałem, zdając sobie sprawę, że więzienie byłoby wytłumaczeniem, dlaczego nie miała karty ubezpieczenia społecznego. Ani Milo, ani ja tego nie sprawdziliśmy. Nie pomyśleliśmy o tym.**

**- Bogaty, niegrzeczny dzieciak - powiedział Larry. - W tamtych czasach były tylko stanowe zakłady dla takich delikwentów - Camarillo. Ale podejrzewam, że bogata rodzina mogła ją umieścić w jakimś przyjemniejszym miejscu.**

**- Myślałem o Achievement House albo szkole w północnym Hollywood, albo ich odpowiednikach poza stanem.**

**- Hollywood na pewno nie, Alex. Miałem tam konsultacje. Nie przyjmowali**

młodocianych przestępców, skupiali się na trudnych dzieciach. Nawet wtedy brali piętnaście patyków, na miejsce czekało się dwa lata, więc mogli być wybredni. Chyba, że rodzina zataiła patologię dziewczyny, ale skłonności do przemocy szybko wyszłyby na jaw. Jeśli chodzi o Achievement House, nie miałem z nimi żadnej bezpośredniej styczności, ale znam kogoś, kto miał. I to właśnie w tym okresie, właśnie sobie przypomniałem - dziewiętnaście, dwadzieścia lat temu. Nie najsympatyczniejsza sprawa.

- Dla uczniów?

- Dla tego kogoś. Pamiętasz, prowadziłem seminaria dla licealistów, którzy zastanawiali się nad psychologią? Jedną z moich seminarzystek była dziewczyna, nad wiek dojrzała - miała dopiero siedemnaście lat. Zgłosiła się jako wolontariuszka do Achievement House.

- Miała tam jakieś problemy?

- Dyrektor był w stosunku do niej... nadmiernie freudowski.

- Molestowanie seksualne?

- Wtedy to się nazywało obłapianiem. Mimo młodego wieku, dziewczyna była zdecydowaną feministką, złożyła skargę w komisji dyrektorów, po czym została natychmiast wylana. Rozmawiała ze mną, czy tego nie ciągnąć dalej - miała poważny uraz - a ja obiecałem, że ją poprę, ale w końcu postanowiła tego nie robić. Wiedziała, że to będzie jej słowo przeciwko jego słowu; on był szanowanym dyrektorem placówki oświatowej, a ona ładną nastolatką w za krótkiej sukience. Poparłem tę decyzję. Nic by nie wskórała, tylko narobiła sobie kłopotów.

- Czy ktoś jeszcze twierdził, że dyrektor molestuje uczennice?

- O niczym takim nie wiem.

- Pamiętasz, jak się nazywał?

- Alex, naprawdę wolałbym jej w to nie wciągać.

- Obiecuję, że nie wciągnę.

- Larner. Michael Larner.

- Psycholog czy psychiatra?

- To biznesmen - administrator.

- Masz jeszcze kontakt z tą seminarzystką?

- Od czasu do czasu. Głównie na zjazdach. Skończyła szkołę, zrobiła dyplom na Uniwersytecie Pensylwanii, staż w Michigan i wróciła tutaj. Ma niezłą praktykę na Westside.

- Możesz ją spytać, czyby ze mną nie porozmawiała?

Milczał przez chwilę.

- To dla ciebie ważne?

- Szczerze mówiąc, Larry, nie wiem. Jeśli to dla ciebie kłopot, zapomnij o sprawie.

- Zastanowię się - powiedział. - Dam ci znać.

- To by było super.

- Super? - zdziwił się.

- Bardzo by mi pomogło.

- Wiesz co - powiedział - kiedy tak rozmawiamy, trzymam nogi na stole, mam rozpięty pasek i patrzę na kilometry białego piasku. Skończyłem właśnie talerz *chile relleos con mucho cerveza*. Potwornie beknąłem i nikt na mnie dziwnie nie spojrział. Dla mnie to się nazywa "super".

Odezwał się godzinę później.

- Nazywa się Allison Gwynn i możesz do niej zadzwonić. Ale ona zdecydowanie

**nie chce być zamieszana w jakiegokolwiek policyjną sprawę.**

**- Nie będzie - zapewniłem.**

**- No i dobrze. Co poza tym?**

**- Wszystko w porządku.**

**- Powinniśmy się umówić na kolację. Z dziewczynami. Następnym razem, jak będziemy w mieście.**

**- Dobry pomysł - powiedziałem. - Zadzwoń do mnie, Larry. Dzięki.**

**- Na pewno wszystko gra?**

**- Jasne. Czemu pytasz?**

**- Nie wiem... wydajesz się jakiś... niepewny. Ale może to dlatego, że dawno nie rozmawialiśmy.**

**Zadzwołem do doktor Allison Gwynn w Santa Monica. Usłyszałem nagranie z sekretarki, ale kiedy wymieniłem swoje nazwisko, w słuchawce odezwał się miękki kobiecy głos.**

**- Mówi Allison. To zabawne, Larry niespodziewanie do mnie zadzwonił i spytał, czy z panem nie porozmawiam. Czytałam artykuły o panowaniu nad bólem, niektóre pańskie. Pracuję w Hospicjum św. Agnieszki.**

**- Te artykuły to zamierzchła historia.**

**- Wcale nie - powiedziała. - Ludzie i ich ból aż tak bardzo się nie zmieniają, większość z tego, co pan napisał, to wciąż prawda. W każdym razie, Larry powiedział, że chce pan ze mną porozmawiać o Achievement House. Minęło dużo czasu, prawie dwadzieścia lat, odkąd miałam styczność z tym miejscem.**

**- Właśnie ten okres mnie interesuje.**

**- Co chce pan wiedzieć?**

**Opisałem jej Caroline Cossack, równie anonimowo, jak Larry'emu.**

**- Rozumiem - powiedziała. - Larry zapewnił mnie, że zachowa pan całkowitą dyskrecję.**

**- Oczywiście.**

**- To bardzo ważne, doktorze Delaware. Proszę posłuchać, nie mogę teraz rozmawiać, mam za dwie minuty pacjenta, a potem zajęcia grupowe w hospicjum.**

**Wieczorem mam wykłady, ale wyskoczę na obiad - około piątej. Jeśli ma pan ochotę wpaść, zapraszam. Zazwyczaj chodzę do Cafe Maurice przy Szóstej, bo mam stamtąd niedaleko do hospicjum.**

**- Przyjdę - powiedziałem. - Bardzo pani dziękuję.**

**- Nie ma sprawy - odparła. - Mam nadzieję.**

**Przetrwiałem popołudnie, za szybko i za długo biegając. Zdyszany i odwodniony wpelzłem do domu i sprawdziłem sekretarkę. Dwa puste nagrania i reklamówka kredytów budowlanych. Połączyłem się z zaganianą kobietą ze wschodniego Los Angeles, która mówiła tylko po hiszpańsku i pomyliła numer oraz z butikiem na Montana Avenue, którego obsługa była bardzo ciekawa, czy Robin Castagna nie byłaby zainteresowana nowymi jedwabnymi ciuchami z Indii.**

**- Chyba powinnam zostawić wiadomość - powiedziała nosowym głosem dziewczyna z butiku - ale szef lubi, jak nawiązujemy z klientem osobisty kontakt. Jak pan myśli, czy Robin byłaby zainteresowana? Według naszych danych w zeszłym roku kupiła sporo fajnych rzeczy.**

**- Spytam ją.**

**- W porządku... wie pan, mógłby pan sam wpaść. Może pan jej kupić jakiś prezent? Jeśli nie będzie się podobał, damy jej kredyt przy zwrocie. Kobiety uwielbiają**

**niespodzianki.**

**- Naprawdę?**

**- Jasne.**

**- Zapamiętam to.**

**- Powinien pan. Kobiety uwielbiają, kiedy faceci je zaskakują.**

**- Na przykład wycieczką do Paryża - powiedziałem.**

**- Do Paryża? - Roześmiała się. - Może pan tak zaskoczyć mnie i niech pan nie mówi Robin, że to powiedziałam, dobrze?**

**O szesnastej wyszedłem kuchennymi drzwiami do patio i przeszedłem przez ogród do studia Robin. Otworzyłem chłodne betonowe pomieszczenie. Czulem zapach trocin, lakieru i Chanel No. 19, słuchałem echa własnych kroków. Zamiotła podłogę, spakowała narzędzia, odłożyła wszystko na miejsce.**

**Przez okna wpadały promienie popołudniowego słońca. Piękne pomieszczenie w idealnym porządku. Czulem się jak w krypcie.**

**Wróciłem do domu i przejrzałem poranną gazetę. Świat się nie zmienił: dlaczego wydawał się taki inny? O wpół do piątej wzięłem prysznic, włożyłem niebieski blezer, białą koszulę marynarską, czyste niebieskie dżinsy i brązowe, zamszowe mokasyny.**

**Dziesięć po piątej wszedłem do Cafe Maurice.**

**Restauracja była nieduża i ciemna, bar obity miedzią, a pół tuzina stolików przykryte białymi lnianymi obrusami. Ściany pokrywała orzechowa boazeria. Łagodna, niezbyt głośna muzyka mieszała się z cichym gwarem rozmowy trzech kelnerów w białych fartuchach, z których każdy mógłby być moim ojcem. Nie mogłem się pozbyć skojarzenia z restauracją na lewym brzegu Sekwany, w której Robin powiedziała mi o swoich planach.**

**Zapiąłem marynarkę i poczekałem, aż oczy przyzwyczajają się do półmroku.**

**Jedynym gościem była ciemnowłosa kobieta, siedząca przy środkowym stoliku i wpatrzona w kieliszek burgunda. Miała na sobie dopasowany tweedowy żakiet w kolorze whisky i kremową jedwabną bluzkę. Spod długiej, rozciętej z boku spódnicy wyzierały beżowe trzewiki z cielęcej skóry, na wysokim obcasie. Na krześle obok postawiła dużą, skórzaną torebkę. Kiedy podszedłem, podniosła wzrok i uśmiechnęła się niepewnie.**

**- Doktor Gwynn? Alex Delaware.**

**- Allison. - Postawiła torebkę na podłodze i wyciągnęła do mnie smukłą białą dłoń. Uścisnąłem ją i usiadłem.**

**Była szczupłą pięknoscią z piosenek Johna Singera Sargenta. Twarz jak z kości słoniowej, łagodne, ale stanowcze kości policzkowe, wycieniowane różem, szerokie, silne usta w kolorze koralu. Spod mocnych łuków brwi przyglądały mi się olbrzymie, lekko podkreślone, ciemnoniebieskie oczy. Z ciepłą uwagą, bez surowości - jej pacjenci musieli to u niej lubić. Kruczoczarne proste włosy sięgały do połowy pleców. Na jednym nadgarstku nosiła diamentową tenisową bransoletkę, na drugim sportowy zegarek. W uszy wpięła barokowe perłowe kolczyki, a na szyi powiesiła złoty łańcuszek.**

**Jej ręka wróciła do kieliszka. Wypielęgnowane długie paznokcie, ale nic frywolnego. Wiedziałem, że ma trzydzieści sześć, siedem lat, ale pomimo szytych na miarę ubrań, biżuterii i makijażu wyglądała o dziesięć lat młodziej.**

**- Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać - powiedziałem. - Nie wiedziałam, czy jest pan punktualny - odparła - więc dla siebie już zamówiłam. Mam tylko godzinę przed zajęciami.**

**Mówiła takim samym, łagodnym głosem, jak przez telefon. Zamachała ręką,**

jeden z antycznych kelnerów oderwał się od baru, przyniósł menu i zawisł nad nami.

- Co pani poleca? - spytałem.

- *Entrecôte* jest doskonale. Ja lubię krwiste, ale mają tu duży wybór delikatniejszych rzeczy, jeśli nie przepada pan za czerwonym mięsem.

Kelner postukał nogą.

- Co podać do picia, proszę pana? Mamy szeroki wybór piw. Spodziewałem się francuskiego akcentu, ale mówił jak rodowity kalifornijczyk - podstarzały surfer - a ja zapadłem na chwilę w rozmyślenia nad przyszłością, w której babunie będą miały na imię Amber, Heather, Tawny i Misty.

- Proszę grolscha - powiedziałem. - I średnio wysmażony *entrecôte*.

Kelner odszedł, a Allison Gwynn przyglądała już i tak idealnie gładkie włosy.

Zakręciła kieliszkiem, unikając mojego spojrzenia.

- Co pani robi w hospicjum? - spytałem.

- Zna pan to miejsce.

- Słyszałem o nim.

- To tylko wolontariat - powiedziała. - Głównie pomagam wytrzymać pracownikom. Ciągle zajmuje się pan onkologią?

- Nie, od jakiegoś czasu już nie.

Kiwnęła głową.

- Czasami jest ciężko.

- Upiła łyk wina.

- Gdzie pani uczy? - spytałem.

- Na uniwerku, seminaria dla dorosłych. W tym semestrze wykładam teorię osobowości i relacje międzyludzkie.



- Wykłady i praktyka. Pewnie jest pani bardzo zajęta - zauważyłem.

- Jestem pracoholiczką - odparła, nagle rozweselona. - Nadpobudliwość

wyładowywana w społecznie akceptowany sposób.

Dostałem swoje piwo. Oboje wypiliśmy. Już miałem przejść do rzeczy, kiedy powiedziała:

- Ta dziewczyna, którą pan opisywał, to Caroline Cossack?

Odstawiłem szklankę.

- Znała pani Caroline?

- A więc to o nią chodzi.

- Skąd pani wiedziała?

- Z pana opisu.

- Aż tak się wyróżniała.

- O, tak.

- Co mi może pani o niej powiedzieć?

- Obawiam się, że niewiele. Wyróżniała się przez to, jak ją oznaczyli. Miała różową zakładkę w karcie, jedyną, jaką widziałam. A widziałam większość kart, byłem dziewczyną od wszystkiego, załatwiałam sprawy, odbierałam i przynosiłam teczki.

Używali tam kolorów jako kodu, mającego uprzedzić personel, że dziecko ma jakieś problemy natury medycznej. Żółty dla młodych cukrzyków, niebieski dla astmatyków i tak dalej. Caroline Cossack miała różowy i kiedy spytałam kogoś, co to znaczy, powiedzieli, że to problemy z osobowością. Wysokie ryzyko agresji. To, że wspomniał pan o policyjnym śledztwie, pozwoliło mi się domyślić.

- A więc Caroline była skłonna do przemocy.

- Wtedy ktoś tak uważał.

**- O co konkretnie chodziło? - spytałem.**

**- Nie wiem. Nie zrobiła nic złego przez ten miesiąc, kiedy tam pracowałam.**

**- Ale tylko ona była tak oznaczona.**

**- Tak - powiedziała. - Nie było tam dużo uczniów. Może trzydzieścioro.**

**Achievement House był wtedy dokładnie tym samym, czym jest teraz - przechowalnią dla bogatych dzieci, które nie spełniają oczekiwań rodziców. Notoryczne wagary, narkotyki, nieposłuszeństwo - rozkoszne, wymarzone dzieci.**

**Odsuńmy na bok marzenia i mamy Janie i Melinę, pomyślałem.**

**- Ale - ciągnęła - były raczej nieszkodliwe. Nie licząc picia i brania po kryjomu, nie widziałam tam nic poważniejszego.**

**- Uwięzione niewiniątka - powiedziałem.**

**- Nie, nie było aż tak źle. Więcej marchewki niż kija. Kosztowna opieka.**

**Zamykali na noc drzwi na klucz, ale zakład nie przypominał więzienia.**

**- Co jeszcze może mi pani powiedzieć o Caroline?**

**- Nie wyglądała na niebezpieczną. Pamiętam, że była cicha i bierna. Dlatego zaskoczyło mnie ostrzeżenie o problemach z osobowością.**

**Oblizwała usta i odstawiła kieliszek.**

**- To wszystko, co mogę panu powiedzieć. Byłam wolontariuszką, świeżo po**

**liceum, nie zadawałam pytań. - Przekrzywiła głowę w lewo. Olbrzymie niebieskie oczy nawet nie mrugnęły. - Przypominanie sobie tego miejsca nie należy do**

**najprzyjemniejszych rzeczy, jakie robiłam w tym tygodniu. Lany mówił panu o moich przeżyciach z Larnerem.**

**Kiwnąłem głową.**

**- Gdyby to samo zdarzyło się dzisiaj - powiedziała - na pewno działałabym**

**bardziej zdecydowanie. Poszłabym do Glorii Allred, zakład by zamknęli, skończyłoby się na ugodzie. Ale nie winię się za to, co zrobiłam... Długo już współpracuje pan z policją?**

**- Kilka lat.**

**- Uważa pan, że to trudne?**

**- W jakim sensie? - spytałem.**

**- W sensie autorytarnych osobowości, na przykład.**

**- Współpracuję właściwie tylko z jednym detektywem - powiedziałem. - To mój dobry przyjaciel.**

**- Aha. A więc daje to panu satysfakcję?**

**- Czasami.**

**- A konkretnie co?**

**- Próbowanie wyjaśnienia niewyjaśnialnego.**

**Przykryła jedną dłoń drugą. Obwiesiła się biżuterią, ale na palcach nie miała pierścionków. Dlaczego to zauważyłem?**

**- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu - powiedziałem - chciałbym jeszcze porozmawiać o Caroline.**

**Uśmiechnęła się.**

**- Proszę bardzo.**

**- Miała pani z nią jakiś kontakt osobisty?**

**- Niebezpośrednio, ale pozwalano mi uczestniczyć w grupowych terapiach, a ona brała w jednej z nich udział. Taka ogólna gadanina. Prowadząca próbowała coś z niej wyciągnąć, ale Caroline nigdy się nie odzywała, gapiła się tylko w podłogę i udawała, że nie słyszy. Ale wiedziałam, że wszystko do niej dociera. Kiedy się denerwowała,**

**dostawała tiku mięśni twarzy.**

**- Co ją denerwowało?**

**- Jakiegokolwiek pytania osobiste.**

**- Jak wyglądała? - spytałem.**

**- Skąd takie zainteresowanie po dwudziestu latach? - zdziwiła się. - Może mi pan powiedzieć, co zrobiła?**

**- Możliwe, że nic - powiedziałem. - Przepraszam, że się wykręcam, ale jesteśmy na bardzo początkowym etapie. - I robimy to nieoficjalnie. - Duża część tego, co robię, to archeologia na oślep.**

**Obiema dłońmi objęła kieliszek.**

**- Żadnych makabrycznych szczegółów? A niech to. - Zaśmiała się, pokazując doskonale zęby. - Zresztą sama nie wiem, czy chcę to wiedzieć. Dobrze, jak wyglądała Caroline... to wszystko będzie z perspektywy moich siedemnastoletnich oczu. Była niska, trochę myszowata... trochę za gruba, niechlujna. Nieladne włosy... też myszowate, długie dotąd. - Pokazała swoje ramię. - Zawsze wyglądały na brudne. Miała trądzik... co jeszcze? Miała wadę postawy, jakby coś ciężkiego przyginało jej ramiona. Dzieci mogły się ubierać, jak chciały, ale Caroline zawsze nosiła takie same, bezkształtne sukienki - jak po babci. Ciekawe, skąd je brała.**

**- To wygląda na depresję - powiedziałem.**

**- Zdecydowanie.**

**- Trzymała się z innymi?**

**- Nie, była samotniczką. Niezdarna, zamknięta w sobie. Gdybym ją spotkała dzisiaj, pomyślałabym, że to schizofreniczka.**

**- Ale została uznana za potencjalnie agresywną.**

- Tak.
- Jak spędzała czas?
- Głównie siedziała sama w pokoju, wlokła się na posiłki, wracała sama. Kiedy mijalam ją w korytarzu, uśmiechałam się i mówiłam “cześć”. Ale trzymałam się z daleka z powodu tej różowej zakładki. Kilka razy chyba kiwnęła mi głową, ale zazwyczaj szła przed siebie, wpatrzona w podłogę.
- Dostawała leki?
- Nie czytałam jej karty. Ale teraz myślę, że to możliwe.
- Pamięta pani, jak się nazywała ta terapeutka, która próbowała nawiązać z nią kontakt?
- Jody Lavery - powiedziała. - Pracownik socjalny z kliniki psychiatrycznej - była dla mnie bardzo miła, kiedy miałam problemy z Larnerem. Kilka lat później spotkałam ją na zjeździe i zostałyśmy przyjaciółkami. Ale nie porozmawia pan z nią, zmarła dwa lata temu. Poza tym nigdy nie rozmawialiśmy o Caroline. Caroline była kimś, kogo nie ma, że się tak wyrażę. Gdyby nie ta różowa zakładka, pewnie w ogóle nie zwróciłabym na nią uwagi. Właściwie jedyną...
- Proszę pana, proszę pani - przerwał kelner, stawiając przed nami talerze.  
Zaczęliśmy jeść.
- Doskonale - powiedziałem po pierwszym kęsie.
- Cieszę się, że panu smakuje.
- Nadziała na widelec frytkę.
- Chciała pani coś powiedzieć.
- Naprawdę?
- Mówiła pani, że Caroline nie rzucała się w oczy. Potem powiedziała pani:

**“właściwie jedyną...”**

**- Hmm... a, tak, mówiłam, że jedyną osobą, która z nią rozmawiała, był jeden ze sprzątaczy. Willie cośtam... czarny chłopak... Willie Burns. Zapamiętałam jego nazwisko, bo kojarzyło mi się z Robertem Burnsem i przypominam sobie, jak myślałam, że Willie nie ma w sobie nic szkockiego.**

**- Zwracał uwagę na Caroline?**

**- Chyba można to tak nazwać. Raz czy dwa natknęłam się na nich, jak rozmawiali w korytarzu, ale wtedy milkli i Willie wracał do pracy. Raz widziałam, jak Willie wychodzi z pokoju Caroline z mopem i miotłą. Kiedy mnie zobaczył, powiedział, że zwymiotowała, a on sprzątał. Spieszył z wyjaśnieniem. Jakby się bał, że go o coś podejrzewam. W każdym razie, Burns nie utrzymał się długo. Był przez tydzień, potem zniknął i Caroline znów została sama.**

**- Tydzień - powtórzyłem.**

**- To raczej krótko.**

**- Pamięta pani, jaki to był miesiąc.**

**- To musiał być sierpień. Byłam tam tylko w sierpniu.**

**Janie Ingalls została zamordowana na początku czerwca.**

**- Ile lat miał Willie Burns?**

**- Był niewiele starszy od Caroline - może dwadzieścia, dwadzieścia jeden.**

**Uważałam że to dobrze, że ktoś się nią zajmuje. Wie pan coś o nim?**

**Pokręciłem głową.**

**- Nie czytała pani jej karty, ale czy doszło pani uszu, dlaczego Caroline trafiła do Achievement House?**

**- Zakładałam, że z tego samego powodu, co reszta dzieci - nie potrafiła skakać**

przez wysokie przeszkody. Znam ten świat. Wychowywałam się w Beverly Hills, mój tata był asystentem prokuratora generalnego. Wolalam coś prostszego, myślałam, że nie wrócę do Kalifornii.

- Larry mówił, że studiowała pani na Uniwersytecie Pensylwanii.

- Pojechałam tam i pokochałam to miejsce. Potem spędziłam kilka lat w Ann Arbor, wróciłam do Pensylwanii i zostałam asystentką. Gdyby to zależało ode mnie, zostałabym na wschodzie. Ale wyszłam za pewnego faceta, a on dostał fantastyczną propozycję pracy w Union Oil tu, w Los Angeles i w krótkim czasie mieszkaliśmy już w apartamencie na Wilshire Corridor, a ja walczyłam z kalifornijskimi komisjami.

- Wygląda na to, że wszystko się dobrze skończyło - powiedziałem.

Nadziała na widelec kawałek mięsa i unurzała go w sosie bernaise. Zatrzymała kęs nad talerzem, po chwili go odłożyła.

- Żyło nam się całkiem przyjemnie, a potem, trzy lata temu, mój ojciec obudził się o czwartej rano z bólem w piersi, a mama w panice zadzwoniła do nas. Grant - mój mąż - i ja pojechaliśmy do nich i we trójkę zabraliśmy tatę do szpitala. Kiedy lekarze zajmowali się ojcem, Grant gdzieś zniknął. Byłam tak zajęta podtrzymywaniem mamy na duchu i czekaniem na orzeczenie lekarzy, że nie zwróciłam na to uwagi. W końcu, kiedy powiedzieli nam, że z tatą wszystko w porządku - ma chorobę refluksową przełyku - i mogliśmy zabrać go do domu, pojawił się Grant. Kiedy na niego spojrzałam, od razu wiedziałam, że coś jest nie tak. Powiedział mi, że od jakiegoś czasu źle się czuł - miał paskudne bóle brzucha. Uważał, że to stres związany z pracą, myślał, że samo przejdzie. Jadł środki na nadkwasotę jak cukierki, nie chciał mnie niepokoić. Ale ból stał się nie do zniesienia. Więc kiedy byliśmy w szpitalu, poszedł do znajomego doktora, kolegi z uniwersytetu, i on zrobił mu prześwietlenie. Wszędzie znaleźli plamki. Rzadki rak

przewodu pokarmowego, z przerzutami. Pięć tygodni później byłam już wdową.

Wróciłam do domu rodziców.

- Przykro mi.

Odsunęła talerz.

- To nieładnie z mojej strony, że tak się panu spowiadam. - Jeszcze jeden niepewny uśmiech. - To wszystko przez pana, jest pan za dobrym słuchaczem.

Bez zastanowienia poklepałam ją po dłoni. Ścisnęła moje palce, potem cofnęła rękę i napiła się wina. Pociągnąłem porządny łyk piwa.

- Powiedzieć panu coś śmiesznego? - spytała. - Dzisiaj wieczorem mam wykład na temat stresu posttraumatycznego. Niech pan posłucha, miło było pana poznać. Życzę powodzenia, ale muszę uciekać.

Wezwała kelnera. Mimo jej sprzeciwu ja zapłaciłem rachunek. Wyjęła z torebki lusterko i szminkę, poprawiła usta i rzęsy, przejrzała się. Wstaliśmy od stolika.

Myślałem, że jest wysoka, ale na siedmiocentymetrowych obcasach nie mierzyła więcej, niż metr sześćdziesiąt pięć. Następna mała laska. Zupełnie jak Robin.

Razem wyszliśmy z restauracji. Wsiadła z gracją do dziesięcioletniego jaguara XJS i ruszyła z piskiem opon. Patrzyłem za nią, kiedy odjeżdżała. Wzrok miała utkwiony w drogę przed sobą.



Dwa nowe nazwiska:

Michael Larner.

Willie Burns.

Oba mogły być bez znaczenia, ale pojechałem na południe, do Cheviot Hills i odszukałem Achievement House przy małej uliczce między Motor i Palms. Zatrzymałem się, nie wyłączając silnika.

Budynek był nijakim, piętrowym pudełkiem, stojącym obok parkingu, bladobłękitnym w świetle księżyca i otoczonym białym metalowym płotem. Frontowa ściana nie miała okien. Szklane drzwi zamykały wejście na, jak się domyślałem, wewnętrzny dziedziniec. Na parkingu pod elektrycznymi lampami stało pół tuzina samochodów, ale sam budynek był ciemny, a z tej odległości nie widziałem żadnych napisów. Nie byłem pewien, czy trafiłem we właściwe miejsce, więc wysiadłem z samochodu, przeszedłem przez ulicę i zajrzałem między pręty ogrodzenia.

Małe białe cyferki potwierdziły, że to ten adres. Równie małymi białymi literkami, prawie niewidocznymi w ciemności, napisano:

*Achievement House. Teren prywatny.*

Próbowałem dojrzeć, co znajduje się za szklanymi drzwiami, ale dziedziniec - jeśli słusznie się domyśliłem - był nieoświetlony i zobaczyłem tylko własne odbicie.

Okolica była dość hałaśliwa; warkot samochodów wznosił się i opadał, z dala dochodził jednostajny pomruk autostrady. Wróciłem do samochodu i pojechałem na uniwersytet.

W bibliotece zabrałem się do starego przyjaciela, indeksu czasopism.

Nie znalazłem nic o Williem Burnsie, co mnie nie zaskoczyło. Ilu sprzątaczy trafia

do gazet? Ale nazwisko Michaela Larnera pojawiło się dwanaście razy w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Dwie wzmianki pochodziły z czasów, kiedy Larner był dyrektorem Achievement House - coś o zbieraniu funduszy, nie było zdjęć ani cytatów. Potem nic przez trzy lata, aż w końcu Larner pojawił się jako oficjalny rzecznik Maxwell Films, wypowiadający się na temat charakteru aktorki, pozwanej przez wytwórnię za zerwanie kontraktu. W gazetach nie napisano, jak skończyła się ta sprawa. Rok później Larner dokonał kolejnej zmiany zawodu: jako "niezależny producent" podpisał umowę z tą samą aktorką, obsadzając ją w epickiej opowieści science fiction, o której nigdy nie słyszałem. Przemysł filmowy. Ze swoim agresywnym podejściem do seksu, Larner miał do wyboru tylko to albo politykę.

Kolejne cztery wzmianki przykuły moją uwagę, ponieważ Larner znów zajmował się czymś innym: został dyrektorem w Cossack Development.

Artykuły były krótkie i pochodziły z działu biznesu "Timesa". Praca Larnera polegała na lobbowaniu członków rady miejskiej na rzecz interesów Garveya i Boba.

Caroline Cossack trafiła do Achievement House niedługo po śmierci Janie Ingalls. Nie była takim dzieckiem, jakie zazwyczaj przyjmował ten zakład, ale kilka lat później jego dyrektor pracował dla rodziny Cossacków.

Wiedziałem, że sprawię Milowi przyjemną niespodziankę.

Wróciłem do domu i sprawdziłem sekretarkę. Wciąż nic od Robin.

To do niej niepodobne.

Potem pomyślałem: wszystko jest inaczej, reguły się zmieniły.

Zdałem sobie sprawę, że nie miałem harmonogramu trasy. Nie poprosiłem o to Robin, a ona sama nie zaproponowała. Żadne z nas nie można było za to winić, oboje

mieliśmy inne sprawy na głowie, wszystko działo się tak szybko. Przedzieraliśmy się przez nieznane tereny oddzielnego życia.

Poszedłem do gabinetu, włączyłem komputer i znalazłem stronę trasy **Zabić**

**Głód**. Zdjęcia, ogólny nastrój radości, linki do internetowych sklepów z płytami, galerie

fotek z koncertów. W końcu daty i miejsca. Eugene, Seattle, Vancouver, Denver,

Albuquerque... organizator zastrzega sobie prawo do zmian bez uprzedzenia.

Zadzwoń do hali koncertowej w Vancouver. Włączyła się poczta głosowa.

Przedarłem się przez kolejne, automatyczne przełączenia i usłyszałem, że “biuro hali jest nieczynne... prosimy dzwonić jutro od godziny dziesiątej”.

Zostałem na lodzie.

Nigdy świadomie nie chciałem wyłączać Robin ze swojego życia. A może

chciałem? Przez wszystkie lata, kiedy byliśmy razem, zachowywałem swoją pracę dla

siebie - trzymałem Robin na dystans. Zaslaniałem się poufnością spraw, nawet kiedy nie

było o tym mowy. Wmawiałem sobie, że robię to dla jej dobra, była artystką, zdolną,

wrażliwą, należało ją chronić przed złem. Czasami na własnej skórze przekonywała się,

czym się zajmuję.

Feralnego wieczoru pojechała do studia nagraniowego, pełna zaufania. Kiedy

wyszła, ja pojechałem na spotkanie z piękną, szaloną, niebezpieczną młodą kobietą.

Spieprzyłem sprawę koncertowo, ale czyż nie miałem szlachetnych intencji? Bla

bla bla.

Dwa bilety do Paryża - to żalosne. Nagle owładnęły mną wspomnienia. A tak

bardzo starałem się zapomnieć.

Dziesięć lat temu... To nie miało nic wspólnego ze mną. Tylko i wyłącznie z Robin,

która musiała odnaleźć własną drogę, wykuć własną tożsamość.

**Boże drogi, to brzmiało jak tani, psychologiczny banał, a Robin zasługiwała na coś więcej.**

**Kochałem ją, a ona kochała mnie. Więc dlaczego nie dzwoni?**

**Dorośnij, stary, minęły dopiero dwa dni, poza tym kiedy ostatnio próbowała z tobą porozmawiać, nie byłeś dla niej za dobry.**

**Czyżbym oblał jakiś egzamin? Zbyt łatwo pozwoliłem jej wyjechać?**

**Dziesięć lat temu wróciła, ale dopiero wtedy, kiedy...**

**Zostaw to.**

**Ale ja chciałem się ukarać. Otworzyłem wieko i wypuściłem furie na wolność.**

**Za pierwszym razem rozstaliśmy się na długo. Tak długo, że znalazłem sobie kogoś innego. Nic z tego nie wyszło i sprawa skończyła się, zanim Robin wróciła.**

**Kiedy znów się zeszliśmy, wydawała się delikatniejsza, ale poza tym wszystko było w porządku. A potem, któregoś dnia, nie wytrzymała i przyznała się. Też sobie kogoś znalazła. To był zwykły facet, głupi facet, i ona też była głupia.**

**Naprawdę głupia, Alex.**

**Obejmowałem ją, pocieszałem. A potem mi powiedziała o ciąży, aborcji. Nie powiedziała o tym temu facetowi - Dennisowi, wyparłem z pamięci jego imię, pieprzony Dennis ją zaciążył, a ona go rzuciła, cierpiała w samotności.**

**Wciąż ją obejmowałem, mówiłem rzeczy, które powinienem mówić, co za wrażliwy facet z tego Aleksa, wcielenie zrozumienia i wybaczenia. Ale złośliwy, cichy głosik w mojej głowie ciągle przypominał mi o oczywistej sprawie:**

**Przez wszystkie lata razem, ona i ja, omijaliśmy temat małżeństwa i dzieci.**

**Byliśmy ostrożni.**

**Kilka miesięcy bez mnie i nasienie innego mężczyzny dostało się do...**

**Czy kiedykolwiek naprawdę jej wybaczyłem?**

**Czy ona też się nad tym zastanawiała? O czym myślała teraz, w tej chwili?**

**Gdzie ona jest, do cholery?**

**Podniosłem słuchawkę, zastanawiając się, do kogo zadzwonić, potem zrzuciłem telefon z biurka na podłogę - pieprz się pan, panie Bell.**

**Czułem gorąco na twarzy i ból w kościach. Zacząłem chodzić w kółko, tak jak to robi Milo. Nie ograniczałem się do jednego pokoju, biegałem po całym domu, nie mogąc wypalić bólu.**

**Dom, duszący dom.**

**Otworzyłem frontowe drzwi i wybiegłem w noc.**

**Szedłem doliną, na północ, w stronę wzgórz. Jak kretyn - plecami do przejeżdżających samochodów, niewzruszony rykiem zbliżających się silników, oblewany światłem reflektorów.**

**Kierowcy trąbili na mnie.**

**- Idiota! - zawołał któryś.**

**Miał rację.**

**Dopiero po kilku kilometrach zdołałem przywołać obraz zwłok Janie Ingalls i odprężylem się.**

**Kiedy wróciłem do domu, zastałem frontowe drzwi otwarte na oścież - zapomniałem ich zamknąć - a w przedpokoju wały się naniesione przez wiatr liście.**

**Uklęknąłem, pozbierałem wszystko do najmniejszej drobinki, wróciłem do gabinetu.**

**Telefon dalej leżał na podłodze. Sekretarka też, z wtyczką wyrwaną z kontaktu.**

**Ale światelko na aparacie w sypialni mrugało.**

**Jedna wiadomość.**

**Zignorowałem ją, poszedłem do kuchni i wyjąłem z zamrażarki wódkę. Butelką ochłodziłem sobie dłonie i twarz. Potem ją schowałem.**

**Przez kilka godzin oglądałem telewizję, wchłaniałem pusty śmiech, wymęczone dialogi, reklamy ziołowych środków na potencję i cudownych płynów, dających sobie radę z najobrzydliwszymi plamami.**

**Trochę po północy odtworzyłem nagraną wiadomość.**

**- Alex?... pewnie cię nie ma w domu... mieliśmy lecieć do Kanady, ale zostaliśmy w Seartle na drugi koncert... trzeba było naprawić parę rzeczy, więc nie miałam czasu... pewnie znów cię nie ma... w każdym razie, jestem w hotelu Four Seasons w Seattle. Dali mi ładny pokój... pada deszcz. Alex, mam nadzieję, że wszystko dobrze. Na pewno.**

**Trzymaj się, kotku.**

**“Trzymaj się, kotku”.**

**Nie: “kocham cię”.**

**Zawsze mówiła: “kocham cię”.**

O pierwszej w nocy zadzwoniłem do hotelu Four Seasons w Seattle.

- O tej godzinie nie łączymy już rozmów, proszę pana - powiedziała telefonistka.

- Ze mną ta pani porozmawia.

- Jest pan jej mężem?

- Jej chłopakiem.

- Aha... Będzie pan musiał zostawić wiadomość, bo mam tu napisane, że wyszła.

Włączyła pocztę, przelączam.

Przełączyła. Odłożyłem słuchawkę, powlokłem się do łóżka i zapadłem w coś, co można by nazwać snem, gdyby dawało ukojenie. O wpół do siódmej odkryłem, że siedzę w pościeli, mam sucho w ustach i widzę podwójnie.

O siódmej zadzwoniłem do Mila. Jego głos brzmiał niewyraźnie, jakby mówił przez belę siana.

- No, generale Delaware - powiedział. - Nie za wcześnie na raport z pola bitwy?

Powiedziałem mu, czego się dowiedziałem o Caroline Cossack i Michaelu Larnerze.

- Jezu, nawet nie zdążyłem umyć zębów... dobra, niech się zastanowię. Uważasz, że ten Larner wyświadczył Cossackom przysługę, przyjmując Caroline, a oni odwdzięczyli mu się, ile? Piętnaście lat później? Trudno to nazwać spontaniczną wdzięcznością.

- Po drodze mogli mu się odwdzięczać w inny sposób. Larner i Cossackowie siedzieli w niezależnych produkcjach.

- Znalazłeś między nimi jakieś filmowe powiązania?

**- Nie, ale...**

**- Nieważne, kupuję, że Larner miał coś wspólnego z rodziną Caroline. To był popieprzony dzieciak, a Larner prowadził zakład dla popieprzonych dzieciaków. Ale nadal nie wiemy, dlaczego tam trafiła.**

**- Ostrzeżenie o agresji na jej karcie dużo mówi. Moja informatorka twierdzi, że tylko Caroline była tak oznaczona. Zresztą wszystko jedno, rób z tym, co chcesz.**

**- Jasne, dzięki. Wszystko w porządku?**

**Wszyscy zadawali mi to samo, pieprzone pytanie. Zmusiłem się do przyjaznego tonu.**

**- Tak.**

**- Mówisz tak jak ja, kiedy za wcześnie wstanę.**

**- Rzadko rozmawiamy o tej porze.**

**- To pewnie dlatego. Ostrzeżenie o agresji, tak? Ale twoja informatorka nie wie, skąd się wzięło.**

**- Ten kolor oznaczał antyspołeczne albo agresywne zachowania. Dodaj do tego otrutego pieska doktor Schwartzman i obraz zaczyna się klarować. Bogaty dzieciak ze skłonnościami do robienia brzydkich rzeczy. To wyjaśniałoby chęć zatuszowania sprawy.**

**- Twoja samotniczka z problemami - powiedział Milo. - Co my, biedacy z wydziału zabójstw, byśmy bez ciebie poczęli?**

**- Coś jeszcze - powiedziałem. - Pomyślałem sobie, że może Caroline nie dostała nigdy karty ubezpieczenia, bo w końcu wybuchła i trafiła do...**

**- Za kratki. Tak, przyszło mi to do głowy po naszej rozmowie. Jestem głupi, powinienem wcześniej na to wpaść. Ale przykro mi, muszę ci zakomunikować, że nie ma**



jej w żadnym z więzień w Stanach, włącznie z Hawajami i Alaską. Możliwe, że siedzi w jakimś federalnym zakładzie, a może miałaś rację, że wysłali ją do małej willi na Ibizie, ze słonecznym podwórkiem i drzwiami bez klamek. Znasz kogoś, kto wyłożyłby kasę na wycieczkę służbową nad Morze Śródziemne dla biednego detektywa?

- Napisz podanie i prześlij je Johnowi G. Broussardowi.

- Rany, dlaczego sam na to nie wpadłem? Alex, dzięki za telefon.

- Ale...

- Cała ta sprawa to wciąż ślepy zaułek, tak samo jak dwadzieścia lat temu. Nie mam żadnych akt, żadnych notatek, na których mógłbym się oprzeć, nie mogę nawet znaleźć matki Melindy Waters. I jeszcze jedno przyszło mi do głowy: dałem Elaine Waters swoją wizytówkę. Jeśli Melinda nie wróciła, dlaczego nie zadzwoniła do mnie?

- Może zadzwoniła, a ty nie dostałeś wiadomości. Byłeś wtedy w zachodnim Los Angeles.

- Inne dostawałem - powiedział. - Jakieś bzdury. Przesyłano je do mnie.

- Właśnie.

Cisza.

- Może. Tak czy inaczej, nie wiem, co mógłbym jeszcze zrobić.

- Jeszcze jedno - powiedziałem. Opowiedziałem mu o Williem Burnsie, spodziewając się, że to zlekceważy.

- Willie Burns - powtórzył. - Teraz miałby koło... czterdziestki?

- Wtedy miał dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat, więc tak.

- Znałem jednego Williego Burrisa. Miał twarz jak niemowlę - powiedział Milo. - Wtedy miał... dwadzieścia trzy lata.

Jego głos nabral innej brzmienia. Zrobił się miękki, cichszy. Skupiony.

**- Kto to?**

**- Może nikt. Oddzwonię do ciebie.**

**Zadzwoił dwie godziny później, zdenerwowany i rozkojarzony, jakby coś wisiało mu nad głową.**

**- Gdzie jesteś? - spytałem.**

**- Przy swoim biurku.**

**- Myślałem, że wzięłeś urlop.**

**- Muszę posprzątać w papierach.**

**- Kim jest Willie Burns? - spytałem.**

**- To nie jest rozmowa na telefon - powiedział. - Masz czas? Pewnie, że masz, prowadzisz szczęśliwy kawalerski tryb życia. Spotkajmy się przed moim biurem, powiedzmy za pół godziny.**

**Stał na skraju chodnika i wsiadł do seville'a, zanim samochód na dobre się zatrzymał.**

**- Gdzie jedziemy? - spytałem.**

**- Wszystko jedno.**

**Pojechałem dalej Butler, skręciłem na chybił-trafił i wjechałem w plątaninę uliczek skromnej dzielnicy domków, która otacza komisariat w zachodnim Los Angeles.**

**Kiedy oddaliliśmy się na około kilometr od jego biurka, Milo odezwał się.**

**- Bóg istnieje i daje o sobie znać. To zapłata za dawne grzechy.**

**- Jakie grzechy?**

**- Najgorsze: porażki.**

**- Willie Burns to kolejny zimny trop?**

**- Willie Burns to stary łobuz i zimny trop. Wilbert Lorenzo Burns, urodzony**

**czterdzieści trzy i pół roku temu, podejrzany o zabójstwo, dostałem tę sprawę zaraz po przeniesieniu. I wiesz, co? Wygląda na to, że jego akta też zniknęły. Ale udało mi się znaleźć jednego z dawnych kuratorów Burnsa, a on wyciągnął jakieś stare papierzyska, a tam jak byk: Achievement House. Willie wkręcił się tam na lato, wytrzymał niecały miesiąc, został wylany za nieprzychodzenie do pracy.**

**- Podejrzany o zabójstwo pracował z trudnymi dziećmi?**

**- Wtedy był tylko drobnym ćpunem i dilerem.**

**- No i?**

**- Pewnie Willie nie powiedział kuratorowi wszystkiego o sobie.**

**- Kogo miał zabić?**

**- Gościa z firmy, zajmującej się poręczaniem, Borysa Niemierowa. Facet**

**prowadził interes tutaj, w zachodnim Los Angeles, niezły twardziel, ale miał miękkie serce dla skazańców, bo sam siedział w syberyjskim łagrze. Wiesz, na czym polega poręczycielstwo?**

**- Oskarżony wyklada jakiś procent kaucji i zostawia zabezpieczenie. Jeśli nie stawi się na procesie, firma płaci sądowi i przejmuje zabezpieczenie.**

**- Zasadniczo - powiedział Milo. - Tyle, że nie płaci kaucji z własnych pieniędzy.**

**Wykupuje polisę ubezpieczeniową na dwa do sześciu procent całości. Żeby pokryć**

**koszty i zarobić, pobiera od oskarżonego opłatę - zazwyczaj dziesięć procent -**

**bezzwrotnie. Jeśli oskarżony pryśnie, firma ubezpieczeniowa płaci sądowi i ma prawo**

**zająć zabezpieczenie. Najczęściej to jakaś nieruchomość - babcia daje ukochanemu**

**wnusiowi bandycie domek, w którym mieszka od dwustu lat. Ale zabranie domku starej**

**babci wymaga czasu, pieniędzy i wywołuje protesty, a poza tym po co firmie**

**ubezpieczeniowej stary domek? Dlatego zawsze wolą mieć bandziora w garści. Więc**

wysyłają za nim łowców nagród. Którzy też biorą kasę.

- Ekonomia piramidy - powiedziałem. - Zbrodnia popłaca.

- Borys Niemierow dawał sobie radę. Traktował wszystkich po ludzku i rzadko

ktoś mu uciekał. Ale czasami ryzykował - rezygnował z zabezpieczenia, odpuszczał swoje dziesięć procent. Zrobił to dla Williego Burnsa, bo to był jego stały klient, który nigdy wcześniej go nie wystawił. Ostatni raz, kiedy Burns przyszedł do Niemierowa, nie miał żadnego zabezpieczenia.

- O co był oskarżony?

- O prochy. Jak zwykle. To było zaraz po tym, jak wylali go z Achievement House

i nie stawiał się na spotkanie z kuratorem. Do tej pory Burns był niegroźny, o ile wiem.

Zaczął karierę młodocianego przestępcy w wieku dziewięciu lat i tak mu już zostało. Na

karę dla dorosłych zarobił w tydzień po osiemnastych urodzinach. Drobną kradzież,

narkotyki, znowu narkotyki. I znowu narkotyki. Jedna ugoda po drugiej i wrócił na

ulicę, aż w końcu miał sprawę i trafił pod policyjny dozór. Ostatnia wpadka była

poważniejsza. Burnsa przyłapano, jak próbował opchnąć heroinę jakimś ćpunom na

Venice. Pech chciał, że była to policyjna prowokacja i został aresztowany, a wydział

akurat wtedy wypowiedział wielką wojnę narkotykom. Ni z tego, ni z owego Burnsa

postawiono przed perspektywą dziesięciu lat odsiadki, a sąd wyznaczył kaucję w

wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Burns jak zwykle poszedł do Niemierowa, a

Niemierow poręczył za niego i zgodził się, że Burns odpracuje swoje pięć kafli. Ale tym

razem Willie prysnął. Niemierow zaczął go szukać, próbował znaleźć jego rodzinę,

znajomych, nie znalazł nic. Pod adresem w Watts, który zostawił mu Burns, był parking.

Niemierow zaczął się irytować.

- Zaczął? - powiedziałem. - Cierpliwy facet.

- Mrozy w tajdze potrafią w człowieku wyrobić cierpliwość. W końcu wysłał za Burnsem łowców nagród, ale nic nie wskórali. A potem ni z tego, ni z owego Willie zadzwonił. Twierdził, że chce się poddać, ale boi się, że łowcy nagród go zastrzelą. Niemierow próbował go uspokoić, ale Burns ześwirował. Wpadł w paranoję. Opowiadał, że ktoś go ściga. Niemierow zgodził się pojechać po niego osobiście. Umówili się na wschód od Robertson, niedaleko wiaduktu na sto pierwszej. Niemierow wyjechał z domu wieczorem, swoim wielkim, starym, złotym lincolnem, i nie wrócił. Pani Niemierow zaczęła szaleć, wydział osób zaginionych wyjątkowo się postarał, bo wszyscy na posterunku znali Borysa. Dwa dni później lincolna znaleziono w zaułku na Guthrie, niedaleko umówionego miejsca spotkania. Wtedy to był teren gangów.

- Niemierow nie bał się jechać po Burnsa samemu?

- Borys był pewny siebie. Wielki, wesoły facet. Pewnie uważał, że przeszedł już najgorsze i da sobie radę. Lincoln był wyczyszczony ze wszystkiego i przyrzucony gałęziami - ktoś próbował go ukryć. Borys leżał w bagażniku, związany i zakneblowany, miał trzy dziury w potylicy.

- Egzekucja - powiedziałem.

- Żaden dobry uczynek nie uchodzi na sucho. Del Hardy i ja dostaliśmy tę sprawę, ale utknęliśmy w ślepym zaułku.

- Można by się spodziewać, że coś takiego trafi do gazet. Wyszukiwarka nie znalazła nic o Burnsie.

- To mogę wyjaśnić. Rodzina Niemierowa nie chciała rozgłosu. Nie chcieli, żeby błąd Borysa wyszedł na jaw - to zła reklama dla firmy. A mieli kogo prosić o przysługę, płacili kaucje za dzieciaki kilku reporterów. Gliniarzy też. Del i ja dostaliśmy rozkaz zajęcia się tym, ale po cichu.

**- Nie przeszkadzało wam to?**

**- Niespecjalnie. Burnsa nie można było znaleźć w prasie. Niemierowowie to przyzwoici ludzie, najpierw wiele przeszli w Rosji, a potem to. Nie chcieliśmy ich niepokoić, wszyscy mieli wyrzuty sumienia. A ich firma i tak o mało nie splajtowała. Agencje ubezpieczeniowe nie były zadowolone, chciały zerwać współpracę. Wdowa po Niemierowie i jego syn zgodzili się z własnej kieszeni zapłacić pięćdziesiąt tysięcy za Burnsa i błagali, żeby dać im szansę. Udało im się wywiązać z większości umów. W końcu odbili się od dna. Ciągłe działają, w tym samym miejscu, za rogiem koło komisariatu. Są znani z tego, że nikomu nie dają taryfy ulgowej.**

**- A Willie Burns przepadł - stwierdziłem.**

**- Tropiłem go latami, Alex. Kiedy tylko miałem chwilę czasu, wracałem do tej sprawy. Wiedziałem, że w końcu wypłynie, bo ćpuni się raczej nie zmieniają. Założę się, że skończył w pierdlu albo nie żyje.**

**- Może faktycznie nie żyje - powiedziałem. - Niemierowowie mieli dostęp do usług zawodowych łowców nagród. Nawet spokojni ludzie mogą się zemścić.**

**- Nie wydaje mi się, ale jeśli tak się stało, to już zupełnie ślepa uliczka. Zaczynam się czuć, jakbym wrócił do liceum i patrzył na testy, które oblałem.**

**- Może to tylko jeden wielki test - powiedziałem. - Może Willie Burns znał Caroline, zanim trafiła do Achievement House. Mógł być jednym z tych czarnych chłopaków, o których mówiła doktor Schwartzman. Zamordowanie Niemierowa mogło być dla niego łatwe, bo zabił już wcześniej. Na imprezie w Bel Air.**

**- Burns nie był brutalny, Alex.**

**- Aż zaczął - powiedziałem. - Może po prostu nie dał się przyłapać? Bawił się tylko w heroinę?**

- Nie, był uzależniony od kilku rzeczy. Heroina, kwas, pigułki, amfa. Odkąd

skończył dziesięć lat.

- Raz lepiej, raz gorzej - zauważyłem. - Nieprzewidywalny. A teraz jeśli się pozna

kogoś takiego z niezrównoważoną dziewczyną, taką jak Caroline, wyśle ich oboje na

imprezę z narkotykami, gdzie pojawiają się dwie średnio bystre kumpelki z ulicy, kto

wie, co się może zdarzyć? Rodzina Caroline podejrzewała - albo wiedziała - że

dziewczyna maczała palce w czymś brzydkim i wysłała ją do Achievement House. Willie

wrócił na ulicę, ale dostał się do zakładu, żeby ją odwiedzić. To głupi ruch, ale ćpuni

działają impulsywnie. I nikt się nie połapał. Pracował tam przez miesiąc, wylali go za

nieprzychodzenie.

Milo postukał palcami w kolano.

- Burns i Caroline jako para morderców.

- Z dodatkowym towarzystwem albo bez. Udział Burnsa w morderstwie

tłumaczyłby też, dlaczego uciekł Niemierowowi. Policja zaczęła kampanię przeciw

narkotynom i Willie widział, że najpewniej pójdzie siedzieć. Gdyby morderstwo Janie

Ingalls wyszło na jaw, byłby załatwiony.

- Więc po co zadzwonił do Niemierowa i powiedział, że chce się poddać?

- Żeby zrobić to, co zrobił: zaskoczyć go, obrabować, okraść samochód. Pewnie

sprzedał radio i telefon. A ta niewydarzona próba ukrycia wozu to typowa robota

ćpuna. Zniknięcie Caroline to też może być robota Williego. Nie chciał ryzykować.

Uznał, że dziewczyna może się wygadać.

- Uważasz, że rodzina nie zareagowałaby, gdyby sprzątnął ją Burns albo ktoś

inny? Nie przyszliby z tym na policję?

- Może nie. Caroline była dla nich kulą u nogi od urodzenia, a gdyby wiedzieli, że

**brała udział w morderstwie, chcieliby ją uciszyć. To pasuje do zamknięcia jej w**

**Achievement House.**

**- Z różową zakładką, na wszelki wypadek - dodał Milo.**

**- Burns i tak ją znalazł. Może to ona skontaktowała się z nim. Mogła być przy tym, jak zabijał Niemierowa. Kiedy dokładnie go zabito?**

**- W grudniu, przed samymi świętami. Zapamiętałem, bo akurat wtedy jego żona mówiła, że jako prawosławni obchodzą święta w styczniu i nie będą się mieli z czego cieszyć.**

**- Caroline była w Achievement House w sierpniu - powiedziałem. - Cztery miesiące później mogła już wyjść. Willie mógł ją wyciągnąć. Może od początku planowali ucieczkę z miasta i dlatego Burns próbował handlować heroiną na Venice.**

**- Jejku, jejku, ile możliwości - powiedział Milo. - Ach.**

**Kazał mi jechać w stronę posterunku, potem skręcić w Purdue i zaparkować przed starym ceglany budynkiem, tuż przy Santa Monica Boulevard.**

**Nad szklaną witryną Kwik'n Ready Bail Bonds wisiał neon z nazwą firmy, a na szklanych drzwiach wymalowane były złote liście. W przeciwieństwie do Achievement House to miejsce zwracało na siebie uwagę.**

**Wskazałem znak zakazu zatrzymywania się i postoju.**

**- Faszystów z drogówki zostaw mnie - powiedział Milo. - Jeśli zawiodę, wpłacę za ciebie kaucję.**

**W staroświecko urządzonym biurze stał wysoki kontuar. Ściany pokryte były panelami o musztardowym kolorze, bez żadnych biologicznych powiązań z drewnem. W głębi pomieszczenia widniał zarys pozbawionych klamki drzwi. Na lewo od wejścia wisiała samotna rycina Maxfielda Parrisha - purpurowy majestat gór. Za kontuarem, na**



starym dębowym obrotowym fotelu siedział trzydziestoparoletni mężczyzna o okrągłej twarzy. Jadł wielką kanapkę, owiniętą w woskowany papier. Po lewej miał ekspres do kawy i komputer. Z kanapki wystawała sałata, kawałki mięsa i coś czerwonego. Biała koszula z krótkim rękawem, którą mężczyzna miał na sobie, była czysta, ale on sam miał mokrą brodę. Kiedy drzwi za nami zamknęły się, otarł ją papierową serwetką i zmierzył nas ostrożnym spojrzeniem szarych oczu. Potem wyszczerzył się w uśmiechu.

- Detektyw Sturgis. - Podniósł potężne ciało z fotela i wyciągnął nad kontuarem grubą różową rękę. Na gładkim przedramieniu miał wytatuowaną kotwicę. Ciemne włosy przystrzygł przy samej skórze, a jego twarz wyglądała jak okrągły, ponadgryzany z brzegów placek.

- Georgie - przywitał się Milo. - Jak leci?

- Ludzie są bardzo źli, więc wszystko idzie bardzo dobrze - powiedział Georgie.

Zerknął na mnie. - Nie wygląda na kogoś, na kim mógłbym zarobić.

- Dzisiaj jesteśmy prywatnie - powiedział Milo. - To doktor Delaware. Jest policyjnym konsultantem. Doktorze, to George Niemierow.

- Policyjny doktor. - Georgie ścisnął mi dłoń. - W czym się pan specjalizuje, w chorobach przenoszonych drogą płciową czy umysłowych?

- Dobrze myślisz, Georgie. To psycholog.

Niemierow zachichotał.

- Ludzie są szajbnięci, więc panu też idzie dobrze, doktorze. Gdyby wiedział pan więcej o tym, czym się zajmuję, mnie też kazałby pan zamknąć. - Opuścił ciężkie powieki; szare oczy zwęziły się, ale reszta ciastowatej twarzy nie wyrażała emocji. - Co słychać, detektywie Milo?

- To i owo, Georgie. Jesz swój szpinak?

- Nienawidzę tego świństwa - powiedział Niemierow i poklepał się po tatuażu. -

Kiedy byłem mały - wyjaśnił mi - uwielbiałem kreskówkę z Popeyem Żeglarzem.

Któregoś wieczoru, jeszcze w liceum, poszedłem z kilkoma kumplami do Pike w Long Beach i zrobiłem sobie to. Matka prawie obdarła mnie ze skóry.

- Jak mama? - spytał Milo.

- Dobrze, jak można się spodziewać. W przyszłym miesiącu kończy siedemdziesiąt trzy lata.

- Pozdrów ją ode mnie.

- Pozdrowię, Milo. Zawsze cię lubiła. No, tak... O co chodzi?

Uśmiech Niemierowa był wprost anielski.

- Przeglądałem stare akta i przy okazji wyszła sprawa twojego taty.

- Naprawdę? - spytał Niemierow. - Jak to: wyszła?

- Willie Burns jest związany ze sprawą innego morderstwa.

- Naprawdę? - Niemierow przestąpił z nogi na nogę. Jego uśmiech zgasł. - To mnie nie dziwi. Ten facet to nędzna szumowina. Mówisz, że się pojawił?

- Nie - powiedział Milo. - Tamta sprawa to starość. Zamknęli ją jeszcze przed twoim tatą.

- I nie wyszła, kiedy szukaliście tego skurwiela?

- Nie, Georgie. Burns nie jest w niej oficjalnym podejrzanym. Jego nazwisko tylko się pojawiło, i tyle.

- Rozumiem - powiedział Georgie. - A właściwie nie. - Poruszył pięścią, na jego przedramieniu zagrały mięśnie. - Cóż to tak u was za rogiem spokojnie, że macie czas ganiać duchy?

- Przepraszam, że to wyciągam, Georgie.

- Nieważne, Milo, wszyscy mamy jakąś pracę. Byłem wtedy jeszcze gnojem, pierwszy rok college'u, Cal State Northridge. Miałem zostać prawnikiem. A zamiast tego mam to. - Rozłożył mięsiste ręce.

- Chciałem tylko się upewnić, że nie wpadliście nigdy na trop Burnsa.

Oczy Niemierowa zamieniły się w szparki koloru zimnego popiołu.

- Nie sądzisz, że powiedzielibyśmy wam o tym?

- Jestem pewien, że byście powiedzieli, ale...

- Przestrzegamy prawa, Milo. Od tego zależy nasza egzystencja.

- Wiem, Georgie. Przepraszam...

Georgie podniósł kanapkę.

- A więc kogo jeszcze Burns wykończył?

Milo pokręcił głową.

- Za wcześnie, by o tym mówić. Kiedy go szukaliście, nie trafiliście na jakichś jego współników?

- Nie - prychnął Niemierow. - Facet był pieprzonym odludkiem. Ćpunem, łajzą i ścierwem. Dzisiaj dupki z pomocy społecznej nazwaliby go biednym bezdomnym obywatelem i kazaliby nam płacić za jego utrzymanie. - Skrzywił wargi z pogardą. - Łajza. Tata zawsze traktował go z szacunkiem, a ten chuj tak mu odplacił.

- To parszywa sprawa - powiedział Milo.

- Paskudnie parszywa. Nawet po tylu latach.

- Twój tata był porządnym gościem, Georgie.

Szare szparki oczu Niemierowa skierowały się na mnie.

- Mój tata czytał w ludziach jak w książkach, doktorze. Lepiej niż psycholog.

Pokiwałem głową. Borys Niemierow źle odczytał Williego Burnsa, najgorzej, jak

**było można, pomyślałem.**

**Georgie oparł wielkie łapsko o blat i chuchnął we mnie czosnkiem, musztardą i zalewą solną.**

**- Czytał w nich, mój tata, ale był za dobry, cholera, za miękki. Mama nie mogła sobie wybaczyć, że pozwoliła mu jechać na spotkanie z tym skurwielem. Powiedziałem jej, że nie mogła nic zrobić. Jak tata wbił sobie coś do głowy, nie można go było zatrzymać. To mu pozwoliło przeżyć komunistów. Serce ze złota, leb jak głaz. Burns, ten chuj, był łajzą i łgarzem, ale zawsze pojawiał się na czas w sądzie, więc dlaczego tata miał nie być dla niego dobry?**

**- No pewnie - powiedział Milo.**

**- Aha.**

**Drzwi w głębi pomieszczenia otworzyły się i wyszło z nich trzysta pięćdziesiąt kilo ludzi. Dwaj mężczyźni, obaj prawie dwumetrowi, w czarnych golfach i bojówkach, z czarnymi rewolwerami w czarnych nylonowych kaburach. Większy - odrobinę większy - był Samończykiem, miał długie włosy spięte w kok sumoki oraz cienką bródkę i wąsy. Jego towarzysz był rudy, ostrzyżony po wojskowemu i miał delikatną, gładką jak niemowlę twarz.**

**- Cześć - powiedział Georgie Niemierow.**

**Oba potwory przyjrzały się nam z uwagą.**

**- Cześć - powiedział Sumo.**

**Rudy odchrząknął.**

**- Chłopcy, to jest detektyw Milo Sturgis, stary przyjaciel z za rogu. Prowadził śledztwo w sprawie tego chuja, który zabił mojego tatę. A to jest psycholog na usługach policji, bo wszyscy wiemy, że policjanci to świry, prawda?**

**Wieloryby wolno kiwnęły głowami.**

**- To moi dwaj najlepsi łowcy, Milo - powiedział Niemierow. - Ten to Stevie, ale nazywamy go Yokozuna, bo był zapaśnikiem w Japonii. A ten mały to Rudy Yaakov, z Ziemi Świętej. Co nowego, chłopcy?**

**- Mam coś dla ciebie - powiedział Stevie. - Z tyłu, w furgonetce.**

**- Czteryście pięćdziesiąt dziewięć?**

**Stevie Samończyk uśmiechnął się.**

**- Czteryście pięćdziesiąt dziewięć i zgadnij, co jeszcze? Niespodziankę.**

**Wychodzimy z mety czterysta pięćdziesiąt dziewięć - idiota leżał w łóżku, jakby nie wierzył, że ktoś go będzie szukał, w dwie sekundy go zaobrączkowaliśmy, wyprowadzamy go do samochodu, a w domu obok odsuwa się zasłona i jakiś koleś się nam przygląda. A Yaakov mówi: chwilunia, nie jest to czasem ten czterysta sześćdziesiąt, którego szukamy od czasu konwencji demokratów?**

**- To ten głupi Garcia wybił szybę i wynosił sprzęt grający - dodał Yaakov.**

**- Raul Garcia? - ucieszył się Niemierow. - Bez jaj.**

**- Tak, on sam - powiedział Stevie. - Weszliśmy tam i jego też mamy. Obaj siedzą w furgonetce. Okazało się, że grali razem w karty - po sąsiedzku. Poprosili nas nawet, żebyśmy poluzowali im kajdanki. Będą sobie mogli pograć w samochodzie.**

**Georgie przybił piątki obu gigantom.**

**- Dwóch zamiast jednego, pięknie. Dobra, wypiszę papiery, a potem zabierzecie obu tych geniuszy do pudła. Jestem z was dumny, chłopaki. Przyjedźcie o piątej po czeki.**

**Stevie i Yaakov zasalutowali i wyszli tymi samymi drzwiami, którymi weszli.**

**- Dzięki Bogu - powiedział Georgie - że kryminaliści to kretyni.**

Wrócił na fotel i znów wziął kanapkę.

- Dzięki za rozmowę, Georgie - powiedział Milo.

Kanapka ruszyła w stronę ust Niemierowa i zatrzymała się kilka centymetrów od nich.

- Masz zamiar znów zacząć szukać Burnsa?

- A powinienem? - spytał Milo. - Myślałem, że gdyby dało się go znaleźć, dawno byście go dopadli.

- Zgadza się.

Milo podszedł bliżej do kontuaru, trochę spięty.

- Myślisz, że on nie żyje, Georgie?

Niemierow uciekł wzrokiem w lewo.

- Byłoby miło, ale dlaczego miałbym tak myśleć?

- Bo go nie znaleźliście.

- To możliwe, Milo. Jesteśmy dobrzy w tym, co robimy, ale może wtedy nie byliśmy. Mówiłem ci, ja byłem studentem, nic nie wiedziałem. A mama była całkiem rozbita, pamiętasz, jak firmy ubezpieczeniowe chciały nas wyruchać - jednego dnia pogrzeb, a następnego musimy już walczyć o to, żeby nie pójść z torbami. Więc może nie szukaliśmy Burnsa, jak należy. Ale potem wysłałem za nim chłopaków, ciągle mamy go na liście, pokażę ci.

Wstał, pchnął drzwi w ścianie i po kilku chwilach wrócił z kartką papieru, którą położył na blacie.

List gończy Wilberta Lorenzo Burnsa. Zdjęcie *en face* i z profilu, na szyi

tabliczka z numerem. Średnio ciemna twarz, proporcjonalne, miękkie i chłopięce rysy - wyglądałby sympatycznie, gdyby nie zaćpane oczy. Długie włosy sterczały mu na

**wszystkie strony strąkami, jakby ktoś za nie szarpał. Według danych: metr  
osiemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt kilo, blizny po nożu na przedramionach i karku,  
tatuży brak. Poszukiwany za paragrafy 11375, 836.6, 187. Posiadanie z zamiarem  
sprzedaży, ucieczka z miejsca aresztowania, zabójstwo.**

**- Myślę o nim czasami - powiedział Georgie, żując kanapkę. - Pewnie nie żyje. Był  
ćpunem, jakie taki chujek ma szansę na przeżycie? Ale jeśli dowiesz się, że żyje, daj mi  
znać.**

Kiedy wychodziliśmy z biura poręczycielskiego, za seville'em zatrzymał się akurat wózek drogówki.

- Spadamy - powiedział Milo i pobiegliśmy do samochodu. Nasz prześladowca wysiadł ze swoim małym, skomputeryzowanym diabelskim narzędziem, ale uciekliśmy, zanim zdążył nas spisać.

- Niewiele brakowało - powiedział Milo.

- Myślałem, że masz więcej siły przebicia.

- Siła przebicia to bardzo ulotna rzecz.

Skręciłem i pojechaliśmy w stronę komisariatu.

- I co o tym myślisz? - spytał Milo.

- O czym?

- O zachowaniu Georgiego?

- Nie znam go.

- Ale mimo wszystko?

- Wydawał się zdenerwowany, kiedy wymieniłeś nazwisko Burnsa.

- Bo był. Normalnie jest spokojny, nie przeklina.

- Może wspomnianie ojca tak go wzburzyło.

- Może.

- Zastanawiasz się, czy nie załatwił Burnsa. Ale tego się nie dowiesz.

- Myślałem, że twoja praca polega na poprawianiu samopoczucia rozmówcy.

- To jest oczyszczenie przez wgląd - powiedziałem, zatrzymując się niedaleko parkingu dla pracowników Westside i wrzucając luz. Milo nie ruszył się, siedział z



**podciągniętymi wysoko długimi nogami i rękami ułożonymi płasko na fotelu.**

**- Pieprzę Schwinna - powiedział w końcu.**

**- To byłoby proste - odparłem. - Jeśli to naprawdę o niego chodziło.**

**Spojrzał na mnie wilkiem.**

**- Nie starczy tego oczyszczenia?**

**- A od czego są przyjaciele?**

**Kilka minut później zapytałem:**

**- Dlaczego akta zabójstwa? Jeśli naprawdę chciał pomóc, wystarczyło zadzwonić i podać mi fakty.**

**- Może teczka kryje coś jeszcze, nie tylko zdjęcie Janie.**

**- Na przykład?**

**- Nie wiem, ale warto się jej przyjrzeć jeszcze raz.**

**Nie odpowiedział. Nie wysiadł.**

**- A więc - powiedziałem.**

**- A więc... pomyślałem sobie, że można by odwiedzić Achievement House i poznać najnowsze kierunki edukacji specjalnej.**

**- Ciągle cię to męczy.**

**- Sam nie wiem czemu.**

**Pojechałem Pico na wschód, do Motor, minąłem Rancho Park i wjechałem w**

**Cheviot Hills. W świetle dziennym Achievement House nie wyglądało wcale lepiej. Jasne**

**stiuki, które widziałem w nocy, były błękitne. Na parkingu stało o kilka samochodów**

**więcej, a po całym terenie, w luźnych grupach, kręciło się kilkanaścioro nastolatków.**

**Zatrzymaliśmy się przy krawężniku, ale nie zwrócili na nas uwagi. Prezentowali całą**

**gamę młodzieżowych stylów, od mrocznych fanów gotyku z uszminekowanymi na czarno**

ustami po grzecznych małolatów, wyglądających jak statyści z rodzinnego serialu.

Milo nacisnął dzwonek przy furtce; wpuszczono nas bez słowa, tak samo przez drzwi. Hali pachniał odświeżaczem powietrza i kukurydzianymi chrupkami. Recepcja po prawej i drzwi z napisem "Administracja" rozdzielone były korytarzem, wychodzącym na łagodnie oświetloną poczekalnię, w której nikt nie czekał. Na kremowych ścianach wisiały oprawione w metalowe ramki szkice kwiatów, podłogę pokrywała śliwkowa wykładzina, a na tekowych stolikach, otoczonych miękkimi fotelami w kolorze złamanej bieli, leżały równo poukładane kolorowe czasopisma. Za szklanymi podwójnymi drzwiami w głębi widać było następny korytarz i przebiegających przez niego nastolatków.

Recepcjonistkę, młodą Hinduskę w brzoskwiniowym sari, widok odznaki Mila zdziwił, ale nie zaniepokoił.

- W czym mogę pomóc? - spytała uprzejmie.

- Prowadzimy dochodzenie - powiedział Milo, promieniując sympatią i dobrym humorem. Podczas jazdy zachowywał ponure milczenie, ale już mu przeszło. Przyczesał włosy, poprawił krawat i prezentował się jak człowiek, z którym warto porozmawiać.

- Dochodzenie? - zdziwiła się kobieta.

- Chcielibyśmy zajrzeć do akt uczniów, proszę pani.

- Zaprowadzę panów do pani dyrektor Baldassar.

Wyszła, wróciła po chwili i odprowadziła nas do drzwi po drugiej stronie

korytarza. Weszliśmy do gabinetu, skąd sekretarka wpuściła nas do schludnego biura.

Siedząca w nim za biurkiem blondynka po czterdziestce właśnie gasiła papierosa.

Milo pokazał jej swoją odznakę.

- Marlene Baldassar - przedstawiła się blondynka. Szczupła, opalona i piegowata,

miała zapadnięte policzki, złotopięwe oczy i ostry, kanciasty podbródek. Granatowa sukienka w białe grochy zwisała luźno z kościstych ramion. Obcięte na pazia włosy spadały na czoło postrzępioną grzywką. Pani Baldassar nosiła obrączkę i wielki czarny zegarek dla pletwonurków. Na szyi wisiały na łańcuszku okulary w szylkretowych oprawkach. Dużą szklaną popielniczkę na biurku wypełniały czerwonawe od szminki niedopalki. Na jej krawędzi widniał napis: "Mirage Hotel, Las Vegas". Resztę biurka zajmowały książki, papiery i zdjęcia w ramkach. Oraz lśniąca, srebrna harmonijka. Zobaczyła, że patrzę na instrument, wzięła go dwoma palcami, zabuczała dwa razy i z uśmiechem odłożyła.

- Pomaga się odprężyć. Próbuję rzucić palenie. Jak widać, marnie mi idzie.

- Stare nałogi - powiedziałem.

- Bardzo stare. Próbowałam już plastrów. Wszystkiego próbowałam. DNA mam

chyba przesycone nikotyną. - Przesunęła palcem po krawędzi harmonijki. - Shoba

mówiła coś o policyjnym dochodzeniu. Czyżby któryś z naszych wychowanków wpadł w kłopoty?

- Nie wydaje się pani zdziwiona taką ewentualnością - zauważył Milo.

- Pracuję z młodzieżą od dwudziestu lat. Mało co jest w stanie mnie zaskoczyć.

- Od dwudziestu lat tutaj?

- Trzy lata tutaj, siedemnaście w placówkach hrabstwa: Juvenile Hall, ośrodkach zdrowia psychicznego, programach zapobiegania brutalności gangów.

- Miła odmiana? - spytałem.

- Właściwie tak - odparła. - Ale państwowe posady są zabawniejsze. Dużo robi się na darmo, ale znalezienie klejnotu w stercie śmieci daje sporo satysfakcji. Praca tutaj jest strasznie przewidywalna, a dzieciaki w sumie porządne. Rozpuszczone, ale

porządne. Specjalizujemy się w leczeniu zaburzeń nauki - problemów ze szkołą, poważnej dysleksji. Mamy konkretny cel: doprowadzać dzieci do takiego stanu, żeby potrafiły czytać to, co jest napisane małym drukiem, kiedy dostaną już do ręki pieniądze z funduszy powierniczych. Jeśli więc panów śledztwo dotyczy jednego z moich obecnych wychowanków, będę zaskoczona. Nie zajmujemy się socjopatami, sprawiają za dużo kłopotu.

- Dzieci są tu zamknięte dwadzieścia cztery godziny na dobę? - spytał Milo.

- Broń Boże - odparła Baldassar. - To nie więzienie. Wracają do domu na weekendy, dostają przepustki, jeśli sobie na nie zasłużą. A więc czego chcą się panowie dowiedzieć i o kim?

- To dość stara sprawa - powiedział Milo. - Chodzi o kogoś, kto był tu dwadzieścia lat temu.

Marlene Baldassar usiadła wygodnie i zaczęła się bawić okularami.

- Przykro mi, nie wolno mi rozmawiać o byłych wychowankach. Nagły wypadek dotyczący obecnego ucznia, niebezpiecznego dla siebie i otoczenia, to coś innego. Prawo kazałoby mi z wami współpracować.

- Szkoły nie mają przywileju poufności, proszę pani.

- Ale psychoterapeuci mają, detektywie, a wiele z naszych akt zawiera dane psychoterapeutyczne. Chciałabym panom pomóc, ale...

- A akta personelu? - spytał Milo. - Chodzi nam również o kogoś, kto tu pracował. W tym wypadku nie ma żadnych zakazów.

Pani Baldassar skubała okulary.

- Ma pan rację, ale... dwadzieścia lat temu? Nie jestem pewna, czy mamy jeszcze coś z tamtych czasów.

**- Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić, proszę pani.**

**- Jak się nazywa ten ktoś?**

**- Wilbert Lorenzo Burns.**

**Po piegowatej twarzy dyrektorki nie udało się poznać, czy coś jej mówi to nazwisko. Podniosła słuchawkę telefonu i zadała kilka pytań.**

**- Poczekajcie, panowie - przeprosiła, wyszła i wróciła chwilę później z kartką różowego papieru.**

**- Burns, Wilburt L. - powiedziała, wręczając ją Milowi. - To wszystko, co mamy.**

**Kopia wymówienia pana Burnsa. Wytrzymał trzy tygodnie. Od trzeciego do dwudziestego czwartego sierpnia. Został zwolniony za nieprzychodzenie do pracy.**

**Proszę, niech pan sam zobaczy.**

**Milo przeczytał pismo i oddał je dyrektorce.**

**- Co zrobił pan Burns?**

**- Jest ścigany nakazem aresztowania. Głównie za narkotyki. To trochę niepokojące, że pracował tu, kiedy był zwolniony za kaucją. Czekał na sprawę, oskarżony o handel heroiną.**

**Pani Baldassar zmarszczyła czoło.**

**- Cudownie. Cóż, dzisiaj do tego by nie doszło.**

**- Dokładnie sprawdzacie państwo swoich pracowników?**

**- Ja zauważyłabym dilera.**

**- Pewnie poprzedni dyrektor, Michael Larner, nie był tak wybredny - powiedział**

**Milo. - Zna go pani?**

**- Znam tylko swoją bezpośrednią poprzedniczkę, doktor Evelyn Lurię. Urocza kobieta. Przeszła na emeryturę i wyjechała do Włoch - ma co najmniej osiemdziesiąt lat.**

Powiedziano mi, że zatrudniono ją, żeby podwyższyć poziom leczniczy zakładu. Ja miałam zająć się organizacją. - Szturchnęła palcem harmonijkę. - Nie sugeruje pan chyba, że Burns sprzedawał narkotyki tutaj.

- A czy dzieci tutaj mają problemy z narkotykami?

- Detektywie, niech pan będzie poważny - powiedziała pani Baldassar. - To nastolatki z niskim stopniem samooceny i dużą ilością pieniędzy do wyrzucenia. Nie trzeba kończyć studiów, żeby się tego domyślić. Ale niech mi pan wierzy, żaden kryminalista nie ma tu wstępu. Jeśli chodzi o to, co się wydarzyło dwadzieścia lat temu...

Podniosła harmonijkę i odłożyła ją na miejsce.

- Jeśli to wszystko...

- Dochodzenie nie dotyczy tylko Williego Burnsa- powiedział Milo. - Chodzi nam też o uczennicę, z którą się zaprzyjaźnił. Caroline Cossack.

Pani Baldassar znieruchomiała. Potem parsknęła - pewnie miał to być śmiech, ale nie wyglądała na rozbawioną.

- Wyjdźmy na dwór - powiedziała. - Mam ochotę zapalić, a nie chcę truć nikogo oprócz siebie.

Wyprowadziła nas podwójnymi szklanymi drzwiami na korytarz. Minęliśmy dziesięć pokoi; niektóre były otwarte. Widzieliśmy niedokładnie posłane łóżka, sterty pluszowych zwierzaków, plakaty z gwiazdami kina i muzyki, magnetofony, gitary i książki, leżące stosami na małych drewnianych biurkach. Kilkoro nastolatków leżało ze słuchawkami na łóżkach, słuchając muzyki, jakiś chłopak robił pompki, a jedna z dziewczyn czytała kolorowe pismo - marszczyła z wysiłku czoło i pracowicie, bezgłośnie poruszała ustami.

Poszliśmy za Marlene Baldassar na tyły domu. Pchnęła drzwi z napisem

**“wyjście” i wypuściła nas na uliczkę za budynkiem. Pod murem z pustaków ustawiono dwa kontenery na śmieci. Obok stała piersiasta dziewczyna, oparta łokciami o ścianę, napierając biodrami na wysokiego, krótko ostrzyżonego chłopaka w luźnych, obwisłych spodniach, fałdujących się na rozwiązanych adidasach. Wyglądał jak strach na wróble, który za chwilę się rozleci. Chciał pocałować dziewczynę, ale kiedy ta coś powiedziała, zatrzymał się, odwrócił i zmarszczył czoło.**

**- Cześć - powiedziała pani Baldassar. Para bez słowa odeszła i zniknęła za rogiem budynku.**

**- Przeszkodziłam - stwierdziła dyrektorka. - Prawie mam wyrzuty sumienia.**

**Trzy metry nad murem rozciągała się linia wysokiego napięcia. Słysząc było buczenie przewodów. Nad nami przeleciał gołąb. Pani Baldassar przypaliła papierosa i zaciągnęła się łapczywie; wypaliła za jednym zamachem chyba z centymetr.**

**- Czy to może być rozmowa nieoficjalna? - spytała.**

**- Chciałbym to pani obiecać - powiedział Milo - ale jeśli ma pani jakieś informacje o przestępstwie...**

**- Nie, to nic takiego. Nigdy zresztą nie spotkałam tej małej Cossack, chociaż wiem, że u nas była. Ale jeśli chodzi o jej rodzinę... powiedzmy, nie są tu zbyt popularni.**

**- Dlaczego?**

**Dyrektorka zaciągnęła się i pokręciła głową.**

**- Myślę, że sam pan do tego dojdzie, jeśli trochę pokopie.**

**- Gdzie mam kopać?**

**- Mam za pana odwalić całą robotę?**

**- Będę wdzięczny za każdą pomoc.**

**Uśmiechnęła się.**

- W archiwum hrabstwa. Powiem panu, co wiem, ale to nie może do mnie w

żaden sposób wrócić, dobrze?

- Dobrze.

- Ufam panu, detektywie.

- Dziękuję, proszę pani.

- I skończmy z tą “proszę panią” - powiedziała pani Baldassar. - Zaczynam się przez to czuć staro.

- Oczywiście, pani...

Baldassar uciszyła go machnięciem ręki z papierosem.

- Streszczając bardzo długą historię: kilka lat temu, siedemnaście czy osiemnaście, Achievement House wpadło w poważne kłopoty finansowe z powodu złych inwestycji. Zarząd składał się ze starych pierdzieli, którzy niezwykle konserwatywnie podchodzili do własnych pieniędzy, ale okazali się o wiele bardziej skłonni do ryzyka w przypadku donacji, otrzymywanych przez zakład. Pamiętacie panowie te wyglupy z akcjami-śmieciami? Zarząd wynajął brokera, który zamienił wszystkie bezpieczne inwestycje Achievement House na plik czegoś, co okazało się bezwartościowym papierem. Procenty wyglądały kusząco, a zyski pozwalały szkole działać tak dobrze - na papierze - że zarząd zaczął uważać, że Achievement House będzie w stanie sam się utrzymać. A potem wszystko wzięło w łeb. Żeby było jeszcze ciekawiej, broker wziął drugi kredyt hipoteczny, żeby kupić więcej akcji. Kiedy dobrobyt nagle się skończył, Achievement House znalazło się w obliczu groźby zlicytowania.

- Bogaci starzy pierdziele by do tego dopuścili?

- Bogaci starzy pierdziele zasiadali w zarządzie, żeby poczuć się szlachetnie i żeby gazety pisały o nich w sezonie w rubrykach towarzyskich. Żeby było jeszcze gorzej,



wyszły na jaw jakieś nieprzyjemności z dyrektorem, waszym panem Larnerem. Wiem to wszystko od Evelyn Lurii. Objśniła mi sytuację, zanim wyjechała do Europy. Bez szczegółów, ale wspomniała, że chodziło o jakieś seksualne ekscesy. Coś, co narobiłoby dużo zlej reklamy członkom zarządu.

- A więc szkole groziło zamknięcie, a zarząd nic nie chciał robić.

- Boże, mam nadzieję, że ta sprawa nie nabierze rozgłosu po tylu latach. Lubię tę pracę, mogę się tu zrelaksować.

- Nikt pani z tym nie będzie wiązał, pani Baldassar. Proszę mi teraz powiedzieć, dlaczego Cossackowie są tacy niepopularni.

- Bo przyszli na ratunek - rycerze w lśniących zbrojach - a potem pokazali swoje drugie oblicze.

- Ojciec Caroline?

- Jej ojciec i bracia. We trzech posiadali jakąś firmę, zajmującą się nieruchomościami. Renegocjowali z bankiem raty spłaty kredytu, a potem przepisali na siebie akt własności Achievement House. Płacili przez jakiś czas, nikt o nic nie pytał. Kilka lat potem ogłosili, że likwidują szkołę, bo ziemia, na której stoi, jest zbyt wiele warta, żeby stało na niej coś, co nie przynosi zysków. Skupowali działki, chcieli przebudować cały kwartał.

Upuściła papierosa i rozdeptała go czubkiem buta.

- Achievement House ciągle tu stoi - powiedział Milo. - Co się stało?

- Pogrożki, oskarżenia, prawnicy. Zarząd i Cossackowie w końcu doszli do porozumienia, ale żeby ich spłacić, trzeba było sięgnąć głęboko do kieszeni. Mówiono mi, że oburzenie zwiększył dodatkowo fakt, że przyjęcie do zakładu Caroline Cossack było właściwie przysługą, wyświadczoną jej rodzinie. Nie kwalifikowała się tu.

**- Dlaczego?**

**- Była przypadkiem psychiatrycznym - miała poważne problemy z osobowością, a nie kłopoty z nauką.**

**- Powinna trafić do zamkniętego zakładu? - spytałem.**

**- Tak. Nagięto dla niej zasady. A jej rodzina tak się odwdzięczyła.**

**- Macie państwo jakiegokolwiek akta Caroline? - spytał Milo.**

**Pani Baldassar się zawahała.**

**- Pójdę zobaczyć. Poczekajcie tu, panowie.**

**Weszła do budynku.**

**- Ciekaw jestem, czy Michael Lerner miał coś wspólnego z tym, że Cossackowie próbowali zlikwidować szkołę - powiedziałem. - Po tym, jak zarząd go zwolnił, nie pałał raczej sympatią ani do zarządu, ani do samej instytucji.**

**Milo kopnął kontener na śmieci. Nad nami przeleciał następny gołąb. Potem jeszcze trzy.**

**- Latające szczury - mruknął Milo. Ledwie słyszalnie, ale drzenie powietrza musiało dojść do gołębi, ponieważ uciekły.**

**Wróciła Marlene Baldassar. W rękach miała kolejnego papierosa i różową kartę indeksową.**

**- Nie było akt, znalazłam tylko to, z datami jej pobytu.**

**Milo wziął od niej kartkę.**

**- Przyjęta dziewiątego sierpnia, zwolniona dwudziestego drugiego grudnia. Nie jest napisane, gdzie została przeniesiona.**

**- To prawda - powiedziała pani Baldassar. - Nie trzymacie państwo starych kart?**

**- Trzymamy. Powinna tutaj być. - Przyjrzała się twarzy Mila. - Nie zaszokowało**

to pana.

- Podobnie jak panią, mało co mnie szokuje, pani Baldassar. Poproszę panią o odwzajemnienie przysługi: niech ta wizyta pozostanie między nami. Dla dobra wszystkich.

- Nie ma sprawy - odparła pani Baldassar. Zaciągnęła się mocno i wypuściła kółko z dymu. - Myślałam, że to będzie spokojny dzień, a tu proszę, porządne *deja vu*.

Panowie, przypomnieliście mi o starych czasach, kiedy pracowałam w państwowych zakładach.

- To znaczy? - spytałem.

- Poruszyliście problem, którego nie da się rozwiązać za pomocą telefonu i karty kredytowej.

**Interesujący rozkład zdarzeń w czasie - powiedziałem, kiedy szliśmy do samochodu, tym razem uważnie obserwowani przez dzieciaki na parkingu. - Janie Ingalls zostaje zamordowana na początku czerwca. Dwa miesiące później Caroline trafia do Achievement House, a Willie pojawia się i pracuje tu przez trzy tygodnie. Willie zostaje zwolniony, potem wpada za heroinę, prosi Niemierowa, żeby go wykupił. Kiedy napadnięto na Niemierowa?**

**- Dwudziestego trzeciego grudnia - powiedział Milo.**

**- Następnego dnia po tym, jak Caroline wyszła z Achievement House -**

**dobrowolnie czy nie. Może Willie wyciągnął swoją dziewczynę, a potem się nią zajął. A może za pieniądze Cossacków kupili sobie jakąś przyjemną kryjówkę. I jeszcze jedno.**

**Georgie mógł się tak zdenerwować, kiedy poruszyłeś sprawę Burnsa, nie dlatego, że jego ludzie wykończyli mordercę jego ojca, ale dlatego, że tego nie zrobili. Spłacono ich.**

**- Wziął pieniądze, żeby puścić wolno mordercę swojego taty? Nie, to nie Georgie.**

**- On i jego matka byli w poważnych tarapatach finansowych. Może utrzymanie firmy wymagało czegoś więcej niż pracy przez okrągłą dobę i sprytnych negocjacji.**

**- Nie, nie wydaje mi się - powiedział Milo. - Georgie zawsze był raczej prostolinijnym facetem.**

**- Ty wiesz lepiej.**

**- Jasne, jestem krynica wiedzy. Chodź, pojedziemy do mnie, przyjrzymy się jeszcze raz temu pieprzonemu segregatorowi.**

**Rick i Milo mieszkali w małym, zadbanym domku w West Hollywood, na cichej, porośniętej wiązami uliczce, oświetlonej dodatkowo niepokojącym ogromem Design**

**Center. Białego porsche Ricka nie było, a zasłony w oknach były zaciągnięte. Kilka lat wcześniej Los Angeles ucierpiało od suszy; Rick przekopał trawnik, wysypał go drobnym żwirem i posadził szare pustynne rośliny. W tym roku w Los Angeles wody było pod dostatkiem, ale ponury krajobraz pozostał. Blade kolczaste krzaki pokryły się małymi żółtymi pąkami.**

**- Kaktusy świetnie się czują - powiedziałem.**

**- Doskonale - odparł Milo. - Zwłaszcza kiedy wracam do domu po ciemku i rozrywam sobie o nie spodnie.**

**- Nie ma to, jak widzieć tylko jasne strony życia.**

**- To rdzeń mojej filozofii - oznajmił Milo. - Szklanka jest albo do połowy pusta, albo stłuczona.**

**Otworzył frontowe drzwi, wyłączył alarm, zebrał wrzuconą przez szparę pocztę i nie zatrzymując się, rzucił ją na stół. Jego własna kuchnia wabi go często tak samo, jak moja, ale tym razem przeszedł przez nią do wnęki, którą przerobił na swoją pracownię - ciasnego, zagraconego kąta, wciśniętego między pralkę-suszarke i zamrażarkę i cuchnącego detergentami. Wyposażył ją w obrzydliwe, metalowe żółte biurko, składane krzesło i malowaną drewnianą lampę z Bali. Album, schowany w za dużej, zapinanej na suwak torbie, leżał na górnej półce miniaturowej biblioteczki, wiszącej nad biurkiem.**

**Milo założył rękawiczki, wyjął go i otworzył na zdjęciu Janie Ingalls.**

**- Masz jakieś pomysły?**

**- Zobaczmy, co jest dalej.**

**Po Janie były tylko trzy strony. Trzy zdjęcia z miejsca zbrodni, ofiary - trzech młodzi mężczyźni. Jeden czarny, dwaj Latynosi, wszyscy rozciągnięci na zachlapanym krwią chodniku. Kręgi białego światła na zwłokach i ciemne tło wskazywały, że zdjęcia**

**zrobiono nocą. Obok dłoni ostatniej ofiary leżał lśniący rewolwer.**

**Podpis pod pierwszą fotografią głosił: “Wojna gangów, ostrzelany z samochodu, Brooks St, Venice. Jeden zabity, dwóch rannych”.**

**Następny: “Wojna gangów, ostrzelany z samochodu, Commonwealth i Piąta, Rampart”.**

**W końcu: “Wojna gangów, ostrzelany z samochodu, Central Avenue”.**

**- Trzy takie same zbrodnie - powiedziałem. - To interesujące.**

**- Dlaczego?**

**- Poprzednie były różne.**

**- Wojny gangów... - powiedział Milo. - Normalka. Może Schwinnowi skończyły się ciekawe zdjęcia. Jeśli to się wydarzyło po śmierci Janie, kiedy już wyleciał z policji, mógł mieć problemy ze zdobyciem zdjęć z miejsca zbrodni. Bóg jeden wie, skąd wziął te.**

**Zamknął album.**

**- Widzisz jakiś związek między porachunkami gangsterów a Janie? Ja nie.**

**- Mogę zerknąć jeszcze raz?**

**- Patrz, ile chcesz. - Wyjął z szuflady następną parę rękawiczek, a ja je włożyłem.**

**Kiedy zająłem się pierwszym zdjęciem, Milo wyminął pralkę i wszedł do kuchni.**

**Usłyszałem skrzypnięcie otwieranych drzwi zamrażarki.**

**- Chcesz coś do picia?**

**- Nie, dzięki.**

**Ciężkie kroki. Otwieranie szafki. Stuk szklanki o płytki.**

**- Pójdę sprawdzić pocztę.**

**Nie spiesząc się, spokojnie oglądałem zdjęcia. Myślałem o Schwinnie,**

**uzależnionym od amfy, który wyzbył się wszystkich dóbr doczesnych, a jednocześnie**

zbierał fotki. Zaczął nowe, spokojne życie, ale w sekrecie kompletował tę oprawną w skórę potworność. Przewracałem strony - teraz już znajome - a obrazy zaczęły mi się zlewać przed oczami. Przestałem spekulować i spróbowałem się skupić na każdym świadectwie okrucieństwa.

Za pierwszym razem nic nie dostrzegłem, ale już za drugim jedna rzecz przykuła moją uwagę.

Dwa zdjęcia przed fotografią Janie.

Na drugiej stronie znajdowało się kolorowe, zrobione z niewielkiej odległości zdjęcie chudego, wysokiego czarnego mężczyzny, o skórze już poszarzałej. Leżał w burym pyłe, przykurczoną ręką w obronnym geście osłaniał twarz. Rozdziawione usta, na wpół zamknięte, martwe oczy, rozrzucone nogi.

Nie było krwi. Żadnych widocznych ran.

*Przedawkowanie narkotyków, możliwe zabójstwo.*

Następna strona, tuż przed zdjęciem Janie. Nie przyglądałem się jej do tej pory, bo umieszczono na niej jeden z najbardziej odrażających obrazów w całym albumie. Fotografia ukazywała stos zmasakrowanego mięsa, w niczym nieprzypominający już człowieka.

Bezwłose nogi i poobijana, zapadnięta część biodrowa wskazywały na kobietę.

Podpis rozwiał resztę wątpliwości.

*Chora umysłowo kobieta, wpadła lub została wepchnięta pod ciężarówkę z naczepą.*

Wróciłem do chudego, czarnego mężczyzny.

Potem do początku albumu. Sprawdziłem wszystko jeszcze raz.

A potem poszedłem po Mila.

Siedział w salonie i studiował rachunek za gaz. W dłoni trzymał szklankę z czymś

**bursztynowym.**

**- Skończyłeś?**

**- Chodź, rzuć na to okiem - powiedziałem.**

**Dopił drinka i ze szklanką w ręku poszedł za mną.**

**Pokazałem mu zdjęcia przed fotografią Janie.**

**- O co ci chodzi? - spytał.**

**- O dwie rzeczy - odparłem. - Po pierwsze, tuż przed Janie mamy czarnego**

**narkomana i białą, chorą umysłowo kobietę. Coś ci mówi? Po drugie, te dwa zdjęcia**

**różnią się stylistycznie od wszystkich pozostałych. Czterdzieści jeden fotografii, włącznie**

**z Janie, jest opatrzonych podpisem, podającym miejsce zdarzenia i rewir policyjny.**

**Tylko te dwie nie. Jeśli Schwinn wynosił zdjęcia z policyjnych akt, miał dostęp do**

**wszystkich danych. A mimo to nie określił miejsc. Jesteś w nastroju do psychologicznej**

**interpretacji?**

**- Schwinn bawił się w symbole? - spytał Milo. - Te dwa zdjęcia mają oznaczać**

**Willie'ego Burnsa i Caroline Cossack?**

**- Podpisy są niepełne, bo zdjęcia oznaczają zaginionego Williego Burnsa i**

**zaginioną Caroline Cossack. Schwinn nie określił miejsc, bo nie wiadomo, gdzie ta**

**dwójka może być. Potem umieścił zdjęcie Janie i napisał NR, "Nierozwiązane". Zaraz po**

**Janie mamy trzy strzelaniny, jedna po drugiej. Nie uważam, żeby to był przypadek.**

**Schwinn wiedział, jak je potraktujesz: jako normalkę, tak jak powiedziałeś. Zarysował**

**tu pewien proces: zaginiony czarny mężczyzna i chora umysłowo biała kobieta są**

**powiązani z Janie, której morderstwo pozostało niewyjaśnione. Wręcz przeciwnie:**

**sprawę zamknięto i zajęto się innymi dochodzeniami. Schwinn opisuje, jak zatuszowano**

**morderstwo Janie.**



**Milo skubnął wargę.**

**- Cóż... to dość wyrafinowane.**

**- Mówiłeś, że Schwinn był przebiegły - powiedziałem. - Podejrzliwy, na skraju paranoi. Wyleciał z wydziału, ale dalej myślał jak gliniarz, prowadził grę do końca, żeby kryć swój tyłek. Postanowił się z tobą skontaktować, ale zaplanował wszystko tak, żebyś tylko ty to zrozumiał. W ten sposób, gdyby album trafił w niepowołane ręce albo gdyby ktoś powiązał go z nim, mógłby się wszystkiego wyprzeć. Tylko ty mogłeś przypomnieć sobie jego obsesję fotografowania i dostrzec ten związek. Być może Schwinn chciał wysłać ci to osobiście, ale zmienił zdanie i wybrał kogoś na pośrednika, jako jeszcze jedno zabezpieczenie.**

**Milo przyjrzał się zdjęciu martwego narkomana. Potem przewrócił stronę, spojrzał na makabrę wypadku i na Janie. Potem jeszcze raz, od początku.**

**- Symbole Williego i Caroline... trochę to dziwaczne.**

**Wskazałem zwłoki narkomana.**

**- Na ile lat wygląda?**

**Zmrużył oczy i przyjrzał się poszarzałej twarzy.**

**- Jakaś czterdziestka.**

**- Gdyby Willie Burns żył, miałby dzisiaj czterdzieści trzy lata. To oznacza, że Schwinn uważał tego trupa za symbol dzisiejszego Williego. Oba zdjęcia są wyblakłe, mają pewnie po kilkadziesiąt lat. Ale Schwinn wybrał je z myślą o teraźniejszości. To znaczy, że skończył kompletować album niedawno, chciał, żebyś skupił się na czasie teraźniejszym.**

**Milo przetoczył pustą szklankę w dłoniach.**

**- Drań był niezłym detektywem. Jeśli wydział pozbył się go, bo ktoś się martwił**

tym, co wiedział o Janie, to znaczy, że nie przejmowali się mną.

- Byłeś żółtodziobem...

- Byłem głupim gówniarzem, który miał słuchać rozkazów. I wiesz co? -

Roześmiał się.

- Możliwe, że kiedy Schwinna zmuszono do odejścia, a ciebie nie, potwierdziło to jego podejrzenia co do ciebie. Pewnie doszedł do wniosku, że miałeś coś wspólnego z jego zwolnieniem. Dlatego przez tyle lat nie powiedział ci o tym, czego dowiedział się o Janie.

- A potem zmienił zdanie.

- Zaczął cię podziwiać. Powiedział to Marge.

- Pan Spokojny - mruknął Milo. - Wybrał swoją dziewczynę albo starego kumpla z policji na pośrednika. Dlaczego ten ktoś czekał aż siedem miesięcy od jego śmierci?

Nie umiałem na to odpowiedzieć. Milo próbował chodzić tam i z powrotem, ale w ciasnocie wnęki oznaczało to dwa kroki w każdą stronę.

- A potem spadł z konia - powiedział w końcu.

- Z konia, którego Marge uważała za tak łagodnego, by pozwolić Schwinnowi jeździć na nim samotnie na wzgórze. Ale Akhbara coś wystraszyło. Marge powiedziała "coś". A może to był "ktoś"?

Milo spojrział gdzieś za mnie, poszedł do kuchni i umył szklankę. Potem wrócił i wpatrzył się w album.

- Nic nie wskazuje na to, że śmierć Schwinna nie była przypadkowa.

- Zupełnie nic.

Milo oparł się dłońmi o ścianę, jakby chciał ją przewrócić.

- Bydlaki - powiedział.

- Kto?

**- Wszyscy.**

**Usiedliśmy w salonie. Obaj zastanawialiśmy się w milczeniu, żaden z nas nie miał pomysłów. Jeśli Milo był tak zmęczony, jak ja, potrzebował przerwy.**

**Zadzwonił telefon. Milo złapał słuchawkę.**

**- Przy telefonie... co? Kto... tak... tydzień. Tak... tak... zgadza się. To znaczy? Tak, właśnie panu powiedziałem, coś jeszcze? W porządku. Proszę posłuchać, niech mi pan zostawi nazwisko i numer telefonu, a ja...**

**Ktoś z drugiej strony się rozłączył. Milo trzymał słuchawkę na wyciągnięcie ręki i przygryzał dolną wargę,**

**- Kto to był? - spytałem.**

**- Jakiś facet. Twierdził, że mówi z działu kadr z centrali, chciał potwierdzić, czy rzeczywiście wziąłem wolne i kiedy zamierzam wrócić do pracy. Powiedziałem mu, że wypełniłem wszystkie formularze.**

**- Twierdził, że jest z kadr?**

**- Nie słyszałem, żeby do kogokolwiek dzwonili z czymś takim, a kiedy spytałem go o nazwisko, rozłączył się. Poza tym z głosu nie przypominał urzędasza z wydziału.**

**- Jak to?**

**- Mówił, jakby mu zależało.**

Milo włożył album z powrotem do torby.

- Chowam to do sejf - powiedział.

- Nie wiedziałem, że masz sejf.

- Gdzieś muszę trzymać wszystkie błyskotki od Cartiera i Tiffany 'ego. Zaczekaj tu.

Zniknął, a ja stałem bez ruchu, po raz kolejny przywołany do porządku starą prawdą, którą poznałem tysiąc pacjentów temu: każdy ma swoje sekrety. W głębi siebie jesteśmy samotni.

To przypomniało mi o Robin. Gdzie była? Co robiła? Z kim?

Milo wrócił, tym razem bez krawata.

- Głodny?

- Niespecjalnie.

- Dobrze, więc chodźmy coś zjeść.

Zamknął dom i wróciliśmy do samochodu.

- A jeśli chodzi o ten telefon z kadr - powiedziałem - może odkąd nastął John

Broussard, procedury się zaostrzyły. Przecież dyscyplina to jego konik.

- Jasne. Co powiesz na hot doga?

Pojechałem do San Vincente, kawałek na północ od Beverly i zaparkowałem przy krawężniku. Bar Hot Dog Heaven zbudowany został wokół gigantycznego hot doga, jako kolejne świadectwo dosłownego myślenia mieszkańców Los Angeles. Stał się charakterystycznym punktem okolicy, kiedy skwer z kucykami, od dziesięcioleci zajmujący róg La Cienega i Beverly, został zastąpiony neonowo-betonowym koszmarem,

znanym jako Beverly Center. Szkoda, że Philip K. Dick popełnił samobójstwo. Gdyby wytrzymał jeszcze kilka lat, zobaczyłby, jak jego łowca androidów staje się rzeczywistością. A może wiedział, że tak będzie?

Za czasów kucyków skwer był ulubionym miejscem weekendowych spotkań rozwiedzionych tatusiów i ich dzieci. Hot Dog Heaven zbijało fortunę, sprzedając przekąski samotnym mężczyznom, palącym papierosy i obserwującym jeżdżące w kółko po małej zagrodzie potomstwo. Gdzie chodzili teraz? Nie do centrów handlowych. Ostatnią rzeczą, jakiej dzieci pragną w centrach handlowych, jest towarzystwo rodziców.

Milo zamówił dwa jumbo dogi z chili, serem i cebulą ekstra, a ja jednego z kabanosem. Uzupełniliśmy posiłek dwiema dużymi colami i usiedliśmy, żeby zjeść. Było za późno na lunch i za wcześnie na obiad, więc tylko dwa inne stoliki były zajęte.

Siedzieli przy nich kobieta w średnim wieku, czytająca gazetę, oraz młody, długowłosego mężczyzna w szpitalnym kitlu - prawdopodobnie stażysta z Cedars-Sinai.

Milo pochłonął pierwszego hot doga, nie robiąc nawet przerw na oddech.

Wylizawszy wszystkie drobinki sera z papierka i własnych palców, napił się coli, po czym zabrał się do drugiej porcji. Z nią też szybko się uporał, wstał i kupił trzecią. Mój kabanos był całkiem niezły, ale tylko tyle byłem w stanie zrobić, żeby udawać głód.

Milo przeliczał właśnie resztę, kiedy przed moim seville'em zaparkował brązowy jeep cherokee. Ze środka wysiadł jakiś mężczyzna i minął mnie w drodze do lady.

Czarny garnitur, perłowa koszula, krawat w kolorze sadzy. Uśmiechał się. Dlatego zwróciłem na niego uwagę. Szcherzył się od ucha do ucha, jakby właśnie dostał jakąś wspaniałą wiadomość. Patrzyłem, jak podchodzi do lady i zatrzymuje się tuż za Milem. Stał tam, kołysząc się na piętach. Na nogach miał czarne, skórzane mokasyny na

pięciocentymetrowym obcasie. Nawet bez nich mierzył na pewno metr osiemdziesiąt.

Stał blisko Mila, wciąż się kiwając. Milo zdawał się go nie zauważać. Sam nie wiedząc dlaczego, odłożyłem hot doga i zacząłem im się przyglądać.

Wesołek miał około trzydziestu lat i ciemne, zaczesane do tyłu na żel włosy, opadające na kołnierzyk. Twarz z wydatną szczęką, duży nos, złota opalenizna. Jego garnitur był dobrze skrojony, włoski, albo przynajmniej mający imitować włoski, i wyglądał na nowiutki, tak samo, jak buty. Szara koszula uszyta była z wykończonego satyną jedwabiu, krawat miał duży węzeł. Wesołek wyglądał tak, jakby wybierał się na przesłuchanie do roli prowadzącego teleturniej.

Przysunął się jeszcze bliżej do Mila. Powiedział coś. Milo odwrócił się i odpowiedział.

Wesołek kiwnął głową.

Milo zabrał jedzenie i wrócił do stolika.

- Przyjacielski typ? - zapytałem.

- Kto?

- Ten facet za tobą. Uśmiechał się, odkąd wysiadł z jeepa.

- I?

- I z czego tak się cieszył?

Milo też wykrzywił w górę kąciki ust, ale mimowolnie zerknął w stronę lady.

Uśmiechający się mężczyzna rozmawiał z dziewczyną przy kasie.

- Coś jeszcze ci się w nim nie podoba?

- Stał tak blisko, że pewnie czuł twoją wodę po goleniu.

- Gdybym jej używał - powiedział Milo, ale wciąż obserwował rozmowę przy ladzie. W końcu rozsiadł się wygodniej i zatopił zęby w trzecim hot dogu.

**- Nie ma to jak zdrowa żywność. - Spojrzał na mojego niedojedzonego kabanosa.**

**- Masz anoreksję?**

**- A tak z ciekawości, co ci powiedział?**

**- O, rany... - Milo pokręcił głową. - Pytał, co tu dają dobrego. Powiedziałem, że lubię wszystko z chili. Straszna intryga.**

**Uśmiechnąłem się.**

**- Albo flirt.**

**- Ja?**

**- On.**

**- Jasne, nieznajomi bez przerwy mnie podrywają. Ma się ten wdzięk.**

**Zaryzykował jednak jeszcze jedno spojrzenie w stronę lady. Wesolek ciągle przekomarzał się z kasjerką, płacąc za swojego hot doga. Zwykłego, bez chili. Usiadł przy najbliższym stoliku, rozłożył na kolanach chusteczkę, poprawił włosy i uśmiechnął się promiennie do Mila.**

**- Stchórzyłem, nie wziąłem z chili.**

**- Pańska strata.**

**Wesolek zaśmiał się. Poprawił klapy marynarki i ugryzł hot doga tak subtelnie, że nie zostawił na nim śladu.**

**- Nieodparty wdzięk - mruknąłem.**

**- Wystarczy - powiedział Milo i otarł usta.**

**Wesolek dalej skubał jedzenie, nie robiąc wielkich postępów. Otarł brodę.**

**Pokazał zęby. Kilka razy spróbował pochwycić spojrzeniem wzrok Mila. Milo odwrócił się i patrzył w podłogę.**

**- Duże są, trudno je ugryźć - powiedział Wesolek.**

**Stłumiłem śmiech.**

**Milo szturchnął mnie w ramię.**

**- Idziemy.**

**Wstaliśmy.**

**- Miłego dnia - powiedział Wesolek.**

**Kiedy doszliśmy do samochodu wstał i podbiegł do nas, w jednym ręku trzymając hot doga, drugą machając.**

**- Co, do cholery - warknął Milo, sięgając pod kurtkę.**

**Wesolek zrobił to samo i nagle Milo znalazł się między mną a nieznajomym.**

**Napięcie zdawało się go jeszcze powiększać. Potem odprężył się. Wesolek ciągle machał, ale w ręku miał coś małego i białego. Wizytówkę.**

**- Przepraszam, że tak się narzucani, ale... Proszę, to mój numer. Niech pan zadzwoni, jeśli będzie pan chciał porozmawiać.**

**- Czemu miałbym chcieć z panem porozmawiać? - spytał Milo.**

**Wesolek ściągnął wargi, a jego uśmiech zamienił się nagle w coś dziwnie niepokojącego.**

**- Bo nigdy nic nie wiadomo.**

**Wyciągnął wizytówkę.**

**Milo nie ruszył się.**

**- Jak pan chce - powiedział Wesolek i położył wizytówkę na masce. Jego nowa twarz była poważna, wyrażała jakąś myśl. Odbiegł truchtem, wyrzucił nadgryzionego hot doga do kosza, wsiadł do jeepa i odjechał. Milo szybko spisał numery samochodu.**

**Wziął z maski wizytówkę, przeczytał ją i podał mi.**

**Była biała, lekko tłusta w dotyku, zapisana tłoczonymi literami.**



*Paris M. Bartlett*

*Opiekun zdrowotny*

Pod spodem widniał numer telefonu komórkowego.

- "Bo nigdy nic nie wiadomo" - powiedział Milo. - Opiekun zdrowotny.

Wyglądam na chorego?

- Nie licząc plam na koszuli, wyglądasz doskonale.

- Opiekun - powtórzył Milo. - To brzmi jak coś związanego z AIDS. Wyciągnął telefon i wstukał numer Parisa Bartletta. Skrzywił się. - Numer nieaktualny. Co, do cholery...

- Sprawdzisz numer swoimi kanałami?

- Nie mogę nic sprawdzać, kiedy jestem na urlopie. Nie wolno używać areluwów wydziału do celów osobistych.

- John G. Broussard byłby bardzo zły.

- Bardzo. - Milo zadzwonił do stanowego wydziału komunikacji, podał numer rejestracyjny jeepa, czekał chwilę i zapisał coś w notesie.

- Numery należą do dwuletniego jeepa, więc to się zgadza. Zarejestrowany na korporację Playa del Sol. To niedaleko, w zachodnim Hollywood. Poznają adres. To parking marketu "Zdrowa Żywność" przy Santa Monica. Prowadzą tam biuro wynajmu skrytek pocztowych. Wiem, bo sam kiedyś taką miałem.

- Kiedy?

- Dawno temu.

Sejf. Skrytka pocztowa. Dowiadywałem się mnóstwa nowych rzeczy o moim przyjacielu.

- Martwy telefon, adres widmo - powiedziałem. - Playa del Sol może być tylko

**kartonowym pudełkiem w czyimś mieszkaniu, ale robi wrażenie poważnej firmy.**

**- Tak, jak Cossackowie. - Przyjrzał się wizytówce. - To i ten telefon w sprawie  
mojego urlopu. Zaraz po tym, jak rozmawialiśmy z Marlene Baldassar. Chyba nie  
można jej ufać.**

**A może nie zatarł śladów.**

**- To mógł być zwykły podryw - powiedziałem, ale wiedziałem, że nie mam racji.**

**Paris Bartlett wysiadł z samochodu w konkretnym celu.**

**Milo schował wizytówkę do kieszeni.**

**- Alex, wychowywałem się w dużej rodzinie, nikt nigdy nie poświęcał mi wiele  
uwagi, nie lubię tego. Potrzebuję trochę samotności.**

**Odwiozłem go do domu. Milo wygramolił się z seville'a, wymamrotał coś, co  
mogło brzmieć jak "dzięki", trzasnął drzwiami i pobiegł do wejścia.**

**Ja sam dotarłem do domu trzydzieści pięć minut później. Wmawiałem sobie, że  
przejdę obojętnie obok telefonu, ale na widok czerwonej, migającej jedyńki nie  
wytrzymałem i wcisnąłem gwałtownie przycisk odtwarzania.**

**Głos Robin:**

**- Wygląda na to, że znowu cię nie zastałam, Alex. Mamy kolejną zmianę planów,  
zostajemy jeszcze jeden dzień w Vancouver, może to samo będzie w Denver. Straszny tu  
bałagan, może mnie nie być w hotelu. - Dwie sekundy przerwy i kilka decybeli ciszej: -**

**Kocham cię.**

**Obowiązkowa końcówka. W przeciwieństwie do Pierce'a Sehwinna nie  
potrzebowałem prochów, żeby nakręcić w sobie podejrzenia.**

**Zadzwońłem jeszcze raz do Four Seasons w Seattle i poprosiłem o połączenie z  
pokojem panny Castagna. Tym razem, gdybym trafił na pocztę głosową, zostawiłbym**

**wiadomość.**

**Ale odebrał jakiś mężczyzna. Młody, jeden z tych roześmianych głosów.**

**Znajomy.**

**Sheridan. Ten wesoly, z kucykiem i chrupkami dla Spike'a.**

**- Robin? A, cześć. Już daję.**

**Kilka sekund później:**

**- Mówi Robin.**

**- Alex z tej strony.**

**- O... cześć, nareszcie.**

**- Nareszcie?**

**- Nareszcie się złapaliśmy. Wszystko w porządku?**

**- Najlepszym - powiedziałem. - Przeszkodziłem w czymś?**

**- Co... a, Sheridan? Nie, kończyliśmy właśnie spotkanie. W kilka osób.**

**- Pracowite z was pszczołki.**

**- Teraz mam czas. Co u ciebie? Jesteś czymś zajęty?**

**Brzmiało to jak towarzyska pogwarka i to mnie przybiło.**

**- Jakoś leci. Jak Spike?**

**- Świetnie. Na trasie jest kilka innych psów, więc mamy tu ładną zagrodę. Spike**

**zrobił się bardzo towarzyski. Jest tu czterdziestokilowa suka, owczarek, Spike chyba na nią leci.**

**- Czy w zagrodzie jest drabina, żeby mógł jej dosięgnąć?**

**Roześmiała się, ale w jej głosie słychać było zmęczenie.**

**- A więc...**

**- Dobrze się bawisz? - spytałem. - Jak towarzystwo?**

**- Ja tu pracuję, Alex. Zasuujemy dwanaście, trzynaście godzin dziennie.**

**- Nieźle. Tęsknię za tobą.**

**- Ja za tobą też. Oboje wiedzieliśmy, że nie będzie łatwo.**

**- Więc oboje mieliśmy rację.**

**- Kochanie... poczekaj, Alex... ktoś właśnie do mnie zagląda. - Jej głos zrobił się odległy, stłumiony. - Zobaczę, co się da zrobić, daj mi trochę czasu, dobrze? Kiedy próba dźwięku? Tak szybko? Dobrze, jasne. - Znowu do mnie: - Jak widzisz, nie mogę się nacieszyć samotnością.**

**- A ja tak.**

**- Jestem zazdrosna.**

**- Naprawdę?**

**- Tak - powiedziała. - Oboje lubimy naszą samotność, prawda?**

**- Możesz odzyskać swoją w każdej chwili.**

**- Nie mogę ich tak zostawić.**

**- Nie - powiedziałem. - Jak powiedział Richard Nixon, to by było niewłaściwe.**

**- Chodzi mi o to, że... gdyby to było takie łatwe... gdyby miało cię to naprawdę uszczęśliwić, zrobiłabym to.**

**- Zrujnowałabyś sobie reputację.**

**- Na pewno by jej to nie pomogło.**

**- Masz zobowiązania - powiedziałem. - Nie przejmuj się mną.**

**Dlaczego ten cholerny Sheridan jest taki zadowolony?**

**- Alex, kiedy tylko mam wolną chwilę, myślę o tobie, zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam. Potem układam sobie wszystko, co chcę ci powiedzieć, ale kiedy w końcu rozmawiamy... to nie wychodzi tak, jak zaplanowałam.**

- Chyba nie radzę sobie z taką separacją - powiedziałem. - Nigdy się do niej nie przyzwyczailem.

- Nie przyzwyczaileś? - spytała. - Chodzi o twoich rodziców?

Moi rodzice byli ostatnią rzeczą, jaka przychodziła mi do głowy. Teraz odżyły stare, złe wspomnienia: cierpienie dwojga ludzi, którzy wydali mnie na świat, czuwanie przy łóżku, dwa pogrzeby w ciągu dwóch lat.

- Nie - odparłem. - Mówilem ogólnie.

- Wyglądasz na zdenerwowanego - powiedziała. - Nie chciałam...

- Nic się nie stało.

- To o co ci chodziło? Z tym, że nigdy nie przyzwyczaileś się do separacji?

- Tak tylko bredzę.

- Chcesz powiedzieć, że nawet kiedy byliśmy razem, czuleś się opuszczony? Że cię zaniebdywałam? Bo ja...

- Nie - przerwałem jej. - Zawsze mogłem na ciebie liczyć. Nie licząc tego razu, kiedy odeszłaś.

Nie licząc tego razu, kiedy znalazłaś sobie innego i...

- To naprawdę nic nie znaczyło, Rob. Złóż to na karb tęsknoty.

- Alex, jeśli naprawdę jest ci tak źle, wróć do domu.

- Nie - powiedziałem. - Jestem już dużym chłopcem. Nie wyszłoby ci to na dobre.

Ani nam obojgu.

A poza tym mam swoje sprawy. Małe, śmieszne sprawy, których nienawidzisz.

- To prawda - powiedziała. - Ale powiedz tylko słowo...

- To słowo brzmi: kocham cię.

- To są dwa słowa.

**- Czepiasz się.**

**Roześmiała się. W końcu. Wyrecytowałem kilka miłych banałów, ona też. Kiedy kończyliśmy, wyglądało na to, że ją uspokoiłem i pomyślałem, że dobrze udawałem. Milo twierdził, że potrzebuje samotności, ale domyślałem się, że będzie węszył w biurokratycznej dżungli wydziału policji Los Angeles.**

**Jeśli telefon z kadr i spotkanie z eleganckim Parisem Bartlettem miały coś wspólnego ze sprawą Ingalls, oznaczało to, że Milo - że obaj byliśmy śledzeni i obserwowani.**

**Marlene Baldassar nie wyglądała na donosiciela. Zacząłem rozmyślać, jakie jeszcze ślady mogliśmy zostawić.**

**Moje własne działania ograniczały się do telefonu do Larry'ego Daschoffa, obiadu z Allison Gwynn i komputerowych poszukiwań w bibliotece. Żadna z tych rzeczy nie powinna przyciągnąć niczyjej uwagi.**

**Milo i ja razem byliśmy u Marge Schwinn, Marlene Baldassar i Georgiego Niemierowa. Obie kobiety mogły donieść komuś o naszych rozmowach, ale żadna z nich nie zachowywała się wrogo i nie mogłem sobie wyobrazić, dlaczego miałyby zawracać sobie nami głowę.**

**Za to Niemierow zrobił się nerwowy, kiedy rozmowa zeszła na jego zamordowanego ojca i zniknięcie Williego Burnsa. Dzięki swojemu zajęciu Georgie był najbliższym związany z policją. Jeśli John G. Broussard był zamieszany w sprawę, wydział by się nią zainteresował.**

**Trzecią możliwością było to, że solowe węszenie Mila wokół sprawy Janie Ingalls ściągnęło czyjąś uwagę. Z tego, co wiedziałem, ograniczało się ono do telefonów i grzebania w starych aktach. Ale pracował na komisariacie w zachodnim Los Angeles, a**

**myszkował w Parker Center.**

**Myślał, że działa dyskretnie, ale mógł wpaść komuś w oko - urzędnikom, innym policjantom, komukolwiek, kto zauważyłby jego działania. John G. Broussard wydał jasną dyrektywę, by zacieśnić dyscyplinę. Nowy szef wypowiedział także wojnę koleżeńskiej zмовie milczenia - to dopiero ironia. Może nowym znakiem czasu w wydziale byli gliniarze donoszący na gliniarzy.**

**Im więcej o tym myślałem, tym wydawało mi się to logiczniejsze. Milo był zawodowcem, ale za dużo rzeczy traktował rutynowo.**

**Proceduralnie został wyautowany.**

**To z kolei przywiodło mi na myśl jego słabość. Dwadzieścia lat w policji, jeden z najwyższych wskaźników rozwiązywalności spraw w wydziale zabójstw, a wciąż było za mało. I nigdy miało nie wystarczyć.**

**Przez dwadzieścia lat funkcjonował w paramilitarnej organizacji, która nigdy nie wyzbyła się instynktownych uprzedzeń i wciąż nie pogodziła się oficjalnie z istnieniem policjantów homoseksualistów. Wiedziałem - wszyscy wiedzieli - że ulice patroluje całe mnóstwo gliniarzy-gejów, ale żaden z nich się nie ujawnił. Milo też nie, ściśle rzecz biorąc, ale po pierwszych kilku latach męczarni przestał się kryć.**

**Statystycy wydziału wpisywali jego rozwiązane sprawy do rubryki znaczących osiągnięć, ale szefostwo wciąż ignorowało jego harówkę i regularnie starało się go pozbyć. Milo zgromadził sporo sekretów, w końcu zabezpieczył się przed utratą pracy i zapewnił sobie regularne awansowanie. Dwukrotnie odrzucił propozycję przystąpienia do egzaminu na porucznika, ponieważ wiedział, że tak naprawdę chodziło o posadzenie go za biurkiem, żeby wszyscy mogli udawać, że nie istnieje, jednocześnie zanudzając tak, że sam wystąpiłby o przeniesienie na wcześniejszą emeryturę. Zamiast tego pozostał**

**detektywem i osiągnął na tym polu wszystko, co mógł osiągnąć - rangę detektywa trzeciego stopnia.**

**Może Pierce Schwinn wiedział o tym wszystkim i zaczął go szanować za to, że się nie poddaje. I dał mu perwersyjny podarunek.**

**Zwykle nic tak nie ekscytowało Mila, jak dobra, nierozwiązana sprawa. Ale tym razem trafił na powtórkę z własnej przeszłości; być może zrobił się nieostrożny i z myśliwego stał zwierzyną.**

**Pomyślałem, że Paris Bartlett namierzył właśnie jego, a mnie zignorował.**

**Co oznaczało, że pozostawiono mi pole do działania.**

**Pora była idealna, logika wywodu nieskazitelna. Od czego ma się przyjaciół?**



Sam, przy głównianym biurku w kolorze szczyń, w hałasie pralki, załadowanej przed chwilą, żeby coś hałasowało w tle, Milo poczuł się lepiej.

Czuł się lepiej bez Aleksa.

Bo umysł Aleksa bywał przerażający - różne rzeczy wpadały do środka, ale nic nie wypadalo. Jego przyjaciel potrafił siedzieć bez słowa, człowiekowi zdawało się, że słucha - aktywnie słucha, tak jak nauczono go w szkole lekarzy dla czubków - a on nagle wyrzucał z siebie potok skojarzeń, hipotez i pozornie niezwiązanych z tematem banałów, które często okazywały się słuszne.

Jak domki z kart, które niespodziewanie potrafiły przetrwać wichurę. Milo, bombardowany tymi salwami pomysłów, czuł się jak okładany ciosami sparingowy partner.

Nie chodziło o to, że Alex naciskał. On tylko zakładał. Sugerował. Psychologiczna sztuczka. I spróbuj to zignorować.

Milo nie znał nikogo sprytniejszego i porządniejszego niż Alex, ale przebywanie w jego towarzystwie mogło zmęczyć. Ileż to nocy nie przespał, bo jedna z sugestii jego przyjaciela nie dawała mu spokoju!

Ale pomimo swoich tropicielskich instynktów Alex był cywilem i niektórych spraw nie wyczuwał. Poza tym nie udało mu się dokonać jednej, bardzo ważnej rzeczy: rozwinąć w sobie przeczucia zagrożenia.

Na początku Milo przypisywał to beztrosce nadgorliwego amatora. Nie potrzebował jednak wiele czasu, by zrozumieć, jak jest naprawdę: Alexa podniecało niebezpieczeństwo.

**Robin to rozumiała i bała się tego. W ciągu wielu lat znajomości zwierzyła się ze swoich obaw Milowi - bardziej napomykając, niż skarżąc się wprost. Kiedy byli razem, we trójkę, i oni dwaj poruszali niebezpieczny temat, a wyraz twarzy Robin się zmieniał, Milo szybko zaczynał mówić o czymś innym. Co dziwne, Alex, przy całej swojej spostrzegawczości, czasami tego nie widział.**

**Alex musiał zdawać sobie sprawę z tego, co czuła Robin, ale nawet nie starał się zmienić. A Robin to znosiła. Miłość jest ślepa, głucha i głupia. .. Może Robin po prostu była mu oddana i wiedziała, że nie da się zmienić drugiej osoby.**

**Ale teraz pojechała w tę trasę. I zabrała ze sobą psa. Z jakiegoś powodu wydawało się to niepokojące - ten cholerny kundel. Alex twierdził, że wszystko jest w porządku, ale kiedy Milo wpadł do niego pierwszego dnia, wyglądał naprawdę źle, a teraz był jakiś inny... jakby coś go rozpraszało.**

**Coś było nie tak.**

**A może nie.**

**Milo wysondował granice oporu Aleksa. Bawił się w psychologa, bo właściwie dlaczego nie, do cholery? Jak można mówić o prawdziwej przyjaźni, jeśli terapia działa tylko w jedną stronę? Ale nic z tego nie wyszło. Alex mówił to, co powinien: otwartość, komunikacja, bla bla bla, ale na swój wyrazisty, współczujący, obrzydliwie cywilizowany sposób pozostał całkowicie niewzruszony.**

**Właściwie, czy kiedykolwiek pozwolił na siebie wpłynąć? Milo nie mógł sobie przypomnieć ani jednego takiego przypadku.**

**Alex robił dokładnie to, co chciał zrobić.**

**A Robin... Milo pocieszał ją, jak umiał. I uważał, że całkiem nieźle radzi sobie z ochranianiem Aleksa przed niebezpieczeństwem. Ale były pewne granice.**

**Ostatecznie każdy musi umieć poradzić sobie sam.**

**Wstał, zrobił drinka z wódki i soku z czerwonego grejpfruta, tłumacząc sobie, że witamina C przeciwdziała utlenianiu, ale jednocześnie zastanawiając się, na ile jego wątroba przypomina zdjęcie z medycznego czasopisma, które Rick pokazał mu w zeszłym miesiącu.**

**Zanik tkanki wątroby i pojawiające się w jej miejscu komórki tkanki tłuszczowej, będące efektem zaawansowanej marskości wątroby.**

**Rick też nigdy nie naciskał, ale Milo wiedział, że jego chłopak nie był szczęśliwy, widząc w lodówce świeżą butelkę stolicznej.**

**Zmiana kanału: wracamy do Aleksa.**

**Problemy innych ludzi były zdecydowanie bardziej interesujące.**

**Przeszedł na piechotę kilometr do wypożyczalni samochodów na La Cienega i wypożyczył nowiutkiego niebieskiego taurusa. Jadąc na wschód Santa Monica, wjechał do Beverly Hills, a potem do West Hollywood. Za Donehy Drive ruch był nieduży, ale na granicy West Hollywood ulica zwężała się do jednego pasa, którym kilka samochodów wlokło się w żółwym tempie.**

**Zachodnie Hollywood, Miasto, Które Nigdy Nie Przestało Się Upiększać, od wielu lat rozkopywało ulice, powodując bankructwa kolejnych przedsiębiorstw; jedynym widocznym dla Mila efektem tych działań były straszące zewsząd sterty piachu i wykopy. W zeszłym roku uroczyście otwarto tu nowy posterunek straży pożarnej, jedno z nowoczesnych architektonicznych dziwadeł - same szczyty, stromizny, załamania i okna o dziwnych kształtach. Wszystko było pięknie, dopóki nie okazało się, że wozy strażackie nie mieszczą się w drzwiach remizy, a po słupach nie da się zjechać. W tym roku West Hollywood zostało siostrzanym miastem Hawany. Milo miał poważne**

**wątpliwości, czy Fidelowi podobałoby się nocne życie Boystown.**

**Jedynymi interesami, których roboty drogowe nie zdołały wykończyć, były całodobowe markety i gej-bary. Człowiek musi jeść i mieć gdzie się bawić. Milo i Rick większość wieczorów spędzali w domu - ile minęło czasu, odkąd ostatni raz przyjechał tu szukać towarzystwa?**

**A teraz był tu znowu.**

**Odkrył, że się uśmiecha; ale czuł się, jakby to była cudza weselość.**

**Bo z czego, do cholery, miał się cieszyć? Pierce Schwinn albo jego wspólnik wmanewrowali go w sprawę Ingalls, jemu nie udało się nic osiągnąć, tylko wszystko dokładnie spieprzył.**

**Zwrócił na siebie uwagę.**

**Playa del Sol. Ten wyszczerzony pajac, Paris Bartlett. Pierwsze, co zrobił po zostawieniu Alexa, to sprawdził w miejskim archiwum dane Playa. Nic. Potem wrzucił nazwisko Bartletta do wszystkich baz danych, jakie przyszły mu do głowy. Jakby to mogło być prawdziwe nazwisko.**

**Ogromnie ryzykował, bo to, co powiedział Aleksowi, było prawdą: jako cywil nie mógł korzystać z zasobów wydziału, poruszał się po grząskim terenie. Zabezpieczył się, podając numery identyfikacyjne innych gliniarzy, kilku gości, których miał gdzieś, z kilku różnych wydziałów. To była jego wersja kradzieży tożsamości - gromadził takie dane od lat, zbierając papiery w domowym sejfie, bo nigdy nie wiadomo, kiedy człowieka przycisną. Ale gdyby komuś bardzo zależało, mogliby powiązać te telefony z jego osobą.**

**Był sprytny, ale poszukiwania spelzły na niczym: Paris Bartlett nie istniał.**

**Milo przeczuwał to od samego początku: nazwisko brzmiało fałszywie, facet ze**

swoim uczesaniem, zębami i gorliwością wyglądał na aktora. W Los Angeles nie musi to oznaczać karty związku aktorów i portfela pełnego zdjęć. Wydział też lubił gości, którzy potrafią dobrze grać. Kierowano ich do tajnych zadań. W dzisiejszych czasach oznaczało to głównie narkotyki, czasami obyczajówkę, kiedy z góry przychodziło polecenie pomęczenia dziwek przez tydzień czy dwa, żeby dobrze wypaść w gazetach. Wiele lat temu tajne akcje oznaczały jeszcze jedną zabawę obyczajówki, regularne, weekendowe występy - piątkowe i sobotnie wieczory, organizowane z wojskowym zacięciem. Wybieranie celów, określanie wroga i bezlitosny atak. Dojebać ciotom.

Nie chodziło o brutalną agresję, jak to się działo przed Christopher Street, kiedy gejowskie bary były obiektem rutynowych najść policji. To się skończyło w latach siedemdziesiątych, ale Milo załapał się na końcówkę nagonki na pedałów. Wydział maskował je jako akcje wymierzone w handlarzy narkotyków, jakby knajpy hetero nie jechały na tych samych prochach. W pierwszym miesiącu służby w zachodnim Los Angeles Milo został przydzielony do sobotniego wypadu do prywatnego klubu na Sepulveda, niedaleko Venice. Niespodziewany najazd na dawny warsztat lakiernika, gdzie około stu odstawionych facetów, w złudnym poczuciu bezpieczeństwa, przychodziło pogadać, potańczyć, zapalić trawkę, zjeść coś i zabawić się w kabinach w toalecie. Wydział policji Los Angeles miał inną definicję bezpieczeństwa. Plan działania wyłożony przez kierującego akcją supermacho, detektywa drugiego stopnia nazwiskiem Reisan - Milo był pewien, że facet sam był nieźle zakonspirowany - brzmiał tak, jakby chodziło o szturm na jakąś wietnamską wioskę, w której ukrywali się partyzanci Vietkongu. Zmrużone oczy, wojskowy żargon, taktyka rozrysowana na tablicy, rany boskie...

Milo wysiedział na odprawie, starając się za bardzo nie pocić. Reisan mówił o brutalnym traktowaniu stawiających opór: nie bójcie się używać pałek. Potem zażartował, żeby nikogo nie całować, bo nie wiadomo, gdzie te usta mogły być przed chwilą. Patrzył prosto na Mila, Milo śmiał się razem ze wszystkimi i myślał: "Po jaką cholere on to robi?" Wmawiał sobie, że ma zbyt bujną wyobraźnię.

W dniu akcji wziął zwolnienie chorobowe, przez trzy dni leżał w łóżku. Był całkiem zdrowy, ale zrobił, co mógł, żeby się wyczerpać, nie spał i nie jadł, pił tylko gin, wódkę, żytniówkę, brzoskwiniową brandy i wszystko, co znalazł w szafce. Gdyby wydział chciał go sprawdzić, okazałoby się, że faktycznie wygląda jak trup.

Weteran walk w Wietnamie, policyjny detektyw, a wciąż myślał jak licealista na wagarach.

Przez te trzy dni stracił cztery kilo. Kiedy wstał, trzęsły mu się nogi i bolały go nerki. Zastanawiał się, czy żółte zabarwienie oczu to fakt, czy tylko efekt kiepskiego oświetlenia. Milo mieszkał wtedy w nędznej norze, której wszystkie okna wychodziły na studnię bloku; nieważne, ile włączył żarówek, w mieszkaniu zawsze było ciemno jak w krypcie.

Kiedy po raz pierwszy po tych trzech dniach coś zjadł - ledwie ciepłą puszkę chilito, czego nie zwymiotował, wyleciało drugą stroną. Śmierdział jak kozia zagroda, włosy zaczynały mu się kruszyć, a paznokcie mięknąć. Przez cały tydzień dzwoniło mu potem w uszach i bolały go plecy. Wlewał w siebie litry wody, na wypadek, gdyby coś sobie w środku uszkodził. Kiedy wrócił na posterunek, w swojej skrzynce znalazł podpisany przez Reisana rozkaz przeniesienia - z obyczajówki do kradzieży samochodów. Milo uznał, że dobrze się złożyło. Dwa dni później przez szparę w drzwiach ktoś wsunął mu do szafki w szatni karteczkę:

*Jak tam czekoladowe oko, pedale?*

Milo zatrzymał się na parkingu “Zdrowej Żywności” i nie wysiadając z samochodu, rozejrzał się w poszukiwaniu jakichś podejrzanych działań. Jadąc z domu na komisariat, a potem z Budget do marketu cały czas uważał, czy nie ma ogona. Nie zauważył, żeby ktoś go śledził, ale to nie był film - smutna prawda była taka, że w mieście zbudowanym na silniku spalinowym nigdy nie miało się tej pewności.

Patrzył, jak kupujący wchodzi do marketu, w końcu spokojny, że nikt za nim nie jechał. Przeszedł na drugą stronę, gdzie stał rząd niedużych pawilonów - właściwie odnowionych budek. Ślusarz, pralnia, szewc, agencja pocztowa.

Mignął odznaką Pakistańczykowi za ladą - jedno nadużycie za drugim, Sturgis - i zapytał o skrytkę, której numer podano na karcie rejestracyjnej jeepa. Urzędnik był jakiś ponury, ale przejrzał swój spis i pokręcił głową.

- Nie ma Playa del Sol. - Za nim wznosiła się ściana mosiężnych skrzynek.

Plakaty reklamowały usługi FedExu, UPS, znaczki pocztowe i pakowanie prezentów.

Milo nie widział nigdzie wstążek ani kolorowego papieru. Same tajemnice.

- Kiedy przestali ją wynajmować? - spytał.

- To musiało być przynajmniej rok temu.

- Skąd ta pewność?

- Bo obecny najemca ma ten numer od trzynastu miesięcy.

Najemca. Milo wyobraził sobie krasnoludka, urządzającego się w skrytce.

Małeńka kuchenka, lodóweczka, łóżko, telewizor wielkości paznokcia, a w nim “Małe Wiadomości”.

- Kto jest obecnym najemcą? - spytał.

- Wie pan, że nie mogę powiedzieć, proszę pana.

- A niech to - powiedział Milo, wyciągając do urzędnika dwudziestodolarowy banknot. Jeszcze trochę takich numerów...

Pakistańczyk spojrział na leżący przed sobą banknot i położył dłoń na wyblakłym obliczu Andrew Jacksona. Potem odwrócił się do Mila plecami i zaczął coś robić przy pustej skrzynce. Milo sięgnął nad ladą, wyjął spis i przeczytał odpowiednią fiszkę:

*Pan i pani Irwin Block*

Adres na Cynthia Street, kilka przecznic dalej.

- Zna pan tych ludzi? - spytał Milo.

- Starsi państwo - odparł Pakistańczyk, wciąż odwrócony tyłem. - Ona przychodzi raz w tygodniu, ale nic nie dostają.

- Nic?

- Raz na jakiś czas jakieś śmieci.

- To po co im skrytka?

Urzędnik odwrócił się i uśmiechnął.

- Każdemu może się przydać. Niech pan to powtórzy wszystkim przyjaciółom.

Sięgnął po spis, ale Milo go nie wypuścił, przeszedł od "Bl" do "Ba". Nie znalazł żadnego Bartletta. Potem do "P". Nie ma Playa del Sol.

- Proszę, niech pan przestanie - powiedział Pakistańczyk. - A jeśli ktoś wejdzie?

Milo oddał mu spis, a urzędnik schował go pod ladą.

- Jak długo tu pan pracuje?

- No... - zastanowił się Pakistańczyk, jakby zadano mu poważne, trudne pytanie. -

Dziesięć miesięcy.

- A więc nie spotkał się pan z nikim z Playa del Sol.

- Nie.



**- Kto pracował tu przed panem?**

**- Mój kuzyn.**

**- Gdzie on jest?**

**- W Kaszmirze.**

**Milo spojrział na niego złowrogo.**

**- To prawda - powiedział mężczyzna. - Miał już dosyć.**

**- Zachodniego Hollywood?**

**- Ameryki. Moralności.**

**Nie spytał, dlaczego Milo interesuje się Playa del Sol. Biorąc pod uwagę, jak podchodził do pracy, pewnie nauczył się nie okazywać ciekawości.**

**Milo podziękował, a urzędnik potarł kciuk i palec wskazujący.**

**- Mógłby pan okazać wdzięczność w inny sposób.**

**- Dobrze - powiedział Milo i skłonił się prawie do samej ziemi. - Bardzo, bardzo panu dziękuję.**

**Wychodząc usłyszał, jak mężczyzna mamrocze coś w języku, którego nie rozumiał.**

**Pojechał do mieszkania państwa Block na Cynthia Street, przedstawił się jako ankieter prowadzący spis ludności i pogawędził parę minut z chyba stuletnią Selmą Block, która wyglądała jak ubrany w niebieską sukienkę siwy skrzat, tak drobny i zgarbiony, że sam chyba zmieściłby się do jednej z pocztowych skrytek. Z tyłu, na zielonozłotej kanapie siedział pan Block, milczący, niemy, nieruchomy zabytek w podobnym wieku. Jedynym świadectwem jakiegokolwiek fizjologicznej aktywności tego człowieka było mokre i denerwujące pochrząkiwanie.**

**Przez te pięć minut Milo dowiedział się o Blockach więcej, niż chciał. Oboje**

pracowali w przemyśle filmowym - Selma jako charakteryzatorka w kilku większych studiach, Irwin jako księgowy w MGM. Ich troje dzieci mieszkało na wschodzie. Jedno było ortodontą, drugie weszło...

- ...w świat finansów i zostało republikaninem, a córka zajmuje się szyciem i tkaniem ręcznie wykańczanych...

- Czy to państwa jedyny adres, proszę pani? - zapytał Milo, udając, że wszystko to zapisuje, w rzeczywistości bazgrząc w notesie zygzaki. Pani Block i tak nie zauważyłaby różnicy. Czubek głowy wypadł jej sporo pod notesem.

- Och nie, kochanie. Mamy skrytkę pocztową przy "Zdrowej Żywności".

- Dlaczego, proszę pani?

- Bo lubimy się zdrowo odżywiać.

- Dlaczego macie państwo skrytkę?

Selma Block wpila małą, szponiastą dłoń w rękaw Milla, jak szykujący się do skoku kot.

- Polityka, kochany. Polityka.

- Och - powiedział Milo.

- Do jakiej partii należysz, kochany?

- Jestem niezależny.

- No cóż, kochany, my popieramy Zielonych. To dość wywrotowe, rozumiesz. -

Szponki wbily się jeszcze głębiej.

- Trzymacie państwo skrytkę na przesyłki Zielonych?

- Tak - powiedziała Selma Block. - Jesteś za młody, ale my pamiętamy, jak było.

- Jak było kiedy?

- Za starych czasów. Za faszystów i tej gnidy, McCarthy'ego.

Milo odmówił zostania na herbatę i ciastka, uciekł od państwa Block i zaczął jeździć bez celu po okolicy, zastanawiając się nad kolejnym ruchem.

Playa del Sol. Alex miał rację, to brzmiało jak coś związanego z nieruchomościami, więc może Cossackowie maczali w tym palce - przy pomocy wydziału.

**Zmowa. Znowu.**

Milo sprawdził wcześniej adres Cossack Development, znalazł go na Wilshire w Mid-City, ale zapomniał numeru - te dni już minęły - zadzwonił więc do informacji i dowiedział się, że firma ma siedzibę między Fairfax i La Brea.

Niebo pociemniało, ruch na ulicach przerzedził się i Milo dojechał na miejsce w niecałe dwadzieścia pięć minut.

Bracia Cossackowie umieścili swoją kwaterę główną w trzykondygnacyjnym, różowym, granitowym zikkuracie, zajmującym cały kwartał na wschód od Muzeum Sztuki. Ileś lat temu te tereny nie miały prawie żadnej wartości, były obrzeżami żałośnie nietrafnie nazwanej Cudownej Mili. W latach czterdziestych Mili była pierwszym w swoim rodzaju przedsięwzięciem budowlanym: ciągiem handlowym, nieciekawym z zewnątrz, ale za to wyposażonym w imponujące parkingi i wejścia od tyłu - kolejny symptom zauroczenia miasta samochodem. Dwadzieścia lat później ucieczka na zachód zamieniła centrum miasta w dzielnicę zaniedbanych budynków i tanich interesików - cudem było tylko to, że w ogóle jakaś część Mili przetrwała.

A potem kolejna odmiana losu - odnowa. Muzeum Sztuki - jako muzeum nie najciekawsze, ale na jego dziedzińcu urządzano darmowe koncerty, a Los Angeles nie miało dużych wymagań - wypączkowało inne muzea - lalek, sztuki ludowej i najważniejsze: motoryzacji. Pojawiły się wielkie lśniące biurowce. Jeśli Cossackowie

zainteresowali się tą okolicą odpowiednio wcześniej i byli właścicielami ziemi, na której stało różowe granitowe coś, musieli dobrze na tym wyjść.

Milo zaparkował w bocznej uliczce, wspiął się po szerokich śliskich granitowych schodach, mijając olbrzymi płytki basen z nieruchomą wodą, pełen drobnych monet i wszedł do holu. Po prawej biurko strażnika, ale bez strażnika. Połowa światel była wyłączona, a kroki niosły się echem po przypominającym jaskinię pomieszczeniu. Kompleks podzielony był na zachodnie i wschodnie skrzydło. Najemcami były w większości firmy działające w finansach i w show-biznesie. Cossack Industries zajmowało całe drugie piętro wschodniego skrzydła.

Milo wsiadł do windy, wyszedł z niej na pusty biały korytarz. Powitała go samotna, abstrakcyjna litografia - bezkształtna plama bieli i żółci, może genialne przedstawienie jajka na miękko. Po prawej zobaczył podwójne, również białe drzwi. Zamknięte. Ze środka nie dochodził żaden dźwięk.

Za jego plecami zamknęły się drzwi windy. Milo odwrócił się, nacisnął guzik przywołania i zaczął czekać, aż kabina wróci.

Wyszedł z powrotem na Wilshire i dalej przyglądał się budynkowi. W wielu oknach paliło się światło, w tym w kilku na drugim piętrze. Kilka tygodni temu zapowiedziano przerwy w dostawie prądu, zalecono oszczędność. Albo Cossackowie mieli to gdzieś, albo ktoś pracował do późna.

Milo obszedł róg, wrócił do samochodu, zmienił kierunek i zaparkował tak, by dobrze widzieć podziemny parking budynku. Starał się nie poddawać starym wspomnieniom: zmarnowane godziny, daremność wyczekiwania w zasadzce. Ale zasadzki były jak automaty w kasynach Vegas: raz na jakiś czas - długi czas - coś się wygrywało. To najlepsza droga do uzależnienia.

Dwadzieścia trzy minuty później metalowa brama garażu otworzyła się i wyjechało z niej poobijane subaru. Za kierownicą siedziała młoda czarna kobieta, rozmawiająca przez komórkę. Sześć minut potem: nowe bmw. Młody biały mężczyzna z nastroszonymi włosami, też gadający przez komórkę, niewiele brakowało, a zderzyłby się z jakimś dostawczakiem. Obaj kierowcy zwymyślali się i pokazali sobie środkowe palce. Dziś wieczór ulice były bezpieczne.

Milo poczekał jeszcze pół godziny. Już miał się zbierać, kiedy brama otworzyła się ponownie i wyjechał z niej grafitowy lincoln. Osobiste tablice rejestracyjne - CCCCCCC. Okna przyciemnione bardziej, niż zezwalały przepisy - nawet przednia szyba - poza tym jednak samochód wyglądał przyzwoicie i konserwatywnie.

Lincoln zatrzymał się na światłach przy Wilshire, potem skręcił na zachód. Ruch był na tyle gęsty, że Milo mógł jechać dwa samochody za nim, a jednocześnie dość płynny, by dało się śledzić lincolna bez przeszkód.

Doskonale. Ciekawe, co to da.

Jechał za szarą limuzyną około kilometra na zachód do San Vincente Boulevard, potem na północ do Melrose i znów na zachód do Robertson. Tam samochód zatrzymał się przed restauracją na rogu.

Matowe stalowe drzwi, taki sam szyld nad nimi, a na nim grubymi literami było wypisane:

*Sangre de Leon*

Nowy lokal. Ostatnim razem, kiedy Milo tu był, w tym miejscu znajdował się indonezyjsko-irlandzki bar. Przedtem jakieś wietnamskie bistro, prowadzone przez słynnego szefa kuchni z Bawarii i żyjące z gwiazd filmowych. Milo domyślał się, że klienci bistra nigdy nie służyli w wojsku.

Jeszcze wcześniej, przypomniał sobie, było tu co najmniej sześć modnych knajp w przeciągu tyluż lat. Każdy nowy właściciel urządzał wszystko od nowa, potem wielkie otwarcie, zwyczajowe peany w "L.A. Magazine" i "Buzz", parę miesięcy później plajta.

Pechowy róg. Tak samo jak lokal naprzeciwko - parterowy, bezkształtny budynek z bambusową fasadą, kiedyś restauracja z owocami morza, teraz tylko rudera z podjazdem zagrodzonym zardzewiałym łańcuchem i zabitymi deskami oknami.

Sangre de Leon. Lwia Krew. Smacznego. Milo mógłby się założyć, że nowy lokal przetrwa mniej więcej tyle, ile trwa atak niestrawności.

Znalazł ciemne miejsce do zaparkowania po drugiej stronie ulicy Robertson, ustawił się bokiem do restauracji i wyłączył światła. Zewnętrzny wystrój lokalu składał się z pozbawionych okien, wyłożonych stiukiem ścian i wiechci wysokiej kosmatej trawy, wyglądającej jak zwykle uschnięte zielsko. Przy wjeździe na parking uwijała się armia atrakcyjnych hostess w różowych kostiumach. Parking był raczej skromny - siedem mercedesów stojących na nim, zajmowało wszystkie miejsca.

Kierowca lincolna - wielki, nabity typ, prawie tak masywny, jak łowcy Georgiego Niemierowa - wyskoczył z samochodu i otworzył tylne drzwi. Ze środka jako pierwszy wysiadł barczysty mężczyzna o nalanej twarzy i rzednących włosach, wyglądający na czterdzieści parę lat. Milo od razu poznał w nim Garveya Cossacka. Facet przybrał na wadze od czasu swojego ostatniego zdjęcia w gazecie, ale oprócz tego niewiele się zmienił. Po nim pojawił się wyższy, wyglądający na łagodniejszego, typ z ogoloną na zero głową i długimi wąsami w stylu Franka Zappy - młodszy brat Bobo, bez przylizanej fryzury. Podstarzały cherlak bawi się w subkulturę? Łysa czaszka jako dumny symbol buntu? Tak czy inaczej, musiał lubić przeglądać się w lustrze.

Garvey Cossack miał na sobie ciemną sportową marynarkę z wypchanymi

ramionami, czarny golf i czarne spodnie. Na nogach białe sportowe buty - ot, co znaczy elegancja.

Bobo wbił się w przyciasną skórzaną kurtkę, przyciasne czarne džinsy i czarną koszulkę oraz za wysokie czarne buty. Na nosie miał czarne okulary. Wezwać pogotowie, mamy tu ciężki przypadek przedawkowania bycia *cool*.

Za nim z lincolna wysiadł trzeci mężczyzna. Wielki szofer pozwolił mu samemu zamknąć za sobą drzwi.

Numer trzy ubrany był tak, jak ubierają się w Los Angeles biznesmeni: ciemny garnitur, biała koszula, niewyróżniający się krawat, zwyczajne buty. Niższy od Cossacków, miał wąskie ramiona i chodził przygarbiony. Obwisła pomarszczona twarz, chociaż nie wyglądał na starszego od nich. Nieduże owalne okulary i spadające na kołnierz długie jasne włosy klóciły się z wyglądem korporacyjnego trybiku. Czubek głowy miał zupełnie łysy.

Okularnik puścił Cossacków przodem. Garvey szedł człapiącym krokiem platfusa, Bobo sprężyście i dziarsko, kiwając głową jakby w takt jakiejś melodii. Szofer wrócił do samochodu i zaczął cofać, a Okularnik wyminął dziewczyny, ignorując ich pełne wyczekiwania uśmiechy. Lincoln zawrócił na Robertson, odjechał przecnicę na południe, zatrzymał się przy krawężniku i zgasił światła.

Okularnik stał jeszcze przez chwilę przed wejściem, rozglądając się dookoła, ale nie przyglądając niczemu w szczególności. Patrzył wprost na taurusa, ale Milo nie zauważył, żeby go cokolwiek zaniepokoiło. Nie, był po prostu naładowany energią - zaciskał dłonie, kręcił głową i wykrzywiał usta, a szkła jego okularów odbijały światła latarni jak dwa odblaskowe jajka.

Milo pomyślał, że facet wygląda jak lewy księgowy przed kontrolą skarbową. W

końcu Okularnik poprawił kołnierz, poruszył barkami i poszedł zakosztować rozkoszy  
lwiej hemoglobiny.

W ciągu następnych trzydziestu siedmiu minut nie przyjechał żaden gość. Kiedy  
jedna z bezskutecznie czekających na napiwki hostess wyszła na chodnik i zapaliła  
papierosa, Milo wysiadł z samochodu i przebiegł przez jezdnię.

Dziewczyna była prześliczna. Drobna, miała rude włosy i oczy tak intensywnie  
błękitne, że było je widać nawet w ciemności. Może miała dwadzieścia lat. Zauważyła  
podchodzącego Mila, ale nie rzuciła papierosa - czarnego, ze złotą końcówką.

Shermany? Jeszcze je produkują?

Spojrzała na Mila, kiedy stanął metr przed nią i uśmiechnęła się przez kłęb  
dymu.

Uśmiechnęła się, bo Milo trzymał w garści łapówkę. Dwie dwudziestki, wsparte  
historią o wolnym strzelcu, piszącym duży artykuł. Czterdzieści dolarów to było dwa  
razy tyle, ile zapłacił Pakistańczykowi w agencji pocztowej, ale hostessa - na  
identyfikatorze miała wypisane imię Val - była od niego o wiele sympatyczniejsza. I, jak  
się okazało, dużo przystępniejsza.

Dziesięć minut później Milo siedział z powrotem w wozie, mijając lincolna.

Olbrzymi szofer drzemał z otwartymi ustami. Był ogolonym na łyso Latynosem. Ruda  
dziewczyna wyjaśniła, kim jest Okularnik.

- To Brad. Pracuje z panem Cossackiem i jego bratem.

- Panem Cossackiem?

- Panem Garveyem Cossackiem. I jego bratem. - Niebieskookie spojrzenie na

restaurację. - Jest współwłaścicielem tego lokalu, razem z... - Tu padł szereg nazwisk  
słynnych osobistości. Milo udawał, że zrobiło to na nim wrażenie.



- Muszą tu mieć tłumy gości.

- Mieli, po otwarciu.

- Teraz już nie, co?

- Wie pan - powiedziała, przewracając oczami.

- Jak jedzenie?

Parkingowa piękność uśmiechnęła się, zaciągnęła papierosem i pokręciła głową.

- Skąd mam wiedzieć? Jedna porcja kosztuje ze stówę. Może jak dostanę pierwszą dużą rolę.

W jej śmiechu słychać było pogardę.

- Może kiedy świnię zaczną latać - dodała. Taka młoda, a już taka cyniczna.

- Takie jest Hollywood - powiedział Milo.

- Właśnie. - Val znów się obejrzała. Pozostałe dziewczyny kręciły się bezczynnie, kilka innych też paliło. Pewnie chcą w ten sposób schudnąć, pomyślał Milo. Każda z nich nadawałaby się na modelkę.

Val ściszyła głos do szeptu.

- Prawdę mówiąc, słyszałam, że jedzenie jest do dupy.

- Nazwa też nie najlepsza. Lwia Krew.

- Fu. Obrzydliwe, prawda?

- Co to za kuchnia?

- Chyba etiopska. Albo jakaś afrykańska. Może też latynoska, nie wiem, może

kubańska? Czasami gra tam zespół i stąd brzmi to jak coś kubańskiego. - Poruszyła biodrami i pstryknęła palcami. - Słyszałam, że długo nie wytrzyma.

- Kubańska muzyka?

- Nie, głuptasie. Ten lokal.

- Czas poszukać sobie nowego zajęcia? - spytał Milo.

- Nie ma problemu, zawsze są jeszcze bar micwa. - Zgasła papierosa. - Nie

pracuje pan przypadkiem dla "Variety", prawda? Albo "The Hollywood Reporter"?

- Głównie siedzę w śledztwach dziennikarskich.

- Ktoś interesuje się restauracją?

Milo wzruszył ramionami.

- Jeżdżę, patrzę. Jak się chce znaleźć ropę, to trzeba kopać.

Dziewczyna spojrzała na taurusa i uśmiechnęła się współczująco. Jeszcze jeden przegrany.

- No, jeśli zdarzy się panu robić coś dla "Variety", niech pan zapamięta to nazwisko: Chataqua Dale.

Milo powtórzył.

- Ładnie. Ale Val też mi się podoba.

W niebieskich oczach mignęło zwątpienie.

- Naprawdę pan tak uważa? Bo zastanawiałam się, czy Chataqua nie brzmi przypadkiem... wie pan, czy to nie przesada.

- Nie - powiedział Milo.- Brzmi świetnie.

- Dzięki. - Dotknęła jego ramienia, rzuciła niedopalek na chodnik i przydeptała go z rozmarzonym wyrazem twarzy. Gorączka przesłuchaniowa.

- No, muszę lecieć.

- Dzięki - powiedział Milo, sięgając do kieszeni i podając jej jeszcze jedną dwudziestkę.

- Ależ pan jest miły - powiedziała.

- Nie zawsze.

**- Och, na pewno zawsze. Niech mi pan powie, spotyka pan różnych ludzi, prawda? Zna pan jakiegoś przyzwoitego agenta? Bo mój to kawał dupka.**

**- Tylko agentów zniszczenia.**

**Przez chwilę zdziwienie nadało pięknej młodej twarzy wyraz zagubienia. Potem odezwał się instynkt aktorski: wciąż nie rozumiejąc, ale rozpoznając żart, dziewczyna uśmiechnęła się i jeszcze raz dotknęła ramienia Mila.**

**- Jasne. Do zobaczenia.**

**- Cześć - powiedział Milo. - A przy okazji, czym zajmuje się Brad?**

**- Chodzi za nimi.**

**- Facet od chodzenia.**

**- Właśnie - oni wszyscy ich potrzebują.**

**- Goście z Hollywood?**

**- Bogaci goście z obleśnymi ciałami.**

**- Wie pani, jak Brad ma na nazwisko?**

**- Larner. Brad Larner. To palant.**

**- Jak to?**

**- Po prostu palant - powiedziała Val. - Niesympatyczny, nie uśmiecha się, nie daje napiwków. Palant.**

**Milo przejechał dwie przecznice do Santa Monica Boulevard, skręcił w prawo i wrócił na Melrose, tym razem podjeżdżając do rogu od wschodu i parkując przed zabita deskami, chińską restauracją. Resztę ulicy zajmowały galerie sztuki, wszystkie pozamykane. Było cicho i spokojnie. Milo wysiadł, przeszedł nad ciężkim łańcuchem, zagrządzającym wjazd na parking chińskiej restauracji - ze szczelin w popękany betonie zaczynały wyrastać chwasty, wszędzie leżały zaschnięte psie gówna - i znalazł**

sobie dogodny punkt obserwacyjny za jednym ze słupów ogrodzenia. Zaczaił się tam, przyglądając się z bliska ponuremu obrazowi upadku: czarna farba odłaziła całymi płatami, bambus popękał.

Jeszcze jedno marzenie w gruzach. Podobało mu się to.

Nie miał gdzie usiąść, więc stał dobrze ukryty i patrzył, jak przez długi czas przed Sangre de Leon nic się nie dzieje. Zaczęły go boleć plecy i kolana, a przeciąganie się i przykucanie tylko pogarszały sprawę. W ostatnie święta Bożego Narodzenia Rick kupił automatyczną bieżnię. Wstawił ją do wolnego pokoju i biegał każdego ranka o piątej. W zeszłym miesiącu zasugerował, że Milo też mógłby zacząć ćwiczyć. Milo nie spierał się, ale też i nie zgodził. Rano do niczego się nie nadawał, najczęściej udawał, że śpi, kiedy Rick wychodził do pracy.

Sprawdził czas na zegarku. Cossackowie i Brad "Palant" Larner siedzieli w środku już ponad godzinę, a jak dotąd nie pojawili się żadni inni goście.

Larner był bez wątpienia synem dyrektora Achievement House. Synem zbroceńca. Kolejne ogniwo między rodzinami. Tata zamknął stukniętą Caroline w Achievement House, kupił pracę sobie i synkowi.

Koneksje i pieniądze. I co z tego? Tak samo wybiera się prezydentów. Jeśli gdzieś w tym było coś, co prowadziło do Janie Ingalls, Milo tego nie widział. Ale wiedział - instynktownie przeczuwał - że to miało znaczenie. Że wymuszona emerytura Pierce'a Schwinna i jego własne przeniesienie do zachodniego Los Angeles wynikały z czegoś więcej niż igraszek Schwinna z dziwkami.

Dwudziestoletnia zmowa, John G. Broussard odwała brudną robotę.

Schwinn nie puścił pary z gęby przez dwadzieścia lat, wklejał zdjęcia do albumu, w końcu postanowił przerwać milczenie.

**Dlaczego teraz?**

**Może dlatego, że Broussard zaszedł na sam szczyt, a Schwinn chciał, żeby zemsta była jak najślodsza.**

**Wykorzystał Mila do brudnej roboty...**

**A potem spadł z łagodnego konia...**

**Z rozważań wyrwał go blask zbliżających się od Robertson światel. Dwie pary reflektorów - dwa samochody podjeżdżały do skrzyżowania z Melrose. Sygnalizator zaświecił się na żółto, pierwszy Samochód przejechał zgodnie z przepisami, drugi przeskoczył na czerwonym.**

**Oba zatrzymały się przed Sangre de Leon.**

**Numer jeden to skromny czarny mercedes coupe - niespodzianka! - którego numery Milo szybko sobie zapisał. Ze środka wysiadł kierowca, kolejny biznesmen w garniturze, tak szybko, że różowe dziewczyny nie zdążyły otworzyć mu drzwi. I tak jednak podał banknot najbliższej, pozwalając Milowi dobrze się sobie przyjrzeć.**

**Starszy facet. Około siedemdziesiątki, łysiejący, z rzadką siwą zaczeską, w beżowym garniturze, białej koszuli i ciemnym krawacie. Średniego wzrostu, średniej budowy, gładko ogolony, miał obwisłe policzki i skórę na szyi. Twarz bez wyrazu. Milo był ciekaw, czy to Larner ojciec, czy tylko zwykły gość, który przyjechał zjeść kolację. Jeśli jednak tak było, na pewno nie miał jej jeść samotnie. Pasażerowie drugiego samochodu prawie się pobili, żeby jak najszybciej znaleźć się obok niego.**

**Numer dwa, również czarny, nie był wytworem niemieckiej myśli inżynierskiej.**

**Wielki, ciężki crown victoria, staromodnie duży. Ostatnimi czasy Milo widywał te modele jedynie w biurach rządowych, ale ten nie miał stanowych tablic. Z drugiej strony, mnóstwo nieoznakowanych wozów policyjnych też nie miało i przez chwilę Milo**

**zastanawiał się, czy to nie szyszki z wydziału. Poczul się, jakby nagle wszystko szło mu na rękę: mógł udokumentować spotkanie szefów z Cossackami i dlaczego, do cholery, zapomniał zabrać aparatu?**

**Ale kiedy pierwszy z pasażerów odwrócił się tak, że Milo mógł zobaczyć jego twarz, okazało się, że to zupełnie inna historia.**

**Pociągła, ciemna, jaszczurcza twarz pod czarną, elvisowską grzywą.**

**Radny miejski Eduardo “Ed Zarazek” Bacilla, oficjalny reprezentant okręgu, w którego skład wchodziła spora część Centrum. Ten od brzydkich nawyków osobistych i równie nieładnych zawodowych - Bacilla pojawiał się może na jednym na pięć posiedzeń rady miasta, a kilka lat temu został zatrzymany w Boyle Heights, kiedy próbował kupić kokę od policyjnego prowokatora. Pospiesznie przeprowadzone negocjacje z biurem prokuratora okręgowego zakończyły się drakońską karą - nakazem publicznych przeprosin i odpracowania dwóch miesięcy przy usuwaniu graffiti ze ścian. Bacilla znalazł się wtedy ramię w ramię z młodocianymi gangsterami, których wysyłał na fundowane z pieniędzy miasta programy rehabilitacyjne. Brak wyroku skazującego oznaczał, że mógł zachować fotel radnego, a wysiłki, które jeden z jego lewicujących kolegów podjął, by go odwołać, spełzły na niczym.**

**A teraz stary, dobry Zarazek podlizywał się Beżowemu.**

**Pasażer numer dwa, co za niespodzianka: kolejny filar obywatelskiej praworządności.**

**Zarzucił rękę na ramię Beżowego i śmiał się z czegoś. Beżowy nie zmienił wyrazu twarzy.**

**Pan Jowialny był starszy, w wieku Beżowego, miał posiwiałe skronie i krzaczaste siwe wąsy, zakrywające górną wargę. Wysoki i wąski w ramionach, o cebulowatej**

**sylwetce, której nie dało się poprawić dobrze skrojonym garniturem, miał w oczach lodowaty spryt zapędzonego w róg szczura.**

**Radny miejski James “Diamentowy Jim” Horne. Ten od korupcji i byłych żon, pieniędzmi nakłonionych do milczenia, za dawnych, dobrych czasów, kiedy przemoc w rodzinie nazywała się jeszcze biciem żony.**

**Milo słyszał plotki, przekazywane pocztą pantoflową w policji, że Horne był zatwardziałym, niebezpiecznym damskim bokserem, ze skłonnościami do bicia, tak by nie zostawiać śladów. Podobnie jak Zarazkowi, Diamentowemu Jimowi zawsze udawało się wykręcić od aresztowania i wyroku. Przez ponad trzydzieści lat reprezentował okręg sąsiadujący z okręgiem Bacilli, północno-środkową część miasta, składającą się z tanich domków i mieszkań o niskim standardzie. Złożony niegdyś z pracujących białych elektorat Horne’a teraz w siedemdziesięciu procentach stanowili Latynosi - radny doświadczył spadku popularności. Z dziewięćdziesięciu na siedemdziesiąt procent. Kilku rywalom o nazwiskach kończących się na “ez” nie udało się go pokonać. Skorumpowany stary drań ponaprawiał drogi w całym okręgu. I nie tylko drogi.**

**Zarazek i Diamentowy Jim, ramię w ramię z Beżowym, szli w stronę stalowych drzwi Sangre de Leon.**

**Milo wrócił do taurusa i używając numeru identyfikacyjnego detektywa z obyczajówki z Pacific, którego nie znosił, zdobył nazwisko właściciela czarnego mercedesa.**

**Spodziewał się podświadomie kolejnej korporacyjnej fikcji, ale okazało się, że czteroletni mercedes należy do prawdziwej, istniejącej osoby:**

**W.E. Obey.**

**Kwartal 300 przy Muirfield Road w Hancock Park.**

**Walter Obey. Ten od miliardowej fortuny.**

**Teoretycznie Walt Obey działał w tej samej branży, co Gossackowie:**

**betonowanie, zbrojenie, drewno, tynkowanie. Ale w praktyce znajdował się w zupełnie innej galaktyce. Pięćdziesiąt lat temu Obey Construction zaczęło wznosić domy dla wracających z wojny żołnierzy. Firma była prawdopodobnie odpowiedzialna za dziesięć procent dróg, wijących się równoległe do autostrad i obejmujących pajęczą siecią przyduszoną smogiem dolinę, którą Indianie Chumash nazywali kiedyś Doliną Dymu.**

**Walt Obey i jego żona Barbara zasiadali w zarządzie każdego muzeum, szpitala i organizacji obywatelskiej, które cokolwiek znaczyły w niepewnym sobie światku, znanym jako "wyższe sfery" Los Angeles.**

**Walt Obey był też wzorem przyzwoitości - panem Porządnym w branży, w której świętych było raczej niewielu.**

**Musiał mieć co najmniej osiemdziesiąt lat, ale wyglądał o wiele młodziej. Dobre geny? Zdrowy tryb życia?**

**A teraz jadł kolację z Zarazkiem i Diamentowym Jimem.**

**Cossackowie i Brad Larner siedzieli w środku od godziny. Nic dziwnego, to była ich restauracja. Mimo to Milo wciąż zachodził w głowę: mieli stół na trzy czy na sześć osób?**

**Informacja podała mu numer Sangre de Leon. Zadzwoił do restauracji. Po pięciu dzwonekach usłyszał znudzony głos, mówiący ze środkowoeuropejskim akcentem.**

**- Tak?**

**- Dzwonię z biura pana Waltera Obeya. Mam wiadomość dla pana Obeya. Jest u państwa na kolacji z panami Cossackami, myślę, że siedzą w prywatnej sali...**

**- Tak, zgadza się. Zaniosę mu telefon. - Chęć przysłużenia się wyparła nudo.**



**Milo rozłączył się.**

**Pojechał do domu, starając się wszystko razem poukładać. Cossackowie, Walt Obey i dwaj radni miejscy na wspólnej wyżerce. Razem z nimi Brad Lerner, jako chłopiec na posyłki, a może namiastka swojego ojca? Alex wspominał, że Cossackowie próbowali ściągnąć z powrotem do Los Angeles drużynę futbolową, może na nowo otworzyć Coliseum. Plan się nie powiódł, jak prawie wszystko, czego się tknęli - filmy, wyburzanie zabytków. Cossackowie byli nieudacznikami, a mimo to udało im się ściągnąć Walta Obeya z Hancock Park do zachodniego Hollywood.**

**Cossackowie w lincolnie z szoferem, z osobistymi numerami - wszystko to razem krzyczało o nowych pieniądzach. Ale Obey, człowiek z prawdziwą fortuną, przyjechał sam, anonimowym czteroletnim sedanem. Miliarder do tego stopnia nie rzucił się w oczy, że można go było wziąć za zamożniejszego księgowego.**

**Co połączyło chamstwo i wyższe sfery przy jednym stole? Coś dużego. Coliseum leżało w okręgu Zarazka Bacilli, zaraz obok urzędował Diamentowy Jim Horne. Czy chodziło tu o jeden z tych skomplikowanych układów, które zawsze w jakiś sposób omijały przepisy i wszystko to, co stało im na drodze? A może o to, żeby podatnicy wykładali pieniądze na zaspokojenie zachcianek bogaczy? O coś, co mogło nie wypalić, gdyby ktoś rozgrzebał sprawę morderstwa sprzed dwudziestu lat i wyciągnął na światło dzienne rolę, jaką Cossackowie odegrali w zniknięciu ich siostry-wariatki i ćpuna-mordercy, Williego Burnsa?**

**Dlaczego Georgie Niemierow aż tak się zdenerwował?**

**Jedynym tropem, łączącym go z całą sprawą, był wydział.**

**A wydział sprawdzał urlop Mila i być może nasyłał na niego Bartletta, żeby go nastraszyć.**

**Opiekun zdrowotny. Czyli co? Uważaj, żeby nie podupać na zdrowiu?**

**Nagle Milo sam zapragnął przyprawić kogoś o śmiertelną chorobę.**

**Kiedy zajechał przed dom, białe porsche stało zaparkowane pod garażem. Na desce rozdzielczej migła czerwona dioda alarmu, kierownica unieruchomiona była specjalną blokadą. Rick kochał ten samochód i dbał o niego tak samo, jak o wszystko inne.**

**Milo zastał go przy kuchennym stole. Rick nie zdążył się nawet przebrać, jadł podgrzaną, wczorajszą chińszczyznę. Obok jego talerza stał kieliszek czerwonego wina. Zobaczył Miła i pomachał mu słabo. Uścisnęli się krótko.**

**- Pracowałeś do późna? - spytał Rick.**

**- Jak zwykle. Jak ci minął dzień?**

**- Jak zwykle.**

**- Bohaterskie wyczyny?**

**- Raczej nie. - Rick wskazał krzesło po drugiej stronie stołu. Jego ostatnie ciemne włosy posiwiały zeszłego lata, a wąsy wyglądały jak srebrna szczoteczka do zębów.**

**Mimo, że był lekarzem i wiedział, czym to grozi, lubił się opalać w ogrodzie i jego skóra wciąż zachowywała letni kolor. Wyglądał na zmęczonego. Milo siadł naprzeciw niego i zaczął podskubywać kurczaka w pomarańczach.**

**- W lodówce jest więcej - powiedział Rick. - Krokiety z jajkiem i cała reszta.**

**- Nie, wolę podjadać twoje.**

**Rick uśmiechnął się ze zmęczeniem.**

**- Ciężki dyżur? - spytał Milo.**

**- Nieszczęśliwie. Kilka ataków serca, kilka fałszywych alarmów, dzieciak ze złamaną nogą po upadku na hulajnodze, pacjent z rakiem okrężnicy i ciężkim**

krwotokiem wewnętrznym, który zajął nam sporo czasu, kobieta z igłą w oku, dwa wypadki samochodowe, jeden przypadkowy postrzał... tego nie odratowaliśmy.

- Szara codzienność.

- Właśnie. - Rick odsunął talerz. - Jedna rzecz. Ten postrzał trafił mi się na sam koniec dyżuru. Nie mogłem nic zrobić dla tego biedaka, przyjechał już sztywny, nawet nie pisnął. Wygląda na to, że czyścił pistolet, spojrzął w lufę, może sprawdzał, czy jest czysta i bum. Policjanci, którzy z nim przyjechali, mówili, że znaleźli oliwę do broni, szmaty i wycior na stoliku obok. Pocisk wszedł tutaj. - Rick dotknął środka swoich wąsów, pod samym nosem.

- Wypadek? - spytał Milo. - Nie samobójstwo? Ani nic innego?

- Policjanci mówili, że to wypadek, może znali jakieś szczegóły. Sprawa pójdzie do koronera.

- Ludzie szeryfa? - spytał Milo.

- Nie, wasi. To się stało niedaleko Venice i Highland. Ale nie o tym chciałem ci powiedzieć. Ciało pojechało do kostnicy, ja wróciłem po kartę, a policjanci, którzy tego biedaka przywieźli, stali tuż za drzwiami i słyszałem, o czym rozmawiają. Mówili o emeryturach, zwolnieniach chorobowych i zasiłkach. A potem jeden powiedział coś o detektywie z zachodniego Los Angeles, który miał pozytywny wynik badania na HIV i został wysłany na emeryturę. Drugi powiedział; "No, co się odwlecze, to nie uciecze" i obaj się roześmiali. Nie wesoło. Złośliwie.

Rick zaczął obracać w palcach paleczkę. Spojrzął Milowi w oczy. Dotknął jego dłoni.

- Nic o tym nie słyszałem - powiedział Milo.

- Wiem, że nie słyszałeś, przecież byś mi powiedział.

**Milo cofnął rękę, wstał i wziął sobie piwo.**

**Rick dalej siedział przy stole, dalej bawił się pałeczką. Zręcznie, precyzyjnie, z chirurgiczną gracją.**

**- To jakaś bzdura - powiedział Milo. - Wiedziałbym o tym.**

**- Pomyślałem, że będziesz chciał o tym wiedzieć.**

**- Highland i Venice. Co, do cholery, Wilshire może wiedzieć o zachodnim Los Angeles? Co, do cholery, stójkowi mogą wiedzieć o detektywach?**

**- Pewnie nic... Miśku, czy powinienem o czymś wiedzieć? Wpakowałeś się w jakieś kłopoty?**

**- Dlaczego? Co to ma wspólnego ze mną? - Milowi nie podobał się obronny ton własnego głosu. Pieprzony magiel, myślał, plotka za plotką. A potem: opiekun zdrowotny. Nigdy nie wiadomo...**

**- W porządku - powiedział Rick i zaczął wstawać.**

**- Zaczekaj - powstrzymał go Milo. Podeszedł, położył mu ręce na ramionach i wszystko opowiedział.**

Siadłem do komputera, wpisałem hasło “Paris Bartlett” do kilku wyszukiwarek internetowych i nic nie znalazłem.

Potem spróbowałem “Playa del Sol” i tłumaczenia na angielski, “Sun Beach”, Słoneczna Plaża. Wyświetliły mi się setki linków do stron ośrodków wypoczynkowych na całym świecie: Costa del Sol, Costa del Amor, Playa Negra, Playa Blanca, Playa Azul, Sun City, Sunrise Beach. Pakiety wycieczek, biały piasek, błękitna woda, tylko dorośli, przywieź swoje dzieci ze sobą. Poza tym ktoś poświęcił swoją stronę starej piosence *Quando Caliente El Sol*. O, radości wieku informacji...

Siedziałem nad tym przez kilka godzin, potem przestałem cokolwiek widzieć i o północy zrobiłem sobie przerwę na kanapkę, piwo i prysznic. O drugiej w nocy walczyłem już ze snem i niemal przeoczyłem artykuł sprzed trzech lat, zamieszczony w “The Resort Journal”, a wyświetlony po kolejnej próbie znalezienia czegoś o Playa del Sol. Tym razem załogowałem się do płatnego serwisu - biznesowej bazy danych, z której nie korzystałem od zeszłej jesieni, kiedy zastanawiałem się nad sprzedażą dużej liczby miejskich obligacji. Kliknąłem na okno zgody na obciążenie mojej karty kredytowej i wszedłem dalej.

Przed moimi oczami wyświetlił się artykuł z ostatniej strony magazynu, zatytułowany *W poszukiwaniu lepszego życia na dalekich brzegach: Amerykanie szukający okazji za granicą często tracą podwójnie*. W artykule wymieniono kilka transakcji nieruchomościami, które źle się skończyły, między innymi projekt budowlany na Baja o nazwie Playa del Sol - bloki o wysokim standardzie, przeznaczone dla amerykańskich emerytów, którzy chcieli żyć w amerykańskim luksusie po meksykańskich cenach. Z

**zaplanowanych czterystu pięćdziesięciu mieszkań wybudowano i sprzedano dwieście.**

**Pierwsza fala emerytów jeszcze się nie wprowadziła, kiedy meksykański rząd powołał się na dopisany drobnym drukiem aneks do nikomu nieznanego przepisu, skonfiskował ziemię i sprzedał ją konsorcjum z Arabii Saudyjskiej, które zamieniło osiedle w hotel.**

**Playa del Sol Company, Ltd., zarejestrowana na Kajmanach, rozwiązała się, a jej amerykańska filia, Playa Enterprises ogłosiła upadłość. Emerycy stracili swoje pieniądze.**

**Prezes zarządu Playa Enterprises, Michael Larner, nie wygłosił komentarza.**

**Przypomniawszy sobie zdawkowe wzmianki o biznesowych czasopismach, które znalazłem, kiedy po raz pierwszy szukałem czegoś o Larnerze - pismach, których biblioteka nie miała w swoich zbiorach - zacząłem jeszcze raz szukać czegokolwiek, co dotyczyłoby byłego dyrektora Achievement House i trafiłem na kilka innych przedsięwzięć, którymi zajmował się w ciągu ostatnich pięciu lat.**

**Specjalnością Larnera był obrót nieruchomościami: zbieranie ludzi z pieniędzmi, żeby wykupywali rozpoczęte projekty budowlane, które z jakichś przyczyn popadły w kłopoty. Ekskluzywne apartamenty w Atlancie, zamknięte kluby w Kolorado i Nowym Meksyku, ośrodek narciarski w Vermont, pola golfowe w Arizonie. Kiedy syndykat zaczął działać, Larner inkasował swoją działkę i zniknął.**

**Wszystkie artykuły na ten temat brzmiały jak opłacone reklamówki. W żadnym nie wspomniano o fiasku w Meksyku, Playa Enterprises czy Playa del Sol Company, Ltd. Teraźniejszością Larnera było ML Group.**

**Nie znalazłem też żadnej wzmianki o braciach Cossack ani o innych współnikach Larnera, chociaż artykuły napomykały o związkach przedsiębiorcy z showbiznesem i Wall Street. Jedynym wymienionym z nazwiska członkiem ML był syn Larnera, Bradley, wiceprezes wykonawczy.**

Uruchomiłem jeszcze raz wszystkie wyszukiwarki, tym razem jako hasło wpisując “ML Group” i trafiłem na te same artykuły, plus jeszcze jeden, pochodzący sprzed dwóch lat, pochlebny w tonie wywiad w drukowanym na kredowym papierze w szmatławcu pod tytułem “Southwest Leisure Builder”.

Na środku tekstu zamieszczono kolorowe zdjęcie: Larnerowie, ojciec i syn, pozujący w słoneczny dzień w Phoenix, obaj ubrani w takie same niebieskie koszulki polo i białe płócienne spodnie, z takimi samymi, promiennymi uśmiechami.

Michael Larner wyglądał na około sześćdziesiąt pięć lat. Miał kwadratową rumianą twarz, oczy schowane za dużymi lotniczymi okularami w metalowych oprawkach, odbijającymi arizońskie słońce. Uśmiechał się z zadowoleniem, pokazując duże zęby z koronami. Miał nos alkoholika, duży brzuch i starannie uczesane, siwe włosy. Agent od castingów z miejsca zaproponowałby mu rolę prezesa zarządu dużej firmy.

Bradley Larner był szczuplejszy, niższy i bledszy od ojca - właściwie prawie wcale go nie przypominał. Liczył około trzydziestu paru, może czterdziestu lat, również nosił okulary, ale upodobał sobie małe owalne szkła w złotych ramkach, ledwie zakrywające tęczę oczu. Jasne włosy, z góry skazane na siwiznę, nosił długie, spadające na ramiona. Uśmiechał się mniej entuzjastycznie. Prawie wcale, chociaż z artykułu wynikało, że Larnerowie są na samym szczycie fali koniunktury w handlu nieruchomościami.

Bradley Larner wyglądał jak dzieciak, zmuszony do pozowania do jeszcze jednego nikomu niepotrzebnego rodzinnego zdjęcia.

Fotografia na następnej stronie ukazywała Michaela Larnera w kremowym garniturze, niebieskiej koszuli i różowym krawacie, stojącego obok białego rolls-royce’a

silver spirit. Po prawej stronie na złotym harleyu siedział Brad Larner, odziany w czarne skóry.

Podpis głosił:

*Dwa różne pokolenia, ale to samo zamięrowanie do szybkości.*

Link do Playa del Sol oznaczał, że "Paris Bartlett" został prawdopodobnie nasłany na Mila przez Larnerów.

Miał odstraszyć go z tropu Caroline Cossack.

Bo wspólne interesy Cossacków i Larnerów zaczęły się już dawno temu.

Obie rodziny łączyło coś jeszcze - duże przedsięwzięcia, które często kończyły się fiaskiem. Ale jedni i drudzy utrzymywali się jakoś na szczycie i nie mieli powodów do narzekań.

W przypadku Cossacków rolę awaryjnego spadochronu mogła spełniać odziedziczona fortuna. Michael Larner z kolei przeskakiwał od zajęcia do zajęcia od branży do branży, zostawiając za sobą szlak skandali i bankructw, ale za każdym razem ustawiając się w jakiś sposób o oczko wyżej.

Ten uśmiech, zęby białe i błyszczące jak jego rolls-royce. Był zdecydowany na wszystko? A może miał przyjaciół na właściwych stanowiskach? A może jedno i drugie?

Kiedy Larner nagiął zasady i przyjął Caroline Cossack do Achievement House, jej bracia byli ledwie pełnoletni, ale już działali w nieruchomościach. Larner mógł początkowo dogadywać się z Garveyem Cossackiem seniorem, ale jego związek z Cossackami przetrwał śmierć seniora i Larner zaczął współpracować z ludźmi o dwadzieścia pięć lat młodszymi od siebie. Potem przyszło mi do głowy jeszcze coś:

Bradley Larner był mniej więcej w tym samym wieku, co bracia Caroline. Czyżby to też oznaczało, że coś ich łączyło? Coś więcej niż tylko interesy?



**Szukając danych o Caroline w szkołach, Milo nie zaszedł zbyt daleko, ponieważ wszyscy bali się sądu, oglądali seriale w telewizji i uważali, że policjant bez nakazu nie może zrobić.**

**Może też dlatego, że problemy Caroline nie pozwoliły jej zaznać zbyt wiele szkolnego życia. Możliwe jednak, że w przypadku jej braci sprawa będzie łatwiejsza.**

**Następnego dnia od rana siedziałem w bibliotece i przeglądałem Who's Who. Nie wymieniono w nim ani Boba Cossacka, ani Bradleya Larnera, za to na biografii zasłużył sobie Garvey Cossack - pojedynczy, napuszony akapit, zawierający w większości to, czego dowiedziałem się już z sieci.**

**Wśród paplaniny o interesach znajdowała się historia jego wykształcenia. Garvey miał za sobą dwa lata studiów na uniwersytecie stanowym Northridge, ale nie ukończył ich. Może dlatego w biografii wymieniono jego liceum oraz fakt, że w maturalnej klasie był skarbnikiem samorządu uczniowskiego.**

**Uniwerek.**

**Sprawdziłem katalog podręczny i okazało się, że biblioteka ma w podręcznym zbiorze księgi roczników lokalnych szkół z trzydziestu ostatnich lat. Uniwerek był jak najbardziej lokalny.**

**Nietrudno było znaleźć odpowiedni tom. Ocenilem w przybliżeniu wiek Garveya i trafiłem za drugim razem.**

**Zdjęcie maturalne przedstawiało obsypanego trądzikiem osiemnastolatka o nalanej twarzy i długich falujących włosach, ubranego w jasny golf. Między tłustym podbródkiem a skrajem golfu widać było naszyjnik z muszli. Garvey uśmiechał się złośliwie.**

**Podpis wymieniał członkostwo Business Clubu, "zarządu" drużyny futbolowej i**

**czegoś o nazwie Ludzie Króla, za to nie wspominał nic o stanowisku skarbnika. Według strony Rady Uczniów skarbnikiem była wtedy dziewczyna o nazwisku Sarah Buckley. Przejrzałem trzy poprzednie księgi roczników i okazało się, że Garvey Cossack nigdy nie był w uczniowskim samorządzie.**

**Drobne ubarwienie, jak na milionera w średnim wieku - przez to sprawa robiła się jeszcze bardziej interesująca.**

**Zdjęcie Roberta "Bobo" Cossacka znalazłem w roczniku poprzedniej klasy. Do zdjęcia ubrał się w czarną koszulę z postawionym kołnierzem i założył gruby łańcuch. Końska fizjonomia, włosy ciemniejsze i jeszcze dłuższe niż u brata, jeszcze gorsza cera. Bobo miał ponury wyraz twarzy i na wpół przymknięte oczy. Był zaspany albo naćpany - albo chciał na takiego wyglądać. Jego wysiłki zmierzające do zapuszczenia wąsów i brody, zaowocowały ciemnymi klaczkami na brodzie i kilkoma pajęczymi kosmykami nad górną wargą.**

**Pod zdjęciem wymienieni byli tylko Ludzie Króla.**

**Do tej samej klasy chodził chudy Bradley Larner, na zdjęciu w barwionych lotniczych okularach, rozpiętej koszuli i z tlenioną surferską grzywą, zasłaniającą mu pół twarzy. Widoczna druga połowa była tak samo ponura, jak Bobo Cossacka.**

**Jeszcze jeden Człowiek Króla.**

**Przeszukałem album, szukając wzmianki o tym klubie, znalazłem go w spisie szkolnych organizacji, ale bez opisu. W końcu, w entuzjastycznym sprawozdaniu z jakiegoś meczu pojawiła się wzmianka o "hulankach, picciu (i innych dobrych rzeczach)" w wykonaniu Ludzi Króla.**

**Zdjęcie obok ukazywało sześciu chłopaków na plaży, ubranych w spodenki kąpielowe i pasiaste koszulki, wyglupiających się do obiektywu, szczerzących,**

zezujących i robiących sobie nawzajem różki z palców. Puszki piwa, które trzymali w rękach, nieudolnie zaczerniono - na jednej z nich wciąż widać było logo Millera. Podpis: *Fala nadchodzi! Ludzie Króla wolą zabawiać się innymi płynami! Zabawa na plaży Zuma: G. Cossack, L. Chapman, R. Cossack, V. Coury, B. Larner, N. Hansen.*

Bracia Cossack byli w liceum balangowiczami, a Bel Air w kilka lat później było po prostu kontynuacją ich upodobań. A wspólne interesy z Larnerami zaczęły się na piaskach Zummy, a nie w świecie interesu.

Zacząłem się w związku z tym zastanawiać, czy pomysł ukrycia kłopotliwej siostry, Caroline, nie był przypadkiem autorstwa chłopaków, a nie ich ojców. "Tato, stary Brada pracuje w tym zakładzie dla czubków, może on nam pomoże".

Przejrzałem roczniki w poszukiwaniu zdjęcia Caroline Cossack.

Nic.

Jeździłem po ulicach Westwood, myśląc o Piersie Schwinnie i o tym, czego naprawdę chciał od Mila. Czy w końcu postanowił uwolnić się od skrywanej przez dwadzieścia lat tajemnicy, jak sugerowałem? A może pod koniec życia sam zaczął dochodzenie i natrafił na nowe tropy?

Tak czy inaczej, Schwinn nie prowadził aż tak błędnego trybu życia, w jaki wierzyła jego druga żona. Nie był też aż tak wierny: znalazł sobie współnika, któremu przekazał album morderstwa.

Jak powiedziałem Milowi, Ojai było niedużym miasteczkiem i Schwinn nie dałby rady znaleźć sobie tam kogoś tak, by nie dowiedziała się o tym Marge. Ale zanim się z nią ożenił, mieszkał w Oxnard, w zakaraluszonym motelu. Marge nie wspomniała, jak się nazywał ten motel, powiedziała za to, gdzie Schwinn pracował i że nie miał samochodu. Wynosił śmieci w Randall's Western Wear. Gdzieś niedaleko, skąd mógłby

**dojść na piechotę.**

**Sklep wciąż znajdował się w tym samym miejscu, przy Oxnard Boulevard.**

**Pojechałem trasą dla turystów, bo tak było najszybciej, poza tym nie miałem siły ścigać się autostradą. Jechałem Sunset, potem na północ wzdłuż wybrzeża, aż do szosy Los Angeles - Ventura, Deer Creek Road do kempingów w Sycamore Creek - prawie czterdziestokilometrowego pasa ziemi będącej własnością stanu, dotykającej oceanu i oddzielającej ostatnią prywatną plażę w Malibu od Oxnard. Szafirowa woda, błękitne niebo, na plaży doskonale, opalone ciała.**

**Na Las Posas Road ominąłem odgałęzienie na wschód, prowadzące na zielone, wspaniałe farmy u podnóża wzgórz Camarillo i pojechałem dalej Trasą nr 1.**

**Piękno natury szybko ustąpiło miejsca szarości i ponuremu krajobrazowi; siedemdziesiąt pięć minut po wyjechaniu z domu byłem już w centrum Oxnard.**

**Oxnard to dziwne miejsce. Na plaży jest przystań jachtowa, luksusowe hotele, kutry, na których organizuje się wędkarskie wyprawy, i promy wycieczkowe do Channel Islands. Rdzeniem miasta jednak są uprawy i praca sezonowych robotników, którzy pędzą straszliwy tryb życia, żeby reszta kraju miała co jeść. Wskaźnik przestępczości stoi wysoko, a powietrze śmierdzi nawozem i pestycydami. Kiedy minie się zjazd do przystani, Oxnard Boulevard zamienia się w zakurzoną ulicę, wzdłuż której widzi się place przyczep mieszkalnych, szroty, sklepy z pamiątkami, bary, knajpy rozbrzmiewające meksykańską muzyką i więcej hiszpańskiego niż angielskiego na szyldach.**

**Randall's Western Wear było czerwoną szopą w samym środku ciągu, wciśniętą między sklep z akumulatorami Bernardo's Batteries i pozbawiony okien bar El Guapo.**

**Za sklepem rozciągał się duży parking, ale stały na nim tylko dwa pikapy i stary**

**chrysler trzysetka.**

**W środku czuć było skórą, trocinami i potem. Na regałach piętrzyły się stosy dżinsu i flaneli, ułożonych jeden w drugim stetsonów, kowbojskich butów i pasów. W jednym rogu leżały worki z paszą dla koni, w drugim kilka siodeł i uprząży. Z trzeszczących głośników dobiegał miękki baryton Trávisa Tritta, próbującego przekonać jakąś kobietę o swoich dobrych intencjach.**

**Leniwy dzień w kowbojskim interesie. W sklepie nie było klientów, tylko dwaj sprzedawcy, obaj biali, około trzydziestki. Jeden w szarym dresie, drugi w dżinsach i czarnej koszulce z logo Harleya-Davidsona. Nie ruszyli się z za lady, nie przejawiając zainteresowania moją osobą.**

**Pokręciłem się trochę, znalazłem skórzany pas, który mi się spodobał, zanieśliem go do lady i zapłaciłem. Harley-D podliczył mnie, nie patrząc mi w oczy i nie próbując rozmawiać. Kiedy oddał mi moją kartę kredytową, otworzyłem portfel i pokazałem mu odznakę konsultanta wydziału policji Los Angeles. To przypinana blaszka z symbolem wydziału, niezadająca się na wiele. Jeśli dokładnie się jej przyjrzeć, wychodzi na jaw, że nie jestem gliną. Ale mało kto zwraca uwagę na coś więcej niż symbol, a Harley nie był wyjątkiem.**

**- Policja? - spytał, kiedy zamknąłem portfel. Miał długie, opadające na brodę wąsy i mówił przez nos. Chude ręce, brudne włosy, kilka wyblakłych tatuaży.**

**- Pomyślałem, że może mi panowie w czymś pomożecie - powiedziałem.**

**- W czym?**

**Dres podniósł wzrok. Był o kilka lat młodszy od Harleya, miał krótko obcięte, jasne włosy, kwadratowy podbródek i rumianą twarz. Solidna budowa, spokojne oczy.**

**Na moje oko były żołnierz.**

- Mam kilka pytań o faceta, który pracował tu jakiś czas temu. Pierce Schwinn.

- On? - zdziwił się Harley. - Nie pracuje tu od... kilka lat?

Spojrzał na Dresę.

- Kilka - zgodził się Dres.

Harley popatrzył na pasek.

- Kupił go pan, żebyśmy pomyśleli, jaki pan jest sympatyczny, czy jak?

- Kupilem go, bo to niezły pasek - powiedziałem. - Ale nie mam problemów z byciem sympatycznym. Co pamiętacie panowie na temat Schwinna?

Harley zmarszczył czoło.

- Kiedy tu pracował, to był zwykły menel. Co się z nim dzieje?

- Widzieliście go panowie, odkąd przestał tu pracować?

- Może raz - powiedział Harley. - A może nie. Jak przyszedł, to był ze swoją żoną

- zgadza się? - Kolejna konsultacja z Dresem.

- Pewnie tak.

- A o co chodzi? - spytał Harley. - Co zrobił?

- Nic. To rutynowe dochodzenie. - W chwili, gdy to powiedziałem, zdałem sobie sprawę, jak nedorzecznie to brzmi. Nie wspominając o tym, że działałem nielegalnie.

Ale skoro Milo mógł ryzykować naganę, to ja też. - A więc ostatni raz pan Schwinn pracował tu kilka lat temu?

- Tak jest. - Harley uśmiechnął się pogardliwie. - Jeśli można to nazwać pracą.

- Dlaczego?

- Człowieku - powiedział, nachylając się nad ladą - coś ci powiem: to był prezent.

Od naszej mamy dla niego. To jej sklep. Schwinn mieszkał kawałek dalej, w Happy Night. Mamie było go żal, pozwoliła mu u nas sprzątać za drobne.

- W motelu Happy Night? - upewniłem się.

- Kawalek w tamtą stronę.

- A więc chodziło o współczucie - powiedziałem. - Ze strony waszej matki.

- Ma miękkie serce. No nie, Roger?

Dres kiwnął głową, zaciągnął się papierosem i podkręcił głośniej Tralisa Tritta.

Głos piosenkarza był tęskny i głęboki - mnie by przekonał.

- Czy Schwinn miał jakichś przyjaciół? - spytałem. - Ani jednego.

- A Marge, ta kobieta, która za niego wyszła?

- Przychodzi tu po karmę, kiedy kończą jej się zapasy - powiedział Harley. - Fakt,

wyszła za niego, ale została przez to jego żoną, a nie przyjacielem.

A kiedy zdajesz na prawo, cwaniaczku?

- Marge poznała go tutaj - powiedziałem.

- Chyba tak. - Harley zmarszczył brwi. - Jej też od jakiegoś czasu nie widziałem.

- Pewnie zamawia przez Internet - powiedział Roger. - Jak wszyscy. My też

musimy w to wejść.

- No - potwierdził bez przekonania Harley. - No, powiedz pan, dlaczego o niego

pan tak wypytuje? Ktoś go wykończył, czy jak?

- Nie - powiedziałem. - Ale fakt, nie żyje. Spadł z konia kilka miesięcy temu.

- Aha. No, ona o tym nie mówiła. Marge, znaczy.

- Kiedy widzieliście ją panowie po raz ostatni?

Harley spojrział na Rogera.

- Kiedy ostatnio ją widziałem?

Roger wzruszył ramionami.

- Jakieś cztery, pięć miesięcy temu.

- Prawie wszyscy zamawiają hurtem od naszych dostawców - powiedział Harley. -

I przez Internet. Musimy w to wejść.

- A więc Marge była tu już po śmierci Schwinna, ale nie wspominała, że nie żyje?

- Chyba tak, ale nie przysięgnę. Panie, w nic mnie pan nie wciągaj.

Roger znów wzruszył ramionami.

- Marge mało mówi i tyle.

Travis Tritt skończył. Pam Tillis zaczęła zawodzić o *Królowej odrzucenia*.

- Chodzi o narkotyki, czy coś takiego? - spytał Harley.

- Czemu pan tak sądzi?

Harley z zakłopotaniem spuścił wzrok.

- Vance'owi chodzi o to - powiedział jego brat - że Happy Night... wszyscy wiedzą,

co się tam dzieje. Różni ludzie wchodzą i wychodzą. Chce pan nam wyświadczyć

przysługę? Zamknij pan to w cholerę. To była kiedyś porządna okolica.

Zostawiłem samochód na parkingu sklepu i przeszedłem przecnicę dalej, do

motelu. Szary budynek w kształcie litery C składał się z dwunastu pokoi, z wejściami od

otwartego na ulicę placyku. Placyk był wyłożony kruszącą się kostką i nie wyglądał,

jakby przeznaczono go na parking, ale stały na nim cztery brudne samochody osobowe i

równie brudna ciężarówka z kempingową budą. Recepcja znajdowała się po prawej. W

cuchnącej potem klitce siedział młody, ogolony na łyso Latynos w niebieskiej

kowbojskiej koszuli z czerwonymi naszykami. Tluste plamy pod pachami i resztki

keczupu na gorsie psuły nieco wrażenie, jakie z pewnością miała robić. Na szyi

mężczyzny wisiał ciężki, żelazny krzyżyk na łańcuszku z nierdzewnej stali.

Kiedy wszedłem, nad drzwiami zabrzmiał dzwonek. Recepcjonista zerknął

najpierw na mnie, potem pod kontuar, pewnie sprawdzając, czy pistolet leży na swoim



miejscu. A może tylko chciał dać mi znać, że jest uzbrojony. Na ścianie za jego plecami wisiał napis: TYLKO GOTÓWKA. Pod spodem to samo po hiszpańsku. Mężczyzna nie ruszył się, ale rozejrzał nerwowo, a jego lewa powieka zadrgała. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia dwa, trzy lata, skoki adrenaliny i ciśnienia nie zaszkodzą mu jeszcze przez kilka lat.

Pokazałem mu odznakę, a on pokręcił głową. Na kontuarze przed nim leżała novella- czarno-białe zdjęcia z podpisami, historyjka przypominająca komiks. Czytając do góry nogami odcyfrowałem słowa “sexualismo” i “compassion”.

- Nic nie wiem - powiedział z akcentem.

- O nic jeszcze nie pytałem.

- Nic nie wiem.

- Tym lepiej dla ciebie.

Patrzył na mnie tępo.

- Pierce Schwinn - powiedziałem. - Mieszkał tu kiedyś.

Milczenie.

Powtórzyłem.

- Nic nie wiem.

- Starszy mężczyzna, Anglosas, siwe włosy, siwa broda?

Nic.

- Pracował w Randall's.

Nierozumiejące spojrzenie.

- Randall's Western Wear, przecnicę dalej?

- Nic nie wiem.

- Jak się nazywasz?

**- Nic nie... - Błysk w ciemnych oczach. - Gustavo.**

**- Gustavo jaki?**

**- Gustavo Martinez Reyes.**

**- Rozumiesz cokolwiek po angielsku, panie Martinez Reyes?**

**Potrząśnięcie głową.**

**- Jest tu ktoś, kto rozumie?**

**- Nic nie wiem...**

**Tyle, jeśli chodzi o pracę detektywa. Ale skoro przejechałem taki kawał, mogłem sprawdzić jeszcze jedną rzecz w Ojai - miejsce, o którym wiedziałem, że chodzi tam Marge Schwinn. Sklep, w którym kupiła niebieskie albumy: "O'Neill & Chapin... obok Celestial Cafe... z Anglii... już nie produkują... ostatnie trzy".**

**Może kupiła więcej. A może Schwinn też chodził tam na zakupy.**

**Pojechałem do następnego wjazdu na autostradę i po kilku minutach byłem z powrotem na trzydziestej trzeciej. Powietrze było chłodne i czyste, a wszystkie kolory soczyste. Czulem zapach dojrzewających w mijanych sadach owoców.**

**O'Neill & Chapin znajdowało się w jednej ze swojskich oaz handlu, które wyrosły przy drodze, już za centrum Ojai, ale kilka kilometrów przed skrzyżowaniem do rancza Marge Schwinn. Sklepek mieścił się w niedużym domku, stojącym w cieniu kilku dębów. Pomalowano go na zielono, a szeroki na pokora metra pas ziemi między kremowymi drzwiami i krawężnikiem wyłożono brukiem. Na witrynie widniał ułożony ze złotych liter napis:**

**O'NEILL & CHAPIN**

**WYSOKIEJ JAKOŚCI PAPIER I BARWNIKI**

**ROK ZAŁOŻENIA 1986**

**Okna zasłonięte były od środka ciemnymi dębowymi okiennicami. Na wystawie**

**stała tabliczka z przyklejoną kartką:**

***Wyjechaliśmy do Europy po towar. Niedługo wracamy.***

**Obejrzałem sąsiedztwo. Po prawej znajdował się sklep ze świecami, też**

**zamknięty. Dalej Marta, Doradca Duchowy i Instytut Teozoficzny Humanos. Po lewej**

**stał parterowy budynek biurowy, a w nim gabinet terapeuty stóp, notariusz i biuro**

**ubezpieczeniowe oraz biuro podróży, specjalizujące się w “wycieczkach przyjaznych**

**naturze””. Obok, bardziej na słońcu, stał pudelkowaty budynek z drewnianym**

**szyldem nad drzwiami:**

**CELESTIAL CAFE**

**Wokół krawędzi szyldu namalowano roztańczone złote gwiazdki. Za zasłonkami**

**w biało-niebieską kratkę migotało światło. Dochodziła trzecia po południu, a ja nic nie**

**jadłem. W tej sytuacji, pomyślałem, ciepłe bułeczki i herbata ziołowa to nie najgorszy**

**pomysł.**

**Według jednak zawieszanej nad wejściem do otwartej kuchni tablicy, kawiarnia**

**specjalizowała się w wiejskim francuskim jedzeniu - naleśnikach, quiche, sufletach i**

**deserach czekoladowych. Prawdziwa kawa, Boże wszechmogący.**

**Z głośników, wbudowanych w niski, drewniany strop, sączyła się muzyka w stylu**

**New Age - dzwoneczki, flet i harfa. Pół tuzina stolików okrytych tym samym**

**materiałem, z którego uszyto zasłonki; przy jednym z nich siedziała kobieta z misternie**

**plecionymi siwymi warkoczami, ubrana w różową sukienkę i kurteczkę z kozłej skóry.**

**Jadła coś, co wyglądało jak ratatouille. Nie widziałem nigdzie kelnera, tylko bladą, tęgą**

**kobietę w białym fartuchu i niebieskiej chuście na głowie, krojącą w kuchni warzywa.**

**Obok niej stała sześciopalnikowa kuchenka, a na niej, na ogniu, patelnia do naleśników.**

Na patelni syczało wlane ciasto. Kucharka przestała na chwilę kroić warzywa, złapała ściereczkę i przez nią rączkę patelni. Przechylając ją zręcznie uformowała ciasto w idealny dysk, który zsunęła na talerz i polala szpinakiem w śmietanie. Dodała odrobinę gałki muszkatołowej, postawiła zrolowany naleśnik na ladzie i wróciła do krojenia warzyw.

Siwowłosa kobieta wstała od stolika i wzięła go.

- Doskonale, Aimee.

Kucharka kiwnęła głową. Wyglądała na około czterdzieści lat, miała płaską twarz i pochyloną głowę. Wystające spod chusty jasnobrązowe włosy przetykane były pasemkami srebra.

Uśmiechnąłem się do niej. Nie zmieniła wyrazu twarzy i nie przestała siekać warzyw. Spojrzałem na tablicę.

- Dostanę naleśnika z serem i kawę?

Odwróciła się i wyszła z kuchni bocznymi drzwiami. Stałem osłupiały, słuchając dzwonków, fletu i harf.

- Niech się pan nie przejmuj - powiedziała za mną siwa kobieta. - Wróci.

- Bałem się, że powiedziałem coś nie tak.

Zaśmiała się.

- Nie, ona jest po prostu nieśmiała. Ale cholernie dobrze radzi sobie w kuchni.

Aimee wróciła z małą gomulką sera.

- Może pan usiąść - powiedziała bardzo cicho. - Przyniosę go panu.

- Bardzo dziękuję. - Uśmiechnąłem się jeszcze raz. Kąciki jej ust wygięły się w górę na ułamek sekundy, potem zaczęła wycierać patelnię.

Siwowłosa kobieta skończyła właśnie jeść, kiedy Aimee przyniosła mi talerz,

kubek kawy i sztucce, owinięte w grubą, żółtą, lnianą serwetkę. Potem wróciła do swoich warzyw.

- Proszę, kochanie - powiedziała kobieta i zapłaciła jej gotówką. Nie dostała reszty. Nigdzie nie widziałem oznaczeń kart kredytowych.

Rozwinąłem serwetkę i spojrzałem na talerz. Dwa naleśniki.

- Musi pan zapłacić tylko za jednego - powiedziała, nie odwracając się, Aimee. - Miałam dużo sera.

- Dziękuję - odparłem. - Wyglądają smakowicie. Ciach, ciach, ciach.

Ukroilem kawałek naleśnika, włożyłem go do ust i poczułem eksplozję smaku.

Kawa też była doskonała - tak dobrej nie piłem od lat. Powiedziałem to głośno.

Ciach, ciach, ciach.

Rozpracowywałem właśnie drugi naleśnik, kiedy otworzyły się drzwi i do kawiarni wszedł mężczyzna.

Niski, puciołowaty, siwy, miał na sobie purpurowy poliestrowy kombinezon, zapinany na suwak, z wielkimi wiszącymi klapami. Na krótkich stopach miał białe skarpetki i czerwone drewniaki. Palce też miał krótkie - kciuki wyglądały jak wygięte kikuty. Rumiana, chochlikowata twarz była spokojna - elf na wakacjach. Skórzany, rzemienny krawat spiął wielką, bezkształtną spinką. Na serdecznym palcu lewej dłoni nosił olbrzymi złoty pierścień z fioletowym kaboszonem.

Wyglądał na sześćdziesiąt parę lat, ale ja wiedziałem, że ma siedemdziesiąt siedem, ponieważ go znałem. Rozumiałem też, dlaczego ubiera się na czerwono - był to jedyny kolor, który dostrzegał w czarno-białym poza tym świecie. Rzadka forma daltonizmu była tylko jedną z licznych fizycznych anomalii, z którymi się urodził. Niektóre, jak krótkie palce, były widoczne. Inne, jak mnie zapewnił, nie.

**Doktor Wilbert Harrison, psychiatra, antropolog, filozof i wieczny student.**

**Uroczy i wspaniały człowiek - nawet dyszący zemstą psychopata był w stanie to zauważyć i oszczędzić Harrisona, kiedy wymierzał sprawiedliwość lekarzom, którzy, jak mu się zdawało, byli sprawcami jego nieszczęść.**

**Mnie nie oszczędził. Poznałem Harrisona wiele lat temu, próbując to jakoś rozwikłać. Od tamtej pory czasami się spotykaliśmy i rozmawialiśmy. Nieregularnie.**

**- Bert - powiedziałem.**

**Odwrócił się i uśmiechnął.**

**- Alex!**

**Podniósł palec i przywitał się z Aimee. Nie patrząc mu w oczy, naląła dla niego herbaty i wyjęła ciastko z migdałami z przeszklonej lodówki pod tablicą.**

**Stały klient.**

**- Dziękuję, kochanie - powiedział. Usiadł przy moim stoliku, postawił przed sobą talerzyk z ciastkiem i filiżankę, po czym uściskał mi obie dłonie.**

**- Alex. Jak dobrze cię widzieć.**

**- Ciebie też, Bert.**

**- Co porabiasz?**

**- To, co zwykle. A ty?**

**Łagodne, szare oczy rozbłysły.**

**- Znalazłem sobie nowe hobby. Etniczne instrumenty muzyczne, im dziwniejsze, tym lepiej. Odkryłem eBay - cudowna rzecz, globalna oszczędność w najczystszej postaci. Wyszukuję sobie okazje, czekam jak dziecko w Wigilię, aż przyjdzie paczka, a potem próbuję domyślić się, jak na tym czymś grać. W tym tygodniu zmagam się z jednostrunowym dziwem z Kambodży. Nie wiem jeszcze, jak się naprawdę nazywa.**

**Sprzedający wystawił to jako “dzyngabzdryng z południowo-wschodniej Azji”. Brzmi straszliwie, jak kot z niestrawnością, ale na szczęście nie mam sąsiadów.**

**Harrison mieszkał wysoko na wzgórzu nad Ojai, w purpurowym domku otoczonym gajami oliwnymi i pustymi polami, prawie niewidocznym zza wybujających agaw. Na gruntowym podjeździe stał zawsze świeżo nawoskowany stary kombi. Ilekroć tam zaglądałem, frontowe drzwi były otwarte.**

**- To chyba dobra zabawa - powiedziałem.**

**- Doskonała. - Ukroił ciastko, z którego wylało się nadzienie, oblizał usta i otarł brodę. - Pyszne. A co ty robisz, żeby się dobrze bawić, Alex?**

**Zacząłem się zastanawiać nad odpowiedzią i chyba coś się stało z moją twarzą, bo Harrison położył mi dłoń na rękę i popatrzył na mnie wzrokiem zatroskanego ojca.**

**- Aż tak źle, synu?**

**- To takie oczywiste?**

**- O, tak, Alex. Zupełnie oczywiste.**

**Opowiedziałem mu o Robin. Zamyślił się na chwilę.**

**- Wygląda na to, że drobiazgi zostały wyolbrzymione.**

**- Nie takie znowu drobiazgi, Bert. Ona naprawdę ma dosyć mojego ryzykanctwa.**

**- Chodziło mi o twoje uczucia. Twój niepokój, obawę w związku z Robin.**

**- Wiem, że to obłąd, ale ciągle myślę o ostatnim razie, kiedy odeszła.**

**- Popelniła błąd - powiedział. - Ale zapłaciła za niego, a ty mógłbyś pomyśleć o jej cierpieniu.**

**- Jej cierpieniu? - powtórzyłem. - Myślisz, że ciągle ją to dręczy, po tylu latach?**

**- Jeśli pozwala sobie na zastanawianie się nad tym, to sędzę, że dręczy ją to o wiele bardziej niż ciebie.**

**Bert spotkał Robin dwa razy, a mimo to nie sądziłem, że wygłasza pochopne opinie. Kilka miesięcy po tym, jak spalił się nasz dom, pojechaliśmy do Santa Barbara, żeby zmienić otoczenie i wpadliśmy na Berta w antykwariacie na State Street.**

**Przeglądał osiemnastowieczne traktaty naukowe. Napisane po łacinie (“to moje nowe hobby, dzieci”). Cały przód kombinezonu miał w kurzu.**

**- Ona cię bardzo kocha - powiedział. - Przynajmniej tak było, kiedy ją widziałem, i nie wydaje mi się, by tak głębokie uczucie mogło po prostu zniknąć. - Zjadł następny kawałek ciasta, zebrał z talerzyka parę okruszków migdałów i wrzucił je sobie do ust. -**

**Mowa ciała... mowa umysłu, wszystko tam było. Pamiętam, jak myślałem: “to dziewczyna dla Aleksa”.**

**- Ja też tak kiedyś myślałem.**

**- Ciesz się tym, co masz. Moja druga żona taka była, akceptowała mnie ze wszystkimi moimi odchyłami.**

**- Uważasz, że Robin akceptuje mnie, choćby nie wiem co?**

**- Gdyby tak nie było, dawno by cię zostawiła.**

**- Ale dalsze ryzykowanie byłoby z mojej strony okrutne.**

**Znów ścisnął mi dłoń.**

**- Życie jest jak przystanek autobusowy, Alex. Planujemy trasę przejazdu, ale pomiędzy kolejnymi przygodami zawsze musimy chwilę poczekać. Tylko ty sam możesz zaplanować swoją trasę - i mieć nadzieję, że Bóg się na nią zgodzi. Co cię sprowadza do Ojai?**

**- Piękna okolica.**

**- W takim razie zapraszam do siebie, pokażę ci moje nabytki.**

**Skończyliśmy jeść.- Bert uparł się, że zapłaci. Przed kawiarnią stało jego stare**



kombi. Pojechałem za nim do miasta, potem Signal Street, wspinając się na szczyt wzgórza wzdłuż rowu melioracyjnego, obłożonego polnymi otoczkami i spiętego klamrami mostków, aż dojechaliliśmy na miejsce.

Frontowe drzwi purpurowego domku były otwarte i zasłonięte porządnie już spłowiałą moskitierą. Bert wbiegł zręcznie na schody i zaprosił mnie do salonu. Pokój wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętałem - mały, ciemny, z drewnianą podłogą, zagracony starymi meblami, pufami, poduchami i pianinem. Na parapecie wychodzącego na zatokę okna stał rząd zakurzonych butelek. Ale teraz nie było na czym usiąść. Miejsce zepchniętego w kąt pianina zajął olbrzymi, kutły z brązu gong. Na wszystkich kanapach i krzesłach leżały bębenki, dzwoneczki, liry, cytry, fletnie Pana, harfy i przedmioty, których nie byłem w stanie zidentyfikować. Za stolkiem od pianina stało dwumetrowe urządzenie w kształcie smoka, z wierzchu obłożone falistym drewnem. Harrison przeciągnął po nim pałką, wydobywając zeń perkusyjną, ale melodyczną skalę.

- Bali - powiedział. - Nauczyłem się na tym grać *Stary Donald farmę miał*. -

Westchnął. - A któregoś dnia to będzie Mozart.

Zebrał instrumenty z kanapy.

- Rozgość się - zaprosił.

Kiedy usiadłem, zauważyłem za kanapą coś metalowego. Składany wózek inwalidzki.

- Przechowuję go dla przyjaciela - powiedział Bert i usiadł na krześle. Palcami prawej dłoni przeciągał po strunach harfy, ale nie dość mocno, by wydobyć z niej dźwięk.

- Mimo wszystko wyglądasz nieźle - powiedział.

- Ty też.
  - Odpukać. - Postukał w ramę harfy, która tym razem się odezwała. - Gis... A więc tylko przejeżdżasz? Następnym razem zadzwoń, umówimy się na obiad. Chyba że, oczywiście, wolisz być sam.
  - Nie, chętnie się z tobą spotkam.
  - Każdy z nas potrzebuje samotności - powiedział Bert. - Kluczem do szczęścia jest znalezienie odpowiednich proporcji.
  - Ty mieszkasz sam, Bert.
  - Mam przyjaciół.
  - Ja też.
  - Miła.
  - Miła i innych.
  - To świetnie... Czy mogę coś dla ciebie zrobić?
  - Nie - powiedziałem. - Na przykład co?
  - Cokolwiek.
  - Gdybyś umiał rozwiązywać nierozwiązane sprawy, to mógłbyś.
  - Nierozwiązane sprawy - powtórzył. - Morderstwo.
- Kiwnąłem głową.
- Ciało może być zimne - powiedział - ale zastanawiam się, czy kiedykolwiek stygną wspomnienia. Chcesz mi o tym opowiedzieć?
- Nie chciałem. Tak, chciałem.

Opisałem morderstwo Janie Ingalls, nie podając nazwisk ani miejsc i nie wspominając o albumie ze zdjęciami. Nie było jednak sensu zatajać nazwiska Mila. Bert Harrison poznał go, składał mu zeznanie. Kiedy mówiłem, prawie nie spuszczał oczu z mojej twarzy.

- Ta dziewczyna - powiedział, kiedy skończyłem - ta, która otruła psa, to jakiś potwór.

- W każdym razie ktoś z poważnymi problemami.

- Najpierw pies, potem człowiek... to typowe... chociaż na podparcie tej tezy masz tylko oskarżenie sąsiadki.

- Ostrzeżenie w karcie dziewczyny je potwierdza. Nie powinna znaleźć się w tej szkole, Bert. Dostała się tam prawdopodobnie dzięki wpływom rodziny. Ukryli ją tam na czas śledztwa.

Bert skrzyżował ręce na kolanach.

- A o drugiej możliwej ofierze ani słowa... Zakładam, że Milo jej szukał.

- Jak do tej pory bez skutku - powiedziałem. - Ona najprawdopodobniej nie żyje.

Dziewczyna z problemami jakby zniknęła. Nie zostawiła żadnego śladu w papierach. To też śmierdzi manipulacją.

- Troskliwa rodzina - powiedział Harrison.

- Bardzo.

- Hmm... Alex, skoro dwadzieścia lat temu Milowi zabrano tę sprawę, jak sprawił, że znów go do niej przydzielono?

- Został przydzielony nieoficjalnie - powiedziałem. - Przez kogoś, kto wiedział, że

**razem pracujemy i miał pewność, że przekażę mu wiadomość.**

**- Jaką wiadomość?**

**Zastanowiłem się, ile powinienem powiedzieć. Opowiedziałem Bertowi o albumie i jego prawdopodobnym związku z Pierce'em Schwinnem.**

**- Pierce? - powiedział. - A więc dlatego tu przyjechałeś.**

**- Znałeś go?**

**- Tak. Znam też jego żonę, Marge. Urocza kobieta.**

**- Milo i ja byliśmy u niej kilka dni temu - powiedziałem. - Album ze zdjęciami to najpewniej robota Schwinna, ale Marge twierdzi, że jedyne jego zdjęcia, o jakich wie, to przyrodnicze fotki.**

**- Twierdzi? - powtórzył Bert. - Nie wierzysz jej?**

**- Wyglądała jak ktoś, kto mówi prawdę.**

**- Ja bym jej wierzył, Alex.**

**- Czemu?**

**- Bo to uczciwa kobieta.**

**- A Schwinn?**

**- O nim też nie mogę powiedzieć nic złego.**

**- Jak dobrze go znałeś?**

**- Spotykaliśmy się od czasu do czasu. W mieście, na zakupach, w Małym Teatrze.**

**- Czy miał kogoś, komu mógł się zwierzyć, oprócz Marge? Kogoś, komu mógł zaufać? Bo album wysłano do mnie siedem miesięcy po jego śmierci.**

**- Jesteś pewien, że to robota Pierce'a?**

**- Zdjęcia pochodzą z archiwum policyjnego, prawdopodobnie zostały wyjęte ze starych akt. Schwinn lubił fotografować, zawsze miał ze sobą aparat i robił zdjęcia z**

miejsc przestępstwa. W dodatku Marge Schwinn powiedziała, że kupiła mu trzy identyczne albumy w niebieskiej skórce, w O'Neill & Chapin. Pokazała nam dwa, ale trzeci zniknął, a ona nie miała pojęcia, gdzie jest. To mnie tu ściągnęło. Chciałem porozmawiać z właścicielami sklepu i dowiedzieć się, czy sprzedali jeszcze jakieś.

- Właścicielem - powiedział Harrison - jest urocza kobieta o nazwisku Roberta Bernstein. Teraz jest w Europie. - Przycisnął do ust krótki palec wskazujący. - Wygląda na to, że całość dowodów wskazuje na Pierce'a...

- Ale?

- Żadnych ale, Alex. Zebrałeś solidne dowody.

- Masz jakiś pomysł, komu mógł to przekazać?

Bert założył nogę na nogę i zaczepił palec o nogawkę.

- Jediną osobą, którą widziałem z Pierce'em była Marge. A jak powiedziałem, wątpię, żeby była w to zamieszana.

- Bo jest uczciwa.

- A Pierce ją ochraniał, Alex. Nie wyobrażam sobie, żeby naraził ją na coś takiego.

- Mówisz, jakbyś ich oboje dobrze znał - zauważyłem.

Uśmiechnął się.

- Jestem psychiatrą. Wolno mi teoretyzować. Nie, nigdy tak naprawdę się nie poznaliśmy, ale to małe miasteczko. Wciąż spotyka się tych samych ludzi. Pewnie wnioskuję z mowy ciała Pierce'a, kiedy byli razem.

- Ochroniał ją.

- Bardzo wyraźnie. A Marge chyba to lubiła. Uznałem, że to ciekawe. Nigdy przedtem z nikim nie mieszkała. Jej rodzina mieszka w tej okolicy od pokoleń, a ona

prawie sama przez tyle lat prowadziła ranczo. Ludzie w pewnym wieku robią się skostniali, nie przystosowują się już do wymagań związku. Ale Marge wydawała się zadowolona ze swojego domowego życia. Oboje sprawiali takie wrażenie.

- Wiedziałaś, że Pierce był detektywem?

- Marge mi powiedziała. Niedługo po tym, jak Pierce się do niej wprowadził. To chyba było w teatrze, jeśli dobrze pamiętam. W holu, podczas przerwy. Przedstawiła nas sobie i zaczęliśmy rozmawiać o sprawie opisywanej w gazetach: napad na bank, strzelanina, przestępcy uciekli. Marge powiedziała coś w rodzaju: "Gdyby Pierce był jeszcze w policji, na pewno by to rozwiązał".

- Jak na to zareagował?

- Jeśli dobrze pamiętam, wcale. Nic nie powiedział. Najczęściej był powściągliwy.

Milo opisał Schwinna jako agresywnego i skłonnego do pouczania. Przez dwadzieścia lat, jak widać, dużo się zmieniło.

- Marge powiedziała nam, że Pierce zrobił się spokojny.

- Ona wiedziała to najlepiej... A więc Pierce był partnerem Mila. Interesujące.

Świat jest coraz mniejszy.

- Umarł, ponieważ spadł z konia - powiedziałem. - Co o tym myślisz?

Bert rozprostował nogi, postukał się w zaczerwieniony policzek i dotknął zdobionej harmonii.

- Podejrzewasz, że to nie był wypadek? Dlaczego?

- Bo tak jestem skonstruowany.

- Aha.

Dalbym głowę, że słyszę śmiech Mila.

- Świat jest mały - powtórzył Bert. - Tyle tylko mogę ci powiedzieć... Zrobić ci

herbaty, Alex? Zaczekaj, jesteś gitarzystą, prawda? Mam tu coś, co może cię zainteresować. Knutsen, hawajska gitara - harfa z przełomu wieków. Może ty mi powiesz, jak ją nastroić.

Pokój gościnny miał zastawiony instrumentami i starymi stojakami do nut. Przez chwilę przyglądałem się, jak brzdąka na nich i słuchałem wywodów o muzyce, rytmie i kulturze. Bert zaczął wspominać swój pobyt w Chile, badania etnograficzne w Indonezji, semestr muzykologii w Salzburgu, opiekę nad izraelskimi dziećmi, które w kibucu wychodziły z traumy po terrorystycznych atakach.

Pomijał milczeniem okres w Santa Barbara - lata, które spędził w szkole dla dzieci z problemami, zaledwie kilka kilometrów stąd. W miejscu, w którym z łatwością mógł skończyć ktoś pokroju Caroline Cossack. Wynikło z tego więcej problemów, niż ich rozwiązano.

Bert miał wybiórczą pamięć, zapominał o przykrych sprawach. Może dlatego z oporami wyobrażał sobie młodą dziewczynę zdolną do okrucieństwa.

Przestał opowiadać i podniósł rękę.

- Ależ ze mnie nudziarz. Pewnie zaczęłeś się zastanawiać, czy nie pierniczeję.

- Wcale nie, Bert - powiedziałem, chociaż pomyślałem: "wydaje się strapiony".

- Prawda jest taka, że straciłem trochę pamięci krótkoterminowej. Ale to nic, czego nie dałoby się wytłumaczyć wiekiem.

- Wydaje mi się, że z twoją pamięcią wszystko w porządku - powiedziałem.

- To miło, że tak mówisz... - Szerokim gestem wskazał pokój. - To wszystko... te

wszystkie zabawki, Alex, to wspaniała rozrywka. Każdy chłopiec potrzebuje hobby. -

Krótkie palce zacisnęły się mocno na moim przedramieniu. - Obaj to wiemy, prawda?

Zostałem na herbatę, w końcu powiedziałem, że muszę wracać do miasta.

**Bert odprowadził mnie do samochodu.**

**- Co za potworność z tą dziewczyną, jeśli to prawda.**

**- Nie wierzysz w to.**

**Pokiwał głową.**

**- Trudno mi uwierzyć, że młoda kobieta byłaby zdolna do takiego okrucieństwa.**

**- Nie twierdzę, że zrobiła to sama, czy że choćby była prowodyrką. Ale mogła zwabić ofiary, a potem stać z boku albo pomagać.**

**- Masz jakieś teorie co do głównego winowajcy?**

**- Dziewczyna miała chłopaka, sześć lat od niej starszego, z kryminalną przeszłością, w tym z morderstwem na koncie.**

**- Na tle seksualnym?**

**- Nie, morderstwo z ukrycia.**

**- Rozumiem - powiedział. - Jest jakiś powód, dla którego od razu o nim nie wspomniałeś?**

**- Zatuszowanie sprawy jest chyba bardziej związane z dziewczyną.**

**- To nie był bogaty człowiek.**

**- Młody, czarny, uliczny handlarz narkotyków.**

**- Rozumiem. Co się stało z tym zabójczym młodym zbrodniarzem?**

**- Też zniknął.**

**- Dziewczyna i młody mężczyzna - powiedział Bert. - To by wszystko zmieniło.**

**Psychospolecznie.**

**- Zespół zabójców. Jeden ze scenariuszy zakłada, że we dwójkę wybrali sobie ofiary na zabawie, a potem zabrali je gdzieś, zgwałcili i zamordowali.**

**- Sytuacja Svengali-Trilby - powiedział Harrison. - Dominujący mężczyzna,**



**podległa kobieta... bo tak zazwyczaj się dzieje, jeśli naiwna młoda dziewczyna jest zamieszana w jakieś okrutne zachowania. Prawie wszystkie przypadki przemocy seksualnej mają swoje źródło w chromosomie Y, prawda? Co jeszcze wiesz o tym chłopaku?**

**- Oprócz tego, że był ćpunem i dilerem, był dość przebiegły, żeby namówić doświadczonego poręczyciela do zrzeczenia się kaucji. I dość wyrachowany, żeby zwabić go w pułapkę - to za jego zabicie jest ścigany. Do dziś. To jeszcze jedna z otwartych spraw Mila.**

**- Przykry zbieg okoliczności - powiedział Bert. - Był poważnym ćpunem? Heroina?**

**- Przede wszystkim heroina, ale facet nie wybrzydzał.**

**- Hm... to chyba wszystko wyjaśnia.**

**- Co wyjaśnia? - zdziwiłem się.**

**- Seksualnym sadystom zazwyczaj przypisuje się alkohol albo marihuanę, prawda? Coś na tyle łagodnego, żeby zlikwidowało zahamowania, ale nie dość mocnego, żeby obezwładnić libido. Inne narkotyki - amfetaminy, kokaina - potrafią wzmóc skłonność do przemocy, ale to najczęściej reakcja paranoidalna. Ale heroina? - Pokręcił głową. - Opiaty to najmocniejsze środki uspokajające. Jeśli nie brać pod uwagę konieczności kradzieży, żeby mieć środki na zdobycie heroiny, nie ma bezpieczniejszego miejsca niż miasto pełne uzależnionych. Nigdy nie słyszałem, żeby ćpun zrobił coś takiego.**

**- Nie na haju - powiedziałem. - Ale uzależniony od heroiny, który właśnie potrzebuje działki, to nie jest najlepsze towarzystwo.**

**- Pewnie tak. Ale nawet w takim przypadku, przemoc byłaby impulsywna.**

**Wynikająca z frustracji. Uzależniony miałby w głowie igłę, a nie zwabianie, gwałcenie i skalpowanie młodych dziewczyn. Trudno by mu się było wystarczająco skoncentrować, nie sądzisz? Przynajmniej tak było ileś tam lat temu, kiedy pracowałem z uzależnionymi.**

**- Kiedy?**

**- Kiedy byłem stażystą, pracowałem w federalnym szpitalu w Lexington.**

**- Gdzie ty nie pracowałeś, Bert?**

**- Och, w wielu miejscach... wybacz mi te wywody, Alex. Co ja wiem o zbrodni?**

**To ty jesteś ekspertem.**

**- A jeśli chodzi o to, co powiedziałem o Robin - dodał jeszcze, kiedy wsiadłem do samochodu. - Nie chciałem instruować cię, jak masz żyć. Strasznie dużo rzeczy dziś założyłem, prawda?**

**- Nie odebrałem tego w ten sposób, Bert.**

**Westchnął.**

**- Jestem starym człowiekiem. Przez większość czasu czuję się młodo - czasami budzę się rano gotów biec na wykład i robić notatki. A potem patrzę w lustro... Cykl życia. Człowiek się cofa. Traci poczucie stosowności. Wybacz mi.**

**W szarych oczach zakręciły się łzy.**

**- Nie mam ci czego wybaczać...**

**- To miło, że tak mówisz.**

**Położyłem mu rękę na ramieniu. Pod czerwonym poliestrem Bert był mały, chudy i kruchy.**

**- Wszystko w porządku, Bert?**

**- Wszystko jest tak, jak powinno. - Poklepał mnie po rękę. - Cudownie było cię**

widzieć, synu. Nie poddawaj się.

-W śledztwie?

- W niczym, co ma znaczenie.

Zjechałem ze wzgórza i zatrzymałem się, żeby spojrzeć w lusterko. Bert stał na podjeździe. Zamachał zmęczonym ruchem.

Zdecydowanie coś go trapi, pomyślałem odjeżdżając. I te nagle wahania nastroju

- lzy. To był inny Bert, niż ten cieszący się życiem człowiek, którego znałem.

Aluzje do starzenia się.

Nic, czego nie dałoby się wytłumaczyć wiekiem.

Jakby się sprawdzał. Może tak było.

Tak imponujący człowiek się bał...

Kilka razy powiedział do mnie "synu". Zdałem sobie sprawę, że choć tyle razy opowiadał mi o swoich podróżach i przygodach, pierwszy raz wspomniał coś o małżeństwie, a nigdy nie mówił o dzieciach.

Sam w domu pełnym zabawek.

Jak ja będę żył w jego wieku?

Wróciłem do domu tuż przed zmrokiem, głowa bolała mnie od światła, a płuca drapały od smogu. Na automatycznej sekretarce nie było nagrań, ale ktoś zostawił dwie wiadomości w poczcie głosowej - jakiś człowiek chciał mi sprzedać ubezpieczenie od trzęsienia ziemi, a doktor Allison Gwynn prosiła o telefon.

Kiedy do niej zadzwoniłem, odebrała jakaś młoda kobieta.

- Dzień dobry, doktorze Delaware, mówi Connie Martino, asystentka doktor

Gwynn. Jest teraz na sesji, ale prosiła, żebym panu przekazała, że chce z panem porozmawiać. O ósmej kończy następnego pacjenta i powiedziała, że może pan wpaść do

**gabinetu, jeśli ma pan ochotę. Albo żeby powiedział pan, jak panu pasuje.**

**- Ósma może być.**

**- Świetnie. Przekażę.**

**O siódmej czterdzieści ruszyłem na Santa Monica. Budynek Allison Gwynn stał przy Montana Avenue, na wschód do ciągu butików przy plaży. Była to jasna, parterowa konstrukcja z końca lat czterdziestych, z zaokrąglonymi rogami, wielodzietnymi oknami i morelowymi rozjaśnieniami. Przy drzwiach, na niedużym klombie rosły lilie, w mroku jaśniejące bielą. Wewnątrz znajdowały się cztery gabinety - trzy lekarki, prowadzące grupę położniczo-ginekologiczną, chirurg plastyczny, dentysta i na samym końcu, "Dr A. Gwynn i wspólnicy".**

**W pustej poczekalni Allison pachniało pudrem i perfumami, ze słabym akcentem stresu. Wszystko urządzone w błękitnie i beżu: miękkie fotele, grube wełniane dywany, marynistyczne szkice na ścianach. Wyglądało to, jakby ktoś próbował w zamkniętym pomieszczeniu odwzorować plażę.**

**Przyciemnione punkty świetlne wypełniały poczekalnię delikatną złotą poświatą - plaża o zmierzchu. Na stolikach leżały równo poukładane czasopisma. Przy drzwiach znajdował się dzwonek z trzema przyciskami; obok pierwszego widniało nazwisko Allison, przy dwóch pozostałych nazwiska jej asystentów: mgr C. Martino i dr E. Bracht. Zadzwońłem i chwilę później doktor Gwynn otworzyła drzwi.**

**Czarne włosy związała w kucyk. Miała na sobie sięgającą do kostek, granatową sukienkę i brązowe pantofle. Dekolt sukienki kończył się tuż pod obojczykiem. Znów taki sam, starannie nałożony makijaż, te same brylantowe lśnienia na szyi i nadgarstkach, za to w błękitnych oczach cień napięcia. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, nie unikała mojego wzroku. Teraz patrzyła gdzieś nad moje lewe ramię.**

- Przepraszam, że kazałam panu jechać taki kawał - powiedziała - ale nie chciałam rozmawiać przez telefon.

- Przyjechałem z przyjemnością.

Uniosła brwi.

- W takim razie proszę wejść, zapraszam.

Jej gabinet urządzony był w takich samych morskich kolorach i tak samo oświetlony; wystarczająco duży do terapii grupowych, ale wyraźnie przeznaczony do pracy indywidualnej. W rogu stało biurko, obok kanapa i dwa fotele, ustawione naprzeciwko siebie. Allison usiadła na jednym z nich, ja na drugim. Granatowa sukienka nie odsłaniała za wiele, ale przylegała do ciała - siadając zauważyłem gładkie mięśnie, łuk uda i wypukłość łona.

Przypomniałem sobie historię jej doświadczeń z Michaelem Larnerem i opanowałem się.

- Może to nic znaczącego - powiedziała - ale biorąc pod uwagę, jak poważną sprawą się pan zajmuje, pomyślałam, że lepiej panu o czymś powiem.

Poruszyła się w fotelu, ukazując mi kolejny walor swojej figury. Ale nie uwodzicielsko - usta miała mocno zaciśnięte.

- Cenię każdą pomoc, jakiej mi pani może udzielić - powiedziałem.

Zagryzła dolną wargę. Zacisnęła dłonie i pokręciła głową.

Żadne z nas przez chwilę nic nie mówiło - dwoje terapeutów, mierzących się wzrokiem w milczeniu.

- Zaraz po naszej rozmowie coś sobie przypomniałam - powiedziała w końcu

Allison. - Zapomniałam o tym - a może nigdy tak naprawdę tego nie zapamiętałam, bo wtedy... To na pewno nic ważnego, ale jakiś czas po tym, jak Willie Burns opuścił

**Achievement House - może tydzień później - była u Larnera. A on był zły na Williego.**

**Zdenerwowany. Wiem, bo wezwał mnie do swojego gabinetu i było to po nim widać. Nie wiązałam tego z Williem, bo miałam własne sprawy... - Znow przygryzła wargę. -**

**Opowiem od początku.**

**Rozwiązała kucyk, rozpuściła włosy i znow je spięła. Podciągnęła nogi pod siebie, objęła się ramionami i wbiła spojrzenie w podłogę.**

**- Larner od jakiegoś czasu mnie zaczepiał. To się zaczęło niedługo po tym, jak tam przyszłam. Nic, co by się rzucało w oczy - spojrzenia, uśmiechy, drobne uwagi na temat mojego ubrania - że jest urocze, jaka ze mnie ładna, zdrowa dziewczyna. Kiedy mijaliśmy się na korytarzu, głaskał mnie po głowie, ocierał się o mnie albo szczypał w brodę. Wiedziałam, o co mu chodzi, ale nie zdawałam sobie sprawy, do jakiego stopnia. - Dotknęła włosów, przyglądała ich końce. - Nie chciałam odchodzić Achievement House, uważałam, że to dobra praca na lato. A nawet gdybym komuś powiedziała, to przecież nie robił mi tak naprawdę nic poważnego.**

**- Był chytry - powiedziałem.**

**- Chytry, przebiegły i ogólnie paskudny. Staralam się go unikać. Najczęściej mi się udawało. Aż do tego dnia - to był poniedziałek, pamiętam, bo w niedzielę byłam na plaży i ładnie się opaliłam. Williego Burnsa nie było już od tygodnia, może dłużej.**

**Pamiętam, że zapytałam o niego, bo korytarze zrobiły się strasznie ciche. Kiedy pracował, miał zwyczaj nucić, nisko i cicho, jakieś bluesowe melodie. Zawsze wyglądał na naćpanego, ale miał ładny głos. I był przyjacielski, uśmiechał się, witał.**

**- Przyjacielski w stosunku do wszystkich?**

**- Do dzieci. Chyba go lubiły, chociaż mam wrażenie, że część z nich się z niego śmiała, z tego, że wyglądał na naćpanego. Tracił pewność siebie tylko wtedy, kiedy był z**

Caroline. W każdym razie już go nie było, a na jego miejsce przyszła jakaś starsza

Latynoska, która nie mówiła po angielsku. Pytałam wszystkich, co się stało z Williem, ale nikt nic nie wiedział.

Poruszyła się w fotelu, położyła dłoń na kolanie.

- W tamten poniedziałek roznosiłam karty, kiedy Larner wezwał mnie do siebie do gabinetu. Miało chodzić o jakieś nowe metody prowadzenia kartotek. Wydawało mi się to dziwne - dlaczego dyrektor chce rozmawiać o procedurach z uczennicą wolontariuszką? Nie chciałam do niego pójść, ale nie miałam jak się wykręcić. Gdybym odmówiła, zarzucono by mi niesubordynację. Więc poszłam, w pokoju przed gabinetem Larnera siedziała sekretarka i to sprawiło, że poczułam się lepiej. Ale ona kazała mi wejść i zamknęła za mną drzwi. Było lato, miałam na sobie białą sukienkę bez ramion i moja opalenizna rzucała się w oczy. Od razu pomyślałam, że on na pewno to skomentuje i że jestem głupia, że nie ubrałam się w coś innego. Ale Larner nawet na mnie nie spojrział. Stał tyłem do mnie z podwiniętymi rękawami i cygarem w ręku, i słuchał kogoś, z kim rozmawiał przez telefon. Stałam blisko drzwi. Kiwał się na piętach i mocno ścisnął słuchawkę - był wielki i obrzydliwie różowy, zaciskał dłoń na słuchawce tak mocno, że skóra mu pobieliała. Wyglądała jak mielonka. Potem odwrócił się bokiem, ale nadal mnie nie zauważył. Wyglądał inaczej niż zwykle. Przedtem zawsze się uśmiechał. Żartował. Teraz był wściekły. Zawsze miał czerwoną twarz, ale wtedy wyglądał jak burak. Pamiętam, że to kontrastowało z jego włosami, jasnymi, prawie białymi, jakby nawoskowanymi. Stałam tak plecami do drzwi, a on warknął coś do słuchawki i rzucił ją. Usłyszałam tylko nazwisko Williego Burnsa, a potem coś w rodzaju "lepiej z tym coś zrobić". I po tych słowach rzucił słuchawkę.

Wyciągnęła rękę.

**- To wszystko. Nie zwróciłam na to uwagi, bo tak naprawdę nie to zapamiętałam najlepiej.**

**- Miała pani własne sprawy - powiedziałem.**

**Opuściła głowę, a potem bardzo powoli ją uniosła. Miała zamknięte oczy i pobladłą twarz.**

**- Kiedy rzucił słuchawkę, zaczął wykręcać następny numer. Potem zobaczył mnie i spojrzał z zaskoczeniem - z zaskoczeniem i nienawiścią. Jakby nie powinno mnie tam być. I nagle pojawił się ten jego uśmiech. Ale gniew pozostał i ta kombinacja mnie przeraziła. Wszedł zza biurka, uścisnął mi dłoń - trzymał ją za długo - kazał mi usiąść i powiedział coś w rodzaju: "Jak się ma moja ulubiona wolontariuszka?" Potem stanął za mną, nic nie mówił i nie ruszał się. Czułam jego cygaro, dym leciał na mnie. Do dzisiaj za każdym razem, kiedy widzę cygaro...**

**Zerwała się i przeszła za biurko, jakby stawiając między nami drewnianą barierę.**

**- Zaczął mówić - cicho, śpiewnie. Jak mi się podoba w Achievement House? Czy praca mnie satysfakcjonuje? Czy myślałam już o zawodzie? Może powinnam zostać nauczycielką, bo dobrze radzę sobie z ludźmi? Nic nie mówiłam, a jemu tak naprawdę nie chodziło wcale o odpowiedzi. To był monolog - hipnotyzujący, usypiający. Potem nagle przestał mówić. Zesztywniałam, a on powiedział: "Nie denerwuj się, Allison. Tutaj wszyscy jesteśmy przyjaciółmi". Przez chwilę, która wydawała mi się długa jak wieczność, nic się nie działo. Potem nagle poczułam, że dotyka palcem mojego policzka, naciska, głaszcze. Powiedział coś o mojej skórze, że jest czysta i świeża, że miło jest widzieć młodą damę, która dba o higienę.**

**Pociągnęła się mocno za włosy. Potem uderzyła obiema dłońmi w stół i spojrzała**



**mi prosto w oczy, jakby wyzywając, bym spróbował odwrócić wzrok.**

**- Dalej mnie głaskał - powiedziała. - To było irytujące, laskotał mnie, więc odsunęłam głowę. A on zachichotał, odwróciłam się i zobaczyłam, że to nie był jego palec. To był jego... och, posłuchaj mnie, mówię jak dziecko - to był jego penis, pocierał nim o mój policzek, naciskał. Byłam w takim szoku, że otworzyłam szeroko usta i to było najgorsze, co mogłam zrobić, bo znów zachichotał i wsadził go całego, i nagle złapał mnie za tył głowy drugą ręką, tą z cygarem. Dym szczypał mnie w oczy, a on wcisnął mi się jeszcze głębiej do ust. Nie mogłam oddychać, zaczęłam się krztusić. Ale miałam otwarte oczy, nie wiem, dlaczego, i widziałam jego białą koszulę i krawat - w paski, niebieskie i czarne - i dół jego twarzy, dygoczące różowe fałdy, a on znów kiwał się na piętach, ale już zupełnie inaczej, dym z cygara szczypał mnie w oczy i zaczęłam płakać. Zesztywniała i przez dłuższą chwilę się nie ruszała.**

**- Nie spuścił się. Dzięki Bogu. Udało mi się wyrwać, uciekłam, nawet się nie obejrzałam. Wróciłam do domu jak żywy trup, wzięłam zwolnienie. Nawet nie musiałam klamać, bo czułam się wstrętnie. Przez kilka dni leżałam w łóżku. Kiedy matka nie słyszała, wymiotowałam, bałam się, czułam się poniżona, a przede wszystkim głupia - cały czas to sobie przypominałam, obwiniałam siebie. Za opaleniznę, sukienkę i to, że się nie pilnowałam... Wiem, że to nigdy nie jest wina ofiary. Bóg jeden wie, ile razy powtarzałam to pacjentom. Ale...**

**- Miałas siedemnaście lat - powiedziałem.**

**- Nie wiem, czy zachowałabym się inaczej, albo czuła inaczej, gdybym miała dwadzieścia siedem. Nie w tamtych czasach. - Przygarbiła się, znów rozpuściła włosy, otarła coś z kącika oka.**

**- Najgorsze było to, że czułam się samotna, opuszczona, bez niczyjego wsparcia.**

Nie mogłam powiedzieć o tym rodzicom, bo nie zniosłabym upokorzenia. Larry'emu Daschoffowi opowiedziałam ocenzurowaną wersję, bo chociaż był moim wychowawcą, miłym i przyjaznym, to jednak był też mężczyzną. A ja nie mogłam pozbyć się przekonania, że to moja wina. Więc przedłużyłam zwolnienie, powiedziałam matce, że mam grypę i nie wychodziłam z pokoju. Ciągle wyobrażałam sobie wszystko, od początku, nawet mi się to śniło - sny były najgorsze. W snach nie udawało mi się uciec, Larner spuszczał mi się do ust, a potem bił mnie, gwałcił i zmuszał do palenia cygara. W końcu zrozumiałam, że zaczynam się rozklejać. Musiałam coś zrobić. Więc znalazłam nazwisko przewodniczącego rady szkoły, prawnika, Prestona jakiegoś tam, i po tygodniu mężczyźni zadzwoniłam do niego. Po kilku próbach udało mi się go zastać i powiedziałam mu o wszystkim, co się stało. Ale nie do końca, tylko złagodzoną wersję. Mówiłam mu o obmacywaniu - tak samo, jak Larry'emu.

Larry mówił mi o obłapianiu.

- Jak zareagował Preston? - spytałem.

- Słuchał. Na początku nie zrobił w ogóle nic. Nie zadawał żadnych pytań, co mnie zdenerwowało. Miałam wrażenie, że uważa mnie za wariatkę. W końcu powiedział, że się do mnie odezwie. Dwa dni później dostałam list z wymówieniem. Zostałam zwolniona za nieprzykładanie się do pracy i nieobecność. Nie pokazałam listu rodzicom, powiedziałam im, że sama odeszłam, bo praca była nudna. Mieli to gdzieś. Moja matka chciała, żebym chodziła na basen, grała w tenisa i umawiała się z chłopakami. Nie podobało jej się, że siedzę cały czas w domu i nie mam swojego towarzystwa. Więc zorganizowała rodzinną wyprawę statkiem wycieczkowym na Alaskę: wielki luksusowy liniowiec pływał między lodowcami, oglądaliśmy młode wydry, a cały ten lód nie był tak zimny, jak moje serce tego lata.

**Wstała i wróciła na Fotel. Próbowała udawać, że nic się nie stało, ale nie udawało jej się.**

**- Nigdy nikomu nie powiedziałam, co się naprawdę stało. Aż do teraz. Ale to złe miejsce i pora, prawda? Wykorzystuję nieznajomego. Przepraszam.**

**- Nie ma za co przepraszać, Allison.**

**- Tyle lat - powiedziała. - A mnie to ciągle gryzie - to, że nie oskarżyłam tego śmiecia. Kto wie, ilu innym kobietom zrobił to samo. Można było temu zapobiec.**

**- To by było twoje słowo przeciwko jego, a on miał władzę - powiedziałem. - Ani tamto nie było twoją winą, ani to.**

**- Wiesz, ile kobiet leczyłam, ilu pacjentkom pomagałam radzić sobie z takim problemem? Nie dlatego, że wyszukuję sobie takie sprawy. Nie dlatego, że używam swoich pacjentów, żeby grzebać we własnych brudach. Dlatego, że to tak cholernie pospolite. Pomagałam swoim pacjentkom, ale kiedy chodzi o mnie samą, tłumię to w sobie. To głupie, prawda?**

**- Nie - powiedziałem. - To ludzkie. Wychwalam wszem i wobec zalety otwierania się i dzielenia swoimi problemami, ale kiedy przychodzi co do czego, zawsze przechodzę przez to sam.**

**- Naprawdę?**

**Kiwnąłem głową.**

**- I teraz też przez coś przechodzisz, prawda?**

**Spojrzałem na nią ze zdziwieniem.**

**- Masz smutne oczy - powiedziała.**

**- Mam pewien problem.**

**- Cóż, wychodzi na to, że jesteśmy pokrewnymi duszami - powiedziała Allison. - I**

**na tym chyba poprzestaniemy.**

**Odprowadziła mnie do poczekalni.**

**- Tak jak powiedziałam za pierwszym razem, jesteś za dobrym słuchaczem.**

**- To ryzyko zawodowe.**

**- Przydało się chociaż? To, że Larner był wściekły na Williego Burnsa?**

**- Tak- powiedziałem. - Wielkie dzięki. Wiem, że to była męka.**

**Uśmiechnęła się.**

**- Nie męka, doświadczenie. Twój problem nie ma nic wspólnego z Caroline**

**Cossack ani Williem Burnsem, prawda?**

**Pokręciłem głową.**

**- Przepraszam - powiedziała. - Nie będę naciskać.**

**Sięgnęła do klamki, ocierając się ramieniem o moją rękę. Poczulem, jakby dotknięcie wyzwoliło ładunek elektryczny. Nagle zrobiłem się twardy jak skała, z trudem panowałem nad oddechem. Żeby jej nie dotknąć.**

**Spojrzała na mnie. W wielkich, niebieskich oczach nie było napięcia, tylko miękkość, smutek, może pożądanie.**

**- To nie była męka - powiedziała. - Miałaś rację. Teraz kolejne wyznanie: czekałam, kiedy cię znowu zobaczę.**

**- Ja też - powiedziałem.**

**Uśmiechnąłem się i wzruszyłem ramionami, ona zrobiła to samo. Uprzejme naśladowanie.**

**- Ty też, ale... - powiedziała. - Ten twój mały problem?**

**Kiwnąłem głową.**

**- Cóż, może w innym życiu, Alex. Jesteś bardzo miły. Powodzenia.**

**- Nawzajem.**

**Przytrzymała otwarte drzwi. Stała w nich, kiedy odchodziłem korytarzem.**

Następnego ranka Milo obudził się wcześniej, przed oczami mając kpiące twarze mężczyzn z Sangre de Leon. Za dużo możliwości, myślał, wszystkich nie obstawię. Powlókł się pod prysznic, ogolił, na chybił-trafił wybrał coś do ubrania. Nastawił ekspres do kawy, spojrzal na zegarek. Siódma trzynaście. Wezwanie do nagłego przypadku wyrwało Ricka z łóżka trzy godziny temu. Milo patrzył w ciemności, jak Rick zakłada kitel, złożony równo na krześle, zabiera z szafki kluczyki do samochodu i wychodzi.

Zatrzymał się, wrócił i pocałował Mila lekko w czoło. Milo udawał, że śpi, bo nie miał ochoty nic mówić, nawet powiedzieć “do widzenia”.

Wieczorem długo rozmawiali, siedząc do późna przy stole w kuchni. Mówił głównie Milo, Rick słuchał, pozornie spokojny, ale Milo wiedział, że był wstrząśnięty spotkaniem z Parisem Bartlettem i plotką o HIV. Przez wszystkie lata, kiedy byli razem, praca Mila nigdy nie zakłóciła ich życia osobistego.

Milo próbował dodać mu otuchy, a Rick pokiwał głową, powiedział, że jest strasznie zmęczony i zasnął, kiedy tylko położył głowę na poduszce.

Milo pozbierał pudełka po chińszczyźnie na wynos, pozmywał naczynia i położył się obok niego. Leżał chyba przez godzinę, słuchając równego oddechu Ricka i rozmyślając.

Cossackowie, Walt Obey, Larner junior, Zarazek Bacilla, Diamentowy Jim Horne.

Oraz gracz, który się nie pojawił. Milo miał przed oczami jego twarz: niewzruszoną, hebanową maskę.

**Wesołek Bartlett, telefon z kadr, plotka o HIV - to wszystko potwierdzało, że w całej sprawie maczał palce John G. Broussard.**

**Milo przypomniawsobie Broussarda - zapach jego cytrusowej wody po goleniu z pokoju przesłuchań sprzed dwudziestu lat. Garnitur na miarę, pewność siebie, wydawanie poleceń. On i jego różowy kolega - Poulsen. Milo nie wiedział, co się stało z tym drugim, ale prosił bardzo, jak daleko zaszedł John G.**

**Biały i czarny w jednym zespole, i to czarny był ważniejszy.**

**Czarny awansujący tak szybko, za starych, rasistowskich czasów wydziału.**

**Oznaczało to, że Broussard miał jakiegoś haka na właściwych ludzi. Prawdopodobnie wykorzystywał to, co odkrył podczas pracy w wydziale wewnętrznym.**

**Pan Nieskazitelny łamane przez Doskonały. A zatuszował sprawę Janie Ingalls i**

**Bóg wie, co jeszcze. Milo też miał w rym swój udział, pozwolił odsunąć się na bok, udawał, że potrafi o wszystkim zapomnieć.**

**Teraz zastanawiał się, co przez to stało się z jego duszą.**

**Nalał sobie kawy, ale mętna ciecz smakowała jak kwas do akumulatora. Wypluł ją i napił się wody z kranu. Wpadające przez kuchenne okno szarożółte światło miało kolor zaschniętej flegmy.**

**Usiadł, wciąż myśląc o Broussardzie.**

**Sąsiad Walta Obey a.**

**Każdy szef policji przed Broussardem mieszkał we własnym domu, ale John G.**

**przekonał burmistrza, żeby ten bezpłatnie ofiarował mu pustą posiadłość przy Irving Street. Dwupiętrowa budowla, przekazana miastu w darze przez spadkobierców od dawna nieżyjącego potentata kolejowego, stała na czterech tysiącach metrów**

**kwadratowych wielkich trawników, basenu i kortu tenisowego. Milo wiedział o tym, bo**

kiedyś został tam przydzielony do ochrony przyjęcia, wydanego na cześć ambasadora jakiegoś małego azjatyckiego państewka, które od tamtej pory zdążyło zmienić nazwę. Początkowo przeznaczony na siedzibę burmistrza dom przy Irving stał pusty przez wiele lat, ponieważ poprzedni burmistrz miał własną posiadłość w Brentwood, a jeszcze większej posiadłości obecnego, w Pacific Palisades, też niczego nie brakowało. John G. Broussard przed nominacją mieszkał w niedużym domu w Ladera Heights i stwierdził, że musi być bliżej komendy głównej.

Ladera Heights znajdowało się pół godziny jazdy w stronę centrum, posiadłość na Irving piętnaście minut ulicą Szóstą. Burmistrz z Westside mógł jechać nawet godzinę, ale nikt nie dostrzegł wewnętrznej sprzeczności rozumowania Johna G. i nowy szef policji zamieszkał w pałacu. Na Irving Street, trochę ponad kilometr od posiadłości Walta Obeya na Muirfield.

Obey był jednym z największych zwolenników burmistrza. Wspierał kandydaturę Broussarda jako szefa policji przez ponad trzy lata.

Burmistrz, Obey i Broussard. Obey i zgraja bandziorów przy wspólnej kolacji, w prywatnej sali Sangre de Leon.

Prywatna przedsiębiorczość, władze miejskie i długie ramię sprawiedliwości ręka w rękę. A Schwinn wrzucił Mila prosto między nich.

Milo wyszedł z domu, rozejrzał się, spojrzal przez ramię i wsiadł do taurusa.

Ruszył na północ. Zidentyfikowanie dupka, który podawał się za Parisa Bartletta nie powinno być problemem, jeśli przecucie Mila, że nasłał go wydział było słuszne.

Wystarczyło pojechać do akademii policyjnej w Elysian Park i przejrzeć zdjęcia. Ale to by było zbyt ryzykowne - to właśnie jego wycieczki do Parker Center i z powrotem mogły obudzić czyjaś czujność. Poza tym Bartlett był pionkiem, posłańcem i czy tak



**naprawdę było ważne, kto go wysłał?**

**Może powinien wrócić do Ojai i trochę tam powęszyć? Ale czego jeszcze mógłby się dowiedzieć? Ogniwem z Ojai był Schwinn, a jego już nie było.**

**Spadł z przeklętego konia...**

**Milo zjechał do krawężnika, wyjął komórkę i z informacji zdobył numer kostnicy hrabstwa Ventura. Podając się za detektywa ubezpieczeniowego spędził następne pół godziny, wykręcając numer za numerem i próbując wydobyć wszystkie fakty dotyczące śmierci Schwinna.**

**W końcu telefon odebrał asystent koronera, który coś wiedział. Śmierć w karcie opisano tak, jak przedstawiła to Marge: rozległe obrażenia głowy i złamania żeber, mogły być wynikiem upadku, dużo krwi na pobliskim glazie. Zgon w wyniku wypadku, brak podejrzanych okoliczności. W krwioobiegu Schwinna nie wykryto gorzały ani prochów. Ani u konia, dodał asystent. Test na obecność narkotyków u konia był trochę dziwny i Milo powiedział to głośno.**

**- Na specjalne życzenie wdowy - odparł asystent, sądząc po głosie facet w średnim wieku, o nazwisku Olivas. - Chciała, żebyśmy sprawdzili konia, i była gotowa ponieść koszty.**

**- Podejrzewała coś?**

**- Mam tu napisane tylko tyle, że zażyczyła sobie dokładnego testu na obecność narkotyków we krwi Akhbara - to ten koń. Przekazaliśmy to lekarce z Santa Barbara, a ona przesłała nam wyniki. Pani Schwinn dostała rachunek.**

**- A więc koń był czysty - powiedział Milo.**

**- Jak śnieg - odparł Olivas. - Ale porządnie pokancerowany. Miał dwie złamane nogi i ranę na szyi. Kiedy wdowa go znalazła, leżał na ziemi i kwiczał, właściwie już było**

po nim. Musiała go dobić. O co chodzi, towarzystwo ubezpieczeniowe ma jakiś problem?

- Nie, tylko sprawdzam.

- To był wypadek, ten facet był stary - powiedział Olivas. - Jeździć konno w tym wieku, co mu strzeliło do głowy?

- Prezydent Reagan jeździł jeszcze po osiemdziesiątce.

- Jasne, ale o niego dbały służby specjalne. To tak, jak ze starymi ludźmi, co jeżdżą samochodami: mój tata ma osiemdziesiąt dziewięć lat, jest ślepy jak kret nocą, ale upiera się, że musi jeździć do miasta, bo tylko tam mają prawdziwe *menudo*. Tacy ludzie i ci, co rozmawiają w czasie jazdy przez komórki... dajcie spokój. Gdyby pan widział codziennie to, co ja, co tu przywożą, to by się pan przestraszył.

- Już się boję - powiedział Milo, ściskając telefon.

- Oplaca się bać.

Łaknął kofeiny i cholesterolu, więc pojechał do Farmers Market na rogu Fairfax i Trzeciej, gdzie zamówił omleta z zielonym chili. Dopchnął tostami w DuPars.

Przyglądał się bezdomnemu, siedzącemu stolik dalej. Żuł miał na sobie trzy kurtki i ściskał poobijane pudło gitary bez strun. Na widok instrumentu Milo pomyślał o Robin, ale panika w oczach bezdomnego przywróciła go do rzeczywistości.

Mierzyli się wzrokiem, aż bezdomny rzucił w końcu na stół kilka dolarów i odszedł, bełkocząc coś do swoich demonów. Milo mógł wreszcie w spokoju zająć się jedzeniem.

Po raz kolejny, pomyślał, zło i występki musiały ustąpić...

Ale potem kelnerka uśmiechnęła się do niego i pokazała podniesiony kciuk, a

Milo poczuł się, jakby faktycznie coś osiągnął.

Ponieważ wciąż był głodny, zamówił jeszcze naleśniki, popił wszystko czarną

kawą, a potem obszedł market dookoła, omijając turystów, z nadzieją, że ten spacer pomoże mu zacząć myśleć. Ale nie pomógł; obejrzał więc kilka stoisk z owocami, które widział pierwszy raz w życiu, kupił torebkę orzeszków i wyszedł ze sklepu. Pojechał Fairfax na południe, potem skręcił w lewo w Szóstą, przy starym biurowcu May Company, teraz należącym do muzeum sztuki.

Oficjalna rezydencja Johna G. Broussarda była pięknie zadbana - na zielonych jak Irlandia trawnikach rosło w klombach więcej kwiatów, niż Milo zapamiętał z dyplomatycznego przyjęcia. Na środku trawnika postawiono maszt; w południowej bryzie łopotała flaga Stanów Zjednoczonych i kalifornijski niedźwiedź.

Nie było murów, płotów i mundurowych policjantów, patrolujących posiadłość, ale podjazd zagradszała brama z kutego żelaza. Między grubymi prętami Milo zobaczył czarno-biały patrolowiec, a za nim nowy model białego cadillaca. Cadillac należał pewnie do pani Broussard. Milo zapamiętał ją jako drobną, ładną kobietę z farbowanymi włosami i zrezygnowanym spojrzeniem żony polityka. Jak ona miała na imię... Bernadette... Bernadine? Czy ona i John G. mieli dzieci? Milo nigdy o nich nie słyszał i nagle zrozumiał, jak mało wie o życiu osobistym szefa policji. Albo jak niewiele ujawniał szef policji.

Siedem przecznic na zachód i niecały kilometr na południe rozciągała się posiadłość Walta Obeya przy Muirfield. Siedlisko miliardera leżało na samym końcu drogi, przy Wilshire Country Club. Domu nie było widać zza trzymetrowego muru, przerwanego matowoczną, stalową bramą. Obok, na słupku, zainstalowano kamerę. Mur sugerował, że za nim rozciąga się olbrzymia posiadłość; Milowi przypomniła się siedziba barona Loetza, sąsiada Cossacków. Czy Obey siadywał wieczorami na werandzie, popijając gin i podziwiając to, co darował mu Bóg?

**Osiemdziesiąt lat na karku, a mimo to spotykał się z ludźmi pokroju Cossacków.**

**Czyżby zanosilo się na gruby interes?**

**Milo zdał sobie sprawę, że gapi się na bramę posiadłości Obeya. Kamera na słupku pozostała nieruchoma. Obey mieszkał dość blisko, by John G. mógł tu przybiec podczas porannego joggingu. Razem na werandzie? Planowanie. Zarządzanie. Nagle Milo poczuł się mały i bezbronny. Opuścił szybę, usłyszał świergot ptaków i szmer wody za murem. Potem kamera zaczęła się obracać. Automatyczny obwód, a może ktoś zauważył jego obecność. Milo wycofał, zawrócił i odjechał.**

**Kilka minut później stał już na McCadden, niedaleko Wilshire, z telefonem przy uchu. Pooszukiwał jeszcze trochę wydział komunikacji i zdobył kolejne adresy, a musiał przyjrzeć się im wszystkim.**

**Michael Lerner mieszkał w luksusowym apartamentowcu na wschód od Westwood, w Wilshire Corridor. Różowy marmur i kiczowata cegła, przed drzwiami odźwierny, wielka fontanna. Siedziba Bradleya w Santa Monica Canyon okazała się niedużym niebieskim domkiem z niesamowitym widokiem na ocean i tabliczką “do wynajęcia” na trawniku. Na podjeździe nie stał żaden samochód, a trawniki wyglądały na nieco zaniedbane, a więc Brad mieszkał gdzie indziej.**

**Garvey Cossack junior i jego brat Bob gnieździli się razem w Carolwood w Holmby Hills, w prostej linii niedaleko od domu Alexa, ale finansowo w zupełnie innym świecie.**

**Carolwood było uroczym wzgórzystym zakątkiem; wzdłuż krętych uliczek rosły stare drzewa, a okolica należała do najdroższych w całym Los Angeles. Domy były w większości architektonicznymi arcydziełami, trawniki wyglądały jak ogrody botaniczne - całość emanowała klasą, której nadać może tylko wiele lat starań i dbałości.**

**Dom Cossacków był obrzydliwie wulgarną, pokrytą niebieską dachówką i potwornie zwieńczoną stertą szarego piaskowca, usypaną na szczycie gołego wzgórza. Nigdzie w zasięgu wzroku nie rosła trawa ani drzewa. Tylko fasada domu wyłożona była kamieniem, resztę ścian pokrywał nierówny tynk. Niestaranna murarka. Tandetny biały metalowy płot i elektrycznie otwierana brama oddzielały posesję od ulicy, ale pozbawiony osłony roślin dom był doskonale widoczny; piekł się na słońcu, rażąc bielą ścian, pokrytych odłóżkami miejscami farbą.**

**Podwójny kontener z wysypującymi się śmieciami świadczył o pracach budowlanych, ale nie było widać żadnych robotników. Zasłony w oknach zaciągnięto, resztę obszernego podjazdu zajmowało miniaturowe muzeum samochodów.**

**Śliwkowy rolls-royce corniche, czarny humvee z zaciemnionymi szybami, czerwone - a jakżeby inne - ferrari, najbardziej ze wszystkiego, co Milo widział, przypominające penisa na kołach, żółta jak taksówka pantera, dwa dodge vipery, jeden biały z niebieskim pasem, drugi antracytowo szary z pasem pomarańczowym i, na koniec, biały corvette ze składanym dachem. Wszystko to pod obwisłą, płócienną wiatą, rozpiętą na metalowych słupkach. Z boku, w pełnym słońcu, dziesięcioletnia honda, na pewno wóz pokojówki.**

**Wielki dom i tyle samochodów, ale nie ma ogrodu. Dokładnie coś takiego zbudowałyby sobie dwóch nastolatków, gdyby mieli nieograniczony dostęp do pieniędzy; Milo był gotów się założyć, że Cossackowie mieli wart co najmniej sześciocyfrową sumę sprzęt grający, nowoczesne domowe kino, pub i jeden albo dwa pokoje do gier. Zaczynał o nich myśleć jak o dwóch przypadkach poważnego opóźnienia w rozwoju.**

**Taki dom musiał wywoływać skargi mieszkańców bogatej dzielnicy, co oznaczało, że Milo miał już czego szukać.**

Pojechał do miejskiego archiwum, dotarł tam przez korki dopiero na drugą i przeszukał dział skarg. Jak się spodziewał, znalazł trzy zażalenia złożone na Cossacków, wszystkie przez mieszkańców Carolwood, zirytowanych hałasem, brudem i innymi niedogodnościami, spowodowanymi “przeciągającą się budową”. Wszystkie oddalono z braku podstaw.

Przeszedł do aktów własności, sprawdził Cossacków, Walta Obeya, obu Larnerów i Johna G. Broussarda.

Majątek Obeya chroniły holdingi, zapora, której sforsowanie trwałoby kilka tygodni, jeśli nie miesięcy. Tak samo było w przypadku Larnerów i Cossacków, chociaż każdy z nich posiadał kilka nieruchomości prywatnie. Larnerowie mieli pół tuzina mieszkań w budynku Marina del Rey, zapisanych wspólnie na ojca i syna. Cossackowie byli zarejestrowani jako właściciele szesnastu pawilonów handlowych pod miastem. Chłopcy mieszkali i pracowali razem. Jakie to wzruszające.

Nic nie zapisano na siostrę Caroline.

Milo zastanowił się przez chwilę, po czym sprawdził Georgiego Niemierowa.

Poręczyciel i jego matka posiadali wspólnie domek jednorodzinny w Van Nuys - Milo rozpoznał go jako rodzinne siedlisko sprzed dwudziestu lat - oraz sześciopokojowe mieszkanie w Granada Hills, również zarejestrowane na George’a i Ivanę Niemierowów. Cokolwiek Georgie zrobił lub nie, nie posiadał imperium nieruchomości.

John G. Broussard i jego żona - Bernadelle - posiadali dom w Ladera Heights oraz trzy sąsiednie działki na Zachodniej 156 w Watts. Mógł to być spadek po rodzicach żony szefa policji.

Ale też nie imperium. O cokolwiek chodziło Johnowi G., nie były to nieruchomości. Chyba, że był właścicielem jakiejś części terenów Walta Obeya.

Milo sprawdził Melinę Waters i jej matkę, Eileen, ale nic nie znalazł.

Zastanawiał się, co dalej, kiedy przyszedł urzędnik archiwum i powiedział mu, że już zamykają. Milo wyszedł i zaczął jeździć tam i z powrotem Tempie Street, obok miejsca, w którym Schwinn zauważył Tonyę Stumpf. Teraz był tam parking Music Center, zapelniony, jak co dzień, samochodami urzędników miejskich i klientów sądu, którego budynek wznosił się nieco dalej. Mnóstwo ludzi, wielki ruch, ale Milo czuł się obco - nie potrafił wyczuć ich rytmu.

Ruszył w stronę domu, powoli, nie przejmując się wyziewami godzin szczytu, korkami na odcinkach robót drogowych i głupotą co najmniej pięćdziesięciu procent pozostałych kierowców - wszystkimi urokami miasta, które zazwyczaj podnosiły mu ciśnienie i sprawiały, że zaczynał się zastanawiać, dlaczego zdecydował się na takie życie. Stał na czerwonym świetle na Highland, kiedy zadzwonił telefon.

- Złapałem cię - usłyszał głos Aleksa. - To dobrze.

- Co jest?

- Może nic, ale moja informatorka, kobieta, którą molestował Michael Larner, znów się do mnie odezwała. Widziałem się z nią wczoraj wieczorem. Wygląda na to, że kiedy Larner się do niej dobierał, był wściekły na Williego Burnsa. Rozmawiał z kimś o nim. Willie nie pracował już wtedy od kilku dni w Achievement House, a Larner pewnie dowiedział się, kim był, i wściekł się, bo Burns zniknął.

- Wściekł się - powtórzył Milo.

- Tak mi to opisała. Weszła do jego gabinetu akurat w chwili, kiedy kończył rozmawiać, powiedziała, że Larner był czerwony i zdenerwowany. Potem się uspokoił i zwrócił uwagę na nią. Co mogło być czymś więcej niż tylko zbiegiem okoliczności.

Gwałciciele i napastnicy seksualni często podniecają się w złości. W każdym razie, to

**pewnie nic takiego, ale pasuje do naszej roboczej hipotezy: Cossackowie zobowiązali Larnera, żeby przechował Caroline, aż sprawa Janie Ingalls przycichnie. Burns skontaktował się z Caroline i przysnął, a rodzina spanikowała. Ale nie znaleźli go, udało mu się nawet zniknąć po aresztowaniu za prochy, bo Borys Niemierow natychmiast za niego poręczył. Cztery miesiące później Burns na niego napadł.**

**- Ciekawe - powiedział Milo. - Dobra robota. - Streścił Aleksowi, co widział poprzedniego wieczora w Sangre de Leon.**

**- Gruba forsa - mruknął Alex. - Stara śpiewka. Jeszcze jedno: kiedy szukałem w Internecie Melindy Waters, znalazłem kilka odpowiedzi, ale je zignorowałem. Potem zdałem sobie sprawę, że w przypadku jednej z nich mogłem się za bardzo pospieszyć. Prawniczka w Santa Fe w Nowym Meksyku, specjalistka od upadłości i eksmisji. Wyobrażałem sobie Melinę jako naćpaną wagarowniczkę, nie wydawało mi się, żeby dało się to połączyć z karierą prawniczą, ale twoja uwaga, że może teraz mieć rodzinę i domek z ogródkiem, dała mi do myślenia, więc jeszcze raz wszedłem na jej stronę i sprawdziłem biografię. Ma trzydzieści osiem lat, czyli dokładnie tyle, ile miałaby nasza Melinda. A college skończyła w wieku trzydziestu jeden, szkołę prawniczą, kiedy miała trzydzieści cztery. Przedtem pracowała przez trzy lata w różnych kancelariach, ale nie wiadomo, co robiła w okresie od osiemnastu do dwudziestu ośmiu lat. I jeszcze jedno: uczyła się w Kalifornii. Ukończyła studia na uniwersytecie stanowym w San Francisco, a prawo w Hastings.**

**- Hastings to dobra szkoła - powiedział Milo. - Bowie Ingalls opisał Melinę jako życiową ofiarę.**

**- Bowie Ingalls nie był najlepszym sędzią. A ludzie się zmieniają. Gdybym w to nie wierzył, wybrałbym inny zawód.**



- **Upadłości i eksmisje... W końcu wszystko jest możliwe.**
- **Może to nie nasza dziewczyna, ale nie sądzisz, że warto sprawdzić?**
- **Znalazłeś jeszcze coś ciekawego w jej biografii?**
- **Nie. Mąż, dwoje dzieci. Czy w Santa Fe mają domki z ogródkami? Łatwo to sprawdzić. Póltorej godziny lotu do Albuquerque, godzina jazdy samochodem do Santa Fe, a Southwest Airlines mają tanie bilety.**
- **Zadzwonienie do niej byłoby za proste - powiedział Milo.**
- **Jeśli chce odciąć się od swojej przeszłości, może kłamać. Mamy lot jutro rano, o siódmej czterdzieści pięć. Zabukowałem dwa miejsca.**
- **Śliczna manipulacja. Jestem z ciebie dumny.**
- **Zimno tam u nich - powiedział Alex. - Od minus pięciu do plus pięciu, gdzieś leży śnieg. Ubierz się ciepło.**

O siódmej piętnaście Milo i ja staliśmy na końcu długiej kolejki do bramki Southwest Airlines. Terminal przypominał Ellis Island, punkt przyjmowania imigrantów z Europy w Nowym Jorku: zmęczone sylwetki, zmartwione spojrzenia, językowa wieża Babel.

- Myślałem, że mamy zarezerwowane miejsca - powiedział Milo, wychylając się, żeby zobaczyć początek kolejki.

- Mamy bilety elektroniczne - wyjaśniłem. - W Southwest mają taki system, że czeka się na przydział miejsca. Wpuszczają na pokład grupami i rozdają takie małe plastikowe plakietki z numerem miejsca.

- Wspaniale... Wezmę pół tuzina bułeczek, cienko krojony razowiec i dwie bulki z cebulą.

Samolot był ciasny i zatłoczony, ale lot minął przyjemnie, w towarzystwie doświadczonych, miłych pasażerów i stewardów, którzy uważali się za samych komików, jeden w drugiego. Wylądowaliśmy przed czasem na pokrytym łatami śniegu asfalcie i przestawiliśmy zegarki godzinę do przodu. Lotnisko Sunport było skromne i przyjemnie ciche, utrzymane w ziemistych brązach, turkusie i glinianym beżu; zewsząd wyzierały nawiązania do kultury zdziesiątkowanych Indian.

W wypożyczalni wzięliśmy forda escorta. Ja prowadziłem. Pojechaliśmy na północ autostradą numer 25, w stronę Santa Fe, czując, jak wiatr kołysze naszym małym samochodem. Pobocza pokrywał śnieg - czyste, białe zaspy - ale jezdnia była odśnieżona, a niebo większe i bardziej błękitne, niż kiedykolwiek to sobie wyobrażałem. Kiedy otworzyłem okno, żeby posmakować powietrza, twarz owiał mi czysty słodki

**chłód.**

**- Fajnie - powiedziałem.**

**Milo odchrząknął.**

**Obrzeża miasta, bary szybkiej obsługi i indiańskie kasyna szybko ustąpiły miejsca długim połaciom pustyni, okolonym purpurowymi szczytami gór Sangre de Cristo. Przewór nieba zrobił się jeszcze większy.**

**- Cudownie - powiedziałem.**

**- Patrz - powiedział Milo. - Tu jest ograniczenie do stu dwudziestu. Depnij trochę mocniej.**

**Im bliżej byliśmy Santa Fe, tym autostrada bardziej się wznosiła, a znaczniki wysokości nad poziomem morza stopniowo doszły do dwóch tysięcy metrów. Pędziłem przez najwyżej położoną pustynię, pozbawioną kaktusów i bezmiaru piasków. Spod topniejącego w górach śniegu wzyierała zieleń, tak samo na równinach, porośniętych odpornymi na wiatr i suszę drzewami *pinon*, starymi, postrzępionymi i przygiętymi do ziemi darwinowskimi zwycięzcami, a od czasu do czasu dumnym pionem gołych topoli. Miliony drzew przykrytych białymi czapami, ani jednej chmurki na niebie.**

**Zastanawiałem się, czy mecenas Melinda Waters wstała dziś rano i pomyślała, że zapowiada się wspaniały dzień. Czy będziemy dla niej drobną przykrością, czy najściem, którego nigdy nie zapomni?**

**W Saint Francis skręciłem na Cerrilos Road i wjechałem w południową część Santa Fe. Nie różniła się specjalnie od innych małych miast, z centrami handlowymi, salonami samochodowymi, stacjami benzynowymi i inną przedsiębiorczością, która zazwyczaj rozkwita w pobliżu autostrad. Biuro Melindy Waters znajdowało się przy ulicy Paseo de Peralta, a według mapy, którą wziąłem z wypożyczalni samochodów,**

krzyżowała się ona z Cerrillos. Nie zgadzały mi się jednak numery posesji, więc pojechałem według znaków na północ, do centrum, i nagle znaleźliśmy się w innym świecie. Wąskie, po części brukowane ulice zmusiły mnie do zmniejszenia prędkości. Mijałem parterowe, hiszpańskie kolonialne domy, żółte, brzoskwiniowe i złote. Kałuże topniejącego lodu lśniły jak opale. Bujne drzewa rosnące wzdłuż drogi otrząsnęły się jakoś z szadzi, a przez ich gałęzie przebijał błękit nieba.

Północną stronę ulicy zajmowały galerie sztuki, studia rzeźby i szkła, sklepy z luksusowymi artykułami gospodarstwa domowego, markowymi ubraniami i ręcznie robionymi meblami, oprawianie obrazów. Ze wszystkich stron kusiły kawiarnie i restauracje nigdy niesplamione logiem żadnej korporacji, obiecując wszystko, od fasoli na boczku po *sushi*. Wszyscy jeździli terenówkami, a na chodnikach tłoczyli się weseli ludzie w dżinsach, zamszach i kowbojskich butach, które nigdy nie zaznały nawozu.

Dotarliśmy do centralnego placu, otoczonego niskimi sklepami, kwadratowego skweru z ocienioną drzewami sceną, i minęliśmy kryty pasaż niedaleko Pałacu Gubernatora. Siedziało tam kilka tuzinów Indian, sprzedających z rozłożonych przed sobą koców srebrną biżuterię. Po drugiej stronie placu stała masywna, kanciasta budowla z kamienia, bardziej europejska niż amerykańska. Jeszcze kilka restauracji i galerii, kilka luksusowych hoteli, i nagle Paseo de Peralta zniknęła.

- Wszystko to pięknie - powiedział Milo - ale jeździmy w kółko.

Na Washington Avenue, w cieniu łososioworóżowego kościoła wypatrzyłem parę siwowłosych staruszków w identycznych wełnianych kamizelkach. Prowadzili ze sobą angielskiego owczarka, który mógł być źródłem surowca na ich ubranie. Zapytałem ich o drogę. Mężczyzna miał kraciatą czapkę, kobieta zaś długie, siwe, splecione w warkocze włosy, spięte srebrnymi motylami. Jej makijaż był z rodzaju tych, które mają

udawać brak makijażu, miała wesołe oczy i uśmiech w zanadrzu. Kiedy pokazałem jej adres, zachichotała.

- Chodzi wam o północną część Paseo de Peralta. Ta ulica zakręca na Plaza.

Herb, gdzie dokładnie jest ten dom?

Mężczyźnie udzieliło się jej rozbawienie. Przynajmniej kogoś uszczęśliwiłem.

- Tam, mój przyjacielu, przecznicę dalej.

Biuro Melindy Waters zajmowało jeden z sześciu lokali w piaskowym budynku, przylegającym do włoskiej tawerny. Z komina restauracji unosiły się bajkowe chmurki dymu i kuchenne zapachy, od których uruchomiły mi się ślinianki. Potem pomyślałem o tym, co nas czeka i mój apetyt nagle zniknął.

Biura wychodziły na duży otwarty parking, za którym wznosił się wał ziemny i zwarta ściana drzew, jakby teren - całe miasto - graniczyło z lasem. Zaparkowaliśmy samochód i wysiedliśmy. Powietrze było mroźne i świeże.

Do każdego biura prowadziło osobne wejście. objaśnienia umieszczono na drewnianej tablicy, obwieszanej kamyczkami. Czterech innych prawników, psychoterapeuta, masaż terapeutyczny, antykwariusz i galeria szkiców. *Deja vu*, jesteśmy w Ojai.

Drzwi do biura Melindy Waters były otwarte, a w jej poczekalni pachniało kadzidłem. Duże rdzawoczerwone fotele z frędzlastymi poduszkami stały wokół starego czarnego chińskiego stołu. Na nim leżały książki o sztuce, magazyny wnętrzarskie, mosiężna misa z landrynkami i koszyki potpourri. Czy cokolwiek z tego mogło złagodzić ból upadłości i eksmisji?

Przed drzwiami w głębi, za starym dębowym biurkiem siedziała Indianka o okrągłej twarzy. Stukała w klawiaturę szarego laptopa. Miała na sobie różową bluzę, a

w uszach duże, kołyszące się kolczyki - złote, kanciaste i o geometrycznych kształtach, pasujące bardziej do Nowego Jorku niż Nowego Meksyku. Kiedy podeszliśmy do biurka, spojrzała na nas, nie zmieniając obojętnego wyrazu twarzy i nie przerywając pisania.

- Czym mogę służyć?

- Czy zastaliśmy panią Waters?

- Byliście panowie umówieni?

- Nie, proszę pani - powiedział Milo, wyciągając legitymację.

- Los Angeles - stwierdziła recepcjonistka. - Policja. Przejechaliście taki kawał, żeby porozmawiać z Mel.

- Tak, proszę pani.

Indianka przyjrzała się uważnie legitymacji.

- Zabójstwa.

Bez zaskoczenia. W ogóle bez wyrazu. Sięgnęła po słuchawkę telefonu.

Melinda Waters miała metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, była zaokrąglona i piersiasta. Zielony, szyty na miarę kostium, którego kolor podkreślało tło - stojący za nią regał z prawniczymi księgami. Jej oczy miały kolor zieleni wpadającej w szarość, a włosy były złote jak miód, krótko przycięte i zaczesane do tyłu znad twarzy o proporcjonalnych rysach, zmiękczone pełnymi ustami i zaczątkiem podwójnego podbródka. Duże okrągłe okulary w rogowych oprawkach idealnie pasowały do smukłego, prostego nosa, na którym spoczywały. Waters miała uszminkowane błyszczące usta i imponujący manicure, a pierścionek z brylantem na jej palcu wyglądał na co najmniej dwa karaty.

Ledwie zaszczyciła nas spojrzeniem, roztaczała wokół siebie aurę znudzonej

kompetencji, ale nie bardzo się jej to udawało. Kiedy ją zobaczyłem, poczułem ukłucie adrenaliny. To była ta sama twarz, którą widziałem w księdze rocznika szkoły Hollywood High. Milo też ją poznał. Uśmiechał się uprzejmie, ale w miejscu, gdzie szczęka stykała się z bakami, wyskoczyły mu guzy wielkości wiśni.

Melinda Waters spojrzała na jego legitymację i machnięciem ręki wskazała nam dwa krzesła przed biurkiem.

Jej gabinet, utrzymany w kolorze rdzy, był nieduży - właściwie maleńki, ledwie mieścił regał z książkami, biurko i czerwony lakierowany stolik pod ścianą, na którym w niebiesko-białym wazoniku stała samotna orchidea. Na ścianach wisiały krajobrazy: zielone wzgórza nad oceanem, dęby, pola maków. Kalifornijski sen. Resztę miejsca zajmowały rodzinne fotografie. Melinda Waters z wysokim, szczupłym, brodatym mężczyzną i dwoma psotnie wyglądającymi chłopcami, w wieku około sześciu i ośmiu lat. Narty, nurkowanie, konie, wędkowanie. Zgrana rodzina...

- Detektywi z wydziału zabójstw. No, to jakaś odmiana. - Cichy głos z nutką sarkazmu. W normalnych okolicznościach Melinda Waters była prawdopodobnie wcieleniem profesjonalizmu, ale lekkie drżenie jej głosu wskazywało, że nie udaje, że nasza wizyta to dla niej codzienność.

- Odmiana od czego, proszę pani? - spytał Milo. .

- Od moich wyobrażeń na temat tego, co będę robić przed lunchem. Szczerze mówiąc, nie rozumiem. Nie pracuję nad żadną sprawą z Los Angeles, nie mówiąc już o zabójstwie. Specjalizuję się w prawach najemców i finansowych...

- Janie Ingalls - powiedział Milo.

Melinda Waters westchnęła. To było bardzo długie westchnienie.

Przełożyła jakieś papiery i długopisy, zamknęła laptopa i poprawiła włosy. W

końcu wcisnęła guzik interkomu.

- Nie łącz mnie z nikim, Inez.

Odjechała z fotelem kilkanaście centymetrów do tyłu, opierając się o regał.

- To imię i nazwisko z bardzo dawnych czasów. Co się jej stało?

- Nie wie pani?

- Cóż - powiedziała. - Ma pan legitymację wydziału zabójstw, więc chyba mogę zgadywać?

- Może pani.

Melinda Waters zdjęła okulary i pięścią przetarła oko. Uszminkowane usta zadrżały.

- O, cholera. Chyba cały czas wiedziałam. Ale... ja tak naprawdę nie... cholera.

Biedna Janie... to takie... paskudne.

- Bardzo - zgodził się Milo.

Melinda wyprostowała się w fotelu, jakby zebrała resztki sił. Jej oczy nabrały innego wyrazu - szukały, analizowały.

- A panowie przyjechali tu, po tylu latach, ponieważ...?

- Ponieważ to wciąż otwarta sprawa, pani Waters.

- Otwarta, czy otwarta na nowo?

- Nigdy nie została oficjalnie zamknięta.

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że policja Los Angeles pracowała nad nią przez dwadzieścia lat?

- Czy to ważne, proszę pani?

- Nie... chyba nie. Gadam bez sensu... to naprawdę... to dla mnie zupełne zaskoczenie. Dlaczego panowie tu przyjechali?



- Ponieważ jest pani jedną z ostatnich osób, które widziały Janie Ingalls żywą, ale nikt nie spisał pani zeznań. Prawdę mówiąc, dopiero niedawno dowiedzieliśmy się, że pani sama nie została ofiarą.

- Ofiarą? Myśleliście, że... o, rany.

- Ciężko było panią znaleźć, pani Waters. Tak samo jak pani matkę...

- Moja matka zmarła dziesięć lat temu - powiedziała. - Rak płuc, umarła w Pensylwanii, skąd pochodziła. Przedtem miała odnę płucną. Wiele wycierpiała.

- Przykro mi to słyszeć.

- Mnie też było przykro - powiedziała. Wyjęła złote pióro z kubka i zaczęła nim balansować między palcami wskazującymi obu dłoni. Jej gabinet przypominał pudełko z biżuterią, wszystko zostało w nim skrupulatnie zaaranżowane.

- Cały czas myśleliście, że ja mogę... to takie dziwne. - Słaby uśmiech. - A więc narodziłam się na nowo?

Pióro spadło ze stukiem na biurko. Pani Waters złapała je i włożyła z powrotem do kubka.

- Czy mogłaby pani opowiedzieć nam wszystko, co pamięta z tamtego wieczoru?

- Próbowałam dowiedzieć się, gdzie jest Janie. Dzwoniłam do jej ojca, poznaliście go.

- On też nie żyje, proszę pani.

- Jak umarł?

- Zginął w wypadku samochodowym.

- Jechał po pijanemu?

- Tak.

- Nie dziwi mnie to. Co za gnida, zawsze naprany. Nie znosił mnie, i to z

wzajemnością. Pewnie dlatego, że wiedziałam, że będzie mnie obmacywał, jak tylko dam mu okazję, więc mu jej nie dałam, zawsze spotykałam się z Janie na ulicy.

- Zaczepiał panią? - spytał Milo.

- Nie dałam mu szansy, ale miał jasne zamiary. Żartował, rozbierał mnie w myślach. Poza tym wiedziałam, co zrobił Janie.

- Molestował ją seksualnie?

- Tylko po pijanemu - powiedziała kpiąco Waters. - Nie mówiła mi, dopiero

krótco przed tym, jak ją... kiedy widziałyśmy się po raz ostatni. Chyba do mówienia skłoniło ją to, że miała paskudną przygodę jakiś miesiąc wcześniej. Łapała stopa, zabrał ją jakiś zboczeniec. Zawiózł ją do hotelu w centrum, związał i zrobił z nią, co chciał.

Kiedy powiedziała mi o tym, nie wydawała się specjalnie zdenerwowana. Właściwie była jakby zblazowana. Początkowo jej nią uwierzyłam, bo Janie często zmyślała. Ale potem podwinęła dzinsy i top i pokazała mi ślady po sznurach, którymi związał jej kostki i nadgarstki. Szyję też. Kiedy to zobaczyłam, powiedziałam: "Jezu, mógł cię udusić". A ona tylko zamknęła się w sobie i nie chciała o tym więcej mówić.

- Co powiedziała o mężczyźnie, który to zrobił?

- Że był młody, przystojny i miał świetny samochód; dlatego wsiadła. Ale szczerze mówiąc, Janie prawdopodobnie pojechałaby z każdym. Przez większość czasu nie wiedziała, co robi, była naćpana albo pijana. Nie miała zahamowań.

Pani Waters zdjęła okulary i zaczęła się nimi bawić. Spojrzała na rodzinne zdjęcie.

- Co ze mnie za prawnik, zaraz wszystko wypaplam. Zanim przejdziemy dalej, muszą mnie panowie zapewnić, że to wszystko zostanie między nami. Mój mąż jest osobą publiczną.

**- Czym się zajmuje?**

**- Jim jest asystentem gubernatora. Zajmuje się współpracą z wydziałem autostrad. Zachowałam w pracy panieńskie nazwisko, ale mimo to wszystkie nieprzyjemne rzeczy można z nim powiązać.**

**- Zrobię, co będę mógł, proszę pani.**

**Pani Waters potrząsnęła głową.**

**- To nie wystarczy. - Wstała. - Obawiam się, że to spotkanie właśnie się zakończyło.**

**Milo założył nogę na nogę.**

**- Pani Waters, przyjechaliśmy tu wysłuchać, co pani pamięta w związku z Janie Ingalls. Nikt nie zakłada jakiegokolwiek pani udziału...**

**- Oczywiście, że nikt nie założył mojego udziału. - Melinda dźgnęła palcem powietrze. - Nawet mi to przez myśl nie przeszło, na litość boską. Ale to, co się stało z Janie dwadzieścia lat temu, to nie moja sprawa. Proszę wyjść.**

**- Pani Waters, wie pani równie dobrze, jak ja, że nie mogę zagwarantować poufności. To zależy od prokuratora. Jestem z panią szczery i byłbym wdzięczny za to samo z pani strony. Jeśli nie zrobiła pani nic złego, nie ma się pani czego obawiać. A odmowa współpracy nie ochroni pani męża. Gdybym chciał skomplikować mu życie, wystarczyłoby, żebym porozmawiał z moim szefem, a on wykonałby jeden telefon...**

**Bezradnym gestem pokazał jej wnętrza dłoni. Pani Waters oparła głowę na rękach, ale jej spojrzenie było zimne i opanowane.**

**- Dlaczego pan mi to robi?**

**- Żeby dowiedzieć się, kto zamordował Janie Ingalls. Co do jednej rzeczy ma pani rację: to było paskudne. Była torturowana, przypalana papierosami, okalecz...**

**- Nie, nie, nie! Proszę tu nie stosować terapii szokowej, żądam konkretów!**

**Milo złączył dłonie.**

**- Ta rozmowa zrobiła się niepotrzebnie wroga, pani Waters. Proszę mi po prostu powiedzieć, co pani wie, a ja zrobię, co będę mógł, żeby pani w to nie mieszać. To wszystko, co mogę zaoferować. Alternatywą jest kilka nadgodzin dla mnie i dużo komplikacji dla pani.**

**- Nie ma pan prawa działać w Nowym Meksyku - powiedziała Melinda Waters. - Formalnie rzecz biorąc, znajduje się pan poza swoim okręgiem.**

**- Formalnie rzecz biorąc, jest pani wciąż istotnym świadkiem, a kiedy ostatni raz sprawdzałem, Nowy Meksyk utrzymywał stosunki dyplomatyczne z Kalifornią.**

**Pani Waters spojrzała jeszcze raz na rodzinne zdjęcie, usiadła i założyła okulary.**

**- Cholera.**

**Siedzieliśmy w milczeniu przez całą minutę.**

**- To nie w porządku - powiedziała w końcu. - Nie jestem dumna z tego, kim wtedy byłam i chciałabym o tym zapomnieć.**

**- Byłyście nastolatkami - powiedziałem.**

**- Ja byłam złą nastolatką. Totalnym zerem i ćpunem, jak Janie. To nas zbliżyło.**

**Złe nawyki. Jezu, nie mogę sobie przypomnieć choćby jednego dnia, kiedy się nie ładowałyśmy. A... kiedy pomyślę o innych rzeczach, dostaję bólu głowy. Ale wyciągnęłam się z tego, zaczęłam następnego dnia po tym, jak się rozstałyśmy.**

**- Na imprezie? - spytał Milo.**

**Pani Waters sięgnęła po następne pióro, rozmyśliła się i zaczęła się bawić uchwytem szuflady, podnosząc i opuszczając mosiężne kółko, raz, drugi, trzeci.**

**- Mam dzieci - powiedziała. - Wyznaczyłam im granice, pewnie za surowe, bo**

wiem, co na nie czyha. Od dziesięciu lat nie tknęłam niczego mocniejszego niż chardonnay. Kocham mojego męża. Robi karierę. Moja praca mnie zadowalała - nie rozumiem, dlaczego to wszystko miałabym stracić z powodu błędów, które popełniłam dwadzieścia lat temu.

- Ja też nie - powiedział Milo. - Nie robię notatek i nic z tego, o czym rozmawiamy, nie zostanie nigdzie zapisane. Chcę tylko wiedzieć, co się stało z Janie Ingalls tego piątkowego wieczoru. I wszystko, co może mi pani powiedzieć o mężczyźnie, który ją zgwałcił.

- Powiedziałam już panu wszystko, co o nim wiem.

- Młody, przystojny, z dobrym samochodem.

- Samochód Janie mogła zmyślić.

- Ile miał lat?

- Nie powiedziała.

- Rasa?

- Zakładam, że był biały, bo Janie nie powiedziała, że nie był. Była trochę rasistką, miała to po ojcu.

- Niezły samochód - powiedział Milo. - Jakiej marki?

- Chyba jaguar, ale nie jestem pewna. Z futrzanymi dywanikami - to pamiętam, bo Janie opowiadała, jak jej stopy zapadały się w dywaniki. Ale z nią nigdy nie było nic wiadomo. Próbuję panu powiedzieć, że bez przerwy wyobrażała sobie różne rzeczy.

- Jakie?

- Głównie ćpanie i imprezy z gwiazdami rocka.

- Czy coś takiego się kiedyś zdarzyło?

Pani Waters roześmiała się.

**- Raczej nie. Janie była smutną, małą dziewczynką ze złej części Hollywood.**

**- Młody facet w jaguarze - powiedział Milo. - Co jeszcze?**

**- To wszystko, co wiem. Naprawdę.**

**- Do którego hotelu ją zabrał?**

**- Powiedziała, że w centrum, w okolicy pełnej meneli. Powiedziała też, że ten facet chyba znalazł to miejsce - recepcjonista rzucił mu klucz, kiedy tylko weszli. Ale Janie nie przypuszczała, żeby tam mieszkał, bo pokój, do którego ją zabrał, wyglądał na niezamieszkały. Facet nie miał tam żadnych ubrań, nie było nawet pościeli. Goły materac. I sznur. Sznur był w szufladzie komody.**

**- Nie próbowała uciekać, kiedy to zobaczyła?**

**Pani Waters pokręciła głową.**

**- Po drodze dał jej skręta. Wielkiego, dobrej klasy, może doprawionego haszem, bo naprawdę odleciała, a tak zawsze reagowała po haszyszu. Powiedziała, że cały czas czuła się, jakby oglądała film. Nawet, kiedy pchnął ją na łóżko i zaczął wiązać.**

**- Ręce, nogi i szyję.**

**- Tam miała ślady.**

**- Co było potem?**

**Za szklami okularów Melindy Waters błysnęła złość.**

**- A jak pan myśli? Robił z nią, co chciał. We wszystkie otwory.**

**- Tak powiedziała?**

**- Ujęła to wulgarniej. - Odcień szarości w oczach Waters pogłębił się, jakby jej wewnętrzne światło przygasło. - Powiedziała, że wiedziała, co robił, ale nawet tego nie czuła.**

**- I mówiła to zblazowanym tonem.**

- Na początku tak. Później - kilka dni później, nastukała się i zaczęła o tym opowiadać. Nie płakała, była zła. Na siebie. Wie pan, co najbardziej ją złościło? Nie to, co jej zrobił, przez cały czas była wyłączona. Wściekła się, że kiedy skończył, nie odwiózł jej do domu, tylko wyrzucił we wschodnim Hollywood i musiała iść kilka kilometrów na piechotę. To ją złościło. Ale mimo to miała do siebie pretensje. Powiedziała: "Muszę coś w sobie mieć, że wszyscy mnie tak traktują, nawet on". Spytałam: "Jaki on?", a ona wściekła się jeszcze bardziej i powiedziała: "On, Bowie". To mnie zupełnie rozłożyło - najpierw zboczenie, potem kazirodztwo. Spytałam, jak długo to trwa, ale znów zamknęła się w sobie. Namawiałam ją, żeby mi powiedziała, aż w końcu kazała mi się zamknąć i zagroziła, że powie mojej matce, jaka ze mnie dziwka.

Zaśmiała się.

- To była realna groźba. Nie byłam dzieckiem z reklamy. A chociaż moja mama nie przypominała Betty Crocker, nie była też jak Bowie Ingalls, przejęłaby się. Ostro by mi się dostało.

- Bowie się nie przejmował - powiedział Milo.

- Bowie był szmatą, totalną łajzą. To chyba wyjaśnia, dlaczego Janie robiła wszystko, żeby tylko nie iść do domu.

Pomyślałem o tym, jak pusty był jej pokój.

- Czy miała jakieś miejsce, w którym mogła nocować? - spytałem.

- Nic stałego. Sypiała u mnie, czasami w tych opuszczonych mieszkaniach na północ od Hollywood Boulevard. Czasami znikala na kilka dni i nie chciała powiedzieć, gdzie była. Mimo to następnego dnia po tym, jak się rozdzieliliśmy, po imprezie, zadzwoniłam do Bowiego. Gardziłam nawet ziemią, po której chodził, ale chciałam wiedzieć, czy Janie nic się nie stało. To chciałam wam powiedzieć: próbowałam. Ale

**nikogo nie zastałam.**

**- Kiedy się rozdzieliliście?**

**- Niedługo po tym, jak przyjechałyśmy na miejsce. Zależało mi na Janie. Byłyśmy obie popieprzone, to nas łączyło. Chyba miałam złe przeczucia co do tej imprezy - wtedy, kiedy Janie zniknęła w środku zamieszania. Nigdy tak naprawdę o niej nie zapomniałam. Wiele lat później, kiedy byłam w college'u i dowiedziałam się, jak korzystać z komputera, próbowałam ją znaleźć. Potem dostałam się do szkoły prawniczej i zyskałam dostęp do sądowych baz danych. Szukałam jej we wszystkich miejskich kartotekach. W Kalifornii i sąsiednich stanach. Wykazach nieruchomości, zeznaniach podatkowych, aktach zgonu. Ale nigdzie jej nie było...**

**Wzięła legitymację Mila.**

**- Wydział zabójstw z Los Angeles oznacza, że została tam zamordowana. Więc dlaczego nie było jej aktu zgonu?**

**- Dobre pytanie, proszę pani.**

**Pani Waters odchyliła się w fotelu.**

**- To coś więcej, niż tylko otwarta na nowo sprawa, prawda? Coś się poważnie popieprzyło.**

**Milo wzruszył ramionami.**

**- Wspaniale. Cudownie. To mnie wciągnie i załatwi, niezależnie od tego, co zrobię, tak?**

**- Zrobię co w mojej mocy, żeby temu zapobiec, proszę pani.**

**- Prawie panu wierzę. - Potarła czoło, wyjęła z szuflady buteleczkę advilu i**

**połknęła jedną pastylkę bez popijania. - Co jeszcze chcecie panowie ode mnie wiedzieć?**

**- Impreza - powiedział Milo. - Na początek, skąd pani i Janie się o niej**



dowiedziały?

- Poszła plotka, dzieciaki gadały. Zawsze było sporo takich nowinek, zwłaszcza przed weekendem. Każdy kombinował, gdzie najlepiej pójść. Wiele z nas nienawdziło swoich domów, zrobilibyśmy wszystko, żeby się z nich wyrwać. Janie i ja trzymałyśmy się razem. Czasami trafiałyśmy na squaty - organizatorzy wślizgiwali się do opuszczonych budynków albo robili imprezy na dworze, w jakimś odludnym kącie Griffith Park albo Hansen Dam. Minimum kosztów - jakaś niestrojąca kapela, co gra za darmo, tanie chrupki, dużo narkotyków. Przede wszystkim dużo narkotyków, bo organizatorzy byli tak naprawdę dilerami, którzy chcieli jak najwięcej sprzedać. Czasami jednak okazywało się, że to prawdziwa impreza, u kogoś w domu. Otwarte zaproszenie, a jeśli nawet nie, to z reguły nietrudno było się wbić.

Uśmiechnęła się.

- Czasami nas gonili, ale dziewczyna prawie zawsze może się bezkarnie wbić na imprezę.

- Impreza w tamten piątek była właśnie taka - powiedział Milo. - U kogoś w domu.

- W ogromnym domu, rezydencji, a na ulicach mówiło się o mucho narkotyków.

Janie i ja pomyślałyśmy, że to sprawdzimy. Dla nas wycieczka do Bel Air była jak start na inną planetę. Janie ciągle opowiadała o imprezowaniu z bogatymi dzieciakami, wyobrażała sobie, że pozna tam bogatego chłopaka, który będzie jej dawał tyle towaru, ile zapragnie. Mówiłam, uwielbiała sobie wyobrażać takie rzeczy. Ale prawda była taka, że obie byłyśmy zerami, bez samochodu, bez pieniędzy. Nie miałyśmy nawet adresu, ale pomyślałyśmy, że jak już dostaniemy się do Bel Air, damy sobie radę. Wpadłam po Janie do domu w piątek po południu i poszłyśmy się włóczyć po Hollywood Boulevard -

grałyśmy na automatach, kradłyśmy kosmetyki, żebrały o drobne, ale wiele nie udało się nam uzbierać. Po zmroku poszłyśmy na Sunset, gdzie najlepiej łapać stopa, ale na pierwszym rogu trafiłyśmy na jakieś dziwki, które zagroziły, że potną nam dupy, więc przesunęłyśmy się na zachód, między La Brea i Fairfax, tam, gdzie są te sklepy z gitarami. Pamiętam to, bo kiedy czekałyśmy na okazję, oglądałyśmy gitary na wystawie i wyobrażałyśmy sobie, jak by było fajnie, gdybyśmy założyły kapelę i zrobiły karierę. Nieważne, że żadna z nas nie miała nawet odrobiny talentu. W każdym razie w końcu ktoś nas zabrał. Czekaliśmy ponad godzinę.

- O której? - spytał Milo.

- Musiała być dziewiąta, dziesiąta.

- Kto was zabrał?

- Student z college'u, kujonek, mówił, że studiuje na Politechnice Kalifornijskiej, ale jechał na uniwersytet, bo był tam umówiony z dziewczyną, a to było niedaleko Bel Air.

Musiał nam o tym powiedzieć, bo same nie miałyśmy pojęcia - chyba żadna z nas nie była nigdy dalej na wschód niż za La Cienega, chyba, że jechałyśmy autobusem prosto na plażę, albo ja odwiedzałam ojca w bazie marynarki na Point Mugu. Kujon był sympatyczny. Nieśmiały, pewnie zabrał nas powodowany impulsem i potem tego żałował. Bo od razu zaczęłyśmy mu dokuczać - przełączałyśmy radio na naszą stację, rozkręcałyśmy je na full, drażniłyśmy go - flirtowałyśmy. Pytałyśmy, czy nie wolałby pojechać z nami na imprezę, zamiast na jakąś nudną randkę z dziewczyną z college'u. Byłyśmy okropne. Zakłopotał się i to nas podkręciło. Poza tym miałyśmy nadzieję, że zawiezie nas od razu na imprezę, bo ciągle nie wiedziałyśmy, gdzie to jest. Więc namawiałyśmy go, ale on powiedział, że nie, że woli swoją dziewczynę. Pamiętam, że Janie zrobiła się naprawdę przykra, powiedziała coś w rodzaju: "Ona pewnie jest zimna

**jak lód, ja dam ci coś, czego ona na pewno nie może”. Tego akurat nie należało mówić.**

**Kujon zatrzymał samochód na Stone Canyon i kazał nam wysiąść. Zaczęłam wysiadać, ale Janie mnie przytrzymała i wrzasnęła, żeby zabrał nas na imprezę, a to go jeszcze bardziej rozzłościło. Janie taka właśnie była, umiała być strasznie napastliwa, miała prawdziwy talent do grania ludziom na nerwach. Kujon krzyczał i wypychał ją z samochodu. Wsiadliśmy i pokazałyśmy mu palec, kiedy odjeżdżał.**

**- Stone Canyon i Sunset. Blisko imprezy.**

**- Nie wiedziałyśmy o tym. Nie orientowałyśmy się i byłyśmy pijane. Na Sunset wypiliśmy prawie całą butelkę taniego wina. Nie znosiłam tego, smakowało jak brzoskwiniowy syrop na kaszel. Ale Janie je uwielbiała. To był jej ulubiony haj. Mówiła, że to piła Janis Joplin, a ona lubiła Janis Joplin, bo uległo się jej, że jej mama była do niej podobna i że nazwalają Janie właśnie po Janis Joplin.**

**- Kolejna fantazja - powiedziałem.**

**Waters kiwnęła głową.**

**- Janie ich potrzebowała. Jej matka ją zostawiła - uciekła z czarnym facetem, kiedy Janie miała pięć czy sześć lat, i nigdy więcej się nie pojawiła. Może to jeszcze jeden powód, dla którego Janie rzucała rasistowskie uwagi.**

**- Co zrobiliście potem? - spytał Milo.**

**- Zaczęłyśmy iść wzdłuż Stone Canyon i szybko zablądziłyśmy. Nie było tam chodników, oświetlenie było marne. Nie było kogo spytać o drogę. Tyle ogromnych posiadłości i nikogo w zasięgu wzroku, żadnych odgłosów, które zawsze słyhać w normalnej okolicy. To było trochę straszne. Ale nam się podobało, dla nas to była przygoda. Raz zobaczyłyśmy, że w naszą stronę jedzie wóz policyjny z Bel Air, więc schowałyśmy się za jakimiś drzewami.**

**Zmarszczyła czoło.**

**- Zupełny idiotyzm. Dzięki Bogu, że moi chłopcy tego nie słyszą.**

**- Jak trafiliście na imprezę?**

**- Przez jakiś czas krążyliśmy w kółko, w końcu doszliśmy do punktu wyjścia, z powrotem na Sunset. Wtedy zabrał nas drugi samochód. Cadillac, skręcający w Stone Canyon. Kierowca był czarny i byłam pewna, że Janie nie będzie chciała wsiąść, dla niej wszyscy czarni byli "czarnuchami". Ale kiedy facet opuścił szybę, uśmiechnął się do nas od ucha do ucha i powiedział: "Dziewczyny, idziecie na imprezę?" - Janie pierwsza wskoczyła do środka.**

**- Pamięta pani tego kierowcę?**

**- Dwadzieścia parę lat, wysoki, szczupły - nie wiem dlaczego zawsze kojarzył mi się z Jimmim Hendriksem. Nie był jego sobowtórem, ale ogólnie go przypominał.**

**Wyluzowany i pewny siebie. Puszczal głośno muzykę i kiwał głową do rytmu.**

**- Cadillac - powiedział Milo.**

**- Nowszy model, ale to nie był wóz alfonsa. Duży, konserwatywny sedan, ładnie utrzymany. Lśniący, pachnący bzem. Jakby należał do jakiejś starszej pani. Pamiętam, że się zastanawiałam, czy ten facet nie ukradł go właśnie jakiejś kobiecie. Bo nie pasował do niego, ubranego w brzydkie, dżinsowy uniform z cekinami i obwieszzonego złotymi łańcuchami.**

**- Jakiego koloru?**

**- Coś jasnego.**

**Milo otworzył teczkę, wyjął z niej zdjęcie Williego Burnsa i podał je nad biurkiem.**

**Melinda Waters szeroko otwarła oczy.**

- To on. To on zabił Janie?

- Szukamy go.

- Ciągłe jest na wolności?

- Może.

- Może? Co to znaczy?

- To było dwadzieścia lat temu, a on był uzależniony od heroiny.

- Chodzi panu o to, że miał marne szansę na przeżycie - powiedziała. - Ale mimo to szukacie go... Dlaczego znowu otwarto sprawę morderstwa Janie? Jaki jest prawdziwy powód?

- Początkowo do tej sprawy przydzielono mnie - powiedział Milo. - Potem odwołano, a teraz znów przydzielono.

- Przydzielił pana wydział, czy zrobił to pan na własną rękę? - spytała pani Waters.

- Czy to ważne, proszę pani?

Uśmiechnęła się.

- To sprawa osobista, prawda? Chce pan naprawić błędy z przeszłości.

Milo odpowiedział jej uśmiechem, a pani Waters wróciła do zdjęcia.

- Wilbert Burns. Teraz już wiem, jak się nazywał.

- Nie przedstawił się wam?

- Nazwał się naszym nowym przyjacielem. Wiedziałam, że był ćpunem i dilerem.

Poza tym był na luzie, seplenił i belkotał. Jechał strasznie powoli. Słuchał muzyki ćpunów, wolnego jazzu, z monotonnymi trąbkami. Janie chciała zmienić stację, ale położył jej rękę na dłoni i więcej już nie próbowała.

- Skąd pani wiedziała, że jest dilerem? - spytał Milo.

- Pokazał nam swój towar. Miał ze sobą na siedzeniu obok męską torebkę. Kiedy wsiadłyśmy, przełożył ją sobie na kolana i po jakimś czasie otworzył. Powiedział: “Może macie ochotę na coś słodkiego, moje panie?” W środku były koperty z pigułkami i małe torebeczki z czymś białym - nie wiedziałam, czy to koka, czy heroina. Tego nie ruszałam. Wystarczyła mi trawka i alkohol, od czasu do czasu kwas.

- A Janie?

- Janie nie miała żadnych zahamowań.

- Próbowwała towarów Burnsa?

- W samochodzie nie, ale może później. Pewnie później, bo między nią i Burnsem od razu coś zaiskrzyło. Wszyscy troje jechaliśmy z przodu, Janie koło Burnsa, ja przy drzwiach. Kiedy tylko ruszyłyśmy, Janie zaczęła go zaczepiać, zasłaniała mu włosami twarz, przesuwiała ręką po udzie.

- Jak Burns na to reagował?

- Podobało mu się. Mówił: “Oooch, maleńka” i tak dalej. Janie chichotała, oboje śmiali się z niczego.

- Mimo jej rasizmu - powiedział Milo.

- Nie wierzyłam własnym oczom. Szturchnęłam ją kilka razy, na zasadzie: “Co jest grane?”, ale mnie zignorowała. Burns jechał na imprezę - wiedział, gdzie to jest, ale musieliśmy zatrzymać się kawalek dalej, bo na miejscu było już mnóstwo samochodów.

- Czy mówił coś o imprezie? - spytał Milo.

- Powiedział, że zna ludzi, którzy ją organizują, że są bogaci, ale w porządku, i że będzie super. Potem, kiedy dojechaliśmy, powiedział coś w rodzaju: “Może przyjdzie sam prezydent”, bo dom miał wielkie kolumny, jak Biały Dom. Janie uważała, że to strasznie śmieszne. Ja się już nie bawiłam, czułam się, jakby mnie odsuwała.

**- Co się stało potem?**

**- Weszliśmy do środka. Dom był niezamieszkały, śmierdzący i brudny, wszędzie leżały puszki po piwie, butelki i Bóg wie, co jeszcze. W środku tłum ludzi, głośna muzyka - nie zespół, tylko taśmy, kilka zestawów grających jednocześnie. Straszna kakofonia, ale nikomu to nie przeszkadzało. Wszyscy byli nawaleni, dzieciaki biegały dookoła z błędnym wzrokiem, wpadały na siebie, dziewczyny na kolanach ciągnęły chłopakom na samym środku parkietu, obok tańczyły pary, inne się pieprzyły, ludzie ich kopali, nadeptywali. Burns znalazł sporo z tych ludzi, co chwila ktoś przybijał mu piątkę, kiedy przeciskał się przez tłum. A potem nie wiadomo skąd wyskoczyła ta dziwna, brzydka dziewczyna i przykleiła się do niego.**

**- Jak to dziwna?**

**- Niska, gruba, pryszczata. Dziwna, nieobecna. Ale Burns od razu dał jej buzi, a Janie się to nie podobało. - Waters pokręciła głową. - Znała faceta całe piętnaście minut i już była zazdrosna.**

**- Jakoś zareagowała?**

**- Nie, ale widać było po niej, że jest wkurzona. Wiedziała, bo ją znałam. Burns tego nie zauważył, albo miał to gdzieś. Jedną ręką objął brzydką dziewczynę, drugą Janie i obie gdzieś zaprowadził, z tą swoją torebką na ramieniu.**

**- A pani?**

**- Ja zostałam. Ktoś dał mi piwo, jakieś łapy zaczęły mnie obmacywać. I to ostro, było ciemno i ten ktoś zaczął ściągać ze mnie ubranie. Wyrwałam się, zaczęłam chodzić po całym domu, szukałam jakiegoś cichego pokoju, żeby się tam uspokoić, ale nie znalazłam. Wszędzie trwała impreza. Jacyś faceci ciągle mnie obmacywali. Co chwila ktoś wciągał mnie na parkiet. Zamiast się szarpać, tańczyłam przez chwilę i uciekałam.**

Potem zgasły światła, zrobiło się jeszcze ciemniej i nie widziałam już, gdzie idę. To, że byłam pijana, też mi nie pomagało. Było mi niedobrze, kręciło mi się w głowie, chciałam stamtąd uciec. Poszukałam jeszcze przez chwilę Janie, ale nie mogłam jej nigdzie znaleźć i zrobiłam się na nią zła, że tak zniknęła. W końcu powiedziałam sobie: "Zapomnij o niej" i kiedy ktoś wciągnął mnie znów na parkiet, zostałam tam. A kiedy ktoś dał mi pigułkę, połknęłam ją. Następne, co pamiętam, to że obudziłam się na podłodze w łazience na piętrze, a ktoś wrzeszczał, że jadą gliny. Wszyscy rzucili się do wyjścia i ja też, to była panika. Jakoś udało mi się zapakować na czyjegoś pikapa i pojechaliśmy na Sunset.

- Czyj to był pikap?

- Kilku chłopaków, surferów. Pojechaliśmy na plażę Santa Monica albo Malibu, nie pamiętam. Bawiliśmy się jeszcze trochę i zasnęłam na piasku. Rano obudziłam się sama. Zmarznięta, mokra i chora, było mi niedobrze. Nad oceanem wstawało słońce i pewnie wyglądało cudownie, ale ja mogłam myśleć tylko o tym, jak podle się czuję. Potem pomyślałam o ojcu, stacjonującym na Mugu. Zaczęłam płakać i wymyśliłam sobie, że muszę się z nim zobaczyć. Łapałam okazje, czterema samochodami dojechałam na miejsce, a wartownik nie chciał mnie wpuścić i znów się rozplakałam. Dawno już nie widziałam taty. Ożenił się po raz drugi, a jego nowa żona mnie nienawidziła.

Przynajmniej tak mówiła mi matka. Nie wiem, jak było naprawdę, tata przestał do nas dzwonić. Rozryczałam się jak dziecko. Wartownik zadzwonił i powiedział mi, że mojego taty już w bazie nie ma, że odpłynął do Turcji trzy dni wcześniej. Załamalam się zupełnie i chyba wartownikowi zrobiło się mnie żal, bo dał mi wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie, trzydzieści trzy dolary i czterdzieści jeden centów. - Uśmiechnęła się. -

Dokładnie pamiętam.



**Sięgnęła pod okulary i potarła wewnętrzne kąciaki oczu.**

**- W końcu ktoś był dla mnie dobry. Nigdy mu za to nie podziękowałam, nie dowiedziałam się, jak się nazywał. Wróciłam na autostradę, zabrałam się z jakimiś Meksykanami, którzy jechali do Ventura zbierać kapustę, potem łapałam dalej okazję, jadąc w górę wybrzeża. Najpierw zatrzymałam się w Santa Cruz i zostałam tam na jakiś czas, bo było tam pięknie, a poza tym akurat przyszła moda na retrohipiserkę, było dużo darmowego jedzenia i parków, w których można było spać. Potem ruszyłam do San Francisco, Crescent City, Oregonu, Seattle i z powrotem na południe, do Sacramento. Następne dziesięć lat pamiętam jak przez mgłę. W końcu udało mi się pozbierać, nie chcę panów zanudzać szczegółami.**

**- Jak powiedziałem, nie chcemy naruszać pani prywatności.**

**Melinda Waters roześmiana się.**

**- Dzięki za pamięć.**

Milo zadał jej jeszcze kilka pytań, już łagodniej, ale bez rezultatu, a potem zostawiliśmy ją siedzącą za biurkiem ze skołowanym wyrazem twarzy. Kiedy wyjeżdżałem z parkingu, spojrzałem na dym, bijący z komina włoskiej restauracji.

- Idziemy na obiad? - spytałem.

- W sumie... dobra, dlaczego nie.

- Ale żadnych fast foodów. Mierzmy wyżej. Należy nam się.

- Za co?

- Za to, że zrobiliśmy jakiś postęp.

- Tak myślisz?

Tawerna po drugiej stronie ulicy była podzielona na cztery sale o białych ścianach i niskich sufitach, wspartych na grubo ciosanych belkach. Każdą z nich ogrzewał kominek w kształcie ula. Zamówiliśmy piwo i spaghetti z kaparami, oliwkami i czosnkiem oraz *osso buco*. Kelnerką była młoda, smukła kobieta, która wydawała się autentycznie szczęśliwa, że może nas obsłużyć.

- Postęp - powiedział Milo, kiedy odeszła.

- Wiemy, że Janie, Willie Burns i Caróline Cossack byli razem w noc morderstwa. Nie wątpisz chyba, że to ona była tą brzydką dziewczyną?

Pokręcił głową.

- Z opowieści Melindy wynika też możliwy motyw: zazdrość - powiedziałem. -

Caroline leciała na Burnsa, pomyślała, że Janie wkracza na jej terytorium.

- Odwieczny problem trójkąta doprowadził do czegoś takiego?

- Odwieczny problem trójkąta, pomieszany z prochami, psychopatologią,

obniżającą progi zachowania imprezą i rasizmem Janie. Wyzwalaczy agresji pod dostatkiem. I jeszcze jedna rzecz pasuje: śmierć Janie wyglądała na sadyistyczne morderstwo na tle seksualnym, a my się zastanawialiśmy, dlaczego nie znaleziono innych ofiar, bo seksualni sadyści nie poprzestają na jednym razie. Ale jeśli morderstwa dokonano pod wpływem impulsu, pojedyncza ofiara nabiera sensu.

- Janie w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

- Według opisu Melindy Janie była idealną ofiarą: naćpana, niezbyt bystra, podatna na fantazjowanie, z tendencją do irytowania ludzi i historią seksualnego molestowania. Włóż to wszystko razem do jednego gara, dorzuć kilka nieostrożnie rzuconych "czarnuchów" i kto wie.

- Co sądzisz o obojętnej reakcji Janie na gwałt?

- To mnie akurat nie dziwi - powiedziałem. - Ludzie myślą, że ofiary gwałtu zachowują się tak, jak w telewizji. I czasami tak jest. Ale bardzo częsty jest też pseudospokój. Ochronna niewrażliwość. Biorąc pod uwagę to, co Janie przeszła z ojcem, to zupełnie logiczne.

- Dla niej to nie było nic nowego - dokończył Milo. - Biedny dzieciak.

Podziobał widelcem jedzenie i odsunął talerz.

- Jest rozbieżność między opisem gwałtu, który Janie przedstawiła Melindzie, a tym, co mówił Schwinn. Według Melindy gwałcieł wyrzucił Janie kilka kilometrów od jej domu. Informator Schwinna powiedział mi, że nieprzytomną znalazł w zaułku jakiś włóczęga.

- Janie mogła złagodzić swoją wersję - powiedziałem. - Żeby zachować resztki godności.

- Żalosse.

- Wiesz, kim mógł być informator Schwinna?

- Nie mam pojęcia. Nigdy mnie w nic nie wtajemniczał. Czekalem, aż zacznie mnie uczyć, ale on tylko jeździł od wezwania do wezwania, a kiedy przychodziło do papierkowej roboty, jechał do domu. A teraz ciągnie za sznurki zza grobu... Jeśli Janie zmyśliła to o wracaniu na piechotę do domu, może młody gość w jaguarze też był zmyłką. Nie chciała się przyznać, że tak naprawdę zgwałcił ją zaśliniony, owrzodzony garbus w starym gruchocie? Rzeczony włóczęga.

- Możliwe. Ale jeśli mówiła prawdę, historia z jaguarem jest interesująca. Młody facet z niezłym wozem w zakaraluszonym hoteliku nie byłby bezpieczny. Chyba, że miał jakieś plecy. Na przykład, właścicielem hoteliku był jego tata. A Janie powiedziała Melindzie, że recepcjonista wydawał się go znać. Interesująco byłoby dowiedzieć się, kto był właścicielem kilku zakaraluszonych hotelików dwadzieścia lat temu.

- Chodzi ci o jakąś grubą rybę w nieruchomościach. Cossackowie. Może Larner. -

Opowiedział mi o Playa del Sol, potarł twarz. - Pamiętam kilka hoteli z tamtej okolicy.

Najplugawsze były na Main albo niedaleko Main, między Trzecią i Siódmą. Ciasne klitki, pełno menelstwa. Exeter, Columbus - było ich z pół tuzina. Utrzymywały się głównie z federalnych dopłat... a więc oprócz morderstwa mam jeszcze rozwiązać sprawę gwałtu sprzed dwudziestu lat, nie mając ofiary. Nie da rady, Alex.

- Tylko sugeruję - powiedziałem. - Przecież za to mi płacicie.

Milo uśmiechnął się z przymusem.

- Przepraszam. Czuję się osaczony. Nie mogę prowadzić normalnego śledztwa, bo wystawiliby mnie to na strzał.

- Paris Bartlett i telefon z kadr.

- I ranga graczy. Ta kolacja z Obeyem; chyba nie zebrali się tam, żeby spróbować

krokiecików. Zarazka i Horne'a interesują tylko łapówki, a jeśli Walt Obey czymś się interesuje, to musi być warte sumę z dużą ilością zer. Broussarda nie było w restauracji, ale od samego początku maczał we wszystkim palce. Jest sąsiadem Obeya, a Obey był jednym z jego najgorętszych popleczników. Ja w tym towarzystwie jestem małym robaczkiem. I zgadnij, co jeszcze: po wydziale krąży plotka o detektywie z HIV, który ma niedługo przejść na emeryturę. "Żyj zdrowo", co?

- O, rany - powiedziałem. - Subtelne.

- Gliniarska subtelność. Używamy palek, nie skalpeli. Wygląda na to, że nie mogłem sobie wybrać gorszej pory na rozgrzebywanie wystygłych popiołów, Alex.

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nic nie wskórałem... Skończyłeś? Wracajmy do smogu. To miasto jest, cholera, za ładne.

Podczas jazdy z powrotem do Albuquerque Milo był ponury i mało rozmowny.

Jedzenie w tawernie było doskonałe, ale ja zjadłem więcej niż on, i zdarzyło się to po raz pierwszy.

Podczas lotu do Los Angeles Milo drzemał.

- Odnalezienie Melindy było postępem, jeśli chodzi o motyw, środki i okazję - powiedział, kiedy siedzieliśmy na powrót w seville'u. - Ale co to daje, skoro nie mam pojęcia, gdzie szukać podejrzanych? Gdybym musiał się zakładać, postawiłbym na to, że Willie Burns leży w jakimś nieoznakowanym grobie. Dziani ludzie stojący za Caroline uważaliby go za groźnego, a nawet, jeśli nie udało im się go dopaść, był uzależniony od heroiny. Wariatka Caroline może też już nie żyć, albo być gdziekolwiek od Bahamów do Belize. Nawet gdybym ją znalazł, co bym jej udowodnił? Sprowadziliby jednego z twoich kolegów po fachu i zamknęli z powrotem w pokoju bez klamek.

- Ponure - powiedziałem.

**- Niezły z ciebie terapeuta.**

**- To terapia rzeczywistością.**

**- Rzeczywistość to klątwa zdrowych na umyśle.**

**Pojechałem Sepulveda do Venice, skręciłem na południe w Motor Avenue, przejechałem obok Achievement House.**

**- I ty mówisz o subtelności - powiedział Milo.**

**- To skrót.**

**- Nie ma skrótów. Życie jest brutalne i mozolne... nie zaszkodzi rozejrzeć się wokół tych hotelików. To mogę zrobić, nie zwracając na siebie uwagi. Ale niczego się nie spodziewaj. I nie wpakuj się w nic; niech ci się nie wydaje, że możesz toczyć moje bitwy za mnie.**

**- Chodzi ci o kłopoty?**

**- Na przykład.**

**Robin zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce. Mówiła, jakby gdzieś się spieszyła i nie miała głowy do rozmów. Trasa dojechała do Vancouver; Robin mieszkała w hotelu Pacific Lodge. Zadzwoiłem tam i połączyłem się z jej pokojem.**

**Odebrał jakiś wesóły mężczyzna.**

**- Sheridan - powiedziałem.**

**- Tak?**

**- Mówi Alex Delaware.**

**- O, cześć. Zawołam Robin.**

**- Gdzie jest?**

**- W łazience.**

**- Jak tam mój pies?**

- Eee... świetnie...

- Pytam, bo odniosłem wrażenie, że dobrze sobie z nim radzisz. Przyjechałeś z jego ulubionymi chrupkami. Co za intuicja.

- On... lubię psy.

- Naprawdę? - spytałem.

Cisza.

- Powiem Robin, że czekasz.

- Dzięki - powiedziałem, ale on odłożył już słuchawkę i moje słowa poszły w próżnię.

Odezwała się chwilę później.

- Alex?

- Cześć - powiedziałem.

- Co się stało? Sheridan powiedział, że jesteś zdenerwowany.

- Sheridan wie najlepiej - odparłem. - Jest przecież taki wrażliwy i w ogóle.

- O co chodzi, Alex?

- O nic.

- To nie jest nic - powiedziała. - Za każdym razem, kiedy do ciebie dzwonię, jesteś coraz bardziej...

- Nieczuły? - podpowiedziałem. - W przeciwieństwie do wiadomo kogo?

Dłuższa chwila milczenia.

- Chyba nie mówisz poważnie. - Zaśmiała się.

- Miło mi, że cię rozweseliłem.

- Alex, gdybyś tylko wiedział... No, nie do wiary. Co w ciebie wstąpiło? Dlaczego miałbyś tak myśleć? - Znów się zaśmiała i chyba przez to właśnie nie wytrzymałem.

- Facet przyjeżdża z pieprzonymi chrupkami dla psów - powiedziałem. - Uwierz mi, kochanie, wszyscy mężczyźni to świnię. Taki altruizm zawsze do czegoś prowadzi...

- To niedorzeczne...

- Czyżby? Za każdym razem, kiedy dzwonię, on jest w twoim pokoju...

- Alex, to absurd!

- Dobrze, w takim razie przepraszam. - Ale w moim głosie nie było ani krzty skruchy, i ona o tym wiedziała.

Potem nagle gniew ścisnął mi gardło i stało się.

- Chyba można mi wybaczyć trochę absurdu. Ostatnim razem, kiedy mnie zostawiłaś, nie wszystko dobrze się skończyło.

- Alex... - Jej głos załamał się na moim imieniu.

Zacisnąłem zęby.

- Nie mogę - powiedziała.

I odłożyła słuchawkę.

Siedziałem, perwersyjnie zadowolony z siebie, z pustką w głowie i goryczą żółci w ustach. Potem zaczęło się uczucie zapadania: idiota idiota! Wykręciłem numer jej pokoju. Nikt nie odbierał. Połączyłem się z centralą hotelu, powiedziano mi, że pani Castagna wyszła.

Wyobraziłem sobie, jak biegnie przez hol, zalana łzami. Jaka jest pogoda w Vancouver? Czy pamiętała, żeby wziąć kurtkę? Czy Sheridan pobiegł za nią, gotów ją pocieszyć?

- Proszę pana? - spytała telefonistka. - Czy połączyć pana z jej pocztą głosową?

- Eee... jasne, czemu nie.

Połączyła mnie. Wysłuchałem nagrania Robin. Zaczekałem na sygnał.



**Ostrożnie dobrałem słowa, ale nie udało mi się nic wykrztusić i wypuściłem słuchawkę z ręki.**

**Przeszedłem do gabinetu, zaciągnąłem zasłony i usiadłem w szaro-brązowej ciemności, wsłuchując się w pulsowanie w mojej głowie.**

**W niezłą się wpakowałeś kabałę, Alexandre... Najgorsze było to, że Bert Harrison mnie przed tym ostrzegał.**

**Bert był mądrym człowiekiem, dlaczego go nie posłuchałem?**

**Co robić... wysłać kwiaty? Nie, to by obraziło inteligencję Robin, tylko pogorszyłoby sprawę.**

**Dwa bilety do Paryża...**

**Długo trwało, zanim udało mi się zepchnąć moje uczucia gdzieś poniżej kostek i pogrążyć się w otępieniu.**

**Patrzyłem tępo w ścianę, wyobraziłem sobie siebie jako drobinę kurzu i bardzo starałem się zniknąć.**

**Włączyłem komputer i odpaliłem Google'a, bo ta wyszukiwarka potrafiła znaleźć budkę z hamburgerami na Plutonie.**

**Hasło "Walter Obey" wyrzuciło trzysta coś odpowiedzi, z czego dziewięćdziesiąt procent dotyczyła samego miliardera, a z tych ćwierć się powtarzała. Większość stanowiły artykuły z pism branżowych, opisujące równo po połowie działalność charytatywną Obeya i jego poczynania finansowe.**

**Walter i Barbara Obeyowie dotowali Filharmonię, Music Center, Planowane Rodzicielstwo, Towarzystwo Ochrony Gór Santa Monica, Towarzystwo Humanistyczne, schroniska dla bezdomnej młodzieży i sporo fundacji walczących z nieuleczalnymi chorobami. Do tego Sierra Club, co w przypadku przedsiębiorcy budowlanego wydało**

mi się interesujące.

Nie znalazłem żadnych powiązań ze sportem ani nieudanymi planami sprowadzenia drużyn sportowych do Los Angeles. Nazwisko Obeya w żadnym artykule nie pojawiało się też obok nazwiska Cossacków ani Larnerów. On i jego żona nie udzielali się towarzysko i żyli skromnie, jak na miliarderów. Tylko jedna, wprawdzie olbrzymia, rezydencja w Hancock Park, żadnej służby, ubrania ze sklepowych półek, żadnych drogich hobby. Barbara jeździła volvo i pomagała w kościele. Jeśli można było wierzyć prasie, oboje Obeyowie byli czyści jak łaźnia.

Moją uwagę zwróciła jedna rzecz, artykuł z zeszłorocznego “Wall Street Journal”: jedna z firm developerskich Obeya, prywatna korporacja o nazwie Advent Builders, zainwestowała w olbrzymią połąć ziemi na południe od granic Los Angeles. Zamierzano zbudować tam od podstaw całe miasteczko, etnicznie zróżnicowane, z domami dla uboższych i średnio zarabiających, publicznymi szkołami, dobrze zaprojektowanymi dzielnicami handlowymi i przemysłowymi oraz “całą gamą obiektów rekreacyjnych”.

Obey przez dziesięć lat skupował ponad dwa tysiące hektarów sąsiadujących działek i wyłożył kilka milionów dolarów, żeby oczyścić je z toksycznych odpadów, pozostałych po nieczynnej od dawna elektrowni. W przeciwieństwie do innych posiadaczy imperiów nieruchomości od samego początku troszczył się o wpływ swoich projektów na środowisko i chciał ukoronować karierę czymś, co miałoby znaczenie kulturalne.

Nowe miasteczko miało się nazywać Esperanza czyli Nadzieja.

Zestawiłem nazwę Esperanza z nazwiskami Cossacków i Larnerów, ale nic nie znalazłem. Z Johnem G. Broussardem też nie poszło lepiej: Spróbowałem Advent

**Properties i Advent. Wciąż nic o Cossackach i Larnerach, ale drobny artykuł z pisma budowlanego informował, że szef policji Los Angeles został zatrudniony przy projekcie Esperanza jako konsultant do spraw bezpieczeństwa. Broussard, ograniczony przepisami, pracował za darmo, ale udziały w Advent zostały przekazane jako darowizna jego żonie i jednemu dziecku, córce Joelle, adwokatce w dobrze prosperującej firmie prawniczej.**

**Broussard nie przyjechał na kolację, ale Mila nie myliło przecucie: szef policji we wszystkim maczał palce.**

**Wspomnienie mojego zachowania w stosunku do Robin podchodziło mi do gardła jak mdłości. Skupiłem się na Obeyu, Broussardzie i innych, rozmyślając, co to wszystko miało oznaczać.**

**Pod "gamą obiektów rekreacyjnych" mogły kryć się place zabaw dla dzieci, ale równie dobrze - zawołowana próba ściągnięcia do Los Angeles zawodowej drużyny futbolowej.**

**Miliarder z ambicjami - oto ukoronowanie długiej kariery Obeya. A zaskarwienie sobie sympatii szefa policji wydawało się w takim przypadku rozsądne.**

**Ale jeśli informacje o prawości Obeya i wielkości jego fortuny były prawdziwe, dlaczego marnował czas na ludzi takich jak Cossackowie, którzy drażnili sąsiadów i nie potrafili zrobić nic do końca? A w przypadku Larnerów taki związek był jeszcze bardziej ryzykowny - byli po prostu oszustami, naznaczonymi bankructwem projektu Playa del Sol.**

**Chyba, że wyniki finansowe Obeya nie były tak wspaniałe, jak twierdziła prasa, i potrzebował wsparcia dla swojego projektu. Nawet miliarderzy mogli stracić panowanie nad wydatkami i kredytami, a Obey przez dziesięć lat kupował ziemię, finansował i**

odtruwał inwestycje, nie wykopawszy nawet jednej łopaty ziemi pod Esperanzę.

Wielkie marzenia często oznaczały problemy na skalę kataklizmu.

Włączyłem kilka biznesowych baz danych i spróbowałem znaleźć ciernisty krzak w ogrodach Obeya. Miliarder wymieniony był jako właściciel co najmniej siedmiu odrębnych korporacji, w tym Advent. Ale tylko jedna z nich miała akcje na giełdzie - firma leasingowa o nazwie BWO Financing.

BWO. Przymuszczałnie skrót od Barbara i Walt Obeyowie. Słodkie. Wszystko świadczyło o tym, że firma radzi sobie doskonale - jej akcje zwykle utrzymywały się na poziomie dziewięćdziesięciu pięciu procent najwyższej notowanej ceny, uprzywilejowane przynosiły regularne dochody z procentów, a ocena agencji Standard & Poor była niezmiennie wysoka.

Trzeba jednak pamiętać, że najlepsi analitycy Wall Street często mylili się wprost haniebnie, bo tak naprawdę mogli się opierać tylko na tym, co firmy im mówiły. A poza tym mieli przecież interes w tym, żeby akcje się sprzedawały.

Czyżby imperium Walta Obeya chwiało się w posadach, a on sam szukał wsparcia u Cossacków i Larnerów? Czy Cossackowie i Larnerowie mieli dość, by go zainteresować?

Nie rozumiałem, co w tym wszystkim robili Zarazek i Horne. Projektowane miasto Obeya leżało poza granicami Los Angeles, więc do czego ci dwaj mogli być mu potrzebni?

Chyba, że nastąpiła zmiana planów i Obey na powrót zainteresował się śródmieściem.

Nic mi się do końca nie zgadzało. Potem pomyślałem o czymś, co mogło spajać całą sprawę.

**Udział Johna G. Broussarda w zatuszowaniu morderstwa Janie Ingalls**

**sugerował, że szef policji miał powiązania z Cossackami i być może Lamerami. Walt**

**Obey był jednym z jego najważniejszych popleczników. Może Broussard zetknął ich ze**

**sobą i zainkasował za to sporą prowizję, oprócz akcji podarowanych jego żonie i córce?**

**Czyżby ukrył dużą sumę przed czujnym okiem opinii publicznej? Schowanie się**

**za tarczą licznych korporacji Obeya nie byłoby trudne.**

**Szantaż. Zapłata. Przy całej swojej władzy i prestiżu, John G. Broussard**

**pozostawał urzędnikiem publicznym, którego pensja lokowała go w najlepszym**

**przypadku w szeregach górnej klasy średniej. Bawiąc się z większymi od siebie, mógł**

**osiągnąć dużo więcej.**

**Wyobraziłem sobie taki układ: Walt Obey ratuje swoje marzenie, Cossackowie i**

**Larnerowie dostają szansę społecznego i finansowego skoku w górę, od pawilonów**

**handlowych i parkingów do pomników architektury i urbanistyki.**

**Dla Broussarda i radnych stara, dobra gotówka.**

**Tyle do stracenia.**

**A Milo mógł rozwalić to wszystko w drobny mak.**

- Ciekawa teoria - powiedział Milo. - Poszedłem mniej więcej w tym kierunku, tyle że Obey zachowywał się bardziej jak dający niż obdarowywany. Bacilla i Horne nieźle mu się podlizywali.

- Bacilla i Horne podlizywaliby się w każdej sytuacji, bo ich polityczny żywot zależy od bogatych - odparłem. - A Obey już od dawna ustawia polityków, jak chce. Ale nie widziałeś, jak zachowywał się przy Cossackach.

- Nie - przyznał.

Siedzieliśmy w jego kuchni. Przez godzinę męczyłem się rozważając, jak wybrnąć z sytuacji z Robin. Zadzwoiłem do niej jeszcze raz. Nie było jej. Kiedy złapałem Mila, wracał właśnie do domu z miejskiego archiwum, z teczką pełną fotokopii. Przeszukał dział podatków od nieruchomości i znalazł czternaście tanich hotelików, działających dwadzieścia lat temu w okolicach Skid Row. Żaden z nich nie należał jednak do Cossacków ani pozostałych zainteresowanych.

- I tyle tego. - Przejrzałem wyciąg podatkowy, który rozłożył na stole. Nagle zauważyłem znajome nazwisko. Trzy hotele z Grande Avenue - Excelsior, Grande Royale, Crossley - należały do Vance'a Coury'ego i Spółki.

- Chłopak nazwiskiem Coury trzymał się z Cossackami i Bradem Larnerem w liceum - powiedziałem. - Wszyscy należeli do klubu o nazwie Ludzie Króla.

- Coury - powtórzył Milo. - Nic o nim nie słyszałem.

Przyniósł swojego laptopa z pracowni w pralni. Wyszukiwarka wyrzuciła trzy trafienia, dotyczące dwóch mężczyzn o nazwisku Vance Coury. Artykuł z "Timesa" sprzed jedenastu lat opisywał Vance'a Coury'ego, lat sześćdziesiąt jeden, oskarżonego z

urzędu przez miasto. Coury został przedstawiony jako “właściciel kilku budynków w centrum i Westlake, który dopuścił się wielokrotnych zaniedbań wymogów bezpieczeństwa i prawa budowlanego”. Rok wcześniej został oskarżony o to samo i skazany przez pomyslowego sędziego na dwa tygodnie mieszkania w jednym z własnych budynków. Coury w dwa dni wyremontował jedno z mieszkań, wynajął pokojówki i uzbrojoną straż, ale jego sumienie nie drgnęło ani o milimetr - nie zrobił nic, by poprawić warunki życia swoich lokatorów i sędzia stracił w końcu cierpliwość. Trzy tygodnie później, w kontynuacji reportażu ze sprawy, napisano, że Coury’emu udało się uniknąć odpowiedzialności - podczas wizyty w biurze prokuratora dostał wylewu i umarł. Zamieszczone w gazecie zdjęcie ukazywało go jako chudego jak szczapa, siwowłosego i siwobrodego mężczyznę o wyzywającym i przestraszonym zarazem spojrzeniu kogoś, kto rozpaczliwie stara się nie zapomnieć, co ma do powiedzenia.

Vance Coury junior pojawił się w niedzielnym wydaniu “Daily News” sprzed dwóch lat, jako sponsor wykonanego na zamówienie samochodu wyścigowego, pierwszej nagrody w stanowym konkursie. Coury, lat czterdzieści dwa, był właścicielem warsztatu w Van Nuys, specjalizującego się w “gruntownej restauracji aut klasycznych i specjalnych”; jego ekipa malowała przerobionego i odstawionego dodge’a roadstera z trzydziestego ósmego roku, znanego jako Purpurowy Pożeracz Ludzi.

- Kolejny duet, ojciec i syn - powiedział Milo.

- Ojciec ma własny hotel, syn z niego korzysta. A syn był kumplem Cossacków.

Co oznacza, że mógł być na imprezie. A to z kolei rzuca na całą sprawę nowe światło.

Mogło to wyglądać tak: Janie zostawiła Melinę i poszła z Burnsem i Caroline. Burns dał jej jakieś prochy i przedstawił swoim bogatym przyjaciółom. Nagle, ni z tego, ni z owego, Janie staje twarzą w twarz z Vance’em Courym, księciem z bajki, który ją

związał, zgwałcił i wyrzucił w zaułku jak worek śmieci. Janie go poznaje, chwila konsternacji i Coury, może z pomocą kumpli, zabiera ją stamtąd, zanim dziewczyna zrobi scenę. Obezwładniają ją i wynoszą w jakieś odludne miejsce, a Coury myśli sobie: "Hmmm, czemu by nie wykorzystać sytuacji?" Wiemy, że lubi wiązać, a co może być bardziej podniecającego niż bezbronność? Zabawia się z Janie, tyle że tym razem włączają się w to inni. Zabawa wymyka się spod kontroli, robi się naprawdę niedobrze. Muszą się więc pozbyć ciała. Dzięki hotelom ojca, Coury zna okolice centrum i wybiera miejsce, o którym wie, że o tej porze nie będzie tam za dużo ludzi - wjazd w Beaudry. Zabiera ze sobą jednego czy dwóch kumpli, co by wyjaśniało, dlaczego ryzykował, zostawiając Janie w widocznym miejscu. Mając ze sobą kogoś do pomocy, kto stałby na czatach, zminimalizowałby niebezpieczeństwo.

Milo spojrział na wyciąg i położył palec na nazwisku Coury'ego.

- Czyli że chłopcy byli w to zamieszani. Bracia Cossack też, nie tylko Caroline.

- Oni, Coury, Brad Larner, może też inni Ludzie Króla - nazywali się chyba

Chapman i Hansen.

- Licealny klub.

- Rozrywkowy klub - powiedziałem. - Znani byli z picia i innych wesółych

sportów. Morderstwo Janie wydarzyło się kilka lat po tym, jak skończyli szkołę, ale to nie znaczy, że przeszła im ochota do zabawy.

- A jaką rolę odegrali w grupowym gwałcie i morderstwie Caroline i Burns?

- Oboje mieli powód, by nie przepadać za Janie, więc mogli brać w tym udział.

To, że Caroline została zamknięta w Achievement House, właśnie na to wskazuje.

Zniknięcie Burnsa też. Grupowy gwałt i morderstwo pasuje też do braku dalszego ciągu.

Żeby do tego doszło, potrzebna była kombinacja kilku czynników: prochów,



**provokującej ofiary i najpotężniejszego narkotyku niedojrzałości - owczego pędu.**

**- Niedojrzałości? - zdziwił się Milo. - Wszyscy mężczyźni mieli po dwadzieścia parę lat.**

**- Opóźnieni w rozwoju.**

**- Zabawne, że to powiedziałeś. Kiedy zobaczyłem obecny dom Cossacków, pomyślałem to samo.**

**Opisał obrzydliwą rezydencję, samochody i skargi sąsiadów.**

**- To pasuje też do czegoś, co powiedziałeś wcześniej - dodał. - Kobiety często do działania potrzebują towarzystwa. Caroline nie miałyby ochoty ani siły sama pociąć Janie, ale kiedy ta została obezwładniona, kilka dźgnięć i przypaleń przyszłoby jej o wiele łatwiej.**

**- Ale udział Caroline i Burnsa oznaczał dla chłopaków spore ryzyko - dwa słabe ogniwa, którym nie można ufać, że będą trzymać język za zębami. Caroline, bo była niezrównoważona umysłowo, a Burnsowi, bo był ćpunem, który lubił chlapać jęzorem.**

**A gdyby Burns znalazł się w podbramkowej sytuacji - na przykład cierpiał na brak gotówki i głód heroiny? Gdyby spróbował coś zarobić, szantażując pozostałych? Dla faceta z ulicy, takiego jak Burns, kilku bogatych białych chłopaków z paskudną tajemnicą byłoby idealnym celem. To by wyjaśniało, dlaczego Michael Lerner tak się wściekł, kiedy się dowiedział o jego zniknięciu. I to, że uciekł Borysowi Niemierowowi, chociaż wcześniej był godny zaufania. W tej sytuacji jego podejrzenia, że ktoś chce go dopaść, kiedy zadzwonił do Niemierowa, są doskonale logiczne. Burns nie bał się więzienia. Brał udział w brutalnym morderstwie i znalazł się po przeciwnej stronie barykady niż jego wspólnicy w zbrodni.**

**Milo otworzył notatnik.**

**- Chapman i Hansen. A imiona?**

**- W roczniku szkoły były tylko inicjały. Nie pamiętam ich.**

**- Liceum - westchnął Milo. - Och, piękne czasy.**

**- Dla Garveya Cossacka takie były. Skłamał, że był klasowym skarbnikiem.**

**- Szykował się do kariery w świecie finansów... Dobra, chodźmy obejrzyć ten rocznik.**

**W kilka chwil po przybyciu poznaliśmy wszystkie szczegóły na temat Ludzi Króla.**

**W wieku osiemnastu lat Vance Coury był przystojnym, ciemnowłosym chłopakiem o gęstych czarnych brwiach, ponurym uśmiechu i przeszywającym spojrzeniu. Dla pewnego rodzaju dziewczyn na pewno był pociągający.**

**- Nastoletni donżuan - powiedziałem. Dokładnie taki, jak opisała go Janie. -**

**Melinda nie miała racji, Janie nie zawsze zmyślała. Dziesięć do jednego, że jego ojciec dwadzieścia lat temu miał jaguara.**

**Podobnie jak w przypadku Cossacków i Brada Larnera, pozalekcyjne zainteresowania Coury'ego były dość ograniczone - warsztat samochodowy i Ludzie Króla.**

**L. Chapman okazał się Lukiem, zwałistym, jasnowłosym chłopakiem z nieobecny wyrazem okrągłej jak księżyc twarzy.**

**Tylko Ludzie Króla.**

**Ostatni chłopak, Nicholas Dale Hansen, to zupełnie inna historia. Porządnie ostrzyżony, zapięty pod szyję "Nick" Hansen o poważnym spojrzeniu był członkiem Izby Handlowej Juniorów oraz Koła Sztuki i należał do skautów. Dwukrotnie otrzymywał wyróżnienie.**

- Mózg grupy - powiedział Milo. - Ciekawe, czy był dość mądry, żeby go z nimi wtedy nie było.

- Albo to on wszystko planował.

Wzięliśmy Who's Who, dzięki któremu w ogóle dotarłem do chłopaków. Była w nim jednak tylko biografia Garveya Cossacka juniora.

- Coury jest mechanikiem w Van Nuys - powiedział Milo - nie ma w tym nic dziwnego. A pan Luke nie wygląda na najjaśniej świecąca żarówkę w żyrandolu.

Osobiście jednak czuję się zawiedziony Nickiem Hansenem. Chyba nie spełnił oczekiwań.

Wyszliśmy z biblioteki i usiedliśmy przed gmachem na kamiennym nabrzeżu rozciągającego się tam stawu. Patrzyłem na wchodzących i wychodzących uczniów, Milo zaś przybrał tożsamość detektywa z wydziału kradzieży samochodów z Southwest i zadzwonił do wydziału komunikacji. Chwilę trwało, zanim tamtejszy urzędnik dał się nakłonić do zerknięcia w dane sprzed dwudziestu lat, ale kiedy Milo się rozłączył, dwie strony notesu były zapisane nazwami marek, modelami, właścicielami samochodów i podanymi przy rejestracji adresami.

- Vance Coury senior miał jaguara mark 10, lincolna continental i camaro.

- Więc Janie mówiła prawdę - powiedziałem. - Lincoln należał prawdopodobnie do pani Coury, a Vance junior jeździł camaro. Kiedy chciał zaimponować dziewczynom, pożyczał od taty jaguara z futrzanymi dywanikami. Dzięki temu robiły się mniej ostrożne, a on prowadził je do tego pokoju w hotelu i wyciągał sznur.

- Teraz sprawił sobie kilka wózków: osiem zarejestrowanych na niego, głównie klasyki, w tym kilka starych ferrari.

- Mówiłeś, że Cossackowie mieli ferrari przed domem. Może Ludzie Króla nigdy

się nie rozwiążali, a Coury ciągle do nich należy.

- Coury oficjalnie mieszka w Tarzan, ale to możliwe - powiedział Milo. - I wiesz co, nie miałem racji co do Nicholasa Dale'a Hansena, mówiąc, że nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Jeździ bmw siedemsetką i mieszka w Beverly Hills na North Roxbury. Pewnie po prostu nie chciał udostępnić swojej biografii.

- Skromny - stwierdziłem.

- Albo unika rozgłosu. Bo kto wie, co może wyniknąć z czyjzegoś przesadnego zainteresowania.

- A Luke Chapman?

- Nic. Nigdy nie miał samochodu w Kalifornii.

- Co znaczy, że jakiś czas tu nie mieszkał - powiedziałem. - Może jego rodzina wyprowadziła się ze stanu. Albo to następne zniknięcie, dobrowolne lub nie. Jeśli był tak tępy, jak sugeruje zdjęcie, mogli go uznać za kolejne słabe ogniwo.

- Chłopcy zacierali ślady.

- To mi przypomina jeszcze dwa takie ślady, z pozoru zwykłe wypadki: Bowie Ingalls wpadł na drzewo, Pierce Schwinn rozwalil sobie głowę o kamień.

- Och, ta twoja wyobraźnia - powiedział Milo. - A jak chłopcy naklonili rodziców, żeby zamknąć Caroline?

- Sprawiała problemy od lat. Jeśli naprawdę otrula tego psa, rodzice musieli sobie zdawać sprawę, że to poważna rzecz. Gdyby chłopcy przyszli do nich i opowiedzieli o czymś strasznym, co Caroline rzekomo zrobiła, mogli w to uwierzyć.

- Chłopcy - powtórzył z przekąsem Milo. - Zgraja gówniarzy i skaut. On mnie najbardziej interesuje.

- Sprawność za morderstwo - powiedziałem. - To dopiero pomysł.

- Coś wreszcie zaczyna wyglądać jak dowody - powiedział Milo, kiedy wracaliśmy do seville'a. - Zaczynam się znowu czuć jak prawdziwy detektyw, jejkę jej. Pytanie, co z tym zrobić. Nie mogę raczej wejść do sali konferencyjnej Cossack Development i oskarżyć braciszków, że są mordercami.

- Johna G. Broussarda też nie.

- Pracujący policjant nigdy nie wymienia tego nazwiska w kulturalnym towarzystwie. Zauważyłeś artykuł o nim w porannych gazetach? W ciągu ostatnich kilku tygodni "Times" wydrukował parę mało pochlebnych komentarzy na temat stylu zarządzania Johna G.

- Broussard jest na wylocie? - spytałem.

- Spora szansa. Musiał w końcu zirytować niewłaściwe osoby.

Kiedy zbliżyliśmy się do parkingu, zadzwonił telefon Mila.

- Halo... hej, co u ciebie... Co? Kiedy? Gdzie jesteś? Dobrze, zostań tam... nie, nigdzie nie idź, jestem z Alekssem na uniwerku, będziemy tam za dziesięć minut.

Rozłączył się i zaczął biec.

- To był Rick. Ktoś ukradł mu samochód.

- Gdzie? - spytałem, równając się z Milem.

- Z parkingu dla lekarzy szpitala Cedars. Wiesz, jak on kocha ten wóz... Był wstrząśnięty, chodź, jedziemy.

Przekraczając ograniczenia prędkości, dojechałem do kompleksu szpitala

Cedars-Sinai w piętnaście minut. Rick czekał na rogu Beverly Boulevard i George Burns Avenue, ubrany w narzucony na niebieski kitel długi biały płaszcz. Nie licząc jego palców chirurga, które nigdy nie przestawały się zginać i prostować, stał nieruchomo.

Kiedy zatrzymałem się przy krawężniku, Milo wyskoczył z seville'a, podbiegł do

**Ricka i zaczął z nim rozmawiać. Dla postronnego obserwatora wyglądali na dwóch mężczyzn w średnim wieku, nieprzejawiających do siebie żadnego pociągu fizycznego, ale dla mnie było to oczywiste i zastanawiałem się, czy ktoś jeszcze zdaje sobie z tego sprawę. I nad czymś jeszcze: restauracja Hot Dog Heaven, w której Milo spotkał Parisa Bartletta, znajdowała się zaledwie przecznicę dalej. Z wystawionych przed nią stolików było dobrze widać cały teren przed szpitalem. Milo czasami wpadał do Cedars, żeby zjeść obiad z Rickiem, albo po prostu z nim pogadać. Czy był obserwowany, a jeśli tak, to jak długo?**

**Potem pomyślałem o dwóch gliniarzach rozmawiających w izbie przyjęć.**

**Podobno nie wiedzieli, że Rick jest tuż obok. Ale może uwagi o detektywie z HIV, zmuszonym do opuszczenia policji, były przeznaczone właśnie dla jego uszu?**

**Plus małe przedstawienie Bartletta, telefon z kadr, kradzież samochodu - wszystko razem składało się na obraz wojny psychologicznej.**

**Milo i Rick rozmawiali, a ja siedziałem na miejscu kierowcy i rozglądałem się.**

**Widziałem tylko fale anonimowych twarzy i samochodów, w typowych dla Los Angeles proporcjach: jeden pieszy na pięćset pojazdów.**

**Rick przestał mówić i trochę oklapł. Milo poklepał go po plecach i wzrokiem wskazał seville'a. Rick wsiadł z tyłu, a Milo wrócił na przedni fotel pasażera.**

**- Cześć, Alex - powiedział Rick.**

**- Przykro mi z powodu samochodu.**

**Skrzywił się.**

**- Alarm i blokada kierownicy, a i tak go rąbnęli.**

**Milo obejrzał się i spojrzał na niego. Jego oczy były zimne, mięśnie karku napięte, a szczeka wystawała jak u psa bojowego, rwącego się na arenę.**

- Kiedy to się stało? - spytałem.

- Przyjechałem do pracy o piątej rano i nie wychodziłem przed drugą po południu - powiedział Rick - więc gdzieś w tym czasie.

- Rick uważa, że mógł być śledzony - dodał Milo - kiedy jechał do pracy.

- To pewnie nic takiego - powiedział Rick. - Ale tak wcześnie na ulicach jest raczej mało samochodów, a kiedy wyjechałem na San Vincente, zobaczyłem za sobą światła. Trzymały się mnie aż do Trzeciej.

- I nie wiesz, kiedy dokładnie się to zaczęło? - spytał Milo.

Rick westchnął. .

- Mówiłem ci, o szóstej miałem operację wycięcia śledziona. Skupiałem się na tym, żeby się przygotować psychicznie. - Mówił pewnym głosem. Wciąż zginał i prostował palce. - Naprawdę nie uważam, żeby to coś znaczyło. Pewnie jakiś inny ranny ptaszek.

- Ile samochodów normalnie jedzie za tobą, kiedy wybierasz się na wcześniejszą zmianę, Rick?

- Zwykle żaden. Ale czasami jeden albo dwa - mówiłem, nie zwracam na to uwagi. Gdyby nie rąbnęli porsche, gdybyś nie spytał, czy ktoś mnie śledzi, w ogóle bym o tym nie pomyślał.

- Lepiej pomyśl - powiedział Milo. - Obaj musimy pomyśleć.

- O czym?

- O pilnowaniu własnej dupy. Może nawet chwilowej zmianie adresu.

- Nie, daj spokój - zaprotestował Rick.

- Mówię poważnie.

Cisza.

**- Dobrze, po kolei. Potrzebny mi samochód z wypożyczalni. Alex, czy byłbyś tak dobry i podrzucił mnie do...**

**- Ja cię zawiozę - przerwał Milo. - Wyrzuć nas przecnicę od domu, Alex. - I do**

**Ricka: - Zaczekasz, a ja sprawdzę okolicę. Zabiorę cię taurusem i pojedziemy do wypożyczalni Budget. Nie, do jakiejś innej, lepiej nie ryzykować. Chcę ograniczyć wszystkie związki między nami do minimum.**

**- Nie mówisz poważnie - powiedział Rick.**

**- Jedź, Alex.**

**- Ograniczyć związki?**

**- Przykro mi - powiedział Milo. - W tej chwili odgroźnienie się od ciebie murem to najlepsza rzecz, jaką mogę dla ciebie zrobić.**



Alex wysadził ich obu za rogiem i odjechał. Milo zostawił Ricka pod kolczastą chorisią i poszedł w kierunku domu, rozglądając się uważnie na wszystkie strony. Wypożyczony taurus stał na podjeździe; Milo obszedł go szybko dookoła. Nic podejrzanego. Wśliznął się za samochód, podbiegł podjazdem, wyciągnął pistolet i otworzył tylne drzwi, czując się jak idiota. Zapiszczał alarm - dobry znak. Milo wyłączył go i zajrzał do wszystkich pokoi, jakby szukał podejrzanego. Bawi się w Robocopa we własnym domu, Jezu.

Nie zauważył, żeby ktoś coś ruszał. Graty w pokoju gościnnym leżały tam, gdzie je zostawił - na ruchomych deskach podłogi, skrywających sejf. Mimo to cały czas męczyłyby go podejrzenia. Nie czując się wcale spokojniej, wsiadł do taurusa i podjechał po Ricka.

- Zakładam, że wszystko w porządku - powiedział Rick.

- Na to wygląda.

- Milo, porsche pewnie nie miał z tym nic wspólnego.

- Może.

- Myślisz, że nie?

- Nie wiem, co mam myśleć.

- W takim razie - powiedział Rick - nie dramatyzujmy. - Wypożyczę samochód i wracam do pracy, a potem do domu.

Milo włączył silnik, ale nie ruszył. Rick odchrząknął, jak to zwykle robił, kiedy tracił cierpliwość.

- Co robiłeś dzisiaj rano, mądralo?

**- Czemu pytasz?**

**- Ile przeprowadziłeś operacji?**

**- Trzy...**

**- Stałem nad tobą i mówilem, którego skalpela masz użyć?**

**- Słuchaj - zaczął Rick. I umilkł.**

**Milo postukał palcami w kierownicę.**

**- Dobrze, przyznaję, że lepiej się znasz na złych stronach życia - powiedział Rick.**

**- Ale doświadczenie nie oznacza nieomyślności. Jeśli ktoś chciał cię zastraszyć, dlaczego ukradł mój samochód?**

**Bo oni właśnie w ten sposób myślą.**

**Milo nie odpowiedział.**

**- To była kradzież, najzwyczajniejsza ze zwykłych - powiedział Rick. - Zawsze mi powtarzałeś, że gdyby zawodowiec chciał ukraść moje porsche, zrobiłby to, choćbym nie wiem jak się zabezpieczał.**

**- Są zawodowcy i zawodowcy.**

**- To znaczy?**

**- To znaczy, że nie wiem, co tak naprawdę stało się z twoim porsche, ale wiem, że chcę, żebyś trzymał się z dala od moich problemów. Więc przestań mi utrudniać, nawet jeśli myślisz, że jestem melodramatyczny. W najgorszym wypadku ja wyjdę na idiotę, a ty pocierpisz trochę niewygód. Jaki samochód chcesz wypożyczyć?**

**Rick zmarszczył czoło.**

**- Wszystko jedno. - Postukał w deskę rozdzielczą taurusa. - Może być coś takiego.**

**- Wszystko, tylko nie coś takiego - powiedział Milo. - Nie chcę, żebyś jeździł**

**czymś, co można pomylić z moim wozem. Może terenówkę? W tym mieście jeździć**

terenówką to jak przebrać się za drzewo w lesie.

- Wszystko jedno - powtórzył Rick, splatając ręce na piersi. - Pewnie, może być terenówka. Może pojedę na wycieczkę.

- To wcale nie jest zły pomysł. Wyjedź na jakiś czas z miasta.

Rick odwrócił się do niego gwałtownie.

- Mówiłeś poważnie? Naprawdę chcesz się mnie pozbyć?

- Chcę, żebyś był bezpieczny.

- Zapomnij, Miśku, nawet o tym nie myśl. Czeka mnie tydzień dyżurów plus nadgodziny. Mamy rachunki do zapłacenia.

- Bądź poważny - powiedział Milo. - Kiedy ostatni raz martwiliśmy się o rachunki?

- Ani razu, odkąd spłaciłem porsche. Ale teraz pewnie będzie mi potrzebny nowy samochód, a to oznacza kilka miesięcy nadgodzin. Rozmawialiśmy o urlopie i wyjeździe na wakacje do Europy, więc muszę coś odłożyć.

Milo nie odpowiedział.

- Mówiłeś chyba poważnie o tej Europie? - upewnił się Rick. - Cały harmonogram pracy ułożyłem sobie tak, żeby móc wziąć miesiąc wolnego.

- Mówiłem poważnie.

- Może powinniśmy wyjechać już teraz?

Milo pokręcił głową.

- Dlaczego nie? - spytał Rick. - Jeśli masz rację, to po co tu zostawać i wystawiać się na strzał?

- Pogoda - powiedział Milo. - Jeśli już mam jechać do Europy, chcę mieć słońce.

- Proszę, jaki z ciebie meteorolog. - Rick wziął Mila za rękę. - A jeśli twoje obawy

**nie miną? Mam się udać na wygnanie?**

**- To nie jest kwestia obaw. To mój latami szkolony zmysł wyczuwania zagrożenia.**

**- Ta głupia plotka, o której mówili ci gliniarze? Myślałem o tym. Przecież w twoim wydziale może być detektyw z HIV. Ktoś dobrze ukryty. Ci kretyni tylko mieli ozorami, jak to gliniarze. Wiem, widuję ich bez przerwy, jak przywożą podejrzanych. Stoją, piją kawę i gadają, kiedy my zszywamy tych biedaków.**

**- Jeszcze jeden detektyw gej w Zachodnim Los Angeles - powiedział Milo. - Jasne, to możliwe.**

**- Kto powiedział, że to gej? Czy tylko ty jeden możesz być sławny?**

**- Tak, to ja, wielka gwiazda. Rick, to coś więcej niż zwykła plotka...**

**- Ta stara sprawa, wiem. Może przez tyle lat nikt się nią nie zajął, bo wszyscy mają to gdzieś. A jeśli sam to sobie wymyśliłeś, Milo? Z pomocą Aleksa.**

**- Co to ma znaczyć?**

**- To, że między tobą i Alekssem jest jakaś niesamowita chemia. Wystarczy, że się zetkniecie i od razu zaczynacie wpadać na dziwne pomysły.**

**- Wiem z doświadczenia, że Alex częściej ma rację, niż się myli. A akta morderstwa to szczeniący dowcip?**

**- Możliwe.**

**Milo milczał.**

**- Dobrze - powiedział Rick. - Nie rozmawiajmy już o tym. Jedźmy po samochód.**

**Milo pojechał Melrose na zachód, do Donehy, potem na północ do Santa Monica Boulevard. Minęli kluby, do których żaden z nich już nie chodził.**

**- Gdzie konkretnie jedziemy? - spytał Rick.**

**- Do Beverly Hills, do biura Hertza w Hiltonie.**

**- No, no. Może wezmę sobie rollsa.**

**- Nie ma mowy, mamy rachunki do zapłacenia.**

**Rick popatrzył na Mila, Milo na Ricka i obaj wybuchnęli śmiechem. Milo**

**wiedział, że to tylko chwilowe rozładowanie napięcia, bardziej środek przeciwbólowy niż lekarstwo. Ale i tak się cieszył.**

**Milo patrzył, jak Rick odjeżdża wypożyczonym volvo. Papiery podpisali u ładnej**

**blondynki, która spojrzała tylko na Ricka i od razu zaczęła z nim bezczelnie flirtować.**

**Nie rozmawiali o tym, gdzie Rick się przeniesie i na jak długo. Milo zgodził się zostawić ten temat do wieczora.**

**Sam pojechał do centrum, na Skid Row. Podle hoteliki, które dwadzieścia lat**

**temu należały do Vance'a Coury'ego seniora stały na Main Street. Szansa, że pracował w nich ktoś pamiętający tamte czasy była znikoma, ale nie było też nic do stracenia.**

**Jednak kiedy Milo przejechał ulicą, iskierka optymizmu zgasła. W miejscach,**

**gdzie stały Excelsior i Crossley teraz były parkingi, a Grande Royale zamienił się w dom misyjny Światłość.**

**Wrócił do miejskiego archiwum i wyciągnął dokumentację podatkową**

**wszystkich trzech posesji. Parkingi zostały wydierżawione korporacji, Nevady, ale**

**ziemia należała do Concourse Elegance, Inc., która z kolei była powiązana z warsztatem samochodowym Concourse Auto Restoration na Van Nuys Boulevard. Warsztatem**

**Vance'a Coury'ego. Junior odziedziczył w spadku budynki, dwa z nich wyburzył i**

**zamienił w nieprzysparzający kłopotów, za to przynoszący zyski gładki asfalt.**

**Za to misja Światłość wyglądała interesująco. Charytatywną fundację Światłość**

**prowadzili wielebni Fred i Glenda Stephensonowie - para, którą Milo znał, bo za swoich**

mundurowych czasów często woził bezdomnych do ich jadalni na San Pedro. Uważał ich oboje za świętych, dwadzieścia cztery godziny na dobę opiekujących się biednymi. Coury przypuszczalnie oddał im trzecią działkę jako darowiznę, żeby płacić mniejsze podatki i wyjść na swoje z pozostałymi dwiema.

Czując się jak głupszy brat Don Kichota, Milo przeszedł do aktów zgonu.

Wstrzymał oddech, kiedy niespodziewanie coś znalazł.

Luke Matthew Chapman zginął tragicznie - dwadzieścia lat temu, w wieku lat dwudziestu jeden, utopił się.

Data śmierci: czternasty grudnia. Sześć miesięcy po morderstwie Janie Ingalls.

Osiem dni przed ostatnim dniem pobytu Caroline Cossack w Achievement House i dziewięć przed egzekucją Borysa Niemierowa.

Milo zadzwonił do biura koronera i połączył się z jedną z przyjaznych mu tam osób: asystentem, który sam się ujawnił, dowiedziawszy o przejściach Mila. Milo nie czuł się dobrze jako wzór do naśladowania, ale od czasu do czasu przydawała mu się pomoc tego faceta.

Darren tym razem nie zadawał pytań, tylko poszedł odszukać akt zgonu. Milo nie zdziwiłby się, gdyby tej teczki też nie było, ale kilka minut później miał już zapisane w notesie wszystkie ważne dane.

Luke Chapman zaparkował nocą samochód przy autostradzie PCH i poszedł popływać na plażę Zuma. Nielegalnie, ponieważ stanowe plaże są nieczynne po zmroku i Chapman musiał pokonać wysokie siatkowe ogrodzenie. Miał dwukrotnie przekroczony limit alkoholu we krwi, co wzbudziło w Milu wątpliwości, jak udało mu się samodzielnie przejść przez płot, ale koroner wysnuł teorię, że ten "młody, biały, dobrze odżywiony mężczyzna" został porwany przez fale i stracił koordynację wskutek intoksykacji

organizmu. Obecność wody w płucach potwierdziła utonięcie. Ciało zostało wyrzucone na brzeg na drugim końcu plaży, na skraju Broad Beach. Widoczne liczne urazy i otarcia wynikały najprawdopodobniej z rzucania zwłokami przez przybój, nie było natomiast żadnych oczywistych śladów przemocy.

Nie było, chyba że siniaki na rękach, nogach i plecach Chapmana stanowiły dowody, że został siłą wepchnięty do morza. Milo wiedział, że Zuma była jednym z ulubionych miejsc zabaw Ludzi Króla.

Przypomnił sobie pusty wyraz twarzy Chapmana. Najgłupszy chłopak w bandzie. Brał udział w morderstwie Janie Ingalls, a potem przez kilka miesięcy walczył z przerażeniem, nie mogąc sobie z nim poradzić. Może nawalił się i powiedział kolegom coś, przez co uznali go za poważne zagrożenie.

Załatwił sobie pocałunek fal.

A z drugiej strony, wypadki chodzą po ludziach...

Bowie Ingalls: człowiek kontra drzewo.

Pierce Schwinn: człowiek kontra głaz.

Luke Chapman: człowiek kontra woda.

Co zostawało, ogień? Milo nagle wyobraził sobie spalonych żywcem Williego

Burnsa i Caroline Cossack. Ciała zwęglone w stopniu uniemożliwiającym rozpoznanie, całkowite unicestwienie przeszłości.

Ludzie Króla. Wstrętne banda rozpuszczonych, bogatych gówniarzy, którzy posprzątali po sobie i w nagrodę dostali dwadzieścia lat wygodnego życia.

Bardziej niż wygodnego: ferrari z szoferami, domy w Holmby, udziały w biznesie filmowym, prywatne kolacje z politykami i ludźmi sprawującymi władzę.

Uszło im na sucho.

**Bracia Cossack, okularnik Larner, Coury. I ten bystry - Nicholas Dale Hansen.**

**Co z nim?**

**Milo sprawdził Hansena w aktach własności. Nic. Co to miało znaczyć, dzierżawił dom na North Roxbury?**

**Znalazł cichy kącik w piwnicy archiwum, między stosami starych map, upewnił się, czy w pobliżu nikogo nie ma i zaryzykował telefon do Krajowego Centrum Informacji Kryminalnej, podszywając się pod detektywa pierwszego stopnia z West Valley, nazwiskiem Korn - gnoja, którym kiedyś kierował, pozbawionego inicjatywy, za to pyskatego.**

**Niepotrzebnie ryzykował: Nicholas Dale Hansen nie miał żadnej kryminalnej przeszłości.**

**Milowi pozostało jedynie wrócić do domu i pobawić się laptopem. Albo pójść na skróty i poprosić o to Aleksa - jego przyjaciel, początkowo wróg komputerów, nieprzyjmujący do wiadomości istnienia Internetu, zamienił się z czasem w całkiem sprawnego internautę.**

**Milo ruszył do taurusa, zostawionego na parkingu dwie przecznice dalej.**

**Zmieszał się z popołudniowym tłumem pieszych i zadzwonił z komórki jak każdy inny leming w stadzie. Pewnie dopraszał się o raka ucha albo coś takiego, ale udawanie normalnego było przyjemne.**

**Alex odebrał po pierwszym sygnale. Milowi wydawało się, że słyszy rozczarowanie w jego głosie. Czekał na telefon od Robin? Co tam się znowu dzieje?**

**Poprosił o poszukanie Nicholasa Hansena.**

**- O, zabawne, że o tym mówisz.**

**- No tak, zapomniałem - powiedział Milo. - Przecież zadaję się z Nostradamusem.**



- Nie, tylko z facetem, który ma za dużo wolnego czasu. Hansena nie było trudno znaleźć. Zgadnij, jak zarabia na życie?

- Sądząc po tym, jak wyglądał w liceum, jakimiś podejrzanymi interesami?

- Jest artystą. Malarzem. Całkiem niezłym, jeśli zdjęcia z nowojorskiej galerii, w której się wystawia, oddają prawdę.

- Artysta dzierżawi dom w Beverly Hills i jeździ wielką beemką?

- Artysta, który odniósł sukces - powiedział Alex. - Bierze od dziesięciu do trzydziestu tysięcy za obraz.

- I co, trzaska je seryjnie?

- Raczej nie. Zadzwoniłem do galerii, podając się za zainteresowanego kolekcjonera. Wszystko wyprzedane. Opisali jego styl jako postmodernistyczne podejście do starych mistrzów. Hansen sam miesza kolory, sam robi ramy i pędzle, nakłada warstwami farbę i cienie. To czasochłonny proces, właścicielka galerii powiedziała, że maluje cztery, pięć obrazów rocznie. Dała też do zrozumienia, że chciałaby mieć ich więcej.

- Cztery, pięć rocznie przy najwyższych cenach oznacza maksymalnie sto pięćdziesiąt kawalków - powiedział Milo. - Sama roczna dzierżawa domu w tej okolicy może więcej kosztować.

- W dodatku około pięćdziesięciu procent ceny biorą galerie - uzupełnił Alex - więc nic się nie zgadza. - Przerwał. - Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe, ale przejechałem obok jego domu. Ładny - duża stara hiszpańska posiadłość, nieprzebudowana. Samochód bmw stoi na podjeździe. Świeżo woskowany. Ciemnozielony, prawie takiego samego koloru, jak mój seville.

Milo roześmiał się.

- Czy nie mam ci tego za złe? A jaka to różnica? Nie, wszystko w porządku, dopóki nie staniesz u niego w drzwiach i nie oskarżysz drania o morderstwo. To proszę zostawić mnie. Bo, wyobraź sobie, krąg zaczyna się zamykać.

Opowiedział Aleksowi o utonięciu Chapmana.

- Kolejny wypadek - mruknął Alex. - Normalnie powiedziałbym “aha”, ale ostatnio byłeś trochę nerwowy.

- Powiedz, nie krępuj się. Zaaplikuję ci znieczulenie przed borowaniem.

Alex zaśmiał się posłusznie.

- Przyjrzałem się też trochę samemu Hansenowi. Albo komuś, kto mieszka pod tym adresem. Kiedy przejeżdżałem, z frontowych drzwi wyszedł jakiś mężczyzna, podszedł do bmw i wyjął z bagażnika drewnianą deskę. Nicholas Hansen maluje na mahoni.

- Artysta - powiedział Milo. - Z dodatkowymi dochodami. Wychodzi sobie na podjazd w wygodnym ubranku, robi, na co ma ochotę. Życie jest niesprawiedliwe, co? Milo chciał po zmroku zrobić kilka rzeczy, więc podziękował Aleksowi, powiedział, żeby trzymał się z dala od kłopotów i że zadzwoni do niego rano.

- Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

Milo zdusił w sobie impuls, żeby powiedzieć: “nie pakuj się w kłopoty”.

- Nie, nie w tej chwili.

- W porządku - powiedział Alex. Wydawał się zawiedziony. Milo chciał zapytać go o Robin, ale tego nie zrobił.

Rozłączył się, myśląc o Janie Ingalls i o tym, że niektórzy żyją tak krótko i tak podle, że Bóg chyba cudem w ogóle zawraca sobie nimi głowę.

Włókł się przez korki, zastanawiając się, co zrobić z Rickiem. Doszedł do

wniosku, że najlepszym rozwiązaniem będzie jakiś miły hotel na kilka dni. Rick będzie bardzo niezadowolony, ale nie robi awantury. Nigdy nie robił, zamykał się tylko w sobie i stawał się cichy i niedostępny.

Nie będzie przyjemnie, ale w końcu Rick się zgodzi. Przez wszystkie lata, które spędzili razem, obaj się nauczyli, kiedy nie warto ze sobą walczyć.

Dojechał do domu na piątą.

W połowie drogi przez swój kwartał zatrzymał się.

Na podjeździe stało coś białego.

Porsche.

Milo rozejrzał się, nie zobaczył żadnych innych samochodów, przyspieszył i zatrzymał taurusa za wozem Ricka. Na pierwszy rzut oka samochód był nietknięty - nie miał żadnych obić ani brakujących części. Więcej niż nietknięty - lśniący i czysty, jakby dopiero co umyty. Rick dbał o swoje auto, ale Milo nie pamiętał, kiedy ostatni raz je mył... w zeszły weekend. Przez większą część tygodnia Rick trzymał samochód w garażu, ale ostatnie dwa dni porsche spędziło na podjeździe, gotowe na wypadek nagłego wezwania do szpitala. Dwudniowy brud na białym lakierze byłby widoczny z daleka.

Ktoś wyczyścił samochód.

Milo rozejrzał się po okolicy, położył dłoń na kolbie pistoletu i ostrożnie wysiadł.

Podszedł do auta i dotknął tylnej klapy.

Śliska. Myta i woskowana.

Zajrzał przez okno, dodał w myślach: "świeżo odkurzone". Na dywanikach widać było ślady odkurzacza.

Nawet blokada kierownicy została założona na swoje miejsce. Potem Milo zobaczył coś na siedzeniu kierowcy.

**Brązową papierową torbę.**

**Jeszcze raz spojrzął w górę i w dół ulicy, po czym przykleknął i zajrzał pod samochód. Nic nie tykało, nie było żadnych podejrzanych kabelków. Otworzył tylną klapę i zobaczył nietknięty silnik. Sam pracował przy tym samochodzie, zabezpieczył spód przed rdzą na okoliczność wycieczek w złą pogodę, z których ostatecznie nic nie wyszło. Dobrze znał bebechy wozu. Nic nowego.**

**Otworzył drzwi kierowcy i przyjrzał się z bliska torbie. Nie była zaklejona; można było do niej zajrzeć.**

**W środku był niebieski segregator. Nie ze lśniącej skóry, taki, jaki dostał Alex. Zwykły, płócienny.**

**Taki jak te, których używał wydział, zanim przeszedł na plastikowe.**

**Wziął torbę za brzeg czubkami palców i zaniósł ją do domu. Usiadł w salonie.**

**Serce mu waliło, ręce były zimne jak lód, bo wiedział, co jest w środku. Wiedział też, że mimo tej pewności będzie wstrząśnięty.**

**Bolała go zaciśnięta szczeka i napięte mięśnie pleców. Otworzył segregator, zawierający akta sprawy Janie Ingalls.**

**Bardzo cienkie akta. Na wierzchu jego własne notatki, potem oficjalne zdjęcia z miejsca zbrodni. Faktycznie, Schwinn ukradł swoje z tego kompletu. Szkice ciała z zaznaczonymi wszystkimi ranami, wyniki autopsji. Nie oryginały, ładne, wyraźne fotokopie.**

**Dalej nic. Nie było wyników testów laboratoryjnych, raportów ze śledztwa chłopaków z policji miejskiej, którzy mieli przejąć sprawę. Albo to było kłamstwo, albo ktoś wyjął z akt kilka stron.**

**Spojrzął na wyniki autopsji. Brak wzmianki o nasieniu, właściwie o czymkolwiek.**

To był najbardziej zdawkowy raport, jaki czytał w życiu. “Rany tej niepełnoletniej, dobrze odżywionej, białej kobiety zostały zadane ostrym, pojedynczym ostrzem...”

Wielkie dzięki.

Brak wyników badania toksykologicznego, którego zażądał. Nie potrzebował oficjalnego potwierdzenia; Melinda Waters powiedziała, że Janie zaczęła tamten wieczór już naćpana.

Nie ma nasienia, nie ma obcej grupy krwi. Może zapomnieć o DNA.

Ale uwagę Milo przykuł jeden szczegół z podsumowania autopsji: otarcia wokół nadgarstków, kostek i szyi Janie.

Takie samo rozłożenie więzów, jak w hotelu.

Vance Coury zobaczył ją i urządził powtórkę z rozrywki.

Tym razem wziął ze sobą kolegów.

Milo przeczytał wszystko jeszcze raz. Nie było tam żadnych rewelacji, ale komuś bardzo zależało na tym, żeby Milo to dostał.

Uspokoił myśli wódką z sokiem grejpfrutowym, sprawdził pocztę i wiadomości na sekretarce.

Jedna wiadomość od Ricka, który ułatwił sprawę, biorąc dodatkową zmianę.

- Wrócę dopiero jutro rano, prześpię się w pokoju lekarzy, może potem się przejadę. Uważaj na siebie... Kocham cię.

- Ja ciebie też - mruknął Milo do pustego domu. Nawet w samotności nie przyszło mu to łatwo.

Otworzyłem Milowi drzwi o dziewiątej, z całych sił starając się wyglądać jak człowiek. W nocy budziłem się co kilka godzin i nie mogłem zasnąć, nawiedzany myślami z rodzaju tych, co niszczą duszę.

Trzy telefony do Robin pozostały bez odpowiedzi. Obsługa hotelowa nie chciała mi powiedzieć, czy się już wymeldowała - ochrona prywatności gości. Następny przystanek - Denver. Wyobraziłem ją sobie w autobusie, ze Spikiem śpiącym na kolanach, patrzącą przez okno.

Myśli o mnie, czy o wszystkim innym, tylko nie o mnie?

Milo podał mi niebieski segregator. Przejrzałem go i przeszliśmy do mojego gabinetu.

- Nie nauczyłeś się lepiej pisać na maszynie od tamtej pory - powiedziałem. -

Masz jakieś teorie, kto ci to podrzucił?

- Ktoś z talentem do kradzieży samochodów.

- Ten sam, który przysłał mi wersję luksusową akt?

- Możliwe.

- To nie wygląda na tajemniczą dziewczynę Schwinna - powiedziałem. - A może jestem seksista kobiety chyba też potrafią kraść samochody.

- To nie był amator. Sprawdziłem odciski palców na kierownicy i klamkach drzwi. *Nada*. Na teczce też tylko moje łapska. Założyli z powrotem blokadę kierownicy. Zdjęli ją, nie przecięli.

- Zawodowy złodziej, wydział, czy gliniarz samotnik? - spytałem.

- Gliniarz samotnik oznaczałoby, że Schwinn miał jakiegoś kolegę w tamtych

czasach, albo poznał kogoś nowego. Nigdy go z nikim nie widziałem. Reszta detektywów go unikała.

-Wiesz dlaczego?

- Z początku myślałem, że to dzięki jego urokowi osobistemu, ale może wszyscy wiedzieli, co wyczyniał i rozumieli, że za chwilę wyleci. Wszyscy oprócz mnie. Byłem głupim szczeniakiem z własnymi problemami. Zastanawiałem się wtedy, czy przydzielili mnie Schwinnowi, bo też uważali mnie za wyrzutka. Teraz jestem tego pewien.

- Nie takiego znowu wyrzutka - powiedziałem. - Jego wyrzucili, a ciebie przenieśli do zachodniego Los Angeles.

- Może po prostu za krótko służyłem, żeby zdążyć zebrać na kogoś teczkę.

- Albo zdobyć sobie informatorów. Takich jak ten, który nakierował Schwinna na Janie.

Milo potarł palcem krawędź segregatora.

- Inny wypalony gliniarz... Może. Ale dlaczego przysłał mi to tydzień po wersji luksusowej?

- Kryje tyłek - powiedziałem. - Upewnia się. Nie wiedział, czy dasz się skusić.

Zacząłeś śledztwo i zasłużyłeś na następną ratę.

- Będzie ich więcej?

- Możliwe.

Milo wstał, obszedł pokój dookoła, wrócił do biurka, ale nie usiadł. Okna były zasłonięte; cienki jak żyłeczka promień światła ukośnie przecinał mu tors, jak lśniąca rana.

- Mam jeszcze jedną teorię - powiedziałem. - Człowiek z wydziału wewnętrznego, który przesłuchiwał cię z Broussardem - Poulsen. Wiesz, co się z nim stało?

- Lester Poulsenn - powiedział Milo. - Próbowałem sobie przypomnieć, jak miał na imię, i właśnie zaskoczyłem. Nie, nigdy później o nim nie słyszałem. Czemu tak myślisz?

- Bo prawdziwym celem odkopania tej sprawy może być Broussard. John G.

zbudował swoją karierę na nieposzlakowanej reputacji, wywleczenie na światło dzienne zatuszowanego morderstwa zniszczyłoby go. Lester Poulsenn miał dobry powód, żeby nie przepadać za Broussardem. Pomyśl tylko - czarny i biały są partnerami, ale to czarny dowodzi. Potem wspina się na sam szczyt drabiny kariery w wydziale, a o białym nikt więcej nie słyszy. Czy Poulsenna też wykopali za niewłaściwe zachowanie? A może nie umiał dotrzymać tajemnicy. Tak czy inaczej, można mówić o mocno rozczarowanym jegomościu.

- A Poulsenn wiedziałby o Schwinnie... Tak, to byłoby ciekawie dowiedzieć się, co się z nim stało. Ale nie mogę, ot tak, wejść do Parker Center i przejrzeć akta osobowe... - Zmarszczył czoło, zadzwonił do wydziału komunikacji i podał się za porucznika Horacia Batistę. Kilka minut później miał dane trzech Lesterów Poulsennów, mieszkających w Kalifornii, ale wszyscy trzej byli za młodzi, żeby mogli być partnerem Johna G. Broussarda.

- Mógł wyjechać ze stanu - powiedziałem. - Co oznacza, że prawdopodobnie nie o niego nam chodzi. Albo że on też zniknął.

Milo znów wstał i zaczął krążyć; świetlna żyłetka skakała na jego sylwetce.

Wrócił do segregatora i dotknął niebieskiej okładki.

- Na raty... Hej, zapraszamy do klubu albumu morderstw.

Pracę podzieliliśmy następująco:

1. Ja miałem spróbować dowiedzieć się, co się da, o Lesterze Poulsennie,



**sprawdzić mikrofilmy z gazetami sprzed dwudziestu-dwudziestu pięciu lat, szukając informacji o podejrzanych policjantach i dowiedzieć się, co się z nimi stało. Nie było to łatwe, bo wydział nie ujawniał przypadków korupcji, tak jak to miało miejsce w przypadku Pierce'a Schwinna. Chyba, że smród był zbyt silny, jak ze skandalem w Rampart albo sprawą włamania w Hollywood dziesięć lat temu.**

**2. Milo miał się zająć swoimi sprawami, nie mówiąc mi co, gdzie i kiedy ma zamiar zrobić.**

**Poszukiwania w Internecie nie ujawniły żadnych Lesterów Poulsennów, którzy pasowaliby do naszych kryteriów. Zadzwońłem jeszcze raz do Vancouver, bez skutku. Pociaszylem się, użalając się chwilę nad sobą, po czym pojechałem na uniwersytet. Przejrzenie mikrofilmów z pięciu lat zajęło mi trzy godziny. Znalazłem kilka przypadków łamania prawa wśród oficerów policji. Dwaj detektywi z West Valley wynajmowali się jako płatni zabójcy. Obaj odsiadali dożywocie w stanowym więzieniu nad Pelican Bay. Policjant z drogówki z Glendale został aresztowany za seks z trzynastoletnią opiekunką do dziecka. Dziesięć lat więzienia - już wyszedł, ale współpraca Schwinna z pedofilem wydawała mi się mało prawdopodobna. Policjantka z wydziału do spraw walki z przestępczością zorganizowaną w Pasadenie przespalała się z kilkoma młodocianymi członkami gangu, a dwóch mundurowych z Van Nuys zostało przyłapanych na włamaniu do lombardu podczas patrolu. Wszyscy zostali skazani i zamknięci. W każdym wypadku trudno było sobie wyobrazić, żeby Schwinn współpracował z kimś takim. Zapisalem na wszelki wypadek wszystkie nazwiska, wpisałem nazwisko Lestera Poulsenna do wyszukiwarki indeksu periodyków i poczułem, jak rozszerzają mi się źrenice, kiedy na ekranie wyskoczył pojedynczy nagłówek. Nagłówek sprzed dwudziestu lat:**

**DETEKTYW L.L. POULSENN, BYŁY FUNKCJONARIUSZ WYDZIAŁU**

**POLICJI LOS ANGELES, ZNALEZIONY ZAMORDOWANY W WATTS.**

“Sacramento Bee”. Odszukałem właściwą szpulę, założyłem ją na przeglądarkę i zacząłem przewijać jak szalony, aż trafiłem na właściwy artykuł. Dostarczony przez agencję Associated Press - gazety z Los Angeles nie podchwyciły tematu.

“Bee” wydrukowała notatkę na bocznej kolumnie, na ostatniej stronie, między doniesieniem o zdechłym czarnym nosorożcu w zoo w San Diego, a napadem na bank w Berkeley.

Data - piąty stycznia. Czternaście dni po wypisaniu - albo zabraniu - Caroline Cossack z Achievement House.

Natychmiast zrobiłem odbitkę i przeczytałem całe doniesienie.

*(AP) Policja Los Angeles prowadzi dochodzenie w sprawie śmierci jednego ze swoich ludzi, prawdopodobnie ofiary zabójstwa i mającego zatrzeć ślady podpalenia. Ciało Lestera Louisa Poulsenna, byłego detektywa wydziału wewnętrznego, niedawno przeniesionego do wydziału ciężkich przestępstw policji miejskiej, zostało znalezione w płonącym domu w Watts. Poulsenn, lat 39, od trzynastu lat służący w policji, został znaleziony przez strażaków, wysłanych do pożaru prywatnego budynku mieszkalnego przy Zachodniej 156. ulicy. Rzecznik departamentu policji powiedział, że Poulsenn został dwukrotnie postrzelony w tył głowy, co mogło oznaczać egzekucję.*

*“To niespokojna okolica, działa tu mnóstwo gangów”, powiedział nam nasz informator, nie potwierdzając ani nie zaprzeczając, że Poulsenn wykonywał w Watts służbowe zadanie. Budynek, jednorodzinny dom, od jakiegoś czasu pusty, spalił się doszczętnie.*

Przewijałem szpulę dalej, mając nadzieję na dalszy ciąg. Nic.

Co mnie mocno zdziwiło: nic nie mobilizuje policji do działania tak sprawnie, jak zabójstwo policjanta. A mimo to lokalna prasa nic o tym nie napisała, nie pojawiły się też dalsze oficjalne oświadczenia w tej sprawie.

“Niedawno przeniesiony do policji miejskiej”. Tłumaczenie: Poulsen przejął sprawę Janie Ingalls?

Dwadzieścia lat temu dwaj detektywi z wydziału wewnętrznego przesłuchiwali Mila. Jeden odniósł sukces, drugi siedem miesięcy później już nie żył.

Biały mężczyzna zastrzelony w czarnej okolicy, tak samo jak Borys Niemierow. Przeprowadzono na nim egzekucję, tak samo jak na Borysie Niemierowie.

Podpalenie, żeby zatrzeć ślady. Milo, zastanawiając się głośno, wspominał o ogniu. Osaczony czy nie, instynkt miał nieomylny.

Zadzwoń do niego, ale nie odbierał pod żadnym numerem. Zastanowiłem się, co robić dalej.

Taki ładny, spokojny poranek. Pora umyć samochód.

Dwie godziny później seville błyszczał tak, jak tylko seville model 79 może błyszczeć, a ja jechałem przez Glen do Valley. Nie zadowolilem się zwykłą czystością. Nawoskowałem i wypolerowałem zielony lakier, poprawiłem sprayem zadrapania, wyczyściłem opony, kołpaki i beżowy winylowy dach wraz z pasującą do niego tapicerką, przetarłem fornirowe wstawki, odkurzyłem i uprałem dywaniki. Kupiłem ten samochód piętnaście lat temu od przysłowiowej drobnej kobiecinki (emerytowanej nauczycielki z Burbank, a nie z Pasadeny, kobiety o niespodziewanie ciężkiej nodze) i od tamtej pory go dopieszczałem. Mimo to sto siedemdziesiąt tysięcy na liczniku robiło swoje i z każdym dniem coraz bliższa stawała się nieuchronna decyzja - albo nowy silnik, albo nowy samochód.

**Żadnych decyzji. Żadnych zmian.**

**Warsztat Concourse Auto Restorers był jednym z wielu na Van Nuys Boulevard między Riverside a Oxnard. Wyglądał skromnie - podwójny garaż z blaszanym dachem, przed nim otwarty parking. Nad garażem szyld z czerwonym napisem: MALOWANIE NA ZAMÓWIENIE, CHROMOWANIE, RENOWACJA NADWOZI, pod spodem wyglądający jak z kreskówki wizerunek równie czerwonego ferrari coupe.**

**Zaparkowałem na ulicy i wszedłem między wyścigówki, samochody do konkursów i jednego białego mercedesa, z odciętym dachem i fotelami przykrytymi niebieskim brezentem. Kilka lat temu stan wydał przepisy, zabraniające lakierowania natryskowego na otwartym powietrzu, jednak nad warsztatem unosił się smród rozpuszczalników.**

**Na środku placu dwaj mężczyźni w zatłuszczonych smarem koszulkach i workowatych, obciętych spodniach roboczych oglądali drzwi stutza blackhawka z lat siedemdziesiątych, pomalowanego na miedziany kolor i przypominającego patelnię. Obaj byli młodymi Latynosami o ochryplych głosach, z wąsami i ogolonymi na łyso głowami. Na piersiach zwisały im maski na twarze. Ręce i karki mieli pokryte tatuażami, niebieskimi, kanciastymi i nieudolnie zrobionymi - więzienna robota. Kiedy ich mijalem, obserwowali mnie spode łba. Kiedy kiwnalem im głową, zmrużyli oczy.**

**- Vance Coury? - spytałem.**

**- Tam - odparł cięższy z dwóch, wskazując kciukiem garaż. Mówił piskliwym głosem, pod jednym okiem miał wytatuowaną łzę. Coś takiego miało oznaczać, że kogoś zamordował, ale niektórzy lubią zmyślać. Ten facet był przygarbiony i miał ponure spojrzenie, a przechwálki jakoś mi do niego nie pasowały.**

**Poszedłem dalej.**

Kiedy zbliżyłem się do garażu dostrzegłem, że moje pierwsze wrażenie co do wielkości placu było mylne. Po lewej stronie budynku biegł podjazd, prowadzący na dwieście metrów kwadratowych otoczonego drucianą siatką terenu, zawalonego oponami, błotnikami, zderzakami, popękkanymi światłami i innym złomem. Do tylnej ściany garażu przylegały dwie szopy do lakierowania. Na placu stało kilka nietkniętych samochodów, ale reszta terenu przypominała szrot.

Wróciłem na frontowy parking. Lewa połowa drzwi garażu była zamknięta na zasuwę. W otwartej prawej stał czerwono-biało-niebieski corvette stingray. Samochód miał barwione na kolor ametystu szyby i wydłużony o trzydzieści centymetrów przód. Nad tylną klapą biegł luk spojlera, a dwudziestocalowe koła o chromowanych felgach wystawały na około dziesięć centymetrów poza obrys sylwetki auta. Od strony pasażera karoserię szpeciły plamy podkładu, szlifowane właśnie papierem ściernym przez kolejnego łysego Latynosa. Jeszcze jeden wytatuowany siedział w głębi, spawając coś spawarką. Na wystrój wnętrza składały się gołe ściany, betonowa podłoga, gołe żarówki i smród benzyny. Wsporniki ścian oklejone były kalendarzami z częściami do samochodów i rozkładówkami z nagimi kobietami, dobranymi pod kątem obfitości włosów łonowych i czyjegoś zainteresowania amatorską ginekologią. Między nimi wisiało kilka mocniejszych fotek; ktoś lubił oglądać chude, kucające, uległe blondynki o naćpanym wzroku, uprawiające seks oralny.

Szlifujący zignorował mnie, kiedy wcisnąłem się za corvette, uchyliłem przed iskrami, strzelającymi ze spawanego samochodu i wszedłem do zamkniętej części garażu. Zajmowała ją połowa czarnego porsche roadstera, przeciętego tak równo, że numer osiem, wymalowany na drzwiach, został przepołowiony i zamienił się w trójkę. W głębi, przy metalowym biurku siedział barczysty mężczyzna, ściskając pod brodą telefon

**i wystukując coś pospiesznie na kalkulatorze.**

**Okolo czterdziestki, miał długie, gęste siwe włosy, zaczesane gładko do tyłu i założone za uszy, do tego absurdalnie czarne brwi i równie atramentową hiszpańską bródkę. Światło wiszącej nad nim żarówki sprawiało, że oliwkowa skóra wydawała się jeszcze bardziej zielona. Pod ciemnymi, zamyślonymi oczami miał worki, szyję pomarszczoną i miękką, a twarz obwisłą. Trudno było się w nim dopatrzeć przystojnego chłopaka z liceum, a ja nie miałem ochoty się przyglądać. Bo Vance Coury patrzył na mnie, nie przestając rozmawiać i obliczać.**

**Podszedłem do biurka. Coury'ego otaczała aura mocnej wody po goleniu. Miał czarną jedwabną koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami i wysokim sztywnym kołnierzem, sięgającym prawie do uszu. Wokół szyi błyszczał złoty łańcuch. Na grubym, włochatym nadgarstku opinał się złoty rolex wielkości malej pizzy.**

**Coury patrzył na mnie, nie reagując w żaden inny sposób na moją obecność. Nie odłożył słuchawki, słuchał, powiedział coś, znów posłuchał. Ani na chwilę nie przestał stukać w klawisze kalkulatora. Biurko miał zawalone papierami, przyciśniętymi opróżnioną do połowy butelką corony.**

**Zostawiłem go i podszedłem do połówki porsche. Samochód został wypatroszony, została sama skorupa. Krawędzie wygładzono i pomalowano. Gotowy produkt - nikt nie zamierzał składać go do kupy.**

**- Hej - usłyszałem za sobą chrapliwy głos.**

**Odwróciłem się.**

**- Czego pan chce? - spytał Coury. Uważny, ale niezainteresowany. Jedną rękę trzymał na kalkulatorze, drugą wyciągnął w moją stronę, jakby spodziewał się, że coś mu dam.**

- Chciałem przerobić trochę swój samochód.

- Jaki samochód?

- Seville. Siedemdziesiąty dziewiąty rocznik. Pan Coury?

Przyjrzał mi się uważnie.

- Kto pana przysłał?

- Znalazłem pana nazwisko w piśmie - powiedziałem. - Wyglądało na to, że pana dzieła wygrały sporo konkursów.

- Zdarza się. Seville siedemdziesiąt dziewięć? Pudło. Robią je na podwoziach chevy two nova.

- Wiem.

- Co pan chce z nim zrobić?

- Jeszcze nie wiem.

Uśmiechnął się pogardliwie.

- Nie przychodzi mi do głowy żaden konkurs, w którym mógłby pan tym wystartować, chyba że to będzie coś z AIDS.

- Coś z AIDS?

- Wzięli się teraz za pokazy. Żeby zbierać pieniądze na AIDS. Przyjechał tu taki jeden, chciał, żeby mu odstawić jego bmw z czterdziestego piątego.

- Wziął pan to? - spytałem.

Zbył mnie machnięciem ręki.

- Seville z siedemdziesiątego dziewiątego - powiedział, jakby wystawiając diagnozę. - To dalej będzie pudło, chyba że podejźmy do sprawy drastycznie. A do tego ten silnik. Zupełnie do dupy.

- Dla mnie był dobry. Żadnych problemów przez piętnaście lat.

**- Rdza na podwoziu?**

**- Nie. Dbam o niego.**

**- Jasne.**

**- Jest tutaj, jeśli chce go pan zobaczyć.**

**Coury zerknął na kalkulator i wcisnął kilka klawiszy.**

**- Gdzie jest “tutaj”?**

**- Z przodu.**

**- Z przodu - parsknął. Wstał, prostując się na swoje metr dziewięćdziesiąt. Miał masywny korpus, z mięsistymi ramionami i opasłym brzuchem, za dużym w stosunku do wąskich bioder i długich chudych nóg. Obcisłe czarne spodnie jeszcze bardziej je wyszczuplały i podkreślały zabawny efekt. Na nogach miał czarne buty z krokodylej skóry, ze srebrnymi opaskami wokół kostek. Wyszedł zza biurka, podzwaniając nimi, minął mnie i zniknął w drzwiach.**

**Na chodniku roześmiał się,**

**- Wie pan co, zezłomujemy go, damy panu czterysta dolców i nikt nie będzie stratny.**

**Też się roześmiałem.**

**- Jak mówilem, był dla mnie dobry.**

**- Więc po cholere go ruszać? Co pan chce z nim zrobić?**

**- Myślałem, żeby przerobić go na kabriolet.**

**- No jasne - powiedział. - Niby jak, odpilować mu dach?**

**- Jedyne samochód, z którym da się to zrobić, to rolls silver cloud - odparłem. -**

**Żaden inny nie ma dość mocnej ramy. Myślałem tak: trzeba zdjąć dach, wzmocnić**

**ramę, zamontować automatyczny składany dach z moherową tapicerką, pochromować**



**wszystko na nowo i przemalować. Robicie jeszcze lakier?**

**- To nielegalne - powiedział. - Wie pan co, chcesz pan mieć kabriolet, kup pan sobie tę małą mazdę.**

**- Chcę przerobić swój samochód.**

**Odwrócił się do mnie plecami.**

**- Dla pana to za skomplikowane? - rzuciłem.**

**Zatrzymał się i przygryzł wargę. Worki pod oczami podjechały mu do góry i zasłoniły połowę tęczy. Dwaj Latynosi, pracujący przy stutzu, spojrzeli w naszą stronę.**

**Coury nie wypuścił wargi spomiędzy zębów i poruszył szczęką.**

**- Tak, właśnie - powiedział. - Za skomplikowane.**

**Zostawił mnie i poszedł na plac. Ale nie wrócił do biura, zatrzymał się przy stutzu. A kiedy odjeżdżałem, patrzył za mną.**

Milo siedział wpatrzony w kubek kawy; wyobrażał sobie, że brunatna ciecz to bagno, a on w nim tonie.

Gdyby chodziło o normalną sprawę, załatwiłby sobie wsparcie. Chociaż nie znosił zebrzań, osobowości i całego tego syfu, jaki wiązał się z pracą w zespole, śledztwa, w których było kilku podejrzanych, wymagały takiej współpracy.

W sprawie Janie podejrzanych była cała armia. Sześcioro, wliczając w to martwego Luke'a Chapmana. A do tego dalszy ciąg: Walt Obey, Zarazek Bacilla i Diamentowy Jim.

I klej, który to wszystko spajał: John G. Broussard.

A teraz jeszcze jedna niewiadoma: teoria Aleksa o gliniarzu samotniku.

Milo trochę się nad tym zastanawiał, próbując domyśleć się, o kogo może chodzić, ale cały czas dochodził do abstrakcji - jakiegoś dupka, który spełniał pośmiertne życzenia Pierce'a Schwinna, prowadząc gierki i ciągnąc za sznurki. Kogoś, kto miał dość ikry, by rąbnąć samochód Ricka i oddać go wypolerowanego, z małym prezentem na dodatek.

Vance Coury siedział w branży samochodowej, czy to zwykły zbieg okoliczności?

Ale Coury na pewno nie wysłałby akt morderstwa.

A więc może sprawa z porsche znaczyła, że ktoś wystawiał Milowi właśnie

Coury'ego. A może to już zbyt daleko idący wniosek?

Gniew, który krążył w nim od momentu ujrzenia pierwszej teczki, teraz podszedł mu do gardła.

Coury. Bydlak był sadystą i gwałcicielem z kompleksem wyższości. Może to on

przewodził grupie. Jeśli znaleźli się w sytuacji bez wyjścia, mogli zaatakować wroga, poderżnąć mu gardło i spalić jego trupa.

Przeciwko armii należałoby wystawić armię, a Milo miał tylko Aleksa.

Zaśmiał się bezgłośnie. Może jednak wydał jakiś dźwięk, bo starsza kobieta przy stoliku obok spojrzała na niego przestraszona, z nerwowym wyrazem twarzy, który wywołuje u ludzi konfrontacja z czymś dziwnym.

Milo uśmiechnął się do niej, a kobieta schowała się z powrotem za swoją gazetę.

Był z powrotem w barze w Farmers Market, próbując wszystko sobie poukładać.

Cały czas myślał o Courym, bo to Coury zgwałcił Janie za pierwszym razem i być może zapoczątkował to, co doprowadziło do jej morderstwa.

W normalnych okolicznościach Milo by go dopadł. Ale... coś sobie nagle uświadomił. Może jednak był bezpieczny sposób, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

Rzucił pieniądze na stół i wyszedł z kawiarni. Starsza kobieta odprowadziła go wzrokiem do drzwi.

Dom misyjny Światłość był czteropiętrowym, ceglany budynkiem, z fasadą pomalowaną na kukurydziany żółty kolor i obwieszonym zardzewiałymi, szarymi schodami przeciwpożarowymi. Żadnych fryzów, sztukaterii, niczego, co świadczyłoby o jakimkolwiek stylu. Milowi misja kojarzyła się z obrazkami małych dzieci, którym każe się narysować dom - duży prostokąt z małymi kwadracikami okien. Był nawet przekrzywiony. Jako hotel, Grande Royale nie był na pewno ani wspaniały, ani królewski.

Przed wejściem wałęsali się starcy o bezzębnych dziąsłach i zażawionych oczach.

Każdy z nich witał Mila z przesadną życzliwością ludzi, którzy łamanie prawa i przepisów mają we krwi.

Wiedzieli dobrze, kim jest - nie można go było wziąć za nikogo innego. Wchodząc do budynku zastanawiał się, czy aura policjanta będzie się go dalej trzymać, kiedy opuści już wydział. Co mogło nastąpić całkiem niedługo - występowanie przeciw szefowi policji nie było najlepszą receptą na długą karierę.

Nawet, jeśli szef sam był mało popularny i na wylocie. Milo czytał na artykuły prasowe o Broussardzie i tego ranka znalazł kolejny w "Timesie". Dwaj członkowie policyjnej komisji rozprawiali o odrzuconej podwyżce szefa; występowali przy tym przeciwko zdaniu burmistrza, który ich mianował, co oznaczało, że nie żartują.

"Szef Broussard reprezentuje skostniałą, policyjną kulturę, która przyczynia się do narastania społecznych napięć".

Co w politycznym belkocie oznacza: "Czas odejść, J.G.".

Broussard objął swoje stanowisko w następstwie skandalu Rampart, a komisja nie pisnęła nawet słowem na temat podejrzeń o korupcję. Problemem szefa była jego osobowość. Arogancja, z jaką atakował komisję przy każdej okazji. W tym sensie Broussard dalej myślał jak glina: cywil, mieszający się do spraw policji, to wróg. Ale jego porywcza natura zirytowała pewnych ludzi, i to do tego stopnia, że nawet jego dobrzy przyjaciele, tacy jak burmistrz i Obey, nie mogli mu już pomóc.

A może Broussard nie przejmował się utratą pracy, bo już szykował się na coś lepszego.

Na przykład zamianę niepłatnego stanowiska konsultanta do spraw bezpieczeństwa Esperanzy Obeya na milutką, ciepłą korporacyjną posadkę, gwarantującą mu na długo status i forszę, a jego żonie cadillaca i wszystko, o czym zamarzy.

Jeśli tak było, co chciał zyskać Obey?

**Udział Cossacków jako współfinansujących idealnie pasował do obrazu całości.**

**Mieli wielki dług u Broussarda za wmieszenie sprawy Janie Ingalls pod dywan, poszliby na całość przy nadarzającej się okazji. Czyżby Alex miał rację, że Obey znalazł się w ciężkiej sytuacji, a Cossackowie mieli go z niej wybawić?**

**Jakkolwiekby jednak na to nie patrzeć, Milo wiedział, że jest marnym robaczkiem. Ale do diabła z tym, bezpieczeństwo i ochrona są dla mięczaków.**

**Wszedł do holu misji. Skleciona jak krypta przestrzeń została zamieniona w salę telewizyjną, w której około tuzina włóczęgów siedziało na składanych krzesłach i oglądało jakiś film na dużym ekranie. Brodaci aktorzy i długowłose aktorki w szatach koloru wielbłądziej wełny wędrowali przez pustynię, która wyglądała jak Palm Springs. Oprócz wielbłądów. Jakaś biblijna opowieść, której autorzy starali się wmówić widzom, że Hebrajczycy byli niebieskookimi blondynami. Milo skupił się na biurku recepcji, być może tym samym, w którym Vance Coury dostał klucz do swojej gwałcicielskiej nory. Na blacie stało kilka plastikowych, zakręcanych słoików z ciasteczkami, a na regale z tyłu oprawne w czerwień Biblie z krzyżami na grzbietach. Po lewej - dwoje brązowych drzwi windy. Schody z metalową poręczą prowadziły w głąb budynku, po czym zakręcały ostro w prawo.**

**W powietrzu czuć było zupę. Dlaczego większość miejsc, poświęconych zbawieniu duszy, pachnie zupą?**

**Stary czarny mężczyzna, trochę czystszy od pozostałych, wstał z krzesła i pokuśtykał do Mila.**

**- Jestem Edgar. Mogę panu w czymś pomóc?**

**Gruby, basowy głos, ale sam staruszek mały i krzywonogi, ubrany w zaprasowane w kant spodnie khaki, szaroniebieską koszulę zapiętą pod szyję i adidas.**

**Łysy, nie licząc białych klaczków nad uszami. Do tego białe protezy, żeby mógł się uśmiechać. Całość sprawiała, że wyglądał trochę jak dobroduszny klaun.**

**- Czy zastałem wielebnego Freda albo wielebną Glendę? - spytał Milo.**

**- Wielebny Fred przebywa w misji w Orange City, ale wielebna Glenda jest na górze. Kogo mam zapowiedzieć?**

**Staruszek miał świetną dykcję, a oczy bystre i inteligentne. Milo wyobraził go sobie jako kamerdynera w jakimś wiejskim klubie, podlizującego się bogaczom przy użyciu nienagannego słownictwa. Gdyby miał inny kolor skóry, może to jemu by usługiwano.**

**- Milo Sturgis.**

**- W jakiej sprawie, panie Sturgis?**

**- Osobistej.**

**Staruszek przyjrzał mu się ze współczuciem.**

**- Proszę chwilę poczekać, panie Sturgis. - Wszedł powoli po schodach i wrócił**

**kilka minut później. - Wielebna Glenda oczekuje pana, panie Sturgis. Następne piętro, drugie drzwi po prawej.**

**Siedząca za małym dębowym biurkiem w ciasnym, niemal pustym gabinecie, wyposażonym w zabytkowy klimatyzator i poźólkle żaluzje, Glenda Stephenson wyglądała dokładnie tak samo, jak dziesięć lat temu. Dwadzieścia pięć kilo nadwagi, o wiele za gruby makijaż, przypominające bezę, ciemne loki nad szeroką, przyjazną twarzą. Również ubrania się nie zmieniły; miała na sobie różową sukienkę w grochy z falbaniastym kołnierzykiem. Za każdym razem, kiedy Milo ją widział, była ubrana w coś swawolnego i niestosownego, zawsze na różowo.**

**Nie spodziewał się, że od razu go pozna.**

**- Detektyw S.! Ileż to czasu minęło! Dlaczego od tak dawna nikogo mi nie przywiozłeś?**

**- Nie zajmuję się już żyjącymi, wielebna - powiedział Milo. - Od dawna pracuję w wydziale zabójstw.**

**- Och, jej - westchnęła Glenda Stephenson. - I jak sobie tam radzisz?**

**- Nie najgorzej.**

**- Och, na pewno.**

**- Jak idzie zbawianie dusz, wielebna?**

**Glenda wyszczerzyła się w uśmiechu.**

**- Pracy nigdy nie brakuje.**

**- Na pewno.**

**- Siadaj. Kawy?**

**Milo nigdzie nie widział dzbanka ani ekspresu. Tylko skrzynkę na jałmużnę na biurku, stojącą obok czegoś, co wyglądało na równo ułożony plik rządowych formularzy. Odruchowo sięgnął do kieszeni, znalazł jakiś banknot i wrzucił go do skrzynki.**

**- To nie było konieczne - powiedziała Glenda.**

**- Jestem katolikiem - wyjaśnił Milo. - Kiedy tylko znajdę się w religijnym środowisku, od razu czuję nieprzepartą chęć dawania ofiar.**

**Glenda zachichotała jak młoda dziewczyna. Z jakiegoś powodu nie brzmiało to tak głupio, jak mogłoby się wydawać, widząc jej okrągłą jak talerz twarz.**

**- W takim razie przychodź częściej. Potrzebujących też nigdy nie brakuje...**

**Edgar powiedział, że to sprawa osobista?**

**- W pewnym sensie - rzekł Milo. - Służbowa i osobista - chcę powiedzieć, że**

**trzeba to utrzymać w tajemnicy.**

**Glenda pochyliła się do przodu; jej piersi oparły się o stół.**

**- Oczywiście. Co się stało, mój drogi?**

**- Nie chodzi o mnie. Niebezpośrednio. Ale jestem zamieszany w sprawę... trochę delikatną. Pojawiło się w niej pewne nazwisko, a ja odkryłem jego związek z misją.**

**Vance Coury.**

**Glenda odchyliła się do tyłu. Jej fotel zaskrzypiał.**

**- Ojciec czy syn?**

**- Syn.**

**- Co zrobił?**

**- Nie wydaje się pani zaskoczona.**

**Zazwyczaj twarz Glendy była zupełnie gładka - nic nie wypełnia zmarszczek tak dobrze, jak tłuszcz. Ale teraz pojawiły się na niej drobne załamania - w kącikach ust i oczu, na czole.**

**- Och, jej - powiedziała. - Czy to może w jakikolwiek sposób odbić się na misji?**

**- Nie. Z całą pewnością nie zrobiłbym nic, co mogłoby postawić panią w złej sytuacji, wielebna.**

**- Wiem o tym, Milo. Zawsze byłeś taki miły. Przerywałeś pracę, żeby przywieźć mi zbłąkane dusze. To, jak ich trzymałeś za ręce, jak im... służyłeś.**

**- Chciałem oczyścić ulice, a wy mogliście mi w tym pomóc. Obawiam się, że nie ma we mnie nic z dobrego pasterza.**

**- Myślę, że się mylisz - stwierdziła Glenda. - Byłby z ciebie świetny ksiądz.**

**Milo poczuł gorąco na twarzy. Zaczerwienił się, na litość boską.**

**- Coury, syn... - podjęła Glenda. - Kiedy Fred i ja przyjęliśmy ten budynek,**



**mieliśmy pewne obawy. Bo wiesz, że jesteśmy starymi wygami w tej okolicy, wiemy dobrze, jaki był jego ojciec - wszyscy na Skid Row to wiedzą.**

**- Wiem.**

**- Był złym człowiekiem - nigdy nie dał nam ani centa, a prosiliśmy go, Milo.**

**Dlatego byliśmy wstrząśnięci, kiedy w kilka miesięcy po jego śmierci dostaliśmy list od prawnika jego syna, który zawiadamiał nas, że przekazuje hotel misji. Obawiam się, że naszą pierwszą reakcją były złe myśli.**

**- Gdzie jest haczyk? - powiedział Milo.**

**- Właśnie. Ojciec... nie, nie będę źle mówić o zmarłym, wystarczy powiedzieć, że dawanie nie było jego mocną stroną. A do tego ludzie, których zatrudniał. Zawsze utrudniali życie naszym podopiecznym. Jego syn ich zatrzymał.**

**- Co to byli za ludzie?**

**- Młodzi gniewni ze wschodniego Los Angeles - powiedziała Glenda.**

**- Który gang?**

**Potrząsnęła głową.**

**- Słyszeliśmy tylko plotki. Osiemnasta ulica, meksykańska mafia, Nuestra**

**Familia. Naprawdę nie wiem. Ale kimkolwiek byli, kiedy pojawili się na ulicy, straszili nas. Łazili tu, jeździli. Czasami wchodzili do środka i żądali pieniędzy, grozili.**

**- Fizycznie?**

**- Raz na jakiś czas kogoś uderzyli albo popchnęli. Przede wszystkim to było zastraszenie psychologiczne - spojrzenia, pogróżki, wyzywanie. Pewnie czuli się do tego uprawnieni, uważali, że to ich terytorium. Pan Coury - ojciec - używał ich do ściągania czynszu. Kiedy jego syn zaproponował nam ten budynek, pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy, było poproszenie go, żeby kazał swoim ludziom trzymać się od nas z dala. Bo**

myśleliśmy, że zatrzyma dla siebie pozostałe hotele, a nie chcieliśmy być blisko takiego środowiska. Jego prawnik powiedział, że nie będzie problemu, bo Coury zamierza wyburzyć budynki i wybudować w ich miejscu parkingi. Wszystko poszło bardzo sprawnie. Nasz prawnik porozmawiał z jego prawnikiem, podpisali jakieś papiery i już. Fred i ja czekaliśmy na jakieś sztuczki, ale nasz prawnik wyjaśnił nam, że młody Coury musiał zapłacić podatek spadkowy, a Grande Royale dało się wycenić tak, żeby wyszedł na swoje.

- Zawyżona wycena?

- Nie - powiedziała Glenda. - Fred i ja nie wzięlibyśmy w coś takim udziału.

Kazaliśmy sobie pokazać wycenę i wszystko było w porządku. Grande Royale był warty około dwa razy tyle, co pozostałe hotele, więc najwyraźniej pasował do podatkowych planów Coury'ego. Nie tylko to sprzedał. Pan Coury, ojciec, miał wiele nieruchomości. Ale hotele kupił w ramach jakiejś rządowej sprzedaży związanej, więc przekazał nam Royale i wszystko dobrze się skończyło.

- Coury pomagający w dziele Bożym - powiedział Milo.

- Zabawne, prawda? Ojciec zebrał śmierdzącą fortunę, uciskając biednych, a w ten sposób przynajmniej część tych bogactw posłużyła, by im pomóc.

- Czyli *happy end*, wielebna. Nieczęsto się to zdarza.

- Nieprawda, Milo. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

Porozmawiali trochę. Milo wrzucił jeszcze pieniądze do skrzynki, nie zważając na protesty Glendy, i wyszedł.

Vance Coury dotrzymał obietnicy trzymania swoich bandziorów z dala od misji:

kiedy pozostałe dwa hotele zostały wyburzone, nie potrzebował już nikogo do zbierania czynszu.

**Ale sprawa gangów zaintrygowała Mila i kiedy przejeżdżał obok parkingów, przyjrzał się obsłudze. Zobaczył ogolone głowy, zgarbione sylwetki i tautaż, na tyle wyraźne, że było je widać z ulicy.**

To, jak Vance Coury zachowywał się w mojej obecności, zgadzało się z profilem psychologicznym gwałciciela ze skłonnościami do dominacji: pewny siebie, macho, obcesowy. Otoczenie, w jakim działał, również pasowało: potężne silniki, jaskrawe kolory lakierów, porozklejane na ścianach garażu zdjęcia uległych kobiet.

Zmasakrowane porsche.

Obrazu dopełniała sylwetka jego ojca - Coury został wychowany, by brać to, czego chciał. Jeśli dodać do tego kilku podobnych kumpli, Janie znalazła się w sytuacji królika wrzuconego między stado psów.

Coury junior nie był zainteresowany przeróbką mojego samochodu. Naprawdę uważał seville'a za kupę złomu? Czy może dochody z parkingów wystarczyły mu na życie, a warsztat był tylko hobby? Albo przykrywką. .. tylu chłopców z gangów?

Pojechałem do miasta, myśląc o przepołowionym porsche. Pokazowe wypatroszona skorupa. Radość zniszczenia. Może przesadzałem z interpretacjami, ale kilka minut z Courym wystarczyło, żebym poczuł się niepewnie. Aż za Mulholland co chwila patrzyłem w lusterko.

W domu wyobraziłem sobie scenę z imprezy dwadzieścia lat temu: spotkanie Janie z Courym, w hałasie i narkotykach, błysk poznania - Coury był zadowolony, Janie przerażona.

Coury ją obezwładnia. Przyłączają się Ludzie Króla.

Włącznie z tym, który wydawał się inny od pozostałych?

Obrazy Nicholasa Hansena, które galeria zamieściła na swojej stronie internetowej, przedstawiały martwe natury - bogate, świetliście wycieniowane,

wykończone z najdrobniejszymi szczegółami kompozycje owoców i kwiatów. Prace Hansena wydawały się odległe o całe lata świetlne od zmasakrowanej rzeźby z Beaudry - od okrucieństwa i brutalności w ogóle. Ale sztuka nie chroniła przed złem. Caravaggio zabił człowieka podczas gry w tenisa, a Gauguin sypiał z młodymi Haitankami wiedząc, że zaraża je syfilisem.

Mimo to wydawało mi się, że Nick Hansen obrał inną drogę niż pozostali, a nonkonformizm zawsze mnie fascynował.

Dochodziła trzecia, galeria w Nowym Jorku mogła już być zamknięta, ale zadzwoniłem mimo to. Odebrała młoda kobieta. Za pierwszym razem, kiedy kontaktowałem się z galerią, rozmawiałem ze starszą osobą i nie podałem swojego nazwiska, teraz mogłem więc spróbować innego podejścia.

Wskoczyłem w malarski żargon i przedstawiłem się jako kolekcjoner dzieł starych mistrzów, któremu skończyły się zacięte miejsca, jakich te obrazy wymagały, i zastanawia się nad olejami.

- Olejami starych mistrzów? - spytała młoda kobieta.

- To trochę ponad moje możliwości finansowe - odparłem. - Ale jestem ostatnio pod wrażeniem kilku współczesnych realistów, którym udało się wybić. Na przykład Nicholasa Hansena.

- Och, Nicholas jest cudowny.

- Na pewno nie onieśmiela go tradycja - powiedziałem. - Może mi pani powiedzieć coś o jego wykształceniu - czy jest ściśle akademickie?

- Chodził do Yale - odparła kobieta. - Ale zawsze uważaliśmy, że Nicholas jest ponad akademickie wzory malarstwa. Ma jakąś wrażliwość... I to, jak używa światła.

- Tak. Oczywiście. Podoba mi się jego zmysł kompozycji.

- To też. Jest po prostu pierwszorzędnym. Niestety, w tej chwili nie mamy żadnych jego obrazów. Jeśli może mi pan zostawić nazwisko...

- Zawsze dowiaduję się czegoś więcej o artyście, zanim zacznę w niego inwestować. Macie może państwo jakieś dane biograficzne Hansena, które moglibyście przesłać mi faksem?

- Tak, oczywiście - powiedziała. - Zaraz je panu prześlę. A co do aspektu akademickiego... Nicholas jest dobrze wykształcony, ale proszę się tym nie zrażać. Mimo swojej dokładności i traktowania farby jako materii, jego świadomość cechuje swego rodzaju pierwotną energią. Musiałby pan zobaczyć jego obrazy na własne oczy, żeby to docenić.

- Bez wątplenia - odparłem. - Nie ma to, jak zobaczyć na własne oczy.

Pięć minut później mój faks zabuczał i wypluł życiorys Nicholasa Hansena.

Wykształcenie, wyróżnienia, wystawy zbiorowe i indywidualne, zbiory, muzea.

Przez dwadzieścia lat udało mu się sporo osiągnąć, a w przeciwieństwie do

swojego starego kumpla Garveya Cossacka nie rozdymał na siłę biografii. Nie było w

niej ani słowa o liceum; wyliczanie sukcesów Hansena na polu edukacji zaczynało się od

studiów na Uniwersytecie Columbia, gdzie otrzymał dyplom antropologa wakacje

spędzając na działaniu w stowarzyszeniach malarskich. Potem wydział sztuk pięknych w

Yale i dwa lata podyplomowej praktyki we Florencji we Włoszech, spędzone na nauce

klasycznych technik malarskich. Wśród jego pokazów muzealnych były zbiorowe

wystawy w Instytucie Sztuki w Chicago i Bostońskim Muzeum Sztuk Pięknych. Na liście

osób zbierających jego dzieła, znajdowało się kilka prominentnych nazwisk.

Wytworny człowiek sukcesu. Trudno było go skojarzyć z garażem Vance'a

Coury'ego czy wulgarnym stylem życia Cossacków. Albo zbiorowym gwałtem i

**morderstwem.**

**Przyjrzałem się datom w życiorysie Hansena i znalazłem jeszcze jedną rzecz, która się nie zgadzała.**

**Milo wciąż nie odbierał telefonów, spróbowałem więc ukoić swój niepokój piwem.**

**Dwoma piwami. Poszedłem z butelką nad staw, żeby się zrelaksować, zamiast tego postanowiłem wyłowić liście z wody. Przez następną godzinę przycinałem, skubałem i grabilem dno, zajmując się pracami niewymagającymi myślenia. Już miałem pozwolić sobie na chwilę odpoczynku, kiedy w domu zadzwonił telefon.**

**Robin? Wbiegłem po schodach do kuchni i złapałem słuchawkę. Usłyszałem głos doktora Berta Harrisona.**

**- Alex?**

**- Bert. Co słyhać?**

**- Miło było cię widzieć - powiedział. - Po takim czasie. Sprawdzalem tylko, co u ciebie.**

**- Aż tak źle wyglądałem?**

**- Nie, nie źle, Alex. Może wydawałeś się trochę zaabsorbowany. A więc...**

**- Jakoś leci.**

**- Leci.**

**- Nie, to kłamstwo, Bert. Spieprzyłem sprawę z Robin.**

**Milczenie.**

**- Powinienem był posłuchać twojej rady - powiedziałem. - Zamiast tego wywlókłem przeszłość.**

**Znów milczenie.**

**- Rozumiem...**

**- Zareagowała tak, jak mówileś. Może chciałem, żeby tak się stało.**

**- Chcesz powiedzieć, że...**

**- Nie wiem, co chcę powiedzieć, Bert. Słuchaj, miło, że dzwonisz, ale to wszystko jest trochę... Nie mam specjalnej ochoty o tym rozmawiać.**

**- Wybacz - powiedział.**

**Znów przeproszał.**

**- Nie ma czego wybaczać. Daleś mi dobrą radę, ja spieprzyłem sprawę.**

**- Popelnileś błąd, synu. Błędy można naprawić.**

**- Niektóre.**

**- Robin jest elastyczną kobietą.**

**Spotkał ją dwa razy.**

**- Przemawia przez ciebie twój optymizm? - spytałem.**

**- Nie, to intuicja starego człowieka. Ja też popelnilem mnóstwo błędów, ale po jakimś czasie człowiek zaczyna rozumieć innych. Nie chciałbym, żebyś dał się zwieść.**

**- W sprawie Robin?**

**- W jakiegokolwiek sprawie - powiedział. - Jeszcze jeden powód, dla którego dzwonię, to to, że planuję wyjechać. Może na dłużej. Kambodża, Wietnam, parę miejsc, w których już byłem, kilka, w których nie byłem.**

**- To wspaniale, Bert.**

**- Nie chciałem, żebyś próbował się ze mną skontaktować i mnie nie zastał.**

**- Dzięki. - Czyżbym sprawiał wrażenie, że jestem aż tak rozbity?**

**- To trochę aroganckie, prawda? - spytał. - Myśleć, że będziesz dzwonił. Ale... tak na wszelki wypadek.**

**- Dzięki, że to mówisz, Bert.**



- Tak... cóż, w takim razie, powodzenia.

- Kiedy wyjeżdżasz? - spytałem.

- Niedługo. Jak tylko skończę ostatnie przygotowania.

- *Bon voyage* - powiedziałem. - Kiedy wrócisz, zadzwoń. Z przyjemnością posłucham, jak było.

- Tak... Mogę dać ci dobrą radę, synu?

Proszę, nie.

- Jasne.

- Staraj się oglądać każdy dzień z innej perspektywy.

- Dobrze - powiedziałem.

- Do widzenia, Alex.

Odłożyłem słuchawkę na widelki. O co mu chodziło? Im dłużej myślałem o tej rozmowie, tym bardziej wyglądała mi na pożegnanie.

Bert gdzieś jechał... mówił, jakby był smutny. Te komentarze o starości.

Przepraszanie.

Bert był doskonałym terapeutą, dość bystrym, by wiedzieć, że nie chcę niczych rad. Ale i tak mi jej udzielił.

“Staraj się oglądać każdy dzień z innej perspektywy”. Ostatnie słowa starego przyjaciela w obliczu nieubłaganej starości? Wyjeżdżał... ostatnia podróż?

Znów zacząłem wyobrażać sobie czarne scenariusze.

Prosta sprawa: Bert zawsze podróżował, uwielbiał to. Nie ma powodu sądzić, że wybierał się gdzieś indziej, niż do południowo-wschodniej Azji...

Znów zadzwonił telefon. Przełączyłem aparat na głośne mówienie i kuchnia rozbrzmiała głosem Mila, odległym i zniekształconym przez zakłócenia.

**- Jakieś nowe teorie?**

**- Może wolisz konkrety? - powiedziałem. - Nicholas Hansen nie mógł być zamieszany w morderstwo Janie Ingalls. Na początku czerwca kończył ostatni rok studiów. Potem wyjechał do Amsterdamu i spędził wakacje na kursie rysunku w Rijksmuseum.**

**- O ile nie wracał do domu na weekend.**

**- Z Nowego Jorku do Los Angeles?**

**- To były bogate dzieciaki - przypomniał Milo.**

**- Wszystko jest możliwe, ale jakoś trudno mi to sobie wyobrazić. Hansen różni się od pozostałych Ludzi Króla. Jego życie potoczyło się zupełnie inaczej, i jeśli nie odkryjemy jakichś jego dzisiejszych powiązań z Courym, Cossackami i Larnerem, powiedziałbym, że odciął się od nich i utrzymał ten dystans.**

**- Więc nic nam po nim.**

**- Wręcz przeciwnie. Może właśnie on dostarczy nam jakichś pomysłów.**

**- Po prostu wpadniemy do niego i powiemy, że chcemy pogadać o jego starych kumplach, gwałcicielach i mordercach?**

**- Masz w tej chwili jakiś inny pomysł? - spytałem.**

**Nie odpowiedział.**

**- Co dzisiaj robisz?**

**- Węszyłem wokół Coury'ego juniora. Jego tata był dokładnie taki, jak przedstawiały go gazety. Korzystał z usług gangów do ściągania czynszu. A junior zdaje się kontynuować tę tradycję. Podejrzani obywatele, pracujący na jego parkingu, mają w sobie coś takiego.**

**- Ciekawe. - Opowiedziałem mu o mojej wizycie w garażu.**

- Powiedziałeś, że chcesz przerobić seville'a? - spytał z niedowierzaniem. - Nie przyszło ci do głowy, że Coury nie chciał się tego podjąć, bo nie kupił twojej historyjki? Jezu, Alex...**
- Dlaczego miałby jej nie kupić? - zaproponowałem.**
- Na przykład dlatego, że ktoś we wrogim obozie wie, że wężymy wokół sprawy Janie Ingalls. Dostałeś te przekłete akta właśnie dlatego, że ktoś wiedział, że razem pracujemy. Alex, to było głupie jak cholera.**
- Coury nie był podejrzliwy, tylko obojętny - powiedziałem z większym przekonaniem, niż sam czułem. - Ja bym stawiał na to, że nie potrzebuje pieniędzy.**
- Robił inne samochody?**
- Tak - przyznałem.**
- A więc pracuje, tylko nie chce pracować z tobą. Alex, koniec tych improwizacji.**
- Dobrze - powiedziałem. - Powiązania z gangami dawały Coury'emu dostęp do ludzi, którym można zlecić coś podejrzanego. Na przykład zająć się Lukiem Chapmanem, może też Williem Burnsem i Caroline Cossack. I Lesterem Poulsenem. Znalazłem go - bez nerwów, tylko przez komputer - i wiesz co, zginął niecałe dwa tygodnie po wyjściu Caroline z Achievement House. Dostał kulkę w głowę w domu w Watts, potem dom spłonął. Poulessna dopiero co przenieśli z wewnętrznego do miejskiej, czyli możliwe, że pracował nad sprawą Janie, prawda?**
- Spalił się na śmierć - powiedział Milo. Mówił, jakby miał ściśnięte gardło. - Co robił w Watts?**
- W gazecie tego nie napisali. Gazecie z Sacramento, nawiasem mówiąc. W Los Angeles zamordowano detektywa, ale tutejsze gazety nie pisnęły na ten temat ani słowa.**
- Napisali w tym artykule, gdzie konkretnie w Watts?**

**Przeczytałem adres.**

**Milo nie odpowiedział.**

**- Jesteś tam jeszcze?**

**- Tak... Dobra, spotkajmy się w Beverly Hills za godzinę. Czas na podziwianie sztuki.**

Zielone bmw Nicholasa Hansena stało na brukowanym podjeździe przed domem na North Roxbury Drive. Wzdłuż ulicy rosły usychające wiązy; kilka drzew już się poddało, a ich poczerniałe gałęzie rzucały poszarpane cienie na lśniące w słońcu chodniki. Słysząc było typową symfonię Beverly Hills: ekipy ogrodników dopieszczających zieleni tutejszych posiadłości.

Milo zaparkował nowy samochód z wypożyczalni - szarego oldsmobile'a sedana - sześć domów od hacjendy Hansena. Ledwie zdążyłem wyłączyć silnik, już stał przy moich drzwiach.

- Nowy wózek - powiedziałem.

- Trzeba sobie urozmaicać życie. - Twarz miał bladą i spoconą.

- Coś oprócz tego skłoniło cię do zmiany?

- Kontaktowanie się z Hansenem to ryzyko i być może głupota. Jeśli ciągle ma styczność z pozostałymi, wszystko trafi szlag. Jeśli nie, możliwe, że nic nie zyskamy.

- Ale i tak chcesz to zrobić.

Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł pot z czoła.

- Nie mamy wyboru. A poza tym, kto powiedział, że nie jestem głupi?

Kiedy doszliśmy do posiadłości Hansena, Milo skrzywił się i zajrzał do bmw.

- Czyściutki. Zadbany.

Podchodząc do drzwi i naciskając dzwonek wyglądał, jakby chciał rozedrzeć coś na strzępy.

Nicholas Hansen otworzył drzwi, ubrany w sprany czarny dres i białe sportowe buty. Miał roztargnione spojrzenie. Jedyne, po czym można było poznać, czym się

**zajmuje, to brązowe i czerwone ślady farby na jego palcach. Był wysoki i szczupły, z dziwnie nalaną twarzą wyglądał na czterdzieści kilka lat, bliżej pięćdziesiątki. Miękką szyją, smutne oczy spaniela koloru rzeczno mułu, poszarzałe usta w siatce zmarszczek, poznaczona niebieskimi żyłami łysina, okolona beżowym wianuszkiem włosów. Barki przygięte kryzysem wieku średniego. Gdybym nie wiedział, kim jest, powiedziałbym, że to wypalony prawnik w wolny dzień.**

**Milo błysnął swoją odznaką, a muliste oczy Hansena ożyły. Mówił jednak cicho i niewyraźnie.**

**- Policja? W jakiej sprawie?**

**Stałem za Milem, ale dość blisko, by poczuć alkohol w oddechu Hansena.**

**- Liceum - powiedział Milo szorstkim tonem. Nie zwrócił się do malarza po nazwisku, nie dodał nawet policyjnego, usłużnego "proszę pana".**

**- Liceum? - Hansen zamrugał oczami i przykrył łysinę poplamioną dłonią, jakby nagle dostał ataku migreny.**

**- Ludzie Króla - powiedział Milo.**

**Hansen opuścił rękę i potarł palce, ścierając z nich drobiny farby i przyglądając się paznokciom.**

**- Naprawdę nie rozumiem... jestem zajęty, pracuję.**

**- To ważne - powiedział Milo. Trzymał odznakę tuż przed twarzą Hansena.**

**Artysta się cofnął.**

**- Ludzie Króla? To było dawno temu.**

**Milo zajął miejsce, z którego Hansen się wycofał.**

**- Ci, którzy zapominając przeszłości, są skazani na jej powtarzanie, i tak dalej.**

**Dłoń Hansena poblądziła jeszcze trochę, w końcu spoczęła na futrynie drzwi.**

**Malarz pokręcił głową.**

**- Nie rozumiem was, panowie. - Jego oddech miał co najmniej dziewięćdziesiąt procent, a popękane naczynka na nosie wyglądały jak mapa drogowa.**

**- Z przyjemnością wszystko wyjaśnimy - powiedział Milo. Poruszył ręką, a promień słońca odbił się od odznaki. - Zakładam, że nie chce pan rozmawiać tutaj, na widoku.**

**Hansen cofnął się jeszcze trochę. Milo był od niego wyższy może o dwa centymetry, ale ustawił się jakoś tak, że różnica wzrostu wydawała się większa.**

**- Jestem malarzem, właśnie maluję - upierał się Hansen.**

**- Jestem policjantem, właśnie prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa.**

**Hansen rozdziawił usta, ukazując nierówne pożółkłe zęby. Szybko się opanował, spojrzął na zegarek i obejrzał przez ramię.**

**- Jestem też wielkim miłośnikiem sztuki - powiedział Milo. - Zwłaszcza niemieckiego ekspresjonizmu - ile w tym niepokoju.**

**Hansen spojrzął na niego i cofnął się jeszcze o krok. Milo przysunął się do niego, patrzył mu w oczy z odległości kilku centymetrów.**

**- Mam nadzieję, że to długo nie potrwa - powiedział Hansen.**

**W domu panował chłód i półmrok, nasączony starczym zapachem kamfory.**

**Podłogę holu pokrywała spękana terakota, ciągnąca się dalej w górę schodów o mosiężnej poręczy. Wysokie na trzy metry sufity wspierały się na rzeźbionych dębowych belkach. Ściany pokrywał ręcznie gładzony tynk, dwa tony ciemniejszy niż ten na zewnątrz i poznaczony pustymi wgłębieniami. Małe wielodzielne okna, niektóre z witrażowymi wstawkami, ukazującymi sceny z Nowego Testamentu, bardziej więziły, niż wpuszczały światło. Wpadające przez nie promienie słońca tworzyły w powietrzu**

**kolorowe wstęgi kurzu. Meble były ciężkie, ciężkie i niezgrabne. Dom kojarzył się z rzadko odwiedzanym kościołem.**

**Nicholas Hansen gestem wskazał nam obitą z podrapaną tapicerką, oklapła kanapę. Sam usiadł naprzeciwko, w poobijanym skórzanym fotelu i splótł ręce na kolanach.**

**- Naprawdę, nie wiem, o co może panom chodzić.**

**- Zacznijmy od Ludzi Króla - powiedział Milo. - Pamięta pan ich.**

**Hansen znów spojrział na zegarek - tani, cyfrowy, z czarnym, plastikowym paskiem.**

**- Dużo pracy? - spytał Milo.**

**- Możliwe, że będziemy musieli przerwać, jeśli moja matka się obudzi - powiedział Hansen. - Umiera na raka okrężnicy, a pielęgniarka wzięła dzisiaj wolne.**

**- Przykro mi - powiedział Milo tonem tak pozbawionym współczucia, jakiego jeszcze u niego nie słyszałem.**

**- Ma osiemdziesiąt siedem lat - ciągnął malarz. - Urodziła mnie, kiedy miała czterdzieści pięć. Zawsze się zastanawiałem, jak długo będę ją miał. - Skubnął mankiet bluzy. - Tak, pamiętam Ludzi Króla. Dlaczego więzecie mnie z nimi po tylu latach?**

**- Pana nazwisko pojawiło się w toku dochodzenia.**

**Hansen znów pokazał żółte zęby. Zmrużył oczy, starając się skupić.**

**- Moje nazwisko pojawiło się w toku dochodzenia?**

**- W sprawie bardzo paskudnego morderstwa.**

**- Coś niedawnego?**

**Milo założył nogę na nogę.**

**- Pójdzie szybciej, jeśli to ja będę zadawał pytania.**



**Ktoś inny mógłby się najeżyć. Hansen siedział na miejscu, jak posłuszne dziecko.**

**- Tak, oczywiście. Ja tylko... Ludzie Króla to był zwykły, szczeniacki wyglup. -**

**Trochę belkotał. Zerknął na belki stropu. Uległy typ. Alkohol ułatwiał Milowi zadanie.**

**Milo wyciągnął notes. Kiedy pstryknął długopisem, Hansen drgnął.**

**- Zacznijmy od podstaw: należał pan do Ludzi Króla. - Naprawdę chciałbym**

**wiedzieć, jak... nieważne, skończmy to jak najszybciej - powiedział Hansen. - Tak,**

**należałem. Przez ostatnie dwa lata szkoły. Nie chodziłem tam od początku. Mój ojciec**

**był w zarządzie Standard Oil, często się przeprowadzaliśmy, mieszkaliśmy na**

**Wschodnim Wybrzeżu. Kiedy byłem w drugiej klasie, ojca przeniesiono do Los Angeles.**

**Wynajmowaliśmy dom w Westwood. Byłem dość zagubiony. Zresztą to taki wiek,**

**prawda? Chyba byłem zły na rodziców, że tak nagle wszystko się zmieniło. Zawsze**

**byłem posłusznym dzieckiem -jedynym, nad wiek dojrzałym. Kiedy poszedłem do**

**szkoły, chyba postanowiłem się zbuntować, a Ludzie Króla wyglądali na dobry sposób,**

**żeby to pokazać.**

**- Dlaczego?**

**- Bo to była banda nierobów - powiedział Hansen. - Bogatych dzieciaków, które**

**tylko piły i ćpały. Szkoła uznała ich za oficjalny klub uczniowski, bo jeden z ich ojców**

**miął sporo nieruchomości i pozwalał szkole organizować na pustych działkach akcje**

**zbierania pieniędzy - mycie samochodów, sprzedaż wypieków, tego rodzaju rzeczy. Ale**

**w Ludziach chodziło tylko o zabawę.**

**- Tata z nieruchomościami - powiedział Milo. - Vance Coury.**

**- Tak, ojciec Vance'a.**

**Hansen powiedział to tak, jakby chciał coś dodać. Milo zaczekał chwilę.**

**- Kiedy widział pan Vance'a Coury'ego po raz ostatni? - spytał, ponieważ Hansen**

**milczał.**

**- Na rozdaniu świadectw ukończenia szkoły. Nie utrzymywałem kontaktów z żadnym z nich. Dlatego właśnie to wszystko wydaje mi się dziwne.**

**Kolejne zerknięcie na sufit. Hansen nigdy nie słyszał o mowie ciała.**

**- Nie spotkał się pan z żadnym z nich od ukończenia szkoły? - spytał Milo. - Ani razu?**

**- Po skończeniu szkoły wyjechałem. Oni wszyscy tu zostali, a mnie przyjęto na Columbię. Ojciec chciał, żebym studiował zarządzanie i marketing, ale w końcu udało mi się naprawdę zbuntować i skończyłem antropologię. Bardziej interesowała mnie sztuka, ale to by nie przeszło. I tak ojciec nie był ze mnie zadowolony. Za to mama mnie wspierała.**

**Trzecie spojrzenie na zegarek, potem na schody. Jedynak, mający nadzieję, że mama wybawi go z opresji.**

**- Nie odpowiedział pan na pytanie - powiedział Milo. - Czy spotykał się pan z którymkolwiek z Ludzi Króla po skończeniu szkoły?**

**Muliste oczy Hansena jeszcze raz powędrowały w górę, a jego usta zaczęły drżeć.**

**Próbował to zamaskować uśmiechem. Założył nogę na nogę, jakby naśladując Mila. W efekcie zaczął wyglądać na skulonego, zamiast rozluźnionego.**

**- Nie widziałem Vance'a, Cossacków ani Brada Larnera. Ale był jeszcze jeden chłopak, Luke Chapman... chociaż to było dwadzieścia lat temu, na miłość boską. Luke był... co konkretnie chce pan wiedzieć?**

**Milo zacisnął zęby.**

**- Luke był jaki? - spytał łagodnie i złowieszczo.**

**Hansen nie odpowiedział.**

**- Wie pan, że on nie żyje.**

**Hansen kiwnął głową.**

**- To takie smutne.**

**- Co chciał pan o nim powiedzieć?**

**- Że nie był zbyt bystry.**

**- Kiedy po skończeniu szkoły pan się z nim widział?**

**- Proszę posłuchać - powiedział Hansen. - Musi pan coś zrozumieć. On - Luke - nie był geniuszem. Prawdę mówiąc był tępy. Ale mimo to zawsze uważałem go za najlepszego z nich wszystkich. Dlatego właśnie... czy to ma coś wspólnego z jego utonięciem?**

**- Kiedy spotkał się pan z Chapmanem?**

**- Tylko raz.**

**- Kiedy?**

**- Na pierwszym roku studiów.**

**- W jakim miesiącu?**

**- W czasie ferii zimowych. W grudniu.**

**- Czyli na kilka tygodni przed tym, jak się utopił.**

**Hansen zbladł i wbił wzrok w belki sufitu. Wcisnął się głęboko w swój fotel, nagle malutki. Kiepski kłamca. Dobrze zrobił, że zaczął malować, w interesach nie dalby sobie rady. Milo zatrzasnął notes, wstał, podszedł do niego i oparł rękę na oparciu fotela.**

**Hansen wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć.**

**- Proszę nam o tym opowiedzieć - powiedział Milo.**

**- Twierdzi pan, że Luke został zamordowany? Tyle lat temu... Kogo podejrzewacie?**

**- Proszę nam opowiedzieć o spotkaniu z Chapmanem.**

**- Ja... to jest... - Hansen potrząsnął głową. - Napilbym się czegoś - panowie też sobie życzą?**

**- Nie, ale może się pan pokrzepić, proszę bardzo.**

**Hansen zaparł się o poręczę fotela i wstał. Milo poszedł za nim przez przedpokój do jadalni, gdzie zniknęli w podwójnych drzwiach. Kiedy wrócili, Hansen ścisnął w obu dłoniach kanciastą szklanę z rżniętego kryształu, do połowy napelnioną whisky. Kiedy usiadł, Milo wrócił na miejsce za fotelem. Hansen obrócił się i spojrział na niego. Wypił prawie całą whisky, potarł kąciaki oczu.**

**- Proszę zacząć od tego, gdzie to było.**

**- Tutaj, w tym domu. - Hansen opróżnił szklanę. - Luke i ja nie utrzymywaliśmy kontaktów. Dawno przestałem myśleć o szkole. To byli głupi gówniarze. Bogaci, głupi gówniarze, a na myśl, że kiedyś mi imponowali, chciało mi się śmiać. Byłem kujonem ze Wschodniego Wybrzeża, przerażonym kolejną zmianą stylu życia, wrzuconym do zupełnie nowego świata. Opalone ciała, głośny śmiech, klasy społeczne... to było nagłe przedawkowanie Kalifornii. Luke i ja razem chodziliśmy na zajęcia z historii powszechnej. Kiepsko mu szło - ten wielki blondas ledwie umiał czytać i pisać. Było mi go żal, więc mu pomagałem, dawałem korepetycje za darmo. Był głupi, ale nie zły. Zbudowany jak lodówka, ale nie zajął się żadnym sportem, bo wolał pić i palić trawkę. Na tym polegało bycie Człowiekiem Króla. Mocno podkreślali swój brak zaangażowania we wszystko, oprócz imprezowania, a akurat w tym okresie życia coś takiego wydawało mi się atrakcyjne. Więc kiedy Luke powiedział, żebym się do nich przyłączył, od razu się zgodziłem. Wreszcie gdzieś należałem. Nie miałem nic poza tym.**

**- Jak przyjęli pana pozostali?**

- Nie z otwartymi ramionami, ale nie byli źli - powiedział Hansen. - Testowali mnie. Musiałem udowodnić, że się nadaję i przepić ich wszystkich. Dałem radę, ale nigdy nie czułem się dobrze w ich towarzystwie i może to wyczuli, bo pod koniec zaczęli zachowywać się wobec mnie... z dystansem. Poza tym była kwestia pieniędzy. Myśleli, że jestem bogaty - ktoś puścił plotkę, że mój ojciec jest właścicielem firmy paliwowej. Kiedy powiedziałem im prawdę, byli wyraźnie rozczarowani.

Hansen przełożył szklanę z ręki do ręki, wbił wzrok we własne kolana.

- No i proszę, po co ja to wszystko mówię. - Westchnął głęboko. - Podsumowując: trzymałem się z nimi przez drugą połowę trzeciej klasy i trochę na początku ostatniej, a potem dałem sobie spokój. Kiedy dostałem się na Columbię, zniechęcili się do mnie.

Sami planowali żyć z pieniędzy rodziców w Los Angeles i całe życie balować.

- A więc przyjechał pan na ferie do domu, a Luke Chapman do pana wpadł.

- Tak, zupełnie niespodziewanie - powiedział Hansen. - Siedziałem całymi dniami w swoim pokoju i rysowałem. Luke pojawił się bez zapowiedzi, a mama go wpuściła.

Zważył w dłoni pustą szklanę.

- Czego chciał? - spytał Milo.

Hansen spojrzał na niego.

- O czym rozmawialiście, Nicholas?

- Wyglądał strasznie - powiedział Hansen. - Rozczochrany, brudny, śmierdział jak obora. Nie wiedziałem, co to ma znaczyć. A on powiedział: "Nick, stary, tylko ty jeden mi zawsze pomagałeś, i teraz też musisz mi pomóc". W pierwszej chwili pomyślałem, że zrobił dziecko jakiejś dziewczynie i potrzebuje rady, gdzie można przeprowadzić aborcję, coś w tym rodzaju. Zapytałem: "Co mogę dla ciebie zrobić?" A on się wtedy załamał - po prostu załamał. Kiwał się, jęczał i powtarzał, że wszystko się

**popierdoliło.**

**Podniósł szklanę.**

**- Mogę pójść po dolewkę?**

**Milo spojrział na mnie.**

**- Butelka stoi na blacie. Nicholas i ja zaczekamy na ciebie.**

**Poszedłem do kuchni i nalałem na dwa palce ze stojącej na blacie butelki.**

**Wracając rozejrzałem się trochę: żółte ściany, stare białe szafki, gołe blaty z nierdzewnej stali, puste suszarki do naczyń. Otworzyłem lodówkę. Karton mleka, paczka psującego się bekonu, miska czegoś, co wyglądało na skamieniałe płatki owsiane.**

**Żadnych zapachów jedzenia, tylko ten odór naftaliny. Butelka whisky była w trzech czwartych pusta. Nicholas Hansen nie dbał o dobre odżywianie, był samotnym alkoholikiem.**

**Kiedy wróciłem do salonu, Milo nie zwracał uwagi na Hansena, przeglądał swój notes. Hansen siedział jak skamieniały. Podałem mu szklanę. Wziął ją w obie ręce i napił się.**

**- Luke się załamał - odpowiedział Milo.**

**- Spytałem go, co się stało, ale zamiast mi powiedzieć, wyciągnął skręta i zaczął go zapalać. Wyrwałem mu go z ręki i powiedziałem: "Co ty sobie wyobrażasz?" Chyba byłem zdenerwowany, bo cofnął się i powiedział: "Nick, naprawdę spierdoliliśmy sprawę". A potem wszystko z siebie wyrzucił.**

**Hansen dokończył drugą whisky.**

**- Proszę mówić dalej - powiedział Milo.**

**Hansen popatrzył na pustą szklanę, jakby się zastanawiał, czy nie nalać sobie jeszcze, potem odstawił ją na stolik.**

**- Powiedział mi, że była impreza, duża, gdzieś w Bel Air, w pustym domu...**

**- Czym domu?**

**- Nie powiedział, a ja nie pytałem - powiedział Hansen. - Nie chciałem wiedzieć.**

**- Dlaczego nie? - spytał Milo.**

**- Bo zostawiłem to wszystko za sobą, wyrzuciłem ich dawno ze świado...**

**- Co Chapman powiedział o tym przyjęciu?**

**Hansen milczał. Omijał nas wzrokiem.**

**Czekaliśmy.**

**- O, rany - westchnął.**

**- Zgadza się, o, rany - powiedział Milo.**

**Hansen chwycił szklanę.**

**- Przydałaby mi się...**

**- Nie - uciął Milo.**

**- Na imprezie zabili jakąś dziewczynę. Naprawdę muszę się napić.**

**- Jak się nazywała ta dziewczyna?**

**- Nie wiem! - Hansenowi zwilgotniały oczy; jego tęczówki wyglądały teraz jak bagienne błoto.**

**- Nie wie pan - powiedział Milo.**

**- Luke powiedział mi tylko, że była impreza, że zrobiło się ostro i że wyglupiali się z jakąś dziewczyną, potem zrobiło się jeszcze ostrzej i nagle ona już nie żyła.**

**- Bawili się.**

**Bez odpowiedzi.**

**- Nagle - powiedział Milo.**

**- Tak to ujął.**

**Milo parsknął śmiechem. Hansen się wzdrygnął, prawie upuścił szklankę.**

**- Jak to się stało, że ona nagle nie żyła, Nick?**

**Hansen przygryzł wargę.**

**- Mów - warknął Milo.**

**Hansen podskoczył i szklanka znów prawie wypadła mu z rąk.**

**- Proszę... nie wiem, co się stało... Luke nie wiedział, co się stało. O to właśnie chodzi. Był zmieszany, zdezorientowany.**

**- Co powiedział o dziewczynie?**

**- Powiedział, że Vance ją związał, że się z nią wyglupiali, potem nagle połała się krew. Scena jak z tych filmów, które oglądaliśmy w szkole, horrorów. "Gorzej, Nick. To o wiele gorsze, kiedy się dzieje naprawdę". Zrobiło mi się niedobrze, spytałem: "O czym ty do cholery mówisz?" Luke tylko mamrotał i bełkotał, powtarzał, że spierdolili sprawę.**

**- Kto?**

**- Oni wszyscy. Ludzie Króla.**

**- Nie powiedział, jak się nazywała dziewczyna?**

**- Powiedział, że wcześniej jej nie znał. Vance ją znał, to on ją zauważył i wziął.**

**Dosłownie, przerzucił ją sobie przez ramię i zaniósł do piwnicy. Była naćpana.**

**- Do piwnicy domu, w którym była impreza.**

**- Tam się z nią... wyglupiali.**

**- Wyglupiali - powtórzył Milo.**

**- Staram się dokładnie opowiadać. Luke tak to ujął.**

**- Czy Chapman brał udział w gwałcie?**

**Hansen coś wymamrotał.**

**- Słucham? - powiedział Milo.**



- Nie był pewny, ale myślał, że tak. Też był naćpany. Wszyscy byli. Nie pamiętał, powtarzał, że to wszystko było jak koszmar.

- Zwłaszcza dla dziewczyny - zauważył Milo.

- Nie chciałem mu uwierzyć. Przyjechałem z Yale do domu na dziesięć dni. Coś takiego to była ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałem. Doszedłem do wniosku, że to był sen, jakieś halucynacje po narkotykach. Znałem Luke'a, ciągle coś brał.

- Powiedział, że chce, żeby pan mu pomógł. W jaki sposób?

- Chciał wiedzieć, co ma robić. Byłem dwudziestodwuletnim gówniarzem, na Boga, jak miałem mu coś poradzić? - Hansen zacisnął ręce na szklance. - Nie mógł wybrać gorszej pory, żeby z tym do mnie przyjść. Wszyscy mówili mi, że mam talent, wreszcie zaczynałem stawiać czoło ojcu. Nie chciałem dawać się wciągać w taki... horror. Miałem prawo nie dać się wciągnąć. I nie wiem, dlaczego wam się zdaje, że macie prawo...

- A więc po prostu pan to zbył - przerwał Milo. - Co pan powiedział Chapmanowi?

- Nie - powiedział Hansen. - To nie tak. Nie zbyłem tego. Nie całkiem.

Powiedziałem Luke'owi, żeby poszedł do domu i nic nikomu nie mówił, a kiedy coś wymyślę, odezwę się do niego.

- Posłuchał pana?

Hansen kiwnął głową.

- To było to... co chciał usłyszeć. Podziękował mi. Kiedy wyszedł, zacząłem sobie powtarzać, że to były jakieś urojenia po narkotykach. Chciałem to zlekceważyć. Ale tego roku coś mi się przytrafiło, na zajęciach z malarstwa, na które chodziłem. Wykładowca był austriackim Żydem, i ocalałym z holocaustu. Opowiadał mi straszne historie o tym,

**jak przykładni obywatele udawali, że nie wiedzą, co się dzieje. Jakimi byli kłamcami.**

**Jak Wiedeń wiwatował, kiedy Hitler doszedł do władzy i jak wszyscy udawali, że nie widzą jego zbrodni. Zapamiętałem jedną rzecz, którą powiedział: “Austriacy przekonali samych siebie, że Hitler był Niemcem, a Beethoven Austriakiem”. To we mnie zostało.**

**Nie chciałem być taki sam. Więc poszedłem do biblioteki i sprawdziłem gazety z okresu, kiedy według Luke’a doszło do morderstwa. Ale nic tam nie było. Ani jednego artykułu, ani słowa o dziewczynie zamordowanej w Bel Air. Więc doszedłem do wniosku, że Luke naprawdę miał zwidy.**

**Hansen się zgarbił. Pozwolił sobie na słaby uśmiech. Próbował się odprężyć. Milo nic nie powiedział i malarz znów zesztyniał.**

**- A więc chcecie powiedzieć, że naprawdę... ?**

**- Czy zadzwonił pan do Chapmana? Tak, jak pan obiecał?**

**- Nie miałem mu nic do powiedzenia.**

**- Więc co pan zrobił?**

**- Wróciłem na Yale.**

**- Chapman próbował się z panem tam skontaktować?**

**- Nie.**

**- Kiedy znów był pan w Los Angeles?**

**- Przez wiele lat nie wracałem. Następnego lata byłem już we Francji.**

**- Unikał pan tego miasta?**

**- Nie - powiedział Hansen. - Szukałem czegoś innego.**

**- Na przykład?**

**- Możliwości malowania.**

**- Kiedy wrócił pan do Los Angeles?**

- Trzy lata temu, kiedy moja matka zachorowała.
- Gdzie pan mieszkał przedtem?
- W Nowym Jorku, Connecticut, w Europie. Staram się spędzać jak najwięcej czasu w Europie. Umbria, światło...
- A Austria? - spytał Milo.

Hansen pobladł.

- A więc przyjechał pan zająć się matką.
- To jedyny powód. Kiedy ona umrze, sprzedam dom i osiedlę się w jakimś spokojnym miejscu.
- A w międzyczasie - powiedział Milo - pan i pana starzy kumple jesteście sąsiadami...
- To nie są moi kum...
- ...nie denerwuje się pan? Jest pan postacią publiczną, a banda morderców wie, że pan wrócił do miasta.
- Nie jestem postacią publiczną - powiedział Hansen. - Maluję. Kończę jedno płótno i zaczynam następne. Nigdy nie wierzyłem, że w ogóle cokolwiek się stało.
- Co pan pomyślał, kiedy dowiedział się pan o utonięciu Chapmana?
- Że to był wypadek albo samobójstwo.
- Dlaczego samobójstwo?
- Bo wydawał się taki zdenerwowany.
- Samobójstwo spowodowane wyrzutami sumienia? - spytał Milo.

Hansen nie odpowiedział.

- Wierzył pan, że Chapman miał halucynacje, ale wyjechał pan z miasta, nie próbując go przekonać, że nie ma się czym przejmować.

**- To nie była moja... Czego wy ode mnie chcecie?**

**- Szczegółów.**

**- Szczegółów czego?**

**- Morderstwa.**

**- Nie znam więcej szczegółów.**

**- Dlaczego Chapman miałby czuć wyrzuty sumienia, skoro nic się nie stało?**

**- Nie wiem, nie potrafię czytać w myślach! To wszystko jakieś szaleństwo. Ani**

**słowa w gazetach przez dwadzieścia lat i nagle ktoś się przejął?**

**Milo spojrział do notesu.**

**- Jak się pan dowiedział o śmierci Chapmana?**

**- Mama napisała mi o tym w cotygodniowym liście.**

**- Jak pan się wtedy poczuł?**

**- A jak pan myśli? Okropnie - powiedział Hansen. - Jak miałem się czuć?**

**- Czuł się pan okropnie, a potem pan o wszystkim zapomniał.**

**Hansen wstał. W kącikach jego ust pojawiły się kropelki śliny.**

**- A co miałem zrobić? Iść na policję i powtórzyć, co powiedział mi ten naćpany**

**debil? Miałem dwadzieścia dwa lata, na miłość boską!**

**Milo rzucił mu lodowate spojrzenie, a Hansen osunął się z powrotem na fotel.**

**- Łatwo kogoś osądzić.**

**- Zajmijmy się szczegółami - powiedział Milo. - Dziewczyna została zgwałcona w**

**piwnicy. Gdzie, według Chapmana, ją zabili?**

**Hansen spojrział na niego żałośnie.**

**- Powiedział, że obok domu, w którym była impreza, była wielka posesja, na**

**której nikt nie mieszkał. Zabrali ją tam. Mówił, że była nieprzytomna. Zabrali ją w**

**jakieś krzaki i zaczęli rozmawiać, co zrobić, żeby ich nie wydała. Wtedy zrobiło się...**

**- Krwawo.**

**Hansen schował twarz w dłoniach i głośno odetchnął.**

**- Kim są “oni”? - spytał Milo.**

**- Wszyscy - powiedział przez palce Hansen. - Ludzie Króla.**

**- Kto dokładnie? Nazwiska.**

**- Vance i Luke, Garvey i Bob Cossackowie, Brad Lerner. Wszyscy.**

**- Ludzie Króla - powtórzył Milo. - Z którymi pan się już nie spotyka. Nie martwi pana, że są pana sąsiadami.**

**Hansen opuścił ręce.**

**- A powinienem się martwić?**

**- To dziwne - powiedział Milo. - Mieszka pan w Los Angeles od trzech lat i ani razu pan ich nie spotkał.**

**- To wielkie miasto. Tak wielkie, jak się chce.**

**- Nie obracacie się w tym samym towarzystwie?**

**- Ja się nie obracam w żadnym towarzystwie. Rzadko wychodzę z domu.**

**Wszystko mi przywożą - jedzenie, pranie. Malowanie i zabieranie mamy do lekarza to mój cały świat.**

**Więzenie, pomyślałem.**

**- Śledził pan życie pozostałych? - spytał Milo.**

**- Wiem, że Cossackowie pracują w budownictwie - ich nazwiska są na szyldach.**

**To wszystko.**

**- Nie wie pan, co porabia Vance Coury?**

**- Nie.**

**- Brad Larner?**

**- Nie.**

**Milo coś zapisał.**

**- A więc... pana kumple zabrali bezimienną dziewczynę na sąsiednią posesję i nagle zrobiło się jakby krwawo.**

**- To nie byli moi kumple.**

**- Kto zabił?**

**- Luke nie powiedział.**

**- A gwałt? Kto to zainicjował?**

**- On... Odniosłem wrażenie, że wszyscy się po prostu włączyli.**

**- Ale Chapman nie był pewien, czy sam brał w tym udział.**

**- Może kłamał. A może się wypierał - powiedział Hansen. - Luke nie był okrutny, ale mógłby dać się ponieść. Ale bez innych, sam, nigdy by czegoś takiego nie zrobił.**

**Powiedział mi, że czuł się... sparaliżowany, jakby coś go trzymało. Tak to powiedział "Nie mogłem się ruszyć, Nick, jakbym wpadł w ruchome piaski".**

**- Czy pozostali byliby zdolni do zrobienia czegoś takiego w pojedynkę?**

**- Nie wiem... Uważałem ich za błaznów... może. Chcę tylko powiedzieć, że Luke był wielkim mięczakiem. Jak duże dziecko.**

**- A pozostali?**

**- Pozostali nie byli tacy.**

**- A więc - powiedział Milo - morderstwo zaczęło się od tego, że chcieli uciszyć dziewczynę.**

**Hansen kiwnął głową.**

**- Ale rozwinęło się w coś innego, Nicholas. Gdybyś widział zwłoki, wiedziałbyś o**

tym. To nie był widok, który chciałbyś namalować.

- O, Boże.

- Czy Luke Chapman wspomniał coś o tym, kto zainicjował morderstwo?

Hansen pokręcił głową.

- A może zgadniesz? - powiedział Milo. - Z tego, co pamiętasz o Ludziach Króla?

- Vance - odparł bez wahania Hansen. - To on był przywódcą. Najbardziej agresywny. To Vance ją wypatrzył. Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że pierwszy zaczął ją ciąć.

Milo zamknął z trzaskiem notes, jego głowa wystrzeliła do przodu.

- Kto mówił o cięciu, Nicholas?

Hansen zrobił się biały.

- Pan... powiedział pan, że to było paskudne.

- Chapman powiedział ci, że ją pocięli, prawda?

- Może... mógł powiedzieć.

Milo wstał i powoli podszedł do Hansena. Echo jego kroków niesło się po domu, odbite od płytek podłogi. Zatrzymał się i nachylił, patrząc na malarza z odległości kilku centymetrów. Hansen uniósł ręce obronnym gestem.

- Czego jeszcze nie powiedzialesz, Nicholas?

- Niczego! Staram się...

- Postaraj się bardziej.

- Próbuję. - Głos Hansena drżał na krawędzi skamlenia. - To było dwadzieścia lat

temu, a wy mi każecie to pamiętać! Wyrzuciłem to z pamięci, bo się tego brzydziłem. Nie chciałem znać szczegółów wtedy i teraz też nie chcę.

- Bo lubisz ładne rzeczy - powiedział Milo. - Cudowny świat sztuki.

**Hansen przycisnął ręce do skroni i odwrócił wzrok. Milo przykleknął na jedno kolano i nachylił się do jego ucha.**

**- Opowiedz mi, jak ją cięli.**

**- To wszystko. Powiedział tylko, że zaczęli ją ciąć.**

**Barki Hansena uniosły się i opadły. Malarz zaczął płakać.**

**Milo dał mu chwilę wytchnienia.**

**- A potem? - powiedział.**

**- Przypalali ją. Przypalali ją papierosami. Luke mówił, że słyszał, jak skwierczała jej skóra... O Boże, ja naprawdę myślałem, że on...**

**- Zmyśla.**

**Hansen pociągnął nosem, wytarł go w rękaw i opuścił głowę. Kark miał błyszczący i pomarszczony, jak puszkowany lój.**

**- Przypalali ją, a potem co? - spytał Milo.**

**- To wszystko. To naprawdę wszystko. Luke powiedział, że to było tak, jakby to była zabawa- musiał tak o tym myśleć, żeby nie zwariować. Mówił, że patrzył i próbował sobie wyobrazić, że to gumowa lalka i że się z nią bawią. Mówił, że to się ciągnęło w nieskończoność, aż ktoś - chyba Vance, nie przysięgnę, ale pewnie Vance - powiedział, że ona nie żyje i że trzeba ją gdzieś wywieźć. Zawinęli ją w coś, wsadzili do bagażnika jaguara Vance'a i wyrzucili gdzieś w centrum.**

**- Dość szczegółowe, jak na halucynację - stwierdził Milo.**

**Hansen nie odpowiedział.**

**- Zwłaszcza - naciskał Milo - jak na tępego gościa, takiego jak Chapman.**

**Wcześniej miał taką wyobraźnię?**

**Hansen wciąż milczał.**



**- Gdzie ją zabrali, Nicholas?**

**- Nie wiem, gdzie. Dlaczego do cholery nie było o tym w gazetach? - Hansen**

**zwinął dłoń w pięść i podniósł ją do piersi, próbując oporu. Milo dalej klęczał obok niego, ale w jakiś sposób zaczął nad nim górować. Hansen potrząsnął głową, odwrócił się i rozplakał jeszcze bardziej.**

**- Co zrobili potem?**

**- Poszli na kawę - powiedział Hansen. - Gdzieś w Hollywood. Kawę i ciasto. Luke powiedział, że próbował jeść, ale zwymiotował w łazience.**

**- Jakie ciasto?**

**- Nie pytałem. Dlaczego nie było nic w gazetach?**

**- A ty, co byś powiedział, Nicholas?**

**- O co panu chodzi?**

**- Biorąc pod uwagę, co wiesz o swoich kolegach, co byś powiedział.**

**- Nie rozumiem, do czego pan zmierza.**

**Milo wstał, przeciągnął się, poruszył głową i podszedł wolno do okna, stając plecami do Hansena.**

**- Pomyśl o świecie, w jakim żyjesz, Nicholas. Jesteś popularnym artystą. Bierzesz trzydzieści, czterdzieści tysięcy dolarów za obraz. Kto je kupuje?**

**- Trzydzieści tysięcy to wcale nie tak dużo w świecie sztuki - powiedział Hansen. -**

**Nie w porównaniu z...**

**- To dużo za obraz - przerwał Milo. - Kto je kupuje?**

**- Kolekcjonerzy, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z...**

**- Tak, tak, ludzie z dobrym gustem i tak dalej. Ale czterdzieści tysięcy, to nie byli jacy kolekcjonerzy.**

- Ludzie z odpowiednimi środkami - powiedział Hansen.

Milo odwrócił się niespodziewanie, wyszczerzony w uśmiechu.

- Ludzie z pieniędzmi, Nicholas. - Odchrząknął.

Hansen wytrzeszczył swoje błotniste oczy.

- Chce pan powiedzieć, że ktoś został przekupiony żeby to wyciszyć? Coś tak straszego można... W takim razie dlaczego, na Boga, ta sprawa wypłynęła?

- Ty mi powiedz, jak ci się wydaje.

- Nie mam pojęcia.

- Pomyśl.

- W czyimś interesie leży, żeby wypłynęła? - powiedział Hansen. Wyprostował się.

- W grę wchodzi jeszcze większe pieniądze? Czy o to panu chodzi?

Milo wrócił na kanapę, usiadł wygodnie i otworzył notes.

- Większe pieniądze - powiedział Hansen. - Co oznacza, że jestem totalną dupą, że z wami rozmawiam. Podeszliście mnie i wykorzystali... - Nagle się rozpromienił. - Ale spieprzyliście sprawę. Powinniście zaproponować mi obecność adwokata, więc wszystko, co wam powiedziałem, nie może zostać wykorzystane...

- Za dużo oglądasz telewizji, Nicholas. Musimy zaproponować ci adwokata, jeśli cię aresztujemy. Jest jakiś powód, żeby cię aresztować, Nicholas?

- Nie, nie, oczywiście, że nie...

Milo zerknął na mnie.

- Chyba możemy to sobie przeciwzyć. Utrudnianie działania wymiarowi sprawiedliwości to przestępstwo. - Znów do Hansena: - Po takim zarzucie, nieważne, czy zostałbyś skazany, twoje życie by się zmieniło. Ale skoro współpracowałeś...

Hansenowi błysnęły oczy. Złapał się za resztki włosów nad uszami.

- Powiniennem się martwić, prawda?

- O co?

- O nich. Jezu, co ja zrobiłem? Tkwię tutaj, nie mogę wyjechać, nie z mamą...

- Z mamą czy bez niej wyjazd nie byłby najlepszym pomysłem, Nicholas. Jeśli byleś szczery i naprawdę wszystko nam powiedziałeś, zrobimy, co w naszej mocy, żeby cię chronić.

- Akurat was obchodzę. - Hansen wstał. - Wynoście się. Zostawcie mnie w spokoju.

Milo dalej siedział.

- A może rzucimy okiem na twoje obrazy?

- Co?

- To, co powiedziałem - powtórzył Milo. - Lubię sztukę.

- Moja pracownia to teren prywatny - powiedział Hansen. - Wynocha!

- Nigdy nie pokazuj głupcowi niedokończonego dzieła?

Hansen zachwiał się i parsknął pustym śmiechem.

- Nie jest pan głupcem. Wykorzystuje pan ludzi. Jak pan może patrzeć w lustro?

Milo wzruszył ramionami i ruszyliśmy do drzwi. Zatrzymał się na krok przed nimi.

- A przy okazji, pana obrazy na stronie galerii są wspaniałe. Jak to mówią

Francuzi, *nature morte*? Martwe natury?

- Teraz chce mnie pan poniżyć.

Milo sięgnął do klamki.

- Dobrze, możecie spojrzeć - powiedział Hansen. - Ale mam rozpoczęty tylko jeden obraz i wymaga jeszcze dużo pracy.

Poszliśmy za nim na górę po schodach. Podłogę długiego korytarza na piętrze przykrywał wytarty zielony dywan. Po jednej stronie trzy sypialnie, od północy pojedyncze zamknięte drzwi. Przed nimi taca ze śniadaniem - dzbanek z herbatą i trzy plastikowe miseczki. Galaretka w kolorze krwi, jajko na miękko, coś brązowego, ziarnistego i chrupkiego.

- Zaczekajcie - powiedział Hansen. - Muszę do niej zajrzeć. - Podeszedł na palcach do drzwi, uchylił je, zajrzał do środka i wrócił. - Ciągłe śpi. Dobrze, chodźcie.

Jego pracownia znajdowała się w południowej sypialni. Było to nieduże pomieszczenie, z sufitem podniesionym do samych krokwi i świetlikiem, przez który wpadało słońce. Drewniana podłoga pomalowana była na białą, podobnie jak sztalugi. Biała niska szafka, białe skrzynki na farby i pędzle, szklane słoje z terpentyną i rozcieńczalnikiem. Kolorowe plamy na białej porcelanowej palecie wyglądały jak egzotyczne motyle,

Na sztalugach stał obraz, rozmiarów trzydzieści na trzydzieści pięć centymetrów.

Hansen mówił, że wymaga jeszcze pracy, ale dla mnie wyglądał na skończony. Centrum kompozycji stanowiła brzuchata, biało-niebieska waza Ming, namalowana tak idealnie, że miałem ochotę dotknąć jej i sprawdzić, czy jest śliska. Wzdłuż jej boku biegło poszarpane pęknięcie, a znad krawędzi wylewały się kwiaty i pnącza; ich piękno podkreślało - ożywiało je - tło z palonej umbry, na krawędziach przechodzące w czerń.

Orchidee, peonie, tulipany, irysy i kwiaty, których nie rozpoznawałem. Ciepłe kolory, rozświetlone cienie, zmysłowe pąki, liście, przypominające waginy, wijące się niczym robaki pędy, wszystko to poprzeplatane złowieszczymi skrzepami mchów.

Napięcie kompozycji wydawało się zapowiadać eksplozję. Kwiaty, co może być od nich piękniejszego? Kwiaty Hansena, chociaż piękne, bujne i żywe jak ogień, zdawały się

**twierdzić coś wręcz przeciwnego.**

**Blask i kolory wędły przy krawędziach. Z cienia wychylało się czarne, nieuchronne widmo rozkładu.**

**Z wentylatora na suficie dmuchało chłodne powietrze, suche, sztuczne i przefiltrowane, ale do moich nozdrzy dotarł smród - obraz wydzielał wilgotny, słodki zapach zgnilizny.**

**Milo otarł czoło.**

**- Nie potrzebujesz modelu?**

**- Mam to wszystko w głowie - powiedział Hansen.**

**Milo podszedł bliżej do sztalugi.**

**- Kładziesz na przemian farbę i cienie?**

**Hansen spojrział na niego z niedowierzaniem.**

**- Niech mi pan nie mówi, że też maluje.**

**- Nie potrafię nawet narysować prostej kreski. - Milo nachylił się jeszcze bliżej i**

**zmrużył oczy. - Widzę tu coś flamandzkiego, a może kogoś, kto lubił flamandzki styl, jak**

**Severin Roesen. Ale jesteś o wiele lepszy niż Roesen.**

**- Raczej nie - powiedział Hansen, nieporuszony komplementem. - Jestem kimś o**

**wiele gorszym, niż zanim wtargnęliście w moje życie. Poniżyliście mnie. Sam się poniżyłem. Naprawdę będziecie mnie chronić?**

**- Zrobię, co się da, jeśli będziesz współpracował. - Milo się wyprostował. - Czy**

**Luke Chapman wspominał o kimś jeszcze, kto był obecny przy morderstwie? Kimś z imprezy?**

**Nalana twarz Hansena zadrżała.**

**- Nie tutaj. Proszę.**

**- Ostatnie pytanie - powiedział Milo.**

**- Nie. Nie wspominał o nikim innym. - Hansen usiadł przed sztalugą i podwinął rękawy. - Będziecie mnie chronić - powiedział martwym głosem. Wybrał pędzel i wygładził jego włosie. - Wracam do pracy. Trzeba się zająć prawdziwymi problemami.**

- Wierzysz mu? - spytał Milo, kiedy wróciliśmy na Roxbury Drive.

- Tak.

- Ja też - powiedział. Szliśmy do naszych samochodów. - Myślę też, że jestem hipokrytą.

- O co ci chodzi?

- Odgrywałem przed Hansenem wielkiego inkwizytora. Czuł się jak gównno, bo stłumił wspomnienia sprzed dwudziestu lat. Ja zrobiłem dokładnie to samo, a miałem gorszy powód.

- A jaki on ma powód? - spytałem.

- Jest miękki. Zajrzyj mu do środka, zobaczysz kręgosłup z plasteliny.

- Od razu wyczuleś tę słabość - powiedziałem.

- Zauważyłeś to, co? No, od razu wsiadłem na starego Nicka. Mam nos do słabości. Przez to właśnie wszyscy tak lubią moje towarzystwo.

Doszliśmy do szarego oldsmobila.

- Wiem, co powiesz: że stosuję na tobie moje psychologiczne sztuczki, ale nie uważam, żeby można było porównywać sytuację twoją i Hansena. On miał informacje o morderstwie z pierwszej ręki i zachowywał je dla siebie przez dwadzieścia lat. Żeby to zrobić, wmówił sobie, że Chapman miał zwidy, ale te szczegóły - przypalanie papierosem, to, jak przenosili Janie - zdradzają, że w to nie wierzył. Hansen przez dwadzieścia lat żył złudzeniem i kto wie, co to z nim zrobiło. Ty starałeś się wykonywać swoją pracę, ale odebrano ci sprawę.

- Wykonywałem rozkazy? - Milo spojrział w zamyśleniu na ulicę.

**- Jak chcesz - powiedziałem. - Dręcz się dalej.**

**- Hansen maluje, ja nie - oznajmił. - Każdy musi mieć jakieś hobby... Słuchaj, dzięki za wszystko, ale muszę pomyśleć, zastanowić się, co z tym dalej zrobić.**

**- A co z najważniejszą rzeczą, której dowiedzieliśmy się z opowieści Hansena? - spytałem.**

**- To znaczy...**

**- Chodzi mi o to, do czego zmierzało twoje ostatnie pytanie, już w pracowni, czy ktoś jeszcze był przy morderstwie. Chapman wyświadał się Hansenowi, ale nie wspomniał o Caroline Cossack ani Williem Burnsie. Co oznacza, że prawdopodobnie ich tam nie było. Mimo to Cossackowie wsadzili Caroline na pół roku do Achievement House, z ostrzeżeniem, że jest niepoczytalna. Burns wrócił na ulicę, dał się przyskrzyńić za prochy, bardzo ryzykował, podejmując pracę w Achievement House. Może uciekł Borysowi Niemierowowi, bo wszystko widział. Gdyby trafił do więzienia, byłby załatwiony.**

**- Burns jako świadek.**

**- Może poszedł za Ludźmi Króla, bo myślał, że będą ćpać i że wciśnie im więcej towaru. Caroline mogła po prostu z nim być. A może chciała trzymać się z braćmi - dziwna, młodsza siostra, zawsze spychana na drugi plan. Początkowym motywem zamordowania Janie była chęć uciszenia jej. Luke Chapman mógł zginąć z tego samego powodu. Caroline i Burns byliby w tej sytuacji niebezpieczni.**

**- Ofiary, a nie mordercy - powiedział Milo. - Tym bardziej na pewno już nie żyją.**

**- Te dwa zdjęcia w albumie przed fotografią Janie. Martwy czarny facet i zmasakrowana biała, chora umysłowo kobieta. Może ten, kto wysłał książkę, chciał powiedzieć ci o dwóch innych zamordowanych.**



- Tyle że jak sam zauważyłeś, czarny facet miał około czterdziestu lat, tyle samo, ile Burns miałby teraz, a nie dwadzieścia lat temu. - Położył rękę na klamce drzwi. - Muszę się nad tym pogłowić. Ciao.

- I to wszystko?

- Co?

- Ty idziesz w swoją stronę, ja w swoją? - spytałem. - Nie chcesz mi o czymś powiedzieć?

Pół sekundy zawahania zaprzeczyło jego odpowiedzi.

- Chciałbym mieć coś, czego mógłbym ci nie mówić, Alex. Słuchaj, możemy wymyślać kolejne teorie po sądny dzień i nie przybliży nas to ani na krok do rozwiązania sprawy Janie.

- A co przybliży?

- Jak powiedziałem, muszę pomyśleć.

- Sam.

- Czasami - powiedział - samotność pomaga.

Odjechałem, zastanawiając się, co przede mną ukrywał, denerwując się, że chce mnie wyłączyć ze sprawy. Pomyślałem o tym, co nie czeka mnie w domu i irytacja zamieniła się w strach. Zanim się zorientowałem, jechałem za szybko, zgarbiony za kierownicą - jadąc za szybko donikąd.

Nie ma nic gorszego niż duży dom, kiedy człowiek jest sam. A ja mogłem za to winić tylko siebie.

Spieprzyłem wszystko równo, mimo mądrej rady Berta Harrisona. Jak większość doświadczonych psychoterapeutów, Harrison nie dawał nieproszonych rad, ale kiedy u niego byłem, ostrzegł mnie przed podejrzliwością, w którą wpadałem w związku z

**Robin.**

**“Małe rzeczy nabrały dużego znaczenia... To dziewczyna dla ciebie”.**

**Czyżby coś wyczuł - wywąchał moją nadciągającą głupotę? Dlaczego, do cholery, go nie posłuchałem?**

**Z rozmyślań wyrwał mnie ryk klaksonów. Stałem na zielonym świetle na skrzyżowaniu Walden i Sunset, sam nie wiem, jak długo, a śliczna, młoda kobieta w stojącym za mną golfie uznała, że to wystarczy, żeby się wyszczerzyć i pokazać mi palec. Pomachałem jej i ruszyłem. Minęła mnie, przestała rozmawiać przez komórkę, żeby jeszcze raz pokazać mi palec i prawie wpadła na krawężnik, kiedy jej volkswagen zmagał się z wiatrem.**

**Życzyłem jej wszystkiego dobrego i wróciłem myślami do Berta Harrisona.**

**Innych rzeczy, które powiedział tamtego dnia, pozornie luźnych uwag rzucanych pod koniec mojej wizyty.**

**Zbieg okoliczności, czy sztuczka starego terapeuty na poradzenie sobie z pożegnaniem? Sam używałem jej tysiące razy.**

**Na do widzenia wrócił do Caroline Cossack. Bez związku - przestaliśmy o niej rozmawiać już dużo wcześniej.**

**- “Ta dziewczyna. Co za potworność, jeśli to prawda.**

**- Chyba w to nie wierzysz.**

**- Trudno mi uwierzyć, że młoda kobieta byłaby zdolna do takiego okrucieństwa”.**

**Potem Bert wyraził swoje wątpliwości co do tego, czy Willie Burns może być zboczonym mordercą.**

**“Ćpun sensu stricte? Heroina? Opiaty uspokajają... Nigdy nie słyszałem, żeby ćpun zrobił coś takiego”.**

**Teraz okazywało się, że Bert miał rację.**

**Intuicja wyjątkowo inteligentnego człowieka?**

**Czy Bert po prostu wiedział?**

**Czy Schwinn pracował nad sprawą Ingalls jeszcze wiele lat po opuszczeniu wydziału? Czy powiedział Bertowi, co odkrył?**

**Bert przyznał, że znał Schwinna, ale twierdził, że to była przygodna znajomość.**

**Ze spotykali się przypadkiem w teatrze.**

**A jeśli wcale nie była tak przygodna?**

**Schwinn wydobyl się z narkotykowego nalogu i być może osiągnął to sam. Ale aż taki postęp nie obyłby się bez terapii, a Bert Harrison szkolił się w terapiach uzależnień w federalnym szpitalu w Lexington.**

**Schwinn jako pacjent Berta.**

**Psychoterapia. Podczas której wywleka się wszystkie tajemnice.**

**Jeśli cokolwiek z tego było prawdą, Bert kłamał. A to wyjaśniałoby jego przepraszanie. Jego skruchę - tak dziwną, że zastanawiałem się, czy przypadkiem nie podupadał na umyśle.**

**Bert podsycał jeszcze moje podejrzenia.**

**“Człowiek się cofa. Traci poczucie stosowności. Wybacz mi.**

**Nie ma czego wybaczać...”**

**Przypomniałem sobie, jak ocierał łzy.**

**“Wszystko w porządku, Bert?**

**Wszystko jest tak, jak powinno”.**

**Pragnął wybaczenia, bo wiedział, że musi mi skłamać? Ochraniał Schwinna ze względu na tajemnicę lekarską?**

**Ale Schwinn został pochowany siedem miesięcy temu i wszystkie jego prawa umarły razem z nim. Może Bert tak nie uważał.**

**A może chronił żyjącego pacjenta.**

**W terapii uzależnień - takiej, jaką Bert zastosowałby w przypadku kogoś tak długo uzależnionego, jak Schwinn - brali udział członkowie rodziny. A Marge była jedyną rodziną, jaka Schwinnowi pozostała.**

**Bert osłaniał Marge. To miało sens. Staralem się przypomnieć sobie wszystkie szczegóły rozmowy, które mogły o tym świadczyć i jedna rzecz od razu mi się nasunęła:**

**Bert odrzucał wszelkie sugestie, że Marge mogłaby wysłać mi akta morderstwa.**

**Chronił ją, czy sam był posłańcem? Lekarzem, spełniającym ostatnie życzenie swojego pacjenta?**

**A jeśli morderstwo Janie zżerało Schwinna, burzyło jego osiągnięty pod koniec życia spokój, do takiego stopnia, że musiał coś z tym zrobić? Bo chociaż wydział go wykopał, a on sam pozornie się zmienił, Pierce Schwinn zachował buldoży instynkt detektywa.**

**Janie nie była tylko nierozwiązaną sprawą, była też ostatnią sprawą Schwinna.**

**Może wiązał ją ze swoim załamaniem.**

**Bert chciał mu pomóc.**

**Im więcej o tym myślałem, tym logiczniejsze się to wydawało. Schwinn zaczął ufać Bertowi, pokazał mu teczkę, w końcu mu ją powierzył. Wiedząc, że Bert zrobi, co trzeba.**

**Udział Berta w sprawie wyjaśniał też, dlaczego oprawiony w niebieską skórę koszmar został wysłany do mnie. Harrison spotkał kilka razy Mila, ale mnie znał o wiele lepiej i dobrze wiedział o naszej przyjaźni. Był pewien, że przekażę akta Milowi.**

**Wytarte odciski palców. Bert mógłby to zrobić.**

**Czego nie mógł zrobić, to pojechać do Los Angeles, ukraść porsche Ricka i zwrócić je z oryginalnymi aktami sprawy Janie Ingalls na przednim siedzeniu. Kradzież w połączeniu z plotką o detektywie z HIV-em i spotkaniem z osobnikiem podającym się za Parisa Bartletta - wszystko to z daleka śmierdziało policją.**

**Ktoś z wydziału albo ktoś kiedyś z nim związany. Może nawet kolega Schwinna, którego wymyśliłem. Wszedł do akcji, kiedy wszystko się rozkręciło.**

**Teorie...**

**Bert zadzwonił, żeby powiedzieć mi, że wyjeżdża. Kilka dni wcześniej nie wspominał nic o planowanej podróży.**

**Uciekał z powodu mojej wizyty? Bert i ja nie widywaliśmy się codziennie, nie było powodu, by uprzedzał mnie o swoim wyjeździe. Chyba że chciał uciec od wybuchu.**

**Albo mnie zatrzymać.**

**Kiedy dotarłem do drogi prowadzącej do mojego domu, głowa bolała mnie od domysłów. Zatrzymałem się przed moim domem... naszym domem. Cholerna chałupa była zimna, biała... obca. Siedziałem w seville'u, nie gasząc silnika. Zawróciłem i pojechałem z powrotem w stronę Glen.**

**Mogłem wrócić do domu, tylko po co?**

**Nerwy miałem jak gołe kable, skwierczące od napięcia. Może długa przejażdżka je uspokoi.**

**Co do tego Milo miał rację.**

Milo wyjechał z Beverly Hills, rozmyślając o rozmowie z Nicholasem Hansenem.

Facet był żalosny, pijak i mamisynek, nie było trudno zmusić go do mówienia.

Ale czy nie zmieni swojej, opowieści, kiedy ochłonie i załatwi sobie adwokata? Nawet gdyby tego nie zrobił, jego historia była tylko plotką z trzeciej ręki.

Mimo to Milo wiedział, co musi zrobić: jechać do domu, przepisać swoje notatki z rozmowy, upewnić się, czy ma wszystkie szczegóły, a potem schować to wszystko tam, gdzie trzymał inne skarby - do sejfów w podłodze sypialni.

Pojechał Palm Drive do Santa Monica, potem ukośnym skrótem do Beverly, prowadząc jak gangsterski szofer - wolniej niż zwykle, rozglądając się dookoła, przypatrując się kierowcom samochodów jadących dwie, trzy, cztery długości za wypożyczonym oldsmobilem. Wybrał inną trasę, niż zwykle - minął La Cienega, potem zawrócił na Rosewood. Jak na razie wszystko było w porządku.

Rozmowa z Hansenem dała jedno: Milo wiedział, że sobie już nie odpuści.

Przez tyle lat grzebał się w gównie, powtarzając sobie w duchu rzeczy, do których nigdy nikomu się nie przyznał. Jesteś inny. Szlachetny. Jesteś bohaterskim, niestereotypowym gejowskim wojownikiem, przemierzającym ten pieprzony, heteroseksualny świat.

Buntownik walczący za przegraną sprawę.

Może właśnie to pozwoliło mu wygodnie zapomnieć o Janie. Ale kiedy Alex pokazał mu to jej zdjęcie, bicie serca i gruczoły potowe powiedziały mu, że przeżył prawie połowę życia jak najgorsza szmata.

Oszukując samego siebie.

**Czy to był właśnie wgląd? Jeśli tak, to do cholery z takim wglądem.**

**Roześmiał się głośno, ponieważ przeklinanie wydało mu się banalne. On i Hansen byli dwoma ziarnami w tym samym tchórzliwym strąku dupochronów. Alex, zawsze psycholog - zawsze przyjaciel - próbował ukazać mu to z innej strony.**

**Bardzo dziękuję, panie doktorze, ale to nie zmienia faktów.**

**Tak, stary Nicholas był mięczakiem, ale spotkanie z nim utwierdziło Mila w pewnym przekonaniu.**

**Jeżdżąc po cichych ulicach zachodniego Hollywood, Milo skonkretyzował sobie kolejny ryzykowny krok: zbliżyć się do morderstwa, opierając na kimś, kto przy nim był. Wybór celów był następujący: Brad Larner. Bo dwadzieścia lat temu Larner był najmniej ważnym spośród Ludzi Króla, oferumą, która pracowała dla tatusia, a potem cofnęła się w rozwoju i została lokajem swoich kumpli.**

**Jednym z tych gości, co za kimś chodzą. Palantem.**

**Jeśli Vance Coury i Cossackowie byli rekinami, to Larner podnawką, gotową do oderwania.**

**Mila swędziały ręce, żeby dopaść drania w zacisznym, małym pokoiku. Ale Larner nie mieszkał we własnym domu, mógł równie dobrze gnieździć się u Cossacków. Chodziło o to, żeby nakryć go samego, z dala od innych.**

**Pomyślnych łowów.**

**Normalnie, mimo swojego policyjnego instynktu, Milo mógłby nie zauważyć granatowego saaba, jadącego w jego stronę, jego własną ulicą. Przepisy parkowania w zachodnim Hollywood sprawiały, że ulice były raczej przejezdne, ale można było wykupić sobie pozwolenie, a właściciele domów mogli użyć ich gościom; nieznanemu samochód stojący przy krawężniku nie był więc niczym dziwnym.**

**Ale dziś Milo miał we krwi adrenalinę zamiast wódki i zauważał wszystko. Kiedy więc granatowy saab minął go, a on kątem oka zobaczył kierowcę, wiedział, że musi potwierdzić to, co próbuje mu przekazać jego mózg.**

**Zwolnił, patrząc w lusterku, jak saab skręca w Rosewood i znika z widoku.**

**Wtedy ostro zawrócił i ruszył za nim.**

**Dziękował Bogu za nowy samochód, który wypożyczył, wracając do domu. Szary dodge polaris miał obwisłe zderzaki i kiepsko zamaskowane ślady rdzy na całej poobijanej karoserii, ale moc jego silnika i bardzo przyciemnione szyby były dokładnie tym, czego potrzebował. Dlatego odpuścił sobie Hertz, Avis i Budget i poszedł do człowieka, którego znał, prowadzącego wypożyczalnię takich strucli na rogu Sawtelle i Olympic, za South 405. Wypożyczał tanie samochody dla nastroszonych typów w czarnych garniturach - nowo przybyłych aktorów, scenarzystów i niedoszłych internetowych milionerów, którzy uważali, że jeżdżenie po Los Angeles czymś starym i brzydkim jest cool.**

**Milo nadepnął gaz i polaris odpowiedział, nabierając sprawnie przyjemnej, szarpiącej kręgosłupem prędkości. Pojechał za saabem, pilnując, by nie zbliżyć się za bardzo, kiedy dostrzegł swoją ofiarę skręcającą na północ w San Vincente. Średnio gęsty ruch pozwolił mu zająć miejsce pięć długości za saabem i przy odrobinie wysiłku mógł nie tracić go z oczu.**

**W środku siedział tylko jeden człowiek - kierowca. Teraz trzeba było potwierdzić resztę pierwszego wrażenia. Saab minął Melrose i Santa Monica, skręcił w lewo na Sunset i utknął w poważnym korku, spowodowanym przez pomarańczowe pacholki, blokujące prawy pas.**

**Tylko pacholki, w zasięgu wzroku nie było robotników. Przedsiębiorstwem**



drogowym zarządzali idioci i sadyści, ale tym razem Milo błogosławił ich podle, czarne serca, bo korek pozwolił mu wyjechać w prawo, zobaczyć numery rejestracyjne saaba i zapisać je sobie. Korek posunął się o piętnaście metrów. Milo wyjął komórkę i zadzwonił do wydziału komunikacji. Skłamał. Boże, robił się w tym dobry. Zaczynało mu się to podobać.

Numery należały do rocznego saaba, którego właścicielem był niejaki Craig Eiffel Bosc, zamieszkały przy Huston Street w północnym Hollywood, nienotowany.

Chromowany ślimak przepelznął jeszcze kilka metrów. Milo, manewrując niezdarnie, zmniejszył odległość między saabem i dodgem do trzech długości. Jeszcze trzy ruszenia i zatrzymania i sznur samochodów powoli, ale płynnie ruszył przed siebie. Milo jechał obok saaba, mijając go z prawej, z nadzieją, że jego ofiara nie zwróci uwagi na dodge'a, a jeśli tak, to ochroni go przyciemniane szkło szyb.

Potrzebował kolejnej pół sekundy - misja wykonana.

Widział już tę twarz. Pan Wesolek. Dupek, który zaczepił go w barze z hot dogami, podając się za Parisa Bartletta.

Craig Eiffel Bosc.

Eiffel/Paris. Sprytne.

Bosc/Bartlett zajęło chwilę, potem zrozumiał: dwa gatunki gruszek.

Pomysłowe. Trzeba to sprzedać telewizji.

Bosc/Bartlett kiwał głową w takt muzyki, nie zwracając na nic uwagi. Milo przyspieszył, zajął miejsce dwie długości przed nim i na następnym czerwonym świetle zajrzał do saaba przez stojącą między nimi toyotę i siedzące w niej dwie dziewczyny, też kiwające głowami w rytm zbasowanego hip hopu. Próbował jeszcze raz przyjrzeć się Craigowi Eiffelowi Boscowi, ale widział tylko ruchy dziewczyn i światło odbite od

przedniej szyby toyoty. Na prawym pasie zrobiło się luźno. Milo zjechał na niego, przepuszczając oba samochody.

Zerknął w lewo, nie odwracając głowy, kiedy Wesola Gruszka przemknął obok, potem go dogonił i przez chwilę jechał obok, chcąc go sobie dobrze zapamiętać.

Wesołek miał koszulę z krótkim rękawem, granatową, poluzowany błękitny krawat, jedną rękę na kierownicy, w drugiej długie, grube cygaro. Okna saaba nie były przyciemniane, ale zamknięte i w środku kłębił się dym, jednak nie na tyle gęsty, by ukryć uśmiech na przystojnym obliczu Craiga Eiffela Bosca.

Zadowolony z siebie koleżka, ćmi cygarko i jeździ sobie swoim małym, zwinnym, szwedzkim samochodzikiem w słoneczny, kalifornijski dzień.

Cały świat należy do niego.

No, jeszcze zobaczymy.

Craig Bosc jechał Coldwater Canyon do Valley. Średni ruch ułatwiał śledzenie.

Zresztą Bosc się go nie spodziewał. Nie był zawodowcem - nie powinien pokazywać się na ulicy Mila. Jego uśmiech i cygaro wskazywały, że nawet nie wyobrażał sobie odwrócenia ról.

Na Ventura saab skrzył w prawo i wjechał w Studio City. Tam zatrzymał się na parkingu całodobowej siłowni dla japiszonów, po południowej stronie bulwaru. Craig Bosc wysiadł z samochodu, trzymając w rękach niebieską torbę i truchcikiem podbiegł do drzwi. Pchnął je jedną ręką i wszedł do środka.

Milo rozejrzał się w poszukiwaniu punktu obserwacyjnego. Z restauracji serwującej owoce morza, po drugiej stronie Ventura, widać było dobrze cały budynek fitness klubu i saaba. Reklama specjalności zakładu wyglądała kusząco - Milo był głodny. Jak wilk.

Pozwolił sobie na dodatki do specjalności - dużego homara, nóżki alaskańskich krabów, spory befsztyk, pieczone ziemniaki z kwaśną śmietaną i szczypiorkiem i górę smażonej cukinii. Popił to wszystko colą zamiast piwa, bo musiał jasno myśleć.

Jadł wolno, wiedząc, że Bosc spędzi na siłowni co najmniej godzinę. Kiedy poprosił o rachunek i zmagął się z trzecią dolewką kawy, saab ciągle jeszcze tkwił na parkingu. Milo rzucił na stół pieniądze, zaryzykował wycieczkę do toalety, wyszedł z restauracji i przesiedział w dodge'u jeszcze pół godziny, zanim Bosc z mokrymi włosami pojawił się przed siłownią. Z powrotem w swoim normalnym ubraniu - niebieskiej koszuli i czarnych spodniach, tyle, że bez krawata.

Bosc podbiegł do saaba, wyłączył alarm, ale zamiast wsiąść, przejrzał się w bocznym lusterku. Poprawił włosy. Rozpiął drugi guzik koszuli. Milo patrzył, jak dupek ćwiczony uśmiech przed szklaną widownią - Bosc obrócił parę razy głowę na boki.

Podziwiał swoją twarz pod różnymi kątami.

Potem wsiadł do saaba i zrobił to, co się robi w Los Angeles - przejechał pół kwartału i wjechał na następny parking.

Bar. Mały, obłożony cedrem sześcian, wciśnięty między bar sushi i sklep z rowerami. Malowany szyld nad cedrowymi drzwiami głosił, że lokal nazywa się Extras. Napis po prawej reklamował korzyści płynące z tutejszej "godziny szczęścia".

Na parkingu pół tuzina samochodów. Nie ma zbyt wielu szczęśliwych ludzi.

Ale Craig Bosc był szczęśliwy. Z szerokim uśmiechem zaparkował saaba obok dziesięcioletniego datsuna, wysiadł, obejrzał sobie zęby w lusterku, potarł je palcem wskazującym i wszedł do baru.

Extras. Milo nigdy nie był w środku, ale znał reputację tego miejsca. Knajpa dla aktorskiej drobnicy - ładnych ludzi, którzy przyjechali do Los Angeles, mając za sobą

kilka lat metody Stanisławskiego, letnich kursów albo studenckiego teatru, napędzani marzeniami o Oskarze, ale zadowolający się, tysiąc telefonów później, okazjonalnymi epizodami, scenami zbiorowymi i występami w reklamach, które stanowiły dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent pracy w filmie.

**Craig Eiffel Bosc, gwiazda ekranu.**

**Czas na złą recenzję.**

**Bosc wyszedł z baru półtorej godziny później, trochę wolniej, raz się potykając.**

**Kiedy ruszył z powrotem na Ventura, jechał piętnaście kilometrów na godzinę poniżej dopuszczalnej prędkości i zjeżdżał trochę na sąsiedni pas, co świadczyło, że był pod wpływem.**

**Zatrzymanie go do kontroli byłoby okazją do rozmowy twarzą w twarz, ale Milo tego nie chciał. Nie był na służbie, więc mógł co najwyżej dokonać aresztowania obywatelskiego, czyli zatrzymać Bosca do chwili przyjazdu policji, a potem pozwolić im go zabrać i stracić wszelką nadzieję na prywatną pogawędkę z panem Uśmiechniętym.**

**Jechał więc dalej za saabem, licząc na to, że Bosc nie zostanie zatrzymany przez patrol ani nikogo nie przejedzie.**

**Kolejna krótka jazda - dwie przecznice do centrum handlowego przy Coldwater, gdzie Bosc poszedł po zakupy, włożył dwie papierowe torby do bagażnika saaba, zatrzymał się na pięć minut przy agencji pocztowej i wrócił do samochodu z plikiem kopert pod pachą.**

**Agencja niczym nie różniła się od tej w Zachodnim Hollywood, gdzie wynajął skrytkę na korporację Playa del Sol. Bosc ruszył dalej, z Milem dwie długości za sobą skręcił w prawo w Coldwater, minął Moorpark i Riverside, po czym pojechał na wschód Huston.**

**Cicha ulica, apartamenty i nieduże domki. Ciężko tu kogokolwiek śledzić, nawet jeśli ofiara była zupełnie nieświadoma, że ma ogon i lekko przytruta. Milo zatrzymał się na rogu Coldwater i Huston, nie spuszczać oczu z saaba. Niebieski samochód przejechał jedną przecznicę, potem następną, w końcu skręcił w lewo.**

**Mając nadzieję, że Bosc nie mieszka w bloku z ochroną i podziemnym garażem, Milo odczekał pół minuty, podjechał do połowy drugiego kwartału przed ulicą, w którą wjechał Bosc i zaparkował. Wysiadł i dalej poszedł pieszo.**

**Miał szczęście. Niebieski samochód stał na widoku, zaparkowany na podjeździe parterowego, białego domku.**

**Dom nie miał trawnika ani płotu. Kilka chudych palm ocierających się o jego fasadę było jedynym ustępstwem na rzecz zieleni. Spękany betonowy podjazd, ledwie mieszczący jeden samochód, miał około siedmiu metrów długości i kończył się z lewej strony przy domu. Podwórka nie było. Domek stał na maleńkiej działce, okruchu, pozostałym po przebudowie okolicy; na sąsiedniej, z tyłu, wznosił się trzypiętrowy apartamentowiec.**

**Blask Hollywood.**

**Milo wrócił do dodge'a i zatrzymał się za domem. Stało tu sporo samochodów, ale udało mu się znaleźć miejsce między furgonetką i pikapem. Mógł stąd dobrze wszystko widzieć. Wycieczka Bosca na siłownię, do baru i na zakupy zajęła prawie całe popołudnie i słońce zaczynało już zachodzić. Milo siedział w samochodzie, dotykając przypiętego na biodrze pistoletu kaliber dziewięć, chłodnego i uspokajającego, i czuł się lepiej, niż mu się to zdarzyło od dłuższego czasu.**

**Bosc chyba nie zamierzał już nigdzie wychodzić, bo do piątej się nie pokazał, a we frontowych pokojach białego domku zapaliły się światła. Koronkowe firanki nie**

pozwalają zobaczyć szczegółów, ale były na tyle przezroczyście, że Milo widział ruch za nimi.

Bosc przechodził z pokoju do pokoju. Potem, o dziewiątej, okno po prawej rozjarzyło się niebieską poświatą. Telewizor.

Gwiazda ekranu spędzała wieczór w domowych pieleszach.

Milo wysiadł z dodge'a, przeciągnął się i przeszedł przez ulicę.

Zadzwoił do drzwi, a Bosc nie zadał sobie nawet trudu zawołania "kto tam", tylko otworzył je na oścież.

Aktor przebrał się w szorty koloru khaki i czarną koszulkę, opiętą na jego aktorskim torsie. W jednym ręku trzymał butelkę piwa Coors, w drugim papierosa.

Swobodny, rozluźniony, oczy przekrwione i mętne. Dopóki nie rozpoznał Mila i nie rozdziawił szeroko ust.

Nie zareagował jak aktor - czy jakikolwiek cywil. Rozstawił lekko stopy, pchnął butelką w brodę Mila, a rozżarzoną czubkiem papierosa w jego oczy.

W ułamku sekundy. Próbką baletu sztuk walki.

Milo był lekko zaskoczony, ale przyszedł tu gotowy na wszystko i cofnął głowę.

Potężny kopniak, który wymierzył w krocze Bosca dotarł do celu, podobnie jak uderzenie kantem dłoni w jego kark. Bosc padł na ziemię, kończąc wszelką dyskusję.

Kiedy przestał się wić na podłodze i jego twarz straciła zielone zabarwienie, ręce miał już skute na plecach. Dyszał i próbował coś wykrztusić. Milo kopnięciem zamknął drzwi, podniósł Bosca za kark i cisnął go na czarną skórzaną kanapę, zajmującą większą część salonu. Resztę umeblowania stanowił biały fotel, wielki cyfrowy telewizor, drogie zabawki stereo i oprawiony w chromowane ramy plakat czerwonego lamborghini.

Bosc jęcząc, wił się na kanapie. Wywrócił oczy i zacharczał. Milo cofnął się,

**schodząc z przewidywanej trajektorii wymiocin, ale Bosc tylko zakaszłał sucho kilka razy, odetchnął i spojrzał na Mila.**

**I uśmiechnął się.**

**I roześmiał.**

**- Coś cię śmieszy, Craig? - spytał Milo.**

**Bosc poruszył ustami, próbując coś powiedzieć. Krople potu wielkości ziaren fasoli sływały mu z czoła po nosie. Strząsnął jedną językiem. Znów się roześmiał.**

**Splunął Milowi pod nogi.**

**- O tak. Masz duuuże kłopoty - powiedział.**

Pędziłem autostradą numer 33, wciągając do płuc słodkie, pachnące trawą powietrze Ojai. Myślałem o Bercie Harrisonie - mieszkał tu od dziesięcioleci, całe lata świetlne od Los Angeles, a mimo to nie udało mu się uniknąć tego, co miasto ma do zaoferowania najgorszego.

Zbliżając się do skupiska sklepów, wśród których znajdował się O'Neill & Chapin, zwolniłem. Papierniczy był wciąż nieczynny, a w oknie Celestial Cafe widniała tabliczka z napisem "zamknięte". W połowie drogi przez miasto skręciłem na drogę prowadzącą do domu Berta i zatrzymałem się za kępą eukaliptusów, trzydzieści metrów od jego podjazdu.

Stare kombi Berta stało zaparkowane przed domem, co o niczym zupełnie nie świadczyło. Mógł wyjechać, a na lotnisko ktoś go zawiózł. Albo zamierzał wyjechać za chwilę i gdybym wszedł do domu, zastałbym go przy pakowaniu.

Trzecia możliwość - kłamał, mówiąc o podróży, chciał mnie zniechęcić do powrotu.

Podziwiałem Berta i nie chciałem się nad tym zastanawiać. Wróciłem do seville'a i zawróciłem na autostradę, zdecydowany udać się do źródła.

Brama wjazdowa do Mecca Ranch była zamknięta, ale tylko na zasuwę.

Otworzyłem ją, wjechałem, zamknąłem bramę za sobą i pojechałem w kierunku rancza, obserwowany przez kołujące jastrzębie - może te same ptaki, które widziałem za pierwszym razem.

Moim oczom ukazała się zagroda, skąpana w blasku popołudniowego słońca.

Marge Schwinn stała na środku kręgu, ubrana w spraną dżinsową koszulę, obcisłe



**spodnie i jeździeckie buty, tyłem do mnie. Mówiła coś do wielkiego ogiera**

**ciemnobrązowej maści, przypominającej odcieniem gorzką czekoladę. Klepała zwierzę po pysku, głaskała jego grzywę. Odwróciła się, słysząc zgrzyt żwiru pod oponami samochodu. Kiedy wysiadłem z wozu, szła już w moją stronę.**

**- Dzień dobry, doktorze Delaware.**

**Odpowiedziałem na powitanie uśmiechem, starając niczego nie zdradzić głosem.**

**Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, Milo nie przedstawił mnie z nazwiska ani nie podał zawodu. Nagle poczułem, że ta wycieczka ma sens.**

**Marge wyciągnęła niebieską bandanę z kieszeni dzinsów, wytarła w nią ręce i wyciągnęła dłoń. Uścisk miała mocny i pewny.**

**- Co pana tu sprowadza?**

**- Chcę coś sprawdzić.**

**Schowała bandanę i uśmiechnęła się szelmowsko.**

**- Ktoś uważa, że zwariowałam?**

**- Nie, proszę pani, chodzi tylko o parę pytań. - Patrzyłem pod słońce i odwróciłem głowę. Marge miała słońce w plecy, ale skrzywiła się, a jej oczy schowały się w siatce zmarszczek. Jej dzinsowa koszula była dość obcisła. Piersi miała małe i wysokie. Ciało dziewczyny, twarz starej kobiety.**

**- Jakiego rodzaju pytań, doktorze?**

**- Na początek, czy przypomniła sobie pani cokolwiek, odkąd detektyw Sturgis i ja byliśmy u pani?**

**- Na temat...?**

**- Czegokolwiek, co pani mąż mógł powiedzieć o tym nierozwiązanym morderstwie, o którym rozmawialiśmy.**

- Nie - powiedziała. - Na ten temat nic. - Jej wzrok powędrował w stronę zagrody.

- Chciałabym móc z panem pogawędzić, ale jestem trochę zajęta.

- Jeszcze tylko kilka rzeczy. W tym dość drażliwy temat, obawiam się.

Oparła dłonie na twardych, wąskich biodrach.

- Jaki temat?

- Uzależnienie od narkotyków pani męża. Czy wyszedł z niego sam?

Marge wbiła obcas w ziemię.

- Jak panu powiedziałam, kiedy poznałam Pierce'a, miał to już za sobą.

- Czy ktoś mu w tym pomagał?

- O co panu chodzi? - spytała, chociaż pytanie było proste i jasne. Wciąż się

krzywiła, ale nie zacisnęła powiek aż tak, by nie było zza nich widać ruchów jej oczu.

Szybkie zerknięcie w dół, potem podróż w prawo.

Jeszcze jeden marny kłamca. Dzięki Ci, Boże, za uczciwych ludzi.

- Czy Pierce leczył się z uzależnienia? - spytałem. - Czy kiedykolwiek znalazł się pod opieką lekarską?

- Naprawdę nie mówił o tamtych czasach.

- W ogóle?

- To była przeszłość. Nie chciałam rozdrapywać starych ran.

- Nie chciała go pani denerwować - dodałem.

Znów spojrzała na zagrodę.

- Jak Pierce sypiał? - spytałem.

- Słucham?

- Czy Pierce zasypiał bez problemów, czy w nocy długo leżał, nie mogąc zasnąć?

- Był bardzo... - Zmarszczyła czoło. - To dziwne pytania, doktorze Delaware.

**Pierce'a już nie ma jaka to różnica, jak sypiał?**

**- Chcę ogólnie sprawdzić pewne przypuszczenia - powiedziałem. - Interesuje mnie zwłaszcza okres około tygodnia przed wypadkiem. Czy spał dobrze?**

**Wstrzymała oddech, a jej oparte na biodrach dłonie pobielaly.**

**- Stało się to, co panu powiedziałam, proszę pana: Pierce spadł z konia. Teraz go już nie ma i to ja muszę z tym żyć i nie podoba mi się, że pan to rozgrzebuje.**

**- Przepraszam - powiedziałem.**

**- Ciągle pan przeprasza, ale nie przestaje zadawać pytań.**

**- Już tłumaczę. Może to był wypadek, ale zamówiła pani test na obecność narkotyków w krwi Akhbara. Zapłaciła pani za to sporo pieniędzy.**

**Odsunęła się o krok, potem jeszcze jeden. Potrząsnęła głową, wyskubała z włosów źdźbło słomy.**

**- To niedorzeczne.**

**- I jeszcze jedno - powiedziałem. - Detektyw Sturgis nie przedstawił mnie z nazwiska, ale pani wie, kim jestem i czym się zajmuję. Uważam, że to dość interesujące.**

**Otworzyła szeroko oczy i ciężko westchnęła.**

**- Mówił, że pan może coś takiego zrobić.**

**- Kto mówił?**

**Bez odpowiedzi.**

**- Doktor Harrison?**

**Odwróciła się do mnie plecami.**

**- Pani Schwinn, nie uważa pani, że pora z tym skończyć? Czy Pierce nie tego by chciał? Coś nie pozwalało mu zasnąć, prawda? Niedokończone sprawy. Czy nie o to chodziło z albumem morderstw?**

- Nic nie wiem o żadnym albumie.

- Czyżby?

Przygryzła wargę. Znow pokręciła głową, zacisnęła zęby, odwróciła się i stanęła twarzą do słońca. Zadrżała. Potem obróciła się na pięcie i prawie pobiegła w stronę domu. Ale ja poszedłem za nią; nie próbowała mnie zatrzymać.

Siedzieliśmy na tych samych miejscach, co kilka dni temu - ja na kanapie w salonie, ona na fotelu naprzeciwko. Ostatnim razem mówił tylko Milo, jak to się zwykle dzieje, kiedy jedziemy gdzieś razem, ale teraz to była moja gra i, wybac mi Boże, mimo cierpienia siedzącej naprzeciw mnie kobiety czułem okrutną radość.

- Jesteście straszni - powiedziała Marge. - Czytacie w myślach.

- My?

- Lekarze od głowy.

- Doktor Harrison i ja - powiedziałem.

Nie odpowiedziała, więc kontynuowałem:

- Doktor Harrison ostrzegał, że mogę wrócić.

- Doktor Harrison czyni tylko dobro.

Nie spierałem się.

Pokazała mi swój profil.

- Tak, to on powiedział mi, kim pan jest, kiedy opisałam mu pana i tego wielkiego detektywa, Sturgisa. Powiedział, że wasza obecność tutaj oznacza, że sporo się zmieni.

- Zmieni?

- Powiedział, że się pan nie poddaje i umie trafnie zgadywać.

- Zna pani doktora Harrisona już od dawna.

- Jakiś czas. - Okna w salonie były otwarte; z zagrody dobiegało głośnie i wyraźne

**rżenie koni.**

**- Spokojnie, malutki - mruknęła Marge.**

**- Pani związek z doktorem Harrisonem był czysto zawodowy - powiedziałem.**

**- Jeśli pyta pan, czy był moim lekarzem, odpowiedź brzmi “tak”. Leczył nas oboje - Pierce’a i mnie. Oddzielnie, ale każde z nas o tym wiedziało. Z Pierce’em chodziło o narkotyki. Ze mną... Przechodziłam... depresję. Reakcję sytuacyjną, jak nazywał to doktor Harrison. Kiedy umarła moja matka. Miała dziewięćdziesiąt trzy lata, a ja opiekowałam się nią tak długo, że samotność... Odpowiedzialność zaczęła mnie przygniatać. Próbowałam radzić sobie z tym sama, potem już nie mogłam. Wiedziałam, kim jest doktor Harrison, zawsze podobało mi się, jak się uśmiecha. Któregoś dnia zebrałam się na odwagę i poszłam do niego.**

**Przyznanie się do tego - do słabości - sprawiło, że zacisnęła zęby.**

**- Czy to doktor Harrison poznał panią z Pierce’em?**

**- Poznałam Pierce’a pod koniec... kiedy było ze mną już lepiej, kiedy mogłam już się sobą zająć. Nadal rozmawiałam od czasu do czasu z doktorem Harrisonem, ale nie brałam już antydepresantów, tak jak obiecał.**

**Nagle pochyliła się do przodu.**

**- Zna pan doktora H. naprawdę? Wystarczająco dobrze, żeby zrozumieć, jakim jest człowiekiem? Kiedy zaczęliśmy rozmawiać po raz pierwszy, przychodził codziennie, żeby zobaczyć, jak się czuję. Codziennie. Kiedy zachorowałam na grypę i nie mogłam się ruszyć z łóżka, przyjeżdżał mi pomagać. Robił wszystko - odkurzał dom, zmywał i suszył naczynia, karmił konie i sprzątał stajnie. Przez cztery dni z rzędu jeździł nawet do miasta po zakupy. Gdybym płaciła mu od godziny, poszłabym z torbami.**

**Wiedziałem, że Bert jest dobrym człowiekiem i doskonałym terapeutą, ale to**

mnie zadziwiło. Wyobraziłem go sobie, małego, starego, ubranego na czerwono, jak zamiata i zmywa podłogę w boksach stajni i zastanawiałem się, czy ja w tej sytuacji postąpiłbym tak samo. Wiedziałem cholernie dobrze, że nie byłbym zdolny do takiej troski.

To, co robiłem teraz, nie miało nic wspólnego z troską. W każdym razie nie o żywego człowieka.

Ile mamy do zawdzięczenia zmarłym?

- A więc poznała pani Pierce'a, kiedy wszystko się ułożyło - powiedziałem.

Drewniana formułka. Typowa psychologiczna.

Kiwnęła głową.

- Doktor H. powiedział, że powinnam wrócić do dawnych zajęć. Powiedział, że moje stare nawyki są dobre. Zanim z mamą zrobiło się kiepsko, jeździłam do Oxnard i kupowałam karmę dla koni u Randallsów. Stara pani Randall stała wtedy przy kasie, ona i mama były przyjaciółkami. Lubiałam tam jeździć i rozmawiać z nią, słuchać, jak to było dawniej. A potem pani Randall się rozchorowała, w sklepie zaczęli pracować jej synowie, a im nie miałam nic do powiedzenia. Do tego zaczynało mi brakować sił, więc zaczęłam zamawiać karmę u dostawcy. Kiedy doktor Harrison powiedział, że dobrze mi zrobi, jak wyjdę z domu, znów zaczęłam do nich jeździć. Tam poznałam Pierce'a.

Uśmiechnęła się.

- Może to wszystko była część planu doktora Harrisona. Znał nas oboje, Pierce'a i mnie. Wiedział, że do czegoś między nami dojdzie. Zawsze mówił, że nie, ale może po prostu był jak zwykle skromny. W każdym razie okazało się, że między nami zaiskrzyło. Musiało coś iskrzyć, bo kiedy zobaczyłam Pierce'a po raz pierwszy, wyglądał jak podstarzały hipis, a ja jestem starą republikanką, ścisłam rękę Ronalda Reagana,

normalnie taki ktoś by mnie nie pociągał. Ale w Pierce było coś takiego... miał w sobie jakąś szlachetność. Wiem, że pana przyjaciel detektyw pewnie opowiadał panu, jaki Pierce był kiedyś, ale stał się zupełnie innym człowiekiem.

- Ludzie się zmieniają - powiedziałem.

- Przekonałam się o tym bardzo późno. Kiedy Pierce w końcu zebrał się na odwagę i zaprosił mnie na kawę, był tak nieśmiały, że to było... prawie urocze. -

Wzruszyła ramionami. - Może po prostu spotkaliśmy się we właściwym momencie - planety odpowiednio się ustawiły, albo coś takiego. - Cień uśmiechu. - A może doktor Harrison jest sprytny.

- Kiedy powiedziała mu pani, że spotyka się z Pierce'em?

- Wkrótce potem. Powiedział: "Wiem, Pierce mi mówił. On czuje to samo do ciebie, Margie". Wtedy powiedział mi, że znał już Pierce'a od jakiegoś czasu. Był psychiatrą wolontariuszem w szpitalu w Oxnard - leczył chorych, rannych i poparzonych - po pożarze w Montecito założyli tam oddział poparzeń. Pierce nie był nikim takim, ale przywieźli go na ostry dyżur po zapaści narkotykowej. Doktor Harrison go odtruł, a potem przyjął jako pacjenta. Opowiedział mi o tym, bo Pierce go o to prosił. Pierce mnie kochał, ale bardzo wstydził się swojej przeszłości, miał nadzieję, że doktor Harrison pomoże mu oczyścić atmosferę. Ciągle pamiętam, jak doktor H. to powiedział: "To dobry człowiek, Margie, ale zrozumie, jeśli to dla ciebie zbyt ciężki bagaż". Odpowiedziałam: "Te ręce przerzucają siano od czterdziestu lat, mogę unieść bardzo wiele". Po tym nieśmiałość Pierce'a prawie zniknęła i zbliżyliśmy się do siebie. - Jej oczy zaszły mgłą. - Nigdy nie sądziłam, że kogoś sobie znajdę, a jego już nie ma. Sięgnęła po bandanę i parsknęła śmiechem przez lzy.

- Ależ ze mnie mięczak. A pan - myślałam, że zajmujecie się tym, żeby ludziom

było łatwiej.

Siedziałem bez słowa, a ona płakała. Otarła oczy i znów się rozplakała. Po ścianie naprzeciwko mnie przemknął jakiś cień. Odwróciłem się w samą porę, żeby dostrzec wzbijającego się jastrzębia. Z zagrody dobiegało tupanie i parskanie.

- Czerwonooogniaste - powiedziała Marge. - Dobrze tępią szkodniki, ale konie nie mogą się do nich przyzwyczać.

- Pani Schwinn - spytałem - co Pierce powiedział pani o tej nierozwiązanej sprawie?

- Że to nierozwiązana sprawa.

- Co jeszcze?

- Nic. Nie powiedział mi nawet, jak ta dziewczyna się nazywała. Tylko tyle, że była dziewczyną, którą ktoś pocałował, że to była jego sprawa i że nie udało mu się jej rozwiązać. Próbowałam skłonić go, żeby się otworzył, ale on nie chciał. Jak mówiłam, Pierce zawsze starał się ochronić mnie przed swoją przeszłością.

- Ale rozmawiał o tej sprawie z doktorem Harrisonem.

- Musiałby pan o to zapytać doktora Harrisona.

- Doktor Harrison nigdy pani o tym nie mówił?

- Powiedział tylko... - Umilkła i odwróciła się tak, że widziałem tylko zarys jej szczęki.

- Pani Schwinn?

- Ta sprawa wyszła tylko dlatego, że Pierce miał problemy ze snem. Zaczął mieć sny. Koszmary. - Odwróciła się gwałtownie twarzą do mnie. - Skąd pan o tym wiedział?

Zgadł pan?

- Pierce był dobrym człowiekiem, a dobrzy ludzie źle znoszą korupcję.



- Nie wiem nic o żadnej korupcji. - W jej głosie brakowało przekonania.

- Kiedy zaczęły się te koszmary? - spytałem.

- Na kilka miesięcy przed jego śmiercią. Dwa, trzy miesiące.

- Stało się coś, co mogło je wywołać?

- Nic takiego nie zauważyłam. Myślałam, że jesteśmy szczęśliwi. Doktor Harrison powiedział mi, że Pierce też tak myślał, ale okazuje się, że on nigdy nie pozbył się swojej udręki - takiego użył słowa. Udręka.

- Dręczyła go ta sprawa.

- Dręczyła go porażka. Doktor Harrison powiedział, że Pierce został zmuszony do zostawienia sprawy, kiedy zwolnili go z wydziału. Mówił, że Pierce wbił sobie do głowy, że poddanie się oznacza śmiertelny grzech. Karał się za niego przez lata - narkotyki, udręczanie się, żył jak menel. Doktor H. sądził, że pomógł mu się z tego otrząsnąć, ale mylił się, koszmary wróciły. Pierce po prostu nie mógł dać sobie spokoju.

Obdarzyła mnie długim, surowym spojrzeniem.

- Pierce łamał zasady przez całe lata, zawsze się zastanawiał, czy któregoś dnia nie będzie musiał za to zapłacić. Uwielbiał pracę detektywa, ale nienawidził policji.

Nikomu nie ufał. Włącznie z pana przyjacielem, Sturgisem. Kiedy go wylali, był przekonany, że Sturgis miał z tym coś wspólnego.

- Kiedy byłem u pani z detektywem Sturgisem, mówiła pani, że Pierce dobrze się o nim wyrażał. Czy to prawda?

- Niezupełnie - powiedziała. - Pierce nigdy nie powiedział mi ani słowa o Sturgisie, ani kimkolwiek innym ze swojej przeszłości. To wszystko mówił doktorowi Harrisonowi, a ja starałam się go w to nie mieszać. Ale tak, Pierce zmienił zdanie o Sturgisie. Śledził jego karierę i zobaczył, że to dobry detektyw. Dowiedział się, że Sturgis jest

homoseksualistą i doszedł do wniosku, że musiał mieć dużo odwagi, żeby zostać w wydziale.

- Co jeszcze doktor Harrison powiedział pani o tej sprawie?

- Tyle, że zostawienie jej zżerało Pierce'a od środka jak rak. Że stąd się biorą jego koszmary.

- Powtarzające się koszmary? - spytałem.

- Tak. Czasami Pierce miał je trzy, cztery razy w tygodniu, czasami spał dobrze przez dłuższy czas. A potem bum, znowu to samo. Nie dało się tego przewidzieć i to jeszcze pogarszało sprawę, bo nigdy nie wiedziałam, czego mam się spodziewać, kładąc się spać. Doszło do tego, że bałam się położyć do łóżka, sama zaczęłam budzić się w nocy.

- Uśmiechnęła się krzywo. - To mogło wyglądać śmiesznie, leżałam cała spięta, nie mogłam zasnąć, a Pierce obok chrapał w najlepsze, a ja powtarzałam sobie, że wreszcie jest już po wszystkim. A potem następnej nocy...

- Czy Pierce mówił coś wtedy przez sen?

- Ani słowa, tylko się ruszał - rzucał. Po tym poznawałam, że to się zaczyna - łóżko zaczynało się kołysać, jak podczas trzęsienia ziemi, Pierce kopał materac. Leżał na plecach i kopał piętami, jakby gdzieś szedł. Potem wyrzucał w górę ręce. - Podniosła ramiona. - Jakby ktoś go aresztował. Potem opuszczał je - gwałtownie, zaczynał walić w łóżko i wymachiwać, chrząkał i bił pięściami materac i kopał - nie przestawał kopać. Potem wyginał się w łuk i zamierał - jak sparaliżowany, jakby miał zaraz wybuchnąć. Widać było, jak zaciska zęby, wytrzeszcza oczy, ale na nic nie patrzył, był gdzieś indziej - w jakimś piekle, które tylko on widział. Wyginał się tak przez jakieś dziesięć sekund, a potem zaczynał bić sam siebie - w pierś, w brzuch, po twarzy. Czasami następnego dnia miał siniaki. Próbowałam go powstrzymać, żeby nie zrobił sobie krzywdy, ale nie dało

się, ręce miał jak żelazne pręty i mogłam tylko wyskoczyć z łóżka, żeby nie uderzył mnie. I stałam tak z boku, czekając, aż przestanie. Na chwilę przed końcem wył, tak głośno, że budził konie. Konie zaczynały kwiczeć, a czasami dołączały się do tego kojoty. Żeby pan to słyszał - kojoty wyjące wiele kilometrów dalej. Słyszał pan kiedyś coś takiego? Kiedy zaczyna wyć całe stado? To nie brzmi jak szczekanie psów, to jak tysiąc oszalałych stworzeń, które jednocześnie zawodzą. Podobno robią coś takiego tylko wtedy, kiedy zabijają albo się parzą, ale wycie Pierce'a też je prowokowało.

Zwinęła bandanę w ciasną kulkę. Teraz patrzyła, jak jej palce się prostują.

- Kojoty były przerażone wyciem Pierce'a.

Zaproponowała mi coś do picia. Kiedy podziękowałam, nalala sobie szklankę wody z kranu.

- Czy Pierce pamiętał swoje koszmary? - spytałam, kiedy usiadła. - Nie. Kiedy atak mijał, po prostu zasypiał i na tym się kończyło. Za pierwszym razem nic nie powiedziałam. Za drugim, byłam wstrząśnięta, ale dalej milczałam. Po trzecim, poszłam do doktora Harrisona. Doktor wysłuchał mnie, sam niewiele mówił, a wieczorem przyszedł z wizytą do Pierce'a. Zamknęli się we dwóch w ciemni. Od tamtej pory Pierce znów zaczął chodzić do niego na regularne sesje. Jakiś tydzień później doktor H. zaprosił mnie do siebie i powiedział, że Pierce nie może poradzić sobie z porażką.

- A więc pani i Pierce nigdy nie rozmawialiście o tej sprawie bezpośrednio?

- Nie.

Nic nie powiedziałam.

- Wiem, że trudno to panu zrozumieć, ale tacy właśnie byliśmy. Bliscy sobie tak, jak tylko dwoje ludzi może być sobie bliskich, ale każde z nas miało jakieś, strony, których nie dotykaliśmy. Wiem, że to już niemodne upierać się przy prywatności.

**Wszyscy ze wszystkimi rozmawiają o wszystkim. Ale to przecież obłudne, nie sądzi pan?**

**Każdy ma jakieś tajemnice. Pierce i ja uczciwie się do tego przyznawaliśmy. A doktor**

**Harrison powiedział, że jeśli tak właśnie chcemy, to nasz wybór.**

**A więc Bert starał się skłonić ich do otwartości, a oni się nie dali.**

**- Tak samo było z narkotykami Pierce'a - powiedziała Marge Schwinn. - Był zbyt**

**dumny, żeby mi się do tego przyznać, wykorzystał więc doktora Harrisona jako**

**pośrednika. Byliśmy z tego zadowoleni. Dzięki temu między nami wszystko było jasne i**

**bez komplikacji.**

**- Czy pytała pani kiedykolwiek doktora Harrisona o to nierozwiązane**

**morderstwo?**

**Stanowczo pokręciła głową.**

**- Nie chciałam nic wiedzieć. Myślałam, że skoro Pierce'a aż tak bardzo to**

**dręczyło, to musiało być straszne.**

**- Czy koszmary ustały?**

**- Kiedy Pierce znów zaczął regularnie odwiedzać doktora Harrisona, zrobiły się**

**rzadsze - miał je dwa, trzy razy w miesiącu. Poza tym chyba pomagało mu**

**fotografowanie - wychodził z domu na świeże powietrze.**

**- Czy to był pomysł doktora Harrisona?**

**Uśmiechnęła się.**

**- Tak, kupił Pierce'owi aparat, upierał się, że za niego zapłaci. Tak właśnie robi.**

**Daje ludziom różne rzeczy. W mieście była dziewczyna, Marian Purveyance, prowadziła**

**Celestial Cafe, zanim przejęła ją Aimee Baker. Marian zachorowała na jakieś**

**wyniszczające schorzenie mięśni, a doktor Harrison był jej jedyną pociechą.**

**Odwiedzałam ją w jej ostatnich dniach i powiedziała mi, że doktor Harrison postanowił**

kupić jej psa do towarzystwa. Marian nie była w stanie opiekować się psem, więc doktor Harrison przywiózł ze schroniska starego, na wpół ślepego retrievera, którego trzymał u siebie w domu, karmił i kąpał. Przyprawdzał go do Marian codziennie na kilka godzin. Kochane, stare psisko wyciągało się na łóżku, a Marian mogła je głaskać. Przed śmiercią straciła władzę w palcach i pies to chyba wyczuł, bo przetoczył się blisko niej i położył łapę na jej dłoni, żeby mogła czegoś dotykać. Marian umarła, mając obok siebie to stare psisko, a kilka tygodni później pies zdechł.

Spojrzała na mnie gwałtownie.

- Rozumie pan, o co mi chodzi, młody człowieku? Doktor Harrison daje. Dał

Pierce'owi aparat, a mnie spokój ducha, wyjaśniając, że koszmary nie mają nic wspólnego ze mną. Bo zaczynałam się zastanawiać, czy tak nie jest, może po tylu latach samotności zamknięcie na odludziu z jakąś starą panną miało na niego zły wpływ. I - wybacz mi, Panie - kiedy patrzyłam, jak się rzuca, nie mogłam się opędzić od myśli, że wrócił do tego, co...

- Do narkotyków.

- Wstyd mi się do tego przyznać, ale tak, tak właśnie myślałam. Bo do szpitala trafił przez ataki narkotykowego głodu, a na moje niedoświadczone oko to wyglądało jak ataki. Ale doktor Harrison zapewnił mnie, że tak nie jest. Powiedział, że to tylko straszne sny. Że dawne życie Pierce'a podnosi swój ohydny łeb. Że ja miałam na niego tylko i wyłącznie dobry wpływ i nigdy nie wolno mi myśleć inaczej. To była ogromna ulga.

- A więc koszmary zaczęły go nawiedzać dwa, trzy razy w miesiącu.

- Z tym mogłam żyć. Kiedy zaczynał kopać, wstawalam z łóżka, nalewalam sobie w kuchni szklankę wody, szłam uspokoić konie, a kiedy wracałam, Pierce już chrapał.

**Brałam go za rękę i ogrzewałam ją - po koszmarach zawsze miał lodowate dłonie.**

**Leżeliśmy razem, słuchałam, jak jego oddech zwalnia... Pozwalał mi się obejmować i ogrzewać i noc mijala.**

**Kolejny cień jastrzębia przemknął po ścianie.**

**- Te ptaki - powiedziała Marge. - Muszą coś czuć.**

**- Koszmary prawie ustały - podjąłem - ale wróciły na kilka dni przed śmiercią Pierce'a.**

**- Tak - odparła Marge, prawie krztusząc się tym słowem. - I tym razem zaczęłam się martwić, bo Pierce nie wyglądał po nich rano najlepiej. Był zmęczony, niezdarny, trochę belkotał. Dlatego mam do siebie pretensję, że pozwoliłam mu wziąć Akhbara. Nie był w formie do jazdy, nie powinnam pozwolić mu jechać samemu. Może dostał wtedy jakiegoś ataku.**

**- Dlaczego przeprowadziła pani testy krwi Akhbara?**

**- To była zwykła głupota. Tak naprawdę chciałam sprawdzić Pierce'a. Bo mimo tego, co powiedział doktor Harrison, kiedy koszmary powróciły, znów straciłam w niego wiarę. Ale kiedy umarł, nie mogłam się zmusić, żeby się przyznać do swoich podejrzeń.**

**Ani doktorowi H., ani koronerowi, ani nikomu innemu, więc zwałam wszystko na biednego Akhbara. Myślałam, że może kiedy pojawi się temat narkotyków, ktoś go podchwyci i przeprowadzi też testy na Piersie i wreszcie będę wiedziała, raz na zawsze.**

**- Przeprowadzili testy na Piersie - powiedziałem. - To standardowa procedura.**

**Wynik był negatywny.**

**- Teraz o tym wiem. Doktor Harrison mi powiedział. To był zwyczajny wypadek.**

**Chociaż czasami nie mogę się opędzić od myśli, że Pierce nie powinien jechać sam. Bo naprawdę nie wyglądał dobrze.**

**- Domyśla się pani, dlaczego ostatni tydzień był dla niego taki ciężki?**

**- Nie - i nie chcę wiedzieć. Muszę to wszystko zostawić za sobą, pan mi w tym nie pomaga, możemy już przestać?**

**Podziękowałem jej i wstałem.**

**- Jak daleko stąd doszło do wypadku?**

**- Kawalek dalej wzdłuż drogi.**

**- Chciałbym zobaczyć to miejsce.**

**- Po co?**

**- Żeby mieć lepsze pojęcie, co się tam stało.**

**Patrzyła na mnie spokojnie.**

**- Wie pan coś, o czym mi pan nie powiedział?**

**- Nie - powiedziałem. - Dziękuję za uwagę.**

**- Niech mi pan nie dziękuje, to nie była przysługa. - Poderwała się, minęła mnie idąc do drzwi.**

**- To miejsce... - powiedziałem.**

**- Niech pan wróci na trzydziestą trzecią, pojedzie na wschód i skręci w drugi zjazd w lewo. To gruntowa droga, która prowadzi na wzgórze, a potem opada w kierunku parowu. Tam się to stało. Pierce i Akhbar spadli po zboczu parowu na dno. Jeździliśmy tam razem od czasu do czasu. Ja zwykle prowadziłam.**

**- Co do fotografii Pierce'a...**

**- Nie - powiedziała. - Proszę. Żadnych więcej pytań. Pokazałam panom ciemnię Pierce'a, jego zdjęcia i całą resztę, kiedy byliście tu po raz pierwszy.**

**- Chciałem powiedzieć, że miał talent, ale jedno uderzyło mnie w jego zdjęciach.**

**Nie było na nich ludzi ani zwierząt.**

**- To jakaś psychologiczna zagadka?**

**- Nie, jestem tylko ciekawy.**

**- Naprawdę? Ja nie. W ogóle mi to nie przeszkadzało. I tak były piękne. -**

**Sięgnęła za mnie i pchnęła drzwi. - A kiedy spytałam o to Pierce'a, miał na to bardzo dobrą odpowiedź. Powiedział: "Margie, staram się pokazać świat doskonały".**



Stała obok seville'a, czekając, aż odjadę.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce.

- Czy doktor Harrison wspominał coś o wyjeździe na wakacje? - spytałem.

- On, na wakacje? On nigdy nie wyjeżdża. Czemu pan pyta?

- Powiedział mi, że może wyjechać w podróż.

- Ma prawo podróżować, jeśli chce. Dlaczego nie spyta pan jego? Przecież właśnie się pan do niego wybiera. Żeby potwierdzić to, co powiedziałam.

- Chcę z nim porozmawiać o nierozwiązanej sprawie.

- Wszystko jedno - odparła. - Nie przeszkadza mi to, że chce mnie pan sprawdzić, bo nie mam nic do ukrycia. Dlatego właśnie nie należy wplątywać się w beznadziejne sprawy. Ma się mniej zmartwień. Szkoda, że mój Pierce nigdy się tego nie nauczył.

Zjazd, o którym mówiła, prowadził na ukrytą w cieniu dębów dróżkę, tak wąską, że największe, co mogło nią przejechać, to meleks. Gałęzie drapały boki seville'a.

Wycofałem samochód, zostawiłem go na poboczu i poszedłem na piechotę.

Miejsce śmierci Pierce'a Schwinna znajdowało się niecały kilometr dalej, w suchym parowie, rozcinającym olbrzymi granitowy blok skalny i zbiegającym w dół po zboczu wzgórza. Podczas ulewy parów na pewno zamieniał się w zielony, pędzący strumień, teraz jednak miał kolor starej kości, a jego dno pokrywał zaschnięty muł, kamienie, glazy, skórzaste liście i połamane wiatrem gałęzie drzew. Największe kamienie, poszarpane i ostre, lśniły w promieniach słońca. W zetknięciu z nimi ludzka czaszka nie miałaby dużych szans.

Podszedłem do krawędzi i spojrzałem w dół. Wsłuchałem się w ciszę,

**zastanawiając się, co mogło sprawić, że spokojny koń stracił oparcie pod kopytami.**

**Rozmyślenia i ciepło wprowadziły mnie niemal w odrętwienie. Potem coś za mną przebiegło - serce stanęło mi w gardle, czubek buta zsunął z krawędzi urwiska i musiałem odskoczyć, żeby nie runąć w dół.**

**Odzyskałem równowagę w samą porę, by zobaczyć znikającą w trawie piaskowej barwy jaszczurkę. Odsunąłem się od krawędzi i ochłonałem trochę, zanim ruszyłem w drogę powrotną. Kiedy doszedłem do samochodu, już prawie normalnie oddychałem.**

**Wróciłem do centrum Ojai, pojechałem na Signal Street, minąłem obłożony kamieniami rów melioracyjny i zatrzymałem się za tą samą, co poprzednio, kępą eukaliptusów. Spojrzałem zza niebieskich gęstych liści na dom Berta Harrisona.**

**Zastanawiałem się, co mu powiem, jeśli go zastanę. Myślałem o koszmarach Pierce'a Schwinna, demonach, które wróciły, by go dręczyć w ostatnich dniach przed śmiercią. Bert wiedział, dlaczego. Wiedział od samego początku.**

**W domu nie dostrzegłem żadnego poruszenia. Kombi stało w tym samym miejscu, co ostatnio. Po kwadransie uznałem, że czas podejść do frontowych drzwi i stawić czoło temu, co mnie tam czeka albo nie.**

**Kiedy tylko wysiadłem z seville'a, drzwi zaskrzypiały i na ganek wyszedł Bert, cały w purpurze, z dużą brązową papierową torbą w ręku. Złapałem drzwi seville'a, zanim trzasnęły, i schowałem się za drzewami. Patrzyłem, jak Bert schodzi po drewnianych schodach.**

**Położył torbę na przednim siedzeniu kombi, wsiadł za kierownicę, pokręcił chwilę kluczykiem w stacyjce, w końcu odpalając silnik. Wycofał wóz spod domu, strasznie powoli, długo i mozolnie, zawracając na trzy razy. Szarpał się z kierownicą - nie miał wspomagania. Mały, stary człowiek, ze skupieniem na twarzy, ręce na kierownicy**

trzymał na godzinie dziesiątej i drugiej, tak jak uczą na kursie. Siedział tak nisko, że głowa ledwie wystawała mu nad drzwi.

Przykucnąłem i poczekałem, aż mnie minie. Wymęczone zawieszenie starego chevroleta nie radziło sobie z gruntową drogą - samochód podskakiwał, jęczał i trzeszczał. Bert patrzył wprost przed siebie, nie zauważył ani mnie, ani seville'a.

Zaczekałem, aż zniknie mi z oczu i wskoczyłem do wozu. Wspomaganie kierownicy pozwoliło mi szybko zawrócić i nadrobiłem stratę w samą porę, by zobaczyć kombi jadące na wschód trzydziestą trzecią.

Poczekalem na skrzyżowaniu, aż samochód stał się punkcikiem na horyzoncie.

Pusta droga sprawiała, że śledzenie było zbyt ryzykowne. Zastanawiałem się jeszcze, co robić, kiedy za mną zatrzymał się pikap, wyładowany workami z nawozem. W środku siedziało dwóch Latynosów w kowbojskich kapeluszach - robotnicy z farmy. Machnąłem ręką, dając im znak, żeby mnie minęli. Przejechali obok i skręcili w lewo, ustawiając się między Bertem i mną.

Ruszyłem za pikapem, zachowując spory dystans.

Kilka kilometrów dalej, na skrzyżowaniu trzydziestej trzeciej ze sto pięćdziesiątą pikap pojechał dalej na południe, a Bert ostrożnie, powolutku skręcił w prawo.

Ruszyłem za nim, ale zwiększyłem dystans tak, że ledwie widziałem jego kombi na horyzoncie.

Przejechał jeszcze kilka kilometrów, minął prywatne kempingi, pola przyczep i znaki obwieszczające zbliżanie się do jeziora Casitas, publicznego zbiornika i jednocześnie obiektu rekreacyjnego. Pomyślałem, że papierowa torba może być pełna suchego chleba, a Bert ma zamiar karmić kaczki.

Ale zjechał z szosy spory kawałek przed jeziorem, skręcając na północ przy stacji

benzynowej z jednym dystrybutorem i sklepikiem, sprzedającym artykuły spożywcze i wędkarskie.

Kolejny nieoznaczony szlak. Wzdłuż drogi stały rzadko rozrzucone, niemalowane domki. Przy wjeździe na jedną z pierwszych posesji znajdował się ręcznie malowany szyld, reklamujący domowej roboty dżem z jagód i drewno do kominków; poza nim żadnych obwieszczeń. Poszycie leśne było tu gęste, rosło bujnie pod troskliwym okiem starych dębów, pospornic i sykomor, tak pokrzywionych, że wydawały się wić. Bert tłukł się leśnym traktem przez około trzy kilometry, nieświadomy mojej obecności, potem zwolnił i skręcił w lewo.

Nie spuszczać oka z miejsca, w którym zniknął, odczekałem dwie minuty i pojechałem za nim.

Wjechał na żwirowy podjazd, ciągnący się około siedemdziesięciu metrów, potem skręcający w lewo i niknący za gęstwą rozczapierzonych agaw - takich samych jak te, które rosły przed domem Berta. W zasięgu wzroku nie było żadnego budynku. Jeszcze raz zaparkowałem i ruszyłem dalej na piechotę, mając nadzieję, że odległość od celu Berta liczy się w metrach, a nie kilometrach. Żeby nie hałasować, szedłem bokiem drogi, po trawie.

Zauważyłem chevroleta trzydzieści metrów dalej, stojącego na środku podwórza drewnianego zielonego domku z blaszanym dachem. Może trzy pokoje, do tego obwisły ganek i komin z metalowej rury. Podkradłem się bliżej i znalazłem sobie dobry punkt obserwacyjny za ciągnącym się też tutaj szpalerem agaw. Dom, ze wszystkich stron otoczony lasem, stał na suchej polanie, przypuszczalnie przesiece. Promienie zachodzącego słońca odbijały się od blaszanego dachu. Niedaleko frontowych drzwi rosła krzaczasta morela, pokrzywiona i mała, ale gałęzie miała ciężkie od owoców.

**Siedziałem prawie pół godziny, zanim pojawił się Bert.**

**Pchał mężczyznę na wózku inwalidzkim. Przypomniałem sobie wózek w jego salonie.**

**Trzymam go dla przyjaciela, powiedział wtedy.**

**Doktor Harrison daje.**

**Mimo ciepłego popołudnia mężczyzna na wózku był okryty kocem, a na głowie miał szeroki, słomkowy kapelusz. Bert pchał go powoli; głowa kaleki kiwała się na boki.**

**Bert zatrzymał się i coś do niego powiedział. Jeśli mężczyzna to usłyszał, nie okazał tego.**

**Bert zablokował koła wózka, podszedł do drzewka i zerwał dwie morele. Jedną dał kalece, który sięgnął po nią bardzo powoli. Obaj zjedli owoce. Bert nadstawił dłoń, w którą mężczyzna na wózku wypluł pestkę. Bert obejrzał ją i schował do kieszeni.**

**Skończył własną morelę, tę pestkę też schował.**

**Stał i spojrzał w niebo. Mężczyzna na wózku nie poruszył się.**

**Bert odblokował hamulce wózka i popchnął go kilka metrów dalej. Ustawił się tak, że mogłem zobaczyć twarz pasażera.**

**Jej górną połowę zakrywały olbrzymie lustrzane okulary przeciwsłoneczne, dolną - chmura siwej brody. Skóra między nimi miała kolor smażonego bakłażana.**

**Wyszedłem spomiędzy drzew, nie próbując tłumić chrzęstu żwiru pod stopami.**

**Bert odwrócił się gwałtownie. Spojrzał mi w oczy. Kiwnął głową.**

**Z rezygnacją.**

**Podszedłem bliżej.**

**- Kto to? - spytał mężczyzna na wózku niskim, ochryplym głosem.**

**- Człowiek, o którym ci opowiadałem - odparł Bert.**

Craig Bosc leżał nieruchomo na dywanie w swoim salonie, znów się uśmiechając.

Plastikowe kajdanki z zestawu Mila krępowały mu nogi, drugie, takie same, łączyły skute nadgarstki z grubą nogą kanapy.

Nie był spętany jak wieprzek, jak zauważył Milo, tylko ułożony w ładnej, milej, bezpiecznej pozycji. Sugerującej, że każda próba oporu zakończy się czymś o wiele boleśniejszym.

Bosc nie skomentował tego. Nie powiedział w ogóle ani słowa, odkąd poinformował Mila, że ma duże kłopoty.

Teraz miał zamknięte oczy i uśmiech przyklejony do twarzy. Może udawał, ale na jego gwiazdorskiej twarzy nie było ani kropli potu. Może był psychopatą z niskim współczynnikiem pobudzenia? Mimo że Milo był górą, Bosc sprawiał wrażenie cholernie pewnego siebie i Milo czuł, że poci się pod pachami.

Zaczął przeszukiwać dom. Bosc otworzył oczy i roześmiał się, kiedy Milo obchodził kuchnię, otwierając szafki i szuflady, zaglądając do lodówki: piwo, wino, *pina colada*, trzy słoiki salsy, otwarta puszka chili-con-coşam. Kiedy zajrzał do zamrażarki, Bosc zachichotał. Milo odwrócił się, ale zobaczył, że Craig ma zaciśnięte oczy, leży rozluźniony i wygląda, jakby spał.

Za tackami do lodu nic nie było. Milo przeszedł do sypialni, znalazł szafę pełną modnych ciuchów, upchniętych ciasno na zbyt małej przestrzeni - wszystko wisiało wygniecione na tanich drucianych wieszakach, niektóre rzeczy pospadały i leżały między tuzinem stojących na podłodze par butów. Na najwyższej półce Bosc trzymał trzy rakiety tenisowe, kij hokejowy, starą piłkę do koszykówki bez powietrza i kosmate,

**poczerńiale, skórzane coś, co kiedyś było piłką do futbolu. Sentymentalne pamiątki.**

**W rogu leżały dwa piętnastokilowe hantle, obok sześćdziesięciocalowa kombinacja telewizora, magnetowidu i DVD. Na półce z imitacji orzecha stały filmy akcji i kilka typowych pornosów w krzykliwych pudełkach, na których piersiaste blondynki grały w analno-waginalną odmianę bingo.**

**Komoda Bosca zawierała pogniecioną bieliznę, skarpetki, koszulki i spodenki gimnastyczne. Interesująco zrobiło się dopiero wtedy, kiedy Milo otworzył najniższą z trzech szuflad.**

**Pod kilkoma bluzami leżały tam trzy pistolety - beretta dziewiątka, taka sama, jak standardowa policyjna broń Mila, smukły, czarny glock, z instrukcją po niemiecku do kompletu i srebrny derringer w czarnym skórzanym futerale. Wszystkie trzy nabite. W głębi szuflady Milo znalazł dodatkową amunicję.**

**Obok broni skrytka, która rzuciła nowe światło na osobiste dzieje Bosca.**

**Rocznik szkoły North Hollywood High sprzed piętnastu lat informował, że Craig Eiffel Bosc grał w szkolnej drużynie futbolowej, był drugim miotaczem w baseballowej i obrońcą w zespole koszykówki. Zdjęcie maturalne ukazywało go przystojnego i krótko ostrzyżonego, wyszczerzonego w swoim pewnym sobie uśmiechu.**

**Dalej znalazł Milo czarny album w skaju, z wyklejonym napisem SIR CRAIG na okładce. Jego zawartość powsuwana była w foliowe koszulki, które Milowi od razu skojarzyły się z aktami morderstwa.**

**Ale nie było tam nic krwawego. Na pierwszej stronie - świadectwo z Valley College, poświadczające, że Bosc skończył dwuletnie studium komunikatywności. Z North Hollywood High do Valley. Oba znajdowały się w odległości, którą z domu Bosca można było przejechać rowerem. Facet nie lubił się daleko ruszać.**

**Dalej honorowe zwolnienie ze Straży Przybrzeżnej - stacjonował w Avalon, na wyspie Catalina. Pewnie ładnie się opalił.**

**Pięć stron na końcu albumu zajmowały zdjęcia z polaroidu, przedstawiające Bosca pieprzącego różne kobiety, wszystkie młode, jasnowłose i piersiaste. Fotki zrobione były z naciskiem na zbliżenia penetracji i wyszczerzoną w uśmiechu twarz Bosca, który ugniata piersi swoich partnerek, szczypie ich sutki i bierze je od tyłu. Wszystkie dziewczyny miały senny wyraz twarzy. Żadna nie wydawała się grać przed obiektywem.**

**Przyćpane ślicznotki wzięte z zaskoczenia. Wszystkie wyglądały na najwyżej dwadzieścia parę lat, miały tlenione włosy i niemodne fryzury, na których widok Milo pomyślał: "kelnerki z przydrożnych barów". Kilka raczej pospolitych, jedna czy dwie naprawdę niezłe, większość średnich. Nie ta sama klasa, co kociaki z pornosów, ale generalnie ten sam styl. Jeszcze jeden dowód, że Bosc miał ograniczony zasięg.**

**Milo poszukał schowanej kamery, domyślając się, że będzie skierowana na łóżko i szybko ją znalazł - małe urządzone schowane w pudle po magnetowidzie.**

**Skomplikowany aparacik wyróżniał się w ogólnej tandecie mieszkania Bosca i zdziwił Mila. W pudle leżało też kilka ciasno zwiniętych skrętów i pół tuzina tabletek ecstasy. Buzi buzi i dziewczynki odlatują. Nieladnie, nieładnie.**

**Wrócił do albumu, przewrócił następną stronę. Nie był tak naprawdę zaskoczony tym, co tam znalazł, ale samo potwierdzenie podejrzeń wystarczyło, żeby zaczął się pocić.**

**Dyplom ukończenia przez Bosca dziesięć lat temu Akademii Policyjnej Los Angeles. Potem zdjęcie grupowe i indywidualne, Bosc w swoim praktykanckim mundurze. Ostrzyżony, ogolony, gliniarz do telewizji. Ten sam paskudny uśmiech.**



**Następne papiery odzwierciedlały postępy Bosca w strukturach policji. Kilka lat patrolu w północnym Hollywood, potem awans na detektywa pierwszej klasy i przeniesienie do wydziału kradzieży samochodów, gdzie Bosc spędził trzy lata jako śledczy i wyszedł ze stopniem detektywa drugiej klasy.**

**Samochody. Szybki awans dla kowboja. Bydlak miał pewnie gdzieś ukrytą kolekcję wytrychów do wszystkich znanych modeli. Z taką wiedzą i sprzętem kradzież porsche Ricka i oddanie go wyczyszczonego i bez odcisków palców było dla detektywa Bosca zupełnym banałem.**

**Po samochodach został przeniesiony do centrali, do archiwum Parker Center, potem do administracji.**

**Potem rok w wydziale wewnętrznym.**

**W końcu awans na detektywa trzeciej klasy i obecny przydział.**

**Biuro szefa Broussarda.**

**Drań był prawą ręką Johna G.**

**Milo odłączył kamerę i zaniósł ją razem z domowej roboty pornosami i narkotykami do salonu. Bosc wciąż próbował udawać wyluzowanego, ale na odgłos kroków Mila otworzył oczy; kiedy zobaczył, co Milo mu pokazuje, wzdrygnął się.**

**Ale szybko się opanował. Uśmiechnął.**

**- Rany, pewnie jesteś detektywem.**

**Milo podsunął mu pod nos tabletkę ecstasy.**

**- Niedobry piesek, Craig.**

**- Co, już mam się bać?**

**- Cała kupka ciężkich przestępstw, kochaniutki.**

**- Bo się zaraz przejmę.**

- Myślisz, że John G. cię ochroni? Coś mi mówi, że szef nie wie o twojej karierze filmowej.

Wzrok Bosca zrobił się zimny i twardy, przez chwilę ukazując jego prawdziwe oblicze, ukryte pod maską przystojnego chłopaczka.

- Myślę, że masz przejebane. - Śmiech. - Będziesz wydymany prosto w dupę.

Chociaż, z drugiej strony...

Milo zważył w rękach kamerę i narkotyki.

- Zdaje ci się, że coś widzisz, ale nie widzisz - powiedział Bosc. - Tego nie ma. -

Pokręcił głową i zachichotał. - Ale masz przejebane.

Milo roześmiał się razem z nim. Podeszedł bliżej, postawił stopę na goleni Bosca i stanął na niej całym ciężarem.

Bosc zawył z bólu. Ze łzami w oczach próbował się wyrwać. Milo podniósł stopę.

- Ty w dupę jebany chuju - wydyszał Bosc. - Ty głupi, spedalony kutasie.

- Przepraszam, Craig.

- Dawaj dalej - powiedział Bosc, z trudem łapiąc oddech. - Kopiesz sobie grób.

Milo nie odpowiedział.

Na twarz Bosca wrócił uśmiech.

- Nie rozumiesz, prawda? To jest Los jebane Angeles. Nieważne, co robisz, ważne, kogo znasz.

- Powiązania - powiedział Milo. - Załatwiłeś już sobie agenta?

- Gdybyś miał mózg, może dałoby się zamknąć cię w zoo jako małpę. Dostałeś się do mojego domu przez włamanie, do tego dochodzi napaść. To będzie poważna sprawa, posiedzisz w więzieniu do następnego milenium. Myślisz, że to gówno, które trzymasz, nada się na dowód w sprawie? Powiem, że to podrzuciłeś.

**Milo rozłożył zdjęcia w wachlarzyk.**

**- To nie mojego fiuta tutaj widać.**

**- Pewnie, że nie - prychnął Bosc. - Twój byłby o połowę mniejszy i w czekoladowej polewie.**

**Milo się uśmiechnął.**

**- Już po tobie, stary - powiedział Bosc. - Tak było od początku i tak zawsze już będzie. Nieważne, ile morderstw zamkniesz. Żaden dobry uczynek nie uchodzi na sucho, stary. Im dłużej mnie tu trzymasz, tym bardziej masz przejebane, i ten twój koleś psycholog też.**

**- Co on ma z tym wspólnego?**

**Bosc uśmiechnął się, zamknął oczy i Milo pomyślał, że przestanie mówić. Ale kilka sekund później powiedział:**

**- To gra. Ty i on jesteście pionkami.**

**- Czyja gra?**

**- Królów i królowych.**

**- Johna G., Waltera Obeya i braci Cossacków?**

**Bosc otworzył oczy. Znów zimne. Zimniejsze.**

**- Wsadź sobie głowę w dupę i tam poszukaj odpowiedzi. A teraz mnie rozwiąż, to może ci pomogę.**

**Rzucił rozkaz.**

**Milo położył znalezione rzeczy na stole. Zrobił parę kroków tam i z powrotem, jakby się zastanawiał, czy nie posłuchać.**

**Nagle podszedł szybko do Bosca, przyklęknął i położył palec na jego goleni, dokładnie tam, gdzie wcześniej nadepnął.**

**Bosc zaczął się pocić.**

**- Analogia szachowa - powiedział Milo. - Jaki z ciebie erudyta, panie Bobby**

**Fischer. A teraz powiedz mi, dlaczego rąbnałeś mi samochód i odstawiłeś tę szopkę w barze i wynająłeś skrytkę pocztową na Playa del Sol. I dlaczego dzisiaj weszylesz koło mojego domu.**

**- Służbowo - powiedział Bosc.**

**- Na prośbę Johna G.?**

**Bosc nie odpowiedział.**

**Milo wyciągnął pistolet i wcisnął jego lufę w miękkie, opalone ciało pod jego brodą.**

**- Szczegóły - warknął. Bosc zacisnął mocno usta.**

**Milo cofnął broń. Bosc zaśmiał się.**

**- Twój problem, Craig, polega na tym - powiedział Milo - że uważasz się za gońca, ale jesteś tylko zasranym pionkiem.**

**Postukał kolbą pistoletu w goleń Bosca, na tyle mocno, że zagrzechotało.**

**Począł, aż przestanie płakać, potem znów podniósł broń.**

**Spanikowane oczy Bosca śledziły wznoszący się pistolet. W końcu zacisnął mocno oczy i zalkał.**

**- Craig, Craig. - Milo powoli opuszczał broń.**

**- Proszę, proszę, nie! - krzyknął Bosc i zaczął mówić.**

**W ciągu kilku minut Milo dowiedział się wszystkiego, czego chciał.**

**Dobre, stare odruchy Pawłowa. Alex byłby chyba dumny.**

Bert Harrison położył dłoń na ramieniu mężczyzny na wózku. Kaleka obrócił głowę i coś zanucił. W jego lustrzanych okularach zobaczyłem swoje odbicie - dwóch ponurych nieznanym.

- Nazywam się Alex Delaware, panie Burns - powiedziałem.

Willie Burns uśmiechnął się i znów obrócił głowę w kierunku, skąd usłyszał głos, jak to robią ślepcy. Skóra między siwą brodą i wielkimi okularami była spękana i zryta, opięta na ostrych kościach. Ręce miał długie i chude, purpurowobrązowe, kłykcie artretycznie spuchnięte, paznokcie długie, pożółkłe i popękane. Nogi przykrywał mu miękki biały koc. Pod spodem nie było za wiele ciała.

- Miło mi pana poznać - powiedział i odwrócił się do Berta. - Tak, doktorze?

- Nie zrobi ci nic złego, Bill. Będzie chciał się czegoś dowiedzieć.

- Czegoś - powtórzył Burns. - Dawno, dawno temu. - Znów zaczął mruzczyć.

Wysoko, fałszywie, ale mimo to przyjemnie.

- Bert - powiedziałem - przepraszam, że musiałem cię śledzić...

- Jak sam powiedziałeś, musiałeś.

- To było...

- Alex - przerwał mi, kładąc miękką dłoń na moim policzku. - Kiedy dowiedziałem się, że jesteś w to zamieszany, wiedziałem, że może do tego dojść.

- Dowiedziałeś się? Przecież wysłałeś mi album morderstw.

Bert pokręcił głową.

- To nie ty? - spytałem. - Więc kto?

- Nie wiem, synu. Pierce wysłał to komuś, ale nie powiedział mi komu. W ogóle

nie mówił mi o albumie, zdradził się dopiero tydzień przed śmiercią. Potem, któregoś dnia przyniósł go do mnie i pokazał. Nie miałem pojęcia, że to zaszło aż tak daleko.

- Zbieranie pamiątek.

- Zbieranie koszmarów - poprawił Bert. - Kiedy przewracał strony, płakał.

Willie Burns patrzył niewidzącym wzrokiem na czubki drzew i nucił.

- Skąd Schwinn brał zdjęcia?

- Niektóre pochodziły ze spraw, które sam prowadził, inne wykradał z

policyjnych akt. Był złodziejem od dawna. To jego stwierdzenie, nie moje. Kradł

odruchowo, zabierał z miejsc zbrodni biżuterię, pieniądze i narkotyki, zadawał się z przestępcami i prostytutkami.

- Powiedział ci o tym wszystkim.

- Zajęło mu to bardzo dużo czasu.

- Spowiadał się.

- Nie jestem księdzem, ale on chciał zbawienia.

- Dostał go?

Bert wzruszył ramionami.

- Kiedy ostatni raz sprawdzałem, w repertuarze psychiatry nie było zdrowasiek.

Zrobiłem, co mogłem. - Zerknął na Williego Burnsa. - Jak się dzisiaj czujesz, Bill?

- Czuję się naprawdę nieźle - powiedział Burns. - Zważywszy. - Przechylił twarz

w lewo. - Ładna bryza wieje od wzgórz, słyszycie? To plumkanie liści, jak mała mandolina. Jak te łodzie w Wenecji.

Nastawiłem uszu. Nie widziałem, żeby cokolwiek ruszało się w koronach drzew, nic nie słyszałem.

- Tak, to ładne - powiedział Bert.

- Wiecie, pić mi się chce od tego powietrza - oznajmił Burns. - Mógłbym dostać coś do picia?

- Oczywiście - odparł Bert.

Zawiozłem Burnsa z powrotem do środka zielonego domu. Pokój od frontu był bardzo skąpo umeblowany - samotna kanapa pod oknem i dwa jasnozielone, składane krzesła. Kątów strzegły dwie stojące lampy. Na ścianach z płyty gipsowej wisiały poprzekrzywiane, oprawione w ramki wycinki z pism, głównie zdjęcia ogrodów. Między krzesłami zostawiono szerokie przejście dla wózka; jego gumowe koła zostawiły na podłodze szare ślady, prowadzące do drzwi w głębi domu.

Drzwi przyjazne ludziom na wózkach - bez klamki, za to z płytką do kopania.

Kuchnia znajdowała się po prawej stronie: sosnowe szafki, metalowe blaty, kuchenka z dwoma palnikami, na niej garnek z miedzianym dnem. Bert wyjął z pękatej białej lodówki butelkę napoju cytrynowego, posiłował się chwilę z nakrętką, w końcu pokonał ją i podał butelkę Burnsowi. Willie wziął ją w obie ręce i opróżnił do połowy. Jego jabłko Adama wznosiło się i opadało przy każdym łyku. Potem przyłożył szkło do twarzy, potoczył nim po skórze i westchnął głośno.

- Dzięki, doktorze H.

- Proszę uprzejmie, Bill. - Bert spojrzał na mnie. - Możesz równie dobrze usiąść.

Przysunąłem sobie jedno ze składanych krzesel. Dom pachniał hikorą i pieczonym czosnkiem. Nad kuchenką wisiał sznur wysuszonych ząbków, obok naszyjnika chili. Zauważyłem inne dobre rzeczy: słoiki suszonej fasoli, soczewicy i makaronu. Ręcznie malowaną skrzynkę na chleb. Przyprawy w wiszących kieszeniach.

- A więc nie wiesz, jak teczka morderstwa dostała się w moje ręce? - spytałem.

Bert pokręcił głową.

- Nie wiedziałem, że miałaś z nią cokolwiek wspólnego, dopóki Marge nie powiedziała mi, że ty i Milo odwiedziliście ją i rozmawialiście o nierozwiązanym morderstwie. - Zaczął siadać na drugim krześle, nagle wyprostował się i wstał. - Chodźmy na świeże powietrze. Dasz sobie radę sam przez parę minut, Bill?

- Bez problemu - powiedział Burns.

- Będziemy tuż przed domem.

- Podziwiajcie widoki.

Weszliśmy w cień otaczających dom drzew.

- Musisz wiedzieć jedno - powiedział Bert. - Billowi zostało niewiele czasu.

Uszkodzenia nerwów, ostra cukrzyca, poważne problemy z krążeniem, nadciśnienie. Są granice opieki, jaką mogę mu zapewnić, a on nie chce iść do szpitala. Prawda jest taka, że nikt nie może mu pomóc. Za dużo rzeczy się w nim zepsuło.

Zatrzymał się i przyglądał czerwonej połe bluzy.

- To bardzo stary, czterdziestotrzyletni człowiek.

- Od jak dawna się nim opiekujesz? - spytałem.

- Od dawna.

- Pewnie ze dwadzieścia lat.

Nie odpowiedział. Ruszyliśmy dalej, zataczając wolne, bezcelowe koła wokół domu. Z lasu nie dobiegał żaden dźwięk. Ani śladu muzyki, którą słyszał Willie Burns.

- Gdzie go spotkałeś? - spytałem.

- W szpitalu w Oxnard.

- Tam, gdzie poznałeś Schwinna.

Otworzył szeroko oczy.

- Przed chwilą byłem u Marge - wyjaśniłem.



- Aha. Cóż, to prawda - powiedział. - Ale to, że Pierce tam trafił, nie było tak naprawdę zbiegiem okoliczności. Od dłuższego czasu tropił Billa. Bez specjalnych sukcesów. I mało konsekwentnie, bo uzależnienie od amfetaminy prawie zrobiło z niego kalekę. Raz na jakiś czas odzyskiwał jasność myślenia, wmawiał sobie, że dalej jest detektywem, próbował prowadzić śledztwo, a potem dawał do pieca i znikał. Jakoś przez te wszystkie lata - dzięki swoim kontaktom z półświatkiem - udało mu się dowiedzieć, że Bill wywędrował na północ wybrzeża. Wiedział, że będzie wymagał opieki medycznej i w końcu trafił na właściwy szpital, chociaż Bill już od dawna w nim nie przebywał. Ale Pierce zaczął się dookoła niego kręcić, zgłaszał się z różnymi wymyślonymi dolegliwościami. Wszyscy uznali go za uzależnionego hipochondryka.

- Chciał się dostać do kart Burnsa.

Bert kiwnął głową.

- Personel szpitala uważał go za jeszcze jednego ćpuna, który próbuje kraść narkotyki. Jak się okazało, był poważnie chory. Wezwany akurat na konsultacje neurolog, który go nie znał, skierował go na badania i odkrył, że Pierce ma napady, głównie drobne, spowodowane zatruciem narkotykami. Zapisali mu środki przeciw konwulsjom, parę razy przyjmowali na krótką obserwację, ale ja akurat nie miałem wtedy dyżurów. Któregoś dnia miał poważny atak na parkingu, przywieźli go na ostry dyżur, a ja akurat tam byłem. I tak jedno doprowadziło do drugiego.

- Willie Burns potrzebował opieki medycznej, bo został poparzony w pożarze domu.

Bert westchnął.

- Jesteś bystry jak zawsze, Alex.

- Domu w Watts. W okolicy, gdzie czarny mógłby się łatwo ukryć, a biała twarz

wyróżniałaby się z tłumu. Biały detektyw nazwiskiem Lester Poulseenn miał pilnować Burnsa i Caroline Cossack. Którejś nocy został zastrzelony, a dom spalono, żeby zatrzeć ślady. Wysokiej rangi glina nie żyje, ale wydział to tuszuje. Ciekawe, nie sądzisz, Bert?

Milczał, mówiłem więc dalej.

- Można bezpiecznie założyć, że Poulseenn został zaskoczony przez ludzi, którzy mieli pozbyć się Caroline i Williego. Ludzi, którzy wcześniej urządzili już jedną zasadzkę i zabili poręczyciela nazwiskiem Borys Niemierow. Poręczyciela Burnsa.

Powiedział ci o tym?

Kiwnięcie głową.

- To wyszło w czasie terapii. Bill czuł się winny śmierci Niemierowa. Chciał się ujawnić i powiedzieć, co widział, ale to by go naraziło na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Jak brzmi jego wersja zasadzki?

- Zadzwoił do Niemierowa z prośbą o pomoc, bo Niemierow zawsze był dla niego dobry. Umówili się na spotkanie, ale Niemierow był śledzony. Zamordowali go i wepchnęli do bagażnika jego samochodu. Bill ukrywał się niedaleko, widział wszystko.

Wiedział, że zostanie oskarżony o śmierć Niemierowa.

- Dlaczego w ogóle dostał policyjną ochronę?

- Miał kontakty w wydziale, pracował dla nich jako informator.

- Ale po zabójstwach Poulseenna i Niemierowa wydział go olał.

- Kontakty, Alex. Nie przyjaciół.

- Dom podpalono, ale Burns i Caroline uciekli. Jak ciężko byli ranni?

- Ona wcale, on poważnie. Zlekceważył rany, poszukał pomocy dopiero wiele miesięcy później. Jego stopy spaliły się prawie do ścięgien, wdały się liczne zakażenia.

Kiedy trafił do szpitala, miał gangrenę, ciało odpadało od kości. Obie stopy zostały

natychmiast amputowane, ale zakażenie wdało się w kości długie i w końcu też trzeba było je ciąć. To było czuć, Alex. Jak barbecue, szpik się w nich zagotował. Mieliśmy świetnych chirurgów i udało im się ocalić połowę jednego piszczelą i jedną trzecią drugiego, przeszczepili tam płaty wyhodowanej skóry. Ale Bill miał też poparzone płuca, krtań i przelyk. Porobiły mu się włókniste blizny i usunięcie uszkodzonych tkanek wymagało kolejnych skomplikowanych operacji. Mówimy tu o latach, Alex. Cierpiał swoje męczarnie w milczeniu. Siadywałem przy basenie, kiedy schodziła mu skóra. Nawet nie pisnął. Nigdy nie zrozumieć, jak mógł znosić taki ból.

- To ogień go oślepił?

- Nie, cukrzyca. Chorował na nią od jakiegoś czasu, nigdy jej nie zdiagnozowano.

Pogorszył sprawę, bo jako uzależniony jadł dużo słodczy.

- A uszkodzenia nerwów? Heroina?

- Nieoczyszczona porcja heroiny. Zażył ją w dniu pożaru. Wymknął się

Poulsenowi i poszedł spotkać się ze swoim dostawcą. Tak go namierzyli; za to też czuje się winny.

- Jak udało mu się uciec na spalonych stopach?

- Ukradli samochód. Dziewczyna prowadziła. Udało im się wyjechać z miasta,

trafili na autostradę numer jeden, ukryli się w odludnym kanionie wśród wzgórz nad

Malibu. Nocami ona zakradała się do okolicznych domów i przetrząsała kosze na śmieci.

Próbowała się nim zajmować, ale z jego stopami było coraz gorzej i z bólu wstrzyknął

sobie tę ostatnią działkę heroiny. Stracił przytomność, leżał tak przez dwa dni. Ona

jakoś się nim zajmowała. Pod koniec próbowała karmić go liśćmi i trawą. Dawała mu

wodę z pobliskiego strumienia, dodając do wszystkich nieszczęść wewnętrzne pasożyty.

Kiedy zobaczyłem go na oddziale poparzeń, ważył czterdzieści dziewięć kilo. To, że

**przeżył, to istny cud.**

**- A więc zostałeś jego lekarzem - powiedziałem. - Schwinna też. I w końcu obaj się spotkali. Celowo?**

**- Wysłuchałem opowieści Billa, potem Pierce'a, w końcu wszystko to sobie poskładałem. Oczywiście nigdy nie powiedziałem żadnemu z nich o tym drugim - Pierce wciąż uważał się za detektywa. Szukał Billa. W końcu - kosztowało mnie to wiele pracy - uzyskałem zgodę Billa na konfrontację. Nie było łatwo, ale... ostatecznie obaj zrozumieli, że ich żywoty się splotły.**

**Wyswatał ich. Dokładnie tak samo, jak Schwinna i Marge. Wielki doktor.**

**Dający.**

**- Oczekałeś, aż było oczywiste, że Burns nie ma się czego bać ze strony**

**Schwinn - powiedziałem. - Co oznacza, że poznałeś szczegóły morderstwa Janie Ingalls.**

**Ale wszyscy postanowiliście tego nie ruszać. Przyczyniłeś się w ten sposób do wyciszenia sprawy. Dlatego tak mnie przeproszałeś.**

**- Alex, niektóre decyzje są... to są zdruzgotani ludzie. Nie wiedziałem, co jeszcze...**

**- Schwinn wszystko zmienił - powiedziałem. - Zmienił zdanie na temat**

**zachowania tajemnicy. Wiesz, dlaczego przed śmiercią zaczął działać? Dlaczego wysłał książkę?**

**- Zadawałem sobie to pytanie wiele razy, i jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że ten biedny człowiek wiedział, że umrze i chciał pogodzić się ze światem.**

**- Był chory?**

**- Nic nie mogłem zdiagnozować, ale przychodził do mnie i skarżył się, że czuje się**

**słaby, roztrzęsiony, nie może się skupić. Na miesiąc przed śmiercią zaczął cierpieć na straszliwe bóle głowy. Oczywiście wyjaśnieniem był guz mózgu i wysłałem go do kliniki**

Sansum na rezonans magnetyczny. Wynik przyszedł negatywny, ale neurolog znalazł jakieś anomalie w jego EEG. Ale wiesz, jak ciężko interpretować EEG. A morfologię krwi miał w normie. Zastanawiałem się, czy to nie jakieś opóźnione skutki uboczne amfetaminy. Pierce był czysty od wielu lat, ale być może jego uzależnienie dało się mu we znaki. Potem, na tydzień przed tym, jak rozpoczęły się jego koszmary, zemdlął.

- Czy Marge wiedziała o tym wszystkim?

- Pierce nalegał, żeby jej nic nie mówić. Chował nawet leki od bólu głowy w zamykanej szafce w swojej ciemni. Staralem się go przekonać, że powinien być w stosunku do niej szczery, ale był nieugięty. Cały ich związek taki był, Alex. Każde z nich mówiło coś do mnie, a ja przekładałem to drugiemu. W tym sensie Marge była dla Pierce'a idealną kobietą - upartą, niezależną, walczącą o swoją prywatność. On z kolei potrafił być całkowicie nie do ruszenia. Pewnie też dzięki temu był takim dobrym detektywem.

- Myślisz, że nocne koszmary miały podłoże neurologiczne? Czy po prostu Pierce'a nawiedzały niedokończone sprawy z przeszłości?

- Może jedno i drugie - powiedział. - Autopsja nie wykazała nic niezwykłego, ale to o niczym nie świadczy. Widziałem tkanki mózgowe dziurawe jak szwajcarski ser, a okazywało się, że pacjent funkcjonował doskonale. A potem widzi się idealnie zdrowe kory mózgowe, należące do ludzi, którzy neurologicznie się załamywali. W głębi swojej istoty my, ludzie, zaprzeczamy prawom logiki. Czy nie dlatego obaj zostaliśmy lekarzami dusz?

- A tym właśnie jesteśmy?

- Jesteśmy, synu... Alex, przepraszam, że ukrywałem przed tobą te sprawy.

Wtedy wierzyłem, że postępuję słusznie. Ale ta dziewczyna... Morderca jest wciąż na

wolności. - Oczy zaszklily mu się od lez. - Człowiek stara się pomagać, a kończy jako współwinny.

Położyłem dłoń na jego wąskim, miękkim ramieniu.

Uśmiechnął się.

- Terapeutyczny dotyk?

- Przyjaźń.

- Kupowanie przyjaźni - powiedział. - Cynicy ukuli termin, określający to, co robimy. Czasami zastanawiam się nad kierunkiem, w którym poszło moje własne życie...

Ruszyliśmy wolnym krokiem w stronę zwirowego podjazdu.

- Co połączyło Schwinna i Burnsa? - spytałem.

- Kiedy miałem pewność, że Pierce'owi można zaufać, przywiozłem go tutaj.

Zaczęli rozmawiać. Wyjaśniać. Skończyło się na tym, że Pierce pomagał Billowi.

Przyjeżdżał tu raz na jakiś czas, sprzątał, woził Billa na spacer.

- A teraz, kiedy Pierce nie żyje, Burns jest ostatnim żyjącym świadkiem w sprawie zabójstwa Janie Ingalls.

Bert szedł przed siebie, z wzrokiem wbitym w ziemię.

- Nazywasz go Bill - powiedziałem. - Jak brzmi jego nowe nazwisko?

- Czy to ważne?

- To i tak w końcu wyjdzie na jaw, Bert.

- Naprawdę? - spytał, splatając dłonie za plecami. Poprowadził mnie na otwartą przestrzeń przed domem. - Tak, chyba tak. Alex, wiem, że musisz z nim pomówić, ale tak, jak ci powiedziałem: zostało mu bardzo niewiele czasu, a jak większość byłych uzależnionych osądza się bardzo surowo.

- Będę miał to na uwadze.

**-Wiem o tym.**

**- Kiedy rozmawialiśmy ostatni raz - powiedziałem - stwierdziłeś, że uzależnieni od heroiny nie mają raczej skłonności do przemocy. Próbowaleś odciągnąć mnie z tropu Burnsa. Od Caroline Cossack też, twierdziłeś, że kobiety bardzo rzadko biorą udział w tego typu morderstwach na tle seksualnym. To wszystko prawda, ale jak to się stało, że byli świadkami morderstwa?**

**- Bill przyszedł na miejsce, kiedy ta biedna dziewczyna już nie żyła. Widział, co jej zrobili.**

**- Caroline była z nim?**

**Zawahał się.**

**- Tak. Byli razem na przyjęciu. Ona mogła tam być, bo on jej pilnował.**

**- Pilnował?**

**- Miał ją na oku. Jej bracia mu za to płacili.**

**- Diler opiekował się dziwną młodszą siostrzyczką? - spytałem.**

**Bert kiwnął głową.**

**- Więc trzymała się Burnsa, poszła za swoimi braćmi i ich kumplami na sąsiednią posesję i trafiła na miejsce zbrodni - powiedziałem. - Mordercy ich zobaczyli, bali się, że wygadają. Caroline, bo była niezrównowazona, Burns, bo był ćpunem. Ale zamiast wyeliminować Caroline, zamknęli ją w szpitalu. Prawdopodobnie dlatego, że chociaż Cossackowie brali udział w morderstwie, nie mogli się zmusić do zabicia własnej siostry. Zabiliby Burnsa, ale on zniknął w getcie, a jako bogaci biali nie mieli tam łatwego wstępu. Burns się bał, próbował szybko zarobić, za bardzo zaryzykował i dał się aresztować. Wykupił się dzięki kontaktom w wydziale i dobrej woli Borysa Niemierowa i zniknął. Ale potem, kilka miesięcy później, znów się pojawił - załatwił sobie pracę w**

Achievement House, żeby spotkać się z Caroline. Chłopcy się o tym dowiedzieli i uznali, że czas podjąć zdecydowane kroki. Ale zanim zdążyli zaaranżować zabójstwo, Burns znowu przepadł. Udało mu się pozostać w kontakcie z Caroline. W końcu wy dostał ją z Achievement House i razem ukryli się w Watts. Jak mi idzie?

- Pięć plus, Alex. Jak zwykle.

- Ale jedno mi się nie zgadza, Bert. Dlaczego Burns zdecydował się na pracę w Achievement House? Czemu ryzykował życie?

Bert się uśmiechnął.

- Irracjonalne, prawda? O to właśnie mi chodziło, kiedy mówiłem, że o ludziach trudno wydawać kategorię sady.

- Dlaczego to zrobił, Bert?

- To bardzo proste, Alex. Kochał ją. Wciąż kocha.

- Czas terazniejszy? - spytałem. - Ciągłe są razem? Gdzie ona jest?

- Są bardzo razem. A ją już znasz.

Zaprowadził mnie z powrotem do domu. Frontowy pokój był pusty, a drzwi zamknięte. Bert otworzył je przede mną i wszedłem do żółtej sypialni, właściwie wnęki. Z jednej strony mała łazienka. Dwa pojedyncze łóżka, stojące obok siebie, każde zasłane cienką, białą pościelą. Na niskiej komódce w kolorze szpitalnej zieleni siedział pluszowy miś. Wózek stał w nogach bliższego łóżka, a człowiek, który mówił na siebie Bill, siedział na nim, w jednym ręku trzymając prawie już pustą butelkę napoju, drugą dłoń ściskając białe grube palce tęgiej kobiety w za dużej, granatowej koszulce i szarych spodniach od dresu.

Wiecznie spuszczone wzrok wbiła w narzutę na łóżku. Nie zareagowała w żaden sposób na moje wejście. Miała bladą, dziobatą od blizn po trądziku twarz, wyglądającą



**jak surowe ciasto chlebowe z dziurkami po pęcherzykach powietrza; jej płaski nos prawie stykał się z górną wargą. Wypłowiała, ciemnoblond włosy ze srebrnymi pasemkami ściągnęła z tyłu głowy w kucyk.**

**Aimee, kucharka z Celestial Cafe. Przygotowała mi naleśniki, nałożyła podwójną porcję bez dopłaty, prawie się nie odzywała.**

**Kiedy tylko skończyłem jeść, przyszedł Bert. Ciekawy zbieg okoliczności; teraz wiedziałem, że w stu procentach zaplanowany.**

**Marian Purveyance była właścicielką kawiarni, dopóki nie zastąpiła jej Aimee Baker.**

**Obdarowuje ludzi.**

**- Nie wiedziałem, że jest pan restauratorem, doktorze Harrison - powiedziałem.**

**Bert zaczerwienił się tak, że jego twarz nabrała koloru jego kombinezonu.**

**- Kiedyś bawiłem się w inwestycje, kupiłem kilka okolicznych nieruchomości.**

**- W tym ziemię, na której stoi ten dom - powiedziałem. - Nawet posadziłeś agawy.**

**Kopnął się z zakłopotaniem w stopę.**

**- To było lata temu. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, jak to się ludziom podoba.**

**- Przecież nigdy nic nie sprzedałeś.**

**- Cóż... czekam na odpowiednią porę.**

**- Jasne - powiedziałem i mocno go uścisnąłem.**

**Aimee odwróciła się do nas.**

**- Pan jest miły - powiedziała.**

**- O którym z nich mówisz, maleńka? - spytał Burns.**

**- O obu - odparła. - Wszyscy są mili. Cały świat jest miły.**

Detektyw trzeciego stopnia Craig Bosc zaskomlał. Kształtne wargi miał poplamione wymiocinami.

- Zaraz wracam - powiedział Milo. - Nawet nie myśl o ucieczce, chłopcze.

Bosc patrzył w panice, jak Milo wychodzi, zabierając domowe nagrania i prochy.

Milo zaniósł lup do wynajętego polarisa, zamknął go w bagażniku i podjechał samochodem pod sam dom Bosca. Kiedy wrócił do salonu, były spec od kradzieży nawet nie drgnął.

Milo uwolnił mu nogi i postawił pionowo. Przycisnął Boscowi pistolet do pleców, uważając, żeby nie dać się zwieść poczuciu dominacji. Bosc był idiotą, który stracił więcej niż tylko pewność siebie, ale był też młody, silny i zdesperowany. Kiedy Milo złapał go za ramię, poczuł żelazne mięśnie.

- Co teraz? - spytał Bosc.

- Teraz jedziemy na przejażdżkę.

Bosc sflaczał i Milo z trudem utrzymał go w pionie. To może być podstęp... nie,

Bosc naprawdę był przerażony. Puścił bąka. Salon wypełnił się smrodem, a Milo

pozwoił Boscowi usiąść na kanapie. Zachowywał kamienną twarz, ale w głębi ducha było mu wstyd. Na co mu przyszło?

- Daj spokój - prosił Bosc. - Wszystko ci powiedziałem. Daj spokój.

- Za kogo mnie masz, Craig?

- Za bystrego gościa. Miałeś być bystry.

- Właśnie.

- Nie możesz mówić poważnie, to jakieś szaleństwo. - W oczach Bosca jarzyła się

autentyczna groza. Wyobrażał sobie najgorsze, bo on sam miał poważne braki w dziedzinie sumienia, a skoro sytuacja się odwróciła. ..

Prawda była taka, że Milo nie miał pojęcia, co zrobić z tym idiotą. Ale to nie był powód, by rozpraszać jego obawy.

- Nie ma innego wyjścia, Craig - powiedział obłudnym, pełnym żalu głosem.

- Jezu - zatkał Bosc. - Gramy w tej samej drużynie - popatrz: obaj jesteśmy... outsiderami.

- Czyżby?

- Wiesz, o czym mówię, stary. Ty jesteś na zewnątrz, bo... wiesz. A ja cię za to nie osądzam, żyj i daj żyć innym. Nawet kiedy inni chcieli cię udupić, ja się za tobą ujmowałem. Mówiłem, spójrzcie na jego średnią rozwiązanych spraw, kogo kurwa obchodzi, co robi, kiedy... Powtarzałem im, że liczy się praca. A ty dobrze wykonujesz swoją robotę, stary. Szanuję to. Była mowa o awansowaniu cię, masz przed sobą przyszłość, stary, więc nie spieprz tego, nie uda ci się wykręcić. Dlaczego miałbyś się wkręcać w takie gówno?

- Ty mnie w to wkręcilesz - przypomniał Milo.

- Daj spokój, co ja takiego zrobiłem? Wykonałem kilka rozkazów i zrobiłem parę sztuczek? W porządku, to było złe, do dupy, zgadzam się, przepraszam, ale to nic takiego, to wszystko miało... nawet ta cała plotka o HIV, stary. I to nie był mój pomysł. Ja byłem przeciwko. Ale to wszystko miało cię tylko... no, wiesz.

- Pomóc mi się skupić.

- Właś...

- No to jestem skupiony, Craig. Wstajemy. - Milo poparł rozkaz machnięciem pistoletem Zastanawiał się, co robi, jeśli Bosc usłucha, bo wyprowadzenie go na

**zewnątrz, do wypożyczonego samochodu, nawet na tak krótki dystans, w świetle dnia było ryzykowne. Nawet w Los Angeles, gdzie ulica powinna być pusta jak jedno ze zdjęć Schwinna.**

**- Proszę - błagał Bosc. - Nie rób tego, obaj jesteście...**

**- Outsiderami, tak, wiem. A dlaczego ty jesteś outsiderem, Craig?**

**- Bo mam artystyczną duszę. Interesują mnie inne rzeczy niż zwykłych kretynów z wydziału.**

**- Kinematografia? - spytał Milo.**

**- Dramat - aktorstwo. Wystąpiłem kilka lat temu w teledysku Zombie Nannies.**

**Grałem striptizera z patrolu drogowego. Przedtem robiłem reklamówkę dla policji**

**miejskiej. I sztuka - malarstwo. Lubię sztukę, stary. Typowy kretyn z wydziału lubiłby**

**harleye, siłownię i piwo, a ja walę do muzeum. Kręci mnie muzyka klasyczna - dwa lata**

**temu byłem w Austrii, na festiwalu w Salzburgu. Mozart, Beethoven, same dobre**

**kawalki. Rozumiesz, o co mi chodzi? Właśnie dlatego, że rozumiem społeczność**

**artystyczną, wiem, kim ty jesteś.**

**- Jestem artystą.**

**- W pewnym sensie. Bez ludzi takich jak ty sztuka by umarła. Świat miałby**

**przejebane, stary. Daj spokój, nie rób tego, obaj mamy dużo do stracenia, obaj mamy po co żyć.**

**- Mamy?**

**- Pewnie - powiedział Bosc, chwytając sugestię spokoju w tonie Mila. - Tylko**

**pomyśl: obu nas czeka jeszcze mnóstwo dobrych rzeczy.**

**- Dlaczego mi się wydaje - powiedział Milo - że przeszedłeś kurs negocjacji z porywaczem?**

**Bosc uśmiechnął się wymuszenie.**

**- Jestem z tobą szczery, a ty mi nie wierzysz. Dobrze, mogę z tym żyć.**

**Nakłamałem ci, robiłem różne numery, masz prawo. Ale skup się na tym: w tej chwili jestem najbardziej szczerym człowiekiem, z jakim będziesz kiedykolwiek rozmawiał.**

**Milo podszedł z boku do kanapy, złapał Bosca za koszulkę.**

**- Wstawaj albo przestrzelę ci kolano.**

**Uśmiech Bosca zniknął jak kamfora.**

**- Zabierz mnie na zewnątrz, to zacznę krzyczeć...**

**- To umrzesz z krzykiem.**

**Szarpnął, Bosc poleciał do przodu, a Milo poprowadził go do drzwi.**

**- Dobry jesteś, stary, zamieniłeś samochody - powiedział Bosc. - Myślałem, że znam wszystkie sztuczki, ale byłeś dla mnie za szybki, dobry jesteś, bardzo dobry. Tyle tylko, że jest coś, o czym nie wiesz.**

**- Jest mnóstwo rzeczy, o których nie wiem, Craig - odparł Milo. Wiedział, że Bosc próbuje grać na zwłokę - kolejna negocjatorska sztuczka. Gdyby tylko wiedział, że marnuje siły... Bo w końcu tak czy inaczej Milo miał zamiar go wypuścić. Jaki miał wybór? Pytanie brzmiało tylko: kiedy i gdzie. A Bosc zareaguje na to natychmiastową nienawiścią i przemożną żądzą zemsty. Jeśli wziąć pod uwagę jego pozycję w wydziale, mógł wyrządzić poważne szkody i Milo wiedział, że ma przechlapane.**

**Duże kłopoty, jak powiedział Bosc. Ale co innego mógł zrobić? Dalej skakać z kąta w kąt, kiedy inni pociągali za sznurki? Pan Kukielka?**

**Pchnął Bosca do drzwi.**

**- Nie - zaproponował Bosc - chodzi mi o coś, czego powinieneś się dowiedzieć w tej chwili. Konkretnie w tej. Dla swojego własnego dobra.**

**- Co to takiego?**

**- Najpierw musisz mnie wypuścić.**

**- Jasne.**

**- Mówię poważnie. W tej chwili nie mam nic do stracenia, więc możesz ze mną robić, co ci się kurwa podoba, a ja ci nie powiem. Miałbym pozbywać się ostatniej szansy? Daj spokój, nie utrudniaj, ja ci wszystko powiem, uratujesz dupę swojego przyjaciela i wszyscy zapomnimy, że to się w ogóle wydarzyło. Będziemy kwita.**

**- Mojego przyjaciela? - powtórzył Milo. Rick? - pomyślał. Jezu, to Ricka Bosc śledził, to Ricka samochód ukradł. Przez tyle lat Milowi udawało się nie mieszać go do swoich spraw, a teraz...**

**Wbił Boscowi lufę pistoletu w okolice nerek. Bosc sapnął, ale jego głos pozostał spokojny.**

**- Twojego przyjaciela, doktora Delaware. Ty zamieniłeś samochody, ale on nie.**

**Ciągle jeździ tym zielonym cadillacem. Podrzuciłem mu przekaźnik satelitarny już kilka dni temu, wiem dokładnie, gdzie facet jest. Dane z przekaźnika idą w komputer i do mnie, wiem, gdzie idzie transmisja. I powiem ci coś, stary, to wędrowny idiota.**

**Powiedział ci, że ma zamiar improwizować?**

**- Gdzie pojechał?**

**Długa cisza.**

**Milo uderzył mocniej, drugą ręką ściskając Bosca za kark.**

**- O nie, nie ma mowy - sapnął Bosc. - Możesz mi rozpierdolić kręgosłup, rób, co chcesz, ale ja nie oddam ostatniego asa. I coś jeszcze. To najważniejsza rzecz: nie tylko ja wiem, gdzie jest twój kumpel. Teraz wiedzą już też inni. Albo niedługo się dowiedzą. Ci źli. Bo plan był taki, żeby im powiedzieć, wykonać anonimowy telefon. Wystawiliśmy**

**twojego kumpla, stary. Niekoniecznie po to, żeby mu coś zrobić, tylko żeby go wykorzystać, zebrać wszystkich razem. Rozumiesz? Wszystko miało być idealnie zgrane w czasie, ty też miałeś tam być. Po to właśnie byłem dzisiaj w twojej okolicy. Żeby cię zmotywować. Ale nie było cię w domu, więc pomyślałem, że przyjadę później.**

**- Gówno prawda - stwierdził Milo. - Przyjechałeś do domu na noc, ostatnie, co miałeś zamiar robić, to pracować.**

**- Sam jesteś gównem, ja jestem jak sowa, jebany Batman-Drakula, ożywam po zachodzie słońca. Plan był doskonały, tylko ty musiałeś być za mądry, zamieniłeś samochody i wszystko spieprzyłeś. A teraz Delaware jest na lodzie, stary, i jeśli chcesz mu pomóc, możesz zrobić tylko jedno. I lepiej zrób to szybko.**

**Milo obrócił Bosca, przytrzymał go za gardło wyprostowaną ręką, wycelował pistolet w jego krocze.**

**- Proszę bardzo - powiedział Bosc. - Rób, co chcesz. Ja się nie dam upodlić.**

**Patrzył na niego wyzywająco.**

**Szczerze.**

**Jeśli można było użyć tego słowa w odniesieniu do takiego bydlaka.**

- Tak, Aimee, świat jest miły - powiedział Bert. - Wiesz co, chodźmy teraz do kawiarni, zobaczymy, czy nie uda nam się czegoś upiec.

Aimee uśmiechnęła się, pocałowała Billa w czoło i wyszła z pokoju, nawet na mnie nie zerknąwszy.

- Niedługo wrócimy - powiedział Bert. - Przyniosę ci brioszki bez cukru, Bill.

Alex, co dla ciebie?

- Nic, dziękuję.

- Coś przyniosę. Możesz być głodny później.

Usiadłem na łóżku naprzeciw wózka.

- Miło mi pana poznać, panie...

- Teraz nazywamy się Bakerowie - powiedział Bill. - To nazwisko dobre jak każde inne, a Aimee je lubi, bo jedno, co zawsze umiała robić, to gotować i piec\* [Baker (ang.) - piekarz.]

- Bill Baker.

Wyszczrzył się w uśmiechu i obrócił głowę.

- Jak bogaty, biały człowiek, co? Bill Baker, mecenas, Bill Baker, biznesmen.

- Ma coś w sobie - powiedziałem.

- Ma, to fakt. - Spowaźniał. - Zanim zaczniemy, musi pan coś wiedzieć. Moja Aimee jest jak dziecko. Zawsze była inna, zawsze pogardzana. Ja też nią pogardzałem, jak wszyscy. Kiedy jeszcze dilo wałem prochami, a jej bracia ode mnie kupowali.

Lubiłem im sprzedawać, bo to była przyjemna odmiana losu dla ćpuna z South Central.

Spotykaliśmy się na wzgórzach nad Bel Air i było tak pięknie, nie tak, jak podczas



moich normalnych transakcji. Nazywałem to trasą turystyczną. Robiłem szybkie pieniądze i patrzyłem, jak żyje druga strona.

Mówił o tych samych wzgórzach, wśród których w jednoosobowym starciu z drzewem zginął Bowie Ingalls. Chłopcy umówili się z nim w znajomym miejscu.

- Miał pan dużo klientów na Westside? - spytałem.

- Dosyć dużo. Zresztą tak poznałem Aimee. Raz na jakiś czas chłopcy przywozili ją ze sobą. Kiedy ich rodzice byli w Europie albo gdzieś, co zdarzało się często, właściwie nigdy ich nie było. Kiedy przywozili ją ze sobą, zostawiali ją w samochodzie i dokuczali jej. Wstydzili się z nią pokazywać. Wstydzili się, że to ich siostra. Ja ich jeszcze nakręcałem. W tamtych czasach nie wiedziałem, co to współczucie, byłem pusty, zimny, myślałem tylko sobie, ja, ja, ja, a przy tym właściwie mało o sobie samym. Bo gdybym naprawdę myślał o sobie, nie zrobiłbym tego, co zrobiłem.

Podniósł z wysiłkiem rękę. Ściągnął twarz i złożył razem dłonie.

- Byłem bardzo złym człowiekiem, proszę pana. Nie mogę powiedzieć, że teraz jestem dobry i nie chwalebę się tym, że się zmieniłem, bo to życie mnie zmieniło. - Jego twarz wykrzywił powolny uśmiech. - Ile może nagrzeszyć ślepiec bez stóp? Lubię myśleć, że nie byłbym zły, nawet z oczami i stopami, ale nie mam pewności. Nie jestem nawet pewny, czy to naprawdę ja tu jestem. - Opuścił ciężko jedną rękę i dotknął nią brzucha. Zaśmiał się.

- Oko za oko, noga za nogę. Zrujnowałem życie wielu ludziom, a teraz za to płacę.

Prawie zniszczyłem życie Aimee. Dałem jej bibulkę - dużą dawkę LSD, kwasu. To był pomysł jej braci, ale mnie nie trzeba było długo namawiać. Zmusiliśmy ją, żeby to połknęła, świetny dowcip, ha ha ha. Krzyczała, jęczała i płakała, a ja stałem z boku i śmiałem się razem z nimi.

**Przesunął dłoń po niewidzących oczach.**

**- Biedactwo miała zwidy przez cztery dni. Myślę, że to mogło wpłynąć na jej układ nerwowy. Zwolniło ją jeszcze bardziej, utrudniło jej życie, a niech mi pan wierzy, ta dziewczyna nigdy nie miała łatwo. Kiedy następnym razem ją zobaczyłem, to był czwarty dzień jej odlotu. Garvey i Bobo chcieli zaliczyć jakieś grzyby, a ja im je przywiozłem. Spotkaliśmy się tam, gdzie zawsze, na wzgórzach, a ona siedziała z tyłu samochodu, ale nie sztywno, jak zwykle. Kiwała się, jęczała i wyplakiwała oczy. Garvey i Bobo tylko się śmiali, mówili, że ma ciężką jazdę, odkąd wcisnęliśmy jej kwas. Próbowano włożyć rękę we wrzątek, prawie wyskoczyła z okna na pierwszym piętrze, w końcu przywiązali ją do łóżka, nie kąpała się ani nie jadła. Śmiali się z tego, ale też martwili, bo ich rodzice wracali do domu i chociaż jej nie lubili, nie byliby zadowoleni. Więc ściągnąłem ją na ziemię barbituranami.**

**- Rodzice jej nie lubili? - spytałem.**

**- Ani trochę. Była inna, wyglądała inaczej, zachowywała się inaczej, a oni byli ludźmi, którzy zawsze chcieli robić dobre wrażenie. Wiejski klub i tak dalej. Chłopcy byli źli do szpiku kości, ale dobrze się ubierali, czesali i używali odpowiedniej wody po goleniu i to wszystkim wystarczało. Aimee nie potrafiła tego, nie umiała się nauczyć udawania. Znaczyła w tej rodzinie mniej niż pies, proszę pana, a Garvey i Bobo to wykorzystywali. Robili różne rzeczy i zwalali na nią.**

**- Jakie rzeczy? - spytałem.**

**- Wszystko, przez co mogliby mieć kłopoty: kradli pieniądze, sprzedawali narkotyki innym bogatym kolegom, podpalali różne rzeczy. Raz zabili psa. Bobo to zrobił. Zabił psa sąsiadów. Powiedział, że pies za dużo szczekał, że go denerwował, więc rzucił mu mięso z trutką, a kiedy pies zdechł, on i Garvey kazali Caroline przejść kilka**

razy pod bramą sąsiadki, kiedy ta patrzyła. Żeby myślała, że to ona. Takie rzeczy.

Chwalili mi się tym, uważali, że to fajne. Mówili o niej jak o śmieciu. Nie wiem, dlaczego zrobiło mi się jej żal, bo przecież nie byłem lepszy od nich. Było w niej coś... po prostu zrobiło mi się żal, nie umiem tego wyjaśnić.

- Najwyraźniej nie był pan taki sam, jak oni.

- To miłe z pana strony, ale wiem, kim byłem. - Burns zdjął lustrzane okulary, ukazując zapadnięte, czarne dyski, przecięte szparkami w kształcie przecinków.

Podrapał się w nasadę nosa, założył okulary z powrotem.

- Zrobiło się panu jej żal i zaczął się pan nią opiekować - powiedziałem.

- Nie, robiłem to dla pieniędzy - odparł. - Powiedziałem chłopakom, że jak mi zapłacą, będę się nią zajmował, kiedy ich rodzice wyjadą z miasta. Śmiali się i powiedzieli: "Mógłbyś jeszcze coś z nią zrobić, to ty powinieneś nam zapłacić, bracie".

Myśleli, że chcę z nią uprawiać seks, a może ją stręczyć. I uważali, że to w porządku.

Zacząłem przyjeżdżać do nich swoim starym ruplem i zabierałem ją w różne miejsca.

- Szła z panem?

- Była szczęśliwa, że może się wyrwać. I taką miała naturę - była towarzyska.

- Nie chodziła do szkoły?

- Nie, od piątej klasy. Miała poważne problemy z nauką, powinna dostawać prywatne lekcje, ale nigdy do tego nie doszło. Do tej pory nie umie tak naprawdę czytać ani liczyć. Jedyne, co potrafi, to gotować i piec, ale za to jak... To jej talent od Boga.

- Gdzie pan ją zabierał? - spytałem.

- Wszędzie. Do zoo, na plażę, do parków, była ze mną, kiedy sprzedawałem.

Czasami jeździliśmy po prostu po mieście i słuchaliśmy muzyki. Ja byłem na haju, ale jej nic nie dawałem - nie po tym, jak widziałem, co z nią zrobił kwas. Cały czas mówiłem

**- próbowałem ją uczyć. O znakach drogowych, pogodzie, zwierzętach. O życiu. Nic nie wiedziała, nigdy nie spotkałem człowieka, który by tak mało wiedział. Nie byłem intelektualistą, tylko głupim ćpunem i dilerem, ale mogłem ją nauczyć wielu rzeczy, co tylko potwierdza, w jakiej była żalosnej sytuacji.**

**Wyciągnął szyję.**

**- Czy mogę panu zawrócić głowę i poprosić o jeszcze jeden napój, proszę pana?**

**Ciągle chce mi się pić. To ta cukrzyca.**

**Przyniosłem mu następną otwartą butelkę. Opróżnił ją w kilka sekund i oddał mi pustą.**

**- Dziękuję bardzo. Musi pan wiedzieć jedno - nigdy jej nie dotknąłem. Ani razu, nigdy. Nie, żeby to była jakaś moja specjalna zasługa. Byłem ćpunem, a pan jako lekarz wie, co to robi z popędem seksualnym. Potem pojawiła się cukrzyca i cała hydraulika wycelowwała w ziemię, więc nie uprawiałem seksu już od długiego czasu. Mimo to lubię myśleć, że to nie zrobiło żadnej różnicy. Szanowałem ją, wie pan? Nie wykorzystywałem jej.**

**- Z tego co pan mówi, wynika, że szanował ją pan od samego początku.**

**- Chciałbym tak myśleć. Pan jest taki sam, jak doktor H. Próbuje mi pan powiedzieć coś dobrego o mnie samym... w każdym razie, tak wygląda moja historia z Aimee. Podoba mi się to imię, sam je dla niej wybrałem. Jej rodzina dała jej inne i traktowała ją jak śmieć, więc zasłużyła na nowe, żeby zacząć wszystko od początku. Aimee po francusku znaczy "ukochana", a ja zawsze chciałem pojechać do Francji, poza tym, tym właśnie dla mnie była, moim jedynym, prawdziwym przyjacielem. Nie licząc doktora H.**

**Z trudem położył ręce na kołach wózka, odjechał kilka centymetrów do tyłu i**

uśmiechnął się, jakby najdrobniejszy nawet ruch sprawiał mu przyjemność.

- Niedługo umrę i dobrze jest wiedzieć, że doktor Harrison zaopiekuje się moją Aimee.

- Na pewno.

Uśmiech zniknął.

- Oczywiście, jest stary...

- Mielście jakieś plany, pan i on?

- Jeszcze do tego nie doszliśmy - powiedział Bill. - Lepiej się tym szybko zająć...

Ja tu pana zanudzam, a pan nie chce wysłuchiwać o moich osobistych problemach.

Przyjechał pan dowiedzieć się, co się stało z tą Ingalls.

- Tak - powiedziałem.

- Biedna Janie. Widzę jej twarz przed oczami, wyraźnie jak w dzień. - Postukał w lustrzane szkło okularów. - Nie znałem jej, ale widywałem, jak łapała stopa na Sunset.

Ona i jej przyjaciółka, taka ładna blondynka. Myślałem, że to dziwki, bo jedyne dziewczyny, które jeszcze łapią stopa, to dziwki albo uciekinierki z domu, które chcą zostać dziwkami. Okazało się, że to tylko bezmyślne dzieciaki. Kiedy je znalazłem, jechałem na imprezę, szykowałem się na poważny zarobek i zobaczyłem je przy Sunset. Nie wiedziały, co robić. Nie na Strip, na Bel Air, naprzeciwko uniwerku. Były o kilka kroków od imprezy, ale nie wiedziały o tym. Więc je podwiozłem. Ciągle o tym myślę. A gdybym tego nie zrobił?

- Zawiózł je pan na imprezę, i co dalej?

Uśmiechnął się.

- Trzymać się tematu? Tak, przywiozłem je, próbowałem załatwić im haj. Janie wypaliła trochę zioła, wrzuciła kilka pigulek, piła. Blondynka tylko piła. Pokręciliśmy

się jeszcze chwilę razem, to była dzika impreza, bogate dzieciaki i ci, co się wbili, wszyscy na haju i napaleni, szalejący w tym wielkim, starym, pustym domu. Potem pojawiła się Aimee. Przyczepiła się do mnie, jak zwykle. Była tam dlatego, że zgodziłem się jej przypilnować. Ich rodzice wyjechali do Indii czy gdzieś... Dopiero co kupili większy dom i chłopcy postanowili urządzić imprezę na pożegnanie. W każdym razie Janie i jej koleżanka, nazywała się chyba Melissa, albo jakoś tak, zaczynały się dobrze bawić.

- Melinda Waters - powiedziałem.

Przekrzywił głowę, jak zaalarmowany czymś pies.

- Dużo pan wie.

- Nie wiem, jak to się stało.

- Stało się tak, że Janie została zauważona. Przez jednego z kumpli braci, paskudnego typu. Wie pan, jak się nazywał?

- Vance Coury.

- We własnej osobie - powiedział Bill. - Uroczy chłopak, nie był starszy od pozostałych, ale miał w sobie coś ze starego bandziora. Zauważył Janie i dlatego ona umarła. Bo miał ją już wcześniej i chciał mieć znów.

- Jak to: miał? - spytałem.

- Zabrał ją, kiedy łapała stopa. Zawiózł do jakiegoś hotelu, który jego ojciec miał w centrum, związał ją, zaliczył i tak dalej. Chwalił się tym.

- Panu?

- Nam wszystkim. Byli z nim obaj bracia i kilku innych kumpli. Zebrali się wokół mnie, żeby coś strzelić, kiedy Coury zauważył Janie. Tańczyła sama, miała już prawie zdjętą bluzkę, była w krainie snów. Coury zobaczył ją i wyszczerzył się w uśmiechu jak

wilk, i mówi: "Patrzcie na tę dziwkę". A pozostali patrzą i kiwiają głowami, bo wiedzą, kim ona jest, słyszeli już tę historię, ale Coury i tak opowiada ją jeszcze raz. Jakie to było łatwe, jakby to było safari, a on ustrzelił coś dużego. Potem powiedział mi, że nie tylko on rznął dziwkę, ale jego stary też. A pozostali pękają i mówią mi, że ich tatusiowie też ją mieli. Wygląda na to, że ojciec Janie był nędzną łajzą. Sprzedawał ją, odkąd dziewczyna skończyła dwanaście lat.

- Tatusiowie pozostających - powiedziałem, walcząc z obrzydzeniem. - Pamięta pan, których?

- Na pewno braci - stary Garveya i Bobo, i tego innego, złośliwego kujona, Brada jakiegoś tam. Nadął się i powiedział, że jego tata też ją miał. Śmiał się z tego. Był dumny.

- Brad Larner.

- Nie znałem go z nazwiska. Chudy, blady wymoczek. Paskudna gęba.

- Jeszcze jacyś kumple byli z nimi tej nocy?

- Jeden, taki duży przygłup, typ surfera... Luke. Nuklearny Nuke, tak go nazywałem, bo zawsze wyglądał jak naładowany, zjadał wszystko, co mu dawałem.

- Luke Chapman - powiedziałem. - Czyjego ojciec też uprawiał seks z Janie?

Zamyślił się.

- Nie pamiętam, żeby mówił coś takiego... Nie, chyba nie, bo kiedy inni o tym mówili, wyglądał trochę nieswojo.

Gwałt wielopokoleniowy. Napastowanie Allison Gwynn przez Michaela Larnera nie było tylko chwilowym kaprysem. Garvey Cossack senior miał podobne upodobania; byłem gotów się założyć, że Coury Władca Slumsów też grał w tej lidze.

Niedaleko pada jabłko...

Bowie Ingalls przygotował swoje jedyne dziecko, sam je molestując, a potem

**zaczął kupczyć jego ciałem. Przypomniało mi się, jak Milo opisał prawie pusty pokój**

**Janie. Miejsce, którego nie uważała - nie chciała uważać - za swój dom.**

**Ingalls był zły i wyrachowany, ale głupi. Pojechał na spotkanie z obiektami  
swojego szantażu pijany i zbyt pewny siebie.**

**- Co się stało, kiedy skończyli gadać? - spytałem.**

**- Coury zażartował coś na temat “czcij ojca swego”. Złapał Janie, po prostu  
złapał i zarzucił sobie na ramię. Inni poszli za nim.**

**- Opierała się?**

**- Nie bardzo. Jak powiedziałem, mało co już do niej docierało. Zabrałem Aimee i  
poszliśmy stamtąd. Nie dlatego, że byłem dobrym człowiekiem, ale całe to gadanie o  
grupowym gwałcie, o poprawianiu po ojcach sprawiło, że poczułem się... nieswojo. Poza  
tym Aimee musiała iść do łazienki, ciągnęła mnie za rękę już od jakiegoś czasu, mówiła,  
że musi iść.**

**Ale znalezienie łazienki wcale nie było tam takie proste, w każdej toalecie ktoś coś  
brał, uprawiał seks, wymiotował albo robił to, co się robi w toalecie. Więc zabrałem ją  
na zewnątrz, na podwórko, gdzie rosły krzaki, kazałem jej tam iść i powiedziałem, że  
popilnuję, czy nikt nie idzie.**

**Wzruszył ramionami. Sprawilo mu to ból i skrzywił się.**

**- Wiem, że to nie brzmi najlepiej, ale robiliśmy tak już wcześniej, Aimee i ja.**

**Jechaliśmy gdzieś daleko za miasto - często jeździliśmy w góry, w San Gabriels albo  
West Valley przy Thousand Oaks, albo za Mulholland Highway czy Rambla Pacifica  
nad Malibu. Wszędzie, gdzie można było znaleźć jakieś odludne miejsca i po prostu  
cieszyć się spokojem. I nieważne, ile razy kazałem jej iść do łazienki przed wyjazdem,  
zawsze musiała się załatwić gdzieś, gdzie nie było ubikacji.**



**Uśmiechnął się szeroko.**

**- Jak dziecko. Więc prowadziłem ją w krzaki i pilnowałem, czy nikt nie idzie.**

**Tak właśnie zrobiliśmy na podwórzu i kiedy wracaliśmy do domu, usłyszeliśmy za murem głosy, głos jej brata Garveya, śmiejącego się i krzyczącego, potem innych. Szli na sąsiednią posesję. Wiedziałem o tym, bo kiedyś mnie tam zabrali, to była olbrzymia posiadłość, całe hektary, właścicielem był jakiś bogaty Europejczyk, który nigdy tam nie mieszkał i przez większość czasu dom stał pusty. Chodzili tam imprezować, bo nikt im nie przeszkadzał. Mieli swoje przejście, taką boczną furtkę, zamykaną na zasuwkę, którą łatwo było otworzyć. A jak już się weszło, było się tak daleko od domu, że nikt nie widział.**

**- Miejsce do imprezowania.**

**- Bawilem się tam z nimi - powiedział Bill. - Mówilem, byłem ich dostawcą.**

**Wracając do tematu, Aimee chciała iść za nimi, zawsze tak robiła. Cokolwiek robili, ona uważała, że to fajne. Nieważne, jak ją traktowali, chciała być z nimi. Próbowałem jej to wybić z głowy, zaprowadziłem ją z powrotem do domu, usiadłem i zacząłem słuchać muzyki. Bo kiedy Aimee była w krzakach, ja sobie strzeliłem, było mi dobrze. Ale kiedy otworzyłem oczy, jej już nie było, a ja wiedziałem, gdzie poszła, i byłem za nią odpowiedzialny, więc za nią poszedłem. I znalazłem. Patrzyła. Na polankę, zza drzew. Trzęsła się okropnie, dzwoniła zębami, a kiedy zobaczyłem na co patrzy, zrozumiałem dlaczego.**

**- Ile czasu minęło, odkąd Coury porwał Janie? - spytałem.**

**- Trudno powiedzieć. Wydawało się, że dość dużo, ale ja falowałem, rozumie pan? Był pan kiedyś na opiatach?**

**- Kiedy byłem mały, rozciąłem sobie głowę i dali mi demerol, żeby mnie**

**pozszywać.**

**- Podobało się panu?**

**- Podobało - powiedziałem. - Wszystko zwolniło, a ból zamienił się w ciepłe pulsowanie.**

**- A więc pan wie. - Pokręcił głową. - To jak najlepszy pocałunek. Najśłodszy, wprost z ust Boga. Minęło tyle lat, wiem, co się przez to stało z moim życiem, a mimo to cały czas o tym myślę... o tym, żeby to zrobić. I niech się Bóg nade mną zmiłuje, czasami modłę się, żeby, kiedy umrę i jakimś cudem trafię tam, na górę, żeby czekała tam na mnie wielka strzykawka.**

**- Na co patrzyła Aimee?**

**- Na Janie. - Jego głos załamał się na tym imieniu. Bill zakolysał się łagodnie na wózku. - O, Boże, paskudnie to wyglądało. Ktoś świecił na nią latarką - Nuklearny Luke - a reszta stała dookoła i gapiała się. Rozciągnęli ją na ziemi, miała rozrzucone nogi, a głowę całą we krwi i była cała pocięta i poprzypalana, a na ziemi wszędzie była krew i niedopalki.**

**- Widział pan broń?**

**- Coury i Bobo Cossack trzymali noże, wielkie, myśliwskie noże, jakie można kupić w demobilu. Garvey miał paczkę papierosów, kooli. Próbował być fajny.**

**- A Brad Larner?**

**- On tylko stał i patrzył. A ten drugi, ten wielki przygłup, stał za nim, przerażony na śmierć, widać to było po jego twarzy. Pozostali byli jak... sparaliżowani. Jakby coś zrobili i dopiero do nich docierało, co. A potem Coury powiedział: "Musimy zabrać stąd tę sukę". Kazał Bradowi iść do jego samochodu i przynieść stamtąd koce. Wtedy Aimee zaczęła głośno rzygać, wszyscy na nas spojrzeli, a Garvey powiedział: "O, cholera, ty**

**„Jebany idioto!”, a ja złapałem Aimee i próbowałem stamtąd uciec. Ale Garvey złapał ją za ramię i nie puszczał, a ja chciałem tylko znaleźć się jak najdalej stamtąd, więc zostawiłem ją i pobiegłem najszybciej, jak mogłem, do samochodu, i odjechałem. Jechałem jak wariat, cud, że nie zatrzymała mnie policja. Pojechałem do Marina, potem na wschód Washington, aż do La Brea, a potem na południe, do getta.**

**Uśmiechnął się.**

**- Do przestępczej dzielnicy. Watts. Tam dopiero poczułem się bezpieczny.**

**- A potem co?**

**- A potem nic. Nie wychylałem się, skończyła mi się forsa i prochy, zrobiłem to, co umiałem robić i dałem się złapać.**

**- Nigdy nie myślał pan, żeby zgłosić morderstwo?**

**- Jasne - powiedział. - Bogate dzieciaki z Bel Air, a czarny ćpun kryminalista mówi glinom, że przypadkiem widział, jak porznęli białą dziewczynę? Gliniarze zatrzymywali mnie na drodze, sprawdzali mi prawo jazdy i rejestrację, bez powodu przeszukiwali. Nawet w moim starym mercurym, który był kupą złomu, w sam raz dla czarnego ćpuna kryminalisty.**

**- Tamtej nocy - powiedziałem - miał pan lepszy wóz. Białego, nowego cadillaca.**

**- Wie pan o tym? Już pan wszystko wie? - W jego głosie pojawiło się coś nowego, jakaś nuta złośliwości. Ślad człowieka, którym był kiedyś. - Sprawdza mnie pan?**

**- Jest pan pierwszym świadkiem naocznym, którego znaleźliśmy. Wiem o cadillacu, bo zlokalizowaliśmy Melinę Waters, a ona o nim wspomniała. Ale wyszła z imprezy przed morderstwem.**

**Pokręcił wolno głową i spojrzał niewidzącym wzrokiem gdzieś w bok.**

**- Cadillac był pożyczony. Traktowałem mercury’ego jak każdy ćpun i w końcu**

się rozleciał. Sprzedałem go na prochy. Następnego dnia zdałem sobie sprawę, że bez wozu jestem nikim - typowe narkomańskie planowanie. Zamierzałem załatwić sobie jakiś wózek, ale w końcu nic nie zrobiłem, byłem za bardzo naćpany. Więc tego wieczoru pożyczyłem samochód od przyjaciela.

- Taki ładny wóz - powiedziałem. - To musiał być dobry przyjaciel.

- Miałem kilku. I niech pan nie pyta, kto to był.

- Ten sam przyjaciel, który pomógł panu uciec?

Lustrzane okulary odwróciły się w moją stronę.

- Niektórych rzeczy nie mogę powiedzieć.

- To i tak wszystko wyjdzie na jaw - powiedziałem.

- Może. Jeśli samo wyjdzie, to nie przeze mnie. Ale niektórych rzeczy nie mogę powiedzieć.

Odwrócił gwałtownie głowę w stronę frontu domu.

- Coś jest nie tak - powiedział. - Idzie Aimee, ale nie tak, jak zwykle.

Najpierw nic nie słyszałem, po chwili - ledwie słyszalny zgrzyt kroków na żwirze.

Ktoś zatrzymywał się i ruszał dalej, jakby się zataczał. Ale gdyby nie panika na twarzy Burnsa, nie zwróciłbym na to uwagi.

Zostawiłem go i poszedłem do frontowego pokoju. Rozsunąłem zasłony małego zamglonego okna i wyjrzałem na podjazd, skąpany w bursztynowym świetle nadchodzącego wieczoru.

Na drodze, może trzydzieści metrów od domu, dwaj mężczyźni prowadzili w naszą stronę Aimee i Berta. Oboje mieli podniesione w górę ręce i niechętnie szli przed siebie. Bert wyglądał na przerażonego. Błada twarz Aimee nie zdradzała nic. Nagle się zatrzymała. Jeden z mężczyzn szturchnął ją czymś w plecy, ona się skrzywiła i ruszyła

**dalej.**

**Zgrzyt.**

**Pierwszy mężczyzna był wysoki i potężny, drugi o głowę niższy i zyłasty. Obaj byli Latynosami i mieli na głowach kowbojskie kapelusze. Widziałem ich pół godziny temu, w wyladowanym nawozem pikapie, który jechał między Bertem i mną, a potem zniknął na skrzyżowaniu trzydziestej trzeciej i sto pięćdziesiątej.**

**Wtedy myślałem, że dobrze się złożyło, bo mogłem schować się za pikapem i śledzić Berta.**

**- Co się dzieje?! - zawołał Bill. Pobieglem do niego.**

**- Dwaj kowboje prowadzą ich pod broń.**

**- Pod łóżkiem - powiedział, bezradnie wymachując rękami. - Szybko.**

**Warknął rozkaz. Zupełnie nie jak ćpun.**

Komputerowe gizmo, które namierzało Aleksa, znajdowało się w saabie Craiga Bosca, przymocowane do deski rozdzielczej. Miało jasny, niebieski ekranik i drukarkę. Bosc wcisnął kilka guzików i urządzenie ożyło.

Facet na czasie, wszystko, czego potrzebuje, ma pod ręką.

Milo nie znalazł żadnych wydruków w domu Bosca, co znaczyło, że Bosc zostawił je w biurze. Albo u kogoś innego.

Bosc dalej stukał w klawisze, a na ekranie pojawiły się odczyty - zakodowane kolumny liczb, które Bosc objaśnił bez dodatkowej zachęty. Wcisnął jeszcze jeden guzik i kolumny zastąpiło coś, co wyglądało jak mapa. Wektory i nazwy miejsc, wszystko ładowane z prędkością światła.

Bosc siedział na fotelu pasażera. Miał wolne ręce, ale Milo skrępował mu z powrotem nogi - raz, dwa - trzymał mu pistolet przy karku.

Obiecał, że go wypuści, kiedy tylko Bosc zrobi coś dla ludzkości.

Bosc cieszył się, jakby był Świętym Mikołajem z workiem pełnym prezentów. Śmierdział strachem, ale na oko nie dałoby się tego stwierdzić. Uśmiech, uśmiech, uśmiech. Pracując, nawijał w technicznym żargonie.

Zyskiwał na czasie - ciągle te psychologiczne manewry.

Jego palce znieruchomiały.

- Gotowe, amigo. Spójrz na duży X i go masz.

Milo przyjrzał się mapie.

- Tylko tyle?

- To i tak cholernie dobry wynik - powiedział Bosc urażony. - Z dokładnością do

stu metrów.

- Wydrukuj.

Milo schował wydruk do kieszeni, wyciągnął Bosca z saaba i zaprowadził za samochód.

- Dobra, Milo, teraz o wszystkim zapominamy, prawda?

- Prawda.

- Rozwiążesz mi nogi, Milo?

To swobodne, powtarzające się zwracanie się do niego po imieniu sprawiało, że Milo zaczynał się irytować. Rozejrzał się dookoła. Kiedy Bosc bawił się komputerem, minął ich jeden samochód - młoda kobieta w żółtym fiero, blondynka z puszystą fryzurą, nadająca się na jedną z gwiazd domowych produkcji Bosca. Ale przejechała szybko, skręciła dwie przecznice dalej i więcej się nie pojawiła.

Ulica była znów pusta. Dzięki Bogu za wyalienowane Los Angeles.

Milo otworzył bagażnik saaba, kopnął Bosca pod kolano, a kiedy ten zgodnie z przewidywaniami złożył się wpół, wepchnął go do środka. Zatrzasnął klapę i odszedł, słysząc stłumione wrzaski i odgłosy kopania uwięzionego mężczyzny.

Bosc tak hałasował, że na pewno ktoś go niedługo znajdzie.

Wrócił szybko do polarisa, sprawdził wskaźnik paliwa, odpalił i popędził w stronę autostrady numer 101, prowadząc jak typowy, kalifornijski idiota: za szybko, z jedną ręką na kierownicy, w drugiej ściskając komórkę, jakby od tego zależało czyjeś życie.

- Wszyscy wychodzić z rękami do góry! - ryknął chropawy głos na zewnątrz. A sekundę później: - Bez opierdalania albo zabijemy downa i starego.

Podkradłem się do okna.

- Wychodzimy. Muszę posadzić cię na wózku.

- Zrób to.

Wróciłem do sypialni i zacisnąłem dłonie na uchwytych wózka Billa. Założyłem mu wcześniej na łysą głowę białą, wełnianą czapkę i okryłem go dwoma miękkimi kocami, pomimo upału.

A może wcale nie było tak gorąco. Ociekałem potem, ale on, cukrzyk, był wciąż nienormalnie suchy.

Pomodlił się bezgłośnie, poruszając ustami, z rękami pod kocem.

- Jej, jej, jej - powiedział, kiedy popchnąłem go naprzód. Doszliśmy do drzwi, otworzyłem je, popychając podnóżkami wózka i wyszliśmy w ametystowy półmrok wieczoru.

Dwaj kowboje, trzymający Berta i Aimee, stali około dwudziestu metrów dalej na zwirowej drodze, trochę z boku, bliżej zachodniej krawędzi podjazdu, tam, gdzie zaczynał się las. Niebo miało kolor łupek, a roślinność zrobiła się oliwkowobura.

Wyraźne zostały tylko kolory ciała - na twarzy Berta zobaczyłem strach.

Większy kowboj stał trochę bliżej niż jego partner. To był kierowca pikapa.

Czterdzieści parę lat, metr osiemdziesiąt, piwny brzuch, wypychający jasnoniebieską koszulę, grube uda, w obcisłych dżinsach wyglądające jak kielbasa, do tego skóra koloru brudnej miedzi i nastroszone, posiwiałe wąsy. Na głowie miał brązowy filcowy kapelusz



**z szerokim rondem.**

**Wyglądał na znudzonego, ale nawet z tej odległości widziałem nerwowe poruszenia jego oczu. Górował nad Bertem, trzymał go za kark.**

**Tuż za nim, po prawej, niższy napastnik ścisnął Aimee za bluzę, napinając materiał na fałdach i walkach jej korpusu. Był młodszy, około metra sześćdziesięciu pięciu, dwadzieścia kilka lat, ubrany w luźną, czarną koszulkę i workowate dżinsy tego samego koloru, zbyt miejskie do słomkowego nakrycia głowy - tandetnego i wyglądającego, jakby dobrał je sobie w pośpiechu. Miał okrągłą twarz z cienką bródką, tępe, rozkojarzone spojrzenie i wytatuowane ramiona.**

**Jeden z mechaników z warsztatu Vance'a Coury'ego.**

**Słońce tkwiło w tym samym miejscu, co przed chwilą, ale twarz Berta Harrisona poszarzała.**

**- Billy, co się dzieje? - spytała Aimee. Ruszyła w stronę wózka, ale mniejszy kowboj uderzył ją otwartą dłonią w tył głowy. Zamachała niezdarnie rękami.**

**- Spokój, downie.**

**- Bill...**

**- Wszystko dobrze, maleńka - powiedział Bill. - Damy sobie radę.**

**- Pewnie, że damy - zachrypiął większy kowboj. To on nas wywołał. Jedną z kieszeni jego koszuli wypychała paczka papierosów. Koszula wyglądała jak z westernu, z kontrastującymi, białymi ramionami, perłowymi guzikami, jeszcze zaprasowana. On i jego kumpel wyszykowali się na tę okazję. - Chodź tu, kurwa, Willy.**

**- Gdzie?**

**- Tutaj, Stevie Wonderze. - Zerknął na mnie. - Ty, dupek, dawaj go tutaj, tylko wolno, zabierz łapy z jebanego wózka albo rozpiardolę ci łeb.**

- A potem co? - spytał Bill.

- A potem was wszystkich zabieramy.

- Gdzie?

- Zamknij twarz - a do mniejszego: - Załadujemy ich na pakę z gównem. Pod brezent, jak ci pokazywałem.

- Dlaczego nie załatwimy ich na miejscu? - spytał mały nosowym głosem.

Pierś dużego uniosła się, kiedy nabierał powietrza w płuca.

- Bo taki jest plan, *mijo*.

- A co z wózkiem?

Duży roześmiał się.

- Możesz go sobie wziąć. Daj dzieciakowi do zabawy. - I do mnie: - Jedziesz, dupku.

- Gdzie jest samochód? - spytałem.

- Zamknij się i pchaj.

- Jest w ogóle jakiś samochód? - spytałem. - Czy idziemy tylko się przejść?

Grałem na zwłokę, bo to się właśnie robi w takich sytuacjach. Nie ma przecież nic do stracenia.

Duży szarpnął Bertę za włosy. Bert skrzywił się z bólu.

- Załatwię tego starego *payaso* na miejscu, jak będziesz tyle gadał. Wywalę mu oczy i każę ci go zerżnąć w oczodoły.

Popchnąłem wózek naprzód. Koła zaryły się w żwirze, kamienie zadzwoniły o szprychy. Udawałem, że utknęliśmy. Ręce cały czas zaciskałem na uchwytach wózka.

Duży przyjrzał mi się dokładnie, nie puszczając Bertę. Mniejszy nie miał aż tak podzielnej uwagi i zauważyłem, że zerka w bok, w ciemniejący las.

- Bill? - odezwała się Aimee.

- Bill? - przedrzeźniał ją Duży. - Tak się teraz nazywasz, Willie?

- To Bill Baker - powiedziałem. - Za kogo go bierzecie?

Duży zmrużył oczy.

- Do ciebie mówiłem, dupku? Zamknij kurwa dziób i kurwa chodź tu.

- Hej! - zawołał wesoło Bill. - Proszę, proszę! Tak mi się zdawało, że poznaję ten głos. Ignacio Vargas. Kopę lat, Nacho. Stary draniu.

Duży nie przejął się tym, że został rozpoznany. Uśmiechnął się.

- Kopę lat, czarnuchu.

- Kopę, Nacho. Doktorze, sprzedawałem temu *vaquero* towar. Był cwany, nigdy sam nie próbował, tylko rozprawdzał wśród swoich kumpli. Hej, Nacho, nie byłeś czasem na wakacjach? W Lompoc? A może w Quentin?

- Czarnuchu - powiedział Vargas - zanim poszedłem siedzieć, próbowałem się zabawić z tobą i tym downem w tamtym domu w Czarnuchowie, ale uciekliście. A teraz znów się spotykamy, po tylu latach. To jak... spotkanie po latach. Kto powiedział, że szansę ma się tylko raz?

Otworzył usta, pokazując rzędy połamanych, brązowych zębów. Dwadzieścia lat bezpiecznego schronienia, a ja przyprowadziłem wroga pod bramę.

- Wiesz, jak to się mówi, amigo - powiedział Bill. - Jeśli nie uda ci się za pierwszym razem... Ale wiesz co, wypuść tego starego. To tylko doktor, przypadkiem mnie leczy, ma chore serce, i tak niedługo kipnie, po co sobie nim zawracać głowę?

Bert stał wpatrzony w ziemię. Teraz podniósł wzrok, bardzo powoli. Spojrzał na mnie bez nadziei.

- Ją też puść - powiedział Bill. - Ona nic nie robi.

**Bert przestąpił z nogi na nogę i Nacho Vargas znów dał mu po głowie.**

**- Nie wierć mi się tu, dziadek. Tak, chyba to już slyszalem. Jeśli nie uda ci się za pierwszym razem, upewnij się, że za drugim chuja zabileś, a potem idź na dobry obiad.**

**Dalej, dupku, pchasz dalej, a jak powiem, że masz się zatrzymać, puścisz wózek, powoli podniesiesz ręce i położysz się na ziemi, a potem założysz ręce na głowę i morda w piach.**

**Pchnąłem wózek. Pół metra dalej znów się zakopał. Uwolniłem koła.**

**- Nacho był bardzo cwany - powiedział Bill - sprzedawał, ale nie brał. Mogłem brać z ciebie przykład, Nacho.**

**- Gównno mogłeś. Byleś głupi.**

**Zmniejszyłem odległość między nami a Vargasem do dziesięciu metrów.**

**- Nie widzę samochodu - powiedziałem.**

**- Jest, kurwa, samochód - prychnął Mały.**

**Vargas rzucił pełne obrzydzenia spojrzenie, przeznaczone dla swojego partnera, ale nie oderwał wzroku ode mnie. Zaczął niecierpliwie tupać nogą. Miał błyszczące czarne kowbojki, które nigdy nie zaznały ostróg. Dżinsy też wyglądały na nowe. Chłopcy zaszaleli.**

**Kreacje na jeden dzień, bo krew nigdy nie spiera się do końca.**

**- Nacho, stary, pomyśl - powiedział Bill. - Nie mam po co żyć, skończ moje cierpienia, ale zostaw starego, Aimee i wszystkich innych w spokoju. Zabierz mnie tym swoim pikapem i rób ze mną, co...**

**- Jakbym, kurwa, potrzebował twojego pozwolenia - przerwał Vargas.**

**Bill pokręcił głową.**

**- Nie potrzebujesz, nikt nie mówi, że potrzebujesz, tylko dlaczego nie pomyślisz, mówilem, on ma chore serce...**

- Może każe mu pobiegać w kółko i poczekam, aż padnie. Oszczędzę kuli. -

Vargas roześmiał się i bez wysiłku podniósł Bertę jedną ręką do góry. Buty staruszka ledwie dotykały ziemi. Bert zrobił się śmiertelnie blady. Szmaciana lalka.

- Hej, to jak zabawa kukielką - powiedział Vargas. Rękę z pistoletem też podniósł. Tylko kilka centymetrów w górę.

- Nacho, stary...

- Tak, jasne, puścimy wszystkich. Może ciebie też. Hej, to dobry pomysł -

chodźmy wszyscy na piwo. - Parsknął. - Nie tylko ona jest pieprznięta. - Zaczął tupać szybciej. - Ruszać się.

Zmniejszyłem odległość do pięciu metrów, trzech, nacisnąłem uchwyty wózka tak, że lekko się przechylił i znów ugrzązł.

- Co, do kur... bawisz się ze mną, dupku?

- Przepraszam - powiedziałem przestraszonym głosem. - Kazaleś mi nie dotykać... chwileczkę.

Zanim Vargas zdążył odpowiedzieć, Bert zwił mu w uścisku, krzyknął z bólu i złapał się za pierś. Vargas się roześmiał, za cwany, żeby tak łatwo dać się zwieść, ale Bert dalej się rzucał, szarpnął mocno głową, ściągając rękę Vargasą w dół. Spróbował się wyrwać. Vargas chciał go powstrzymać, podniósł rękę z pistoletem i zobaczyliśmy broń. Smukły, czarny automat. Wycelowany w niebo. Stojący z tyłu Mały przeklinał, skupiony na szamotaninie. Aimee też patrzyła, nie stawiając oporu.

W chwili, kiedy Bert zaczął działać, popchnąłem wózek szybciej i zatrzymałem go niecałe dwa metry od Vargasą. Vargas dalej szarpał się z Bertem. Chrząknąłem cicho.

Bill sięgnął pod wierzchni koc i wyciągnął strzelbę.

Stary, ale zadbane ośmiostrzałowy obrzyn z pistoletowym uchwytem. Prawie bez

**lufy. Znalazłem go pod łóżkiem, tam, gdzie wskazał Bill, zapakowany w zakurzony, czarny, płócienny pokrowiec. Obok leżały dwa podobnie zapakowane karabiny i pół tuzina pudełek z amunicją.**

**- Niech pan weźmie duże naboje - powiedział Bill. Załadowałem strzelbę.**

**Potem oddałem ją ślepcowi o zeszywniałych palcach.**

**Vargas przytrzymał mocno Berta, ale Bert zobaczył strzelbę i ugryzł Vargasa w rękę, a kiedy ten zawył i puścił go, padł na ziemię i odtoczył się na bok.**

**- Teraz - mruknąłem i Bill pociągnął za spust.**

**Huk wystrzału prawie mnie ogłuszył, a siła odrzutu wepchnęła mi wózek w krocze; głowa Billa poleciała do tyłu i uderzyła mnie w brzuch.**

**Nacho Vargas został jakby zdmuchnięty przez tornado. Dolna połowa twarzy zamieniła się w chmurę krwawego pyłu, a w miejscu piersi i brzucha wykwitła olbrzymia, rubinowo czerwona orchidea. Z pleców buchnęła mu czerwona piana z drobinami czegoś białego, obryzgując Aimee i oszołomionego, małego kowboja.**

**Rzuciłem się na niego, trafiłem go pięścią od dołu w nos, a drugą ręką złapałem za krocze i mocno szarpnąłem.**

**Wszystko trwało pięć sekund.**

**Mały padł na plecy i wrzasnął z bólu. Czarną koszulkę miał upapraną czymś, co wyglądało jak tatar z kawałkami kości i jakiejś szarej, gąbkowatej masy - wiedziałem, że to szczątki płuc. W ręku ciągle ścisnął srebrny błyszczący pistolet. Nadepnałem mu mocno na nadgarstek i wykopałem broń z uchwytu. Poleciała w bok; rzuciłem się na nią, poślizgnąłem na krwi i runąłem twarzą w żwir, czując najpierw szum od wstrząsu, potem przeszywający ból, którym zaczęła pulsować cała jedna strona mojej twarzy, łokcie i kolana.**

**Upadłem na pistolet, poczułem, jak wbija mi się w pierś. Teraz na pewno wypali i wywali we mnie dziurę, i umrę bohaterską śmiercią.**

**Odturlałem się w bok, złapałem pistolet i zerwałem się na nogi. Mały leżał bez ruchu. Przyłożyłem dłoń do jego brudnej szyi, wyczulem równy, wolny puls. Ręka, na którą nadepnałem, wyglądała jak zdechły krab, a kiedy podniosłem mu powiekę, zobaczyłem białko wywróconego oka.**

**Leżące metr dalej szczątki Nacho Vargasa wyglądały jak ilustracja ze skryptu medycyny sądowej.**

**- Ostrożnie - powiedziała Aimee. Do Billa, nie do mnie. Stała za jego wózkiem, zdjęła mu czapkę i głaskała go po głowie.**

**Bert stał już na nogach, dygocząc ścisnął w obu rękach broń Vargasa. Patrzył na nią z obrzydzeniem. Kolor twarzy miał taki, że zastanawiałem się, czy rzeczywiście udawał atak serca.**

**Nie przestałem celować do nieprzytomnego mężczyzny. Serce mi waliło, mięśnie paliły, w głowie się gotowało.**

**Z bliska wyglądał na najwyżej dwadzieścia lat.**

**“Daj go dzieciakowi do zabawy”.**

**Młody mężczyzna z dzieckiem, może świeżo upieczony ojciec. Pomógłby**

**Vargasowi nas zabić, a potem wrócił do domu, bawić się z synkiem?**

**Jęknął, a mój palec zacisnął się na spuście. Jęknął jeszcze raz, ale się nie poruszył.**

**Cały czas w niego celując, wysiłkiem woli zmusiłem się do rozluźnienia palców.**

**Próbowałem wolniej oddychać, spokojnie pomyśleć, zastanowić się, co dalej.**

**Polana przed domem pogrążyła się w obrzydliwym szarym półmroku. Bill**

**siedział na wózku, trzymając na kolanach strzelbę. Aimee i Bert stali w milczeniu obok**

**niego. Starzec się nie ruszył. Zapadła cisza. Gdzieś w lesie zakwilił ptak.**

**Plan: zwiążę nieprzytomnego, zapakuję go razem z wózkiem do bagażnika**

**seville'a, pojedziemy wszyscy w jakieś bezpieczne miejsce - po drodze zastanowię się**

**gdzie - nie, najpierw zadzwonię z domu do Mila - wszyscy muszą schować się w domu -**

**poszarpany trup, zakrwawiony żwir, tym zajmę się później.**

**- Macie jakąś linę? - spytałem Billa.**

**Nie miał już na twarzy lustrzanych okularów, a Aimee wycierała szare doły po**

**jego oczach rogiem koca. Nie zwracała uwagi na miazgę, którą miała upapraną twarz i**

**ubranie.**

**- Nie - powiedział - przykro mi.**

**- Nic, czym można by go związać?**

**- Przykro mi... ten drugi żyje?**

**- Nieprzytomny, ale żyje. Myślałem, że z tym arsenałem...**

**- Ten arsenał to mój... bagaż... nie myślałem, że go kiedyś użyję...**

**Strzelba była wyczyszczona i świeżo naoliwiona.**

**Chyba czytał mi w myślach.**

**- Nauczyłem Aimee, jak się nią zajmować.**

**- Wysunąć lufę, wytrzeć, naoliwić - wyrecytowała Aimee.**

**- Ale nie mam liny - powiedział Bill. - A to śmieszne. Może podrzemy jakieś**

**ubrania. - Zmęczony. Jedną ręką gładził obrzyn.**

**Aimee coś wymamrotała.**

**- Co mówisz, kotku?**

**- Jest lina. Tak jakby.**

**- Jest? - spytał.**



**- Szpagat. Używam go do wiązania pieczeni.**

**- Za słaby, maleńka.**

**- Och - powiedziała. - Pieczeń trzyma.**

**- Bert, chodź tutaj i celuj w niego - powiedziałem, chowając do kieszeni srebrny pistolet i stawiając nieprzytomnego do pionu. Ważył co najwyżej sześćdziesiąt parę kilo, ale był bezwładny, a ze mnie schodziła adrenalina, więc zawleczenie go do domu było męczarnią.**

**Dociągnąłem go do drzwi, obejrzałem się. Nikt nie szedł za mną. Mrok zamienił wszystkich w nieruchome posągi.**

**- Do środka - powiedziałem. - Rzućmy okiem na ten szpagat.**

Bill miał rację co do szpagatu. Za łatwo się rwał. Użyłem go i tak - posadziłem nieprzytomnego mężczyznę na krześle we frontowym pokoju i owinałem go obiema szpulkami sznurka jak mumię. Wyglądał na wyłączonego, miałem nadzieję, że na dłużej. Serce znów zaczęło mi walić. Przeszukałem małą kuchnię, znalazłem pod zlewem pogniecioną, prawie zużytą rolkę taśmy klejącej i przykleiłem nią Małego do krzesła, na wysokości piersi i pasa. Tym, co zostało, skrępowałem mu nogi w kostkach. Nie stawiał oporu... Ile lat miał jego dzieciak?

- Gdzie jest telefon? - spytałem.

Bert poszedł w róg pokoju, schylił się, wyjął zza krzesła stary aparat z tarczą i podał mi go. Od chwili strzelaniny nie powiedział ani słowa. Podniosłem słuchawkę. Nie było sygnału.

- Nie ma sygnału.

Bert wziął telefon, postukał w widelki, wykręcił zero. Potrząsnął głową.

- Macie tu problemy z telefonem?

- Nie, proszę pana - powiedział Bill. - Ale nie używamy go często, może... -

Zmarszczył czoło. - Znam ten zapach.

- Jaki zapach? - spytałem.

Wstrząs nadszedł z tyłu, zza domu. Najpierw huk czegoś uderzającego o drewno, potem głośny syk i ksylofonowe glissando tłuczonego szkła.

Bill odwrócił się w tamtą stronę. Bert i ja zamarliśmy. Tylko Aimee wydawała się nieporuszona.

Nagle sypialnię rozjaśniło światło dnia - sztuczne, pomarańczowe światło dnia, a

**potem dotarła do nas fala gorąca i celofanowy trzask płomieni.**

**Ogień lizał zasłony, biegł po nich w górę, do sufitu i pełził po podłodze.**

**Podbiegłem do drzwi sypialni i zatrzasnąłem rozszerzające się za nimi piekło.**

**Spodem zaczął sączyć się dym. Poczulem smród, metaliczny, kwaśny, chemiczną gorycz pioruna, rozcinającego skażone niebo.**

**Dym zgęstniał, z pojedynczych pasemek zmienił się w robakowate kłęby, ciężkie i oleiste, najpierw białe, potem szare i czarne. Po kilku sekundach z trudem już dostrzegalem pozostałych.**

**W pokoju zrobiło się gorąco jak w piecu.**

**W dom trafiła druga bomba zapalająca. Znow z tyłu. Ktoś zaczął się w lesie, tam, gdzie biegły kable telefoniczne.**

**Złapałem wózek Billa i pomachałem rozpaczliwie do ledwie widocznych w dymie Aimee i Berta.**

**- Na zewnątrz! - Wiedziałem, że tam nie będzie bezpiecznie, ale alternatywą było upieczenie się żywcem.**

**Nie odpowiedzieli, a ja już ich nie widziałem. Popchnąłem Billa do frontowych drzwi. Z tyłu dobiegł mnie ryk protestu. Drzwi runęły, do pokoju wtargnęły płomienie.**

**Rzuciłem się przed siebie, krzycząc z zatkanymi płucami:**

**- Ktoś tam jest! Pochylić się...**

**Słowa zdławił konwulsyjny kaszel. Dotarłem do drzwi, sięgnąłem do klamki i sparzyłem sobie dłoń o rozgrzany metal.**

**Drzwi dla niepełnosprawnych, idioto. Pchnąłem ją mocno barkiem,**

**przepchnąłem wózek Billa i wyskoczyłem na zewnątrz, kaszląc, charcząc, z piekącymi oczami.**

**Pobiegłem w ciemność, kierując wózek w lewo. We frontowe okno trafił pocisk.**

**Z domu buchały kłęby dymu, całkiem go zasłaniając. Dobra osłona, ale trująca.**

**Biegłem, oddalając się jak najbardziej od żwirowej drogi, w zarośla po wschodniej stronie polany. Wózek zaplątywał się w pnącza i kamienie. Nie mogłem go uwolnić.**

**Utknął. Podniosłem Billa, przerzuciłem go sobie przez ramię i pobiegłem dalej, znów nabuzowany adrenaliną, ale jego waga mnie spowalniała. Z trudem łapałem oddech i po dziesięciu krokach byłem na krawędzi utraty przytomności.**

**Nogi się pode mną ugięły. Wyobraziłem je sobie jako żelazne pręty, wyprostowałem siłą woli, zupełnie straciłem oddech, zatrzymałem się, poprawiłem Billa, zadyszałem i zakaszałem. Czulem, jak kikuty jego nóg objają mi się o uda. Jego sucha dłoń mocno trzymała mnie za kark.**

**Powiedział coś - bardziej to wyczułem, niż usłyszałem - i poniosłem go dalej w las.**

**Przeszedłem następne dziesięć kroków, zacząłem je liczyć. Dwadzieścia, trzydzieści, znów się zatrzymałem, żeby siłą wtłoczyć powietrze do płuc.**

**Obejrzałem się na dom. Nie było upiornego blasku płomieni, tylko dym, kłęby dymu, tak czarnego, że nie odróżniał się od nocnego nieba.**

**Nagle polana, na której stał mały, zielony domek zniknęła w karmazynowej, obrzeżonej zielenią kuli ognia.**

**Smród nafty, jak na starym obozowisku. Coś się zajęło - kuchenka. Wybuch cisnął mnie na ziemię. Bill wylądował na mnie.**

**Ani śladu Aimee i Berta.**

**Spojrzałem jeszcze raz na dom, zastanawiając się, czy ogień może przerzucić się na las. Lasowi nie wyszłoby to na dobre, ale odwróciłoby uwagę od nas.**

**Cisza. Ogień się nie rozprzestrzeniał, przesieka spełniała swoje zadanie.**

**Zepchnąłem z siebie Billa i podparłem się na łokciach. Spadły mu okulary. Bezgłośnie**

**poruszał ustami.**

**- Jesteś cały? - spytałem.**

**- Ja... tak. Gdzie jest...**

**- Idziemy dalej.**

**- Gdzie ona jest?**

**- Nic jej nie jest, Bill, chodź.**

**- Muszę...**

**Złapałem go za ramię.**

**- Zostaw mnie tutaj - powiedział. - Zostaw mnie, mam już dosyć.**

**Zacząłem go podnosić.**

**- Proszę.**

**Zaczęła mnie boleć sparzona ręka. Wszystko mnie bolało.**

**- Koniec trasy, panie Cadillac - odezwał się ochrypły głos za moimi plecami.**

Srebrne włosy Vance'a Coury'ego lśniły w blasku księżyca, podtrzymywane czarną skórzaną opaską. Zapach jego wody kolońskiej był tak silny, że przebijał się przez smród spalenizny.

Zaświecił mi latarką w oczy, przeniósł snop światła na Billa, potem opuścił latarkę tak, że oświetlała leśne poszycie. Kiedy przed oczami przestały mi latać białe plamki, zobaczyłem w jego dłoni kanciasty, wydłużony przedmiot. Pistolet maszynowy.

- Wstawać - rzucił Coury. Beznamiętnie. Załatwiał niedokończone sprawy.

Miał na sobie jasny, poplamiony smarem kombinezon mechanika - przygotował się do brudnej roboty. Wokół jego szyi coś błyszczało, prawdopodobnie ten sam złoty łańcuch, który widziałem w warsztacie.

Wstałem. Od wybuchu ciągle dzwoniło mi w głowie.

- Idziemy. - Machnął ręką w prawo, w stronę polany.

- A co z nim? - spytałem.

- No, tak, jeszcze on. - Opuścił lufę broni i podziurawił Billa serią, która prawie przecięła ślepego na pół.

Trup Billa zadygotał i znieruchomiał.

- Jeszcze jakieś pytania? - spytał Coury.

Wyprowadził mnie z lasu. Sterta popiołu, poskręcane kable, porozrzucone bezładnie cegły i powyginane metalowe krzesła były wszystkim, co zostało z małego, zielonego domku. To i coś powykręcane i zwęglone, przymocowane do krzesła.

- Zabawa z zapalkami - powiedziałem. - Założę się, że lubiłeś to, kiedy byłeś mały.

- Ruszaj się.

**Wszedłem na żwirową drogę. Głowę trzymałem nieruchomo, ale zerkalem na obie strony. Trup Nacho Vargasa leżał tam, gdzie go zostawiłem. Po Bercie i Aimee ani śladu.**

**Poczułem mocny zapach, nieprzyjemnie słodki, jak tort Sachera. To Coury, idący tuż za mną.**

**- Gdzie idziemy? - spytałem.**

**- Idź.**

**- Dokąd?**

**- Zamknij się.**

**- Gdzie idziemy?**

**Milczenie.**

**Dziesięć kroków później spróbowałem jeszcze raz.**

**- Gdzie idziemy?**

**- Naprawdę jesteś głupi - powiedział.**

**- Tak myślisz? - Sięgnąłem do kieszeni, wyciągnąłem srebrny pistolet Małego i szybko się odwróciłem.**

**Siła inercji pchnęła Coury'ego do przodu; prawie się zderzyliśmy. Próbował się cofnąć, podnieść broń, ale miał za mało miejsca. Potknął się.**

**Nie chciało mu się mnie przeszukać. Był zbyt pewnym siebie, bogatym dzieckiem, które nigdy nie dorosło. Przez tyle lat wszystko uchodziło mu bezkarnie.**

**Mały srebrny pistolet skoczył do przodu, jakby kierowany własną wolą. Bródka Coury'ego rozchyliła się, kiedy otworzył z zaskoczenia usta.**

**Skoncentrowałem się na jego migdałkach i strzeliłem trzy razy, trafiając każdą kulą.**

**Zabrałem jego broń i schowałem srebrny pistolet. Zbiegłem z drogi, schowałem się za sykamorą i czekałem.**

**Nic.**

**Stawiałem stopy na trawie, żeby stłumić odgłos kroków. Skradałem się w stronę drogi. Zastanawiałem się, kto i co tam na mnie czeka.**

**Ja też byłem zbyt pewny siebie, myśląc, że Vargas i Mały byli sami. To była zbyt ważna robota, żeby powierzyć ją dwóm opryszkom.**

**Coury był dokładnym człowiekiem, jego specjalnością było rozmontowywanie drogich maszyn i składanie ich na nowo w dzieła sztuki.**

**Dobry planista.**

**Posyłamy drużynę B, drużyna A czeka. Poświęcamy drużynę B i atakujemy od tyłu.**

**Kolejna zasadzka.**

**Coury przyszedł osobiście zająć się Billem. Bill był żyjącym świadkiem i wyeliminowanie go było celem nadrzędnym. Tak samo Aimee. Czy najpierw zabił ją, i Berta przy okazji? Nie słyszałem wystrzałów, kiedy uciekałem z Billem na plecach, ale po bombach zapalających i wybuchu nafty huczało mi w głowie.**

**Przeszedłem pięć kroków, przystanąłem, potem następne pięć. Moim oczom ukazał się wylot żwirowej drogi.**

**Czas na decyzję, żadna opcja nie jest dobra.**

**Nie znalazłem nic.**

**Tylko seville'a, z przestrzelonymi oponami, podniesioną maską i zdjętą nasadką rozdzielacza. Ślady opon - dwóch kompletów, oba głębokie i grubo bieżnikowane - świadczyły, że pikap i jakiś inny ciężki samochód odjechały.**



**Najbliższe domostwo znajdowało się pół kilometra dalej wzdłuż drogi. W**

**ciemności widziałem niewyraźnie żółte okna.**

**Byłem pochlapany cudzą i własną krwią, jedną stronę twarzy miałem otartą do żywego mięsa, a oparzona ręka bolała jak diabli. Po jednym spojrzeniu na mnie mieszkańcy tamtego domu najpewniej zamkną się od środka i wezwą policję.**

**I o to chodzi.**

**Prawie tam doszedłem, kiedy rozległ się ryk silnika.**

**Coś dużego jechało w moją stronę od sto pięćdziesiątki. Dźwięk był tak głośny, że powinienem już widzieć samochód, ale jechał bez świateł.**

**Wbiegłem w krzaki i skuliłem się za kępą paproci. Obok mnie przejechał czarny suburban. Dwadzieścia metrów przed wjazdem na posesję Billa i Aimee zwolnił.**

**Zatrzymał się. Podtoczył do przodu kilka metrów i znów zatrzymał.**

**Ze środka wysiadł jakiś mężczyzna. Ogromny.**

**Potem drugi, trochę mniejszy, ale niewiele. Dał pierwszemu jakiś znak ręką, po czym obaj wyciągnęli broń i pobiegli w kierunku domu.**

**Ktoś został za kierownicą? Było ciemno, samochód miał przyciemniane szyby i nic nie widziałem. Rozumiałem teraz, że bieg do sąsiadów byłby ryzykownym i niewłaściwym krokiem: w głowie dźwięczało mi echo serii, którą Coury zabił Billa.**

**Coury pociągnął za spust, ale to ja byłem aniołem śmierci, nie mogłem w żaden sposób usprawiedliwić wciągnięcia w moją walkę niewinnych ludzi.**

**Skulony czekałem. Próbowałem zobaczyć, która godzina, ale mój zegarek miał rozbite szkiełko i po wylamywane wskazówki.**

**Zacząłem odliczać sekundy. Doszedłem do trzech tysięcy dwustu, kiedy dwaj wielcy mężczyźni wrócili.**

**- Cholera - powiedział jeden z nich. - Niech to szlag.**

**Wstałem.**

**- Milo, nie zastrzel mnie - powiedziałem.**

Aimee i Bert siedzieli w trzecim rzędzie foteli suburbańska. Aimee trzymała Berta za rękaw. Bert patrzył przed siebie nieprzytomnym wzrokiem. Usiadłem obok Mila, w drugim rzędzie.

Za kierownicą tkwił Stevie Samończyk, łowca nagród, którego Georgie Niemierow nazywał Yokozuną. Obok zobaczyłem Rudego Yaakova, niemal dotykającego swoją krótko ostrzyżoną głowę sufitu.

- Jak nas znaleźliście? - spytałem.

- Seville miał nadajnik, a mnie wpadł w ręce odbiornik.

- Nadajnik?

- Satelitarny przekaźnik pozycji.

- Jeden z gadżetów Coury'ego?

Milo wymownym gestem położył mi rękę na ramieniu. Porozmawiamy później.

Stevie pojechał autostradą numer 150 i tuż przed skrzyżowaniem z 33 zjechał w ocienioną drzewami zatoczkę, w której czekały trzy inne samochody. Z tyłu, prawie niewidoczny w ciemnościach, pikap, przodem do drogi, ciągle wyładowany nawozem.

Kilka metrów dalej ciemny lexus sedan. Oba pojazdy blokowała kolejna czarna terenówka, chevy tahoe.

Stevie przyciemnił światła i zza tahoe wyszli dwaj mężczyźni. Muskularny, rysy Latynos w czarnej, obcisłej koszulce, workowatych bojówkach, z dużą, skórzaną kaburą pod pachą oraz Georgie Niemierow, w sportowej marynarce, rozpiętej pod szyją białej koszuli i pogniecionych spodniach.

Na koszulce muskularnego zobaczyłem wypisane dużymi, białymi literami

**AGENCJA PORECZENIOWA. On i Niemierow podeszli do suburbana. Milo opuścił**

**szybę. Niemierow zajrzał do środka, zobaczył mnie i uniół brwi.**

**- Gdzie Coury?**

**- Z przodkami - powiedział Milo.**

**Niemierow wypchnął językiem policzek.**

**- Nie mogliście zostawić go dla mnie?**

**- Kiedy tam przyjechaliśmy, Georgie, było już po wszystkim.**

**Brwi Niemierowa uniosły się jeszcze wyżej, kiedy spojrział na mnie.**

**- Jestem pod wrażeniem, doktorze. Chce pan u mnie pracować? Proponuję długie zmiany i marną pensję.**

**- No - powiedział Yaakov. - Ale za to spotyka się obrzydliwych ludzi.**

**Stevie roześmiał się. Niemierow uśmiechnął się mimowolnie.**

**- W końcu liczy się chyba efekt.**

**- Był ktoś jeszcze? - spytałem. - Oprócz Coury'ego?**

**- Pewnie - powiedział Niemierow. - Jeszcze dwaj imprezowicze.**

**- Brad Larner - wyjaśnił Milo. - Ten lexus to jego. Przyjechali nim z Courym,**

**Larner prowadził. Stał niedaleko domu i czekał na Coury'ego, kiedy zauważyliśmy go za pikapem. Doktor Harrison i Aimee leżeli związani na pace. Za kierownicą siedział jeszcze jeden typ.**

**- Kto?**

**- Wcielenie cnót wszelakich, nazwiskiem Emmet Cortez - powiedział Niemierow.**

**- Spotykaliśmy się kilka razy, zanim poszedł siedzieć za nieumyślne spowodowanie śmierci. Pracował w samochodach.**

**- Malował wyścigówki - domyśliłem się.**

**- Chromował koła. - Niemierow uśmiechnął się niespodziewanie pozbawionym**

**wesołości uśmiechem. - Teraz jest w wielkim garażu w niebie.**

**- Zamienił się w materię nieożywioną - powiedział Stevie.**

**- Jeszcze ożywioną - zaproponował Yaakov. - Dopóki coś zostało, to cały czas jest  
materia ożywiona, prawda, Georgie?**

**- Czepiasz się szczegółów - stwierdził Stevie.**

**- Zmieńmy temat - zaproponował Niemierow.**

- Naleśniki - powiedział Milo.

Była dziesiąta rano następnego dnia, a my siedzieliśmy w kawiarni na Wilshire niedaleko Crescent Heights, miejscu, gdzie zbierali się starcy i wymizerowani młodzi ludzie, którzy udawali, że piszą scenariusze. Kilometr na zachód znajdowały się biura braci Cossacków, ale nie to nas tu ściągnęło.

Obaj nie spaliśmy całą noc. Wróciliśmy do Los Angeles około szóstej nad ranem, wpadliśmy do mnie, żeby się wykąpać i ogolić.

- Nie chciałem budzić Ricka - wyjaśnił Milo.

- Rick jeszcze śpi o tej porze? - spytałem.

- Po co komplikować sprawy?

Wyszedł z łazienki dla gości, wycierając ręcznikiem włosy i mrużąc oczy. Założył wczorajsze ubranie, ale wyglądał już o wiele świeżej.

- Śniadanie - oznajmił. - Znam miejsce, gdzie podają olbrzymie naleśniki-potwory z masłem orzechowym i czekoladowymi płatkami.

- To jedzenie dla dzieci - zauważyłem.

- Dorosłość jest zdecydowanie przereklamowana. Kiedyś chodziłem tam codziennie, uwierz mi, Alex, tego właśnie ci trzeba.

- Kiedyś?

- Kiedy jeszcze nie dbałem o figurę. Mamy przeładowane systemy wydzielania wewnętrznego, więc potrzebujemy cukru. Mój dziadek ze strony matki jadł naleśniki dzień w dzień, popijał je trzema kubkami kawy słodszej niż cola i dożył dziewięćdziesięciu ośmiu lat. Pożyłby jeszcze trochę, ale spadł ze schodów, jak podglądał

sąsiadkę. - Milo odgarnął z twarzy niesforny kosmyk włosów. - Mnie raczej coś takiego nie czeka, ale są przecież różne warianty.

- Taki optymizm jest u ciebie podejrzany - powiedziałem.

- Naleśniki - powtórzył.

- Chodź, jedziemy.

Przebrałem się w świeże ubranie, myśląc o Aimee, Bercie i wszystkich pytaniach, które pozostawały bez odpowiedzi.

I myśląc o Robin. Zadzwoiła wczoraj wieczorem z Denver, nagrała mi się na sekretarkę o jedenastej. Oddzwoniłem o szóstej trzydzieści, chcąc zostawić dla niej wiadomość w hotelu, ale trasa przeniosła się do Albuquerque.

Teraz siedzieliśmy przed dwoma stosami posmarowanych masłem orzechowym naleśników wielkości patelni. Śniadanie pachniało podejrzanie tajską kuchnią. Zalałem sobie żołądek kawą, patrząc, jak Milo polewa swoją porcję syropem klonowym i zaczyna się w nią wgryzać. Potem wziąłem dzbanek z syropem w niepoparzoną rękę. Lekarz w szpitalu w Oxnard określił stopień sparzenia jako "pierwszy z plusem. Trochę głębiej i miałby pan drugi". Jakbym oblał jakiś test. Posmarował mi rękę maścią, owinął bandażem, twarz przemył neosporinem, wypisał receptę na antybiotyki i polecił, żebym się nie brudził.

Cały szpital znał Berta Harrisona. On i Aimee dostali prywatną izolatkę niedaleko izby przyjęć. Siedzieli w niej zamknięci dwie godziny. Milo i ja czekaliśmy. W końcu Bert wyszedł do nas.

- Zostaniemy tu na dłużej. Jedźcie do domu - powiedział.

- Na pewno? - spytałem.

- Na pewno. - Ścisnął mi dłoń obiema rękami i wrócił do izolatki.

**Georgie Niemierow i jego ekipa zawieźli nas pod Ojai, gdzie Milo zostawił**

**swojego wypożyczonego dodge'a, a potem zniknęli.**

**Milo połączył siły z lowcami nagród, opracował plan.**

**Sporo pytań...**

**Przechyliłem dzbanek, patrzyłem, jak syrop ścieka na naleśniki i rozlewa się po talerzu. Wziąłem widelec. Zadzwońska komórka Mila. Odebrał.**

**- Tak? - Słuchał przez chwilę, rozłączył się i wepchnął sobie do ust wielki kawałek naleśnika. Na ustach została mu rozpuszczona czekolada.**

**- Kto to był? - spytałem.**

**- Georgie.**

**- Co się stało?**

**Milo odkroił następny kawałek naleśnika, pogryzł go dokładnie, połknął i popił kawą.**

**- Wygląda na to, że wczoraj w nocy zdarzył się wypadek. Osiemdziesiąta Trzecia ulica przy Sepulveda, wypożyczony buick uderzył przy dużej prędkości w latarnię.**

**Kierowca i pasażer zamienili się w materię nieożywioną.**

**- Kierowca i pasażer.**

**- Dwa ciała - powiedział. - Wiesz, jak wygląda człowiek po takim zderzeniu.**

**- Garvey i Bobo? - spytałem.**

**- Taka jest wstępna hipoteza. Czeka nas weryfikacja uzębienia.**

**- Osiemdziesiąta Trzecia przy Sepulveda. Jechali na lotnisko?**

**- Zabawne, że o tym wspominasz, we wraku znaleźli bilety. Dwa, pierwsza klasa do Zurychu, rezerwacje hotelowe w jakimś Bal du Lac. Brzmi ładnie, prawda?**

**- Uroczo - powiedziałem. - Może wybierali się na narty.**



- **Możliwe - jest tam teraz śnieg?**

- **Nie wiem - powiedziałem. - W Paryżu pewnie pada deszcz.**

**Milo zamówił dolewkę kawy, dostał świeży dzbanek, nalał sobie i zaczął wolno popijać.**

- **Tylko oni dwaj? - spytałem.**

- **Na to wygląda.**

- **Dziwne, nie sądzisz? Mieli szofera, a na lotnisko pojechali sami? Mieli całą flotę samochodów, a wypożyczyli buicka.**

**Wzruszył ramionami.**

- **Poza tym - ciągnąłem - co robili na bocznej uliczce w Inglewood? W tym miejscu drogi na lotnisko, na południe, nie zjeżdża się z Sepulveda.**

**Milo ziewnął, przeciągnął się i opróżnił kubek.**

- **Coś jeszcze?**

- **Było już o tym w wiadomościach?**

- **Nie.**

- **Ale Georgie Niemierow wie.**

**Bez odpowiedzi.**

- **Georgie ma swoje dojścia - powiedziałem. - Jest poręczycielem i w ogóle.**

- **Pewnie tak - zgodził się Milo. Strzepnął okruszki z koszuli.**

- **Masz syrop na brodzie - powiedziałem.**

- **Dziękuję, mamie. - Rzucił pieniądze na stół i wstał. - Chodź, przejdziemy się, to dobrze robi na trawienie.**

- **Na Wilshire - powiedziałem. - Tam, gdzie są muzea.**

- **Zgaduje pan raz za razem, profesorze. Czas jechać do Vegas.**

**Poszliśmy do różowego granitowego budynku, w którym bracia Cossackowie bawili się w dyrektorów. Milo długo patrzył na fasadę, w końcu wszedł do środka, przepędził wzrokiem strażnika i wrócił na schody, gdzie czekałem, udając, że czuję się swobodnie.**

**- Zadowolony? - spytałem, kiedy ruszyliśmy z powrotem do kawiarni.**

**- Pełna ekstaza.**

**Wróciliśmy na miejsce, wsiedliśmy do wypożyczonego samochodu Mila - czarnego mustanga kabrioletu - pojechaliśmy Cudowną Milą przez La Brea tam, gdzie Wilshire przekracza północną granicę Hancock Park.**

**Milo kierował jednym palcem. Nie spał od dwóch dni, ale pozostawał czujny. Ja walczyłem z opadającymi powiekami. Seville został odholowany do warsztatu w Carpenteria. Zamierzałem zadzwonić tam jeszcze dzisiaj, dowiedzieć się, co z nim. Na razie będę jeździł pikapem Robin. Jeśli uda mi się znieść jej słodki zapach, którym przesiąkła kabina.**

**Milo skręcił w Rossmore, pojechał na południe do Piątej ulicy, zawrócił na Irving i zatrzymał się przy krawężniku, sześć domów na północ od Szóstej. Po drugiej stronie znajdowała się opłacana z pieniędzy miasta posiadłość Broussarda. Na podjeździe stał nieskazitelnie biały cadillac. Bramy pilnował znudzony policjant w cywilu.**

**Milo popatrzył na dom z taką samą wrogością, z jaką obciął strażnika w budynku Cossacków. Zanim zdążyłem zapytać, o co chodzi, zawrócił, ruszył na południe, potem na zachód do Muirfield, gdzie podjechał wolno do końca кварталу i zatrzymał się przy posesji schowanej za wysokim, kamiennym murem.**

**- Dom Walta Obeya - powiedział, zanim zapytałem.**

**Kamienny mur. Tak samo, jak w posiadłości Loetza, sąsiadującej z domem, w**

którym odbyła się impreza. Miejscu zbrodni. Zbuduj mur, a wiele rzeczy ujdzie ci na sucho.

Janie Ingalls wykorzystywana przez dwa pokolenia mężczyzn. Kamera na szczycie słupa bramy zaczęła się obracać.

- Uśmiechnij się - powiedział Milo. Pomachał. Wrzucił bieg i odjechał.

Podwiózł mnie do domu. Spałem do piątej po południu, obudziłem się akurat na wiadomości. Śmierć Cossacków nie trafiła do głównego wydania, ale powiedzieli o niej godzinę później w wiadomościach lokalnych o szóstej.

Było tak, jak powiedział Georgie Niemierow: wypadek samochodowy, przypuszczalnie spowodowany nadmierną prędkością. W trzydziestosekundowej biografii opisano Garveya i Bobo jako “bogatych przedsiębiorców budowlanych”, autorów “kilku kontrowersyjnych projektów”. Nie było zdjęć. Żadnych sugestii nieczystej gry.

Tej nocy zmarł ktoś jeszcze, ale wiadomość o tym nigdy nie pojawiła się w wiadomościach Los Angeles, ponieważ zgon miał miejsce sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od miasta.

Doniesienie z “Santa Barbara News-Press”, przesłane mi e-mailem, bez żadnego dodatkowego komentarza. Nadawca: niechluj\_leniwiiec@sturgis.com. Tego nie znałem.

Fakty były jasne: zwłoki sześćdziesięcioośmioletniego biznesmena Michaela Larnera znaleziono dwie godziny temu na przednim siedzeniu jego bmw. Samochód stał w lesie, niedaleko zjazdu z autostrady 101 do Cabrillo, na obrzeżach Santa Barbara. Na kolanach Larnera leżał pistolet. Larner zmarł wskutek “pojedynczej rany głowy, której charakterystyka wyklucza udział osób trzecich”.

Larner przyjechał do Santa Barbara, by zidentyfikować zwłoki swojego syna,

**Bradleya, lat czterdzieści dwa, zmarłego na atak serca, który - ironio losu - również umarł w samochodzie. Pojazd Bradleya, lexus, został znaleziony kilka kilometrów dalej, na cichej uliczce na północnym skraju Montecito. Pograżony w żalu ojciec wyszedł z kostnicy zaraz po dwunastej, a śledztwo nie ustaliło, gdzie przebywał przez trzy godziny, po których popełnił samobójstwo.**

**Ciało znalazł bezdomny.**

**- Szedłem tam się zdrzemnąć - powiedział włóczęga, zidentyfikowany jako**

**Langdon Bottinger, lat pięćdziesiąt dwa. - Od razu wiedziałem, że coś nie gra. Taki ładny samochód oparty o drzewo. Zajrzałem do środka i stukalem w szyby. Ale on nie żył. Byłem w Wietnamie, wiem, jak wygląda trup.**

Po wysadzeniu Aleksa Milo włączył radio i wybrał stację KLOS. Klasyczny rock.

Zespół Van Halen grał *Jump*.

Ma kopa, ten mustang. Sprytny wózek.

- Należał do ogrodnika Toma Cruise'a - powiedziała mu wykolczykowana

dziewczyna w wypożyczalni. Nocny marek; pracowała na nocnej zmianie, od północy do ósmej rano.

- Świetnie - odparł Milo. - Może pomoże na castingach.

Dziewczyna pokiwała ze zrozumieniem głową.

- Stara się pan o role charakterystyczne?

- Nie - powiedział Milo wychodząc. - Mam za mało charakteru.

Wrócił pod dom Broussarda na Irving, stanął tam i kilka godzin czekał. Żona

szefa pojawiła się o trzynastej zero trzy, eskortowana na podjazd przez policjantkę,

która otworzyła jej drzwi białego cadillaca. Pani Broussard pojechała w stronę Wilshire i zniknęła.

Zostawiła Johna G. samego? Milo był pewien, że Broussarda nie było w biurze -

zadzwoił tam, podając się za szyszkę z biura Walta Obeya i został bardzo uprzejmie poinformowany, że szefa dzisiaj nie będzie.

To akurat nie było zaskoczeniem. W porannym "Timesie" ukazał się kolejny

antybroussardowski artykuł. Policyjna Liga Ochrony narzekała w nim na słabe morale,

całą odpowiedzialność za stan rzeczy zrzucając na Broussarda. Komentarzem była

wypowiedź jakiegoś prawnika, który przedstawił profil psychologiczny szefa. Z artykułu

jasno wynikało, że temperament Broussarda nie pasuje do oblicza nowoczesnej policji.

**Cokolwiek to znaczyło.**

**Jeśli dodać do tego wypadki ostatniej nocy - i raport Craiga Bosca - Broussard musiał wiedzieć, że matnia się zamyka.**

**John G. zawsze był ostrożny. Więc co robił w tej chwili? Stał w garderobie sypialni na piętrze, wybierając sobie garnitur? Zupełnie, jakby się nie przejmował.**

**Może się nie przejmował.**

**Milo dalej obserwował posiadłość, wyprostował nogi, gotów na długie czekanie.**

**Ale pięć minut później z podjazdu wyjechał tyłem ciemnozielony sedan - nieoznakowany ford, stuprocentowo policyjny.**

**W środku tylko kierowca. Wysoki mężczyzna, wyprostowany sztywno za kierownicą. Szlachetny profil szefa był nie do pomylenia.**

**Broussard skręcił na południe, tak samo, jak jego żona. Zatrzymał się przy**

**Wilshire i stał tam dłuższą chwilę, migając lewym kierunkowskazem - jaki dobry przykład - czekając na lukę w sznurze samochodów. Potem skręcił płynnie na bulwar.**

**Jechał na wschód. A więc może wybierał się do pracy. Chciał pokazać draniom, jaki jest twardy.**

**Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.**

**Broussard trzymał się dozwolonej prędkości, sunąc środkowym pasem.**

**Zasygnalizował skręt w Western dokładnie w odległości określonej przepisami. Pojechał na południe, minął Washington Boulevard, skręcił w Dziesiątą Wschodnią i wykonał podręcznikowe włączenie się do ruchu.**

**Ruch na trasie był duży, ale płynny, sytuacja idealna do śledzenia i Milo bez trudu obserwował forda, mijającego zjazd do centrum i skręcającego na Soto, we wschodnim Los Angeles.**

**Biuro koronera?**

**Broussard faktycznie pojechał do czystej kremowej kostnicy na zachodnim krańcu kompleksu szpitala hrabstwa, ale zamiast skręcić na parking i zatrzymać się między furgonetkami i samochodami gliniarzy, jechał prosto przez następne trzy kilometry. Zatrzymał się wzorowo przy wąskiej San Elias, skręcił w prawo i z prędkością trzydziestu na godzinę przejechał przez osiedle małych domków, ogrodzonych płotami z drucianej siatki.**

**Trzy przecznice dalej ulica kończyła się ślepym zaułkiem. Zielony ford stanął. Kraniec uliczki wyznaczała wysoka na siedem metrów żelazna brama, barokowo ozdobna i zwieńczona gotyckim łukiem. Żelazne pręty na szczycie wyginały się w jakiś napis. Milo był przecznicę dalej, z tej odległości nie potrafił go odczytać.**

**John G. Broussard zaparkował forda, wysiadł, zamknął samochód i poprawił marynarkę.**

**Nie ubrał się jak do pracy - szef nigdy nie pokazywał się w Parker Center bez munduru, wyprasowanego w kancik, z piersią udekorowaną baretkami. Na specjalne okazje wkładał do tego czapkę.**

**Wydaje mu się, że jest jakimś jebanym generałem, mówili złośliwi.**

**Dziś Broussard miał na sobie granatowy garnitur, szyty na miarę jego smukłej sylwetki, błękitną koszulę i złoty krawat, tak jaskrawy, że zdawał się błyszczeć. Idealna postawa podkreślała wzrost szefa, kiedy szedł wojskowym krokiem do bramy. Jakby przewodniczył jakiejś ceremonii. Broussard przystanął, otworzył furtkę w bramie, wszedł.**

**Milo odczekał pięć minut, zanim wysiadł. Idąc do bramy, kilka razy obejrzał się przez ramię. Czuł się mimo wszystko podenerwowany. W Broussardzie było coś**

**takiego...**

**W połowie drogi do bramy odcyfrował napis.**

### ***Park Pamięci Wieczny Spoczynek***

**Cmentarz był podzielony na pół długą, prostą ścieżką, wysypaną tłuczonym granitem, różowobeżowym, kontrastującym z zielenią żywopłotu. Pozostałe trzy krańce cmentarza wyznaczały wysokie hollywoodzkie jałowce, zbyt jaskrawozielone na tle szarego nieba. Milo nie zauważył nigdzie drzewek pomarańczy, ale mógłby przysiąc, że czuje zapach ich kwiatów.**

**Kilka metrów za bramą natknął się na posąg Jezusa, łagodnego i uśmiechniętego, a za nim mały domek z piaskowca, z napisem “Biuro”, otoczony klombami różnokolorowych bratków. Połowę ścieżki blokowała taczka. Przed kwiatami stał stary Meksykanin w roboczym ubraniu i ogrodniczym kapeluszu. Odwrócił się do Mila, dotknął palcami skraju nakrycia głowy i wrócił do pielenia.**

**Milo wyminął taczkę, dostrzegł pierwszy rząd nagrobków, ruszył dalej.**

**Staromodne pomniki, pionowe, wyrzeźbione z kamienia, kilka przechylonych, kilka przyozdobionych wiązkami zgniłych kwiatów. Rodzice Mila leżeli w zupełnie innym miejscu, na olbrzymim cmentarzu pod Indianapolis, podmiejskim mieście umarłych, otoczonym fabrykami i centrami handlowymi. Pseudokolonialne budynki, autentyczne jak Disneyland, bezkresne połacie zielonej murawy, nadające się na tor golfowy. Na tamtym cmentarzu pomnikami były małe mosiężne tabliczki, wkopane płasko w trawę, niewidoczne, dopóki nie podeszło się blisko. Nawet po śmierci Bernard i Martha Sturgis zachowywali styl...**

**Cmentarz był mały, płaski i pozbawiony drzew, jeśli nie liczyć rosnących na obrzeżach jałowców. Niecały hektar gołego terenu. Wypełniony nagrobkami - stary. Nie**



było gdzie się schować i Milo bez trudu znalazł Broussarda.

Szef stał w dolnym lewym sektorze cmentarza. Przedostatni rząd, przytulna, ocieniona kwatery. Był odwrócony do Mila tyłem, duże, ciemne ręce splótł za plecami. Milo podszedł do niego, nie starając się tłumić odgłosu kroków. Broussard nie odwrócił się.

- Co panu zajęło tyle czasu? - spytał, kiedy Milo podszedł do nagrobka.

Pomnik, który tak przykuł uwagę Broussarda, zrobiony był z czarnego granitu, obrzeżonego lososowym różem i pięknie rzeźbionego w stokrotki.

**WIECZNY ODPOCZYNEK RACZ JEJ DAĆ PANIE**

Daty urodzin i śmierci wyznaczały początek i kres szesnastu lat i trzech miesięcy życia. Nad imieniem Janie wyryto małego, uśmiechniętego misia.

W jego lewym oku utkwiał szaroniebieski owoc jałowca. John G. Broussard nachylił się, wyjął go i schował do kieszeni garnituru. Dwurzędowa marynarka, niebieska, z bordowymi belkami. Wcięta w pasie, wysoko rozcięta po bokach. Spójrz, mam, jestem szyta na miarę. Milo przypomniał sobie garnitur Broussarda i jego gładką skórę sprzed dwudziestu lat.

Przypomniał sobie ten dzień po raz tysięczny.

Z bliska szef wiele się nie zmienił. W jego włosach pojawiły się pasemka siwizny, w kącikach ust drobne zmarszczki, ale cera lśniła zdrowiem, a wielkie dłonie wyglądały na dość silne, by zgniatać orzechy.

- Często pan tu przychodzi? - spytał Milo.

- Kiedy w coś inwestuję, lubię tego doglądać.

- Inwestuję?

- Ja kupiłem ten pomnik, detektywie. Jej ojciec miał to gdzieś. Wylądowały na

**komunalnym.**

**- Rozumiem, poczucie winy - powiedział Milo.**

**Broussard nie poruszył się.**

**- Detektywie Sturgis - powiedział po chwili - mam zamiar pana przeszukać i sprawdzić, czy nie ma pan urządzeń podsłuchowych, więc proszę się odprężyć.**

**- Jasne - odparł Milo, przygryzając w ostatniej chwili język, żeby nie powiedzieć "tak jest". Nieważne, jak bardzo się starał, w obecności Broussarda czuł się malutki.**

**Stanął na baczność, kiedy szef odwrócił się i sprawnie go obszukał.**

**Oczywiście. Jako były glina z wydziału wewnętrznego miał doświadczenie z podsłuchami.**

**Broussard skończył. Opuścił ręce, wciąż patrząc Milowi w oczy.**

**- A więc co chce mi pan powiedzieć?**

**- Miałem nadzieję, że to pan powie coś mnie.**

**Usta Broussarda nie drgnęły, ale w jego oczach błysnęło rozbawienie.**

**- Oczekuje pan jakiegoś wyznania?**

**- Jeśli ma pan na to ochotę - zgodził się Milo.**

**- O co panu chodzi, detektywie?**

**- Wiem o Williem Burnsie.**

**- Naprawdę?**

**- Według zeznań podatkowych dom, w którym się ukrywał w Watts, tam, gdzie załatwili pana partnera, Poulsenna, należał do matki pana żony. W noc, kiedy Willie zawiózł Janie Ingalls na imprezę, jechał pożyczonym samochodem. Nowym białym cadillakiem, zadbanym i wypolerowanym. Pańska żona je lubi, miała sześć cadillaków w ciągu dwudziestu lat, wszystkie białe. Licząc z tym, którym jeździ w tej chwili.**

**Broussard pochylił się i strzepnął jakiś pyłek z nagrobka Janie Ingalls.**

**- Burns należał do rodziny - powiedział Milo.**

**- Należał?**

**- Należał. Przestał należeć wczoraj w nocy. Dokładnie tak, jak pan to zaplanował.**

**Broussard wyprostował się.**

**- Są granice ochrony. Nawet w przypadku rodziny.**

**- Kim był, kuzynem?**

**- Bratankiem - powiedział szef. - Synem najstarszego brata mojej żony. Całe jego rodzeństwo było porządne. Wszyscy w rodzinie kończyli studia albo zdobywali jakiś zawód. Willie był najmłodszy. Coś poszło nie tak.**

**- Czasami tak się dzieje - powiedział Milo.**

**- Teraz mówi pan jak ten pana przyjaciel, psycholog.**

**- To zaraźliwe.**

**- Naprawdę?**

**- Tak. Zadawanie się z właściwymi ludźmi dobrze robi na duszę. I na odwrót.**

**Musiało być panu ciężko grać według zasad, męczyć się z rasistowskim syfem, piąć w górę, kiedy Willie beztrąsko dawał sobie w żyłę i dilał prochami. Poważne zagrożenie dla kariery. Ale i tak pomagał mu pan, jak mógł. Dlatego nigdy dłużej nie siedział.**

**Zetknął go pan z Borysem Niemierowem, pewnie wpłacał za niego kaucje. I z początku wszystko szło dobrze, pan też nie tracił twarzy.**

**Broussard pozostawał nieporuszony.**

**- Niełatwo musiało być zadawać się ze znanym kryminalistą.**

**- Nigdy nie złamałem prawa.**

**Teraz to Milo umilkł.**

**- Prawo jest elastyczne, detektywie - powiedział Broussard. - Tak, osłaniałem go.**

**Moja żona go uwielbiała. Pamiętała go jako uroczego chłopczyka. Dla całej rodziny ciągle był uroczym, małym chłopczykiem. Tylko ja zdawałem się zauważać, że zamienił się w notorycznego ćpuna. Może powinienem był to wcześniej zrozumieć. Albo wcześniej pozwolić mu ponieść konsekwencje.**

**Szef rozluźnił się nieco. Bydlak naprawdę oklapł.**

**- A potem Willie wpakował się w zupełnie inne kłopoty - powiedział Milo. - Był świadkiem bardzo paskudnego morderstwa, wpadł w obłęd i powiedział panu, że będą chcieli go za to załatwić.**

**- To nie był obłęd - powiedział Broussard. - Uzasadniona obawa. - Uśmiechnął się zimno. - Czarny, notowany ćpun kontra bogaci, biali chłopcy? Nikt nie zamierzał stawiać Williego przed sądem. Plan był taki: podłożyć dowody, zainscenizować przedawkowanie, zadzwonić anonimowo na policję i zamknąć sprawę.**

**- A więc Willie uciekł Niemierowowi, ale pan spłacił Borysa. Potem przydzielił pan do sprawy Poulsenna, żeby ją zataić, kontrolować, a w międzyczasie pilnować Williego i jego dziewczyny.**

**- To było tymczasowe rozwiązanie. Przegrupowywaliśmy się, rozważaliśmy możliwe ewentualności.**

**- Ściganie prawdziwych morderców nie było jedną z nich - powiedział Milo, zaskoczony wściekłością w swoim głosie. - Może Schwinnowi i mnie udałoby się rozwikłać tę sprawę. A może nie. Teraz już się nie dowiemy, prawda? Bo pan się w to wmieszał i uziemił całe pieprzone śledztwo. I niech mi pan nie wmawia, że chodziło tylko o Williego. Ktoś kazał panu oszczędzać tych gówniarzy. Ktoś, kogo pan musiał słuchać.**

**Broussard obrócił się twarzą do Mila.**

**- Wszystkiego się pan domyślił.**

**- Nie wszystkiego. Dlatego tu jestem. Kto to był? Walt Obey? Janie była**

**stręczona przez kupę gówna, która nazywała się jej ojcem i wykorzystywana przez dwa pokolenia bogatych sukinsynów, a kto jest bogatszy niż stary Walt? Czy to właśnie skazało śledztwo na przegraną, John? Uprzejmy, chodzący do kościoła wujek Walt, który bał się, że wyjdą na jaw jego brzydkie upodobania?**

**Hebanowa twarz Broussarda nie zmieniła wyrazu. Szef patrzył gdzieś za Mila.**

**Zaśmiał się nisko, chrapliwie.**

**- Miło, że dobrze się bawisz, John - powiedział Milo. Ręce mu się trzęsły, zacisnął pięści.**

**- Wyjaśnię panu, detektywie, kilka spraw, których pan nie rozumie. Spędziłem dużo czasu w towarzystwie bogatych ludzi. To prawda, co się o nich mówi. Bogaci naprawdę są inni. Życie wygląda przed nimi swoje małe wyboje, nikt nie ma odwagi niczego im odmówić. Bardzo często ich dzieci stają się potworami. To mroczna strona bogactwa. Ale zdarzają się wyjątki i pan Obey jest jednym z nich. Jest dokładnie taki, jak mówi - religijny, prostolinijny, porządny, jest dobrym ojcem i wiernym mężem. Pan Obey doszedł do bogactwa dzięki ciężkiej pracy, szczęściu i wizji - on sam pierwszy podkreślił szczęście, ponieważ jest też skromny. Więc proszę zrozumieć - on nie ma nic wspólnego z zatuszowaniem tej sprawy. Niech go pan spyta o Janie Ingalls. Popatrzy na pana nic nierozumiejącym wzrokiem.**

**- Może spróbuję - powiedział Milo.**

**Broussard zacisnął zęby.**

**- Trzymaj się z daleka od tego człowieka.**

**- Czy to oficjalny rozkaz?**

**- To mądra rada, detektywie.**

**- W takim razie kto? - spytał Milo. - Kto za tym stoi, do cholery?**

**Broussard przeciągnął palcem pod kołnierzykiem. Stali na słońcu i na czole szefa załśnił pot, a jego skóra błyszczała jak pustynna autostrada.**

**- To nie było tak - powiedział w końcu. - Nikt nie kazał przerwać dochodzenia w sprawie Janie Ingalls. Dyrektywa, a to była dyrektywa z wydziału, z samej góry, nakazywała skontrolować wieloletnie przestępcze zachowania Pierce'a Schwinna. Bo Schwinn wymykał się spod kontroli, był poważnie uzależniony od amfetaminy, podejmował za duże ryzyko. Był tykającą bombą zegarową i wydział postanowił go rozbroić. Pan po prostu miał pecha i trafił na niewłaściwego partnera. Oszczędzono pana, ponieważ był pan nowy i nie zauważono, żeby pan współuczestniczył w wykroczeniach Schwinna. Nie licząc jednego przypadku, kiedy widziano, jak zabrał pan do służbowego samochodu znaną prostytutkę i obwoził ją razem ze Schwinnem. Ale postanowiłem przymknąć na to oko, detektywie. Kazałem pana przenieść na zieleńsze pastwisko, zamiast wyrzucić w niełasce ze służby.**

**- Czy to ta dramatyczna chwila, w której powinienem panu podziękować? - Milo przyłożył rękę do ucha. - Gdzie te cholerne werble?**

**Broussard skrzywił się z obrzydzeniem.**

**- Może pan udawać idiotę, jeśli pan woli.**

**- Nie potrzebowałem twojej wspaniałomyślności, John. Kiedy zabierałem tą dziwkę, nie miałem pojęcia, co się stanie, myślałem, że to informatorka.**

**Broussard uśmiechnął się.**

**- Wierzę panu, detektywie. Zdawałem sobie sprawę, że nie weźmie pan udziału w zabawie w doktora z kobietą.**

**Milo poczuł gorąco na twarzy.**

**- Niech mi się pan tu nie obraża - powiedział Broussard. - Nie będę udawał, że pana rozumiem, ale mi to nie przeszkadza. Życie jest za krótkie na nietolerancję. Wiem, jak to jest być poza nawiasem i dawno przestałem się ludzi, że ludzi da się zmienić.**

**Niech bigoci czują sobie, co chcą, tak długo, jak długo porządnie się zachowują.**

**- Jest pan wcieleciem tolerancji.**

**- Nietolerancji, lecz konstruktywnej obojętności. Nie interesują mnie pana rozrywki, pan mnie nie interesuje, dopóki robi pan, co do pana należy.**

**- Tak długo, jak długo leży to w pana interesie - powiedział Milo.**

**Broussard nie odpowiedział.**

**- Jest pan samotnikiem, tak? - ciągnął Milo. - Jak na samotnika całkiem szybko wspiął się pan na górę.**

**- Ciężka praca i upór - powiedział Broussard, jakby wygłaszał tą formułkę już miliony razy. - I dużo szczęścia. Plus sporo podlizywania się i służalczości. - Rozpiął kołnierzyk koszuli, próbując wyglądać swobodnie. Efekt był wręcz przeciwny. - Kiedy jeździłem jeszcze w patrolu, wyklejałem swoją szafkę zdjęciami ludzi, których podziwiałem. Fredericka Douglasa, George'a Washingtona Carvera, Ralpa Bunche'a. Któregoś dnia otworzyłem szafkę i wszystkie zdjęcia były porwane na kawałki, a na ściankach ktoś powypisywał: "Zdychaj, czarnuchu" i inne genialne hasła. Posklejałem wszystkie zdjęcia i jeśli pójdzie pan dzisiaj do mojego gabinetu, zobaczy pan, że wiszą nad moim biurkiem.**

**- Będę musiał przyjąć to na wiarę - powiedział Milo. - Nie spodziewam się, że w najbliższym czasie zostanę tam zaproszony. W przeciwieństwie do innego dobrego człowieka, Craiga Bosca. Rozczarowałeś mnie, John. Nie spodziewałem się, że**

wybierzesz taką lajżę do załatwiania swoich spraw.

**Broussard przygryzł wargę.**

**- Craig ma swoje dobre strony. Tym razem posunął się za daleko.**

**- Jakie zadanie miał ten idiota? Nastraszyć mnie, żebym skupił się na sprawie**

**Ingalls? Psychologia przeciwności? Tak na wszelki wypadek, gdyby wysłanie albumu doktorowi Delaware nie wystarczyło?**

**- Zadaniem tego idioty - powiedział Broussard - było nakierować pana na sprawę i dopilnować, żeby się pan nie zniechęcił. Myślałem, że się pan tym zainteresuje, ale przez jakiś czas sprawy toczyły się za wolno. Minęło w końcu dwadzieścia lat,**

**- A więc ukradłeś samochód mojego partnera, rozpuściłeś plotki o HIV, kazales Boscowi mnie zaczepić i dopilnować, żebym dotarł do skrytki pocztowej, która nakieruje mnie na Larnerów. Potem wysledziłeś doktora Delaware i poszczuleś go Courym. On mógł wczoraj w nocy umrzeć, ty makiaweliczny sukinsynu.**

**- Ale nie umarł - uciął Broussard. - A mnie nie interesuje teoretyzowanie. Jak powiedziałem, Craig zrobił się nadgorliwy. Koniec, kropka.**

**Milo zaklął, odetchnął, pochylił się i przesunął ręką po pomniku Janie. Broussard zeszywniał, jakby ten gest go obraził.**

**- Kupiłeś jej grób i myślisz, że to wystarczy, John. Ta biedna dziewczyna pleśnieje tam od dwudziestu lat, a ty zrobiłeś się taki prawy. Schwinn wysłał ci album, a ty zrobiłeś z niego łańcuszek, który dotarł do mnie przez Delaware. Dlaczego? Przecież nie chodziło ci o sprawiedliwość.**

**Twarz szefa znów nabrała nieprzeniknionego wyrazu. Milo wyobraził go sobie, jak wyciera z albumu odciski palców, rozważa "ewentualności", w końcu postanawia wysłać zdjęcia komuś, kto na pewno przekaże je dalej. Używając Aleksa, żeby**



**nastraszyć Mila, wytrącić go z równowagi, zmusić do walki o jej odzyskanie. Żeby Milo  
wmówił sobie, że spełnia szlachetną misję.**

**A gdyby Milo się na to nie nabrał, Broussard znalazłby inny sposób. Tak  
naprawdę Milo nigdy nie miał żadnego wyboru.**

**- Miał pan reputację przekornego - powiedział Broussard. - Uznałem, że mądrze  
będzie to wykorzystać.**

**Wzruszył ramionami. Ten prosty gest sprawił, że Milo prawie się zagotował.**

**Zacisnął mocno dłonie, powstrzymując się siłą, żeby nie uderzyć Broussarda, w końcu  
się opanował.**

**- Dlaczego teraz ci zależało, żeby rozwiązać tę sprawę?**

**- Czasy się zmieniają.**

**- Co się zmieniło, to okoliczności. - Milo dźgnął palcem nagrobek. - Zawsze miałeś**

**w dupie i Janie, i prawdę. Dopadnięcie Coury'ego i pozostałych stało się ważne, bo leżało**

**w twoim najlepszym interesie i wiesz co, udało ci się. Kilka trupów w Ojai, dwa następne**

**w Santa Barbara, Cossackowie w Inglewood, i nic ich ze sobą nie łączy. Teraz masz**

**wolną rękę, możesz bawić się razem z Waltem Obeyem w budowę swojego miasteczka.**

**Bo o to przecież tak naprawdę chodzi, prawda, John? O pieniądze starego. Pierdolona**

**Esperanza.**

**Broussard zeszywniał.**

**- Esperanza, co za gówno - ciągnął Milo. - To znaczy "nadzieja", a ty masz**

**nadzieję, że zostaniesz obrzydliwie bogaty, bo wiesz, że jako szef policji jesteś skończony**

**i niedługo będziesz musiał odejść z wydziału w niespecjalnie ciekawych okolicznościach,**

**a wujek Walt przypadkiem złożył ci propozycję, przy której twoja pensja to drobne na**

**kawę. Co to za układ, John? Szef bezpieczeństwa całego osiedla, może jeszcze**

wiceprezesostwo jakiejś wydumanej korporacji? Co tam, Obey pewnie dołożył do tego uprzywilejowane akcje projektu, które wyniosą cię do zupełnie innej finansowej galaktyki. Nie licząc tego, co już dał twojej żonie i córce. Kolorowy jako współwłaściciel miasta - ależ ze starego Walta liberal. Wszystko wyglądało różowo, dopóki nagle nie pojawiła się wstrętna konkurencja. Bo wielki plan Obeya obejmuje całą gamę obiektów rekreacyjnych, czytaj: sprowadzenie w końcu do Los Angeles drużyny futbolowej. Jeśli staremu się to uda, wartość ziemi w Esperanzy pójdzie w górę jak rakieta, a ty trafiasz do klubu wiejskiego, wszyscy tam udają, że cię lubią. Ale Cossackowie mieli inne plany. Chcieli na nowo uruchomić Coliseum, albo jakiś inny obiekt w centrum. Mieli po swojej stronie Zarazka Bacillę i Diamentowego Jima Horne'a, sprowadzili tych dwóch błaznów na kolację do tej swojej głupiej restauracji, odstawili całą szopkę z prywatną salą przed wujkiem Waltem. Próbowali go przekonać, żeby wszedł w to razem z nimi. Kiedyś wujek Walt kazałby im się bujać, ale może teraz był gotów słuchać.

To, że przyjechał do Sangre de Leon i nie zaprosił tam ciebie wskazuje, że był otwarty na propozycje, a to musiało cię wystraszyć, John. Bo chociaż Cossackom nigdy wcześniej nic się nie udało, tym razem mieli za sobą duże pieniądze i radę miasta. A co najważniejsze, Obey zaczyna robić bokami. Bo starzeje się, a jego żona jest chora, ciężko chora. A to dowcip, co, John? Zaszedłeś tak daleko, a tu nagle wszystko zaczęło się sypać.

Broussard wbił wzrok w spękany asfalt. Wysunął dolną szczękę i Milo wiedział, że teraz to szef musi się powstrzymać, żeby nie uderzyć jego.

- Nie wiesz, o czym mówisz, detektywie.

- John - powiedział Milo. - Widziałem, jak dzisiaj rano na Muirfield zajechała

furgonetka z przenośnym zestawem do dializy. Z panią Obey jest bardzo źle. Stara

**Barbara potrzebuje maszyny, żeby żyć. Wujek Walt traci entuzjazm.**

**Ręka Broussarda strzeliła w górę, do węzła krawata. Szef szarpnął go w dół, wpatrzył się w pustkę.**

**- Obey od lat ma tę ziemię - ciągnął Milo - więc nawet przy swoich dzierżawach mógłby ją sprzedać z wielkim zyskiem. Dałby ci coś na pocieszenie, ale generalnie byłbyś kontrowersyjnym byłym szefem policji, zmuszonym do odejścia i szukającym pracy. Może jakaś sieć sklepów zatrudniłaby cię jako szefa ochrony.**

**Broussard milczał**

**- Tyle lat podlizywania - powiedział Milo. - Tyle lat dumy.**

**- Czego chcesz? - spytał Broussard, bardzo cicho.**

**Milo zignorował to pytanie.**

**- Zaslaniaś się tą dyrektywą sprzed dwudziestu lat jako powodem, dla którego sprawa Janie poszła na boczny tor, ale to bzdura. Przekazanie jej Lesterowi Poulsenowi to był unik. To był dureń z działu kadr, taki jak ty. Co, do cholery, Poulsen mógł wiedzieć o morderstwach na tle seksualnym?**

**- Les pracował w zabójstwach. W Wilshire.**

**- Jak długo?**

**- Dwa lata.**

**Milo bezgłośnie zaklaskał.**

**- Całe dwadzieścia cztery miesiące strzelanin między gangami, i nagle dostaje pojedynczy przydział do tak paskudnej sprawy, jak zabójstwo Janie. Jego głównym zadaniem było pilnowanie Williego i Caroline w Watts, bo twoja rodzina kochała Williego.**

**- To była bardzo drażliwa sprawa... - powiedział Broussard. - Willie. Rodzina**

**zawsze o niego dbała. Kupiłem żonie nowiutkiego sedana de ville, a ona mu go pożyczyla. Samochód policjanta z wydziału wewnętrznego na miejscu przestępstwa. W głosie szefa pojawiła się skamląca nutka. Defensywność podejrzanego. Milo poczuł rosnące zadowolenie.**

**- Co powiedziałaś rodzinie, kiedy Willie zniknął? - spytał.**

**- Że spalił się w tym domu. Chciałem z tym skończyć. - Broussard wskazał głową w prawo. Dwa rzędy dalej. - Dla nich Willie jest tutaj. Urządziliśmy cichy, rodzinny pogrzeb.**

**- Kto jest w trumnie?**

**- Spaliłem w gabinecie trochę papierów, wsypałem popioły do urny, a potem ją pochowaliśmy.**

**- Wierzę ci - powiedział Milo. - Wierzę, że mógłbyś to zrobić.**

**- Myślałem, że Willie naprawdę nie żyje. Lester zginął w pożarze, potem zabili tego Rosjanina i wiedziałem, że to wszystko ma związek z Williem, więc dlaczego on miałby jeszcze żyć? A potem, tydzień później, zadzwonił do mnie, ledwie żywy, twierdząc, że jest poparzony i chory, żeby mu przysłać pieniądze. Odłożyłem słuchawkę. Miałem dość. Pomyślałem sobie, ile może przeżyć, kilka miesięcy? Był poważnie uzależniony.**

**- Więc zrobiłeś z niego umarłego.**

**- Sam to sobie zrobił.**

**- Nie, John, Vance Coury zrobił mu to wczoraj w nocy. Przeciął go na pół z maca**

**10. Własnoręcznie go pochowałem. Hej, jak chcesz, wykopię to, co z niego zostało, ty wykopiesz tę urnę i wszystko będzie jak trzeba.**

**Broussard bardzo wolno pokręcił głową.**

**- Myślałem, że jesteś bystry, ale jesteś głupi.**

**- Dobry z nas zespół, ty i ja, John - powiedział Milo. - We dwóch wszystko załatwimy, tip-top. A kto zepchnął Schwinna z tego konia? Zrobiłeś to sam, czy wysłałeś kogoś, jak starego Craiga? Stawiałbym na posłańca, bo czarna twarz w Ojai wzbudziłaby podejrzenia.**

**- Nikt go nie zepchnął. Miał atak epilepsji i spadł do parowu. Pociągnął konia za sobą.**

**- Byłeś tam?**

**- Craig był.**

**- Aha - powiedział Milo, myśląc: Alex by się zaśmiał. Jeśli był już na etapie, na którym można się śmiać.**

**- Wierz, w co chcesz - powiedział Broussard. - Tak było.**

**- Wierzę, że kiedy Schwinn przysłał ci ten album, prawie się zesrałeś. Przez tyle lat myślałeś, że to wypalony spidziarz, a tu się okazało, że ma dobrą pamięć. I zdjęcia. Broussard uśmiechnął się z wyższością.**

**- Pomyśl logicznie: przed chwilą wysnułeś tu skomplikowaną teorię na temat mojej chęci wyeliminowania konkurencji. Jeśli to prawda, to dlaczego rozgrzebanie sprawy Ingalls przez Schwinna miałoby mnie niepokoić? Wręcz przeciwnie, gdyby udało się w to wciągnąć Cossacków...**

**- Tyle, że Schwinn wiedział, że to ty od samego początku stałeś za zмовą. Kiedy usunąłeś go już z drogi, ustawileś wszystko tak, jak chciałeś. Trzeba ci to przyznać, potrafisz się przystosować, John.**

**Broussard westchnął.**

**- Jesteś uparty. Powiedziałem ci, dyrektywa odnosiła się do...**

- I co z tego, John? Jeśli Walt Obey jest chociaż w połowie tak porządny, jak twierdzisz, lubi cię, bo przekonałeś go, że jesteś wcieleniem dobra. Nagle pojawia się Schwinn, robi szum, zaczyna ci bruździć, twój mokry sen o cieplej posadce jest zagrożony. Więc on też musiał zniknąć. To jak kręgle, co? Ludzkie kręgle. Ustawiasz je i zbijasz.

- Nie - powiedział Broussard. - Wysłałem Craiga, żeby porozmawiał ze Schwinnem, dowiedział się, co dokładnie wie. Dlaczego miałbym go zabijać? Mógł mi się przydać. Kiedy jego zabrakło, zwróciłem się do ciebie.

- Atak.

Broussard kiwnął głową.

- Craig jechał na ranczo Schwinna, zobaczył, jak Schwinn wyjeżdża stamtąd konno i pojechał za nim. Nastąpił... nawiązał kontakt, przedstawił się i Schwinn zrobił się agresywny. Chciał, żebym odpowiedział osobiście, nie przez posłańca. Był arogancki. Craig próbował się z nim dogadać. Dowiedzieć się, jak wyglądają fakty. Schwinn zaprzeczył, że miał cokolwiek wspólnego z albumem, potem zaczął coś bredzić o DNA - znalezieniu próbek nasienia i zakończeniu sprawy z dnia na dzień.

- Tyle, że żadnych próbek nie było - powiedział Milo. - Wszystko zostało zniszczone. Schwinn by się ucieszył, gdyby to usłyszał.

- Zrobił się wściekły, próbował stratować Craiga, ale koń go nie słuchał. Craig robił, co mógł, żeby uspokoić Schwinna, ale on chciał zsiąść i nagle przewrócił oczami, zaczął się ślinić i dostał drgawek. Koń musiał się spłoszyć i poślizgnąć. Spadł do parowu. Schwinnowi stopa uwięzła w strzemieniu, poleciał za nim, uderzył głową o kamień. Craig pobiegł mu na pomoc, ale było już za późno.

- Więc Craig odjechał.

**Broussard nie odpowiedział.**

**- Niesamowita opowieść - powiedział John. - Zapomnij o budowaniu miast, John.**

**Napisz scenariusz.**

**- Może to zrobię - powiedział Broussard. - Któregoś dnia, kiedy już nie będzie mi tak ciężko.**

**- Kiedy co?**

**- To boli. To wszystko nie przyszło mi łatwo.**

**Lewy policzek Broussarda drgnął. Szef westchnął. Święta urażona niewinność.**

**Milo uderzył go.**

Cios trafił szefa prosto w nos i przewrócił na tyłek. Broussard siedział na ziemi przed grobem Janie; z nosa płynęła mu krew, plamiąc włoską koszulę i piękny złoty krawat. Czerwień rudziała, wsiąkając w klapy szytej na miarę marynarki.

- Dobrze, że już wcześniej miałem szeroki nos - powiedział.

Uśmiechnął się. Wyjął z kieszeni na piersi jedwabny fular i otarł krew. Nie próbował wstać.

- Jest pan niedojrzały, detektywie. To pana problem, zawsze tak było. Redukuje pan wszystko do czarnego i białego, jak dziecko. Może to się wiąże z pana drugim problemem. Ogólnym opóźnieniem w rozwoju.

- Dorosłość jest mocno przereklamowana - powiedział Milo. - Dorośli zachowują się tak jak ty.

- Ja przetrwałem - odparował Broussard. - Mój dziadek nigdy nie nauczył się czytać. Mój ojciec skończył studia i szkołę muzyczną, grał na puzonie, ale nie mógł znaleźć pracy, więc całe życie był odźwiernym w Ambasadorze. Twój problem można ukryć. Urodziłeś się z nieograniczonymi możliwościami, więc oszczędź mi kazań o moralności. I nie myśl nawet, że uderzysz mnie jeszcze raz. Jeśli podniesiesz na mnie rękę, zastrzelę cię i wymyślę wiarygodną historyjkę, żeby to usprawiedliwić.

Poklepał się po lewym biodrze, ukazując wybrzuszenie materiału. Subtelne kilka centymetrów, nierzucające się w oczy dzięki świetnemu krojowi marynarki.

- I tak mógłbyś mnie zastrzelić - powiedział Milo. - Kiedy bym się tego nie spodziewał.

- Mógłbym, ale tego nie zrobię. Chyba, że mnie do tego zmusisz. - Przycisnął



**jedwab do nosa, z którego wciąż leciała krew. - Jeśli będziesz się rozsądnie zachowywał, nie przyślę ci nawet rachunku z pralni.**

**- To znaczy?**

**- To znaczy, że się już wylądowałeś i jesteś gotowy wrócić do pracy w zupełnie nowych okolicznościach.**

**- Takich jak...?**

**- Zapominamy o wszystkim, dostajesz awans na porucznika i przydział do wybranego rewiru.**

**- Dlaczego miałbym chcieć przekładać papierki? - spytał Milo.**

**- Żadnych papierków, będziesz porucznikiem detektywem - powiedział**

**Broussard. - Dalej będziesz rozwiązywał sprawy - ciekawe sprawy, ale będziesz dostawał pensję porucznika i cieszył się prestiżem porucznika.**

**- Nie tak to działa.**

**- Ciągłe jestem szefem. - Broussard wstał, niby przypadkiem odchylając połą swojej dwurzędowej marynarki i ukazując dziewiątkę w skórzanej kaburze koloru brandy.**

**- Rzucasz mi kość, a ja sobie idę - powiedział Milo.**

**- A dlaczego nie? Zrobiłeś wszystko, co miałeś zrobić. Rozwiązałeś sprawę, źli są załatwieni, życie toczy się dalej. Co innego nam zostaje, zrujnować sobie nawzajem życie? Bo im mocniej mnie uderzysz, tym bardziej będzie to boleło ciebie samego. Nie obchodzi mnie, za kogo się uważasz, tak po prostu jest. Pomyśl o Nixonie i Clintonie i wszystkich innych uosobieniach cnót. O nich piszą książki, a wszyscy inni znikają.**

**Broussard podszedł bliżej. Milo poczuł jego cytrusową wodę po goleniu, pot i miedziany odór krwi, która wreszcie zaczęła zasychać.**

- Mam notatki - powiedział Milo. - Papierowy ślad, schowany tak, że nigdy go nie znajdziesz. Jeśli coś mi się stanie...

- Och, daj spokój, i kto teraz mówi o scenariuszach - przerwał mu Broussard. -

Chcesz przerzucać się pogroźkami? Pomyśl o doktorze Silvermanie, doktorze Delaware, doktorze Harrisonie. - Roześmiał się. - To brzmi jak jakiś zjazd lekarzy. Mogę ci zaszkodzić tak, że w najgorszych snach sobie tego nie wyobrażałeś. Tylko po co? Jaki to ma sens?

Błysnął uśmiechem. Uśmiechem zwycięzcy. Milo poczuł zimną, moką falę przegranej. Oklapł; uderzenie Broussarda w nos kosztowało go więcej niż uderzonego. Zwycięzcy i przegrani, tego uczyli już chyba w przedszkolu.

- Co z Boskiem? - spytał.

- Craig odszedł z wydziału tydzień temu, dostał hojną odprawę. Nigdy więcej się do ciebie nie zbliży, to mogę ci obiecać.

- Jeśli to zrobi, będzie trupem.

- Zdaje sobie z tego sprawę. Przenosi się do innego miasta. Innego stanu. -

Broussard otarł krew, obejrzał chusteczkę, znalazł czysty róg i włożył ją do kieszeni na piersi tak, żeby tylko on wystawał. Zapiął koszulę, poprawił krawat i podszedł jeszcze bliżej do Mila.

Oddychał równo, spokojnie. Miał słodki oddech, miętowo świeży. Na jego hebanowej twarzy nie było już potu. Nos zaczął mu puchnąć, wyglądał na trochę skrzywiony, ale kiedy się umyje, nic nie będzie widać.

- A więc? - zapytał.

- Porucznik - powiedział Milo.

- Szybki awans, detektywie Sturgis, kiedy tylko wybierze pan rewir. Może pan

wziąć urlop albo od razu wrócić do pracy. Niech pan to traktuje jako obustronnie konstruktywne rozwiązanie.

Milo spojrział w jego ciemne, poważne oczy. Nienawidził Broussarda i podziwiał go. O, wielki guru oszukiwania samego siebie, naucz mnie żyć tak, jak ty...

- Pierdołę twoje awansy - powiedział. - Zostawię to wszystko, ale nic od ciebie nie chcę.

- Jak szlachetnie - zakpił Broussard. - Jakbyś miał jakiś wybór.

Odwrócił się i odszedł.

Milo został przy grobie, spojrział na pomnik. Pieprzony miś.

Wiedział, że nie ma innego wyjścia, jeśli chce zostać w wydziale. Może przyjąć propozycję, bo dlaczego nie, do cholery, przecież wszyscy, którzy mieli jakieś znaczenie już nie żyją, a on był zmęczony, tak bardzo zmęczony, no i jaki miał wybór?

Podjął decyzję. Nie był pewien, co się z nim przez to stanie - z jego duszą.

Ktoś inny mógłby sobie wmówić, że to odwaga.

Ktoś inny mógłby się tak nie czuć.

Bert Harrison zadzwonił o dziewiątej rano. Spałem; próbowałem mówić normalnym głosem, ale Bert od razu wiedział, że mnie obudził.

- Przepraszam, Alex. Zadzwonię później...

- Nie - powiedziałem. - Jak się czujesz?

- Ja dobrze - odparł. - Aimee... w końcu pogodzi się ze stratą. Zaczęliśmy już nad tym pracować, bo Bill nie miał dużo czasu i próbowałem ją przygotować. Dla jej dobra staram się podkreślić, że to się stało szybko. Że nie cierpiał.

- Mogę ci w tym pomóc. To była chwila.

- Widziałeś to... Musisz być...

- Nic mi nie jest, Bert.

- Alex, powinienem być z tobą od początku szczery. Zasłużyłeś, żeby spodziewać się po mnie czegoś więcej.

- Miałeś swoje zobowiązania - powiedziałem. - Tajemnica lekarska...

- Nie, ja...

- W porządku, Bert.

Roześmiał się.

- Posłuchaj, co mówimy, Alex. Alphonse, Gaston, Alphonse, Gaston... Na pewno wszystko w porządku, synu?

- Na pewno.

- Bo najwięcej przeżyłeś, a ja stałem z boku jak...

- Było, minęło - powiedziałem stanowczo.

- Tak. - Uplęło kilka sekund. - Muszę ci to powiedzieć: jesteś dobrym młodym

człowiekiem. Mówię do ciebie czasami “synu”, bo gdybym... Och, to niepoważne, zadzwoniłem do ciebie, żeby sprawdzić, jak sobie radzisz i żeby ci powiedzieć, że u nas wszystko dobrze. Ludzki duch i tak dalej.

- Jesteś niezłomny - powiedziałem.

- A czy mam jakieś inne wyjście?

Milo przyszedł do mnie wczoraj wieczorem i rozmawialiśmy do świtu. Dużo myślałem o różnych wyjściach.

- Dzięki za telefon, Bert. Spotkajmy się. Kiedy wszystko się uspokoi.

- Tak. Koniecznie. Musimy.

Mówił jak stary, słaby człowiek i chciałem mu pomóc.

- Niedługo wrócisz do swoich instrumentów - powiedziałem.

- Słucham... o, tak, zdecydowanie. Wszedłem dziś rano do sieci. Znalazłem starą portugalską *gitarra* na eBayu, wygląda intrygująco, jeśli uda się ją odrestaurować. Stroi się ją inaczej niż gitarę, ale może uda ci się wydobyć z niej jakieś dźwięki. Kiedy ją kupię, dam ci znać - przyjedziesz i razem pogramy.

- To dobry plan - powiedziałem. Szczęśliwy, że w ogóle jakiś mam.

Następne kilka dni zlało mi się w jedną wielką plamę samotności i poczucia straconej szansy. Długo zbierałem siły, żeby zadzwonić do Robin, ani razu jej nie zastałem.

Nie oddzwaniała. Zastanawiałem się, czy kolejna granica nie została przekroczona.

Staralem się nie myśleć o Janie Ingalls i wszystkich innych, całkiem nieźle udało mi się od tego odciąć. Wiedziałem, że Allison Gwynn raczej nie przeczytała w "Santa Barbara News-Press" o śmierci Michaela Larnera i że powinienem jej o tym powiedzieć. Do tego też nie mogłem się zmusić.

Zagrzebałem się w porządkach, ciężkiej pracy, mozolnych biegach i telewizyjnej hipnozie. Spożywanych z musu, pozbawionych smaku posiłkach, przeglądaniu porannych gazet - ani słowa o krwawej nocy w Ojai, Larnerach ani Cossackach. Ciągły ostrzał Johna G. Broussarda przez polityków i różnej maści fachowców był jedyną rzeczą, która miała jakiś związek z tym, co stało się moim udziałem od chwili otrzymania albumu morderstw.

W nadspodziewanie ładny wtorek poszedłem po południu pobiegać. Kiedy wróciłem, w salonie siedziała Robin.

Miała na sobie czarną koszulkę, czarne dżinsy i buty z jaszczurczej skóry, które dałem jej na urodziny dwa lata temu. Rozpuściła włosy, była umalowana, uszminkowana i wyglądała jak piękna nieznajoma.

Podchodząc, żeby ją pocałować, starałem się nie pokazywać otartej strony twarzy. Nadstawiła usta, ale nie rozchyliła ich. Dotknęła lekko mojej szyi i cofnęła rękę.

**Usiadłem obok niej.**

**- Trasa wcześniej się skończyła?**

**- Wzięłam dzień wolnego - odparła. - Przyleciałam z Omaha.**

**- Jak idzie?**

**Nie odpowiedziała. Wzięłem ją za rękę. Jej chłodne i bezwładne palce dotknęły mojej spalonej dłoni.**

**- Zanim cokolwiek zaczniemy - powiedziała - muszę ci opowiedzieć o Sheridanie.**

**Wiedział, żeby przynieść chrupki dla Spike'a, bo już go znał, ma własne psy.**

**- Robin, ja...**

**- Proszę, Alex. Po prostu posłuchaj.**

**Puściłem jej dłoń, opadłem na oparcie kanapy.**

**- Sheridan jest towarzyski - powiedziała - a jego praca sprawia, że cały czas jest blisko mnie, więc chyba mogę zrozumieć twoje podejrzenia. Ale tak na przyszłość: to odrodzony chrześcijanin, ma żonę i czwórkę dzieci, z których najstarsze ma sześć lat.**

**Wziął ze sobą całą rodzinę, reszta ekipy cały czas z tego żartuje. Jego żona ma na imię**

**Bonnie, śpiewała w chórkach, zanim ona i Sheridan na nowo odkryli religię. Oboje są**

**dokładnie tacy, jak można się spodziewać po nawróconych: weseli, gorliwi, dumni,**

**ciągle cytują Biblię. To irytujące, ale wszyscy się z tym godzą, bo Sheridan jest**

**sympatyczny, a poza tym to jeden z najlepszych koordynatorów tras w branży. Kiedy**

**próbuję na mnie wpłynąć, wygłasza mało subtelne uwagi, że powinnam przyjąć**

**Chrystusa do swojego życia, ale nie stara się dobrać do moich majtek. Wiem, że**

**religijność nie oznacza od razu, że ktoś jest w porządku, ale on to wszystko mówi**

**poważnie. Nigdy nie zbliżył się nawet na kilometr do niczego, co ma choćby**

**najdrobniejszy podtekst seksualny. Najczęściej, kiedy jest u mnie w pokoju, jest z nim**

**Bonnie.**

**- Przepraszam - powiedziałem.**

**- Nie przyjechałam po przeprosiny, Alex. Chciałam ci to tylko powiedzieć osobiście. Żebyś się nie dręczył.**

**- Dziękuję.**

**- Co ci się stało w twarz i rękę?**

**- To długa historia.**

**- Ta sama, co zwykle - powiedziała.**

**- Chyba tak.**

**- To kolejna sprawa. Jeszcze jeden powód, dla którego przyleciałam. Nasza sytuacja. Nielatwa, prawda?**

**- Brakowało mi ciebie - powiedziałem.**

**- Mnie ciebie też. Cały czas. Ale...**

**- Zawsze musi być jakieś "ale".**

**- Nie bądź zły.**

**- Nie jestem. Jest mi przykro.**

**- Mnie też. Gdyby mi na tobie nie zależało, oszczędziłabym sobie tego spotkania.**

**Ale nie zostaję, Alex. Przyjeżdża po mnie samochód, zabiera mnie na lotnisko, wracam na trasę i zostaję aż do końca. To się może przeciągnąć. Świetnie nam idzie, zebraliśmy już całkiem sporo. Mówi się o dodatkowych koncertach w Europie.**

**- Paryż?**

**Zaczęła płakać.**

**Chciałem się do niej przyłączyć, ale nie miałem już na to sił.**

**Trzymaliśmy się za ręce przez następną godzinę, nie ruszając się z miejsca. Raz**



**tylko poszedłem po chusteczki, żeby mogła wytrzeć sobie oczy.**

**- To nie jest koniec - powiedziała Robin, kiedy przyjechała taksówka. -**

**Zobaczymy, jak się wszystko ułoży.**

**- Jasne.**

**Odprowadziłem ją do drzwi, stanąłem na tarasie i pomachałem.**

**Trzy dni później zadzwoniłem do Allison Gwynn i powiedziałem jej o Larnerze.**

**- O, Boże... - westchnęła. - Trochę potrwa, zanim to przyswoję... Cieszę się, że mi powiedziałeś. Dobrze, że mi powiedziałeś.**

**- Pomyślałem, że powinienem.**

**- Wszystko w porządku?**

**- Wszystko gra.**

**- Gdybyś chciał z kimś porozmawiać...**

**- Będę o tym pamiętał.**

**- Pamiętaj - powiedziała. - Mówię poważnie.**